

TOM
CLANCY

MARK GREANEY

Z PEŁNĄ MOCĄ
I SKUTKIEM

TOM
CLANCY
MARK
GREANEY

Z PEŁNĄ MOCĄ I SKUTKIEM

przełożył Jan S. Zaus

Wydawnictwo
ab

Tytuł oryginału: *Full Force and Effect*

Copyright © 2014 by The Estate of Thomas L. Clancy, Jr; Rubicon, Inc.; Jack Ryan Enterprises, Ltd.; Jack Ryan Limited Partnership

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVIII
Copyright © for the Polish translation by Jan S. Zaus

Wydanie I
Warszawa MMXVIII

Spis treści

Główne postaci

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)

[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)
[60](#)
[61](#)
[62](#)
[63](#)
[64](#)
[65](#)
[66](#)
[67](#)
[68](#)
[69](#)
[70](#)
[71](#)
[72](#)
[73](#)
[74](#)
[75](#)

[76](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

Główne postaci

Rząd Stanów Zjednoczonych

Jack Ryan – prezydent Stanów Zjednoczonych

Scott Adler – sekretarz stanu

Mary Pat Foley – dyrektor Wywiadu Narodowego (DNI)

Jay Canfield – dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA)

Brian Calhoun – dyrektor National Clandestine Service w Centralnej Agencji Wywiadowczej

Robert Burgess – sekretarz obrony

Arnold Van Damm – szef sztabu prezydenta

Horatio Styles – ambasador Stanów Zjednoczonych w Meksyku

Andrea Price O'Day – agentka specjalna Secret Service

Dale Herbers – agent specjalny Secret Service

Pułkownik Mike Peters – dyrektor regionalny National Geospatial-Intelligence Agency

Annette Brawley – specjalistka od analizy zdjęć w National Geospatial-Intelligence Agency

Kampus

Gerry Hendley – dyrektor Kampusu/Hendley Associates

John Clark – dyrektor operacyjny

Domingo „Ding” Chavez – starszy agent operacyjny

Dominic „Dom” Caruso – agent operacyjny

Sam Driscoll – agent operacyjny

Jack Ryan junior – agent operacyjny

Gavin Biery – dyrektor ds. IT

Adara Sherman – dyrektor ds. logistyki i transportu

Postaci z Korei Północnej

Choi Ji-hoon – Dae Wonsu (wielki marszałek) i przywódca Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej

Ri Tae-jin – generał porucznik Koreańskiej Armii Ludowej i szef Generalnego Biura Rozpoznania (RGB), wydziału wywiadu zagranicznego Korei Północnej

Hwang Min-ho – dyrektor Koreańskiej Korporacji Handlowej ds. Zasobów Naturalnych, przedsiębiorstwa należącego do północnokoreańskich państwowych kopalni

Inne postaci

Wayne „Duke” Sharps – były agent FBI i szef Sharps Global Intelligence Partners

Edward Riley – były szef placówki MI6, obecnie pracownik Sharps Global Intelligence Partners

Veronika Martel (*alias* Élise Legrande) – była agentka francuskiego wywiadu, obecnie pracownica

Sharps Global Intelligence Partners

Colin Hazelton – były agent śledczy CIA, obecnie pracownik Sharps Global Intelligence Partners

Dr Helen Powers – australijska geolożka

Óscar Roblas de Mota – meksykański miliarder i prezes New World Metals LLC

Daryl Ricks – dowódca (stopień E-7) zespołu 5. plutonu Echo grupy pierwszej Oddziału Specjalnego Marynarki Wojennej SEAL (Naval Special Warfare)

Marleni Allende – chilijska radczyni prawna w Komitecie ds. Sankcji przy Radzie Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych

Santiago Maldonado – lider kartelu Maldonado

Emilio – członek kartelu Maldonado

Adel Zarif – irański wytwórca bomb

Cathy Ryan – pierwsza dama Stanów Zjednoczonych



Korea Północna i Południowa, Chiny i Japonia

Prolog

Johna Clarka nie obchodziło, co mówili inni – to ciągle był ten sam Sajgon.

Oczywiście znał historię. Czterdzieści lat temu przybyli tu z północy komuniści i zajęli miasto. Zmienili jego nazwę na Ho Chi Minh na cześć swojego agresywnego przywódcy. Wszystkie łupy dla zdobywców. Wymordowali kolaborantów, uwięzili ludzi niepewnych i zmienili politykę, kulturę oraz codzienne życie mieszkańców.

Teraz wyglądało to trochę inaczej, ale John czuł się podobnie. Duszny upał wieczoru oraz smród spalin nieustannie mieszały się z kadzidłem, dymem tytoniowym i także zapachem przypraw. Z ruchliwych ulic dochodził zgiełk tłumu i widać było błyski świateł.

Lecz płynęło też stamtąd poczucie wszechobecnego niebezpieczeństwa, niewidocznego, czającego się gdzieś, ale bliskiego, jak wojsko najeżdźców.

Mogli nazwać to miasto po jego przeklętym wrogu z przeszłości, mogli je nazwać jakkolwiek, do diabła, chcieli, lecz dla sześćdziesięciosześcioletniego mężczyzny siedzącego w otwartej od frontu kawiarni w Dzielnicy nr 8 nie miało to żadnego znaczenia.

To ciągle był ten sam pieprzony Sajgon.

Clark siedział ze skrzyżowanymi nogami, w rozpiętej pod szyją koszuli i z lekką jasnobrązową kurtką przerzuconą przez stojące obok krzesło, ponieważ poruszający się nad nim wolno wiatrak z liści palmowych jedynie mieszał gorące powietrze. Wokół krążyli młodszy od niego mężczyźni i kobiety, kierujący się albo do stolików, albo na zatłoczony, ruchliwy chodnik przed kawiarnią, ale Clark siedział nieruchomo jak głaz.

Z wyjątkiem oczu; rozglądał się wokoło, szczególnie badawczo śledząc ulicę.

Był zaskoczony brakiem Amerykanów w mundurach – czegoś, co stanowiło nieodłączną część wspomnień o starym Sajgonie. Mniej więcej czterdzieści lat temu przemierzał te ulice w mundurze koloru zgniłej oliwki albo w *jungle camo*, kamuflażu stosowanym w dżungli. Nawet gdy przebywał tu z MACV-SOG (Military Assistance Command, Vietnam – Studies and Observations Group) z ramienia CIA, rzadko nosił ubrania cywilne. Należał do Navy SEAL, była wtedy wojna i dla Amerykanina najodpowiedniejszy był mundur, nawet dla tego, który w kraju działał jako specjalny agent operacyjny Agencji.

Brakowało też rowerów. Wtedy dziewięćdziesiąt procent pojazdów biorących udział w ruchu ulicznym stanowiły jednoślady. Dziś oczywiście też dało się je zobaczyć, ale nie były to już rowery, lecz przeważnie skutery i motocykle. Poza nimi przez ulice przejeżdżało mnóstwo małych aut. Tłumy pieszych poruszały się na chodnikach.

I nigdzie nie było widać mundurów.

Pociągnął łyk zielonej herbaty w świetle wotywniej świecy stojącej na stoliku. Nie lubił herbaty, ale nie podawano tu piwa ani wina. Jednak widział stąd dobrze Lion d'Or, dużą francuską restaurację kolonialną po drugiej stronie ulicy Huynh Thi Phung.

Oderwał wzrok od przechodniów. Przestał myśleć o czasach, gdy dwadzieścia pięć procent z nich nosiło mundury armii Stanów Zjednoczonych, i spojrzął w stronę Lion d'Or. Trudno było odciąć się od przeszłości, a jeszcze trudniej zapomnieć choć na chwilę o wojnie. Lecz musiał, bo tego wieczoru jego celem był mężczyzna siedzący samotnie przy stoliku w rogu restauracji – w odległości zaledwie dwudziestu pięciu jardów od miejsca, gdzie znajdował się Clark.

Obiekt obserwacji Clarka był łysem, otyłym, kilka lat młodszym od niego Amerykaninem. John domyślał się, że ten człowiek ma jakiś problem. Jego twarz wykrzywiały grymas wściekłości. Mężczyzna drżał jak ktoś, kto jest bliski ataku furii.

Clark rozumiał go, sam bliski był podobnego stanu.

Przez moment obserwował swój obiekt, po czym zerknął na zegarek i nacisnął guzik na małym bezprzewodowym komunikatorze na lewej ręce.

Mówił głośno, a jednak łagodnie, mimo że nikt nie siedział w pobliżu:

– Dokładnie godzina. Z kimkolwiek ma się spotkać, wyraźnie jest już zdenerwowany. Może nawet czeka daremnie.

Trzy piętra wyżej, dokładnie za Clarkiem – na dachu wielofunkcyjnego budynku w stylu kolonialnym – trzech mężczyzn w czarnych uniformach i z plecakami leżało na brzuchach i śledziło ulicę poniżej. Łączyli się z Clarkiem za pomocą bezprzewodowych słuchawek dousznych; w ten sposób otrzymali od niego wiadomość.

Domingo „Ding” Chavez, leżący pośrodku, skierował nikon na mężczyznę w restauracji i wyostrzył obraz. Potem wcisnął przycisk na komunikatorze i powiedział cicho:

– Obiekt sprawia wrażenie niespokojnego. Tak jakby chciał pięściami rozwalić ścianę.

Clark odparł z dołu:

– Jeżeli będę tu dłużej siedzieć w upale i siorbać tę obrzydliwą herbatę, to pewnie zrobię to samo.

Chavez odchrząknął niewyraźnie.

– No ale tu, na górze, wcale nie jest aż tak źle. Jeden z nas może śledzić gościa z dołu, a ty przyjdiesz na dach, co ty na to?

Odpowiedź nadeszła szybko:

– Nie. Utrzymajcie pozycje.

– Przyjąłem.

Sam Driscoll zaśmiał się cicho. Leżał tylko kilka stóp po lewej od Chaveza i śledził teren na północ od restauracji, obserwując, czy na ulicy nie dostrzeże jakichś oznak nadchodzących kłopotów. Rozmawiał z pozostałymi, ale nie transmitował żadnych wiadomości; teraz rzucił tylko:

– Ktoś strasznie zrzędzi.

Kilka jardów po prawej od Chaveza Jack Ryan junior patrzył przez wizjer aparatu fotograficznego, jak w kierunku południowym po chodniku przesuwają się tłum pieszych. Nagle zwrócił uwagę na wysiadającą z auta długonogą blondynkę. Obserwując ją, zapytał:

– Co z tym Clarkiem? Zwykle jest ostatni do narzekania, a dziś nie może przestać.

Na dachu nie było nikogo poza nimi, ale Chavez, który robił tego rodzaju rzeczy przez większość dorosłego życia, wiedział, że głos niesie się nawet przez metalowe kanały instalacji klimatyzacyjnej znajdującej się za jego plecami. Jeżeli nie będzie uważał, może zostać usłyszany w złym miejscu,

więc odparł tak, jakby przebywał teraz w bibliotece:

- Pan C. był kiedyś tutaj, więc teraz zapewne wracają do niego wspomnienia.
- Zgadza się – rzekł Ryan – i pewnie na nowo przeżywa wojnę.

Ding uśmiechnął się w ciemności.

– To tylko część wszystkiego. Na dole w kawiarni Clark rozmyśla o tym gównie, którego był świadkiem. Gównie, w którym brał udział. Myśli też pewnie o tym, jak krążył tu jako dwudziestopięcioletni młodzik z SEAL. Był przerażony i pewnie z całej duszy pragnął wrócić do domu, aby brać udział w zwykłych, rutynowych akcjach. Wojna czy nie wojna.

– Ale stary dobrze się jeszcze trzyma. Każdy z nas chciałby mieć takie szczęście – powiedział Ryan.

Driscoll, nie spuszczać oczu z mężczyzny przy stoliku, przesunął się, szukając wygodniejszej pozycji na wyasfaltowanym mansardowym dachu.

– Clark ma rację. Obserwując tego faceta, widzę, jak coś popija i coraz bardziej się denerwuje. Nie wygląda mi na to, żeby miało tam dojść do jakiegoś spotkania.

Podczas gdy Sam obserwował obiekt, Ryan kontynuował śledzenie blondynki, jak przeciskała się między innymi przechodniami, kierując się na północ wzdłuż ulicy Huynh Thi Phung. Nie spuszczał z niej oczu aż do drzwi frontowych restauracji Lion d’Or.

- Dobre nowiny. Myślę, że nasz wieczór robi się interesujący – rzucił.

Chavez podążył za wzrokiem Ryana.

- Naprawdę? A dlaczego?

Jack zauważył, że kobieta nagle skręciła do restauracji i podeszła do stolika, przy którym siedział obiekt ich zainteresowania.

- Spotkanie doszło do skutku. Ostra babka.

Chavez spojrzął na nią teraz przez lornetkę.

– Chyba lepiej obserwować ją niż tego tłuściocha chłepczącego gin. – Nacisnął guzik na komunikatorze i powiedział: – John, mamy...

Ale głos Clarka zagłuszył słowa Chaveza. John miał nadajnik dowódcy i mógł odrzucić każdą transmisję.

- Widzę ją. Źle, że nie mamy tu jakiegoś pieprzonego audio.

Mężczyźni na dachu zaśmiali się nerwowo. Cholera, ten Clark rzeczywiście był tego wieczora strasznie zrzędlivy.

Colin Hazelton sprawdził czas w telefonie komórkowym, gdy tylko kobieta usiadła. Była godzinę spóźniona i zamierzał wyraźnie powiedzieć jej, co o tym sądzi, nawet gdyby miał to zrobić niezbyt ostro.

Obciągnęła brzeg spódnicy, skrzyżowała nogi i zaraz potem wlepiła w niego badawczy wzrok. Miał wrażenie, że dostrzegła, co sprawdzał na telefonie, ale chwyciła tylko oszronioną szklanę z wodą i pociągnęła łyk.

Hazelton wsunął komórkę z powrotem do kieszeni i wypił połowę ginu z tonikiem. Musiał przyznać, że kobieta była atrakcyjna i prezentowała się bardzo dobrze. To było praktycznie wszystko, co wiedział o swoim dzisiejszym kontakcie. Posągowa, pewna siebie blondynka o wytwornych manierach. Mimo to Hazelton był zbyt wkurwiony, żeby ulec jej urokowi. Ogarniała go wściekłość i z pewnością nie miał nastroju, żeby pożerać ją wzrokiem.

Zmusiła go do tego cholernego czekania przez całą godzinę, a nawet dłużej – czy po to, aby jeszcze bardziej mógł jej pożądać?

Zanim któreś z nich zdążyło coś powiedzieć, pojawił się kelner. To było tego rodzaju miejsce – niepodobne do spelunek albo herbaciarni w tej części ulicy Huynh Thi Phung.

Kobieta bezbłędną francuszczyzną zamówiła kieliszek białego wina. Hazelton mógł przysiąc, że był to jej ojczysty język; jego przełożony też o tym wspomniał między komentarzami wypowiedzianymi jednym tchem na temat jej migdałowych oczu i gibkości ciała.

Hazelton zakładał, że kobieta jest byłym francuskim szpiegiem – albo z DGSE¹, albo z DCRI, chociaż mogła też być z DST, która w 2008 stała się DCRI. Praktycznie każdy, z kim Hazelton spotykał się w czasie pracy, był kiedyś agentem wywiadu, więc i teraz nie był zaskoczony.

Nie zdziwił go też fakt, że się nie przedstawiła. Spodziewał się jednak skruchy za spóźnienie, ale nic o tym nie wspomniała; zamiast tego zapytała od razu:

– Przyniósł pan dokumenty?

Hazelton nie odpowiedział wprost.

– Co pani wie o okolicznościach towarzyszących operacji?

– O okolicznościach?

– Klient. Czytała pani coś na temat klienta?

Miał wrażenie, że ogarnęło ją lekkie zakłopotanie.

– Dlaczego miałabym to robić? W moich wytycznych klient nie jest kimś istotnym.

– No to muszę panią uświadomić. Klientem jest...

Kobieta uniosła smukłą dłoń. Miała perfekcyjnie zrobione paznokcie, a jej skóra lśniła od kosmetyków.

– Jeżeli nie dostałam o nim żadnych informacji, zakładam, że nie powinnam nic o nim wiedzieć. – Spojrzała na Hazeltona. – Nie wygląda pan na nowicjusza w tej robocie, zatem z pewnością doskonale wie pan, o co chodzi.

Jej francuski akcent był chropowaty, ale angielski bez skazy.

Pociągnął następny łyk ginu.

– Czasem dobrze jest wiedzieć.

– Może to pańska filozofia, ale nie moja – odparła z naciskiem, jakby chciała zakończyć temat, ale po chwili dodała: – Więc... ma je pan czy nie?

Hazelton mówił wolno i cicho, podkreślając każde słowo, chociaż wychodziło mu to z trudem z powodu alkoholu wypitego przez cały dzień – tu czy w lobby jego hotelu przy barze. Północna... pieprzona... Korea.

Kiedy skończył, Francuzka nic nie odpowiedziała.

– Wiedziała pani czy nie?

Nadal żadnej reakcji.

– Pan podchodzi do tego chyba bardzo emocjonalnie – odparła w końcu. – Jestem tym zaskoczona. Wiem, że dostał pan nagłe zadanie, bo ktoś inny się rozchorował i musieli go zastąpić. Wezwali pana, ale Nowy Jork powinien raczej dobrze wiedzieć, że wysyła człowieka łatwo ulegającego emocjom.

Hazelton poczuł pod stołem, jak czubek jej szpilki krąży wokół jego nogi, tuż przy kostce. Kiedyś podniecały go takie ruchy, ale to już dawno minęło. Teraz był w pracy; wiedział, że ona tylko bada, czy ma ze sobą akta. W końcu usłyszał, jak bucik stuka w walizczkę stojącą obok niego.

– Przesuń ją do mnie, proszę – powiedziała.

Ale Amerykanin ani drgnął, tylko bębnił palcami w blat stolika. Zastanawiał się gorączkowo.

Spodziewał się ujrzeć na jej twarzy wyraz złości, ale była dziwnie spokojna. Po kilku sekundach powtórzyła tym samym tonem:

– Przesuń ją do mnie, proszę.

Nie wiedział, co zrobić. Oddać walizkę czy zniszczyć ją i wrzucić do rzeki jak pokarm dla ryb? Cały dzień zastanawiał się nad skutkiem którejś z tych akcji. Teraz jednak poczuł nagły spokój i usłyszał, jak wymawia te słowa:

– Wie, pani, co? Nie zaciągnąłem się do tej roboty, żeby być chłopcem na posyłki dla grupy morderczych psycholi. – Po chwili dodał: – Są inne zadania, które nie wymagają aż takich poświęceń.

– Nie rozumiem – odrzekła kobieta i mówiąc to, patrzyła jakby od niechcenia na ulicę. Sprawiała wrażenie znudzonej, ale Hazelton wiedział, że po prostu odwraca wzrok, chcąc sprawdzić otoczenie.

Machnął ze złością ręką.

– Do diabła z tym. Wysiadam.

Kobieta dla kontrastu nie okazała żadnych emocji.

– Wysiadam?

– Nie przekażę pani dokumentów.

Westchnęła.

– Chodzi o pieniądze? Jeśli tak, to musi pan pogadać z Nowym Jorkiem. Ja nie mam upoważnień do...

– Nie chodzi o pieniądze. Chodzi o dobro i zło. Pani kompletnie zatraciła rozeznanie, co jest dobre, a co złe, prawda?

– To, co robię, nie ma z tym nic wspólnego.

Hazelton spojrział na kobietę z odrazą. Podjął już decyzję.

– Jeżeli pani zechce, mogę powiedzieć, dlaczego nie przekażę pani tych dokumentów. – Kopnął w walizeczkę na tyle głośno, żeby usłyszała.

Skinęła głową. Przyjęła to spokojnie, co zdziwiło Hazeltona. Oczekiwał raczej krzyków i wrzasków.

– To wszystko komplikuje – stwierdziła tylko. – Nowy Jork może być zły.

– Pieprzę Nowy Jork.

– Sądzę, że nie spodziewa się pan, że dołączę do pańskiej krucjaty moralnej.

– Laleczko, gównu mnie obchodzi, co zrobisz.

– Zatem gównu cię obejdzie, gdy wyjdę stąd i wykonam pewien telefon.

Hazelton umilkł na moment; na jego twarzy wyraźnie odbijało się napięcie wywołane podróżą i pracą.

– Dzwon do niego.

– Przyśle kogoś, kto zabierze ci tę walizkę.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Niech tylko spróbuje. Jak już pani sama stwierdziła, nie jestem w tej robocie nowicjuszem. Mam kilka asów w rękawie.

– Dla swojego dobra, mam nadzieję.

Francuzka wstała i odeszła, mijając uśmiechniętego kelnera zbliżającego się do stolika z winem na srebrnej tacy.

Z dachu po drugiej stronie ulicy Jack Ryan junior obserwował to wszystko przez kamerę. Oczywiście nie słyszał rozmowy, chociaż prawidłowo odczytywał mowę ciała.

– Jeżeli ma to być randka w ciemno, to nie sądę, aby była udana.

Ding i Sam zaśmiali się cicho, ale pozostali na swoich miejscach. Obserwowali, jak wysoka kobieta wyjmuje telefon z torebki i dzwoni do kogoś, a potem rusza na północ.

Driscoll nacisnął przycisk nadawania na swoim komunikatorze.

– Clark? Zostajemy z Hazeltonem czy ktoś z nas ma iść za kobietą?

Clark odpowiedział szybko:

– Przyszła po to, co jest w walizeczce, zatem jej zawartość jest teraz główną częścią naszej misji. Niemniej... chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tej kobiecie. Niech jeden z was idzie za blondyną. Reszta ma nie spuszczać walizki z oczu.

Jack i Sam oderwali wzrok od przyrządów optycznych i spojrzeli na Chaveza leżącego między nimi na dachu. Ten rzucił tylko:

– Zostaję. Niech idzie któryś z was.

Teraz Jack zerknął na Sama, który powoli skierował wzrok na obiekt obserwacji.

– Idź – powiedział Driscoll, na co Jack uśmiechnął się szeroko; był to najweselszy uśmiech rozjaśniający mrok na tym dachu.

– Jestem ci coś winien, Sam.

Wstał i ruszył do wyjścia pożarowego, chowając kamerę do plecaka, po czym zniknął

w ciemnościach.

Tymczasem Sam i Ding obserwowali, jak Colin Hazelton kończy szklanę ginu z tonikiem, a następnie wzywa kelnera, żeby przyniósł kolejną.

– Co on tam jeszcze robi? Ma kolejną cholerną randkę? – rzucił Sam.

Na dole Clark myślał podobnie. Jego głos brzmiał poważnie; był zły i sfrustrowany.

– Wygląda na to, że będziemy musieli tu tkwić przez czwartą rundę ginu z tonikiem.

Zjawił się kelner z drinkiem i Hazelton, gdy stawiał szklanę na stoliku, nachylił się do niego i coś powiedział. Trójka obserwatorów z dachu wyraźnie dostrzegła, że zadał jakieś pytanie. Pewnie chodziło o toaletę, bo kelner wskazał w stronę zaplecza restauracji. Hazelton wstał; zostawił drinka, płaszcz i walizkę, po czym ruszył w tamtym kierunku.

Przez chwilę w trzech słuchawkach panowała cisza.

Potem Ding rzekł:

– John? Według ciebie wszystko jest w porządku?

Clark wiedział, co chce przez to powiedzieć jego zastępca, ale zamiast zdradzać swoje myśli, zapytał Driscolla:

– Sam? Co widzisz?

Driscoll skorygował ostrość i skierował obiektyw na pusty stolik, płaszcz Hazeltona przewieszony przez oparcie krzesła i walizkę na drugim krześle. Potem przeniósł wzrok na inne stoliki w restauracji, na siedzącą przy nich albo kręcącą się po sali dzianą klientelę. Po chwili wrócił do walizki.

– Jeżeli w tej walizce znajduje się coś ważnego, czego przekazania odmówił kontaktowi, to dlaczego teraz zostawił ją bez opieki przy stoliku?

– Nie zostawił – odpowiedział Clark.

– Zatem ta walizka to tylko przynęta.

– Zgadza się.

– To znaczy... – Driscoll zrozumiał to w następnej sekundzie. – ...że Hazelton nie wróci. Podejrzewa, że jest śledzony od frontu restauracji, więc spróbuje wydostać się tylnym wyjściem.

– Cóż, to stara jak świat metoda ucieczki z restauracji bez płacenia rachunku – potwierdził Ding.

– Bingo – wtrącił Clark. – Przejdę przez restaurację i wyjdę tyłem. Tam jest zaułek wiodący z północy na południe, ale jego hotel jest za nami. Wy dwaj zostańcie na miejscu i nie spuszczajcie z oczu tamtego skrzyżowania. Jeżeli Hazelton nie ma zdolności teleportacji, możemy go namierzyć.

Clark rzucił na stół zwitek banknotów, płacąc za herbatę, która wywołała w jego żołądku sensację, chwycił kurtkę i ruszył na ulicę, kierując się do restauracji Lion d'Or.

Już chciał zejść z chodnika na jezdnię, gdy ujrzał coś, co nagle go powstrzymało. Cofnął się kilka kroków i rozejrzał dookoła.

Cicho powiedział do komunikatora:

– Ryan, zatrzymaj się.

Jack Ryan junior szedł wzdłuż Dao Cam Moc, ale zatrzymał go rozkaz Clarka.

– Stoję – odparł i odwrócił się w stronę zamkniętego sklepu z elektroniką, udając, że ogląda

wystawę.

– Jaka jest twoja pozycja? – spytał Clark.

Jack spojrzął na plan okolicy w telefonie. Małe kolorowe punkciki oznaczały pozycje czterech mężczyzn z drużyny albo, bardziej precyzyjnie, pozycje lokalizatorów GPS, które każdy z nich nosił w plecaku. Zielony punkcik, dwie przecznice na południowy wschód, oznaczał Clarka, który ciągle był w części herbaciarni znajdującej się na wolnym powietrzu.

– Jestem dwie przecznice na północny zachód od twojej pozycji – rzekł Ryan. W odpowiedzi Clark wyjaśnił:

– Właśnie zobaczyłem czterech niezidentyfikowanych motocyklistów zbliżających się z dwóch przeciwnych krańców ulicy. Wygląda to trochę tak, jakby należeli do jednej drużyny.

Chwilę później Chavez, ciągle z dachu i z aparatem fotograficznym, włączył się do rozmowy:

– Czarne ducati?

– Zrozumiałem. Zbliżają się z przeciwnych stron. Noszą różne stroje, ale chyba jadą na identycznych motorach i mają na głowie takie same kaski. To raczej nie jest zbieg okoliczności – odpowiedział Clark.

Ding skupił się na czterech motorach. Musiał na to poświęcić kilka sekund, bo nagle się rozdzieliły.

– Właśnie, John.

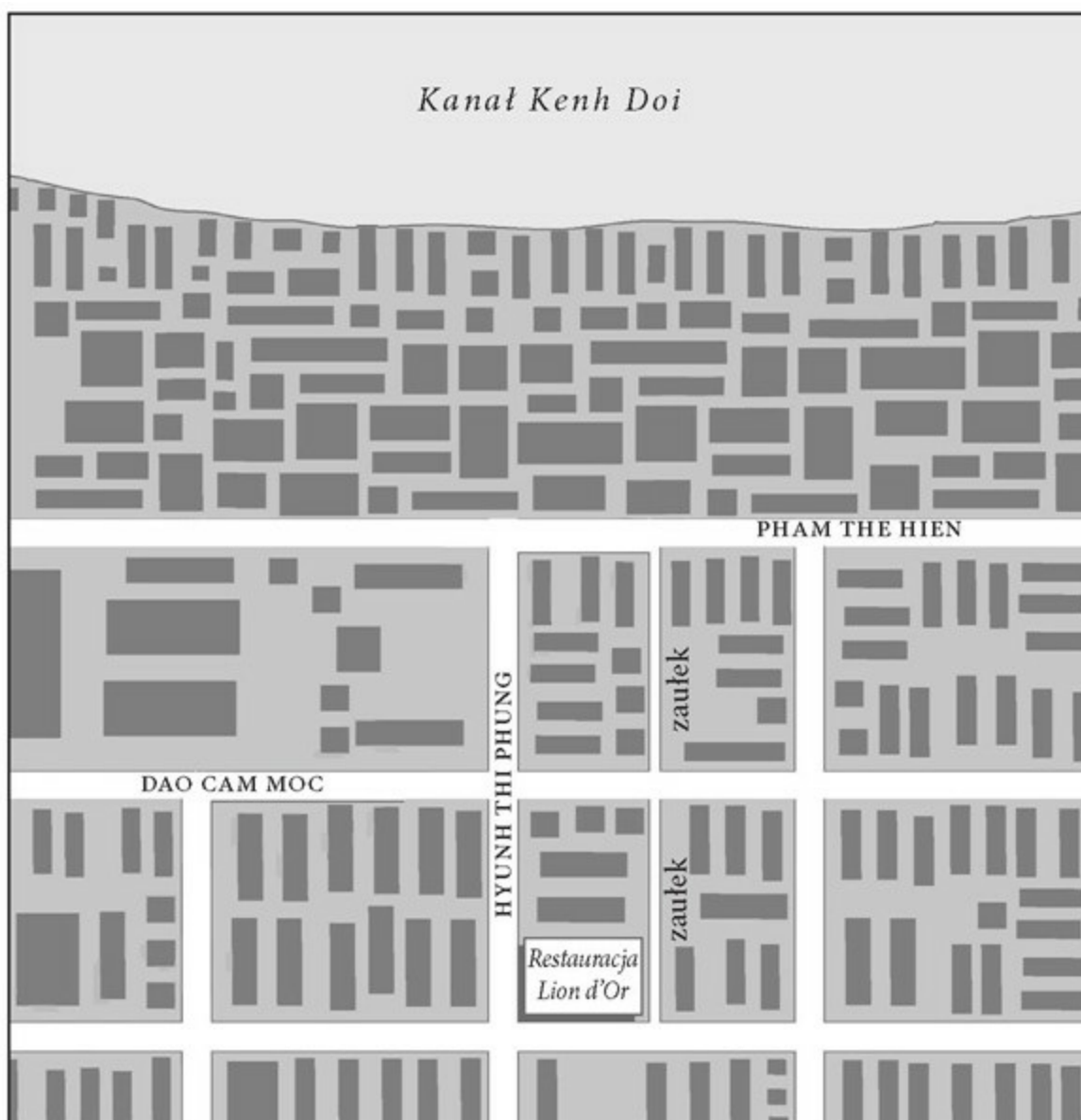
– Już to widziałem. Wiem, kiedy w okolicy coś źle wygląda. Jack, chcę, żebyś nadal zajmował swoją pozycję na północy. Jeżeli Hazelton skręci w zaułek i pójdzie nim przez całą dzielnicę, idź za nim, gdy go opuści i wyjdzie na Pham The Hien. Ale tylko jeśli za nim zdążysz. Uważaj na tych motocyklistów i nie pozwól, żeby się zorientowali, że go śledzisz.

Ryan nadal udawał, że przygląda się wystawie z kamerami. Po raz pierwszy od początku akcji czuł mocne bicie serca. Ten nudny wieczór nagle nabrał tempa i stał się ciekawy.

– Dobra. Będę poruszał się równoległe do motocyklistów i zdążę do wylotu zaułka, zanim wyjdzie stamtąd Hazelton – odrzekł.

– Świetnie. Sam i Ding, róbcie wszystko, co możecie, żeby dogonić Ryana – polecił Clark.

– Ruszamy – odparł Chavez. – W ciągu minuty zejdziemy z dachu i po trzech będziemy za tobą, Jack. Trzymaj się. Wyłączamy się aż do momentu, gdy do ciebie dojdziemy.



Ho Chi Minh – dzielnica nr 8

Colin Hazelton wszedł w zaułek biegnący za restauracją i z rękoma w kieszeniach skierował się na północ.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że właśnie podjął bardzo kosztowną decyzję.

Kosztowną, bo nie otrzyma wynagrodzenia za robotę wykonaną w ciągu czterech minionych dni, i kosztowną, bo straci pracę na skutek zaniechania. Nie cieszyło go również to, że porzucił wart trzysta dolarów sportowy płaszcz i czterystudolarową walizeczkę.

To złe wieści dla człowieka kończącego pracowite życie. Człowieka obciążonego długiem w wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów i posiadającego poza biegłością w sztuce szpiegowania jeszcze kilka innych umiejętności, które mógłby wysoko sprzedać.

Jednak po raz pierwszy w tym dniu Hazelton poczuł się spokojny. Mimo że pozostawił cenne przedmioty w restauracji i nie zapłacił pięćdziesięciodolarowego rachunku, choć to zaliczył jako

osobiste małe zwycięstwo.

Pozwolił sobie na nikły uśmiech.

Jednak nie trwało to długo. Pomyślał o wypadkach, które go tu przywiodły, do tego słabo oświetlonego zaułka, do tej decyzji. Otoczenie sprawiło, że ogarnął go ponury nastrój.

Minął rok, odkąd Wayne „Duke” Sharps, przewodniczący Sharps Global Intelligence Partners, udzielał Colinowi Hazeltonowi informacji na temat pracy w „korporacji wywiadu” w swoim biurze na Upper West Side na Manhattanie.

Sharps mówił wyraźnie byłemu śledczemu z CIA, że praca w Sharps Partners jest bezpieczna i apolityczna, ale wymaga też od Hazeltona, aby zdawał sobie sprawę, że już nie pracuje dla Stanów Zjednoczonych. Dotąd pracował na kontrakcie.

Hazelton jednak podkreślił, że nigdy nie będzie robił czegoś, co jest skierowane przeciwko Stanom, na co Sharps odparł:

– Nigdy nie działamy wbrew interesom Stanów. – Roześmiał się na samą myśl o tym. – Nie jesteście tu w Sharps Partners diabłami, po prostu nie jesteście aniołami.

Nieźle to brzmiało dla Colina Hazeltona; po karierze agenta CIA był pilotem Sił Powietrznych. Przelewał krew pod amerykańską flagą, tak, ale czasem podejmował też własne działania. A wśród nich dość kontrowersyjne, międzynarodowe inwestycje na nowo otwierających się rynkach, przeważnie w Afryce Północnej, po których splajtował w czasie niespodziewanych wydarzeń arabskiej wiosny.

Hazelton potrzebował pieniędzy, więc wziął tę robotę, a Sharps obiecywał pracę w apolitycznej korporacji wywiadowczej. W minionym roku Hazelton nie myślał, co robi, nie interesowali go klienci.

Aż do tego tygodnia.

W poniedziałek pracodawca wysłał go do Pragi na spotkanie z urzędnikiem rządowym. Miał odebrać od niego dokumenty podrózne dla pięciu osób. Nie było to jakieś szczególnie interesujące zadanie w porównaniu z tym, co robił jako agent operacyjny CIA, gdy zabezpieczał setki anonimowych agentów podróżujących po całym świecie. Nawet jeśli praca dla Sharpsa była dość monotonna, to Hazelton angażował się w działania dotyczące zdolnych zagranicznych fachowców, którzy z pewnych względów nie mogli uzyskać wiz, aby pracować na terenie USA. Traktował to jako robotę pożyteczną – sprzeciwiał się tylko amerykańskiej biurokracji, nie Ameryce.

Zwykle częścią jego pracy było też sprawdzenie dokumentów, ale nie tym razem. Gdy wręczano mu je w Pradze, stwierdził, że z jakiegoś powodu zamknięte były w laminowanej torbie, a instrukcje mówiły, że Hazelton ma spotkać się z kontaktem w mieście Ho Chi Minh, a potem wrócić do Nowego Jorku.

Założył, że pięć kompletów dokumentów dotyczy pięciu czeskich fachowców, którzy mieli wyjechać do innego kraju, lecz nie przez Stany, tylko przez Wietnam, co było jednak dziwne, biorąc pod uwagę Pragę. Hazelton domyślał się, że ci podróżnicy mogli zostać skierowani do pracy w Japonii albo w Singapurze, może nawet w Australii.

Dziwiło go jednak, że nie pozwolono mu obejrzeć dokumentów, ale nie protestował.

Aż do minionej nocy w czasie lotu z Pragi. Półtorej godziny przed lądowaniem krzepki Amerykanin wypił gin z tonikiem i zaczął zabezpieczać rzeczy w swoim podręcznym bagażu

i w walizeczce. Zamknięte w laminowanej torbie dokumenty były schowane pod podszewką walizki, ale gdy przesuwał parę butów, żeby zrobić miejsce dla kurtki, ze zgrozą zauważył rozdarcie w podszewce. Nie używał tej walizki od dawna i teraz okazało się, że tajna skrytka nie wytrzymała. Próbował ją naprawić, ale jedynie pogorszył sytuację. Był to paskudny błąd; Hazelton jako szpieg nie popełniał takich błędów, jednak teraz dużo pił, a zgodnie z prawem Murphy'ego w ten sposób działał tylko przeciwko sobie.

Siedząc w fotelu pierwszej klasy, pomyślał o kontroli granicznej w Wietnamie i zaczął się pocić. Dobrze wiedział, że mogą znaleźć skrytkę. Ale zaraz przyszło mu do głowy, że nie przypomina sobie ani jednej wizyty w Wietnamie, w czasie której rewidowaliby go osobiście. Może jeżeli usunie dokumenty ze skrytki i schowa je w pasie do pieniędzy, to wszystko będzie okej.

Ale żeby to zrobić, musiałyby wpiąć się z dużej kwadratowej laminowanej paczki.

Hazelton wyciągnął więc torbę z dokumentami, zabrał ją do toalety, usiadł na ustępie i rozerwał ją zębami. W środku znalazł pięć plastikowych paczek, a w każdej paszport, prawo jazdy, kilka kart kredytowych i złożony list. Mimo przekonania, że nie powinien tego robić, zaczął przeglądać te papiery.

Do drzwi toalety zaczęła pukać stewardesa, mówiąc, że musi wracać na miejsce, bo pilot spodziewa się turbulencji.

Hazelton zignorował ją jednak i skupił się na dokumentach podróży. Nie był zaskoczony, gdy znalazł wśród nich czarne paszporty dyplomatyczne. Były autentyczne, legalne, chociaż według niego w jakiś sposób się różniły. Obejrzał zdjęcia. Czterech białych mężczyzn i jedna biała kobieta.

Na podstawie ich wyglądu nie mógł stwierdzić, czy byli Czechami, ale nie to było ważne.

Ważny był cel ich podróży. Listy wydane przez rząd czeski dla każdej z tych pięciu osób zezwalały dyplomacie na korespondencyjne otrzymanie paszportu do Korei Północnej, do pracy w tamtejszym konsulacie.

Korea Północna?, pomyślał Hazelton. Przez ostatni rok pracował w korporacji wywiadowczej na rzecz Siemens, Microsoftu, Land Rovera i Maerska. A teraz miałby pracować na rzecz najbrutalniejszego i najbardziej represyjnego reżimu na świecie?

Siedząc w toalecie i kołysząc się wraz z turbulencjami od ściany do ściany, Hazelton doszedł do wniosku, że tych pięcioro to naukowcy, specjaliści od energii jądrowej, których zapewne chciano przemyścić do Korei Północnej. O co tu, u diabła, chodzi? Ujawniono już, że Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna dokonuje eksperymentów nuklearnych, jednak nie ma jeszcze na tyle rozbudowanego przemysłu, żeby rozmawiać z kimś poza właścicielami kopalń, którzy byli prawie całkowicie zdominowani w zakresie wydobywczym przez Chiny. Oczywiście nie mógł jednoznacznie stwierdzić, czy na pewno byli to naukowcy od energii jądrowej, ale był cholernie pewien, że nie należeli do chińskich specjalistów od górnictwa.

I wiedział też, że Sharps nie prowadził dotychczas operacji przeciwko Korei Północnej. Duke nie robiłby jednak interesów z despotycznym reżimem dla idei. Działał dla pieniędzy, a za sprowadzanie naukowców do Korei Północnej mógł otrzymać ogromne sumy, dlatego zapewne się w to zaangażował.

Hazelton zamknął oczy i odchylił się, opierając się o przegrodę samolotu. Ciągle siedział na ustępie.

– Sukinsyn – wyszeptał.

Fakt, że Duke Sharps wysyłał teraz ludzi do Korei Północnej, do tego królestwa eremitów, wkurzył Hazeltona; po chwili zaczął się jednak trząść na myśl o tym, że właściwie sam w tym uczestniczy.

Przeszedł kontrolę na lotnisku z dokumentami ukrytymi w pasie na brzuchu i godzinę później jechał do hotelu, cały w pozostałościach wysuszonego, słonego potu. Popołudnie spędził na popijaniu drinków w lobby, rozmyślaniu o pieniądzach, o pracy i sposobie na rozwiązanie swoich problemów finansowych. Mimo wszystko żywił nadzieję wbrew nadziei, że w alkoholu w końcu znajdzie jakieś rozwiązanie, gdy dokumenty zostaną przekazane tu, w Ho Chi Minh, a on nie będzie miał poczucia, że zrobił coś złego.

Teraz Hazelton już wiedział... Sześć szklaneczek ginu Tanqueray w barze lobby, a potem jeszcze trzy w restauracji. Więcej niż pół kwarty alkoholu, jednak to nie wystarczyło, aby zmyć smród tej roboty dla Korei Północnej.

Dziś wieczorem w restauracji odmówił wydania dokumentów atrakcyjnej francuskiej agentce, jego łączniczce, która mogłaby go zaprowadzić do tych pięciu „turystów”, którzy zapewne tkwią gdzieś tu w mieście. Teraz ta suka zapewne zwieje i poskarży się Duke’owi Sharpsowi. Tymczasem sześćdziesięcioletni Colin Hazelton, zataczając się w stanie paskudnego upojenia alkoholowego po ciemnym zaułku miasta Trzeciego Świata, zastanawia się, co też Sharps wykombinuje, żeby znaleźć i zdobyć te śmierdzące dokumenty, które Hazelton trzyma teraz w pasie do przechowywania pieniędzy.

Potyając się, badał wzrokiem otoczenie i sprawdzał, czy jest śledzony, ale tak naprawdę spodziewał się, że przez dzień, dwa nikt nie będzie go szukał. Zamierzał minąć zaułkiem kilka przecznic i dojść do Kenh Doi, jednego z kilku kanałów biegnących przez miasto; właśnie tam zamierzał wrzucić pas z tymi przekłętymi dokumentami, obciążony wpierw cegłą. Stamtąd chciał udać się od razu na lotnisko i wrócić do Stanów pierwszym porannym samolotem, gdzie będzie czekał na telefon, którym sam Duke zawiadomi go, że został wylany z pracy.

Wróci więc do latania, żeby mieć z czego żyć. W jego wieku i z brakiem przelatanych w ostatnim czasie godzin mógł jednak liczyć tylko na jakieś loty transportowe do Trzeciego Świata. Umrze, zanim zdąży spłacić dług, ale przynajmniej nie będzie przemytnikiem azjatyckiego Doktora Zła i jego zbrodniczych sługusów.

Ruszył dalej przed siebie. Na ulicach wciąż panował ruch – to była Dzielnica nr 8, pełna francuskiej kolonialnej architektury i aktywnego nocnego życia – jednak teraz szedł po ciemnym rejonie handlowym w pobliżu kanału. Jakiś pracownik restauracji wyrzucał kubeł ze śmieciami, przez zaułek jechała stara kobieta na skuterze.

Gdy skręcił w prawo, w stronę wody, dwóch mężczyzn na czarnych cichych motocyklach marki Ducati Diavel wjechało w zaułek, który właśnie opuścił. Nie słyszał ich i nie widział; nie miał pojęcia, że dwóch innych motocyklistów zajęło już pozycje na jego drodze i czekało, aż wpadnie w ich pułapkę.

Jack Ryan junior szedł w ciemnościach na wschód ulicą Pham The Hien, gdy nagle ujrzał przed sobą wyłaniającego się z zaułka po drugiej stronie drogi Colina Hazeltona. Spodziewał się, że mężczyzna skęci w lewo i wróci do hotelu, ale ku jego zaskoczeniu Amerykanin w białej koszuli i rozluźnionym krawacie ruszył przez jezdnię, właśnie w jego kierunku.

Cholera, pomyślał Jack. Zaczął iść, nie patrząc na Hazeltona i uważając, żeby nie zmieniać tempa i sposobu chodzenia. Przez moment zastanawiał się, czy nie jest spalony, ale wydawało mu się, że Hazelton nie zwraca na niego uwagi.

Ku zaskoczeniu Jacka mężczyzna zatrzymał się nagle na chodniku, czterdzieści jardów przed nim, a następnie wszedł w kolejny ciemny i wąski zaułek. Ta uliczka prowadziła prosto nad Kenh Doi, kanał biegnący ze wschodu na zachód, służący też jako północna granica Dzielnicy nr 8 i według tego, co Jack zobaczył na planie, pływały po nim barki mieszkalne, a na brzegu stały walące się budynki.

Zakłopotany faktem, że Hazelton nie wraca do hotelu, Jack postanowił przejść kilka przecznic, a następnie spróbować wejść w równoległy zaułek.

Przyspieszył kroku, spojrzął na plan w telefonie i połączył się z siecią.

– Tu Ryan. Jestem za obiektem. Porusza się na północ, dwie przecznice na południe od wody. Jeżeli ma ze sobą ponton, może próbować coś zrobić, potem w ciągu minuty dobiegnie do drogi. Spróbuję nie spuszczać go z oczu i przekonać się, co zamierza. Idę równoległe do jego...

Przerwał transmisję, gdy bezpośrednio przed nim wyskoczyły z zaułka dwa czarne motocykle ducati i pomknęły ulicą. Były zaledwie kilkaset stóp za Hazeltonem. Tu, w tym spokojniejszym rejonie leżącym blisko rzeki, nie mogli liczyć na to, że nie zostaną wykryci przez wyszkolonego weterana CIA.

Nie wyglądało na to, że ci na motocyklach po prostu urządzali sobie ćwiczenia w śledzeniu.

– Ryan? – odezwał się głos Dinga. – Straciłeś kontakt?

– Nie. Jestem na miejscu. Ale jest tu też para ducati, ci ludzie wyraźnie śledzą Hazeltona. Nie jestem pewien, gdzie są pozostali. Wygląda to zbyt agresywnie na zwykłe śledzenie. Myślę, że mogą chcieć go zaatakować.

W tym momencie odezwał się Driscoll:

– Czy włączyli do pościgu również samochody, tego jeszcze nie stwierdziliśmy. Zakładamy, że nie planują porwania. Ale możemy się chyba spodziewać czegoś gorszego.

– Jasna cholera, to może być uderzenie – potwierdził Jack ze zdumieniem. Stawka tej operacji zdawała się rosnać z każdą chwilą.

– Zaczekaj chwilę. – Ding włączył się do rozmowy. – Hazelton prawdopodobnie jest tu w ramach pracy wykonywanej dla korporacji wywiadu. Ostatnio działał dla Microsoftu. Nic nie wskazywało, żeby miał jakieś związki z naszym śmiertelnym wrogiem. Uderzenie może skończyć się piekłem.

Jack ujrzał dwa następne motocykle wjeżdżające na Pham The Hien od wschodu. Minęły go

i rozdzieliły się. Jeden skręcił w zaułek biegnący równoległe na wschód do ścieżki Hazeltona, drugi w uliczkę na zachód, czyli tę, którą zamierzał pójść Ryan.

Jack minął więc drogę, jaką obrał Hazelton. Dostrzegł przelotnie pierwszych motocyklistów skręcających między dwoma długimi dwukondygnacyjnymi domami towarowymi sięgającymi brzegu rzeki. Przyspieszył kroku, myśląc o zbliżającej się konfrontacji, bo Hazelton opuścił już zaułek przed kanałem. Będzie musiał jednak szybko zawrócić.

Gdy Ryan dotarł do rogu, zerknął między budynkami i rzekł:

– Zgadzam się, Ding, ale teraz czterech facetów ma go w kleszczach. Żadnych szans na ucieczkę. Coś się szykuje.

– Wezmę auto na wypadek, gdybyśmy musieli szybko ewakuować się z Hazeltonem. – Na linii pojawił się głos Johna Clarka. – Z powodu dużego ruchu zabierze mi to jakiś czas. Ding i Sam, macie dotrzeć jak najszybciej do Ryana. Jack, ty nie interweniuj, bez względu na sytuację. Jesteś nieuzbrojony.

– Zrozumiałem – Ryan odpowiedział natychmiast, wychylając się zza rogu i obserwując rozgrywające się zdarzenia.

Hazelton doszedł do gęstej czarnej wody Kenh Doi i teraz miał ją przed sobą w odległości pięćdziesięciu jardów. Na dalekim brzegu widział jedynie migotliwe światła Dzielnicy nr 5, ale wznosiło się tam też parę domów towarowych, o tej porze już nieczynnych. Na tej części kanału, chociaż leżącej blisko centrum miasta, nie dało się dostrzec nocą pływających łodzi.

Zamierzał podrzeć dokumenty najdrobniej, jak tylko będzie mógł, i wrzucić je do Kenh Doi. Potem popłyną w dół kanału i w ten sposób staną się zupełnie bezużyteczne dla Korei Północnej.

Jednak gdy usłyszał za sobą silniki motocykli, stwierdził, że jego plan może się nie powieść. Śledzący wcale się nie kryli i wiedział, że zjawili się tu dla niego. I że nie byli sami. Nie widział innych, ale wyraźnie czuł, że kolejni wrogowie wolno się zbliżają, że ci za nim czekają na kogoś jeszcze, na kogoś, kto ma zająć tu pozycje.

Colin Hazelton był odurzony alkoholem, ale ciągle przytomny i czujny. Poza tym robił tego rodzaju rzeczy od dawna.

Jego podejrzenia potwierdziły się. Ujrzał przed sobą dwa pojedyncze światła reflektorów – jedno zbliżające się od wschodu wzdłuż doków, ścieżką na brzegu rzeki, drugie od zachodu. Światła skręciły w jego kierunku i zbliżały się ze stałą szybkością.

Mieli go, jednak czuł, że wie, kim są. Teraz nie byli to już ludzie Duke'a Sharpsa. Ta francuska suka miała w mieście wspólników. Nie musieli szukać go przez kilka dni, wystarczyło im zaledwie kilka minut.

Dwa motocykle przed nim zbliżyły się, po chwili ich silniki zgasły. Mężczyźni nie zdjęli kasków i nie unieśli lustrzanych osłon. Para motocykli za nim zatrzymała się w odległości dwudziestu jardów, pojazdy cicho pomrukiwały, dając wyraźny znak Hazeltonowi, że nigdzie nie ucieknie.

Wiedział, że będzie musiał negocjować.

Hazelton spojrzał na najbliższego motocyklistę, biorąc go za przywódcę. Roześmiał się słabo.

– Założę się, że nie wytrzymasz w tej pozycji do jutra. Do diabła, nie doceniałem was, chłopcy. Motocykliści milczeli.

– Dobra robota – kontynuował Hazelton. – Nowy Jork wysłał was już wcześniej, jak sądzę? Spodziewali się, że mogą się zawahać. Jestem pod wrażeniem. – Znowu zaśmiał się i powtórzył: – Dobra robota.

Najbliższy motocyklista zsiadł z pojazdu i zbliżył się z wyciągniętą ręką. Przez lustrzaną osłonę kasku wyglądał tak, jakby był robotem.

Hazelton wzruszył ramionami.

– Chcesz je zdobyć za wszelką cenę, tak? Tym razem klientem jest Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna. Nie mam pojęcia, czy wiesz, że Duke jedzie na tym samym wózku z najgorszymi ludźmi na świecie.

Motocyklista sięgnął ręką do kasku i uniósł osłonę.

Hazelton był tym trochę zaskoczony. Mężczyzna początkowo zasłonił twarz, ale Amerykanin pomyślał, że chce to robić po to, żeby go nie rozpoznał. Poza tym wiedział, że Sharps zatrudnia wielu byłych pracowników Agencji.

Pochylił się nieco do przodu i przyjrzał się motocykliście w świetle, ale w chwili gdy ujrzał jego twarz, cofnął się.

Nie znał go. To była twarz Azjaty.

Surowa, nieruchoma, bez wyrazu. Mężczyzna z Korei Północnej.

– Och... – rzekł. – Rozumiem. – Potem znowu zaśmiał się sztucznie. – Zdażyłeś już na kogoś napaść w tych dniach?

– Daj dokumenty – rzekł Koreańczyk.

Hazelton zaczął się klepać po całym ciele.

– Chcesz się przekonać? – Wzruszył ramionami. – Zostawiłem je w...

– Walizka była pusta! – W prawej ręce Koreańczyka pojawił się pistolet.

Hazelton słabo znał się na broni, ale ta z pewnością była prawdziwa. Motocykliści za nim zaczęli grzać motory, a drugi facet przed nim uniósł się na siedzeniu.

Jack Ryan junior po obejrzeniu tej konfrontacji cofnął się za róg domu towarowego. Uklęknął na jedno kolano i wcisnął guzik nadawania:

– Tu Ryan, na stanowisku obserwacyjnym. Obiekt został otoczony przez czterech śledzących, którzy teraz trzymają go na muszkach.

Odpowiedział Ding; z oddechu wyraźnie można było wywnioskować, że biegnie.

– Za chwilę zacznie się firmowy koncert. Zostań w ukryciu. Jesteśmy na Tran Xuan Soan, jakieś dziewięćdziesiąt sekund od ciebie.

– Jeżeli to jest atak – odparł Jack – to Hazelton nie ma do dyspozycji dziewięćdziesięciu sekund.

– Ale jeżeli to atak, to bez broni nic nie zrobisz – usłyszeli w sieci głos Clarka. – Jestem w drodze autem. Trzy do pięciu minut od ciebie.

Jack mógł usłyszeć ponad głosem Clarka, że jego auto trąbi w ruchu ulicznym.

Nagle skręcił w zaułek, wiedząc, że Clark miał rację co do jego szans w walce.

Ale Jack miał pomysł.

– Nie będę się angażował, John. Tylko odwrócę ich uwagę.

– Działasz tam według własnego uznania. Bądź jednak maksymalnie dyskretny – odpowiedział

szybko Clark.

Ryan nie potwierdził instrukcji; patrzył na plan w telefonie, opracowując pospiesznie akcję. Wyjął z plecaka aparat fotograficzny i wciągnął głęboko powietrze.

Koreańczyk skierował lufę pistoletu w pierś Amerykanina. Milczał.

Hazelton powoli uniósł ręce, tłumiąc w sobie uczucie paniki.

– To zupełnie niepotrzebne. Ja panu nie zagrażam. Załatwmy to przynajmniej w sposób cywilizowany.

Amerykanin rozejrzał się. Mimo przenikającego go strachu uzmysłowił sobie, że znalazł się w okropnej sytuacji. Gdyby nie był aż tak zamroczony alkoholem, może zdawałby sobie sprawę, że nigdy nie uda mu się przejść tą ciemną ulicą, bo ktoś na pewno może go obserwować.

Oczywiście wiedział, że jest śledzony przez koreańskich agentów; żadna ilość alkoholu nie mogła wymazać w nim tego, co nabył w wyniku wieloletniego doświadczenia.

Koreańczyk zwolnił kurek pistoletu. Hazelton wpatrywał się w czarny otwór wylotu lufy, niezupełnie wierząc w to, co się dzieje. Jeszcze nigdy nie znalazł się przed bronią palną, nigdy w swej karierze nie stał oko w oko z prawdziwym niebezpieczeństwem grożącym jego życiu, poza jednym ulicznym incydentem, gdy w Danii został zaatakowany przez chuliganów, ale tamtą sytuację ledwo można było porównać z obecną. Teraz jego umysłem zawładnął strach; wiedział, że przegrał.

– Pas do pieniędzy – rzekł ochryple. – Wokół moich bioder.

W tym momencie otworzyły się drzwi budynku mieszkalnego, w odległości dwudziestu pięciu stóp po lewej od ramienia Colina Hazeltona. Wyszyły stamtąd dwie kobiety niosące duże torby. Natychmiast zwróciły uwagę mężczyzn na środku ulicy.

Koreańczyk skierował pistolet na kobiety; te wrzasnęły i skoczyły z powrotem do drzwi, znikając w budynku. W tym czasie dobiegły do niego krzyki ostrzegawcze jego ludzi. Odwrócił się i zobaczył, że postawny Amerykanin, korzystając z zamieszania, mija go i biegnie ku rzece.

Zapauzował motor i przygotował się do ruszenia za nim, podczas gdy drugi motocyklista, robiąc to samo, podkręcał obroty.

– Hej! Hej, wy tam! – krzyknął ktoś po angielsku w połowie między przecznicami, za rogiem domu towarowego obłożonego blachą falistą. Czterech motocyklistów odwróciło się i ujrzało młodego, białego mężczyznę o ciemnych włosach i czarnej brodzie. Trzymał w dłoni skierowany na nich aparat fotograficzny.

– Poproszę o uśmiech! – Aparat błysnął dwanaście razy w ciemnym zaułku, oślepiając mężczyzn.

Dwóch motocyklistów najbliższych fotografowi docisnęło gaz i paląc opony, zawróciło na jezdni, kierując się w jego stronę. Tymczasem lider ze swoim towarzyszem wrócił do pościgu za Hazeltonem i jego pasem do pieniędzy.

Przywódca Koreańczyków przyspieszył, schował pistolet. Sięgnął do pasa i wyjął z pochwy długi sztylet.

Colin Hazelton w czasie trzydziestu lat swej pracy doświadczał tylko lekkich szturchnięć, jednak teraz adrenalina dostarczyła mu dość energii, by mając za plecami dwóch motocyklistów, w ciągu dwudziestu sekund dobiec do brzegu rzeki. Miał zamiar dotrzeć do doków i tam skoczyć do kanału, ale nie wiedział nic o prądzie wody i był przekonany, że młodszy od niego Koreańczyk albo go szybko wyłowią, albo utopia i zabiorą pas. Pobiegł więc ścieżką do przecznicy, a potem skręcił w następną ciemną, wąską uliczkę.

Motocykle były już za nim, słyszał silniki, jednak nie na pełnych obrotach.

– Pomocy! – krzyknął w stronę otaczających go budynków mieszkalnych. Wpatrywał się z nadzieją w balkony i okna, rozpaczliwie szukając kogoś, kto mógłby go ocalić. Myślał o pistolecie i zastanawiał się, kiedy poczuje w plecach albo w karku kulkę. Wiedział, że powinien znaleźć się w miejscu publicznym, ale znał tę okolicę. Musi przebiec jeszcze kilka przecznic, zanim będzie mógł w ogóle szukać bezpiecznej kryjówki.

Domingo Chavez i Sam Driscoll biegli ciemnymi ulicami Dzielnicy nr 8, śledząc na planach miasta szary punkt GPS oznaczający Jacka Ryana. Ding zerknął na elektroniczną mapę po raz pierwszy od trzydziestu sekund, upewniając się, że dobrze robią, skręcając z dwupasmowej ulicy, gdy usłyszał w słuchawkach głos Jacka:

– Ding, macie mnie na GPS-ie?

– Tak. Uważaj, jak biegniesz – odpowiedział Chavez, nie spuszczać wzroku z punktu na planie.

– Uważam jak diabli! Mam na szóstej dwóch uzbrojonych na motorach.

Tak, Chavez słyszał w labiryncie budynków mieszkalnych po lewej pomrukiwanie silników.

– Jesteśmy już blisko ciebie.

– Chcę, żeby jeden z was dogonił Hazeltona. Biegnie do rzeki. Nie ruszył na zachód i teraz próbuje uciec na wschód.

Ding, biegnąc, połączył się z Samem:

– Biegnij do Ryana! Ja zajmę się Hazeltonem!

Colin Hazelton nie miał żadnych szans. Przywódca Koreańczyków na motorze znalazł się tuż za nim; wyjął długi, płaski sztylet i zadał cios z tyłu, pod lewą łopatką, a potem drugi, pod prawą. Z płuc Hazeltona natychmiast uszło powietrze i uszkodzone organy zaczęły pompować krew. Przebiegł jeszcze kilka kroków, nie reagując na to, co – jak myślał – było tylko zwykłym szturchnięciem w plecy, jednak zaraz, ciężko dysząc, padł na środku ciemnej ulicy. Motocykliści zwolnili, zatrzymali się, po czym opuścili podpórki maszyn i zsiadli. Robili to szybko, ale nadal z wielką wprawą i swobodą. Po chwili otoczyli rannego, który teraz próbował się czołgać, i ukłękli przy nim.

Przywódca zaczął przetrząsać kieszenie Hazeltona, a następnie zbadał koszulę, aby na koniec trafić ręką na ukryty pod nią pas do pieniędzy. Wysunął go spod masywnego ciała i użył noża, by

uwolnić przepocony, a teraz zakrwawiony biały pas typu *velcro*, i szybko sprawdził, czy zawiera dokumenty. Jeden z paszportów był zabrudzony krwią, ale niczego nie brakowało.

Hazelton leżał na boku. Wyciągając prawą rękę, słabym ruchem spróbował sięgnąć po dokumenty. Z ust wydobywało się rżenie, a oba otwory w plecach, gdy próbował krzyknąć, wydawały podobne świszczące tony.

Koreańczyk kopnął rękę Amerykanina, wstał i wrócił do motocykla. Jego towarzysz dołączył do niego, opuścił pistolet i rozejrzał się po ulicy, upewniając się, że jest bezpiecznie.

Zapuscili silniki, zawrócili i ruszyli zapolować na fotografa.

Ryan był oddalony od nich o pięć przecznic, ciągle znajdował się w pobliżu Kenh Doi, w labiryncie ciemnych zaułków i parkingów między budynkami mieszkalnymi. Zastanawiał się, co dzieje się z Hazeltonem. Zrobił dla niego wszystko, co mógł, ale bał się, że to nie wystarczyło. Widział, jak dwie kobiety wychodziły z budynku mieszkalnego, co rozproszyło uwagę motocyklistów. Ku jego zaskoczeniu Hazelton zaczął biec w kierunku wody. Jack stwierdził, że to przerażający pomysł, chyba że Amerykanin doszedł do wniosku, że nie ma żadnych szans w konfrontacji z uzbrojonymi Koreańczykami.

Albo był tak pijany i wystraszony, że stracił rozsądek, uważając, że jest mądrzejszy, silniejszy i szybszy, niż był w rzeczywistości.

Ryan mógłby się założyć, że mężczyzna zdąży dobiec. Aby zwiększyć szansę byłego agenta CIA w walce z napastnikami, skoczył w zaułek, usiłując ściągnąć na siebie uwagę motocyklistów błyskiem flesza, a następnie odwrócił się i zaczął uciekać z nadzieją, że odciągnie kilku z nich od starszego i wolniejszego Hazeltona.

Ta część planu Jacka działała. Przeskakując dwa aluminiowe kubły na śmieci na chodniku, był pewien, że ma za sobą, nie dalej niż na pięćdziesiąt stóp, światła dwóch ducati. Trzy sekundy później motocykle przebiły się przez kubły, wyrzucając je w powietrze. Jack skoczył nad drewnianą paletą leżącą przy krawężniku, chwycił ją i cisnął pod koła jeźdźców, ale rozpadła się, nie spowalniając ich ani trochę. Okrążył więc drzewa i zmienił kierunek.

Ducati znowu przyspieszyły i pomknęły za nim.

Ryan starał się rozpraszać ich uwagę, opóźniał pościg i uniemożliwiał strzelaninę, próbując ciągle zmieniać tempo i klucząc to w prawo, to w lewo; przeskakując śmieci albo parkujące skutery i skrzynki na chodniku; lawirując wokół słupów elektrycznych i nagle skręcając w nieprzewidzianych kierunkach.

Mimo to motocykle ciągle były blisko i dokąd przebywał na ulicy, nie mógł się ich pozbyć.

Nagle w jego słuchawkach rozległ się krzyk Sama Driscolla, żeby Jack zatrzymał się na minutę, aby mógł namierzyć go GPS-em na planie i zlokalizować w wąskich zaułkach. Jednak Ryan nie znajdował się w sytuacji, która by to umożliwiała – musiał biec dalej, kryć się pod nisko zwisającymi nad wąskim chodnikiem drutami przy budynku biurowym. Skręcił ostro w lewo, aby znaleźć się u szczytu betonowych stopni prowadzących w dół do parkingu przy kompleksie apartamentowców. Motocykle również ruszyły po stopniach, ciągle zbliżając się do ofiary.

Trzask wystrzału i deszcz iskier na betonie ujawnił Ryanowi, że ścigający jasno dają mu do zrozumienia, że gotowi są zrobić wszystko każdemu, kto odważy się ich kontrolować. Oczywiście

Ryan nie miał pojęcia, dlaczego ci ludzie próbują go zabić. On i jego koledzy w czasie śledzenia Colina Hazeltona wdepnęli w coś poważnego, ale Jack nie miał teraz czasu, by o tym myśleć. Musiał uciec z linii ognia.

Na balkonie pierwszego piętra znajdował się wyraźnie widoczny z betonowych stopni talerz telewizji satelitarnej. Teraz był prawie na jego poziomie. Jeśli się rozpędzi, będzie mógł skoczyć i chwycić wspornik leżący w odległości niemal piętnastu stóp. Spróbował więc, wykorzystując siłę rozpędu, wyrzucił nogi w powietrze i pokonał dzielący go od talerza dystans. Złapał metalowy wspornik o średnicy czterech stóp, zatoczył łuk nogami, wykorzystując rozmach w czasie skoku jak olimpijczyk ćwiczący na poziomym drążku.

Obaj motocykliści zjechali po schodach. Po dotarciu do parkingu zawrócili z głośnym piskiem opon i stanęli frontem do niego.

Podczas chwytania wspornika nogi Jacka znalazły się w pozycji horyzontalnej do parkingu, jednak nie mógł się na tyle podciągnąć, aby wdrapać się na balkon. Zamiast tego rozkołysał się i spróbował złapać metalową balustradę balkonu. Jednak ciężar Ryana sprawił, że balustrada oderwała się i zawisała tylko na grubym kablu instalacji elektrycznej.

Jack spadł z wysokości dziesięciu stóp na schody. Wraz z nim tę drogę odbył też częściowo talerz telewizji satelitarnej, który ostatecznie zawisł na kablu. Z początku Jack wylądował dobrze, potem jednak przewrócił się na brzuch i zsunął po stopniach, kończąc oszołomiony na plecach na parkingu, zaledwie dwadzieścia stóp od motocyklistów.

Uniósł wzrok i spojrzał na uzbrojonych mężczyzn. Ci zerknęli na siebie, jakby zaskoczeni otrzymaną w szczęśliwym darze niespodzianką, a następnie jeden z nich wyciągnął pistolet.

Zanim zdążył wystrzelić, po jego lewej stronie pojawił się brodaty mężczyzna w czarnym kombinezonie i rzucił się na niego jak stosujący blokadę zawodnik w futbolu amerykańskim, i zepchnął go z siodła, równocześnie wytrącając broń z ręki.

Drugi napastnik w kasku wyciągnął dłoń z pistoletem, lecz brodaty mężczyzna – najwyraźniej pochodzący z zachodu – zamachnął się plecakiem, zadając nim cios w jego rękę. Ciszę nocną rozdarł huk strzału i cały parking eksplodował światłem, a motocyklista padł plecami na drogę. Szybko przetoczył się na kolana, lecz zanim zdążył się podnieść, brodaty mężczyzna kopnął go w osłonę kasku. Kuloodporny materiał zamortyzował uderzenie, ale siła ciosu odrzuciła głowę napastnika do tyłu. Ponownie upadł na plecy i uderzając głową w betonową nawierzchnię parkingu, stracił przytomność.

Sam Driscoll był zadowolony, że tego wieczoru założył masywne, sznurowane buty wojskowe. Gdyby tego nie zrobił, teraz miałby stopę rozbitą na kasku leżącego przed nim mężczyzny. Od kopnięcia ciągle jeszcze bolały go palce. Przez minione pięć minut szybko biegł, tylko na chwilę przystając, żeby sprawdzić lokalizator GPS Ryana na ekranie telefonu komórkowego. Teraz, gdy obaj groźni Koreańczycy leżeli obezwładnieni i Ryan był bezpieczny, Sam chwycił leżący plecak i zaczął się rozglądać za czymś, czym mógłby związać i unieszkodliwić obu napastników.

– Dzięki – rzucił Ryan, ciągle przyglądając się leżącym.

Jednak Sam wcale nie był zadowolony ze swojego dzieła.

– Ten dupek przestrzelił mi plecak – powiedział, ciężko dysząc. – Miałem w nim firmowy aparat

fotograficzny i lornetkę, ale tablet był moją własnością. Kula dosłownie przeorała ekran. – Spojrzał na Ryana. – Zechcesz mi go odkupić?

Jack klęczał, ciągle pod wrażeniem akcji Sama.

– Pewnie. – Roześmiał się. – Pewnie, chłopie. Winien ci jestem iPada. Jeśli chcesz, skoczę do...

W tym momencie w sieci odezwał się głos Dinga Chaveza:

– Clark? Hazelton jest w stanie krytycznym. Potrzebny transport! Natychmiast!

Jack i Sam usunęli z jezdni pistolety, zostawili nieprzytomnych tam, gdzie upadli, i wskoczyli na motocykle. Ruszyli na pomoc Chavezowi. W oddali zabrzmiały syreny.

Chwilę wcześniej Ding Chavez obiegł narożnik budynku i znalazł masywnego mężczyznę czołgającego się na środku ciemnej i pustej dwupasmowej ulicy. Rozpoznał po białej koszuli i łysej głowie Colina Hazeltona i podbiegł do niego.

– Hazelton! Chodź! Możesz się ruszać?

Ding próbował go podnieść, ale mężczyzna nie mógł wstać.

Wtedy usłyszał syczący dźwięk wydobywający się z jego pleców, gdy z płuc wydostawało się powietrze. Koszula na plecach byłego agenta CIA była przesiąknięta krwią. Po chwili Ding dostrzegł rany i palcami wyczuł przez rozdarcie wielkość otworów. Rozerwał materiał, odsłaniając nagie plecy z dwoma nacięciami pod łopatkami.

– Cholera – zaklął. Wiedział wszystko o głębokich urazach tułowia. W przypadku Hazeltona uciskanie otworów było bezcelowe, bowiem obfite krwawienie wydobywało się z przebitych płuc głęboko pod powierzchnią ran; były zalane krwią pod żebrami i w najlepszym razie pracowały z dziesięcioprocentową wydajnością. Musiał zatkać otwory i spróbować zwiększyć wydajność płuc.

Ciągle klęcząc na środku ciemnej ulicy, sięgnął do plecaka i odszukał niewielką, czarną torbę. Nie było tego dużo, zaledwie osobisty zestaw pierwszej pomocy, jaki każdy członek drużyny nosił cały czas ze sobą. Ding wyjął opatrunek okluzyjny i zębami rozerwał opakowanie. Wytarł krew z ran, potem nałożył opatrunek na oba otwory. Przycisnął go silnie do skóry Hazeltona, wiedząc, że to nie wystarczy, aby je zamknąć, ale teraz nic więcej nie mógł zrobić.

Przewrócił mężczyznę na plecy. Dostrzegł, że jego oczy są otwarte, ale nieruchome. Pospieszenie przystąpił do akcji ratunkowej, stosując powszechnie znaną metodę usta-usta, próbując na tyle pobudzić funkcję płuc, aby dostarczyły mężczyźnie wystarczającej ilości tlenu do krwi.

Przerwał na tyle, by krzyknąć do nadajnika komunikatora:

– Clark? Hazelton leży w stanie krytycznym! Potrzebuję transportu. Zaraz!

– Jestem w drodze do ciebie – odparł Clark i natychmiast spytał: – Pozbyłeś się przeciwników?

Ding już chciał odpowiedzieć twierdząco, lecz gdy się rozejrzał, zobaczył na ulicy światło reflektora. Nie ruszało się, ale usłyszał silnik, który z pewnością należał do motocykla.

– Nie – odparł. – Wrócił co najmniej jeden. Prawdopodobnie próbuje odkryć, dlaczego tak szybko zjawiała się pomoc.

Ding mógł uciec, ale nie chciał zostawiać Colina Hazeltona na środku ulicy. Ten człowiek wymagał natychmiastowej pomocy. Bez podtrzymywania pracy serca nie przeżyje ani minuty.

W sieci pojawił się Jack Ryan junior.

– Jack i Sam przybywają na motorach z bronią. Kryj się i zostań na miejscu, Ding.

Ale Chavez, zostając na miejscu i kontynuując akcję ratunkową utrzymującą akcję serca Hazeltona, nie miał się gdzie ukryć.

Motocykl ruszył ulicą w jego kierunku.

Po pięciu oddechach Ding zaczął nasłuchiwać przy ustach Hazeltona dźwięku potwierdzającego, że mężczyzna nadal oddycha o własnych siłach.

– W moją stronę jedzie motocyklista. Nie wiem, kim jest, ale jeśli teraz ucieknę, tym samym skazę Hazeltona na śmierć.

– Będę tam za dwadzieścia sekund – odezwał się Clark.

Ding obserwował zbliżające się światło reflektora. Minęło uliczną latarnię przy skrzyżowaniu leżącym trzy przecznice dalej. W świetle tej latarni ujrzał czarnego ducati oraz motocyklistę, który trzymał coś w wyciągniętej ręce i mierzył w Chaveza i Hazeltona na środku ulicy.

– Wolałbym dziesięć sekund – powiedział Ding z rezygnacją w głosie do mikrofonu.

Chavez nie był uzbrojony. Jego zadaniem było ustalenie, co były agent średniego stopnia CIA robił w Wietnamie. Poruszanie się w tym kraju z bronią nie wydawało się sensowne, zważywszy na tutejsze zagrożenia.

Teraz jednak okazało się to błędem.

Motocykl zbliżał się szybko do skrzyżowania. Kierowca ciągle trzymał przed sobą pistolet wymierzony w Dinga.

Błysk wystrzału i broń podskoczyła. Chavez przypadł do nawierzchni przy Hazeltonie. Czuł, że pocisk przeleciał za wysoko.

Następny strzał wywołał deszcz iskier na lewo od Dinga. Mężczyzna zaczął znowu uciskać klatkę piersiową nieprzytomnego, czując narastającą pewność, że atakujący jest na tyle blisko, że następna kula może sięgnąć celu.

Ding zauważył, jak pistolet znowu się unosi, ale nie widział możliwości ucieczki. Teraz z pewnością zostanie postrzelony.

Nagle od wschodu na skrzyżowanie wpadł czterodrzwiowy sedan, reflektory rzucały snopy światła, silnik pracował na pełnych obrotach. Mężczyzna na motocyklu wyczuł ruch po lewej i odwrócił się pół sekundy przed uderzeniem; ręka z pistoletem zatoczyła łuk do tyłu, próbował jeszcze obrócić motocykl, ale zanim zdążył zrobić unik, znalazł się pod kołami sedana. W powietrze trysnęła fontanna iskier i wzbily się kłęby dymu, wskazując miejsce uderzenia.

Motocyklista został zmiażdżony. Jego kask potoczył się po ulicy. Ding nie był do końca pewien, czy nie znajdowała się w nim głowa. Jednak uderzenie z pewnością było wystarczająco silne.

Chavez skrzywił się, ale zaraz wrócił do reanimacji Hazeltona metodą usta-usta.

Sedan zatrzymał się w chwili, gdy za Dingiem pojawili się na dwóch ducati Ryan i Driscoll. Zeskoczyli z maszyn, żeby pomóc koledze z oddziału, chwycili Hazeltona za ramiona i nogi, po czym zanieśli do auta.

John Clark czekał za kierownicą. Poduszka powietrzna eksplodowała, a przednia szyba pękła na całej szerokości, lecz pojazd był nadal sprawny.

Sam usiadł z przodu, natomiast Jack i Ding ulokowali Hazeltona na tylnym siedzeniu, zajmując przy nim miejsca. Clark ruszył, zanim zdążyli zamknąć drzwi; dźwięk syren narastał, a błyskające światła zaczynały się już odbijać na mokrych nawierzchniach ulic i w szybach budynków

mieszkalnych za nimi.

- Wszyscy cali? – zawołał Clark.
- Wszyscy, poza Hazeltonem – odparł Ding.
- Będzie żył?

Chavez nawiązał kontakt wzrokowy z Johnem we wstecznym lusterku i potrząsnął głową. Powiedział jednak:

- Zabieramy go do szpitala.

Z tonu jego głosu wyraźnie można było wywnioskować, że ma złe przeczucia. W tym momencie nikt nie mógł być pewien, czy uda się uratować Hazeltona, ale mogli chociaż próbować.

Driscoll już telefonował do odrzutowca Gulfstream swojej organizacji.

– Sherman, tu Driscoll. Jestem w drodze na lotnisko. Przewidywany czas przybycia to dwadzieścia pięć minut. Czterech totalnie uspokojonych. Przemycany towar nieobecny. Brak rannych. Stan zagrożenia: czerwony. Potwierdzić.

Przy telefonie Adara Sherman, koordynatorka do spraw transportu i logistyki oddziału, powtórzyła wszystko operatorowi w terenie i poinformowała, że samolot stoi dla nich gotów do lotu, gdy tylko dotrą do lotniska.

Mężczyźni przez chwilę siedzieli spokojnie. Jedyńm dźwiękiem rozlegającym się w aucie były ciężkie oddechy wyczerpanych ludzi i odgłos uciskania klatki piersiowej Hazeltona przez Chaveza, a także słabe rżenie dochodzące z ust i nosa rannego. Na wargach byłego agenta CIA utworzyła się krwawa piana, co mówiło Chavezowi, że krwawienie w płucach było tak groźne, jak się tego spodziewał.

Ding nie mylił się co do jednego – Hazelton tego nie przeżyje.

Spojrząwszy na leżącego, Chavez ze zdumieniem zobaczył, że otwiera oczy. Rżenie zmieniło brzmienie, jakby mężczyzna próbował coś powiedzieć.

Chavez przysunął się bliżej.

- O co chodzi?
- Sh... Sharps.

Chavez szybko skinął głową.

- Wiemy. Pracowałeś dla Duke'a Sharpsa. Wiesz, kto cię zaatakował?

Hazelton przytaknął, chciał odpowiedzieć, ale z jego ust wydostało się tylko żałosne charczenie.

Wyciągnął rękę i zaczął macać po tylnym siedzeniu auta.

Ryan domyślił się, o co mu chodzi.

- Chce coś do pisania. Szybko!

Driscoll znalazł w skrytce auta bloczek papieru z długopisem i podał do tyłu. Ding przekazał to Hazeltonowi. Ranny chwycił długopis i zaczął gwałtownie skrobać po papierze. Było zbyt ciemno, żeby odczytać pismo w aucie, ale Ding widział wyraźnie, że krew na dłoni mężczyzny plami również kartkę.

Po piętnastu sekundach Hazelton przerwał. Długopis wypadł mu z ręki i głowa opadła na bok.

Ding przycisnął dwa palce do tętnicy szyjnej. Po minucie rzekł:

- John... na lotnisko.
- Robi się – odparł Clark i skręcił na następnym skrzyżowaniu. Nie tracili czasu na szpital.

Chavez oparł się na siedzeniu. Martwy mężczyzna leżał na jego i Ryana kolanach. Przez ostatnie dziesięć minut Ding z całych sił, ryzykując nawet własne życie, starał się ocalić tego człowieka. Teraz był skrajnie wyczerpany i zniechęcony; fizycznie i psychicznie.

Ryan chwycił bloczek i rzucił na papier światło latarki.

- Jakież pieprzone gryzmoły, jak kura pazurem – stwierdził.
- Zajmiemy się tym po dotarciu na miejsce – odparł Clark.

Veronika Martel, przed skręceniem dwudrzwiowym hyundaiem w stronę bramy wiodącej do kryjówki, rzuciła jeszcze raz okiem we wsteczne lusterko, chyba po raz setny sprawdzając ruch uliczny za sobą. Odkąd kilka minut wcześniej zaczął padać deszcz, zidentyfikowanie w ciemnościach jadących za nią aut było prawie niemożliwe. Niemniej doszła do wniosku, że jest czysto i od momentu opuszczenia centrum Ho Chi Minh nie widziała śladu ogona. Jadąc w kierunku Thu Duc, tylko trochę obawiała się o swoje bezpieczeństwo, dlatego zdecydowała się podjechać do dwukondygnacyjnej willi.

Żwirowy okrągły parking przylegał do bocznych drzwi willi. Skorzystała z niego, zawracając samochód w stronę drogi, do pozycji umożliwiającej szybką ucieczkę.

Martel nie spodziewała się jakiegoś konkretnego zagrożenia, ale działała operacyjnie i tego rodzaju antycypacja stanowiła jej drugą naturę.

Minęło już półtorej godziny od spotkania z Amerykaninem w Lion d'Or. Thu Duc leżało zaledwie dwanaście mil od centrum miasta, jednak Martel odbyła dużo dłuższą drogę, bo musiała zatoczyć szeroki krąg, aby pozbyć się ewentualnych śledzących; nawet większy od tego, jaki zalecił jej dyrektor kierujący operacją.

Teraz siedziała w hyundaiu na okrągłym parkingu i wsłuchiwała się w deszcz bijący o dach auta. Mogła wejść do willi, jednak postanowiła tego nie robić. Jeśli wejdzie, znajdzie się wśród innych i będzie musiała rozmawiać z tymi, którzy nie byli ani jej przyjaciółmi, ani krewnymi. Martel nie była tym zainteresowana. Czekala na telefon od dyrektora kierującego całą operacją. Nie należała do kobiet łatwo zawierających przyjaźnie, a już na pewno nie można uznać, żeby była gadatliwa. Siedziała zatem sama, rozmyślając i z przyjemnością słuchając bębnienia kropel deszczu o auto.

Północna Korea. Jezu Chryste!, pomyślała. Zamknęła oczy i oparła głowę na zagłówek. Czyżbym naprawdę upadła aż tak nisko?

Miała trzydzieści osiem lat i pracowała dla Sharps Global Intelligence Partners w Nowym Jorku. Duke był jej szefem, odkąd opuściła szeregi DGSE, czyli Direction Générale de la Sécurité Extérieure, francuskiego wywiadu zagranicznego, gdzie przed dziesięcioma laty pracowała jako tajna agentka operacyjna w ambasadach na Bliskim Wschodzie i w Europie.

Obecnie była zatrudniona w bazie Sharps Partners' European, biurze satelitarnym w Brukseli, ale jej praca w korporacji wywiadu wysyłała ją po całym świecie. W minionym półroczu brała udział w operacjach w Mumbaju, Osace, Moskwie i Madrycie.

A teraz w Wietnamie. Ho Chi Minh było dla niej nieznanym terenem, ale Veronika szła tam, gdzie wysyłał ją Nowy Jork, a to zadanie było podobne do operacji w Europie. Przynajmniej do tego wieczora, kiedy jej kontakt prawie zrujnował całą sytuację i podjął jednostronną decyzję, odmawiając przekazania dokumentów, które miał przywieźć z Pragi.

Natychmiast doniosła o tym swojemu dyrektorowi kierującemu w Nowym Jorku – nie mogła dopuścić, żeby obwiniono ją o nieudaną operację. Nowy Jork polecił wrócić do willi. Zajął jej to

dużo czasu, w którym powinni zrobić wszystko, aby uratować, co tylko można.

Mogli zorganizować szybko uliczny napad i odebrać przesyłkę od Hazeltona. Nie miała pojęcia, co innego mogliby, u diabła, zrobić, ale gdy jej dyrektor kierujący w Nowym Jorku nakazał jej wracać, podporządkowała się jego poleceniu.

Siedząc z zamkniętymi oczami, usłyszała ćwierkanie telefonu, zagłuszające bębnienie deszczu na dachu hyundaia.

– Oui?

– Tu kontrola. Skontaktuję cię z lokalnym agentem.

Lokalny agent?, pomyślała. Z tego co Veronika Martel wiedziała, w tym rejonie tylko ona działała z ramienia Sharpsa, nie mówiąc już o tym pretensjonalnym łysym Amerykaninie, który wieczorem rozwalił jej całą operację.

Na linii nastąpiła przerwa, potem odezwał się z silnym azjatyckim akcentem głos.

– Mam paczkę. Za pięć minut będę na miejscu.

Była pewna, że to człowiek z Korei Północnej. Nie był żadnym lokalnym agentem, jednak wyraźnie interesował się powodzeniem misji. Nie musiała go o to pytać.

– Czekam – odpowiedziała.

– Była pani sama w czasie spotkania? – zapytał szybko mężczyzna.

– Z kontaktem? Mogę tylko przypuszczać. Nie moja sprawa zakładać, czy jest śledzony, czy nie. Dlaczego pan pyta?

– Pięć minut. – Usłyszała zamiast odpowiedzi na pytanie i telefon zamilkł.

Veronika wysiadła z małego hyundaia i skierowała się do drzwi frontowych. Miała klucz do willi, mieszkała w niej kilka dni, niemniej – zgodnie z ustaleniami – zapukała w umówiony sposób. Czekala przez chwilę na werandzie, aż usłyszała, że ktoś od środka otwiera zamek.

Powitał ją Koreańczyk. Był jednym z trzech strażników czuwających nad bezpieczeństwem mieszkańców tej willi. On również nie należał do ludzi zatrudnionych przez Sharpsa; był jedynie członkiem współdziałającym w operacji. Ci ludzie trzymali się od niej z dala, a ona od nich. Ten przy drzwiach z pewnością nie znał angielskiego ani francuskiego, i w milczeniu wycofał się do salonu.

Veronika zwinęła parasol i powiesiła płaszcz. Gdy została sama, spojrzała przez okno na deszcz, czekając, aż zobaczy na podjeździe światła reflektorów.

Zdecydowała się unikać ludzi do chwili otrzymania paczki, ale po pięciu minutach postanowiła, że jeśli teraz nie chce z nikim rozmawiać, to powinna chociaż sprawdzić, z kim musi pracować tu, w Wietnamie.

Weszła do salonu, gdzie zastała trzech strażników stojących wzdłuż ściany za czterema mężczyznami oraz jedną kobietą, siedzącymi na kanapach i fotelach.

Wszyscy byli biali; spojrzeli na nią, gdy wchodziła, a ich twarze oświetlało światło świec. Nawet w tej bursztynowej poświacie Martel mogła dostrzec w ich oczach strach.

Czuła się w obowiązku rzucić jakąś uspokajającą uwagę i powiedziała po angielsku:

– Wszystko w porządku. Czekam na przybycie gościa i będziemy kontynuować.

Zanim ktoś zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Trzech strażników podniosło wzrok i ruszyło do wyjścia, ale Martel kiwnęła ręką, żeby wrócili na miejsca, i poszła

otworzyć.

Po otwarciu drzwi zobaczyła mężczyznę w czarnym kombinezonie motocyklisty. Był Azjata; założyła, że tak jak inni pochodzi z Korei Północnej, była tego pewna jak diabli i nie musiała pytać.

Mężczyzna trzymał w ręce teczkę. Wyciągnął ją ku niej i rzekł:

– Widziała tam pani kogoś?

Odebrała od niego teczkę.

– Już mnie pan o to pytał. Co się stało?

Zerknęła ponad jego ramieniem na parking. Siedziało tam, moknąc w deszczu, dwóch mężczyzn na motocyklach. Trzeci motocykl, niewątpliwie należący do człowieka stojącego w drzwiach, stał zaparkowany obok nich.

Koreańczyk wszedł do przedsiionka i zamknął za sobą drzwi.

– Z Amerykaninem byli ludzie. Nie byliśmy o tym powiadomieni.

– Ja także. Już mówiłam, że do mnie nie należała identyfikacja inwigilacji. – Ponieważ mężczyzna nie wydawał się zadowolony z jej odpowiedzi, dodała: – Jeżeli ma pan wątpliwości co do mojego postępowania, niech pan zatelefonuje do Nowego Jorku.

Nozdrza Koreańczyka rozszerzyły się i Martel założyła, że nie przywykł, że ktoś tak do niego mówi, jednak Veronice było to całkiem obojętne. Zignorowała jego zachowanie i zaczęła przeglądać teczkę. Wewnątrz znalazła pięć szarych kopert. Otwierając je kolejno, ujrzała kompletne zestawy dokumentów. Europejskie paszporty dyplomatyczne. Czeskie przydziały dyplomatyczne do Pjongjangu oraz opasane gumkami karty kredytowe.

Wróciła do salonu; Koreańczyk w czarnym kombinezonie poszedł za nią. Veronika obejrzała zdjęcia i wizy w paszportach, po czym porównała je z pięcioma osobami znajdującymi się przed nią.

Siedzieli cicho, nerwowo czekając, żeby coś powiedziała, ale ona się nie spieszyła.

Wszystkie dokumenty wyglądały na zupełnie autentyczne, z wyjątkiem jednego z paszportów. Okładka była poplamiona czerwonym atramentem. Martel przesunęła kciukiem po wytłoczeniach i stwierdziła, że nie były to plamy atramentu, za łatwo dało się je zetrzeć.

Przyglądając się swoim palcom, zrozumiała, że to świeża krew.

Mon Dieu, szepnęła. Ci ludzie siłą odebrali Amerykaninowi dokumenty.

Podniosła wzrok i spojrzała na Koreańczyka. Nie spuszczał z niej oczu. Z pewnością zauważył, że odkryła krew, i zapewne cieszy go widok jej zakłopotania, pomyślała.

– Wszystko w porządku – rzekła Veronika Martel.

Koreańczyk wyszedł bez słowa i za chwilę usłyszała, jak trzy motocykle uruchamiają silniki i odjeżdżają.

Martel położyła dokumenty na stole i przysunęła bliżej lampę.

– Wasz lot został wyznaczony na dziewiątą trzydzieści, do Pjongjangu przyleciecie o jedenastej trzydzieści pięć. Omówię wasze historie po kolei z każdym z was, a potem powinniście spróbować złapać kilka godzin snu. Obudzę was o szóstej.

Jedyna kobieta w tym towarzystwie, ruda, około czterdziestki, wstała z kanapy i podeszła do Martel. Mówiła z wyraźnym australijskim akcentem.

– Mogę z panią porozmawiać prywatnie?

Veronika wzruszyła ramionami i wyszła do kuchni. Kobieta poszła za nią. Była dużo niższa

i trochę szersza niż Martel. Światło w kuchni wyraźnie to podkreśliło. Veronika pomyślała, że ruda wygląda tak, jakby od wielu dni nie spała. Wiedziała, że to musi być trudne dla całej piątki Australijczyków. Przebywała z nimi w końcu od tygodnia, zapytała więc spokojnie:

– Co mogę dla pani zrobić, doktor Powers?

Australijka dokładnie zamknęła za sobą drzwi.

– Proszę posłuchać. Ja... my zgodziliśmy się tu przyjechać. Z pewnością pieniądze, duże pieniądze, mają znaczenie, ale wydaje mi się, że wdaliśmy się w jakąś awanturę. Co pani na to?

– Czy to jest pani pytanie?

– Zostawiłam w Sydney rodzinę. Po pół roku pracy mam wrócić do domu. Tak uzgodniono.

Martel położyła rękę na kontuarze i zaczęła bębnić wypielegnowanymi paznokciami w kafelki. Doktor Powers ciągnęła:

– Ja... Ja tylko chcę mieć pewność, że warunki, jakie mi obiecano, zostaną dotrzymane.

Martel nie zadawała sobie trudu, by szeptać.

– Doktor Powers, moim zadaniem jest zapewnić pani odpowiednio utajniony i bezpieczny transport z Sydney do Pjongjangu. Nic więcej. To, co pani uzgodniła z Koreańską Republiką Ludowo-Demokratyczną, dotyczy tylko pani oraz ich.

Powers nerwowo spojrzała na drzwi do salonu.

– Ja im nie ufam. Obserwują nas, jakbyśmy byli więźniami. Nie odpowiadają na moje pytania. Myślę, że... że pani z nimi współpracuje. Pomoże mi pani? Może tylko poprosi pani, żeby byli bardziej rozmowni w sprawach związanych z moją umową. Mogę panią o to prosić?

Martel podniosła rękę z kontuaru i położyła na ramieniu niskiej kobiety.

– Pani doktor. Rozumiem panią – powiedziała z uśmiechem.

Zdawało się, że ruda kobieta odetchnęła z ulgą.

– Wiem, że pani mnie rozumie.

– Rozumiem. I dlatego że jestem kobietą i widzę, co się dzieje, powinnam być dla pani bardziej życzliwa niż ci Koreańczycy. Jednak nic nie jest dalsze od prawdy. Oni są pani potrzebni, ja nie.

Opuściła ręce i podeszła do drzwi.

– Kiedy znajdzie się pani w Pjongjangu, jestem pewna, że pozbędzie się pani obaw.

– Czy ma pani pojęcie, jak śmiesznie brzmi to, co pani powiedziała? – Powers niemal krzyknęła.

Veronika nie zareagowała na jej gniew.

– To nie ja zgadzałam się na współpracę z Koreą Północną, tylko pani. Pani podjęła decyzję i dobrze pani zrobi, godząc się z tym, co się dzieje, ponieważ na tym etapie nie pozwolą pani nic zmienić.

Wróciła do salonu bez dalszych wyjaśnień.

Po sprawdzeniu dokumentów i omówieniu historii każdego z piątki obecnych zaczęła się zastanawiać, co się stanie z tymi Australijczykami. Praca w Korei Północnej z pewnością mogła budzić uzasadnione obawy, mimo to spodziewała się, że cała piątka po wypełnieniu kontraktu w Pjongjangu wróci bezpiecznie do domu, w dodatku znacznie bogatsza, niż jak go opuszczała. Oczywiście była to praca nielegalna i na pewno o tym wiedzieli.

Martel niewiele wiedziała na temat tego, co ta piątka będzie robić dla Korei Północnej, ale nie przejmowała się tą operacją z moralnego punktu widzenia. Bez względu na to, czy są naukowcami

badającymi energię jądrową albo specjalizują się w raketach, oficjalnie zajmowali się geologią – i to wszystko. Z pewnością nie byli groźni, nawet pracując dla Korei Północnej. Nie, to tylko pewnego rodzaju przemysłowo-handlowy i dyplomatyczny manewr, nic groźnego.

Jednak na chwilę przerwała, przypomniawszy sobie krew na paszporcie i tego irytującego Amerykanina. Jeżeli Koreańczycy bez skrupułów użyli przemocy w stosunku do obcokrajowca, to stawka za zapewnienie bezpieczeństwa podróży tym geologom będzie znacznie wyższa, niż myślała.

Mimo wszystko szybko pozbyła się wątpliwości; była to umiejętność, jaką udoskonaliła i rozwinęła w czasie kariery wywiadowczej.

Teraz musi bezpiecznie doprowadzić całą piątkę na jutrzejszy lot do Pjongjangu o dziewiątej trzydzieści rano, potem posprzątać willę i wrócić do siebie, do domu.

Dla Veroniki Martel nie liczyło się nic innego.

Poobijany czarny sedan wiózł czterech agentów operacyjnych i ciało byłego funkcjonariusza CIA, Colina Hazeltona. Chwilę po pierwszej w nocy zajechali przed hangar stałej bazy na odległym krańcu lotniska Tân Sơn Nhất.

Jedyny samolot w hangarze, lśniący biały gulfstream G550, został już odłączony od napędu pomocniczego przez załogę naziemną, która znikła z widoku w chwili, gdy auto podjechało do schodków wejściowych.

Gdy tylko mężczyźni wysiedli, z biura operatora bazy wyszła atrakcyjna kobieta. Jej blond włosy zebrane były w zgrabny kok, a mundur obsługi lotniczej miała nienagannie odprasowany.

Adara Sherman oficjalnie pełniła funkcję koordynatorki lotów w Kampusie G550, ale był to tylko jeden z jej wielu obowiązków. Zapewniała też bezpieczeństwo samolotu, organizowała każdy etap podróży operatorom działającym w ramach organizacji; w porozumieniu z władzami celnymi i w razie konieczności wykonywała w tym zakresie wszelkie niezbędne zadania.

Clark, zaraz po wysunięciu się zza kierownicy, podszedł do Sherman.

- Cieszę się, że mogę panią znów zobaczyć.
- Ja również, panie Clark.
- Jaką mamy sytuację?
- Bardzo dobrą. Urząd celny załatwiony, załoga naziemna i personel biurowy dały mi trochę luzu.
- Zakładam, że kosztowało to małą fortunę.
- Tu dyskrekcja jest tańsza niż gdzie indziej. Mogę pomóc przy zwłokach?
- Poradzimy sobie. Przekaż tylko załodze lotu, że musimy wystartować za godzinę i żeby przygotowali samolot na to, co mają transportować.

Sherman podeszła do schodków.

Driscoll i Ryan wnieśli ciało Colina Hazeltona do samolotu, podczas gdy Clark i Chavez stali u wejścia do hangaru, upewniając się, że nikt z personelu portu lotniczego nie zajrzy w tym momencie przez pomyłkę do hangaru.

Adara ulokowała worek z ciałem na podłodze kabiny. Kilka leżących obok podobnych worków przygotowanych na schowanie zwłok w ładowni G550 było ponurym przypomnieniem dla agentów operacyjnych Kampusu, że za wykonywaną przez nich pracę płaci się wysoką cenę, lecz właśnie po raz pierwszy jeden z nich został użyty. Ciało Hazeltona ukryto, zasuwając zamek błyskawiczny, a potem ulokowano je w tajnym przedziale między tylną przegrodą i ładownią. To miejsce zostało specjalnie zaprojektowane tak, żeby ukryć dorosłego mężczyznę, chociaż słabo spełniało to zadanie. Niejeden agent przetestował już skrytkę, gdy używano jej w trakcie operacji do ukrycia ludzi podczas imigracji i rewizji celnej.

Wszyscy się zgodzili, że ten, kto tworzył ten przedział, robił to bez planu i nie myślał, że kiedyś będzie musiał sam z niego skorzystać.

Jednak Hazelton nie narzekał.

Gdy wszyscy byli już na pokładzie i zamknięto luk bagażowy, piloci zaczęli kołować po asfalcie. Z początku powoli, wkrótce szybciej, dotarli do niemal pustego pasa startowego i po kilku minutach byli już w powietrzu.

Chwilę po starcie Adara podała kawę, sok i wodę. Clark, siedząc samotnie przy ścianie działowej, zatelefonował do Gerry'ego Hendleya, dyrektora Kampusu i właściciela odrzutowca. Pijąc kawę, przedstawił mu zdarzenia ostatniego wieczora.

Wkrótce cała drużyna zebrała się przy tekowym stole pośrodku samolotu i zaczęła badać notatkę Colina Hazeltona, którą napisał kilka sekund przed śmiercią. Clark i Chavez założyli okulary do czytania, ale nawet przy ich pomocy nie potrafili odczytać wiadomości. Ustalili tylko, że znajdowały się tam cztery słowa – jedno u góry kartki i poniżej dwa. U samego spodu widniały poza tym cztery litery, naskrobane prawie nieczytelnie i zachodzące na siebie. Plama krwi jeszcze bardziej utrudniała zadanie.

– Pierwsze słowo składa się z czterech liter, ale zostało zamazane krwią i nie można go odczytać – powiedział Chavez. – Poniżej mamy dwa słowa. Pierwsze wygląda jak... czy to jest „skata”?

– To po grecku znaczy „gówno” – mruknął Clark.

– Znasz grekę? – zapytał Ryan zaskoczony.

– Nie, ale w Rainbow pracowali dla mnie Grecy i jak sądzę, musieli przeklinać. Często słyszałem to słowo.

Driscoll przysunął kartkę do siebie i przyjrzał się jej uważnie.

– To nie jest „skata”. Myślę, że to „skala”.

Wszyscy pochyliłi się nad pismem. Po chwili Chavez z Ryanem zgodzili się z Driscollem, potwierdził to również Clark:

– Okej, „skala”. To brzmi jak jakieś nazwisko. Może z Europy Środkowej?

Ryan już włączył laptopa i zaczął szukać w Google, podczas gdy Adara Sherman napełniła jego kubek z chińskiej porcelany kawą.

– Popatrz! – krzyknął. – To miasto w Polsce²! – A potem dodał już z mniejszym entuzjazmem: – Zaczekaj. To jest też miasto w Bułgarii. Cholera... Tak samo na Ukrainie. Inne jest też na Wyspach Faroe.

– Niech to! Do diabła, niewiele nam to pomoże – rzucił Driscoll.

– Ale ta nazwa równie dobrze może być nazwiskiem człowieka – wtrącił Chavez. – Kiedy byłem jeszcze w CIA, znałem kapitana węgierskiej armii o takim nazwisku. Zginął piętnaście lat temu w katastrofie helikoptera. Clark, znasz kogoś o nazwisku Skala?

Clark pokręcił głową. Spojrzał na kartkę i skupił się na następnym słowie.

– Co to jest? Cztery litery? Wygląda jak IATA. Wszystkie litery duże.

Ryan przez chwilę szukał strony w Google.

– International Air Transport Association. To może być jednak zbieg okoliczności.

Sherman nałała Chavezowi soku pomarańczowego. W czasie tej rozmowy milczała, bo nikt nie pytał jej o zdanie. Teraz jednak spojrzała na papier i powiedziała krótko:

– Praga.

Wszyscy podnieśli na nią wzrok.

– Och, przepraszam – powiedziała. – To jest ICAO, kod portu lotniczego Václava Havla w Pradze, w Czechach.

– Myślałem, że kod portu lotniczego w Pradze to PRG – wtrącił Ding.

Sherman uśmiechnęła się.

– Kod IATA to kod używany komercyjnie. Widzicie go na swoich biletach lotniczych albo gdy bukujecie lot. Natomiast kodu ICAO używają piloci.

Ding patrzył na nią z powątpiewaniem, ale Clark zgodził się z jej słowami.

– Hazelton był pilotem. Służył w siłach powietrznych i miał licencję na prowadzenie prywatnych samolotów wielosilnikowych.

– „Skala” może być czeskim nazwiskiem – wtrącił Ryan. – Może będziemy mieli szczęście, gdy polecimy do Pragi na lotnisko imienia Václava Havla i rozejrzemy się za facetem, który będzie się tak nazywał?

– Na razie wracamy jednak do Waszyngtonu. Pierwszą rzeczą po powrocie, jaką będziemy musieli zrobić, to usiąść z pewną kompetentną osobą i wydobyć z niej wszystko, co o tym wie. Potem zdecydujemy, co dalej.

Clark przybliżył notatkę do oczu, żeby przyjrzeć się ostatniemu słowu na dole. Po kilku sekundach kiwnął głową i rzucił kartkę na stół.

– Ten ostatni zapis Hazeltona wyraźnie wskazuje, że czekają nas kłopoty.

Jeszcze raz obejrzeliby to, co nieboszczyk nagryzmolił na papierze. Treść była zupełnie jasna. Korea Północna.

– Nienawidzę tych facetów – rzucił Sam to, co chyba myśleli teraz wszyscy.

Gulfstream leciał na północny wschód, w stronę ukazującego się powoli na horyzoncie słońca. Czwórka pasażerów postanowiła zdrzemnąć się choć trochę, bo to, co wydarzyło się minionego wieczoru, było tylko początkiem. Czekало ich znacznie więcej kłopotów.

Rok wcześniej

Od dwudziestu ośmiu lat, jak Choi Ji-hoon pamiętał, otaczający go ludzie zawsze powtarzali mu, że pewnego dnia zostanie przywódcą swojego narodu. Wielu z nich było zwykłymi pochlebcami, chociaż Choi nie znał tego określenia. Wiedział tylko, że ci ludzie nic nie znaczą. Niemniej wierzył im. Wierzył, bo jego ojciec, jedyna osoba, która się dla niego liczyła, mówił mu to samo. Choi Li-hung opowiadał synowi, że gdy pewnego dnia on umrze, wtedy młody Ji-hoon zastąpi go i zostanie przywódcą Korei Północnej.

Ojciec przyrzekł Ji-hoonowi, że będzie rządził krajem, ale nie wyznał mu, że absolutnie nie wierzy w jego zdolności przywódcze. Twierdził, że syn jest słaby i leniwy, niezbyt bystry, ponadto uważał go za przerażającego lizusa. Kiedy młody Ji-hoon miał dwadzieścia dwa lata, wstąpił do partii, a jego jedynym obowiązkiem było podróżowanie po całej Korei Północnej i zamawianie „dzieł sztuki” upamiętniających historyczne wydarzenia narodu. Choi wykorzystywał jednak swoją pracę do podlizywania się ojcu. Każdy obraz, każdy posąg, jaki Ji-hoon zlecał artystom, miał przedstawiać Choia Li-hunga. Był to jego sposób, choć nachalny i trochę rażący, aby zyskać przychyłność ojca i przejąć po nim rządy.

Jednak ojciec wiedział, że nie ma wyboru. Nie chciał zostawiać narodu w spadku któremuś ze swoich braci; wszyscy mieli synów i Li-hung odmówił bratankom prawa do przywództwa Korei Północnej z dość cynicznego powodu. Gdyby się zgodził, zdyskredytowałyby tym samym własne dziedzictwo i odebrał je przyszłym potomkom. Poza tym jego pozostałe dzieci były córkami, a kobieta w żadnym wypadku nie mogła rządzić krajem.

Tym sposobem sukcesja przypadała tylko Choiowi Ji-hoonowi. Chociaż słaby i leniwy, tylko on mógł odziedziczyć władzę. Ojciec wiedział, że syn nie będzie dobrym przywódcą Korei Północnej, ale taka kontynuacja władzy była jednak przedłużeniem linii krwi, a tego rodzaju nieśmiertelność była dla Choia Li-hunga ważniejsza od życia dwudziestu pięciu milionów obywateli pod jego rządami.

Choi Li-hung nie przygotował należycie kraju do rządów syna. Jedynym sposobem, aby choć trochę zaradzić słabości Ji-hoona, było to, że władzę miał przejąć razem z sześcioma doradcami ojca, którzy stali u jego boku w czasie całych dwudziestoletnich rządów, a z których jeden – minister spraw zagranicznych – był jego bratem. Li-hung uważał, że tylko taki układ może ocalić syna od klęski. Nie mógł najwyższego przywódcy zostawić samemu sobie.

I wtedy stało się nieuniknione. Ojciec Ji-hoona zmarł i Choi został najwyższym przywódcą Korei Północnej w wieku dwudziestu siedmiu lat. Z początku sześciu doradców rządziło krajem skutecznie, podczas gdy Ji-hoon rozkoszował się świeżo nabytą władzą – nabytą nie tylko tytułarnie, lecz także przez fakt, że nie było już ojca kontrolującego każdy jego ruch. Ji-hoon wydawał teraz pieniądze nawet bardziej rozrzutnie niż przedtem. Zamawiał nowe posągi i malowidła, wszystkie

przedstawiające jego postać lub twarz, zlecał tworzenie nowych parków, budowę stadionów sportowych oraz stawianie pomników, którym nadawano jego imię. Statkami przewoził do kraju towary luksusowe, podczas gdy rejony wiejskie Korei Północnej nawiedzała klęska głodu.

Lecz Choi Ji-hoon po dojściu do władzy zmienił się w czasie kilku miesięcy. Coraz mniej interesowały go materialne bogactwa, zamiast tego wzrastało w nim paranoidalne pragnienie ściągnięcia na siebie powszechnej uwagi. W pierwszą rocznicę śmierci ojca doszedł do wniosku, że musi zadbać o swój autorytet i poświęcić więcej uwagi sprawom państwowym.

Stwierdził więc, że najważniejszy jest dobry układ z armią, bo wojsko miało bezpośredni wpływ na jego przetrwanie. Podczas gdy poddani nazywali jego ojca „kochanym przywódcą”, Choi Ji-hoon domagał się, żeby jego tytułowano Dae Wonsu, czyli wielkim marszałkiem, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest dowódcą wszystkich sił zbrojnych w państwie. Chociaż w wojsku skończył tylko czterotygodniowy kurs „białej rękawiczki” dla synów partyjnych bonzów, szybko przerobiono jego biografię, zapisując w niej, że był pilotem bombowca, który bezpiecznie wylądował na autostradzie, unikając katastrofy i ratując całą załogę razem z oddziałem spadochronowych sił specjalnych. Dodano również, że prowadził trzydzieści trzy tajne misje w Korei Południowej, między innymi wielką akcję ratunkową, w czasie której agenci z Północy uwolnili wielu jeńców, których zamierzano sprzedać w niewolę.

O jego przygodach uczono w szkołach, pisano i komponowano o nich pieśni, a radio i telewizja barwnie prezentowały dokumentalne wywiady z jego domniemanymi towarzyszami broni.

Każdy fragment wojskowej historii Dae Wonsu był zwykłym kłamstwem, o czym nigdy nie wspominali ci, którzy znali fakty. Dobrze wiedzieli, że fikcja była od nich ważniejsza, a kwestionowanie jej mogło kosztować życie.

Ojciec Ji-hoona również nie był łagodny jak gołąb, w żadnym wypadku. Li-hung zamordował dziesiątki tysięcy obywateli Korei Północnej i przyczynił się do gigantycznych klęsk głodu. Wiele razy doprowadził też Półwysep Koreański na skraj wojny, atakując artylerią Koreę Południową. Lecz Choi Ji-hoon wyróżniał się jeszcze bardziej wojowniczą, jastrzębią naturą. Dążył do zdobycia i rozbudowy nowych systemów broni, organizował prowokacyjne manewry na granicy. Testował rakiety naruszające terytoria sąsiadów i jego Koreańska Centralna Telewizja niemal codziennie groziła Korei Południowej, Stanom Zjednoczonym i Japonii.

To prężenie mięśni nie tylko wprowadziło Ji-hoona na światową scenę. W miarę upływu czasu coraz bardziej rosła jego władza w kraju, władza, którą zamierzał sprawować bez udziału doradców ojca. Każde wtrącenie się tej szóstki traktował jak bezpośrednie zagrożenie swoich rządów i powoli popadał w paranoję, że chcą odebrać mu pozycję najwyższego przywódcy. To doprowadziło go w końcu do przekonania, że koniecznie musi zlikwidować doradców.

Po miesiącu od podjęcia tej decyzji pięciu członków rady zostało straconych za milion wymyślonych zbrodni przeciwko państwu. Jednak szóstego nie dało się tak łatwo usunąć. Choi Sang-u był wujem Ji-hoona i siedemdziesięcioletnim dyplomata, który służył u jego ojca jako minister spraw zagranicznych. Po śmierci ojca Ji-hoon mianował go ambasadorem w Chinach. Było to niższe stanowisko od tego, które zajmował wcześniej, jednak ciągle jeszcze bardzo ważne. Szczególnie dlatego że Chiny utrzymywały bardzo dobre stosunki z Koreą Północną.

Państwa trwały w sojuszu, choć obecnie już w mniejszym stopniu, bo Chiny były zaniepokojone

ciągląm „pobrząkiwaniem szabelką” młodego Ji-hoona. Ostatnią rzeczą, jakiej Chiny chciały lub potrzebowały, była destabilizacja Półwyspu Koreańskiego, więc stosunki z sąsiadem znacznie się ochłodziły.

Nie tylko handel z Chinami i kilkoma innymi państwami na dużo mniejszą skalę działał w miarę dobrze, również gospodarka Korei Północnej nieźle się trzymała. Dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich towarów w kraju wytwarzały firmy państwowe.

Lecz Chiny ciągle były największym partnerem handlowym kraju Choiego Ji-hoona, a najbardziej znaczący był tutaj sektor wydobywczy, bo w Chinach wiedzano już od dawna, że prawdziwe skarby Korei Północnej kryją się w ziemi.

Wszystko uległo zmianie w stosunkach między państwami, gdy pracująca w Korei Północnej grupa chińskich geologów ujawniła, że znaleźli złoża metali ziem rzadkich w górach na północnym zachodzie kraju. Korea Północna podpisała z Chińczykami setki kontraktów górniczych na eksploatację złóż węgla, rudy żelaza, srebra i niklu, lecz minerały ziem rzadkich odkrywano wyjątkowo rzadko. Doniesienia geologów oraz wyniki badań nad tymi surowcami stawały się z dnia na dzień coraz bardziej optymistyczne.

Ostatecznie Chińczycy zdecydowali, że największe na świecie złoża minerałów ziem rzadkich – w sumie około 213 ton – leżą w pobliżu Chöngju, pod falistymi wzgórzami P’yönganu Północnego, prowincji leżącej na wybrzeżu Zatoki Koreańskiej.

Państwowa chińska kompania górnicza otrzymała prawo eksploataowania złóż przez dwudzieścia pięć lat. Podpisano odpowiednie dokumenty i rozpoczęto tworzenie infrastruktury niezbędnej do podjęcia prac.

Później, po roku trudnej pracy, Choi Ji-hoon rozkazał, żeby jego wuj wrócił z ambasady w Chinach na konsultacje do kraju. Wyjaśnił mu, że nowo odkryte przez Chińczyków bogactwo jest cenne i pożyteczne, ale Chińczycy mają coś jeszcze, co dla Korei Północnej jest ważniejsze od minerałów ziem rzadkich.

Wprawiło to wuję Choiego Ji-hoona w zakłopotanie.

- Cóż oni takiego mają, Dae Wonsu?
- Nowoczesną technologię, której potrzebujemy.
- Tak. Sprowadzono już do nas cały najnowocześniejszy sprzęt wydobywczy. – Sang-u ożywił się.
- Zainstalowano komputery zwiększające wydajność. W przyszłym roku będziemy mogli...
- Nie mówię o technice wydobywczej, wuju. Mam na myśli technikę raketową.
- Raketową?
- Oczywiście. Chińczycy niechętnie dzielą się swoją wiedzą na temat pocisków balistycznych średniego i dalekiego zasięgu. Nam jest ta wiedza jednak potrzebna. Chcę, żeby Korea Północna stworzyła własny przemysł rakiet dalekiego zasięgu, a Chiny są do tego kluczem.

Wuj Ji-hoona wolno skinął głową, wlepiając wzrok gdzieś w przestrzeń, jakby zaintrygował go plan bratanka.

– Uważasz, że należy kontynuować wspólne działania przy eksploatacji minerałów ziem rzadkich, o ile Chiny dostarczą nam danych dotyczących międzykontynentalnych rakietowych pocisków balistycznych?

– Dokładnie tak, wuju – odparł Choi Ji-hoon.

Wuj znał bratanka od urodzenia. Starał się ostrożnie dobrać słowa, kiedy z nim rozmawiał, ale wiedział, o co chodzi Choiowi i co należy powiedzieć.

– Uważam, że z twojej strony to mądra i sprytnie przeprowadzona dyplomacja, Dae Wonsu. Wierzę, że Chińczycy podzielą twój entuzjazm i uznają błyskotliwość pomysłu. Jednak obawiam się, że mogą mimo wszystko nie zrozumieć tej idei i przynieść szkodę naszym dochodowym operacjom górniczym, nie wyrażając zgody na twoje rozsądne życzenie.

Ji-hoon nie skomentował tego, jak gdyby to była jakaś błaha sprawa.

– Ty masz doskonale stosunki z tymi *gang-jae*.

Było to uwłaczające określenie Chińczyków, podobnie jak „kitajcy”.

Wuj Ji-hoona skrzywił się.

– Postaraj się, żeby wyrazili zgodę, wuju.

Negocjacje toczyły się więc w Pjongjangu. Przybyło kilku wyższych chińskich przywódców; wymienili grzeczne ukłony i stwierdzili, że gotowi są zgodzić się na wszystko w zamian za przedłużenie kontraktów z Koreą Północną na eksploatację minerałów ziem rzadkich.

No, na prawie wszystko.

Kiedy Choi wyjaśnił zagranicznym negocjatorom, że wcześniejsze ustalenia mogą zostać zerwane, jeżeli Chiny nie dostarczą Korei Północnej technologii potrzebnej do produkcji pocisków balistycznych, łącznie z niezbędnymi materiałami oraz instrukcjami dotyczącymi produkcji rakiet, Chińczycy wrócili do Pekinu na tajne rozmowy w Komitecie Centralnym. Po powrocie do Korei zaoferowali więcej żywności, pieniędzy, jeszcze więcej broni konwencjonalnej, technologii w zakresie zbrojeń morskich czy udział w marynarce wojennej Chin. Oferowali zwiększenie udogodnień w handlu i lepsze warunki płynące z korzyści wydobywania i obróbki minerałów ziem rzadkich. Zaproponowali też wizyty na wysokim szczeblu dyplomatycznym, aby wzmocnić prestiż Korei Północnej na światowej arenie. W ich propozycji znalazło się nawet zaproszenie Choia do kraju jako specjalnego gościa przewodniczącego Chin.

Jednak Choi Ji-hoon nie czuł w sobie powołania do dyplomacji. Praktycznie od urodzenia dostawał wszystko, czego chciał, a otaczający go ludzie wiedzieli, że jeżeli nie spełnią jego woli, może ich spotkać kara śmierci. Dlatego nie nadawał się za bardzo na negocjatora. Był nieustępliwy, mało elastyczny i niecierpliwy.

Odrzucił więc wszystkie oferty. Szukał bowiem sposobu na wysłanie rakiet nuklearnych w celu zniszczenia Stanów Zjednoczonych – w jego przekonaniu był to jedyny sposób na uniknięcie ataku ze strony Ameryki i ocalenie własnej skóry.

Chiny odmówiły Korei Północnej udostępnienia technologii wytwarzania pocisków balistycznych dalekiego zasięgu. Nie dlatego, że chciały zapobiec atakowi na Stany Zjednoczone. To ich nie interesowało. Chiny po prostu zdawały sobie sprawę, do czego Korea Północna może być zdolna, gdy stanie się zbyt silna albo zdobędzie zbyt mocną pozycję w międzynarodowych układach nuklearnych.

Mogła użyć tej broni albo i nie, śmierć milionów Amerykanów w nuklearnej wojnie mało Chiny obchodziła. Lecz przez bojkotowanie Korei Północnej i traktowanie jej jak pariasa chciały mieć pewność, że sąsiednie państwo nie urośnie w siłę zagrażającą stabilności regionu.

Destabilizacja Półwyspu Koreańskiego nie leżała jednak w interesie Chin.

W miesiąc od dnia negocjacji zapoczątkowanych w Pjongjangu w sprawie kopalni w Chǒngju Chińczycy zostali zawiadomieni, że każdy obywatel ich kraju przebywający na tamtym terenie ma w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin opuścić Koreę. Zarząd Minmetals and Chinalco, chińskiej państwowej firmy zarządzającej przemysłem wydobywczym, próbował pertraktować z Koreą Północną, ale żaden z tamtejszych urzędników nie uległ ich prośbom – dla Choi nie istniało coś takiego jak uległość. Chińczycy z Chǒngju pospiesznie opuścili Koreę, zostawiając dość dużo wyposażenia, chociaż chińscy geolodzy i inżynierowie wykonali ogromną pracę, zabierając ze sobą tyle, ile tylko mogli.

Kopalnia odkrywkowa przez całą noc nie działała, nawet mimo że Choi rozkazał, aby dyrektor rządowej instytucji – Koreańskiej Korporacji Handlowej ds. Zasobów Naturalnych – utrzymał ją w stanie zdatnym do ciągłej eksploatacji.

Prawdą było jednak, że Korea Północna nie posiadała w tym momencie ani wyposażenia, ani wiedzy na temat tego, w jaki sposób wydobywać minerały ziem rzadkich. W dodatku Chińczycy zabrali ze sobą generatory, a linie zasilające Chǒngju nie mogły dostarczyć wystarczającej mocy do uruchomienia kopalni.

To wszystko spokojnie i ostrożnie dyrektor kopalni wyjaśnił Choiowi Ji-hoonowi. Szczerość opłaciła się.

Nie został rozstrzelany, tylko skazany na obóz pracy.

Był jeszcze jeden skutek zerwania rozmów z Chinami w sprawie eksploatacji minerałów ziem rzadkich. Choi oskarżył swojego wuja ambasadora, że nie był wobec niego szczery i działał na szkodę kraju. Zrzucił na niego odpowiedzialność za zerwanie negocjacji z Chinami, chociaż to stawiane przez Ji-hoona bezkompromisowe wymagania skazały cały plan na klęskę.

Wuj, brat jego ojca, człowiek, który mógł rządzić Koreą Północną, lecz karty zostały rozdane inaczej, został odwołany ze swojego stanowiska i uwięziony w obozie dla internowanych w Chongjin na północnym wschodzie kraju.

Dzień dzisiejszy

Prezydent Stanów Zjednoczonych Jack Ryan opuścił Gabinet Ovalny, założywszy marynarkę. Minął sekretariat i wszedł do przyległego pomieszczenia, poprawiając klapę i krawat. Czekają tam na niego już dwanaście osób, mężczyzn i kobiet, przybyłych na spotkanie o trzeciej po południu. Wstali na jego widok, ale Ryan zaraz po zajęciu swojego miejsca u szczytu stołu skinął, żeby usiedli. Sięgnął po kubek z kawą, który stał już przygotowany dla niego.

Żona, Cathy, nie zabraniała mu popołudniowej kawy, odkąd po ostatnim badaniu lekarskim ciśnienie krwi miał w normie. Udało mu się wynegocjować pięć uncji czarnej, lekko palonej kawy z Jamajki przez pięć dni w tygodniu.

A Ryan był szczególnie dumny ze swych zdolności negocjacyjnych i osiągnięć dyplomatycznych.

Rozejrzał się po zebranych, aby upewnić się, że na spotkaniu są jak zwykle wszyscy zaangażowani w bezpieczeństwo narodowe: sekretarz stanu Scott Adler; dyrektor CIA Jay Canfield; dyrektor Wywiadu Narodowego Mary Pat Foley; doradczynie do spraw narodowego bezpieczeństwa Joleen Robillio, i sekretarz obrony Bob Burgess – wszyscy znajdowali się blisko Ryana po północnej stronie stołu. Dalej, schowani z dokumentami i tabletami, siedzieli przedstawiciele wywiadu wojskowego i Departamentu Stanu.

Obecny był też Arnie Van Damm, szef sztabu Ryana. Arnie nie należał do funkcjonariuszy bezpieczeństwa narodowego, ale był prawą ręką prezydenta i to on pilnował jego czasu. Czuwał nad tym, kto i po co spotyka się z Jackiem Ryanem, więc z tego powodu Ryan zawsze chciał go widzieć na ważnych spotkaniach dotyczących narodowego bezpieczeństwa. Ryan słyszał, że inni prezydenci byli nieraz niewolnikami planów dnia ułożonych przez pomniejszych szefów ich sztabu, w których regularnie znajdowało się miejsce na spotkanie z Girl Scouts sprzedającymi większość rocznego przydziału ciasteczek, zbierającymi pieniądze dla lokalnych drużyn harcerskich i ogólnie ściągającymi na siebie więcej uwagi niż podsekretarz obrony w dniu nadejścia kryzysu światowego.

Ryan nie przejmował się tym, brał udział w mniej ważnych spotkaniach z prasą lub zaproszonymi gośćmi, ale kiedy musiał skupić uwagę na zbliżającej się katastrofie, nie miał problemu z odmówieniem skautkom.

To spotkanie planowano od kilku dni. Pierwotnie tematem miała być seria agresywnych działań Rosjan we wschodniej Ukrainie, ale Ryan tego ranka stwierdził, że kłopoty w Europie Środkowej mogą na razie poczekać na rzecz pilniejszego kryzysu. Prezydent zażyczył sobie, aby stojące przed nim światowe problemy zostały spisane według ważności i żeby na podstawie tej listy można było organizować zebrania w gronie pozwalającym stworzyć szeroki, ale jednomyślny plan działania.

Prezydent wiedział z doświadczenia, że dobry przywódca kraju musi być wszechstronny, elastyczny i przygotowany na gaszenie pożaru, gdy tylko zostanie wzniecony ogień. To dzisiejsze spotkanie, zwołane na ostatnią chwilę, było właśnie tego przykładem.

Odrobił też zadanie domowe; nie przyszedł na zebranie nieprzygotowany. Spędził wiele godzin, przeglądając dane szacunkowe państwowego wywiadu i odtajnione zasoby archiwum bezpieczeństwa państwowego oraz biuletyny wywiadu na temat kryzysu ostatnich dni.

Wywiad już wiele dni temu doszedł do wniosku, że Korea Północna posiada gotową do odpalenia rakietę dalekiego zasięgu w bardzo zaawansowanej wersji międzykontynentalnych balistycznych pocisków i wprowadziła ją na płytę wyrzutni. Najwyraźniej przygotowywali rakietę do wystrzelenia – zapewne testowego – bo ich wcześniejsze próby nie były zbyt udane. Ta nowa próba miała pewno wywołać obawy w Białym Domu, więc Ryan musiał przed spotkaniem zapoznać się dokładnie z północnokoreańską technologią rakiетową.

– Otrzymałem wiadomość, w związku z czym porządek dzisiejszego zebrania zostaje zmieniony. Jak się domyślam, chodzi o wystrzelenie rakiety przez Koreę Północną – powiedział, gdy tylko usiadł.

Bob Burgess, sekretarz obrony, skinął głową.

– Tak, panie prezydencie.

Ryan westchnął.

– Poproszę o szczegóły.

– Pułkownik Richard Ward z DIA przedstawi krótką informację, panie prezydencie.

Przy odległym krańcu stołu wstał wysoki, chudy pułkownik około czterdziestki. Trzymał w ręce laserowy wskaźnik. Przed nim leżał arkusz papieru *in folio* opatrzoney stemplem DIA; obok Warda siedziała kobieta, również major z Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony, oglądająca mapę na tablecie i wykresy na dużym ekranie plazmowym zawieszonym na ścianie. Wpierw na ekranie ukazał się cały Półwysep Koreański, ale zaraz obraz się zmienił na powiększony obraz Korei Północnej.

– Dzień dobry, panie prezydencie – zaczął Ward. – Wczoraj o dziesiątej zero zero w nocy czasu północnokoreańskiego, około sześciu godzin temu w stosunku do czasu waszyngtońskiego, Korea wystrzeliła rakietę Unha-3, inaczej Galaxy-3, z wyrzutni położonej w północno-zachodniej części kraju. Miejsce to jest też znane jako Sohae Satellite Launching Station.

Następnie na ekranie ukazała się stustopowej długości rakietą.

– Jak już pan wie, panie prezydencie, Korea Północna twierdzi, że Unha-3 jest rakietą kosmiczną, i choć technicznie jest to prawdą, to w rzeczywistości przypomina bardzo zaawansowaną międzykontynentalną rakietę balistyczną, zdolną przenosić ładunki nuklearne. Jednak nie udowodniono tego jeszcze jak w przypadku rakiety Taepodong-2.

Ryan wiedział o tym. Pułkownik wydawał się podniecony i poważnie przejęty, w sposób niezamierzony zachowując się protekcyjnie i być może nie zdając sobie sprawy z faktu, że Ryan postarał się zdobyć jak najwięcej informacji już wcześniej, co wynikało częściowo z jego funkcji.

Machnął ręką.

– Dobrze. Każdy tamtejszy satelita został przetestowany jako międzykontynentalny pocisk balistyczny. Unha-3 jest wystarczająco dużą rakietą, by przenosić ładunki nuklearne, a jej zasięg w przybliżeniu umożliwi dostarczenie ich aż do północnej Kalifornii.

– Zgadza się, panie prezydencie, tylko jeżeli Korea Północna z powodzeniem zminiaturyzuje bombę nuklearną. Nie możemy potwierdzić, że już zdążyli na tyle udoskonalić technologię, jednak

podejrzewamy, że mogło się to stać i Unha-3 jest w stanie przenieść ładunek o wadze stu kilogramów. Jeśli dysponuje się wystarczającą technologią, taka bomba może mieć ogromną siłę rażenia. Oczywiście pod warunkiem że uda się ją odpowiednio zminiaturyzować.

– Albo jeżeli ukradnie się taką technologię – uzupełnił Ryan.

Pułkownik skinął głową, chociaż wydawał się nieco wytrącony tą sugestią. Sprawdzenie takich rzeczy nie znajdowało się wśród jego obowiązków.

– Proszę kontynuować, pułkowniku Ward – rzucił prezydent.

Teraz na ekranie ukazał się obraz przedstawiający wystrzelenie rakiety, a następnie kolejny, tym razem pokazujący pierwszy etap rozdzielenia pocisku.

– Mamy tam wiele czujników umożliwiających śledzenie wystrzelenia rakiety. Narzędzia do rozpoznania pomiarowo-badawczego, MASINT. Na podstawie zdobytych w ten sposób danych możemy ustalić, co działo się z rakieta, gdy opuściła wyrzutnię. Pierwszy etap wypalania trwał w przybliżeniu dwie minuty, paliwo wypaliło się na wysokości stu dwudziestu kilometrów nad wschodnim wybrzeżem Korei Północnej, nad miastem Tanch'ŏn, i tam też doszło do oddzielenia. Drugi etap wypalania rozpoczął się na wysokości trzystu pięćdziesięciu kilometrów nad Morzem Japońskim. Potem rakieta najwyraźniej przestała działać, zanim nastąpił trzeci etap wypalania i kolejne oddzielenie. Musiał pojawić się jakiś poważny błąd, bo nastąpiła katastrofa i rakieta rozbiła się na powierzchni morza, osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Sapporo.

Ryan był bardziej niż zadowolony z tego niepowodzenia, ale wiedział też, że dyplomatyczna reakcja Japonii będzie bliska tej, jaka pojawiłaby się, gdyby rakieta była uzbrojona.

Scott Adler podzielał to zdanie.

– Jestem pewien, że Tokio nie jest zbyt zachwycone katastrofą, jaka nastąpiła tak blisko ich lądu.

– Założę się, że są wkurzeni – dodał Jay Canfield. – Jednak jeżeli o mnie chodzi, lepsze to niż upadek takiej rakiety na Seattle albo San Francisco.

– Domyśla się pan, co mogło nawalić? – Ryan zwrócił się do Warda, kontynuując wątek.

– Rozpoznanie MASINT wykryło nadzwyczajny rozbłysk po drugim etapie wypalania, ale jeszcze przed oddzieleniem. Przez jakiś czas robiliśmy testy, ale to było coś, co nazwaliśmy „stanem awaryjnym”. Nic wyjątkowego, szczególnie w Korei Północnej. Kiedy ostatnio wystrzelili Unha-3, awaria nastąpiła już na pierwszym etapie, więc tym razem zrobili pewne postępy.

– Jak długo trwał ten rozbłysk? – zapytał Ryan.

Pułkownika wyraźnie zaskoczyło to pytanie. Spuścił wzrok na arkusz papieru, a potem szybko zaczął wertować swoje dokumenty. Siedząca przed iPadem pani major również zaczęła przeglądać dane, a następnie pchnęła sprzęt w stronę Warda.

– Przepraszam za zwłokę, panie prezydencie. Rozbłysk trwał w przybliżeniu dwie sekundy.

Ryan skrzywił się.

– Czy nie był zbyt krótki jak na zwykłą awarię? Na tym etapie może nastąpić częściowe zerwanie płomienia przed eksplozją. Dla mnie brzmi to jak wywołanie natychmiastowej detonacji. Może centrum kontroli naziemnej stwierdziło, że rakieta z takiej czy innej przyczyny nie może wejść na orbitę, i zdetonowali ją. Wystarczyło nacisnąć guzik i zlikwidować pocisk balistyczny. Czy Unha-3 ma system przerwania lotu?

Pułkownik Ward znów zerknął do notatek.

– Hm... aktualnie nie znamy odpowiedzi na to pytanie, panie prezydencie. Ich balistyczne rakiety średniego zasięgu nie mają systemu przerywania lotu, ale ten międzykontynentalny pocisk jest dużo większy, więc myślę, że mogło znajdować się w nim coś takiego.

– Mogło? – zapytał Ryan. Nie był to ten sposób przedstawiania informacji, jaki lubił. Z wyrazu twarzy Warda można było wywnioskować, że pułkownikowi również przestaje się to podobać.

– Przykro mi, panie prezydencie. Nie posiadamy takich danych wywiadu, które pozwoliłyby nam odpowiedzieć na to pytanie „tak” albo „nie”.

– Rosjanie instalują taki system w swoich rakietach średniego zasięgu i większych, międzykontynentalnych. Robią to też Chińczycy. Zgadza się?

– Oczywiście, panie prezydencie.

– Więc jeśli Korea Północna opiera swoje systemy na rosyjskiej i chińskiej technologii, można domniemywać, że w ich pociskach znajdują się podobne układy.

Ward milczał.

– Tak czy nie, pułkowniku Ward?

– No... tak. Ale...

– Ale co?!

– Ale Korea Północna cierpi też na znaczny niedostatek pod innymi względami, mają braki w innych programach, które już kopiowali. Jest więc możliwe, że nie zainstalowali w swoich Unha-3 systemów przerywania lotu. Obecnie jednak nie możemy tego ustalić z całą pewnością.

Ryana nie zadowolila ta odpowiedź, ale zmienił temat.

– Okej, zatem rakieta z jakiegoś powodu przestała działać i spadła do morza. Porozmawiamy o tym następnym razem, gdy będziemy mieli więcej danych. Czy obecnie możemy omówić wydajność ich broni nuklearnej?

Ward poczuł teraz, że znajduje się na pewnym gruncie.

– Zgromadzili około pięćdziesięciu kilogramów plutonu nadającego się do produkcji broni. Większość wykorzystano do produkcji broni już istniejącej. Posiadają też urządzenia do wzbogacania uranu. Jedno z nich zostało uruchomione w Jongbjon, ale jesteśmy pewni, że ta lokalizacja to tylko przykrywka mająca pokazać, że uranem interesują się jedynie w celach pokojowych. Dysponują jednak tajnymi urządzeniami do wzbogacania uranu, ale ich miejsce oraz wydajność nie są nam obecnie znane. – Zmarszczył brwi. – To następne zadanie dla dość ograniczonych możliwości naszego wywiadu w tym kraju.

Mary Pat Foley, dyrektor Wywiadu Narodowego, wtrąciła:

– Sądzymy, że w wielu próbach przeprowadzonych ostatnio przez Koreę Północną użyto uranu, a nie plutonu. Jeśli tak rzeczywiście jest, to możemy uznać, że zdążyli już zwiększyć w tym zakresie swój potencjał.

– Przeprowadzili z sukcesem trzy próby podziemne. Użyli do tego bomb plutonowych i szacunkowo zakładamy, że mają od pięciu do dziesięciu bomb tego rodzaju. Stanowi to dla nas zagadkę, wystarczy jednak, aby stwierdzić, że są na tyle silni, by stwarzać zagrożenie.

Kiedy Foley skończyła, Ward wtrącił:

– Jak już mówiłem, DIA spekuluje na temat międzykontynentalnych rakiet balistycznych i stopnia

możliwości maksymalnego zminiaturyzowania ładunków nuklearnych. Teoretycznie, bo ładunek nuklearny bazujący na plutonie musiałby się ograniczyć do małej głowicy bojowej, ponieważ tyle miejsca mają w jednym z pocisków typu Rodong o zasięgu tysiąca kilometrów. Jeśli to prawda, możemy założyć, że są bardzo blisko stworzenia broni raketowej dalekiego i średniego zasięgu. – Ward zawahał się i dodał: – Uważamy, że precyzja uderzenia i wydajność głowicy bojowej pocisku są mało skuteczne.

– Jak mało? – zapytał Ryan. – Jaka szacunkowo jest skuteczność Taepo-2?

– Możemy ją określić tylko w przybliżeniu, z dwudziestopięcioprocentowym prawdopodobieństwem.

– Czy mówimy o kilku milach, dziesiątkach mil czy setkach mil? Ogólnie – rzucił Ryan.

Ward znowu spuścił wzrok na arkusz papieru. Prezydent westchnął.

– Pułkowniku, pan jest zbyt ostrożny. Jesteśmy tylko dwoma facetami, którzy ucinają tu sobie pogawędkę. I nie chcę, żebyś nieustannie zerkał, co jest napisane na tym cholernym papierze, bo mógłbym to sam przeczytać. Chcę usłyszeć, co pan osobiście wie, pułkowniku, i co pan o tym myśli.

Ward odchrząknął.

– Tak, panie prezydencie. Sądzymy, że Taepodong-2, jeżeli zostanie wystrzelony bezawaryjnie z odpowiedniego miejsca, trafi dokładnie w rejon o promieniu dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu mil.

– Nie jest to dokładne – wtrącił się sekretarz stanu Adler. – Ta broń ma siać grozę, jest narzędziem szantażu. Choi nie dąży do faktycznej przewagi. Chce przede wszystkim pieniędzy, ale poza pieniędzmi dąży do przejęcia władzy w regionie. Ta jego najgorsza na świecie bomba nuklearna ulokowana w głowicy pocisku przenoszonego przez najbardziej zawodną i nieprzewidywalną balistyczną raketę międzykontynentalną wywołuje u wielu paraliżujący strach.

Ryan skinął głową.

– Na przykład u mnie.

– U mnie też – przyznał Adler. – Ciągłe należy wszystkim przypominać, co się tam dzieje. Cały przemysł nuklearny Korei Północnej to jakaś stuknięta intryga uknuta celem zniszczenia świata, aby zapewnić sobie respekt.

– Zgadzam się z tym – rzekł Ryan – ale nie nazwałbym jej stukniętą. Produkt krajowy brutto Korei Północnej spadł do poziomu produktów Kenii i Zambii. Gdybyśmy wzięli pod uwagę wskaźniki ekonomiczne bez udziału produkcji wojskowej, to mając dane z Lusaki, nie musielibyśmy marnować czasu na analizy z Pjongjangu.

Szef sztabu Arnie Van Damm podniósł wzrok znad papierów leżących przed nim. Wyglądał na trochę zakłopotanego.

– To stolica Zambii, Arnie – dodał Ryan.

Mężczyzna skinął głową i ponownie spuścił oczy.

– Korea Północna wystarczająco ściągnęła już na siebie uwagę i nie jest im do tego teraz potrzebna broń nuklearna. Chcą być jednak traktowani z szacunkiem należnym państwu posiadającym broń nuklearną. Szczerze mówiąc, gdyby ich balistyczny pocisk międzykontynentalny był w pełni sprawny, mógłby dolecieć do Kalifornii, a wtedy byłbym zmuszony okazać im ten respekt – powiedział Ryan, po czym zwrócił się do Warda: – A zatem, podsumowując, wiemy, że

rakieta uległa awarii przed trzecim etapem, ale nie wiemy dlaczego i musimy się tego dowiedzieć.

– Tak, panie prezydencie – odparł Ward zmieszany. – Niestety utknęliśmy w tym punkcie.

– Dobrze – rzekł Ryan. – Dziękuję panu.

Oboje funkcjonariuszy DIA spojrzęło na Mary Pat Foley. Ta odpowiedziała im skinieniem głowy i skierowała wzrok na drzwi.

Ward i major spakowali teczki, wstali i ruszyli do wyjścia.

– Pułkowniku? Pani major? – zawołał Ryan.

Odwrócili się.

– Tak, panie prezydencie?

– Zrobiliście wszystko, co mogliście zrobić. To nie wasz błąd. Ja chcę tylko mieć więcej informacji.

– Oczywiście, panie prezydencie – odparli analitycy DIA.

– Następnym razem przyjdźcie przygotowani do dyskusji, a nie do prezentacji. Przekonał się pan, że jestem chętny do pogawędki, kiedy dotyczy ona zajmującego mnie tematu. Wy posiadacie wiedzę, a ja jestem najbardziej ciekawskim sukinsynem, jakiego spotkaliście.

– Tak, panie prezydencie – powtórzyli i opuścili pokój.

Po ich wyjściu Scott Adler uśmiechnął się.

– Ten pułkownik sprawia wrażenie rekruta, który właśnie wysiadł z autobusu. Zauważył pan? Wyglądał jak daniel oślepiiony reflektorami samochodu, gdy zapytał go pan o czas trwania rozbłysku.

Jack wzruszył ramionami.

– Sądzę, że trochę przesadziłem. Dużo czytałem o naszym wywiadzie w Korei Północnej działającym w dziedzinie ich systemów. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że wywiad posiada więcej informacji od tych, jakie zawarto w raportach pisanych dla mnie. Jest w nich piekielnie dużo luk.

– Jeżeli wejdiesz, szefie, za daleko między drzewa nie zobaczysz całego lasu – odparł Canfield, dyrektor CIA.

– Tak, wiem.

– Panie prezydencie – dodał mężczyzna po chwili. – Najważniejsze, żeby pan zrozumiał, dlaczego w naszych informacjach na temat Korei Północnej mamy tak dużo luk. Nasze SIGINT, ELINT i MASINT³ są dobre i pewne. Mamy satelity geostacjonarne, stacje lotnicze, platformy powierzchniowe, a nawet podpowierzchniowe, wszystkie wymierzone w Półwysep Koreański. Oczywiście mamy też cyberplatformy. Jednak nasze rozpoznanie osobowe, HUMINT, nie jest doskonałe. Wielu agentów rekrutuje się z uciekinierów do Korei Południowej. W związku z tym nie są idealni. Informacje przekazują też zwykli rolnicy, robotnicy i młodzież.

– Twierdzi pan, że błądzimy w ciemnościach.

– Niestety, panie prezydencie, gdy spojrzysz się na nasz wywiad osobowy, trochę na to wygląda. Udało nam się przeciągnąć na naszą stronę kilku rządowych urzędników niższego szczebla. Lecz ci z Pjongjangu, na których mamy jakiś wpływ, nie mogą kontaktować się z nami regularnie, o ile w ogóle dochodzi do kontaktu. Nie mamy tam nikogo z CIA. Nawet w okresie szczytowej zimnej wojny zawsze mieliśmy agentów w Związku Radzieckim, lecz w Korei Północnej błądzimy obecnie po omacku.

– Dobrze, zastanowię się nad tym – odparł Ryan i zaczął bębnić palcami o blat stołu. – Wróćmy na razie do tego nieudanego lotu rakiety. Chciałbym, abyśmy mogli z tego powodu świętować. Ale problemem z Koreą Północną – podniósł rękę – jednym z problemów z Koreą Północną jest to, że złe wieści dla nich niekoniecznie są dobrymi dla nas. Już to wszystko przerabialiśmy, prawda? Na wszelkie niepowodzenia reagują prężeniem mięśni. Pobrząkiwaniem szabelką.

Mary Pat zgodziła się z tym.

– Ich rakiet międzykontynentalna uległa awarii, eksplodując podczas drugiego etapu separacji. Podobnie było w przypadku testowania nad Morzem Japońskim dwóch tuzinów innych rakiet krótkiego zasięgu.

– Albo ostrzeliwują wyspy czy wysyłają miniaturową łódź podwodną za trzydziesty ósmy równoleżnik – dodał sekretarz obrony, Burgess.

– Ten nowy Choi obrał tę samą drogę, co stary Choi, aby nam pokazać, że należy go traktować poważnie. – Ryan skinął głową.

– Panie prezydencie. Czy mogę wyrazić własny pogląd? – wtrąciła Robillio, doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Obecnie, biorąc wszystko pod uwagę, Korea Północna nie jest naszym głównym problemem. Nawet jeśli mamy na Półwyspie jakiś pomniejszy konflikt, to na świecie są inne, pilniejsze kwestie. Myślę, że możemy podziękować Bogu, iż nadal nie mogą osiągnąć Kalifornii bombą plutonową, i musimy zwrócić uwagę na Rosję, NATO, Chiny, Bliski Wschód i na inne punkty zapalne.

Jack skinął głową i przetarł oczy.

– Dlaczego nie można tych wszystkich dupków załatwić równocześnie i usunąć tym samym całe zagrożenie? – Po pokoju rozeszły się stłumione chichoty. – No więc co z tym zrobimy?

– Sugeruję, żeby zwrócić się do Rady Bezpieczeństwa – rzekł Adler – i zarządzić następne głosowanie nad sankcjami dla Korei Północnej.

– ONZ? Poważnie? I jak to się skończy? – zapytał Ryan. – Chiny i Rosja zawetują.

Adler pokręcił głową.

– Chiny i Korea Północna nie są takimi sojusznikami jak kiedyś. Teraz, gdy Choi syn przejął spadek po Choiu ojcu, wszedł w konflikt z tymi z Pekinu. Przypominam, że Chiny i Korea Północna w minionym roku zerwały kontrakty dotyczące wydobywania minerałów ziem rzadkich. Nie możemy zmusić Chin do korzystnego dla nas głosowania, ale istnieje możliwość, że uda się nakłonić je do wstrzymania się od głosu.

– Rosja zgłosi weto, ale to stworzy kolejną szansę, by ich odizolować – dodała Robillio, doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego. – W naszej rezolucji możemy zmarginalizować Rosję i osłabić Koreę Północną. Zabijemy dwa ptaszki jednym strzałem.

– Nie zabijemy dwóch ptaszków jednym strzałem, tylko wystraszymy oba ptaszki i odfruną niestrzeżone – odparł Ryan. – Rosja będzie nadal robiła to, co robi, a Choi Ji-hoon nie przejmie się potępieniem przez Radę Bezpieczeństwa. Skupi się na utrzymaniu i dalszym demonstrowaniu władzy. Nic więcej.

– Może ONZ nie ma kłów, ale sankcje przeciwko Korei Północnej są już tak surowe, że zaostrzenie ich może się skończyć dramatycznie – nie ustępował Adler. – Mówiąc językiem dyplomatycznym, niewiele możemy już zrobić. – Spojrzał przez stół na sekretarza obrony Burgessa. – Chyba że zechce

pan, panie prezydencie, wysłać Boba, aby zaatakował Pjongjang. Obecnie jedyną posiadaną przez nas bronią jest rezolucja ONZ w sprawie sankcji.

Ryan oparł się łokciami o blat stołu.

– Nawet przy zastosowaniu najostrzejszych sankcji w odpowiedzi na ich rozwój broni konwencjonalnej i nuklearnej oraz rakiet balistycznych nadal będą wystrzeliwać pociski międzykontynentalne i dokonywać prób jądrowych. Chińczycy bardziej niż my nie chcą ich zbroić w broń nuklearną i z tego możemy wnioskować, że nie dostarczają jej Korei Północnej. Jedynie Rosja może dolewać oliwy do ognia.

– Zgadza się – przytaknął Canfield. – Rosjan nie obchodzi fakt, że Korea Północna ma broń nuklearną. Jest to następny problem dla nas, poza tym Korea płaci gotówką. Istnieją tylko dwie przeszkody, które uniemożliwiają im posiadanie sprawnych rakiet międzykontynentalnych.

– Jakie? – zapytał Ryan.

– Pierwsza to sankcje. Rosja nie chce zostać złapana na łamaniu zakazu przekazywania Korei Północnej urządzeń i technologii nuklearnej, ponieważ może na tym ucierpieć dyplomatycznie. Robi to, ale bardzo ostrożnie, co oznacza, że technologia dostaje się tam bardzo powoli.

– A druga?

– Druga jest zupełnie zwyczajna. Pieniądze. Korea Północna jest beznadziejnie biednym reżimem z niewielkimi zasobami dewiz. Gdyby nagle otrzymała duży przyływ gotówki, mogłaby szybko zawrzeć z Rosją albo pozbawionymi skrupułów prywatnymi kontrahentami układy i zyskać na tym znacznie więcej. Rosja sprzedałaby im wszystko, w każdej chwili. Gdyby Korea zaoferowała setki milionów zamiast milionów, wtedy zobaczylibyśmy, jak bardzo rozwinęłaby własną broń nuklearną i rozbudowała arsenał międzykontynentalnych pocisków balistycznych.

– Pozostawienie Korei Północnej w takim stanie finansów, w jakim się znajduje, leży w interesie narodowym Stanów Zjednoczonych – zreasumował Jack. – Nie możemy tego ogłaszać całemu światu, ponieważ zostalibyśmy oskarżeni o głodzenie obywateli Korei Północnej nawet wtedy, gdy to samo robi ich własny rząd. Ale możemy zrobić wszystko, co tylko można, aby uniemożliwić im napływ gotówki.

– Naruszanie sankcji – wtrąciła Mary Pat – to przemykanie setek tysięcy kilogramów dóbr do Korei i z niej.

– Działamy już od dwóch pokoleń – stwierdził Jack – żeby ich osłabić do tego stopnia, aby zechcieli zasiąść do stołu negocjacyjnego. Ciągłe się jednak opierają. Musimy mieć mocniejszy wywiad na ich terenie. – Spojrzał na Mary Pat i Jaya: – To niestety konieczność. Wiem, że macie tysiące innych spraw na głowie, ale to sprawozdanie DIA jest dla mnie zupełnie jasne. Nie będziemy mieli dokładnych danych o potencjale militarnym Korei Północnej, dopóki sami nie zademonstrują swoich możliwości i nie wyślą ładunków nuklearnych na San Francisco. Ale wtedy będzie już za późno, żeby cokolwiek przedsięwziąć. Chcę usprawnić nasz wywiad osobowy w Korei Północnej.

Spotkanie zakończyło się kilka minut później i Mary Pat Foley wstała, aby wrócić do swojego gabinetu w kompleksie Liberty Crossing w McLean w Wirginii. Prezydent nie był zadowolony z wywiadu, co oznaczało, że będzie miała piekielnie dużo pracy. Musi się spotkać z dyrektorem CIA, Canfieldem, w celu omówienia dalszych działań. Chyba oboje czuli się tak samo.

Wychodziła właśnie z pokoju konferencyjnego i sięgała po komórkę umieszczoną w wiklinowym

koszyku na biurku prezydenckiej sekretarki, gdy telefon nagle zaczął wibrować. Odebrała, nie patrząc, kto dzwoni.

– Foley.

– Mary Pat? Tu Gerry Hendley.

Kobieta wyszła do korytarza skrzydła zachodniego. Z tonu głosu Gerry’ego mogła wywnioskować, że stało się coś złego.

– O co chodzi?

– Możesz rozmawiać?

Mary Pat rozejrzała się. Wokół niej krążyło sporo innych osób.

– Za kilka minut będę w swoim aucie. Zadzwoń. A teraz powiedz krótko, o co chodzi. Coś z Colinem Hazeltonem?

– Tak.

– Jest okej?

Gerry westchnął.

– Nie. Nie jest. Obawiam się, że nie żyje.

Zatrzymała się nagle. Czowała, że zaczyna chwiać się na nogach.

– Nie żyje?

Rok wcześniej

Najwyższy przywódca Korei Północnej miał swoje biuro w Rezydencji Ryongsong, zwanej też rezydencją nr 55. Znajdowała się nad małym jeziorkiem na północnym przedmieściu Pjongjangu i była jedną z dziesięciu prywatnych rezydencji władcy narodu.

Teren zamknięty, obejmujący kilka mil kwadratowych, ogrodzony był płotem z potężnymi bramami; całość została odpowiednio uodporniona na ataki konwencjonalne i nuklearne. W rezydencji stacjonowały dwie brygady oddziałów elitarnych z jedynym tylko zadaniem. Mieli chronić najwyższego przywódcę narodu przed wojskami wrogów zewnętrznych i buntownikami wewnątrz państwa.

O dziesiątej do zamkniętego terenu podjechała czarna limuzyna. Uzbrojony strażnik zrewidował kierowcę i pasażera na tylnym siedzeniu – niskiego chudego pięćdziesięcioletniego łysego mężczyznę w szarym garniturze. Wkrótce samochód jechał już na północ przez wzgórza Ryongsong, po drodze przystając przy kilku punktach kontrolnych, aby na koniec zatrzymać się przy bramie wjazdowej na teren rezydencji nr 55. Łysy mężczyzna wysiadł i został odprowadzony przez małą świtę do budynku, a później w towarzystwie kobiecych asystentek Dae Wonsu wszedł do bogato zdobionego salonu, gdzie usiadł na prostym krześle.

Postawiono przed nim herbatę, a drugą szklankę ułożono po drugiej stronie stołu i zostawiono mężczyznę samego.

Siedział zdenerwowany, w milczeniu, starając się sprawiać wrażenie, że jest spokojny.

Jego nazwisko brzmiało Hwang Min-ho. Był nowym dyrektorem Koreańskiej Korporacji Handlowej do spraw Zasobów Naturalnych, przedsiębiorstwa należącego do państwowych kopalni. Zajmując to stanowisko od mniej niż tygodnia, przybył tu na spotkanie z Choiem Ji-hoonem. Pierwszy raz miał okazję stanąć twarzą w twarz z przywódcą kraju, którego wielbił w każdej sekundzie swojego życia.

Rodzice Hwanga należeli do osobistego personelu pułkownika, który był wiceprzewodniczącym Koreańskiej Partii Pracy. Jego ojciec służył jako szofer, a matka była niańką do dzieci. Oboje w typowy sposób zgadzali się z rozpowszechnianą propagandą, w którą ślepo wierzyło całe społeczeństwo. Hwang też dorastał w tej wierze i kulcie jednostki – nie w partię albo rząd Korei Północnej, ale w przywódcę narodu, pełnego dobroci boga, twórcy wszystkiego, obdarzającego wszelkimi dobrodziejstwami swych obywateli. Dziadek Choiego Ji-hoona, a potem jego ojciec i teraz sam Choi Ji-hoon, wszyscy stanowili centrum wszechświata Hwanga.

Hwang nigdy nie kwestionował rzeczy, o których wiedział, że są prawdziwe: czyli doskonałości przywódcy i jego ogromnej mądrości, uznanych za taki sam pewnik jak wschód i zachód słońca. Poza tym... Hwang bał się o swoje nowe stanowisko.

Wiedział, co stało się z jego szefem. Wykonywał swoją brudną robotę z absolutnym

poświęceniem. Dae Wonsu wymagał od niego rzeczy niemożliwych, a kiedy niemożliwe nie zostało spełnione, szef Hwanga został zabrany ze swojego domu. Plotki krążące po państwowej kompanii górniczej głosiły, że został wysłany do Kyo-hwa-so nr 9, osławionego obozu reedukacyjnego na wschodnim wybrzeżu kraju. Sześćdziesięcioletni były dyrektor kopalni był człowiekiem kulturalnym, wykształconym i dobrze wychowanym – o ile plotki mówiły prawdę – a teraz musiał pracować na kolanach w kopalni węgla i jako pożywienie otrzymywał raz dziennie miskę zupy. Hwangowi rozkazano usunąć wszystko, co zostało zapisane o byłym dyrektorzem w tekstach dotyczących Koreańskiej Korporacji Handlowej do spraw Zasobów Naturalnych. Musiał wykreślić nawet to, że w ogóle istniał taki człowiek. Bezwzględnie zrobił, co mu kazano, nie wątpiąc w słuszność tej decyzji Dae Wonsu. Kiedy był jeszcze chłopcem, matka mówiła mu, że przywódca narodu może czytać jego myśli, zatem zawsze musi myśleć o nim z miłością i wdzięcznością. Jednak Hwang, chociaż zrobiono mu pranie mózgu, ciągle był czujny i wrażliwy, więc gdy rozkazano mu zająć stanowisko byłego dyrektora, nie mógł się oprzeć, by nie uznać tego za wielki honor, lecz związany z ogromnym ryzykiem.

Hwang myślał teraz o tym niebezpieczeństwie, czekając w luksusowym salonie rezydencji nr 55, szczególnie w chwili gdy weszło do niego dwóch uzbrojonych mężczyzn w oliwkowozielonych mundurach Chosun Inmingun, Koreańskiej Armii Ludowej. Na ramionach przewieszono mieli karabiny AK-47. Gdy zajęli pozycje blisko drzwi, do pomieszczenia weszło następnych czterech mężczyzn. Stanęli przed Hwangiem, za sofą. Wiedział, że należą do sekcji piątej Wydziału Kierownictwa Komitetu Centralnego Partii, osobistej ochrony Dae Wonsu. Za nimi weszło kolejnych dwóch mężczyzn w mundurach w stylu Mao. Zapewne byli osobistymi sekretarzami albo kimś w tym rodzaju.

Wkrótce powinien zjawić się Choi i Hwang w końcu pozna przyczynę tego spotkania. Może przywódca przedstawi mu swoją decyzję w sprawie zagranicznego partnerstwa w kopalni minerałów ziem rzadkich w Chöngju. Odkąd przed tygodniem Chiny wycofały się z tego projektu, trwała dyskusja, czy ściągać ich ludzi z powrotem, jeżeli nie jako współników, to przynajmniej jako pracowników zagranicznych. Personel Hwanga przekazał wszystkie istotne fakty i dane dotyczące tego, czego potrzebuje Chöngju, przemilczając jednak to, że obsługa kopalni nie ma szans na powodzenie bez pomocy z zewnątrz. Spodziewał się jednak, że najwyższy przywódca dojdzie do tego samego wniosku.

Sekretarka w mundurze major Chosun Inmingun weszła z urządzeniem do zapisu stenograficznego i zajęła miejsce na krześle przy sofie naprzeciwko Hwanga. Kiedy jej urządzenie było już gotowe do pracy, skłoniła się Hwangowi, a on odpowiedział jej tym samym.

Powitali się jako *dongmu*, towarzysze.

Wszyscy stali lub siedzieli w milczeniu, czekając przez ponad pół godziny. Hwang mógłby czekać nawet dłużej, ale gdy piękna służąca weszła bocznymi drzwiami i nalała gorącej herbaty do jego filiżanki, wiedział, że nadchodzi Dae Wonsu.

Nikt nie odważył się zmienić wystygłej herbaty przywódcy narodu.

Kilka sekund później Choi Ji-hoon wszedł masywnymi dwuskrzydłowymi drzwiami, w otoczeniu czterech starszych mężczyzn w mundurach wojskowych. Hwang wiele razy widywał już swojego władcę. Należąc do elity Korei Północnej, często bywał na uroczystościach, gdzie pojawiał się

najwyższy przywódca. Hwang jak zwykle oczarowany był mężczyzną o młodej twarzy i w nienagannie skrojonym czarnym garniturze w stylu Mao.

Gdy Hwang poderwał się na nogi, jego zwykle nieruchoma twarz wyrażała teraz niepokromioną radość. Kłaniał się raz za razem zbliżającemu się Choiowi, ale najwyższy przywódca milczał. Taki był sposób witania Dae Wonsu i Hwang doskonale się z niego wywiązał.

Umundurowani zajęli stanowiska pod ścianą; trzymali w rękach notesy i pióra. Uśmiechnęli się do Hwanga, który skłonił się w ich kierunku. Ostrożnie pilnował jakości tych skłonów, by nie okazywać zbytnej służalczości tam, gdzie nie potrzeba, więc i ten nie był tak głęboki jak dla Dae Wonsu.

Choi odpowiedział uśmiechem i usiadł naprzeciwko Hwanga. Przez chwilę milczał, po czym wziął do ręki filiżankę i pociągnął łyk herbaty. Rozejrzał się po salonie, badając otoczenie bystrymi oczami, tak jakby chciał się upewnić, czy jego świta znajduje się na swoich miejscach. Potem przez chwilę patrzył na Hwanga.

– *Dongmu* Hwang, ktoś mi mówił, że twój ojciec był szoferem pułkownika Ahna.

Serce Hwanga podskoczyło, do oczu napłynęły łzy radości. Jego rodzice jeszcze żyli i fakt, że Dae Wonsu wspomniał ojca i wie coś o jego życiu, mogło im sprawić ogromną przyjemność. Siedząc, skłonił się i starając się mówić spokojnym tonem głosu, rzekł:

– Tak, Dae Wonsu, masz rację. Mówiąc o moim ojcu, uczyniłeś wielki zaszczyt mojej rodzinie.

Ale Choi, nie zwracając na to uwagi, kontynuował:

– Chińczycy nie wrócą do Chŏngju. Będziemy pracować dalej bez nich.

Hwang doskonale znał ten temat. Korea Północna obfitowała w cenne surowce, ale wiedział też o ogromnych brakach energii elektrycznej, bez której nie dało się uruchomić, a potem eksploatować kopalni.

Więc jeśli nie Chińczycy, to kto?

Tu, w Korei Północnej, interesy w przemyśle wydobywczym prowadzili też Brazylijczycy, ale nie mieli takiego doświadczenia w eksploatacji minerałów ziem rzadkich jak Chińczycy. Hwang wiedział, że Chŏngju nigdy nie zostałyby odkryte, gdyby nie sąsiedzi zza północnej granicy, i że za jego życia pozyskiwanie surowców, które tam znaleziono, za nie będzie w ogóle możliwe bez pomocy z zewnątrz.

Teraz milczał, nie komentując decyzji przywódcy. Choi przekrzywił głowę, jak gdyby oceniając tę zwłokę w odpowiedzi. Jeżeli Ji-hoon przyjmie to za jakąś oznakę lekceważenia, Hwang wiedział, że może zostać wtedy stracony. Różnice poglądów w Korei Północnej karze się śmiercią, jak jedno z największych możliwych przestępstw.

– Nie zgadzasz się z moją decyzją? – zapytał Choi.

Hwang natychmiast doszedł do siebie. Skłonił się.

– Nie, Dae Wonsu. Oczywiście, w pełni się z tobą zgadzam. Myślałem jedynie o trudnościach z wydobywaniem surowców w Chŏngju. Mieliśmy chińskich partnerów przez prawie cały okres eksploatacji i działanie kopalni w dużej mierze zależało od nich.

– I właśnie to uzależnienie było błędem, jaki popełnił twój poprzednik. Powiedziałem mu, że to wbrew zaleceniom Dżucze. Został ukarany za to, że pozwolił, aby Chiny nie przekazały nam całego procesu technologicznego.

Dżucze to niezależna filozofia Korei Północnej. Obok kultu Choiego tylko ona mogła być

wyznaną quasi-oficjalną religią narodu.

– Tak. Tak, oczywiście, zgadzam się.

– Dobrze.

– Ale...

– Ale?

– Możemy wydobywać rudę. Oczywiście nasz naród jest najlepszy na świecie w górnictwie. – Rzecz jasna, Hwang niczego by nie osiągnął w swojej karierze, gdyby nie stosował metody skalkulowanej przesady, jednak to, co teraz powiedział, było już mocno przesadzonym kłamstwem. – Ale... późniejszą obróbką minerałów ziem rzadkich zawsze zajmowali się Chińczycy.

– Co masz na myśli, mówiąc o obróbce?

To pytanie wprawilo Hwanga w zakłopotanie. Przecież wszystko zawarł już w swoim raporcie.

– W Chǒngju wydobywamy rudę, następnie ciężarówkami wysyłamy ją do Chin. Nasze ziemie rzadkie zawierają trzy minerały: bastnazyt, monacyt i ksenotym. Wszystkie muszą być wpięrw zidentyfikowane, a następnie poddane procesowi kruszenia. Potem, traktując proszek różnymi chemikaliami, oddziela się tlenki ziem rzadkich od innych minerałów. To wysoko wyspecjalizowany proces technologiczny, wymagający wiedzy geologów, chemików, informatyków i innych naukowców.

Choi milczał.

– Czy mamy kontynuować wysyłkę rudy na północ celem jej oczyszczania?

– Rzecz jasna, że nie. Wszystko będziemy robić tu, na miejscu. My mamy nie tylko największe rezerwy minerałów na naszej planecie, ale też najlepszych fachowców, naukowców i technologię do eksploatacji tych surowców. – Hwang zmusił się do ukłonu. Miał wrażenie, że Choi nie tylko rozkazał mu stworzyć nieistniejący dotąd przemysł, lecz także domagał się wdrożenia procesu technologicznego, o którym nikt w Korei Północnej ani nie słyszał, ani którego nie widział.

Choi podniósł wzrok na otaczających go uzbrojonych mężczyzn. Hwang nie wiedział dlaczego, ale nie podobało mu się jego milczenie.

– Możemy rozwinąć możliwości w zakresie obróbki – powiedział, aby przerwać ciszę, i zaraz dodał: – Staniemy się w tym najlepsi na świecie.

Choi uśmiechnął się i Hwang pomyślał, że spotkanie dobiegło końca. Jednak przywódca jeszcze nie skończył.

– Doskonale. Zapewnię ci wszelką pomoc, żeby wszystko poszło gładko. Może dziwisz się, po co to wszystko. Ta kopalnia może jednak przynieść naszemu narodowi ogromne bogactwo, a tego potrzebujemy, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Mówiąc to, nie chcę, żebyś wszystko robił zbyt pośpiesznie; wiem, że cały proces będzie wymagał od ciebie wysiłku. – Uniósł wzrok, jakby zastanawiał się, szukając czegoś na suficie, i dodał: – Chcę, żebyś uczynił kopalnię Chǒngju dochodową w ciągu...

Spojrzał na Hwanga. Mężczyzna miał wrażenie, że przywódca wybiera właśnie termin z sufitu, chociaż nie wydawał się świadomy złożoności zadania. Mógł nawet nie wiedzieć, na czym polega przemysł wydobywczy minerałów ziem rzadkich. Wątpił, czy Choi da mu wystarczająco dużo czasu. Spodziewał się, że będzie potrzebował co najmniej dziesięciu, może piętnastu lat.

Ale zamiast tego Choi powiedział:

– W ciągu osiemnastu miesięcy.

Hwangowi udało się uniknąć okazania strachu, jedynie dolna warga drgnęła mu lekko. Czekał go zadanie było niewykonalne, wiedział jednak, że jakakolwiek dyskusja z tym, co powie Dae Wonsu, jest niemożliwa.

Hwang kochał swojego przywódcę. Aby tak było, cały naród, w tym jego rodzice, przeszedł skuteczne pranie mózgow. Mężczyzna sam nigdy nie kwestionował decyzji Choia, był w stu procentach lojalny. Ale nawet przy tak bezgranicznym oddaniu władcy wiedział, że to, co teraz powiedział przywódca, było czystym szaleństwem.

Po krótkim wahaniu Hwang Min-ho odrzekł:

– Oczywiście. Jako nowy dyrektor Koreańskiej Korporacji Handlowej do spraw Zasobów Naturalnych przyrzekam, że będziemy ze wszystkich sił starali się wypełnić powierzone zadanie. – Po chwili dodał: – Bylibyśmy też zaszczytzeni, mogąc korzystać z twojej nieustającej rady.

Choi skinął głową z radosnym wyrazem twarzy, który sprawił, że teraz wyglądał na naprawdę zadowolonego z rozmowy, i wstał.

Hwang także podniósł się szybko z miejsca i zwyczajowo rozciągnął usta w szerokim uśmiechu, równocześnie kłaniając się nisko z pełną służalczością. Nawet jeśli spodziewał się, że dokładnie za osiemnaście miesięcy jego przywódca wyśle go do obozu pracy.

Dzień dzisiejszy

Jack Ryan junior obudził się w ciemności ze spuchniętymi oczami i pustką w głowie. Nie miał pojęcia, gdzie się teraz, u diabła, znajduje. Słyszał, jak krople deszczu bębnią za nim o szyby, i usiłował przypomnieć sobie minione wypadki.

To przypomina zmęczenie podróżą samolotem, spowodowane różnicą czasu. Gdzie byłeś tym razem, Jack?, zapytał sam siebie.

Bardzo wolno, z powodu piekielnego zmęczenia, zaczął sobie przypominać. Wietnam, Hazelton, motocykliści, pachnący śmiercią samolot do domu przez połowę kuli ziemskiej, zmęczenie po lądowaniu w Baltimore poprzedniego dnia wieczorem.

Wtedy uświadomił to sobie w pełni. Wiedział, gdzie jest.

Był w domu. W nowym domu na osiedlu zbudowanym w pobliżu rzeki Potomak w Old Town Alexandria w Wirginii. Tyle podróżował, że ledwo pamiętał własny dom. W końcu wytoczył się z łóżka i skierował do kuchni, licząc na to, że uda mu się znaleźć drogę w ciemnościach.

Jack kupił dom przy Oronoco Street przed sześcioma tygodniami, ale to miejsce ciągle było dla niego czymś nowym i nieznanym. Został zaangażowany w serię zadań operacyjnych, przez które podróżował po całym świecie – nawet w ostatnim tygodniu, gdy razem z innymi członkami oddziału wyruszył do Azji na specjalną akcję. W tym momencie Ryan uświadomił sobie, że od przeprowadzki spędził w tym domu zaledwie sześć, siedem nocy. Nic dziwnego, że budząc się wczesnym rankiem po wyczerpującym locie dookoła świata, nie był pewien, gdzie się dokładnie znajduje.

Walcząc z oszołomieniem, napełnił ekspres do kawy wodą, włączył go i wepchnął kubek pod kranik. Stojąc z zamkniętymi oczami, słuchał, jak maszyna bulgocze i napełnia kubek czarnym, gorącym płynem. Jack był smakoszem tego napoju i to, że teraz wypełnił ekspres tylko specjalnymi kapsułkami, nie mogło nijak zastąpić prawdziwej kawy ziarnistej. Jednak pośpiech zwyciężył, zabijając tym samym aromat i smak.

Jack stał w ciemnej kuchni, pił czarną kawę i trzeźwiał. Paliła mu gardło, jednak teraz właśnie tego potrzebował. Jego umysł ciągle był gdzieś w Azji, a poza tym jeszcze dziś Ryan musiał wrócić do pracy.

Na zewnątrz rozległ się grzmot i Jack wrócił na górę, aby wziąć prysznic.

Kilka lat mieszkał w Kolumbii w stanie Maryland, ale przeprowadził się z prostej przyczyny – przeniosła się tutaj także jego firma. Przez wiele lat biura Hendley Associates mieściły się na północy Dystryktu Kolumbii, w West Odenton w Maryland, ale budynek został zamknięty przed wieloma miesiącami po tym, jak chińscy agenci odkryli istnienie Kampusu. Jednostka chińskich służb specjalnych zaatakowała to miejsce i zabiła kilku pracowników. Zagrożenie zostało co prawda zażegnane, lecz zarówno „biała strona” Hendley Associates, jak i „ciemna strona” – Kampus – zniknęły z tego miejsca, żeby nie narażać ludzi i zapobiec dalszym stratom.

Od tego zdarzenia Gerry Hendley spędzał mnóstwo czasu, szukając nowej lokalizacji, i ostatecznie zdecydował się na budynek tu, w Old Town Alexandria. Nowa siedziba Hendley Associates mieściła się przy North Fairfax Street, w czteropiętrowym budynku biurowym z cegły, z widokiem na rzekę Potomak i miejsce, gdzie zaczynał się Dystrykt Kolumbii. Okazało się, że nowa lokalizacja jest idealna dla potrzeb organizacji. Nic dziwnego, skoro wybudował go dla wywiadu rządowego były generał armii USA, zanim przeniósł biura gdzieś na teren Dystryktu.

Ryan włożył do pracy szary garnitur w prążki z czerwonym krawatem. Strój kontrastował nieco z gęstą, ciemną brodą i z odrobiną zbyt długimi brązowymi włosami opadającymi na kołnierzyk, lecz to było dla niego ważniejsze od garnituru. Jego ojciec piastował urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, zatem Jack musiał się bardzo starać, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Osiągał na tym polu podobne sukcesy, jak w czasie misji. W ostatnich kilku miesiącach tylko dwa albo trzy razy ktoś zwrócił się do niego z zapytaniem, czy Jack Ryan junior „faktycznie jest synem prezydenta USA”.

Po sprawdzeniu garnituru w lustrze i otrzepaniu go z włosków podszedł do nocnego stolika i podniósł czarny pistolet w skórzanej kaburze, który przeleżał tam całą noc obok zegara. Wsunął broń za pasek spodni po prawej stronie, a potem z lewej umieścił małą skózaną torebkę z zapasowym magazynkiem.

Ludzie pracujący w Kampusie doceniali przenosiny do Wirginii z kilku powodów, ale jedną z największych dodatkowych korzyści była swoboda w noszeniu broni palnej. Zupełnie inaczej wyglądało to w pobliskim Dystrykcie Kolumbii i Maryland, gdzie panowały duże obostrzenia. Jack używał przede wszystkim austriackiego glocka 19, krótkiego, czarnego, prawie niczym niewyróżniającego się pistoletu z szesnastoma nabojami kalibru 9 mm z pociskami grzybkującymi. Była to prosta i skuteczna broń bez dodatkowych gadżetów, których zwykle jest mnóstwo w pistoletach służących osobistemu bezpieczeństwu. Wystarczy ją załadować – jeżeli ktoś używa jej w celach obronnych – i za każdym pociągnięciem spustu wystrzeli pocisk. Nie miała żadnych superdźwigni, przycisków albo guzików zwalniających ten proces.

Ryan uważał siebie bardziej za analityka niż rewolwerowca, jednak w ciągu swojej pracy w Kampusie wiele razy brał udział w strzelaninach. W końcu stało się to stałym elementem tej roboty, więc Ryan tak często chodził uzbrojony, jak tylko było to możliwe.

Jack junior otworzył parasol na zadaszonym ganku, zamknął drzwi do domu i opuścił posiadłość tylną furtką od ogrodu. Minął swojego czarnego mercedesa klasy E zaparkowanego na podjeździe i ruszył ulicą.

Ryan lubił chodzić pieszo do pracy nawet wtedy, gdy panował wzmożony ruch na obwodnicy i o parasol bębnił poranny deszcz.

Kilka minut później strącał u wejścia do Hendley Associates krople deszczu z parasola i po zadzwonieniu został wpuszczony do lobby przez jednego z czterech strażników wewnętrznych.

W ochronie organizacji zatrudnionych było dwunastu uzbrojonych strażników. Wszyscy należeli kiedyś do CIA – byli głównie paramilitarnymi agentami operacyjnymi z dostępem do najtajniejszych materiałów i środków bezpieczeństwa. Teraz pracowali jako *static security* w sektorze prywatnym. Wiedzieli, że ochraniają przez nich organizacja działała u ukryciu i zajmowała się wywiadem, lecz

tylko tyle informacji wymagała pełniona przez nich funkcja.

Syn prezydenta Stanów Zjednoczonych pracował dla Hendley Associates jako analityk. Zjawiał się tu każdego dnia o ósmej rano, o ile, oczywiście, nie znajdował się poza miastem. Nikt z ochrony nie miał pojęcia, że Ryan wykonuje jakieś tajne operacyjne dla tej organizacji, jednak z drugiej strony nie wiedzieli również, czym dokładnie zajmują się ludzie pracujący na najwyższym piętrze. Ochroniarze zakładali jedynie, że dzieciak prezydenta Stanów Zjednoczonych wyjeżdża w teren głównie w celu prowadzenia jakichś analiz finansowych dla Gerry'ego Hendleya.

Szef ochrony Hendley Associates, Bryce Jennings, był czterdziestosiedmioletnim byłym wojskowym należącym kiedyś do elitarniej formacji lekkiej piechoty zwanej *rangers*. Jennings ogólnie był znaną postacią. Po odejściu z wojska spędził dziesięć lat w CIA, zajmując się ochroną budynków Agencji. W czasie pełnienia tej funkcji został zbombardowany w Bagdadzie i ostrzelany w Kabulu. Unieszkodliwiał wrogów, którzy próbowali przeszkodzić w realizacji misji specjalnej w Sanie, a potem w Manili. Kiedyś pomógł też ocalić ambasadora USA w Tunezji, gdy kapitan miejscowej policji próbował go uprowadzić.

Jennings widział dużo w swojej karierze, ale z przyjemnością porzucił to wszystko, by móc spędzać więcej czasu z żoną i małą córeczką tu, w Stanach. Skorzystał więc z okazji i objął obecne stanowisko, uroczyście zapewniając Gerry'ego Hendleya, że będzie podchodził do swojego zadania z taką samą odpowiedzialnością w Alexandrii w Wirginii, jakby to była Aleksandria w Egipcie.

Ryan wszedł po chwili do małego lobby i powiesił parasol na wieszaku.

Bryce siedział za biurkiem przy windzie.

– Dzień dobry, Jack. – Witając się z nim, próbował zwracać się do niego „panie Ryan” przez pierwsze sześć, siedem dni, lecz mężczyzna za każdym razem go poprawiał i w końcu Jennings ustąpił. Teraz pozostał tylko Jack.

– Hej, Bryce – odparł Ryan. – Dziś wieczorem Nats i Phillies, jeżeli deszcz nie przestanie padać.

– Kurde, racja. Będę tam. Phillies zaatakują, ale mamy przecież Gonzaleza na stanowisku miotacza. *No problem*.

Ryan kibicował Oriolesom, ale wiedział, że Jennings żył i oddychał Washington Nationals. Zawsze zabierał swoją sześcioletnią córeczkę na mecz, jeśli tylko miał dzień wolny od pracy.

Gdy Ryan ruszył do windy, rzucił jeszcze do Jenningsa:

– Powodzenia dziś wieczorem, ale Oriolesi mogą trafić na podwójną grę w sobotę, więc lepiej módl się o deszcz.

Oczy mężczyzny zwęziły się z udawaną powagą.

– Ty naprawdę powinieneś zacząć kibicować rodzimej drużynie, no wiesz. Twój ojciec też.

Jack wszedł do windy i odwrócił się.

– Och, kibicujemy. Ale Dystrykt Kolumbii nie jest naszym domem. Dla żadnego z nas nie jest, Bryce.

Jennings potrząsnął głową i drzwi windy zamknęły się.

Po ataku Chińczyków na Kampus tajna organizacja wywiadowcza zmniejszyła się do stosunkowo niewielkiej ekipy, co odzwierciedlało się w ich biurach. W budynku pracowało mniej niż siedemdziesiąt pięć osób, a połowa z nich działała wyłącznie po stronie „białej”. Pierwsze dwie kondygnacje budynku poświęcono tylko interesom handlowo-finansowym. Na trzecim piętrze

znajdowały się pomieszczenia dla specjalistów od IT obu jednostek, były tam też pokoje konferencyjne i małe pomieszczenie rekreacyjne. Na samej górze swój wielki gabinet miał Gerry Hendley, tam umieszczono również biura Kampusu. Magazyn ze sprzętem, główny system komputerowy oraz centrum operacyjne Kampusu mieściły się w specjalnie zabezpieczonych piwnicach budynku.

Winda Jacka zatrzymała się na pierwszym piętrze. Wsiadł do niej Gavin Biery i nacisnął przycisk drugiego piętra. Gavin był dyrektorem IT Kampusu i choć nikt z pracujących w operacyjnej części budynku nie chciał powiedzieć tego na głos, Kampus nie mógłby bez niego istnieć.

– Dzień dobry, Gav.

– Witaj w domu, Ryan. Mieliście, chłopcy, fajne wakacje, co?

Zwykle Biery wspierał działania Kampusu za pomocą swojego systemu tutaj, w Wirginii, ale akcja w Wietnamie rozpoczęła się niespodziewanie i nie zaangażowano w nią Gavina. Mimo to wciągano go we wszystko, co robili agenci Kampusu, więc Ryan wiedział, że nie musi ukrywać szczegółów operacji.

– Och, to dopiero było grzanie – stwierdził. – Na moich oczach został zabity nasz obiekt. Ding i Sam wdali się w strzelaninę, a Clark wynajętym autem rozpląszczył na bruku faceta. A jak twój weekend?

Winda zadzwoniła, stanęła i drzwi otworzyły się na piętrze Gavina. Informatyk wysiadł z półotwartymi ustami, niepewny, czy Ryan mówi poważnie. W końcu udało mu się wykrztusić:

– Żałuję, że ominęła mnie ta akcja.

Gavin kilka razy w swojej karierze towarzyszył oddziałowi, zapewniając wsparcie informatyczne, i mimo ograniczonego doświadczenia uważał, że byłby w pełni sprawnym agentem również w terenie. Pozostali członkowie oddziału traktowali jego stwierdzenia z przymrużeniem oka, chociaż ten komputerowy mądrała wykonywał w czasie akcji naprawdę godną podziwu robotę.

– Twoje piętro, Gav – rzucił Jack.

– Zgadza się – odparł Biery i wszedł do korytarza, nadal niepewny, czy Ryan przypadkiem nie nabiera go tą historią z Azji.

Jack skierował się tymczasem do biura na czwartym piętrze, żeby po drodze do kuchni podrzucić bagaż. Idąc korytarzem, zobaczył jednak jakiegoś mężczyznę, siedzącego na skraju jego biurka. Kiedy podszedł bliżej, poznał kuzyna, Dominica Carusa.

Westchnął. Nie widzieli się prawie trzy miesiące. Dom był tak samo jak Jack agentem operacyjnym Kampusu, ale wielu agentów wysyłano ostatnio na specjalistyczne szkolenia w różnych krajach, i tak krążyli po całym świecie. Dom przebywał na swoim znacznie dłużej niż pozostali, więc nie rozmawiał z Jackiem od wielu tygodni, nie wymieniali nawet maili.

Teraz objęli się i uściskali.

– Cieszę się, że cię widzę, kuzynie! – zawołał Caruso. Gdy odsunęli się od siebie, przez chwilę boksowali się, wymieniając po kilka uderzeń w piersi; takie wygłupy dużych chłopców.

– Ja też się cieszę – odparł Ryan. – Kurde, Dom. Długo byłeś na tym szkoleniu. A ja z chłopcami harowałem ciężko, gdy ty leżałeś na ciepłej macie judo.

Caruso pokręcił głową.

– Doprawdy? Gerry nic ci nie mówił?

Teraz to Ryan zaprzeczył.

– O co chodzi?

Caruso zawahał się. W końcu odpowiedział:

– Nieważne. Jeżeli Gerry ci nie powiedział, to zapewne nie musisz wiedzieć.

Prawdą było to, że Dom Caruso w minionych kilku tygodniach toczył własną bitwę. Ta walka przeniosła go z subkontynentu indyjskiego do Ameryki Środkowej, a potem do Europy, kiedy próbował powstrzymać potencjalnie groźny przeciek, w wyniku którego wywiad mógłby wpaść w ręce Irańczyków. Członkowie oddziału byli trzymani od tego z dala, ale Dom nie domyślał się aż do dziś, że nie zostali nawet poinformowani, że w tej akcji grozi mu śmierć.

Hendley wiedział, w co Dom został wciągnięty, ale utrzymywał resztę członków w nieświadomości. Bezpieczeństwo operacyjne. Zwykle w takich wypadkach Caruso słyszał z ust Hendleya takie wyjaśnienie. Miało to sens, chociaż na Domie sprawiało bardziej wrażenie, jakby w czasie ostatniej misji puszczono go zupełnie samego, bez wsparcia.

– Opowiedz mi o tym. – Ryan wyrwał go z rozmyślań. – Masz coś interesującego?

– Później – odparł Dom, niezupełnie przekonany, czy teraz powinien mówić cokolwiek o swojej misji. – Słyszałem, że twoi chłopcy zostali wysłani do jakiejś roboty. Coś się stało?

Jack wzruszył ramionami, po czym poklepał kuzyna po plecach.

– Weź kubek, naleję ci kawy.

John Clark przybył do swojego gabinetu na czwartym piętrze krótko po ósmej. Zaraz po odłożeniu teczek złapał za telefon i połączył się z gabinetem Jacka Ryana juniora na końcu korytarza.

Jack odebrał po drugim sygnale.

– Hej, John.

– Zgaduję, że Dom jest właśnie u ciebie i obaj o czymś pieprzycie.

Ryan odchrząknął.

– Musimy nadrobić trochę zaległości.

– W porządku. Przyślij go do mnie, zanim skończycie.

– Robi się.

Minutę później Caruso wchodził do gabinetu Clarka i zamykał za sobą drzwi. Uścisnęli sobie dłonie.

– Myślałem, że najpierw zajrzysz do mnie – powiedział Clark. – W ubiegłym tygodniu znaleźliśmy się w ekstremalnej sytuacji.

– Tak, słyszałem. Nie znam jeszcze szczegółów, ale Jack coś wspominał. Nie wyglądało jednak na to, aby wiedział, czym ja się zajmowałem.

– Gerry i ja postanowiliśmy nie wyjawiać niektórych tajnych operacji. Ostatnio pracowałeś jako singiel. A gdy agent działa w terenie w pojedynkę, to nie powinni o tym wiedzieć inni.

– Rozumiem – odparł Dom.

– Dobrze. – To zdanie kończyło sprawę i Caruso nie mógł już więcej rozmawiać o swojej misji z innymi członkami zespołu. – Jak się czujesz? Gotowy, by wrócić do pracy?

– Oczywiście.

– Muszę wprowadzić cię w to, co się stało w Wietnamie. O dziesiątej przed południem odbędzie

się spotkanie, na którym podejmiemy decyzję, co dalej.

Dom podniósł się z krzesła.

– Chętnie posłucham.

Rok wcześniej

Kolumna pięciu opancerzonych luksusowych pojazdów podjechała do tego samego punktu kontrolnego, który dyrektor kopalni Hwang minął godzinę wcześniej. Mężczyzna prowadzący pierwszy samochód przedstawił jakieś dokumenty umundurowanemu strażnikowi i wkrótce pięć aut jechało praktycznie pustą szosą, dużo szybciej niż przedtem Koreańska Korporacja Handlowa do spraw Zasobów Naturalnych. Nie zwalniając, minęły następny punkt kontrolny, pokonały wzgórza i skierowały się do miejsca docelowego.

Kolumna zatrzymała się przy wejściu do rezydencji nr 55 i z samochodów wysiadło osiemnastu mężczyzn, wszyscy w szarych mundurach wojskowych z insygniami wskazującymi na to, że są żołnierzami Koreańskiej Armii Ludowej. Zostali pobieżnie sprawdzeni przez większą grupę uzbrojonych strażników i wkrótce weszli do pałacu.

Jednostką dowodził generał porucznik Ri Tae-jin, pięćdziesięciodwuletni mężczyzna, dumnie kroczący z wypiętą pierśią, na której lśniły liczne medale. Jego twarz pozbawiona była wyrazu, a w spojrzeniu kamiennych oczu wnikliwy obserwator mógłby dostrzec cień smutku.

Sześciu ludzi jego sztabu zostało w korytarzu wejściowym; była to jedynie eskorta, która nie uczestniczyła w dzisiejszym spotkaniu. Następnich sześciu zatrzymało się w pokoju konsultacyjnym na rozmowy z rezydentami i przedstawicielami politbiura. Ri razem z pięcioma pozostałymi minął kolejne strzeżone drzwi i skierował się do prywatnych apartamentów najwyższego przywódcy.

Wspięli się po schodach na pierwsze piętro i weszli do długiego głównego korytarza, gdzie Ri spojrzał na zegar na ścianie i zobaczył, że nadszedł czas spotkania z Dae Wonsu. Cóż, najprawdopodobniej oznaczało to, że teraz będzie siedział i czekał może około godziny. Ojciec Ji-hoona też nigdy nie był punktualny, jednak obecny przywódca chyba czerpał wyjątkową przyjemność ze zmuszania ludzi do czekania na niego.

W połowie głównej galerii Ri i jego towarzysze spotkali niewielką grupę ludzi w cywilnych ubraniach, którzy wychodzili z apartamentów najwyższego przywódcy. Było wśród nich pięciu mężczyzn, lecz prowadziła ich piękna młoda kobieta z obsługi rezydencji. Generał porucznik domyślił się, kto jest najważniejszym członkiem grupy, ponieważ kobieta rozmawiała z nim, podczas gdy reszta szła w ciszy. Kiedy mijali się w korytarzu, Ri przyjrzał się mu uważniej; był to niski, łysy mężczyzna, może kilka lat młodszy od niego.

Generał Ri był trochę zaniepokojony faktem, że nie rozpoznał tego człowieka, bo nieznajomy najwyraźniej wyszedł właśnie z audiencji u najwyższego przywódcy. Jeżeli ten mężczyzna rozmawiał z Dae Wonsu, a nie był co najmniej generałem, to najwyraźniej musiał być kimś ważnym. Jeżeli nawet nie należał do wojska, to Ri czuł, że nie do wybaczenia jest, że nie zapoznał się z jego aktami. Był nowy na stanowisku szefa narodowego wywiadu zagranicznego, a to oznaczało, że nie musiał znać każdego gościa rezydencji nr 55 – to było zadanie dla Ministra Bezpieczeństwa Państwa,

wewnętrznego ramienia wywiadu Korei Północnej – lecz miał obowiązek utrzymywać z każdym generałem Koreańskiej Armii Ludowej dobre stosunki polityczne. Ri znał ważnych ludzi w tym mieście i w tym rządzie.

Ale nie kojarzył zupełnie tego mężczyzny.

Idąc, pochylił głowę w stronę swego doradcy, który tłumaczył mu właśnie to, czego chciał się dowiedzieć – jakby czytał Ri w myślach.

– Hwang Min-ho. W zeszłym tygodniu objął stanowisko nowego dyrektora Koreańskiej Korporacji Handlowej do spraw Zasobów Naturalnych.

Ri skinął głową, tak jakby już o tym wiedział. Słyszał to nazwisko. Znał też rozkaz, jaki otrzymał szef Hwanga. Wywleczono go z domu w bieliźnie i odtransportowano śmigłowcem do obozu reedukacyjnego. Wyobrażał sobie, że ten gnojek w ciągu sześciu tygodni będzie trupem.

W drodze pomyślał, że reedukacja została zakończona, lecz zastanawiał się teraz nad tym Hwangiem.

– Chcę mieć jego akta. Skontaktuj się z Ministerstwem Bezpieczeństwa Państwa. Wymyśl jakiś powód.

Jego głos odbijał się echem od drewnianej podłogi i Hwang mógł go słyszeć, jeśli jego słowa nie zginęły wśród odgłosów kroków dwunastu mężczyzn i kobiet.

Kilka minut później Ri zostawił ostatnich członków swojej grupy i siedział teraz samotnie w pełnym złocień gabinecie. Wiedział, że Choi miał dwanaście takich pomieszczeń w dwunastu miejscach rozsianych po całym kraju. W tym tutaj, a także w pozostałych odbywał wiele spotkań, ale nigdy w żadnym nie przebywał sam.

To było dziwne.

Ri nie wiedział, po co go dziś wezwano i pozbawiono asysty doradców. Może takie były wymogi formalne albo formuła powitania go na nowym stanowisku w RGB, Generalnym Biurze Rozpoznania, chociaż nie wydawało się to prawdopodobne. Gdyby miało tak rzeczywiście być, wówczas wszystko odbywałoby się w towarzystwie pomocników, dziennikarzy i tłumu fotografów czekających na to, aby zostać świadkami wydarzenia.

Zatem chodziło tu o coś innego. Tylko o co?

Ri służył w wojskowym wywiadzie już od ponad ćwierć wieku. Był człowiekiem inteligentnym, ale obecnie ten scenariusz wydawał się pozbawiony sensu.

Mimo że człowiek, który miał go wkrótce przyjąć na audiencji, decydował o życiu i śmierci każdego cywila w państwie, Ri nie musiał się przynajmniej obawiać o siebie. Wiedział, że gdyby Choi chciał jego śmierci, z pewnością nie wzywałby go na osobiste spotkanie.

Tego rodzaju sprawy załatwiano przez pełnomocnika, o czym Ri Tae-jin doskonale wiedział.

Tydzień po objęciu stanowiska szefa RGB generał porucznik Ri otrzymał tylko dwa rozkazy z biura najwyższego przywódcy. Pierwszy to aresztować swojego poprzednika. Zrobił to niechętnie. Współpracował z generałem Gangiem przez ponad dziesięć lat i jednak go lubił.

„Zbrodnia” Ganga dotyczyła ostatniego nieudanego testu międzykontynentalnego pocisku balistycznego. Za rakiety takie jak ta, która eksplodowała nad oceanem, odpowiadało Biuro

Kierowania Rakietami Koreańskiej Armii Ludowej, natomiast Generalne Biuro Rozpoznania, na czele którego stał generał Gang, nie było bezpośrednio związane z lotem rakiety. Aresztowano kilku dyrektorów Biura Kierowania Rakietami, lecz RGB było w to tak samo zaangażowane, ponieważ ich dawno ustalony plan opierał się na skradzionym francuskim aerokosmicznym oprogramowaniu, które haker źle odczytał. Choi skojarzył tę interpretację z testem, który się nie powiódł, i rozkazał dyrektorom obu biur opuścić gabinety.

Tego samego dnia dotarło do Ri drugie przesłanie od Choia. Było to krótkie, bezpośrednie pismo rozkazujące stracić generała Ganga w ciągu dwudziestu czterech godzin. Miała to być zapłata za hańbę, do jakiej doprowadził.

Na dole strony do rozkazu zostało dodane jedno słowo.

Właśnie ono określało sposób dokonania egzekucji:

Psy.

Ri siedział wtedy oszołomiony w swoim gabinecie przez piętnaście minut. Czując mdłości, trzymał papier z rozkazem w palcach, aż nagle rozległ się sygnał telefonu i przywrócił go do rzeczywistości. Dzwonił starszy minister z biura Choia – jego słowa miały wagę słów Dae Wonsu – pytając, czy rozkaz jest dla niego zrozumiały.

Z tym nie było problemu. Ri doskonale wiedział, co kazano mu zrobić. Jego stary mentor miał zostać rozszarpany przez wygłodzone psy trzymane w obozie pracy Chongjin jedynie w tym celu. Ri potwierdził ministrowi, że rozkaz zostanie jak najszybciej wykonany.

Ale było coś jeszcze. Minister polecił, aby Ri osobiście śledził egzekucję, żeby została wykonana zgodnie z instrukcjami.

Ri odpowiedział, że zrozumiał i zastosuje się, ale znał prawdziwy powód, dla którego miał jechać do Chongjin i przyglądać się, jak jego przyjaciel i mentor umiera straszną śmiercią. Był do tego zmuszony, ponieważ jako nowy dyrektor musiał wypełniać dokładnie wszystkie swoje zadania, a to było najlepszym sposobem, by pokazać mu, jak może skończyć, jeśli zawiedzie najwyższego przywódcę.

I rzeczywiście, nowy dyrektor północnokoreańskiej służby wywiadu zagranicznego miał przed oczami śmierć swego poprzednika, przed tygodniem rozszarpanego zębami siedmiu psów. Cały czas nawiedzały go te same koszmary. W swoich snach co prawda nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji jak Gang, lecz w realnym świecie z łatwością mogłoby się to zdarzyć, gdyby stracił zaufanie Choia. Co noc był więc świadkiem egzekucji.

Dreńczęce go koszmary powtarzały się i były identyczne z prawdziwym wydarzeniem sprzed kilku dni.

Kiedy Ri siedział w złoconym ceremonialnym gabinecie, jego myśli wędrowały do psiarni, a potem do następnego horroru. Wkrótce po śmierci Ganga ten koszmar stał się powszechnie znany w Generalnym Biurze Rozpoznania, gdy zgładzono całą rodzinę byłego dyrektora. Żona, trójka dorosłych synów z żonami, a nawet ich małe dzieci – wszyscy zostali zabrani nocą do Chongjin i rozstrzelani. Nie odczytano im żadnego oskarżenia i nie wyjaśniono, dlaczego mają umrzeć.

Ri miał problemy z usunięciem tych potwornych myśli o losie kolegi i jego rodziny z głowy, ale szybko otrzeźwiał, gdy do gabinetu weszła grupa złożona z sekretarzy, generałów i strażników, a na koniec pojawił się sam Dae Wonsu. Choi niósł w jednej ręce kieliszek koniaku, a w drugiej

chusteczkę. Miał na sobie czarny garnitur typu Mao. Ri nie widywał go w niczym innym poza mundurem, który przywódca zakładał z okazji uroczystości wojskowych. Wiedział też, że oczy Choia są niebywale ruchliwe, rzucał spojrzenia po całym pokoju, na obu idących przed nim generałów i na zupełnie przypadkowe przedmioty. Zerknął teraz na zegar, na pojemnik z wodą i portret ojca na ścianie. Potem odezwał się bez żadnego wstępu:

– Nie byłeś zaangażowany w nieudaną operację zdobycia oprogramowania kierującego z Francji.

Ri nie wiedział, czy to było pytanie, czy stwierdzenie. Potrząsnął głową.

– Nie, Dae Wonsu. W ogóle nie jestem wciągnięty w nasze cyberoperacje.

Wydawało mu się, że Choi już o tym wiedział.

– Błędy generała Ganga nie rzucają na ciebie cienia. Mam do ciebie pełne zaufanie.

Ri skłonił się cztery razy i podziękował najwyższemu przywódcy, który wydawał się zadowolony z tych ukłonów. Po chwili Choi powiedział:

– Biuro Kierowania Rakietami powinno było lepiej działać, ale generał Gang nie miał okazji dostarczyć mu pomocy i popełnił błąd.

Ri wiedział, co było dla niego korzystne. Głośno wyraził swą aprobatę.

– Martwi mnie, że... – Choi spojrział na kieliszek z koniakiem. – Podobnie jak mój ojciec i dziadek, ja też lubię badać historię.

– Wszyscy o tym dobrze wiemy, Dae Wonsu.

– I nic tak bardzo mnie nie szokuje jak to, co dzieje się na Ukrainie, w Libii i w Iraku. Kiedy takie państwa wyrzekają się najskuteczniejszej broni, nie otrzymując w zamian żadnej nagrody w postaci dobrych relacji z sąsiadami i tym podobne, to stają się po prostu miernotami, potulnymi barankami.

– Tak – zgodził się Ri. Okej, zatem w końcu zaczniemy mówić o problemach w Biurze Kierowania Rakietami, pomyślał.

Choi wypił łyk koniaku.

– Musimy produkować lepsze rakiety. Niezawodne, zdolne polecieć dalej. Musimy to rozwijać, rozwijać, rozwijać!

– Całkowicie się z tym zgadzam – odparł Ri. Nieustannie to słyszał, bez względu na temat rozmowy.

Choi Ji-hoon usłyszał słowa „nie zgadzam się” ostatni raz, gdy miał dziewięć lat.

– Mamy w naszym arsenale broń plutonową. Robimy postępy w zakresie wzbogacania uranu. Miniaturyzujemy pociski, aby można je było przenosić w głowicach bojowych. Nasz kraj ma siłę, ale brak nam mechanizmu, by pokazać ją światu. Potrzebujemy rakiet balistycznych zdolnych przenosić nawet same głowice bojowe.

Ri przekrzywił zaskoczony głowę.

– Mówiono mi, że system Rodong jest doskonały, co potwierdza ostatnia udana próba. Informacje otrzymałem z Generalnego Biura Rozpoznania. Czyżbym został wprowadzony w błąd?

Choi machnął ręką.

– Rodong ma zasięg dziewięciuset kilometrów. To broń defensywna. Możemy nią zetrzeć Seul z powierzchni ziemi, ale nie chroni nas przed Ameryką. A oni chętnie poświęciliby Koreę Południową, aby zniszczyć nas, Koreę Północną. Nam jest potrzebne coś, co dosięgnie Stanów Zjednoczonych. Taepodong-2 jest niesprawny mimo tego, co mi powiedziano w Generalnym Biurze

Rozpoznania, i uważam, że zbyt szybko to się nie zmieni.

Ri założył, że dowódcy wojskowi otrzymali już od wielkiego marszałka reprimendę. Na szczęście on i jego departament nie ponosili odpowiedzialności za stan i działanie systemów balistycznych.

Jednak Ri obawiał się, że to się może zmienić.

Choi pochylił się do przodu.

– Nasi wojskowi, nasi naukowcy, oni wszyscy nie potrafią dostarczyć potrzebnej nam technologii. Dlatego muszę zwrócić się gdzieś indziej i ściągnąć ją z zewnątrz.

Ri pomyślał o sankcjach dotyczących rozprzestrzeniania broni nuklearnej. O blokadzie morskiej, kontrolach statków handlowych na Morzu Żółtym i Morzu Japońskim. Pomyślał o ścisłej kontroli produkcji i sprzedaży towarów oraz surowców związanych z budową rakiet, łącznie z podwójnymi systemami zabezpieczeń Zachodu bojącego się, że materiały te będą przemycane do Korei Północnej.

Krótko mówiąc, myślał o dziesiątkach stojących przed nim barier, ale powiedział tylko tyle, ile mógł:

– Oczywiście, Dae Wonsu. Nie zawiodę.

– Masz trzy lata.

Pomyślał o siedmiu psach w Chongjin i zastanawiał się, czy są już znów wygłodzone po skonsumowaniu generała Ganga.

– Trzy lata? Trzy lata na...

– Trzy lata, żeby się przekonać, czy Taepodong-2 jest sprawne, razem z naszym Biurem Kierowania Rakietami.

Fioletowa żyłka na czole Ri nabrzmiała i przez moment pulsowała, jednak mężczyzna nie okazał żadnej reakcji.

– Nie jest to zbyt wiele czasu.

– Trzy lata to znacznie więcej, niż powinienem ci dać. Czy nasz naród ma trzy lata do ataku wroga?

– Muszę wyznać, że nie wiem – odparł generał, starając się mówić wyważonym głosem.

– Nie, nie wiesz. Jedynym sposobem powstrzymania ataku jest Taepodong-2. Sprawny i niezawodny. To zadanie muszą odrobić nasi naukowcy nuklearni. Mają już zminiaturyzowaną bombę, którą można przenieść w głowicy bojowej rakiety, ale nie potrafimy jej jeszcze wysłać na teren Stanów Zjednoczonych.

Choi uniósł wyprostowane trzy palce.

– Trzy lata. Trzy lata, a potem znajdę kogoś innego.

Ri wiedział, co się z nim stanie, jeżeli Choi postanowi znaleźć kogoś innego.

Dzień dzisiejszy

Krótko przed dziewiątą rano trzy duże suburbany podjechały do garażu pod siedzibą Hendley Associates przy North Fairfax Street. Zatrzymały się u wejścia i jednocześnie otworzyły się wszystkie, niewidoczne od ulicy drzwi samochodów, przez które wysiedli uzbrojeni młodzi mężczyźni. Za nimi wyszła ze środkowego auta dystygowana, sześćdziesięcioletnia kobieta i ruszyła prosto do wejścia, gdzie powitał ją Gerry Hendley, były senator z Południowej Karoliny i dyrektor Hendley Associates oraz Kampusu.

Gerry odniósł wrażenie, że dyrektor Wywiadu Narodowego Mary Pat Foley jest trochę zniechęcona i zmęczona. Domyślał się, że ciężko pracuje, odkąd zaczęła pełnić swoją funkcję. Stała na szczycie urzędniczej hierarchii w Stanach, a tym samym na szczycie całej światowej społeczności wywiadowczej, a taka pozycja oczywiście łączyła się z długimi godzinami ogromnego stresu. Poza tym Gerry dostrzegał, że coś dręczy teraz Mary Pat.

Wjechali windą na czwarte piętro, po czym udali się do pokoju konferencyjnego.

– Podoba mi się to wasze nowe miejsce – powiedziała kobieta, kiedy wychodzili na korytarz.

Próbowała się uśmiechnąć. Gerry od lat znał Mary Pat i jej męża, Eda, i mógł powiedzieć, że w ten sposób lubiła zaczynać niezobowiązujące rozmowy. A on lubił z nią rozmawiać.

– Bardzo ci dziękuję. Mieliśmy po prostu szczęście. Udostępnił je nam prywatny wojskowy kontrahent i wprowadziliśmy się. Spełniało wszystkie nasze potrzeby, po prostu przekreśliśmy klucze w zamkach i włączyliśmy komputery.

Skinęła uprzejmie głową.

– Jest mi bardzo przykro z powodu Colina Hazeltona – dodał Gerry po chwili. – Znałaś go dobrze, prawda?

Mary Pat znowu przytaknęła, ale milczała.

Minutę później weszli do pokoju konferencyjnego. Pięciu mężczyzn siedzących przy stole wstało i podeszło do nich. John Clark, Domingo Chavez, Dominic Caruso, Sam Driscoll i Jack Ryan junior; wszyscy uściskali dłoń dyrektor Wywiadu Narodowego i usiedli.

Mary Pat przysłała tu dziś rano, dlatego że Kampus wysłał swoich ludzi do Wietnamu na jej osobistą prośbę. Jako szefowa krajowego wywiadu, Foley miała do dyspozycji wszystkie agencje w Stanach Zjednoczonych. Zwróciła się jednak po pomoc w sprawie Colina Hazeltona do Gerry'ego Hendleya i jego zespołu, ponieważ chciała utrzymać całą akcję poza oficjalnymi kanałami.

Lecz nie trzeba dodawać, że w tym momencie czuła, że ta decyzja była ogromną pomyłką.

John Clark rozpoczął spotkanie od przedstawienia wszystkich zdarzeń, które rozegrały się od przybycia oddziału Kampusu do Ho Chi Minh do chwili, gdy gulfstream zabrał nad Zatokę Tajlandzką ukryte za płytą maskującą ciało Colina Hazeltona. Potem członkowie oddziału opisali swoje doświadczenia związane z wypadkami w Wietnamie. Mary Pat siedziała spokojnie przez cały

czas, ale w momencie gdy Domingo relacjonował, jak znalazł rannego Hazeltona na ulicy i usiłował go ratować, mogło się wydawać, że była bliska załamania.

Ding nigdy nie widział Foley w tym stanie i szybko złagodził ten fragment opowieści, próbując oszczędzić jej szczegółów.

Mary Pat wydawała się sceptyczna wobec tego, że Colin napisał litery KRLD w swojej ostatniej notatce, i poprosiła o pokazanie jej tego kawałka papieru. Clark spełnił jej prośbę, ale miała takie same trudności z rozszyfrowaniem liter jak inni.

Po ostatnim raporcie z całej akcji, który zakończył spotkanie, Mary Pat przez chwilę zbierała myśli.

– Powinam do tego nie dopuścić – stwierdziła. – Powstrzymać wszystko, zanim wymknęło się spod kontroli. Nie znałam stawki. Czy mogłam wiedzieć, że... Jezu Chryste. Myślałam, że to tylko zwykła akcja wywiadu. Coś tajnego, coś nielegalnego, nieuczciwego... ale nic takiego jak to!

– Nie byłbym zaskoczony, gdy Hazelton też tak myślał – wtrącił łagodnie Clark. – Jego zachowanie nie wskazywało na to, żeby nawet przez sekundę podejrzewał, że coś może mu grozić.

– Wydaje mi się, że znam przyczynę – powiedziała Mary Pat – ale muszę ją wykluczyć, więc zadam jedno pytanie. Czy istnieje jakakolwiek szansa, że była to tylko przypadkowa zbrodnia uliczna?

– Nie – odpowiedział Jack junior. – Widziałem całą konfrontację. Ci ludzie byli profesjonalistami, musieli najpierw namierzyć Hazeltona, a potem śledzili go przez cały czas. Nie wiem, dlaczego był ich celem ani dlaczego go zabili. Lecz na pewno nie ma tutaj przypadku.

Foley wydawała się zadowolona z tego wyjaśnienia, chociaż nadal była wyraźnie zdenerwowana.

– Mary Pat, nie powinnaś być zaskoczona – powiedział Gerry – że my też chcemy ci zadać kilka pytań. Otóż dlaczego kazałaś nam śledzić Hazeltona? Zakładam, że podejrzewałaś, że jest zaangażowany w coś nielegalnego?

Upiła łyk wody.

– Colin, Ed i ja, wszyscy byliśmy w CIA. Colin był pilotem w Air Force i stamtąd przeniósł się do wywiadu. Był urodzonym agentem. Jednym z najlepszych. Po odejściu z pracy w terenie przez lata pracował dla Eda na siódmym piętrze Agencji. Był naszym najbardziej oddanym współpracownikiem. Kiedy po odejściu z CIA przejęłam kierownictwo w Narodowym Centrum Antyterrorystycznym, chciałam pozyskać Colina. Poddano go, jak zwykle tylko formalnie, ponieważ pracował w CIA przez trzydzieści lat, specjalnej ocenie osobistej. Jednak wyszły wtedy na jaw pewne problemy.

– Problemy? – zdziwił się Gerry.

– Problemy finansowe. Colin dokonał jakichś wątpliwych inwestycji. Ulokował wszystkie swoje oszczędności w czymś, co, jak uważał, miało mu przynieść wielki zysk. Były to lokaty wysokiego ryzyka w Trzecim Świecie, coś, do czego nikt nie chciał się nawet zbliżyć. Colinowi wydawało się, że zna ten rejon świata.

– I co się stało?

Mary Pat westchnęła ciężko.

– Arabska wiosna. Padła Tunezja, potem Libia, Egipt poszedł swoją drogą, następnie skręcił i na koniec zmienił kierunek.

Ryan zagwizdał.

– Cholera. Hazelton inwestował w Afryce Północnej?

Mary Pat wzruszyła ramionami.

– W przeszłości udało mu się zrobić kilka korzystnych interesów. Stał się zbyt pewny siebie i swoich umiejętności przewidywania wypadków. To doprowadziło go do zguby. Pożyczył pieniądze, myśląc, że będzie mógł je zwrócić. Ale nie zwrócił. Kiedy dowiedzieliśmy się o jego inwestycjach, ciągle jeszcze trzymały się mocno. Niemniej nie mogliśmy go zwerbować do Centrum Antyterrorystycznego z powodu zbyt dużego ryzyka z tymi zagranicznymi pieniędzmi. Potem CIA stwierdziła, że sfałszował jakieś rozliczenia. Mówił, że to była tylko pomyłka. Ja mu wierzyłam. Colin był dobrym pilotem i pierwszorzędnym agentem wywiadu. Doskonale kierował akcjami, ale nawalał, kiedy musiał zająć się papierkową robotą. W tym momencie nie należał już do tajnych służb CIA, był po prostu pracownikiem administracyjnym na siódmym piętrze. Osobiście uważam, że powinni mu pozwolić doczekać tam emerytury. Ale nowy szef CIA, Jay Canfield, jest okropnym formalistą i wyrzucił Hazeltona na rok przed zyskaniem przez niego praw emerytalnych. Krótko potem nastąpił zamach stanu w Egipcie. Colin stracił wszystko. Był zrozpaczony i bez pracy. Ed i ja próbowaliśmy mu pomóc, ale był zbyt dumny. Nie odpowiadał na telefony.

Wtedy nadeszła propozycja od naszego starszego kolegi, który zaczął pracować dla Duke'a Sharpsa w Nowym Jorku. Znałam Duke'a, jeszcze zanim opuścił Wydział Kontrwywiadu FBI. Odkąd zajął się sektorem prywatnym, stał się pozbawionym skrupułów oportunistą.

– Uważam tego człowieka za ludzką szumowinę – rzucił John Clark.

Ding zgodził się kiwnięciem głową, ale inni młodzi agenci Kampusu wymienili zaskoczone spojrzenia.

Swoją zgodę wyraziła też Mary Pat.

– Sharps Global Intelligence Partners zatrudnia setki byłych szpiegów, żołnierzy czy detektywów policyjnych z całej kuli ziemskiej. Duke zostawił swoje odciski na niemal każdym wydarzeniu, jakie miało tu miejsce. I jedno jest też pewne, Sharps to wątpliwy moralnie były tajniak, który w dodatku ma prawnicze wykształcenie. Spokojnie prowadzi wszystkie swoje operacje, mimo że Departament Sprawiedliwości próbował go zatrzymać.

– Co zrobiłaś, gdy odkryłaś, że Hazelton pracuje dla Sharpsa? – zapytał Gerry Hendley.

– Z początku byłam tylko zawiedziona, ale niespecjalnie zmartwiona. Niektórzy klienci Sharpsa mijają się z prawem, to prawda, ale pracuje też z uczciwymi, całkiem nieszkodliwymi firmami śledczymi. Nie wierzę, żeby Colin mógł robić coś, co zaszkodziłoby Stanom. Mimo to poddałam ścisłej kontroli jego paszport, aby wiedzieć od razu, gdyby wyjechał za granicę. Okazało się, że poleciał do Pragi. Chciałam go tam śledzić, ale opuścił Czechy, zanim znaleźliśmy kogoś na miejscu, i znajdował się już w Wietnamie. Nasi tamtejsi agenci zajęci byli inną sprawą, a nie chciałam alarmować miejscowych władz. W tym momencie zadzwoniłam do ciebie, Gerry, i poprosiłam o pomoc. John i jego ludzie zaczęli go śledzić w Ho Chi Minh. Nie miałam pojęcia, że grozi mu aż takie niebezpieczeństwo. Ja chciałam tylko wiedzieć, czy zaangażował się w coś nielegalnego.

Gerry odniósł wyraźne wrażenie, że Mary Pat czuje się odpowiedzialna za to, co spotkało Hazeltona.

– Nie mogłaś przewidzieć, że zostanie zabity. Ten splot fatalnych okoliczności, na jakie trafił, był

też wywołany przez niego samego – stwierdził Gerry.

– Tak, Gerry, wiem. Ale jeśli długo pracujesz w wywiadzie, to zaczyna ci brakować tych, którzy byli z tobą od początku. To był dobry człowiek i doskonały agent operacyjny. Jeżeli już nie w ostatnich latach, to z pewnością wcześniej. Ed i ja wiele mu zawdzięczamy.

Przez chwilę w pokoju konferencyjnym panowała cisza, potem Clark odchrząknął i powiedział:

– Na nieszczęście nie dowiedzieliśmy się niczego o zabójcach. Opuściliśmy teren przed zrewidowaniem faceta, którego rozjechałem autem.

– W tym momencie cieszę się tylko, że uszliście stamtąd z życiem – odparła Mary Pat.

Ryan wyjął swojego iPada.

– Jednak chwilę przed śmiercią Hazelton spotkał się z kobietą – powiedział. – Odbyli krótką, ale burzliwą rozmowę. Nie dysponowaliśmy podsłuchem, ale chodziło o coś, co przyniósł, albo o coś, co myślała, że przyniósł. Nie dał jej tego.

Ryan pokazał zdjęcie blondynki siedzącej przy stoliku razem z Hazeltonem i Mary Pat pochyliła się, żeby się jej przyjrzeć.

– Nie znam tej kobiety. Prześlij mi zdjęcie mailem, a ja przekażę je do Agencji, żeby rozpoznali twarz.

– Próbowaliśmy już tego – odparł Jack. – Bez powodzenia.

Mary Pat uniosła brwi.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że wasz program rozpoznawania twarzy w Kampusie jest tak dobry, a może nawet lepszy od rządowego?

Po prawdzie był to ten sam program. Dyrektor IT, Gavin Biery, mógł odszukać w danych NSA wizerunki twarzy i użyć tego samego oprogramowania co CIA. Mary Pat jednak o tym nie wiedziała.

– Nie możemy tego stwierdzić z całą pewnością – wtrącił się Gerry, aby odwrócić jej uwagę od słów Ryana. – Jack prześle ci mailem zdjęcie tej młodej kobiety, może będziesz miała więcej szczęścia.

Wstała. Oznaczało to koniec spotkania.

– Panowie, oczywiście niepokoiło mnie to, co robił Hazelton. Szczególnie że dotyczyło to Korei Północnej. Ale wysłałam was na tę operację, ponieważ martwiłam się o starego przyjaciela, nie dlatego że chciałam, abyście znaleźli się w niebezpieczeństwie. A teraz mój przyjaciel nie żyje. I dlatego chcę wiedzieć, co było przyczyną jego śmierci, a ponadto nie chcę, abyście dłużej ryzykowali w tej sprawie życie. Mamy teraz dosyć innych problemów na świecie. Nie zamierzam angażować Kampusu w jakieś sprawy kryminalne, nawet jeśli przyjmiemy, że Hazelton miał coś wspólnego z Koreą Północną. Chodzi prawdopodobnie o narkotyki, pranie brudnych pieniędzy, może nawet o przemyt broni. Stany będą współpracować z władzami lokalnymi i dowiedzą się wszystkiego, czego tylko będą mogli na temat tej sprawy. Tak będzie najlepiej.

Krótko potem Mary Pat wyszła i Gerry Hendley znowu usiadł z pięcioma agentami, żeby przedyskutować z nimi całą sytuację.

– Nie wiem jak ty, Gerry – zaczął Ding – ale ja jestem cholernie ciekawy, kim byli ci faceci, którzy omal nie załatwili nas w Wietnamie.

– Ja też – przyłączyli się Ryan i Driscoll.

Clark zachował się jednak bardziej dyplomatycznie.

– Wrócimy do regularnych obowiązków operacyjnych. Na razie nie otrzymaliśmy jeszcze wytycznych dotyczących zadań specjalnych, zatem skoro nie mamy przed sobą nic trudnego, znajdzie się czas, aby trochę w tym pogrzebać.

Hendley zastanawiał się przez chwilę.

– Nie ma sprawy – powiedział. – Nie rzucimy tego. Uważam, że bezpieczniej będzie działać z założeniem, że ten, kto zabił Colina Hazeltona, wiedział, kim on był. A to znaczy, że zabił bez skrupułów byłego pracownika szczebla kierowniczego w CIA. O ile się orientuję, to właśnie ten fakt daje nam podstawy do zainteresowania się nim, bez względu na to, czy dostaniemy błogosławieństwo Wywiadu Narodowego, czy nie.

Ding uśmiechnął się.

– Spodziewałem się, że to powiesz. Masz jakiś pomysł na następny krok?

– Ja mam, ale tylko pod warunkiem że nie będziemy wciągać w to Mary Pat i jeszcze bardziej jej martwić – odpowiedział Clark.

Gerry westchnął. Nie wiedział, czy mu się to podoba.

– Masz na myśli Duke'a Sharpsa?

– Tak. Chociaż nie będziemy tak jak on węszyć za obywatelami amerykańskimi po ulicach Nowego Jorku. W każdym razie jeszcze nie teraz. Teraz pogrzebiemy trochę w ogólnie dostępnych źródłach i zobaczymy, co można tam znaleźć o Sharpsie i jego operacjach. Jedno zbyt jawne działanie i może się dowiedzieć, że go sprawdzamy. On i jego ludzie bardzo dobrze się zabezpieczają. Sharps Global Intelligence Partners to twardy orzech do zgryzienia.

Rok wcześniej

Biura Koreańskiej Korporacji Handlowej do spraw Zasobów Naturalnych mieściły się w dzielnicy Chung albo w okręgu centralnym Pjongjang, dwuipółmilionowej stolicy państwa. Był to duży kompleks budynków z wieżą w głównym gmachu, otoczony kilkoma mniejszymi budowlami też związanymi z miejscowym przemysłem wydobywczym. Górnictwo należało do największych sektorów gospodarki Korei Północnej, w administracji w Pjongjangu zatrudniano tysiące ludzi, natomiast ponad milion w całym kraju.

Od minionych dwóch tygodni na szczycie hierarchii stał Hwang Min-ho i ku jego zdumieniu budził się co rano żywy.

Będąc synem partyjnej elity, Hwang Min-ho miał znacznie większe przywileje niż dziewięćdziesiąt pięć procent dzieci tego narodu. Niemniej tak samo jak w wypadku każdego obywatela Korei Północnej, jego przyszłość była zaprogramowana przez partię. Wysłano go na studia inżynierskie na uniwersytecie w Pekinie, a potem otrzymał nakaz dalszego studiowania na uczelni w Pjongjangu, gdzie uzyskał równoważny stopień magistra polityki publicznej. Zaczął karierę w Koreańskiej Partii Robotniczej jako urzędnik administracyjny w prowincji Chagang, jednym z centrów przemysłu węglowego w państwie, i tam jego wykształcenie inżynierskie pomogło mu rozwiązywać problemy, jakie stawiał przed nim przemysł wydobywczy.

Zupełnie naturalną rzeczą było dla niego przejście z Koreańskiej Partii Robotniczej do górniczej jednostki państwowej, więc w wieku trzydziestu lat ulokował się już wygodnie w pionie administracyjnym Koreańskiej Korporacji Handlowej do spraw Zasobów Naturalnych.

Swoją pierwszą żonę spotkał na zebraniu partyjnym, gdy byli jeszcze nastolatkami, ale zmarła w dniu dwudziestych drugich urodzin podczas porodu martwego dziecka. Wówczas Hwang stał się z kochającego ojca rodziny wdowcem, co bardzo go zmieniło. Przez następne dwadzieścia lat poświęcał się całkowicie karierze zawodowej, aż nagle poznał pewną młodą pielęgniarkę w kopalni miedzi w prowincji Ryanggang. Rok później Min-ho i So-ra wzięli ślub.

Inteligencja, zrównoważone zachowanie i etyka zawodowa – to wszystko czyniło go człowiekiem, który się wyróżniał, i przez następne dwadzieścia lat wspinał się po szczeblach kariery, aby w wieku pięćdziesięciu lat zostać dyrektorem sektora wydobycia węgla i miedzi w swojej kompanii.

Kiedy odkryto złoża minerałów ziem rzadkich w Chǒngju w prowincji P'yŏngan Północny, wiele wysoko postawionych osób w kompanii zainteresowało się pracą z Chińczykami w kopalniach. Hwang, w przeciwieństwie do nich, nadal skupiał się na państwowym przemyśle, koncentrując się przede wszystkim na węglu i miedzi. Kiedy opadły emocje po zerwaniu współpracy w Chǒngju z Chinami, Hwang był praktycznie jedynym pracownikiem wyższego szczebla, który pozostał na swoim stanowisku. Rozkazano mu przejąć kierownictwo nad całą organizacją, gdy jej poprzedni dyrektor został uwięziony, i chociaż był to doniosły moment w życiu Hwanga, jego żony, dzieci

i rodziców, raczej wolałyby dalej pracować tylko nad wydobywaniem węgla i miedzi.

Niemniej zajmował odpowiedzialne stanowisko i nie mógł się dłużej trzymać z dala od wydobywania minerałów ziem rzadkich. W efekcie poświęcał temu dziewięćdziesiąt pięć procent czasu pracy. Odkąd Chińczycy ciągle współpracowali z Koreą Północną przy wydobywaniu węgla, miedzi, wolframu i cynku, a także przy eksploatacji kopalni złota, mógł być pewien, że jeśli zostawi na trochę tę branżę, i tak nie trafi do obozu reedukacyjnego w Kangdong. Stwierdził więc, że najlepiej związać się z tym sektorem wydobywczym, który jeśli nie zacznie przynosić zysków za półtora roku, to Hwang obudzi się najprawdopodobniej na skrzyni opancerzonej ciężarówce jadącej do Kangdong.

Hwang miał dziewięcioletniego syna i ośmioletnią córkę; uważał siebie za człowieka rodzinnego, ale tak jak wszyscy obywatele Korei Północnej był bardziej oddany swojej ojczyźnie niż rodzinie, zatem tego dnia wstał przed świtem, spotkał się ze swoim kierowcą przed domem w elitarniej dzielnicy nad rzeką Taedong-gang i pojechali w milczeniu szerokim, pustym bulwarem. Ciągle panowała ciemność, a w stolicy tylko nieliczne ulice były oświetlone ze względu na oszczędność energii elektrycznej, chociaż ogromne neonowe billboardy propagandowe na szczytach budynków mieszkalnych i biurowców błyszczały olśniewająco, a potężne jupitery oświetlały gigantyczne posągi Choia Ji-hoona stojące na centralnych miejscach co ważniejszych skrzyżowań.

Jazda trwała ponad dwadzieścia minut i po następnych dziesięciu spaceru przyciemnionymi korytarzami oraz wspięciu się na siódmą kondygnację budynku Hwang Min-ho zasiadł przed laptopem, z pierwszą szklanką herbaty w ręce.

W południe Hwang czuł, jakby ten dzień jak zawsze miał upłynąć na ciężkiej pracy, choć zakończony małym efektem. Tak jak każdego innego dnia nie zrobił żadnych postępów w sprawie Chŏngju. Tego ranka z trudem przebrnął przez spotkanie z Koreańską Generalną Kompanią Handlową ds. Maszynierii, przedsiębiorstwem państwowym zajmującym się produkcją i importem generatorów do hydroelektrowni. Co prawda miał okazję, żeby ochrzanić ich za niewywiązywanie się z przyjętych na poprzednim spotkaniu zobowiązań, lecz potem jednak błagał, aby tym razem postarali się lepiej realizować obietnice dotyczące zwiększenia produkcji energii elektrycznej dla przemysłu wydobywczego. W odpowiedzi zarzucono go frazesami o limitach i kontyngencie. I na tym się skończyło.

Teraz przygotowywał się do popołudniowej wizyty przedstawicieli Amroggang Development Banking Corporation, mającej swoją siedzibę w odległości kilku przecznic od jego biura. Hwang i jego wiceministrowie rozpaczliwie próbowali zapewnić środki na zakup tych dóbr z zagranicy, które nie podlegały sankcjom, i być może znaleźć za morzem fundatorów, którzy wsparliby ich finansowo. Krajowe źródła Hwanga były ograniczone zarówno przez nieudolność administracji państwowej, jak i sankcje nałożone na Koreę Północną przez Zachód, dlatego postrzegał Amroggang Development jako najcieńszą i najwęższą, ale jednak jedyną linię ratunkową.

Gdy tego dnia dotarł do fusów trzeciej szklanki herbaty, jego sekretarka nieco niespokojnym głosem zakrakała przez interkom:

– Dyrektorze Hwang, proszę wybaczyć, ale jest tu generał Ri i chce się z panem widzieć.

Hwang przekrzywił głowę. Nie miał pojęcia, kim jest ten człowiek. Znał dziesiątki ludzi o nazwisku Ri, wielu było żołnierzami w wojsku, ale dziś nie planował spotkania z żadnym z nich.

– Miał wyznaczone spotkanie?

Nie uznawano nieplanowanych spotkań z rządowymi pracownikami kierowniczego szczebla. Nawet na niższych musiano je specjalnie przygotować, a Hwang był dyrektorem państwowej kompanii kierującej największym sektorem przemysłu w państwie, więc każda wizyta musiała się znaleźć wcześniej w planie dnia.

Nastąpiła przerwa, a potem znów odezwała się sekretarka:

– Przykro mi, panie dyrektorze, ale on już wszedł!

Hwang zerwał się z fotela, gdy otworzyły się drzwi. Zobaczył przed sobą generała w zielonym mundurze Koreańskiej Armii Ludowej, z rzucającymi się w oczy licznymi medalami na piersi. Hwang przypomniał sobie, że widział go przed tygodniem podczas wizyty w rezydencji nr 55.

Poczuł żywsze bicie serca.

– *Jeoneun chepodoemnikka?* Jestem aresztowany? – zapytał.

– *Aniyo, dongmu.* Nie, towarzyszu. Przepraszam za to niespodziewane najście. – Mężczyzna podszedł do biurka Hwanga i skłonił się. – Generał Ri Tae-jin z Generalnego Biura Rozpoznania.

Hwang odpowiedział tym samym.

– Wywiad zagraniczny? Co mogę dla pana zrobić? – Wzruszył ramionami. – Nigdy nie byłem za granicą kraju.

Na ustach Ri pojawił się nikły uśmiešek, ale Hwang zauważył, że ten mężczyzna wygląda na zmęczonego i przygnębionego.

– Nie przyszedłem, żeby pana zatrudnić jako agenta wywiadu. Mogę usiąść?

– Zaraz zamówię herbatę.

– Nie. Chcę tylko z panem porozmawiać.

Ri przysunął krzesło do biurka, a Hwang wolno usiadł w swoim fotelu. Wyniosły i pewny siebie generał o smutnej twarzy, teraz, w gabinecie Hwanga, zachowywał się tak, jakby on tu dowodził. Hwang nie był przyzwyczajony do takich spotkań, dlatego zupełnie zbiło go to z tropu.

Gdy obaj mężczyźni już siedzieli, generał Ri powiedział:

– Gratuluję panu ostatniego spotkania. Ja też przed dwoma tygodniami odbyłem podobne i objąłem dowodzenie Generalnym Biurem Rozpoznania.

– Proszę także przyjąć moje gratulacje i najlepsze życzenia, towarzyszu. Przyniesie pan zaszczyt Dae Wonsu.

– Zdaję sobie sprawę z pana trudnego położenia – rzucił szybko Ri.

Hwang rozejrzał się po pokoju.

– Mojego trudnego położenia?

– Tak. Dano panu osiemnaście miesięcy na przekształcenie kopalni w górach północnego Chöngju w największy, najnowocześniejszy technicznie taki obiekt na świecie. Chińczycy, jedyni partnerzy biznesowi, którzy byliby w stanie to urzeczywistnić, zostali wyrzuceni z Korei, ponieważ żądanie Dae Wonsu, aby dostarczyli nam międzykontynentalne rakiety balistyczne, zostało z miejsca odrzucone. W tym zakresie nie może pan nawiązać współpracy z Zachodem, w sensie legalnym oczywiście, ponieważ państwa dysponujące technologią i wiedzą specjalistyczną, jakiej potrzebujemy, mają zakaz ich eksportu. W dodatku istnieje ogromne ryzyko, że sankcje nałożone na nasz kraj mogą zostać zaostrene, jeśli spróbujemy je złamać.

Hwang tylko wpatrywał się w gościa.

To wszystko było prawdą, ale nie pasowało do idei Dżucze, która zakazywała skarżyć się czy nawet wspominać o jakichkolwiek trudnościach.

– Jeżeli nie uda się panu zrealizować wyznaczonego zadania – kontynuował Ri – to zapewne wie pan, co spotkało pana poprzednika, i jest świadom konsekwencji niepowodzenia.

Hwang westchnął i przygarbił się.

– Cały czas pracuję nad tym, żeby w wyznaczonym czasie zapewnić kopalni pełną wydajność.

– Pracuje pan, cały czas pracuje. I może tak pracować nawet do momentu, gdy wywloką pana skutego łańcuchami zza biurka. Potrzebuje pan pomocy z zewnątrz.

– Co mogę dla pana zrobić, generale?

Sztywny i sprawiający surowe wrażenie Ri usiadł tak, jakby chciał zachować jeszcze bardziej wyniosłą postawę.

– Ty, Hwang, i ja mamy ze sobą coś wspólnego. Obaj odliczamy czas na zegarze w naszych głowach. Dostałem rozkaz, aby dostarczyć przemysłowi rakietowemu oprogramowanie i komplet informacji o produkcji w pełni sprawnych rakiet balistycznych. Wyznaczono mi na to zadanie trzy lata... to dwa razy więcej, niż dostałeś ty. Byłbym szczęśliwy, gdyby moje zadanie nie było trudniejsze od twojego.

Teraz Hwang był tak samo zakłopotany, jak i zdenerwowany.

– To, co powiedziałaś, nie mieści się ani w zakresie moich obowiązków, ani w obszarze mojego działania. To są sprawy dotyczące bezpieczeństwa państwa, o których dyskutowanie...

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie naruszyłeś bezpieczeństwa. Zapoznałem się z każdym słowem w twoich aktach personalnych i wywiadowczych. Nikomu nie zagrażasz.

– Tak. Oczywiście, że nie. Proszę kontynuować, generale Ri.

– Mamy jeszcze coś wspólnego. Dobrą żonę i dwoje dzieci, które na nas liczą. Gdybym w wyniku mojego niepowodzenia tylko ja miał zostać stracony, byłoby to dla mnie małe zmartwienie.

– Moje życie jest nieważne – powiedział Hwang. – Żyję po to, aby wszystkimi działaniami wspierać potęgę Dae Wonsu.

Była to oficjalna dyrektywa partii. Ideologia komunistyczna i kult jednostki. Generał Ri zgodził się z tym, ale jednocześnie dodał:

– Dobrze, Hwang, jeżeli się nam powiedzie, będziemy nadal mogli pracować na chwałę Dae Wonsu, w dodatku ocalimy życie naszych rodzin. Z pewnością się zgodzisz, że taki wynik jest dla ciebie zadowalający, prawda?

Hwang tylko skinął głową.

– Ale masz tylko półtora roku na zwiększenie wydobycia minerałów ziem rzadkich, przetworzenie ich i sprzedaż. Ja mam trzy lata na uruchomienie produkcji w pełni sprawnych rakiet balistycznych. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Dziś wiemy, że na pewno nam się to nie powiedzie. A to oznacza, że będę żył dokładnie półtora roku dłużej od ciebie.

Hwang wzruszył ramionami.

– Jeżeli zawiodę, to tylko ja. Są rzeczy gorsze niż rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny.

Ri zerwał się na nogi z dzikim wyrazem oczu.

– Masz rację! Widziałem gorsze rzeczy. Nakarmili moim poprzednikiem, generałem Gangiem,

głodne psy. Po dwóch minutach i czterdziestu sekundach przestał się bronić. Rozerwały mu gardło. To znaczy, że przez dwie minuty i trzydzieści dziewięć sekund widział i czuł dokładnie, co go zaraz czeka. Ja w swojej karierze dokonywałem egzekucji setek ludzi. Dziś rano też nadzorowałem jedną. Ale to, co stało się z Gangiem, było tak potworne, że żaden człowiek nie byłby w stanie tego znieść.

Twarz Hwanga zbladła.

– Ale to nie wszystko. Za jego niepowodzenie zapłaciła też życiem cała jego rodzina.

Hwang słyszał, że rodziny zdrajców często skazywano na śmierć. Była to jawna praktyka. Wojsko chciało, aby cały naród widział, że konsekwencje sprzeciwiania się państwu lub niewykonywania poleceń władzy dotyczą nie tylko sprawcy, lecz także wszystkich jego najbliższych. Miało to zachęcać członków rodzin do informowania o tym, kto stanowi zagrożenie dla społeczeństwa jako całości.

– Jeśli poniesiesz tak potworną klęskę jak Gang, Choi może skazać cię na ten sam los – kontynuował Ri. – A ja mogę też otrzymać rozkaz asystowania przy twojej egzekucji. I powinieneś mieć wtedy nadzieję, że tam jestem, bo w chwili gdy psy będą ci rozrywać gardło, tylko świadomość, że za osiemnaście miesięcy po tobie mnie spotka taki sam los, będzie dla ciebie jedyną otuchą.

– Przyszedłeś tu po to, żeby mi współczuć?

– Nie. Przyszedłem po to, abys wiedział, że potrzebujemy siebie nawzajem.

– Co proponujesz?

Ri uśmiechnął się.

– Proponuję nawiązanie współpracy między naszymi organizacjami. A tak naprawdę to naszą osobistą, małą współpracę.

– Naszą? Nie rozumiem.

– Bez pomocy z zewnątrz twoje wysiłki skazane są na niepowodzenie, a ja mogę udzielić ci wymaganego wsparcia. Bo to, czego potrzebujesz, w całości pochodzi spoza Korei Północnej. Mogę wyjechać z kraju i dostarczyć ci potrzebnych materiałów, ponieważ niczego nie dokonasz bez zagranicznego partnerstwa. Nie z Chin, ale z innych państw. Potrzebny ci ktoś, kto dostarczy ci potrzebnej wiedzy i sprowadzi tu kogoś, kto wywiezie po kryjomu metal i sprzeda go na rynkach światowych.

– Czego chcesz w zamian?

– Dwadzieścia procent.

– Dwadzieścia procent od czego?

– Dwadzieścia procent od całości. Bezpośrednio do kasy ministerstwa wywiadu. To w ciągu roku potroi mój budżet. Z takimi pieniędzmi będę mógł dotrzeć do technologii potrzebnych nam do produkcji rakiet.

Hwang wymusił uśmiech.

– Chińczycy oszacowali wartość kopalni na dwanaście bilionów dolarów USA. Twierdzisz, że będziesz miał możliwość wykorzystania dwudziestu procent od tej sumy?

– Myślę, że wszystko może udać nam się zrobić, jeśli wyobrazisz sobie, że w ten sposób unikniesz obozu pracy i ocalisz życie swoim dzieciom. Mam dostęp do sieci międzynarodowych banków. Mogę ci pomóc przekierować wypłatę. A te dwanaście bilionów może też ocalić moje życie. Muszę tylko

uzyskać od ciebie obietnicę, że twoja kopalnia wygeneruje inwestycje zagraniczne, z których ja też będę mógł skorzystać do uruchomienia i usprawnienia moich rakiet balistycznych.

– Chcesz kupić rakiety?

– Nie. Chcę kupić przemysł raketowy.

Na twarz Hwanga wrócił uśmiech.

– Nie brakuje ci pewności siebie.

– To nie jest pewność siebie. To inspiracja. – Ri pochylił się nad biurkiem. – Nic tak nie inspiruje człowieka jak obserwowanie, jak jego poprzednika pożerają żywcem oszalałe z głodu zwierzęta.

Hwang skurczył się.

– Powiedz mi, Ri, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

– Nie. To ty mi powiedz, czego chcesz ode mnie. I ja to zrobię. Wykorzystam tyle z mojego budżetu, ile będzie potrzebne na ten projekt. Zamknę biura, wydziały, posterunki i zastosuję wszystkie dostępne środki. Mogę wyznaczyć zadania agentom zagranicznym. Poświęcę całą energię na tę operację.

– Operację? Przykro mi, Ri, ale nie rozumiem, jak mógłbyś mi pomóc w procesie wydobywczym minerałów ziem rzadkich w Chöngju.

– Pozwól, że dam ci przykład tego, co mogę zrobić. Mogę przekupić urzędników ONZ-etę, żeby zmniejszyli sankcje nałożone na banki i handel. Mogę wynająć armię zachodnich szpiegów, żeby zbadali technologię przetwarzania minerałów ziem rzadkich na całym świecie, dowiedzieli się, jak wygląda cały proces, i przekazali tę wiedzę tobie. Mogę zawrzeć umowy z zagranicznymi towarzystwami wydobywczymi i ściągnąć od nich na twoje biurko dane dotyczące sposobów produkcji, dostarczyć ci całą specjalistyczną wiedzę. Mogę załatwić tajne kontrakty zatrudniające chemików, geologów, inżynierów... Starannie wyselekcjonowanych ludzi, jakich tylko potrzebujesz, i jeśli tego będzie wymagała konieczność, mieć ich na celowniku. Mogę zorganizować dostawy wszystkiego, co jest ci potrzebne, i dopilnować, żeby ominięto embargo oraz sankcje nałożone na statki na Morzu Żółtym. Mogę współpracować z sojusznikami z Rosji, dysponującymi hakerami komputerowymi związanymi z twoim przemysłem, którzy mogą ci dostarczyć odpowiednią dokumentację. Mogę na całym świecie zrobić ci taką reklamę, która zapewni rynki zbytu i natychmiastową sprzedaż twojego produktu, gdy tylko będzie gotów do eksportu.

Hwang nigdy w życiu nie słyszał o czymś takim. Jego biuro korzystało z różnych informacji dostarczanych przez wywiad zagraniczny, ale to, co oferował Ri, wykraczało poza granice jego wyobraźni, mógł o tym tylko pomarzyć. A teraz dzięki Ri miał to na wyciągnięcie ręki. Wszystko, czego potrzebował, aby stworzyć dobrze działający przemysł wydobywczy w Chöngju.

– Niewiarygodne – wykrztusił. – Jeśli jesteś w stanie to wszystko zrobić, mamy jakąś szansę.

– Więc zgadzasz się?

Co miał do stracenia?

– Zgadzam się.

– Muszę nawiązać kilka układów partnerskich poza naszym krajem – stwierdził Ri. – Utworzyć niezbędne do tego kanały. Podaj mi, proszę, sugestie dotyczące organizacji albo osób, do których powinienem się zwrócić, żeby włączyły się w nasze starania.

Hwang natychmiast skinął głową.

– Przychodzi mi na myśl jedno nazwisko. Jeśli udałoby się załatwić jego wsparcie finansowe, moglibyśmy zrealizować nasz plan.

Szef wywiadu uniósł brwi.

– Mów.

– Óscar Roblas de Mota.

Ri skinął głową w zamyśleniu. Znał dobrze tego człowieka.

– Óscar Roblas. No tak. Oczywiście.

Dzień dzisiejszy

Mały dom przy Jayhawk Street w Annandale w Wirginii zaczynał się budzić wczesnym rankiem o szóstej. Czterdziestotrzyletnia Annette Brawley wyłączyła budzik, usiadła na łóżku i zapaliła światło, które przebiło się przez zasłony na małe podwórko przy wąskiej ulicy. Chwilę tkwiła jeszcze w miejscu, trąc oczy i próbując zwalczyć niezadowolenie z faktu, że dziś dopiero wtorek, i po chwili wstała, aby stanąć na zmęczonych nogach.

Pospiesznie posłała łóżko. Taki miała zwyczaj, który nabyła jeszcze w wojsku, choć nie służyła tam już od ośmiu lat. Zrobiła to wyjątkowo szybko; głównie dlatego że sypiała sama i musiała ścielić tylko jedną część.

Potem poszła do kuchni i włączyła ekspres do kawy, wyjęła z lodówki pojemnik z jajkami i dwie miseczki płatków zbożowych z kredensu. Zbliżała się pora, kiedy należało włączyć umysł i zacząć się zastanawiać, co właściwie robi.

Przygotowała śniadanie dla dwóch osób, a o wpół do siódmej weszła wolno do wąskiego korytarza na tyłach domu, wspięła się na piętro i zapukała do drzwi. Nie czekając jednak na odpowiedź, otworzyła. Wiedziała, że pukanie było tylko formalnością i nikt nie musiał na nie odpowiadać, więc zawsze tak robiła, aby dokończyć ten codzienny obowiązek.

Stephanie Brawley miała szesnaście lat i jeszcze bardziej niż matka nie lubiła wstawać wcześniej rano. Matkę też niespecjalnie lubiła, więc codziennie, za każdym razem, gdy się budziła, była podwójnie opryskliwa, słysząc ochryply kobiecego głos:

- Czas wstawać, Steph. Zrobiłam ci jajka.
- Nienawidzę cię – rzuciła Stephanie.
- Wiem, kochanie – odparła spokojnie Annette, ścierając z oczu resztki snu, i odwróciła się. – Zrobiłam ci też trochę płatków zbożowych.
- Zgaś światło!

Annette wyszła z pokoju, nie wykonując tego polecenia. Schodząc na dół do swojej kawy, słyszała za sobą całą litanię obelg. Była to jednak część codziennej rutyny. Kobieta nie lubiła tego, czuła się wtedy zawsze przygnębiona, ale robiła wszystko, co mogła, żeby choć trochę zrozumieć perspektywę córki. Annette też mieszkała sama z matką po rozwodzie rodziców i w wieku nastu lat nie znajdowała wielu powodów do radości.

Nie, to pewnie ona była zbyt nieuprzejma wobec matki i tak jak teraz, gdy Stephanie sprawiała jej przykrość każdego ranka, próbowała sobie wmówić, że to tylko zapłata za złą karmę i że szybko minie.

Annette mieszkała sama od śmierci męża w 2007 roku. Służył w Pennsylvania National Guard w Afganistanie jako sierżant sztabowy, pełniąc funkcję analityka wywiadu w kwaterze głównej batalionu w prowincji Nangarhar. Niby nie brał udziału w walkach, lecz Annette wiedziała, że był

włączony w jakieś akcje wojskowe w tym kraju. I właśnie w czasie jednej z nich jego opancerzony humvee najechał na zapomniany pocisk, który natychmiast eksplodował, a jej mąż zginął na miejscu.

W tym czasie Annette służyła w wywiadzie wojskowym, działając aktywnie na zachód od męża, w Kabulu. Ośmioletnia Stephanie była wtedy w domu, w Pittsburghu, i było bardzo, bardzo ciężko; gdy usłyszała o śmierci ojca, matki nie było w pobliżu.

Tak, to opryskliwe zachowanie Stephanie miało swoje źródło, jednak Annette nie chciała uznać go za usprawiedliwienie.

Po codziennej próbie wyciągnięcia córki z łóżka i wypchnięciu jej do szkoły Annette z przyjemnością odbyła krótką przejażdżkę do pracy w Springfield. Nie służyła już w wojsku, ale krótko przed ósmą rano mijała bramę Fort Belvoir. Po kilku zakrętach była u celu – trzecim największym po Pentagonie i Kapitolu budynkiem rządowym leżącym w okręgu Waszyngton – w którym mieściła się National Geospatial-Intelligence Agency.

NGA była jedną z szesnastu amerykańskich agencji wywiadu podlegających pod Biuro Dyrektora Wywiadu Narodowego i z pewnością jedną z najmniej znanych. Uprzednio funkcjonowała pod nazwą National Imagery and Mapping Agency; jednocześnie wspierała działania Departamentu Obrony i należała do społeczności wywiadowczej Stanów Zjednoczonych.

Agencja miała dopiero kilka lat, ale w tych gmachach oraz w innym budynku położonym w Saint Louis mieściły się już jej ogromne archiwa. Otrzymywała też pięć miliardów dolarów rocznie z funduszy federalnych i zatrudniała tysiące ludzi, zarówno wojskowych, jak i cywilów.

Po okazaniu strażnikowi odznaki i minięciu skanera Annette położyła torebkę na blacie, aby zrewidowano ją i poddano kontroli wykrywaczem metali. Potem razem z innymi pracownikami, z których co trzeci nosił mundur, przeszła długim korytarzem do ruchomych schodów, gdzie wysoko na ścianie wisiało motto organizacji:

„Znać Ziemię... Pokazać drogę... Zrozumieć świat”.

Minęła ogromne atrium budynku – gdzieś czytała, że zmieściłaby się tu Statua Wolności – i tu również zeskanowała odznakę na jednym z czytników przy sześciu oszklonych drzwiach, za którymi znajdował się rząd wind. Wcisnęła guzik na czwarte piętro i po chwili wyszła na korytarz znajdujący się na pomoście zawieszonym tuż nad atrium. Przeszła dalej i po raz czwarty zeskanowała odznakę, aby wejść do swojego małego biura.

Annette była w NGA specjalistką od analizy obrazów. Spędzała całe dni na przeglądaniu różnych fotografii, odczytywaniu symboli i badaniu wizerunków, używając do tego specjalnego systemu komputerowego porównującego materiały, po czym zestawiała swoje wyniki z innymi danymi. Po tych analizach sporządzała raporty, które dostarczano później partnerom w misjach NGA: decydentom agencji, uczestnikom działań bojowych i służbom ratunkowym.

Chociaż uważała, że swoją pracą nie zmieni świata, to i tak twierdziła, że jest to interesująca robota. Znajdowała małe pocieszenie w fakcie, że była w tym jednak piekielnie dobra.

Annette spędzała swe dorosłe życie, skupiając się na wywiadzie. Po zakończeniu kariery wojskowej nadal była w niego zaangażowana, teraz jako analityczka cywilna. Kochała swoją pracę, kolegów i samą misję.

Przez rozbite i stresujące życie rodzinne – a poza tym była przecież wdową wychowującą samotnie nastoletnią córkę z problemami – Brawley znajdowała też pociechę w tym, że codziennie może całkowicie poświęcić się pracy nad analizowaniem zdjęć i danych dotyczących dalekich miejsc, których nigdy osobiście nie odwiedziła, i budować spójny obraz tego, co się tam dzieje i co może nawet w najmniejszym stopniu pomóc jej ojczyźnie.

Jej biuro wchodziło w skład Departamentu Azji Wschodniej i skupiało się na Korei Północnej. Podczas gdy inni w tym biurze spędzali czas na „ekscytujących sprawach” dotyczących tego czy innego rządu oraz jego programów nuklearnych i raketowych, Annette Brawley pracowała w sekcji zajmującej się gospodarką i koncentrowała się prawie wyłącznie na przemyśle wydobywczym Korei Północnej.

Została specjalistką w tej dziedzinie nie dlatego, że lubiła grzebać w ziemi, ale z bardzo prostego faktu: przydzielono ją do sekcji zajmującej się gospodarką Korei Północnej, a to była główna gałąź ich przemysłu.

Technika pracy NGA nie polegała jedynie na oglądaniu obrazów i map. Agencja wykorzystywała wszystkie dostępne dane lotnicze, kosmiczne i pochodzące z lądowych platform wywiadowczych, które miała do swojej dyspozycji, poza tym sięgała również do informacji zebranych za pomocą linii telefonii komórkowej, a nawet z mediów społecznościowych.

Jednak większość z nich nie miała zastosowania w wypadku Korei Północnej. Połączenie z tamtejszą siecią komórkową nie należało do łatwych zadań, natomiast media społecznościowe były tam zakazane. Annette miała jednak do dyspozycji inne narzędzia do analizy geoprzestrzennej – zdjęcia satelitarne, nagrania wideo wywożone z kraju, a nawet rządowe informacje propagandowe, które można było przefiltrować i znaleźć w nich cenne informacje.

Tego ranka postanowiła zerknąć na niektóre nowe zdjęcia z KH-12, jednego z satelitów National Reconnaissance Office. Zatrzymała obraz na jednym z trzech dwudziestosiedmicalowych monitorów przed sobą, po czym wykorzystując dane geograficzne wyświetlone w rogu ekranu, zorientowała się, jaki region znajduje się przed jej oczami.

Spędziła kilka minut, patrząc na drogę przy kopalni wolframu w pobliżu Pjongjangu. Sprawdziła, co zmieniło się od ostatniej analizy tego miejsca sprzed miesiąca, i odnotowała wszystko w dzienniku.

Potem zapisała współrzędne kopalni minerałów ziem rzadkich w Chǒngju.

Rok temu spędzała praktycznie cały czas, obserwując postępy w kopalni minerałów Chǒngju, ale wtedy byli tam Chińczycy, wydobywanie naprawdę się zwiększało i prace postępowały naprawdę szybko. Decydenci amerykańskiej agencji wywiadu byli tym zainteresowani, ponieważ płynące z Chin pogłoski głosiły, że w tej górze może się kryć skarb o wartości sięgającej bilionów dolarów. Niepokoiło to rząd Stanów Zjednoczonych, więc Annette poświęciła długie godziny na śledzenie prac w tym miejscu. Zaobserwowała niewielką ilość rudy, tylko kilka wagonów towarowych jadących z północy, od odkrywki do granicy z Chinami; z pewnością wysyłali je do obróbki w jednej z tamtejszych rafinerii minerałów ziem rzadkich. Kiedy Chińczycy odeszli, Annette otrzymała informację od CIA z sugestią, że zniknęli, ponieważ przywódca Korei Północnej Choi Ji-hoon unieważnił zawarty z nimi kontrakt na wydobywanie tych minerałów. Zainteresowanie kopalnią szybko wtedy zmalało. Wszyscy doszli do wniosku, że Korea Północna będzie w stanie uzyskiwać ze

skął tylko niewielkie ilości rudy, aby potem wysyłać je Chińczykom do przetwarzania.

Bez pomocy sąsiadów z północy mogła osiągnąć jedynie cztery procent poprzedniej wydajności rocznej.

Gdy przemysł w Chǒngju zaczął podupadać, Annette skoncentrowała się na pozostałych kopalniach w innych rejonach Korei Północnej, jednak co miesiąc wracała do zdjęć satelitarnych tych okolic. Za każdym razem kiedy obserwowała ten rejon w ciągu ostatniego roku, widziała, że Koreańczycy ciągle usiłują ściągnąć coś z zewnątrz. Były to jednak mało efektywne działania w porównaniu z tymi, które prowadzili, kiedy mieli jeszcze partnera przemysłowego.

Przeglądając najnowsze zdjęcia cyfrowe z KH-12, Brawley z zadowoleniem stwierdziła, że nad interesującym ją obiektem niebo jest bezchmurne. Satelita miał możliwość wykonywania zdjęć za pomocą radaru, ale to jednak nie było to samo, co bezpośrednio oglądanie terenu przez soczewki.

Jak zwykle analizowała obrazy, wolno i metodycznie. Początkowo ignorowała budynki stojące w pobliżu kopalni i skupiła się na samym terenie odkrywki w zboczu góry. Kamery satelity KH-12 miały fantastyczną rozdzielczość. Mogły sfotografować buldożery i pozostałe maszyny do prowadzenia robót ziemnych, a także pojedynczych ludzi i ich cienie pokazujące nawet, jak bardzo pogodny był dzień.

Jednak w kopalni nie działo się nic ciekawego, więc skierowała obraz na południe – tam, kilka kilometrów od terenu górniczego, leżało miasto Chǒngju. Zawsze lubiła przyglądać się stacji kolejowej i pobliskim magazynom. Mogło się wydawać, że w mieście nie było żadnej działalności przemysłowej lub handlowej, podobnie jak w kopalni.

Jednak tego ranka coś natychmiast rzuciło jej się w oczy.

– Dziwne – powiedziała do siebie.

Na parkingu przy niskim, przysadzistym hotelu obok stacji kolejowej stało w rzędzie szesnaście prostokątnych budynków. Nigdy nie zanotowała tego widoku w środku miasta, chociaż rok wcześniej spędziła dwadzieścia godzin, wpatrując się w zdjęcia satelitarne Chǒngju. Miała zakodowane w pamięci co prawda nie usytuowanie każdego budynku, jako że były ich setki, ale główne skupiska. Nawet teraz znała ich rozkład w całym mieście. W poprzednim miesiącu nie było tam tych domów, w żadnym wypadku. Mogła to porównać także ze starymi zdjęciami, ale była zbyt pewna siebie i zaciekawiona nagłym odkryciem, aby robić to teraz.

Znała te obiekty i dobrze wiedziała, do czego służyły; widziała je przy wszystkich kopalniach i na budowach. Były to przyczepy używane jako tymczasowe biura albo pomieszczenia mieszkalne. Tutaj zapewne, ustawione w zgrabnych rzędach przy jedynym hotelu w mieście i stacji kolejowej, miały służyć jako kwatery dla pracowników sezonowych.

Domyślała się też, że służyły jako mieszkania; obok znajdowało się skupisko małych zabudowań gospodarczych, a także palenisko. Być może w ten spartański sposób przygotowywano tam posiłki.

Szesnaście takich tymczasowych budynków mogło pomieścić – według wiedzy Annette – około stu pięćdziesięciu albo nawet więcej robotników. Tylko po co mieli tam przebywać? W Chǒngju było co prawda kilka fabryk, jednak nie tak dużych. Największym pobliskim zakładem przemysłowym była kopalnia.

Wróciła więc do niej. Nie dostrzegła tam żadnej wielkiej aktywności, nikt nie pracował nad wydobyciem rudy, w pobliżu nie wznoszono żadnych budowli. Przesunęła więc obraz znów na

miasto i przyjrzała mu się uważnie, starając się wypatrzeć oznaki jakiejś nowej budowy albo stawiania kolejnego gigantycznego posągu Dae Wonsu. Kiedy i tam nic nie znalazła, zaczęła skanować drogi wokół miasta, potem tory kolejowe, próbując odkryć jakąś nową inwestycję, w której można było zatrudnić stu pięćdziesięciu robotników.

Zajęło jej to godzinę. Niestety bez skutku.

Jednak Annette Brawley nauczyła się w wojsku cierpliwości i uporu, a w szkole wywiadu zdobyła wiedzę o niuansach swojej sztuki. Wiedziała, że trafiła na trop, i musiała się go trzymać.

W takim kraju jak Korea Północna, gdzie większość aktywności wojskowej toczy się pod ziemią, wszelkie czynności militarne pozostają ukryte przed okiem kamer satelitarnych. Zaczęła więc podejrzewać, że podjęto jakieś prace związane z przemysłem raketowym. Sohae Satellite Launching Station znajdowała się na małym półwyspie w Zatoce Koreańskiej, około dwudziestu pięciu mil na południowy zachód, więc może tam prowadzono jakieś tajne, sięgające nawet tutaj, prace podziemne?

Jednak to stwierdzenie nie prowadziło do niczego konkretnego. Poza tym hipoteza nie przypominała znanych jej działań Korei Północnej, dlatego Annette postanowiła skonsultować się z kolegami z grupy analityków, którzy spędzali całe dni na badaniu Sohae, i dowiedzieć się, co o tym sądzą.

Zbliżała się już przerwa na lunch i Brawley czuła lekki niepokój, jakby zmarnowała dwie godziny na daremne poszukiwania, gdy nagle coś ją tknęło. Na zachód od Chǒngju znajdowała się tama hydroelektrowni, do której jechało się około dziesięciu minut drogami utwardzonymi, a godzinę od tymczasowych domów. Nadal zastanawiała się jednak, czy ci najemni robotnicy mogli rzeczywiście prowadzić jakieś prace remontowe tamy.

Zostawiła powiększony obraz na monitorze, odszukała panoramę tamy i zrobiła zbliżenie. Zaczęła analizować teren wzdłuż zapory wodnej, szukając choćby najmniejszego śladu jakichś prac, ale znowu nic nie znalazła.

Cholera!, zaklęła w myślach. Była to jedyna ogromna budowla w tym rejonie, jaką pamiętała. Błyskawicznie przesunęła obraz od lewej do prawej, śledząc brzegi wody spiętrzanej przez tamę. Na północnym krańcu zbiornika leżała malutka wioska z kwadratowymi domami. Annette przesunęła więc obraz na zachód, daleko od tamy.

Przerwała i zbliżyła twarz do ekranu monitora.

– Co to, u diabła, jest!?

Rząd długich metalowych dachów biegł po obu stronach czegoś, co przypominało drogę prowadzącą ponad nimi. Po wschodniej stronie budynków znajdowała się seria okrągłych konstrukcji. Annette pomyślała, że wyglądają jak coś w rodzaju zbiorników. Naliczyła w tym kompleksie dwadzieścia sześć takich obiektów i odnotowała też kilka zaparkowanych w pobliżu pojazdów.

– Nie... to dziwaczny... sposób.

Miała wrażenie, że wie, na co patrzy, ale przesunęła fotel do prawego monitora, wyszukała coś w Google i otworzyła obraz. Był to LAMP w Malezji, czyli Lynas Advanced Material Plant, rafineria minerałów ziem rzadkich należąca do australijskiej kompanii górniczej Lynas.

Annette wróciła do lokalizacji w pobliżu zbiornika wodnego w górach Korei Północnej. A potem

znowu do LAMP.

Oba widoki były praktycznie identyczne.

– Co wy tam robicie na tym pustkowiu? – zapytała głośno.

Wystukała coś na klawiaturze i jej trzeci monitor wyświetlił schematy typowych rafinerii przetwarzających minerały ziem rzadkich. W ciągu minuty zidentyfikowała okrągłe zbiorniki jako część jednostki oddzielającej tlenki minerałów.

Teraz miała już pewność. Korea Północna wróci do gry w uzyskiwaniu czystych minerałów ziem rzadkich, i to w wielkim stylu. Chociaż wyrzucili Chińczyków, robili postępy nawet na etapie obróbki.

A to wymagało specjalistycznego sprzętu, ogromnej wiedzy i wykwalifikowanych ludzi.

Annette nawet przez sekundę nie pomyślała, że Korea Północna robi to tylko własnymi siłami i środkami.

Annette Brawley pracowała dalej nawet w czasie lunchu. Zjechała na dół do jednej z dwóch kafeterii w atrium tylko po to, aby chwycić banana i torbę krakersów. Pracowała i jadła, opisując zdumiewające odkrycie i tworząc w programie PowerPoint pospieszną, lecz szokującą prezentację.

W wywiadzie wojskowym jej główną bronią były pokazy slajdów PowerPoint. Była przez to często wyśmiewana przez żołnierzy, którzy brali udział w starciach zbrojnych, i czasem przyznawała, że mieli rację. Nie była strzelcem, nie wyważała kopniakiem drzwi, była „tylko” specjalistką od wywiadu. Ale nawet podczas prezentowania slajdów tym przewracającym oczami wykopywaczom drzwi znajdowała pocieszenie w tym, że robiła jednak dobrą robotę – najlepszą, na jaką było ją stać, i pomagała w ten sposób oddziałowi.

Przełożonym Annette w NGA był pułkownik piechoty morskiej Mike Peters. Był kilka lat młodszy od niej i uważała, że jest chłopięco przystojny. I choć czasami czuła, że Peters zachowuje się nie fair w stosunku do kolegów w wojsku, którzy służyli na koszt cywilnych pracodawców, wyglądało jednak na to, że docenia pracę Annette i to, że nigdy nie stwarzała problemów w pracy takich jak jej młodszy koleś, zarówno w mundurach, jak i cywile.

O wpół do czwartej zapukała do drzwi gabinetu Petersa. Sprawdziła wcześniej jego plan dnia i zobaczyła, że miał pół godziny przerwy do następnego spotkania.

Peters podniósł wzrok znad papierów.

– Witaj, Brawley. O co chodzi?

– Złapałam coś interesującego. Masz dziesięć minut?

– Nawet więcej. Mam spotkanie o czwartej, ale teraz jestem do twojej dyspozycji.

Szkoda, że tylko dlatego, pomyślała.

Wrzuciła na jego komputer swoją prezentację PowerPoint i wyświetliła ją na monitorze wiszącym na ścianie. Przez następne dziesięć minut pokazywała szefowi tymczasowe budynki przy hotelu, nowe auta w mieście, a na koniec urządzenia do obróbki rudy w pobliżu tamy, na północ od Chǒngju.

Gdy skończyła prezentację, pułkownik Peters odwrócił się od monitora.

– A więc chińskie kompanie, Chinalco i Minmetals, wróciły do Chǒngju i przetwarzają ich rudę? Dlaczego? – zapytał.

– Nie wrócili. Chińczycy mają własne rafinerie u siebie, za granicą. Mają tam własne drogi, kolej i mosty, nie muszą dostarczać rudy tutaj.

– Jaki jest więc twój wniosek?

– Jedyny, jaki mogę na tej podstawie wyciągnąć, to taki, że nie współpracują z Chinami.

– Chcesz przez to powiedzieć, że przemysł wydobywczy Korei Północnej rozwinął się do tego stopnia, aby samodzielnie wydobywać minerały ziem rzadkich?

Brawley zaprzeczyła. Traktowała siebie jako analityczkę z krwi i kości; nie spekulowała, nie snuła domysłów, bo taka metoda niezawodnie prowadziła do popełniania błędów. Ale gdy była już pewna swego, mówiła to bardzo stanowczo.

– Mike, już dość długo badałam zdarzenia w tej kopalni, aby dojść do wniosku, że Korea Północna nie działa sama. Otrzymali skądś pomoc.

– Czyją?

– Tego nie sposób ustalić przez satelitę. CIA musi tam wysłać swojego człowieka.

Peters roześmiał się.

– Czy ktoś włączył *Mission: Impossible* w jakimś pokoju rekreacyjnym?

Brawley również się roześmiała.

– Ten pomysł jest aż tak trudny do zrealizowania? Cóż, na tym się nie znam. Patrzą tylko na dachy i głowy. Ktoś inny musi jednak poszukać dalszych odpowiedzi w terenie.

Peters cenił pracę Brawley. Była staranna, dokładniejsza od wielu dużo od niej młodszych kolegów, którzy pracowali na jej poziomie.

– Widziałeś rzeczy ważne.

– Dziękuję.

– Powinny trafić do dyrektora Wywiadu Narodowego. Może powinny się też znaleźć się w sprawozdaniu dla prezydenta.

Brawley otworzyła szeroko oczy. Na jej biurku stała oprawiona fotografia uśmiechniętego prezydenta, Jacka Ryana. Kpili z tego nawet jego fani w jej biurze.

– Może powinnam opracować inną prezentację PowerPoint, dać więcej apli, więcej kolorów...

Peters zaprzeczył ruchem głowy.

– Wszyscy w całej społeczności wywiadowczej wiedzą, że Jack Ryan lubi sam przeglądać surowe dane, ale w Gabinetcie Ovalnym Foley nie będzie siedzieć razem z nim i przełączać slajdów w PowerPoincie. Więc nie martw się o swoją prezentację. Wykonałeś kawał dobrej roboty, a teraz wracaj do swojego pokoju i zajmij się wygrzebywaniem czegoś więcej.

– Czegoś więcej?

– Masz jeszcze duże pole do popisu, Annette. – Stuknął piórem w zdjęcie kopalni. – Tak długo, jak oni tam ryją w ziemi, ryj i ty.

Uśmiechnął się i mrugnął do niej.

– Pułkownik Peters, wymyśliłeś to teraz czy przygotowywałeś to na specjalną okazję?

– Teraz – odparł. – Chociaż możesz się spodziewać, że będę to powtarzać później jeszcze ze sto razy. Bo to jest naprawdę dobre, prawda?

Rok wcześniej

Dyrektor kopalni Hwang spotkał szefa wywiadu Ri w poprzednim tygodniu tylko raz, gdy i tym razem pojawił się w jego gabinecie niezapowiedziany w wojskowym mundurze. Hwang zakładał, że generał porucznik, wychodząc z domu, zawsze ubiera się jak oficer Chosun Inmingun, zatem teraz był zaskoczony, widząc tego ranka pięćdziesięciodwuletniego mężczyznę w jasnoszarym garniturze skrojonym na zachodnią modę i w niebieskim krawacie. Hwang musiał przyznać, że Ri, jeśli już robił jakieś wrażenie, to teraz było ono lepsze, niż gdy miał na sobie mundur. Z pewnością regularnie ćwiczył, w przeciwieństwie do Hwanga, który rzadko znajdował czas na poranne bieganie z rodziną i często tracił dech, kiedy wdrapywał się po schodach do swojego biura w budynku Koreańskiej Korporacji Handlowej Zasobów Naturalnych.

Obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie w holu dla klasy biznesowej w międzynarodowym porcie lotniczym Pjongjang-Sunan. Każdy miał ze sobą swoich towarzyszy – w przypadku Ri byli to pułkownicy i ochroniarze. Za Hwangiem stali jego osobisty sekretarz, kilku asystentów oraz wyspecjalizowani doradcy techniczni.

Była zaledwie piąta rano, a pierwszy lot komercyjny tego dnia wyznaczono dopiero na ósmą trzydzieści. Wojskowi i cywilni pasażerowie mieli więc dla siebie sporo czasu, chociaż generał Ri mógłby zamknąć całe lotnisko – gdyby tylko zechciał – aby czyjeś niepożądane oczy nie zagroziły realizacji jego dzisiejszego planu.

Dyrektor Hwang Min-ho ciągle nie mógł uwierzyć, że opuszcza swój kraj, choć miały to być zaledwie dwadzieścia cztery godziny. W rzeczywistości żaden mieszkaniec Korei Północnej nie wystawił nigdy nawet stopy za granicę. Jedynie kilku wysoko postawionych urzędników rządowych zasłużyło sobie na taki zaszczyt. Społeczeństwo Korei było szczelnie odizolowane od świata zewnętrznego, starannie chronione przed jego wpływami, dzięki czemu władza mogła kontrolować przepływ wszystkich informacji o tym, co działo się za granicą.

Jednak Ri dobrze zorganizował swoją wyprawę – nie tylko dla siebie i dla Hwanga, lecz także dla wszystkich towarzyszących im osób, jak tłumacze, asystenci i ochrona. Pozbył się bez problemu wszystkich przeszkód w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, które zwykle były nie do przewyciężenia. W kraju, gdzie każdą próbę nielegalnego przekroczenia granicy uważa się za akt zdrady, który podlega karze śmierci, każdy traktował wyjazdy zagranicze bardzo poważnie, zatem Ri i jego ludzie musieli wiele spraw dograć, by udało się polecieć bezpiecznie. Ri przebił się więc przez biurokrację, powołując się na fakt, że jest kimś, kto ma posłuchanie u samego Dae Wonsu. W istocie i tak musiał sięgnąć po wsparcie aż do biura Choia. Po kilku spotkaniach z ludźmi służb bezpieczeństwa, w czasie których generałowi Ri i dyrektorowi Hwangowi zadawano osobiste pytania i poddawano ich testom dotyczącym oddania najwyższemu przywódcy, w końcu udało się uzyskać zgodę na wyjazd za granicę, ale tylko w towarzystwie kilku agentów udających ich podwładnych.

W wypadku Hwanga była to sytuacja wyjątkowa. Niezwykle rzadko wysokiej rangi urzędnik przemysłu wydobywczego mógł wylecieć z Korei Północnej, nie wchodząc w skład jakiejś zorganizowanej delegacji z mnóstwem agentów służb bezpieczeństwa pilnujących, żeby nikogo nie uprowadzono albo nie usiłował uciec.

O ile zagraniczna podróż Hwanga była rzeczą wręcz niebywałą, to fakt, że generał Ri wybiera się za granicę Korei Północnej, był czymś zupełnie niewiarygodnym.

A jednak się udało. Motywowała ich przede wszystkim wizja śmierci. Wiedzieli, że ten plan jest ich jedyną szansą, dlatego działali wbrew wszelkim regułom.

Kiedy urzędniczka portu lotniczego podała komunikat przez radio, cała grupa udała się do tylnych schodów, po których zeszła na poziom zerowy terminalu. Wsiadli do rozklekotanego autobusu, który zawiózł ich do TU-134, dwusilnikowego odrzutowca pomalowanego na czerwono, białą i niebiesko w barwach Air Koryo, północnokoreańskich linii lotniczych.

Hwang, wchodząc na schodki, czuł, jak trzęsą mu się nogi. Nie z wrażenia, nie był to dreszcz podniecenia na myśl o tym, że wylatuje z kraju. Przenikał go autentyczny strach. Przez całe swoje pięćdziesięcioczworoletnie życie słyszał opowieści o świecie zewnętrznym, a wszystkie przedstawiały go źle. Bardzo źle. W jego rodzinnym mieście stał posąg amerykańskich żołnierzy przebijających bagnietą płaczące dziecko. Obcokrajowcy byli okrutni, ich choroby owiane już legendą, zbrodnie obrzydliwe, Korea Południowa i Japonia uległy już całemu moralnemu zepsuciu.

Cały poprzedni wieczór spędził na uspokajaniu żony i dzieci, tłumacząc im, że muszą być silni i mają wierzyć w Dae Wonsu.

Na pokładzie samolotu mógł wybrać sobie dowolne miejsce. Na pokładzie mogło się zmieścić osiemdziesięciu pasażerów, lecz tym razem leciało ich tylko szesnastu. Hwang zdecydował się jednak na fotel obok Ri i usiadł w milczeniu, z drżącymi rękoma, cały czas myśląc o tym, co zastanie na ziemi po wylądowaniu.

Po starcie samolot, kierując się na południe, wzniósł się w poranną mgłę. Gdy Ri rozpoczął prezentację swojego planu spotkania, które miało się odbyć później tego samego dnia, Hwang zdobył się tylko na potakiwanie.

Cztery godziny później Hwang poświęcił się pracy, tłumiąc w sobie wcześniejszy strach wywołany niewiedzą, co czeka na niego za granicami kraju. Ledwo podniósł wzrok, gdy samolot wylądował w Vientianie, w Laosie, aby uzupełnić paliwo i ukryć prawdziwy cel lotu. Pół godziny później znowu byli w powietrzu.

Drugi raz wylądowali w przedpołudniowym deszczu na lotnisku w Singapurze. Powitali ich tam miejscowi agenci służby wywiadowczej Ri, z którymi podróżnicy pojechali do hotelu Mandarin Oriental.

Hwang Min-ho nie wierzył własnym oczom, kiedy zobaczył bogactwo i rozmiar lobby. Jako jeden z kilku, zresztą i tak nielicznych Koreańczyków, którzy widzieli wnętrze rezydencji nr 55, mógł bez wahania stwierdzić, że ten hotel był jeszcze bardziej luksusowy niż pałac Dae Wonsu. Był już i tak zdumiony przepychem dostępnym wyraźnie również dla zwykłych biznesmenów, a nie tylko dla elity rządzącej i otoczenia władcy, gdy zauważył, że Ri mógł się czuć podobnie. Rozglądał się wokoło z szeroko otwartymi oczami, jakby był zupełnie oszołomiony.

Z trudem udając, że nie zwracają uwagi na otoczenie, wsiadli do windy i wjechali na piętro

apartamentu prezydenckiego. Cały czas towarzyszyli im miejscowi agenci bezpieczeństwa, lecz obaj goście i tak doskonale wiedzieli, że są nieustannie obserwowani.

W przestronnym korytarzu na najwyższym piętrze hotelu delegację z Korei Północnej powitało czterech podobnych do siebie mężczyzn w identycznych garniturach. Tłumaczka z grupy Hwanga i Ri, Koreanka w średnim wieku, odezwała się do nich po angielsku, a potem wszyscy weszli do apartamentu prezydenckiego o powierzchni 2500 stóp kwadratowych.

Hwang i Ri uśmiechnęli się na widok mężczyzny, dla którego odbyli całą tę podróż. Óscar Roblas de Mota robił wyjątkowe wrażenie. Siedemdziesięcioletni, masywnie zbudowany, niemniej wyglądający na wyjątkowo sprawnego fizycznie. Jego farbowane włosy, mimo że raczej nie oszukałyby już nikogo, sprawiały, że wyglądał na człowieka tryskającego energią. Był o głowę wyższy od Ri i szczuplejszy niż Hwang. Nosił doskonale skrojony, czarny trzyczęściowy garnitur od Savile Row. Stał przy oknie, wysokim od podłogi do sufitu, ale gdy tylko weszli, natychmiast się odwrócił i pospieszył powitać gości.

Wyrażał się autorytatywnie, sprawiając wrażenie człowieka niezwykle kompetentnego. Zachowywał się również tak, jakby goście byli jego wielbicielami ustawiającymi się w kolejce po autograf, a nie dwoma niezmiernie ważnymi przedstawicielami nuklearnego państwa.

Ale tak wyglądał właśnie sposób bycia Roblasa. Niektórzy ludzie, chociaż odnieśli sukces, nigdy nie potrafili w pełni rozwinąć i zaprezentować swoich umiejętności, aby osiągnąć zamierzony cel. Ale nie Óscar Roblas, on zawsze wygrał i cholernie dobrze o tym wiedział.

Był trzecim najbogatszym człowiekiem w Meksyku, a na liście „Forbesa” zajmował pozycję numer dwadzieścia osiem ze swoim osobistym i rodzinnym majątkiem sięgającym dwudziestu czterech miliardów dolarów. Nie zaczynał od zera, chociaż tę wersję rozpowszechniano w jego firmie przez poprzednie trzydzieści pięć lat. Prawdą było jednak, że jego rodzina od trzech pokoleń budowała majątek w oparciu o zyski, jakie przynosiły kopalnie miedzi. Rodzinna firma Roblasa, Grupo Pacífico, nadal eksploatowała miedź i cynk w całym kraju, ale większość jej obecnych zysków pochodziła głównie z ropy naftowej. Óscar Roblas dzierżawił w tym celu tereny w całym Meksyku, aby później stworzyć światową sieć kopalni minerałów, która wciąż się rozrastała; wykorzystywał do tego celu zamorskie kompanie wydobywcze i współpracował ze spółkami komandytowymi.

Obecnie był zapewne właścicielem mnóstwa kopalni minerałów we wszystkich zakątkach świata. Niektóre, jak te w Mozambiku, wydobywały tytan. Należały do niego również kopalnie diamentów w Botswanie i Sierra Leone. Złoto, miedź, cynk i nikiel eksploatował w co najmniej dwunastu krajach.

Dysponując tak ogromnym majątkiem, mógł sam tworzyć pozornie z niczego kompanie wydobywcze, a nawet zakładać domy bankowe, w których lokował pieniądze ze swoich tajnych przedsięwzięć. Hwang dobrze znał Roblasa, ponieważ ten uczestniczył w przeszłości w pracach kopalni Korei Północnej, chociaż wtedy był to zaledwie ułamek tego, co Hwang miał mu do zaoferowania na dzisiejszym spotkaniu.

Usiedli przy stole konferencyjnym sprowadzonym do apartamentu specjalnie na to spotkanie. Po tym, jak ochroniarz z Korei Północnej sprawdził, czy w pomieszczeniu nie ma podsłuchu, Roblas zaczął niewygodnym pytaniem, które tłumaczka przełożyła najpierw na angielski, a potem na koreański.

– Jak się miewa były dyrektor Kim? – zapytał Roblas. – Miałem przyjemność współpracować z nim w przeszłości przy projekcie wydobywania magnezytu w Daeheung. Uznałem wtedy, że to wybitny fachowiec. Panie Hwang, rozumiem, że zastąpił go pan na stanowisku dyrektora Koreańskiej Korporacji Handlowej ds. Zasobów Naturalnych z powodu jego choroby?

Hwang przez chwilę milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Po drugiej stronie stołu siedział na sofie agent służb bezpieczeństwa, nadzorujący spotkanie. Cały czas wpatrywał się w niego z kamiennym wyrazem twarzy.

– Tak – odparł Hwang tłumaczcze, która bez trudu przełożyła to angielski. – Jest chory, ale powoli zdrowieje. Niestety trudy pracy zupełnie go wyczerpały, więc na razie zajął się swoim pięknym ogrodem i dużą, szczęśliwą rodziną.

Roblas skinął głową z powagą.

– Rozumiem.

Hwang odniósł silne wrażenie, że Meksykanin w istocie dobrze wiedział, w czym rzecz. Przez wiele dziesięcioleci działał w przemyśle wydobywczym Korei Północnej, więc na pewno nie było dla niego zaskoczeniem, że skala popełnionej przez dyrektora Kima zdrady spotkała się z ostrą karą przywódcy.

Po załatwieniu tej sprawy dyrektor Hwang Min-ho spędził następną godzinę, prezentując swoją wizję ponownego uruchomienia kopalni minerałów ziem rzadkich w Chǒngju bez udziału partnerów z Chin. Wyjaśnił, w jaki sposób generał Ri ma mu pomóc w zdobyciu technologii i niezbędnych informacji, oraz to, że na początek muszą zainwestować jednak ogromne sumy i zdobyć wsparcie zagranicznych partnerów, aby mieć wszystko, co potrzebne do uruchomienia i utrzymania działającej kopalni.

Roblas słuchał w milczeniu, ale z wyraźnym zainteresowaniem. Ministrowie rozmaitych rządów, zajmujący się przemysłem wydobywczym, często zgłaszali się do niego, prosząc o pomoc na poziomie podstawowym. Zaledwie przed miesiącem minister Konga zaproponował mu udziały w nowej kopalni żelaza. Roblas odmówił. Jego geologowie wyrazili wątpliwości co do wielkości odkrycia, a on sam nie był zainteresowany powrotem na tamtejsze tereny.

Spotkanie z Koreą Północną to było jednak co innego. Przekonywali go, że takiej propozycji nie mógł odrzucić. Oczywiście wiedział już wcześniej, że chodzi o kopalnię minerałów ziem rzadkich, ostatnio porzuconą przez Chińczyków, i rzeczywiście interesował go ten temat. Trzymał rękę na pulsie światowego przemysłu wydobywczego i coś takiego jak Chǒngju nie mogło mu się wymknąć. Wiedział, że Chińczycy chcieli zostać, ale Choi ich wyrzucił, a Roblas był na tyle zainteresowany całą sprawą, że poleciał do Singapuru i zasiadł do rozmów z niegrzeszącymi zbytnio bystrością umysłu Koreańczykami o wypranych mózgach. Pragnął się dowiedzieć, co chcą mu zaoferować. Był gotów na inwestycje, aby poruszyć całe góry – zarówno dosłownie, jak i w przenośni – jeżeli, i tylko jeżeli, Koreańczycy udowodnią mu, że kopalnia jest tego warta, a warunki kontraktu na tyle korzystne, że zdobędzie na tym ogromne zyski.

Hwang przekazał mu próbkę rudy znalezionej przez Chińczyków – jego objaśnienia tłumaczono na angielski – i Óscar Roblas nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom. Wiedział, że w Korei Północnej znajdują się ogromne złoża minerałów ziem rzadkich, na tyle duże, że Chińczycy starali się o utrzymanie współpracy mimo sprzeciwu Choia. Lecz zapewnienie, że pod skałami leży

dwanaście bilionów dolarów w dzisiejszej walucie, było czymś zdumiewającym nawet dla Roblasa.

Zażądał informacji dotyczących różnych tematów związanych z tą kopalnią – ale Hwang nie był do tego przygotowany. Posiadał jedynie dane z testów i dokumenty geologów, którzy się podpisali pod tym odkryciem.

Wtedy Roblas powiedział coś, co zaskoczyło Hwanga i Ri:

– Interesuje mnie to, ale jako biznesmen chcę wiedzieć, w co wchodzi. Nie byłem w waszym kraju od ponad dwudziestu lat. Jestem jednak skłonny inwestować w wasz projekt, ale chciałbym zobaczyć kopalnię na własne oczy.

Z początku Hwang był zakłopotany.

– Wszystko, co odkryli dotychczas Chińczycy, zawarte jest w tych dokumentach. Jeśli znajdzie pan trochę wolnego czasu na przejrzanie...

– Nie – rzucił Roblas, przerywając mu w pół słowa. – Chcę polecieć do Korei Północnej i zobaczyć te złoża na miejscu, a także lokalizację przyszłej przetwórni. Chcę się przekonać, jak obecnie wygląda tam infrastruktura. Jeżeli uznam, że mi się to podoba, jeżeli zobaczę w tym potencjał i zaakceptuję proponowane warunki współpracy, wtedy razem przystąpimy do wspólnej realizacji projektu.

– Dobrze, kiedy chce pan przylecieć? – odparł Hwang.

– Sądzę, że macie samolot tu, na lotnisku. Zatem mogę się z wami zabrać jeszcze dziś wieczór.

– Dziś wieczór?!

– Tak. Jeżeli nie polecę teraz i każecie mi czekać tydzień albo miesiąc, wtedy będziecie mieli czas, żeby odpowiednio przygotować kopalnię na moją wizytę. Usprawnicie elektryczność albo weźmiecie generatory z Pjongjangu i przewieziecie je ciężarówkami w góry. Ściągniecie z kraju wszystkich najzdolniejszych górników, wbijecie ich w nowe mundury uszyte specjalnie na moją wizytę. Dawno nie byłem u was, *amigos*, ale znam wasze sztuczki.

Hwang zaczął protestować, ale generał Ri, który dotąd głównie milczał, nagle wstał. Tonem wojskowego oświadczył:

– Lecisz z nami bezzwłocznie.

Chociaż komitet powitalny miał mniej niż dwanaście godzin, żeby coś zorganizować, w Pjongjangu Óscar Roblas został potraktowany tak, jakby głowa innego państwa przybyła z wizytą, mimo iż brakowało kamer rejestrujących to wydarzenie. W prywatnej rezydencji przeznaczony dla wizytujących dygnitarzy powitał go tłum starszych oficjeli, którzy obiecali mu, że będą z nim w pełni współpracować i że w Chŏngju witają go jako partnera.

Poprzednie działania Roblasa w koreańskim przemyśle wydobywczym były korzystnym doświadczeniem, więc z góry zakładał, że można tutaj robić interesy. Jeszcze przed przybyciem do Chŏngju był nastawiony pozytywnie.

Następnego dnia rano wyruszyli długą kolumną aut na północ. Roblas jechał wojskowym SUV-em razem z Ri i Hwangiem. Przez większość drogi milczeli – wszystko, co miało być powiedziane, zostało już powiedziane, i teraz wielkiemu Meksykaninowi zostało tylko sprawdzenie, czy rzeczywiście wchodzi w dobry układ.

Roblas spędził trochę czasu w kopalni i w miejscu proponowanym na lokalizację zakładu

przetwórczego, kilka kilometrów na zachód od odkrywki. Chodził, sprawdzając grunt, aż jego lakierki okryły się błotem i żwirem. Klękał, chwycił ziemię palcami... Na koniec uśmiechnął się do Hwanga i Ri.

– Nie różni się od Sierra Madre.

Odpowiedzieli mu tym samym.

Przez następne dwa miesiące Roblas siedział w swoim biurze w Mexico City i w tajemnicy pracował ze swoim starszym personelem, przygotowując wszystko, co niezbędne do zmontowania urządzeń do przetwarzania minerałów ziem rzadkich. Począwszy od tego, ile potrzebne było wody, po listę sankcji ONZ-etu, które należało obejść, żeby cała operacja się udała. Ścisłe współpracował z Hwangiem i jego asystentami; kontaktował się też z Ri, kierując szefem koreańskiego wywiadu tak, aby z powodzeniem przeprowadzić operację uruchomienia kopalni.

Warunki oferowane przez Hwanga były dość osobliwe, ale Roblas uznał, że może je zaakceptować. Jako kapitał początkowy Roblas zdeponował oczywiście miliony dolarów na zagranicznych kontach Korei Północnej. Przeznaczono je na pierwsze zakupy. Dla Korei Północnej było to mnóstwo pieniędzy, lecz dla Roblasa tylko kropla w morzu.

Następnie Meksykanin na własny koszt przetransportował urządzenia i pracowników do Korei Północnej. Było to dość kosztowne przedsięwzięcie; obliczono, że Roblas przesłał tam już sześćdziesiąt milionów dolarów.

Powiedziano mu też, że Choi domaga się, aby produkcja rozpoczęła się w ciągu półtora roku. Był to termin nieprzekraczalny – lecz pod błotem i żwirem leżało dwanaście bilionów dolarów, a to zachęciło Roblasa do przyjęcia tych warunków i dalszej współpracy przy realizacji planu.

Trzeci etap wymagał od Roblasa największych kosztów. Żeby dzień wydobywczy zaczął się od razu przetwarzaniem minerałów, musiał przekazać Korei Północnej jednorazową wpłatę gotówkową w wysokości pięciuset milionów dolarów. Była to duża suma, to pewne, szczególnie po innych jego doświadczeniach w tym przemyśle, jednak warunki umowy gwarantowały, że zostanie wydana na konkretne działania. Roblas był więc przekonany, że pieniądze zwrócą się w ciągu pięciu lat i potem będzie miał z tego już tylko czysty zysk, a jego głównym zmartwieniem będzie to, jak go ukryć i spożytkować.

Dla meksykańskiego biznesmena było jasne, że Korea Północna tak ułożyła kontrakt, aby przede wszystkim chronić jej interesy, głównie dlatego, że potrzebowała twardej waluty. Roblas nie domyślał się nawet po co, ale nie pytał. Wiedział jednak, że to biedny kraj, i miał nadzieję, że te pieniądze poprawią tu choć trochę byt zwykłych ludzi, chociaż szczerze w to wątpił. Zastanawiał się w pewnym momencie, czy mogą to wszystko wydać na jakieś luksusy albo rakiety nuklearne, jednak trwało to tylko chwilę. Aż tak bardzo losem Korei się nie interesował.

Zabiegał jednak usilnie, aby utrzymać swoje nazwisko z dala od wszelkich wydarzeń. Teraz, gdy Korea Północna mogła zacząć grać w przemyśle wydobywczym jak Stradivarius na skrzypcach, wolał jeszcze bardziej niż zazwyczaj zadbać o swoją anonimowość. Wielu z pewnością założy, że Korea Północna otrzymała pomoc z zagranicy. Lecz podobnie jak w przypadku każdego ryzykownego interesu, w który Roblas zaangażował się w biedniejszych częściach świata, chciał zachować wszystko w tajemnicy.

W wykazach, na wykresach, na papierze, w tym wszystkim, co odzwierciedlało trud podjętego zadania, jego asystenci wykazali, że całe zamierzenie było możliwe do zrealizowania, ale największym problemem okazała się sprawa przetwarzania rudy i jej oczyszczania. Roblas i Hwang mogli budować kopalnie, wydobywać minerały, ale potem musiały one trafić do dalszej obróbki. Roblas mógł ułatwić Korei Północnej wejście na światowy rynek surowców kopalnianych, aby osiągnąć jak największe zyski – ale wysoko wyspecjalizowana technologia i intensywne przetwarzanie minerałów leżały, niestety, poza zasięgiem możliwości jego i Grupo Pacífico. Na świecie tylko kilka kopalni przetwarzało we własnym zakresie rudę, ale znajdowały się one jedynie w Stanach Zjednoczonych, Chinach czy Kanadzie; Australijczycy wysyłali na przykład rudę do rafinerii w Malezji.

Jednak nie dotyczyło to Korei Północnej. Oni musieli to robić u siebie, na miejscu, w kopalni.

Była to więc następna sprawa, którą musiał załatwić Duke Sharps.

W minionym dziesięcioleciu Grupo Pacífico Roblasy była zależna od Duke'a Sharpsa z Nowego Jorku. Korzystała z jego tajnych działań szpiegowskich i śledczych, zatem zupełnie normalną sprawą było to, że w tym wypadku Roblas ponownie nawiązał kontakt z Sharpsem i zawarł z nim umowę.

Pełen zakres działań prowadzonych w Korei Północnej został przedstawiony Sharpsovi przez samego Roblasy w luksusowym hotelu w Sint Maarten. Amerykański eksszpieg z miejsca wyraził zgodę, gdy tylko Roblas zaakceptował proponowane koszty, w które wchodziła opłata dla prywatnej firmy wywiadowczej.

Za tę robotę Sharps otrzymał ogromne pieniądze. Ten bezczelny Amerykanin wywoływał często furję u Óscara Roblasy nie tylko wygórowanymi żądaniem finansowymi, lecz także sporadycznym ociąganiem się z maczaniem rąk w brudach – w prawdziwych brudach! Sharps mógł szpiegować, łamać prawo i przekraczać niektóre granice, ale współpraca z takim człowiekiem jak Roblas wymagała niekiedy brania na siebie ryzykownych zadań, a Sharps był jednak zbyt uczciwy, by odwalać naprawdę brudną robotę.

Sharps i jego ludzie znali swoje miejsce. Mogli pomóc obcokrajowcom znaleźć się na terenie Korei Północnej, mogli pomóc w dostarczeniu niezbędnego wyposażenia, ukraść odpowiednie oprogramowanie dla uruchomienia i utrzymania w ciągłej pracy urządzeń przetwarzających rudę. Mogli też wywrzeć presję na decyzję urzędników w ONZ-ecie, aby głosowali tak, żeby Korea Północna mogła otrzymać pomoc finansową i materialną. W wyniku końcowej analizy – chociaż Duke żądał zbyt wiele i odmawiał pomocy w porywaniu albo zabijaniu wrogów – tkwiący w Óscarze Roblasie biznesman wiedział, że Duke Sharps i jego ludzie byli warcami każdego wydanego centa.

Dzień dzisiejszy

Na biurku Johna Clarka zabrzmiał alarm jego komórki. Mężczyzna podniósł wzrok znad papierów i wyłączył dzwonek. Westchnął. Była dziesiąta przed południem, czas codziennych ćwiczeń.

Cholera, pomyślał. Ta dziesiąta nadchodzi każdego dnia, prawda?

Wstał, zamknął drzwi gabinetu, wysunął szufladę z biurka i wyjął z niej niebieską piłeczkę do tenisa. Wziął ją w prawą dłoń i z całej siły zaczął zaciskać na niej palce.

Wszystkie inne ćwiczenia Clark wykonywał w małej sali gimnastycznej, którą zbudował dla siebie na farmie w Emmitsburgu w Maryland, ale teraz w pracy musiał się zadowolić tylko tym. Z drugiej strony, ta jego terapia ręki była w sumie dość mizerna.

Kilka lat temu ręka Clarka została zmiażdżona w czasie tortur w Rosji i mimo sześciu operacji w ciągu minionych lat palec wskazujący prawej ręki był ciągle sztywny i słaby. Artretyzm i blizna wokół małych stawów stanowiły główne źródło problemów, a chirurg powiedział mu, że spróbował wszystkiego, czego tylko mógł, żeby naprawić zniszczenia. John zapytał go wtedy, co on sam może zrobić, aby choć trochę usprawnić rękę, ale lekarz odpowiedział jedynie wzruszeniem ramion.

– Mogę zalecić tylko fizjoterapię, aby wzmocnić mięśnie i rozciągnąć tkanki. Ale problemem pozostanie artretyzm stawów i palców. Próba wyćwiczenia tej ręki może boleć. Codziennie będzie boleć.

Lekarz myślał zapewne, że mówi do starego faceta, który już się poddał i zrezygnował z cieszenia się zdrowiem na emeryturze, lecz nie znał Johna Clarka. Mężczyzna z zadowoleniem przyjął bowiem tę dziesięciosekundową uwagę i aby usprawnić tę paskudnie uszkodzoną rękę, każdego dnia poddawał się wymagającym dużego wysiłku dwudziestominutowym ćwiczeniom rozciągająco-wzmacniającym.

Lekarz miał rację. Bolało. Bardzo bolało. Codziennie. I nawet mimo bólu palec wskazujący Clarka ciągle był tak nieposłuszny, że mężczyzna musiał strzelać, używając środkowego, co stało się przyczyną dowcipów w całym Kampusie, że jeśli Clark pokazuje komuś faka, to robi to szczerze. A jednak w ciągu kilku miesięcy, gdy codziennie o dziesiątej rano poddawał ją torturom, ręka znacznie się usprawniła.

Ścisnął piłeczkę, krzywił się z bólu i czuł, jak wierzch dłoni rozpala się do białości, co sprawia, że palec wskazujący lepiej się rusza.

W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu.

Clark odłożył szybko piłeczkę i podniósł wzrok. W progu stał Jack Ryan junior, trzymając w dłoni kartkę papieru i uśmiechając się szeroko.

– Pukałeś, chłopcze?

– Przepraszam, John – odparł Ryan, zanadto przejęty, żeby zdawać sobie sprawę z odpowiedzi. Clark westchnął tylko.

– Co tam masz?

– Skala. – Kiedy Clark nie zareagował, Ryan dodał: – Pamiętasz to nazwisko, które Hazelton zapisał przed śmiercią?

– Oczywiście. Kto to jest?

– Hazelton mówił, że musiał coś załatwić na lotnisku w Pradze. Wydawało się, że znaleźliśmy się w ślepej uliczce, gdy nie byliśmy w stanie znaleźć nazwiska łączącego się z lotniskiem. W końcu jednak dotarłem do faceta nazwiskiem Karel Skála, który jest urzędnikiem konsularnym niższego szczebla w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Czech, a obecnie pracuje w biurze Unii Europejskiej. Teraz działa poza siedzibą ministerstwa w Pradze, dlatego początkowo nie widziałem związku. Ale po dłuższych poszukiwaniach odkryłem, że często umawiał się na spotkania z podróżującymi dyplomatami Unii w urzędzie celnym i imigracyjnym na lotnisku Václava Havla.

Clark był pod wrażeniem.

– Nie trzeba się zanadto wysilać, żeby dojść do wniosku, że ten facet dał coś Hazeltonowi. I było to coś, na czym bardzo zależało Korei Północnej. Tylko co?

Clark znał odpowiedź na to pytanie. Chciał tylko wiedzieć, czy zna ją też Ryan.

– Były to prawdopodobnie dokumenty podróży – dodał zaraz Jack. – To działka Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tu wydają paszporty, wize wjazdowe i inne dokumenty Unii Europejskiej. Praca Skáli polega na przygotowywaniu papierów czeskim dyplomatom. Ten facet wie, co dał Hazeltonowi, a to znaczy, że musi też wiedzieć, dlaczego Hazelton został zabity. Chyba trzeba będzie złożyć mu wizytę.

Clark wstał.

– Zbierz chłopców i pogadaj z Gerrym.

Dwadzieścia minut później Gerry siedział w pokoju konferencyjnym w otoczeniu wszystkich agentów operacyjnych Kampusu.

– Chcesz lecieć do Republiki Czeskiej i wydusić wszystko z tego typu, Skáli – powiedział, pocierając czoło.

– Zgadza się – odparł Ryan.

– Potajemnie czy otwarcie?

– Potajemnie, oczywiście.

Gerry spojrzał na Clarka.

– Co o tym myślisz, John?

– Jestem za – odparł Clark. – Wyślemy Ryana i Carusa do Pragi. W czasie gdy tam będą, reszta z nas uda się do Nowego Jorku. Chcę uruchomić pewne źródła, żeby dowiedzieć się czegoś o Sharps Global Intelligence Partners. Oraz sprawdzić, czy maczali w tym palce.

– John, przecież znasz Sharpsa – wtrącił Sam – prawda?

– Znam.

– Jesteście starymi kumplami?

Clark rzucił Driscollowi szybkie spojrzenie.

– Gdyby płonął, to nawet bym na niego nie nalał.

– Wydaje mi się, że ty i Mary Pat czujecie to samo do tego faceta. Co on robił?

– Duke Sharps pracował dla wydziału kontrwywiadu FBI zaraz po jedenastym września. Miał swoją bazę tu, na Manhattanie, i awansowano go na szefa tego Biura. Były to czasy, gdy potrzebowaliśmy wielu szefów w tej branży, ale podczas gdy inni traktowali to jako swój obowiązek, Duke Sharps wykorzystał jedenasty września do osobistego wzbogacenia się. Rzucił FBI i rozpoczął działalność własnego towarzystwa konsultingowego. FBI korzystało z jego ekspertyz, ale kilka razy zapłacili mu za to samo, za co dali mu pieniądze już wcześniej.

– To brzmi jak czysty kapitalizm – zauważył Sam, wzruszając ramionami.

– A nawet gorzej. Sharps Partners współpracowało głównie z rządem federalnym. Lecz powoli, w ciągu następnych kilku lat, Duke zaczął przechodzić do sektora prywatnego, tworząc nowe oddziały i biura w celu udzielania pomocy korporacjom w sprawach wywiadu i kontrwywiadu. Jednak na pierwszym miejscu stawiali pracę tu, w Nowym Jorku, i z tego, co mi powiedziano, rząd nie maczał w tym palców. Jednak po jakimś czasie stało się jasne, że ten jego prywatny sektor nie funkcjonował tak, jak każdy sobie wyobraża, że powinno to wyglądać. Sharps angażował się do pracy dla Saudyjczyków, aby identyfikować agentów izraelskiego Mosadu, którzy, jak ustalono, byli też w Nowym Jorku.

– Jasna cholera – jęknął Sam. – Wiec dlaczego nie siedzi za to w więzieniu?

– Sharps stwierdził, że pracował dla kompanii naftowej w Zatoce, działając przeciwko jej konkurencji. Zasłaniał się też tym, że nie wiedział, że jego ludzie siedzieli na ogonie agentom Mosadu. Wleczono go na przesłuchania, jednak z wielu powodów to wszystko zostało utajnione.

– Mogę się założyć – rzekł Driscoll – że facet z wiedzą taką jak Sharps mógłby dużo wyznać na jawnych przesłuchaniach.

– Z pewnością. W końcu rząd stwierdził, że nie może dowieść, że Sharps pracował jawnie dla obcego mocarstwa. Utracił jednak wszystkie kontrakty federalne, dopilnował tego sam prezydent Ryan, więc każdy myślał, że Sharps Partners przestanie istnieć. Stało się jednak coś zabawnego.

Sam potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Już nie potrzebował pieniędzy Stanów Zjednoczonych.

– Zgadza się. Swoje wysoce dochodowe kontrakty z FBI i rządem Stanów Zjednoczonych zastąpił Bóg wie iloma zagranicznymi transakcjami. W zasadzie stał się w Stanach gościem, a takich gości nazywają złymi facetami, którzy gadają, chodzą i zachowują się jak Amerykanie, ale nie działają dla dobra państwa, a tylko pod jego przykrywką.

– I nikt niczego nie mógł mu udowodnić?

Clark potrząsnął głową.

– Nie dało się udowodnić żadnej cholernej rzeczy. Sharps miał swoich ludzi za granicą, działających zresztą we współpracy z tamtejszymi agentami z jakichś mętnych organizacji rządowych albo grup przestępczych. To zupełnie bezpieczny system. Albo przynajmniej dotąd taki był. – Clark roześmiał się szyderczo. – Jeżeli znajdę jakikolwiek dowód, że ten zdradziecki sukinsyn wziął choćby centa od jakiegoś pajaca z innego państwa z zamiarem prowadzenia dla niego akcji wywiadowczej, to zawieszę jego jaja nad schodami do budynku FBI. Niech będzie to prezent dla wszystkich harujących mężczyzn i kobiet w rządzie, którzy nie poświęcili swoich doświadczeń dla kryminalnej kariery.

– Dziś musimy skompletować wyposażenie, zorganizować transport i kryjówkę w miejscu akcji –

kontynuował Clark po chwili. – Idę pogadać z Gavinem, żeby dał nam dostęp do zewnętrznych kamer przed biurem Sharpsa.

– Okej – odparł Gerry. – Zgadzam się na obie operacje. Życzę szczęścia, chłopcy. Taka robota to coś idealnego dla was. Sharps i jego ludzie są dobrzy w tym, co robią, a Nowy Jork jest dla nich jak własny dom. Nie śledźcie ich ani w metrze, ani w tłumie, bo i tak zawsze was zauważą.

– Masz rację – zgodził się Clark.

Ryan wiedział, dlaczego dostał zagraniczne zadanie. Z jego brodą i innymi rzeczami, które zrobił, aby zmienić swój wygląd, prawie nigdy nie rozpoznawano go na ulicach miast Stanów. A w Pradze mógł nawet jeszcze mniej zwracać na siebie uwagę. Nienawidził tej swojej połowicznej sławy, która była groźna dla każdej operacji, jednak jeśli miał już kogoś za to winić, to tylko siebie. Nie za popularność, bo przyczyną było tutaj to, że jego ojca znano na całym świecie, ale za to, że mimo tych okoliczności Jack junior sam wybrał pracę w tajnym wywiadzie, a jednak popularność i anonimowość znajdowały się na przeciwnych biegunach.

Ryan zdawał sobie sprawę, że ma niezwykle życie. Czasem go to drażniło, ale wiedział, że nie zamieniłby go na żadne inne.

– Dzięki, Gerry – rzucił. – Może nie powinienem prowokować losu, ale chciałbym, żeby Gavin pojechał tam z nami.

– Do Pragi? Dlaczego? – Hendley wyglądał na zaskoczonego.

– W cokółwiek Skála jest zamieszany, myślę, że wygląda to jednak tak, jakby robił to nieoficjalnymi kanałami, a nie zgodnie z oficjalnym zleceniem rządowym. I był ku temu zapewne powód. Sharps Global Intelligence Partners nie związało się formalnym kontraktem z rządem czeskim, dlatego myślę, że potraktowano by go tam jak terrorystę, gdyby z nimi współpracował. To może oznaczać, że użył osobistego telefonu albo komputera, żeby skontaktować się z kimś związanym ze sprawą. Zakładam, że musimy zgarnąć wszystkie informacje z jego urządzeń elektronicznych i ustalić, z kim rozmawiał. Jeżeli zrobimy to tam na miejscu, bez jego wiedzy, wtedy możemy mieć aktualne dane.

– A jeżeli je wymazał?

– Och, jestem pewien, że to zrobił – odparł Ryan bez wahania. – Ale obserwowałem, jak pracuje Gavin. To pies tropiciel. Jeżeli trafi na jakiś ślad, nawet na coś, co zostało wymazane, nie odpuści.

Gerry namyślał się przez moment. Niechętnie wypuszczał Biery'ego w teren, zwłaszcza wtedy, gdy Kampus miał do wykonania jakąś akcję niecierpiącą zwłoki. Ale tak naprawdę wszystkie ich operacje takie były, a mieli do dyspozycji tylko jednego specjalistę od IT.

Jack, zauważywszy jego wahanie, dodał:

– Oczywiście mogę też walnąć Karela Skále w łeb i go uprowadzić.

To był żart, ale Gerry tylko uniósł ze złością brwi.

Ryan uśmiechnął się.

– Sorry, żartowałem. W porządku, lecimy bez Gavina. Damy radę.

Gerry spojrział na Clarka.

– Jeżeli wyślę Gavina do Pragi, to czy nie wpłynie to negatywnie na twoją operację w Nowym Jorku?

Clark potrząsnął głową.

– Potrzebny nam jest rozkład biur Sharpsa, lista zatrudnionych i tego rodzaju rzeczy. Może będzie potrzebował aparatury rozbijającej urządzenie zabezpieczające budynek, jeżeli będziemy chcieli wejść tam i rozejrzeć się. W tym zakresie zespół Biery'ego jest więcej niż kompetentny.

– Okej. – Gerry spojrział na Ryana i Carusa. – Możecie brać Gavina, ale tylko pod warunkiem że zwróćcie go w takim stanie, w jakim go zabraliście.

Jack i Dom wybuchnęli śmiechem.

Gavin Biery w istocie był jedynym pracownikiem Hendley Associates niezadowolonym z nowego budynku. Chociaż jego praca w tym zakresie, w jakim wykonywał ją w poprzedniej siedzibie, nie uległa zmianie, to miał tutaj znacznie mniej miejsca niż w West Odenton. Gavin czuł się z tego powodu tak, jakby ktoś go kopnął w dupę.

Tak, teraz Kampus posiadał mniej wyposażenia i dlatego nie potrzebował wielkiej przestrzeni, a Gerry wydał dość pieniędzy, aby tutejsze technologie były lepsze od tych, jakie Gavin miał do dyspozycji pod starym adresem, jednak Biery lubił to lekkie poczucie władzy, kiedy kontrolował operacje na znacznie większą skalę. West Odenton miało więcej komputerów i ludzi, nad którymi Gavin Biery mógł czuwać.

Kampus od samego początku, jeszcze przed wieloma laty, zbierał wiele istotnych informacji wywiadowczych, przechwytyjąc dane z satelity przekazującego je między budynkiem NSA w Fort Meade w Maryland i siedzibą CIA w McLean w Wirginii. Niezbędne było do tego odpowiednie ustawienie talerzy satelitarnych na dachu pięciopiętrowego budynku West Odenton.

Trudne do złapania fale radiowe były w dodatku zaszyfrowane i nikt nie mógł bez ich rozkodowania odczytać informacji wywiadowczych. Biery i jego ludzie radzili sobie z tym jednak za pomocą najnowszych systemów deszyfrujących.

Jednakże z biegiem lat zmieniała się technologia i teraz Gavin miał dostęp do każdego bita Joint Worldwide Intelligence Communications System, ogromnej sieci wywiadu, tak samo jak do każdej sieci rządowej. W ten sposób rozwinął praktycznie swój własny system.

Teraz nie miał już talerzy na dachu, wielu metrów kabli biegnących w górę i w dół jak drogi komunikacyjne, nie miał też gigantycznych komputerów, które służyły tylko do rozszyfrowywania wiadomości. Jednak Biery tutaj, w budynku w Alexandrii, też dysponował ogromnym systemem, ale mógł go wykorzystywać także do innych zadań.

Gavin tęsknił jednak za swoimi talerzami i kablami. Rozbudował swoją prywatną sieć dostępu do JWCS głównie z konieczności – po ataku Chińczyków na budynek w West Odenton Kampus nie miał już linii dostępu do przechwytywania transmisji radiowych. Gavin lamentował z powodu utraty potężnego pojemnościowo systemu wraz z całym kompleksem komunikacyjnym, ale udało mu się stworzyć coś zupełnie nowego i musiał obiektywnie przyznać, że znajdowali się przez to w znacznie lepszej i bezpieczniejszej lokalizacji.

Jednak Biery z jeszcze jednego powodu żałował utraty dawnego budynku Hendley Associates w West Odenton – mieli tam doskonałą kafenię ze wspaniałym jedzeniem. Tu, dla kontrastu, był tylko pokój wypoczynkowy, w którym stały automaty z przekąskami. Oczywiście w pobliżu znajdowała się restauracja. Wielu pracowników wędrowało na południe King Street na lunch, ale Gavin rzadko znajdował to czas. Zwykle zamawiał sobie pizzę albo kanapki, ale każdego ranka

i popołudnia lubił sięgnąć po jakąś przekąskę, dlatego musiał użerać się z tymi piekielnymi maszynami.

O wpół do jedenastej Gavin zaszedł do małego pokoju wypoczynkowego i wrzucił drobne do automatu. Wybrał sobie coś, a następnie jęczał sfrustrowany, gdy jego placek z borówkami zaklinował się między oknem z pleksi a torebką z chipsami.

– Niech to szlag – warknął. Kilka razy uderzył pięścią w szybkę, ale bez skutku, zaczął więc grzebać w kieszeniach, szukając monet i sądząc, że to, co się stało, to omen i tak naprawdę to miał zamiar kupić jeszcze paczkę chipsów.

Kiedy on skupił się na walce z automatem, Jack Ryan i Dom Caruso wyszli z klatki schodowej i znaleźli się w pokoju wypoczynkowym.

– Twoja sekretarka powiedziała, że cię tu znajdziemy – oznajmił Jack. – Takie przedpołudniowe chrupanko, co?

– Daje to dużo paliwa mojemu mózgowi, Ryan.

– Och, całkowicie rozumiem – odparł Jack.

– Hej, Gav – wtrącił się Dom. – Właśnie zastanawialiśmy się, czy ucieszyłaby cię perspektywa małej wycieczki.

Gavin nie mógł powstrzymać entuzjazmu. Odwrócił się szybko, a kilka monet wypadło mu z dłoni i rozsypało się po podłodze.

– Do diabła, tak! Gdzie i kiedy?

– Praga. Bardzo szybko. Dziś wieczorem.

Pięćdziesięciosześcioletek uśmiechnął się szeroko i westchnął głęboko z podniecenia.

– Praga? Intryga w Europie Środkowej. Brukowane kocimi łbami ulice. Lampy gazowe. Mgła. Wspaniałe warunki na robotę żywcem wyjętą z powieści awanturniczych.

Jack przewrócił oczami.

– Czytujesz za dużo takich powieści. Nic z tych rzeczy. Tylko siedzenie w hotelu i czekanie na nas z komórką i laptopem, żeby służyć nam ewentualnym włamaniem do sieci.

– Mogę to robić. – Gavin wzruszył ramionami. – To nadal interesujące.

Ale wydawał się nieco rozczarowany, więc Caruso dodał:

– Jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej, to w czasie tej pracy załóż w pokoju hotelowym płaszcz ze sztyletem w kieszeni.

Ryan zaśmiał się, ale Biery niezrażony odparł:

– To lepsze niż nic, jak sędzę.

Dom skinął głową i nagle zauważył zaklinowany placek owocowy. Stuknął w okienko automatu, a placek spadł na dół. Podniósł go i westchnął:

– Weź, Gavin. To gównem zabija.

Biery wyrwał placek z ręki Doma.

– Nie, Dominic. Strzelanina z Irańczykami cię dopiero zabije.

Dom rzucił Biery'emu surowe spojrzenie, co Ryan wyraźnie zauważył. Gavin zorientował się, że przesadził, i chrząknął niepewnie.

– Okej. Dobra, lepiej pójde powiedzieć moim ludziom, żeby poczytali sobie instrukcje użytkowania komputerów, ponieważ nie będę ich mógł prowadzić za rączkę przez następne kilka

dni.

Z tymi słowami ruszył ku schodom.

Ryan spojrzął na kuzyna.

– O czym on, do diabła, mówi?

– O niczym właściwie.

– Mów.

– Clark mówił, że jesteśmy szkoleni też po to, żeby od czasu do czasu działać w pojedynkę. Nasza praca musi być tak zorganizowana, żeby służyć większej całości. Coś się wydarzyło, ale poradziłem sobie z tym. Teraz czas ruszać do akcji. – Dom mrugnął do kuzyna i klepnął go w ramię.

– Ale...

– Żadnych „ale”.

Ryan westchnął.

– Okej.

Rezolucja ONZ nr 1874 upoważniła państwa członkowskie – zgodnie z prawem międzynarodowym – do kontrolowania ładunku w tranzycie do i z Korei Północnej, jeśli dany kraj jest przekonany, że istnieją słuszne przesłanki, aby wierzyć, iż ładunek zawiera towary związane z bronią masowego rażenia. Tak jak we wszystkich dokumentach międzynarodowych, tak i w tej rezolucji istniało wiele szarych stref, które nie wyszczególniały na przykład typów działań, które można było podjąć w przypadku podejrzenia o łamanie prawa. A te „podejrzenia”, mogły się różnić w przypadku różnych państw w różnym czasie i w różnym miejscu – co oznaczało, że zakaz transportu towarów w tranzycie miał w rozmaitych przypadkach niejednakowe zastosowanie.

Jednak działania statku „Emerald Endeavor”, kontenerowca płynącego pod flagą Liberii po wodach międzynarodowych na zachód od miasta portowego Inchon, były wysoce podejrzone i ten, kto znał rezolucję nr 1874 ONZ-et, wiedział, że ten dokument sprawdzi się akurat w tej konkretnej sytuacji.

Oficjalnym i głównym ładunkiem „Emerald Endeavor” był cukier z Kuby. Sześć i pół tygodnia temu statek wypłynął z Hawany, ale w tym czasie odbył dziwną podróż po Karaibach. Pewnego dnia po opuszczeniu portu Batangas na Filipinach statek nagle przestał nadawać komunikaty przez System Automatycznej Identyfikacji. Każdy statek powyżej trzystu ton na wszystkich szlakach morskich musiał mieć zainstalowany AIS, a „Emerald Endeavor” ważył dwa tysiące trzysta ton, zatem brak tego sygnału był albo wynikiem poważnych problemów technicznych, albo było to wyraźne naruszenie międzynarodowego prawa morskiego.

Wszelkie usiłowania, aby namierzyć statek drogą radiową, w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin skończyły się niepowodzeniem. Być może wysiadł system komunikacyjny „Emerald Endeavor”, co byłoby dużym problemem dla kapitana, lecz statek nadal płynął ku brzegom Korei Północnej, jakby nic się nie stało, unikając wielu portów po drodze.

Każde państwo należące do ONZ miało prawo zgodnie z regulacjami zatrzymać statek, ale nie każdy kraj członkowski był jednak w stanie to zrobić. Jeżeli w rzeczywistości na pokładzie znajdował się ładunek naruszający międzynarodowe sankcje, wtedy tamtejsza załoga mogła odrzucić nakaz zatrzymania się, przyspieszyć i zacząć uciekać albo nawet przystąpić do ataku. Każdy statek, który miał więc podjąć się zatrzymania takiego okrętu w związku z rezolucją nr 1874, musiał mieć dwie rzeczy: prędkość i uzbrojenie.

Dobrze po północy „Emerald Endeavor” znajdował się w odległości kilku godzin od wód terytorialnych Korei Północnej, na południe od portu Haeju, i kapitanowi statku mogło się wydawać, że prawie jest już u siebie w domu. Nagle jednak długi dźwięk radaru zasygnalizował obecność jakiejś jednostki płynącej tym samym kursem, która zawróciła i zaczęła się zbliżać z prędkością czterdziestu pięciu węzłów, niespotykaną dla statku wykazanego na ekranie radaru.

Chyba że była to jakaś jednostka wojenna.

Wkrótce kapitan zorientował się, kto go ściga, bo jego radio w istocie działało i głos Koreańczyka

powtarzał bez przerwy, że amerykański okręt wojenny „USS Freedom” zamierza przeprowadzić rewizję zgodnie z rezolucją ONZ nr 1874, więc „Emerald Endeavor” ma zwolnić, zatrzymać maszyny i przygotować się na inspekcję.

Kapitan zrozumiał, że nie uda mu się wpłynąć do portu Haeju bez konfrontacji, ale nie potwierdził odebrania wiadomości i nie zwolnił.

Wejściem na pokład i sprawdzeniem statku z 2300-tonowym ładunkiem w tranzycie zajęły się dwie grupy, każda składająca się z ośmiu Amerykanów; wszyscy mieli od dwudziestu trzech do czterdziestu lat. Nie była to liczna ekipa, biorąc pod uwagę zadanie do wykonania, należeli jednak do zespołu 5 plutonu Echo, grupy Alpha i Bravo SEAL; ci chłopcy żyli dla tego, co robili.

Trzydziestosiedmioletni Szeft Daryl Ricks z Chico w Kalifornii dowodził ośmioosobowym oddziałem Alpha. Ze swoimi siedmioma specjalnymi oficerami wojskowymi płynął w niezatopialnej łodzi bojowej typu „Zodiak”, która przybiła do „Emerald Endeavor” od rufy przy prędkości trzydziestu ośmiu węzłów.

Chociaż pluton uderzył łodzią w burtę i motory z hałasem mieszały czarne wody śrubami, łódź podpłynęła niezauważona, bo nad statkiem na wysokości 350 jardów krążyły dwa duże, głośne helikoptery MH-60S Seahawk. Już od pół godziny grzmiały nisko nad pokładami „Emerald Endeavor”, oświetlając jasnymi reflektorami załogę na pokładzie i okna kabiny na mostku.

Helikoptery MH-60S tego ranka miały dwa zadania. Pierwsze to robić wiele hałasu i rzucać jaskrawe światło, aby odwrócić uwagę od łodzi podpływającej do rufy statku. Drugie to dostarczyć ośmiu ludzi oddziału Bravo na pokład, gdy tylko wezwie ich Szeft Ricks.

Akcję przejmowania statku na pełnym morzu nazywano „operacją wejścia na pokład w trakcie drogi” i tego rodzaju działania należały do Navy SEAL. Każdy w tych oddziałach nie tylko szkolił się specjalnie, aby móc brać w nich udział, lecz także śnił o nich, wręcz modlił się o taką okazję.

Plan był prosty. Alpha miała najpierw użyć bosaków, aby zahaczyć je o burtę rufy i wspiąć się na otwarty pokład, a potem ruszyć w dwóch czteroosobowych grupach do schodów nadbudówki. Musieli dostać się do mostku, podczas gdy członkowie Bravo, zrzućeni z helikopterów na linach, mieli odciągnąć uwagę załogi, wykorzystując też kontenery na statku jako osłonę. W ten sposób można było szybko wprowadzić na pokład szesnastu ludzi; drużyna Alpha, idąc „od dna w górę”, mogła dostać się do sterowni, a drużyna Bravo, „idąc w dół”, mogła wejść do maszynowni. Tam obie drużyny miały unieszkodliwić załogę i odizolować ją od ładunku. Po zrealizowaniu tej części planu powinni rozpocząć kontrolę, a w tym czasie *marines* z „USS Freedom” mieli wejść do akcji, aby pomóc w przeszukaniu statku.

Jeżeli znaleźliby jakikolwiek ślad nielegalnych towarów, to po zawinięciu do portu Incheon odbyłaby się kolejna, tym razem całkowita inspekcja.

Cała szesnastka z Navy SEAL była uzbrojona w colty M4A1 oraz w karabiny wyposażone w SOPMOD, czyli w zestaw dodatkowych akcesoriów do karabinków szturmowych, które pozwalały każdemu uczestnikowi działań przystosować broń do swoich preferencji, a także wymagań misji.

Karabin Ricka był bogaty w gadżety – miał lampkę rzucającą ostre promienie światła, celownik termiczny i iluminator podczerwieni, tłumik, przedni uchwyt – z pewnością nie wszystkie dodatki, jakie przewiduje SOPMOD, niemniej wywołujące wrażenie. Inni członkowie oddziału mieli też

wyrzutnie granatów, lasery i celowniki teleskopowe, a wszystkie karabiny strzelały tymi samymi nabojami kalibru 5,56 mm, więc gdyby zaszła taka potrzeba, każdy agent mógłby chwycić broń kolegi z oddziału i zacząć z niej strzelać.

Nosili gogle noktowizyjne i czarne kominiarki z nadrukiem trupiej szczęki zasłaniającym usta, które nadawały im dość groźny wygląd.

Z odległości dwustu jardów Ricks obserwował pokład rufowy przez celownik termalny. W tym samym czasie mówił do mikrofonu słuchawek dousznych, przekrzykując dochodzący za nim hałas motoru.

– Bravo obecny, Alpha obecny! Dwa mikrofony!

Usłyszał w słuchawkach odpowiedź od Marty'ego „Bonesa” Hackwortha, specjalnego operatora wojennego z MH-60S, lecącego nad statkiem:

– Zrozumiałem, Szefie! Teraz przygotowujemy liny!

Potem usłyszał człowieka, który stał za nim w łodzi, mówiącego z charakterystycznym akcentem niderlandzkim.

– Oni wiedzą, że weszliśmy, szefie.

Ricks wiedział, że Hendriks ma rację i że mają problem, ale odparł tylko:

– No to miejmy nadzieję, że to oleją.

– Nadal nie wiem, dlaczego nie mielibyśmy po prostu wejść w ukryciu na pokład, wykorzystując element zaskoczenia – powiedział Hendriks. – Do diabła, już od czterech godzin uprzedzamy ich, że jesteśmy w drodze.

Ricks nie odrywał wzroku od celownika termalnego.

– Takie są te pieprzone przepisy, Hendriks. Musieliśmy im dać szansę, aby dobrowolnie wpuścili nas na pokład.

– Dajemy im teraz możliwość, aby spokojnie zaczęli do nas strzelać.

Ricks nie chciał się sprzeczać. Hendriks lubił narzekać i zwykle mu to nie przeszkadzało, bo kiedy wokół latały kule, Szef Ricks wiedział, że ten wielki Holender o lwim sercu może zrobić więcej, niż należało. Pozwalał mu więc trochę ponarzekać, bo i tak nie wpływało to na jakość jego pracy, a czasem było nawet cholernie zabawne.

Ale nie teraz.

– Dość tego, Hendriks.

– Tak jest, szefie.

W tym czasie specjalny operator wojenny Greaser usiadł przy banderze łodzi „Zodiac”. Był specjalistą od wyłomów, lecz w tym momencie jego zadanie polegało na rozciągnięciu teleskopowych drągów z włókien węglowych z hakami na końcach, do których mocowało się fibrelight II, drabinkę szturmową. Ta poliestrowa drabinka wzmocniona była prętami z włókna węglowego, dzięki czemu mogła utrzymać równocześnie trzech żołnierzy ruszających do ataku.

Greaser rozciągnął pręty na długość sześciu metrów, wystarczająco wysoko, żeby dosięgnąć relingu rufy „Emerald Endeavor”. Następnie podniósł je razem z zamocowaną do nich drabinką i czekał, aż łódź zajmie odpowiednią pozycję.

„Zodiac” ostatnie pięćdziesiąt jardów przepełnął szybko, aby znaleźć się przy prawej burcie statku towarowego. Greaser zaczepił haki o reling, po czym spojrzął na monitor małego komputera u

podstawy drabinki. Wyświetlił się tam obraz z rybiego oka znajdującego się na szczycie haka i Greaser zobaczył, że na pokładzie rufowym nadbudówki nie ma nikogo, kto mógłby sprawić problemy jego kolegom wspinającym się po fibrelight.

– Zabezpieczyć się!

– W górę! – krzyknął Ricks i ośmiu ludzi oddziału Alpha zaczęło wspinać się jeden po drugim na wysokość dwudziestu stóp, na pokład statku.

Pierwszy wchodził Parnell, za nim szli Elizondo i Jones. Gdy znaleźli się na górze i przekroczyli reling, kryli następną trójkę: Ricksa, Takenakę i Hendriksa. Ostatni wspięli się Stovall i Greaser.

Parnell zabezpieczył haki za pomocą karabińczyków, aby się nie przesunęły, po czym łódź została odcumowana i odepchnięta od statku. Zniknęła w ciemnościach, a ośmiu mężczyzn rozdzieliło się na dwa oddziały, aby ruszyć dwoma klatkami schodowymi nadbudówki. Ricks poprowadził trzech ludzi schodami z lewej burty, a Takenaka pozostałych z prawej.

Osiemdziesiąt jardów od ich pozycji z nieba spadły cztery grube liny i na pokład „Emerald Endeavor” zaczęli schodzić agenci w czarnych kombinezonach z kominiarkami z trupa szczęką.

– Szefie, widzę ruch.

Ricks padł na kolano na metalowym podejściu między głównym i drugim pokładem, po czym zaczął rozglądać się badawczo, szukając śladów ruchu, o jakim doniósł mu Greaser. Pięćdziesiąt stóp przed nim przy relingu stało dwóch mężczyzn i patrzyło na rufę. Z początku mógł dostrzec tylko ich plecy i przez chwilę obserwował, jak wpatrują się w helikopter, który unosił się wysoko w powietrzu i po chwili zaczął opadać.

Ricks wiedział, że ci ludzie obserwują, jak agenci z oddziału SEAL Bravo po wylądowaniu na głównym pokładzie pobiegają do nadbudówki. Musiał się jednak najpierw upewnić, czy załoga nie jest uzbrojona.

Nagle jeden z mężczyzn obrócił się nieco i uniósł kałasznikowa. Nie był gotowy do akcji, ale Ricks dostrzegł magazynek w karabinie. Mężczyzna celował w kierunku pokładu przed nim, trzymając broń dziwnie odsuniętą od ciała.

Szef Ricks zorientował się w mgnieniu oka, że mężczyzna nie był żołnierzem i raczej nie wiedział dokładnie, co robić. Mimo to stanowił zagrożenie dla ludzi z oddziałów Ricksa znajdujących się na pokładzie poniżej.

Szef odbezpieczył swój M4 i dwukrotnie wystrzelił półautomatyczne pociski. Oba trafiły mężczyznę w tył głowy. Ricks widział przez wizjer celownika, jak na skutek eksplozji z czarnego otworu tryska substancja mózgowa i jak trafiony pada na pokład.

Drugi nie wyglądał na uzbrojonego, ale Ricks dostrzegł, że tuż przed nim upadł AK. Mężczyzna spojrział w dół i w tym momencie od strony szefa dobiegły stłumione odgłosy wystrzałów.

To Greaser odrzucił wroga od broni, pakując trzy kule w środek jego pleców, i sekundę później czterech mężczyzn z oddziału uderzeniowego ponownie zaczęło wspinać się po schodach.

Minutę później Ricks, Greaser i Jones znaleźli się na dość ciemnym, ale obszernym mostku „Emerald Endeavor”. Elizondo został na zewnątrz razem z innymi członkami oddziału Alpha, bo zatrzymali ośmiu mężczyzn, którzy byli albo Malezyjczykami, albo Indonezyjczykami, i teraz wiązali im ręce na plecach.

Oddział Bravo zajął dolne pokłady, wykurzając z kryjówek członków załogi. Unieszkodliwili ich, po czym skrupowali im ręce i nogi.

Lecz Ricks, razem ze swoimi towarzyszami, nie narzekał na brak zajęcia. Mieli przed sobą dwóch starszych załogantów – i znowu Szef pomyślał, że mogą to być Filipińczycy albo Malezyjczycy – oraz kapitana z Korei Północnej. Obaj załoganci poddali się i stanęli z uniesionymi rękami tyłem do koła sterowego, ale siwowłosy kapitan zaczął dziko wrzeszczeć, wyciągnął służbowy czterocalowy nóż i zaczął nim wymachiwać w kierunku uzbrojonych mężczyzn w maskach z trupa szczęką.

Ricks rozkazał wstrzymać ogień do chwili, aż zajdzie ku temu bezwzględna konieczność. Wiedział, że będą potrzebować pomocy kapitana, aby zbadać szybko ładunek. Używając kilku znanych mu koreańskich słów, a wśród nich powtarzając cały czas *nuo!* – „Połóż się!” – jedną ręką trzymał karabin, drugą wskazywał na podłogę.

Jednak wysiłki Ricksa, aby w czasie ataku zachować się na mostku w miarę kulturalnie, nie odniosły skutku. W akcie desperacji ściągnął maskę, uśmiechnął się i zawołał:

– *Anneyong!* – „Hej!”.

Było to jedyne przyjazne słowo, jakiego się nauczył w tym języku. Równocześnie cały czas trzymał colta M4 wymierzonego w pierś kapitana.

Kapitan ciągle machał wściekle nożem.

– *Nuo!* – powtórzył Ricks, niemal błagając, aby mężczyzna się położył, ale widział wyraz jego oczu. Nie położył się. Przygotowywał się do czegoś.

Ricks, utrzymując ciągle nieruchomą twarz i udając spokój, rzucił do mikrofonu:

– Gdy zrobi dwa kroki w naszą stronę, rzucimy go na podłogę.

– Zrozumiałem – nadeszła odpowiedź od Greasera i Jonesa.

Kapitan postawił dwa kroki, ale nie do przodu, tylko do tyłu, a następnie przyłożył ostrze noża do gardła. Ricks krzyknął:

– *Aniyo! Aniyo!* – „Nie! Nie!”.

Mały siwowłosy mężczyzna wrzasnął i jednym ruchem podciął sobie gardło. Natychmiast popłynęła krew i rozległ się bulgot przerwanej drogi powietrznej.

Ricks patrzył ze zgrozą, jak kapitan kończy głębokie cięcie, a potem wygląda tak, jakby patrzył w dół na wypływającą krew.

– Jasna cholera! – krzyknął Greaser stojący tuż za Ricksem i ruszył do przodu.

– Stój! – rozkazał szef. – Czekaj, aż on...

Nóż wysunął się z ręki kapitana i upadł na podłogę między kołem sterowniczym a fotelem pilota.

– Zabezpieczyć! – padł następny rozkaz szefa Ricksa i Greaser skoczył, kopnął nóż poza jego zasięg, a potem ułożył rannego kapitana na podłodze. Pochylił się nad nim i wyjął ze swojej kamizelki wiąz, aby unieruchomić ręce kapitana.

Ricks zwrócił się do medyka z oddziału, operatora Josepha Jonesa:

– Joe... Joe, zrób z nim, co się da.

Powiedział to, choć wiedział, że bez transfuzji i chirurga kapitan może się tylko modlić, ale nie było szans, aby otrzymał taką pomoc.

Kapitan wkrótce zmarł. Mimo że pomoc medyczna zaintubowała go przez ranę, to nie mogła jednak powstrzymać krwawienia na czas, aby ocalić tego niskiego mężczyznę. Ricks cały czas stał

nad nim, lecz dzielił uwagę między to, co działo się na pokładzie, a płynące nieustannie przez radio informacje.

Oddziały szturmowe Bravo i Alpha otoczyły na pokładzie dwunastu członków załogi. Wszystkich przeszukano, związano i ulokowano na głównym pokładzie przed nadbudówką. Pilnowali ich ludzie z SEAL.

Jones przykrył ciało kapitana wyjętą ze swojej torby płachtą. W tym czasie Greaser stał obok Ricksa i patrzył na trupa.

– Szefie, musimy zaryzykować i donieść, że osobiście znaleźliśmy i zabezpieczyliśmy na statku nielegalny przemyt.

– Tak uważasz? – zapytał Ricks. Wezwał Takenakę, operatora radiowego oddziału, i powiedział, żeby połączył się z „USS Freedom” oraz przekazał, że statek został zabezpieczony.

Hendriks, Elizondo, Parnell i Stovall dołączyli do innych na mostku i teraz patrzyli na ciało pod zielonym plastikiem.

– To ty go załatwiłeś? – zapytał Hendriks.

– Sam się załatwił – odparł Greaser zamiast Ricksa. – Podciął sobie gardło.

– Cholera. Dlaczego?

– Ponieważ nie chciał zostać skażony złem Zachodu, a podcięcie sobie gardła było lepsze od powrotu do domu – odpowiedział szef. – Za popełniony błąd mogło go tam spotkać coś jeszcze gorszego.

– Nie ma nic gorszego, jak udławić się własną krwią – wtrącił Parnell.

Rick spojrział na niego, a potem powiódł wzrokiem po pozostałych.

– Przed kilkoma miesiącami czytałem o kilku sprawach. W Korei Północnej pewien major był podejrzany o przekazywanie informacji wywiadowczych Korei Południowej. Zapewne tego nie robił, ale i tak go podejrzewali. Rząd wkrótce go aresztował i skazał na egzekucję.

Oddział czekał na puentę. Wszyscy byli pewni, że nie będzie wesoła.

– Tymi kurewskimi miotaczami płomieni. Wrzucili tego sukinsyna do błotnistej dziury i przypiekli mu tyłek. Z nim zrobiliby to samo.

– Jezu Chryste... – wymamrotał Stovall.

– Na tych wodach obłożonych zakazami spotkamy się z wyjątkowo zmotywowanym wrogiem. To desperaci, którzy nie mają się dokąd wycofać – powiedział Ricks, po czym wskazał na trupa szczęką na swojej kominiarce i uniósł colta. – Myślimy, że jesteśmy grupą przerażających sukinsynów, ale niestety, nikogo tu nie przestraszymy, oni widzieli już gorsze rzeczy.

W ciągu dwudziestu minut przerzucono na „Emerald Endeavor” dwa tuziny *marines* stacjonujących na „USS Freedom”. Ricks ocenił, że są to jeszcze dzieciaki – ich średni wiek wynosił zapewne około dwadzieścia lat – ale chciał, żeby mieli okazję uczestniczyć w ataku, strzelaninie i ogólnie w szybkiej akcji. W porównaniu z tym grzebanie w ładunku zgromadzonym pod pokładem tego ogromnego statku było nudne, ale ostatecznie będą mieli okazję spędzić kilka godzin w innym miejscu.

Po półtorej godziny znaleźli to, czego szukali. W pierwszych czterech ładowniach były same osiemdziesięciofuntowe worki nierafinowanego cukru, oznaczone jako produkt rolnictwa kubańskiego. Ładownia numer siedem – to samo. Ale w piątej i szóstej ładowni na dziobie

w centrum statku znajdowały się stosy czterdziestostopowych kontenerów. Gdy *marines* wyłamali dwa kontenery, zobaczyli, że były wypełnione różnymi częściami maszyn. Wyglądały jak fragmenty instalacji wodno-kanalizacyjnych i klimatyzacyjnych, a także jakichś starych kotłów. Wszystkie używane, porzewiałe, połamane i z pewnością niejedną raz odbyły już podróż dookoła świata. Po półgodzinnym przerzucaniu ogromnych stosów żelastwa *marines* dotarli do dużych rur aluminiowych w obudowie z włókna szklanego. Na skrzyniach nie było żadnych oznaczeń, ale rury miały około sześciu i pół stopy średnicy oraz osiemnastu stóp długości. Zanim statek dopłynął do portu w Inchon, *marines* znaleźli tylko dwa takie egzemplarze. Lecz gdy przeprowadzono dokładną inspekcję, odkryto jeszcze sześć precyzyjnie wykonanych rur aluminiowych, razem z wyszukaną, skomplikowaną plastikową klatką pełną precyzyjnie obrobionych pierścieni i sworzni.

Młodzi *marines* już od początku to podejrzewali, ale eksperci z Korei Południowej potwierdzili znalezisko. Były to puste obudowy międzykontynentalnych pocisków balistycznych i odpowiadały wymiarami Taepong-2, północnokoreańskiej, ciągle nieskutecznej dalekosiężnej rakiecie o ładunku nuklearnym.

Organizacje wywiadowcze Zachodu musiały teraz określić pochodzenie tego wyposażenia.

Francuska agentka wywiadu Veronika Martel wysiadła z taksówki na rogu Osiemdziesiątej Ósmej Ulicy i alei Kolumba, po czym ruszyła pieszo na wschód. Czarny parasol chronił ją przed deszczem, ale pozwolił też wtopić się w tłum, gdzie wielu ludzi osłaniało się przed spadającymi z nieba kroplami za pomocą podobnych parasolek.

Martel nie miała żadnego powodu, aby stosować rutynę inwigilacji śledczej na Upper West Side Nowego Jorku. Było tu zupełnie inaczej niż w Trypolisie, Bukareszcie czy Dubrowniku. W tym momencie nie była jeszcze nawet w pracy. Jednak ta praktyka ciągłej obserwacji otoczenia była już częścią życia Martel. Kobieta nauczyła się nie pozostawiać niczego przypadkowi, spodziewać się, że przy byle okazji wszystko może zmienić się w zagrożenie, i w najmniejszych szczegółach dbać o swoje bezpieczeństwo.

Powody, dla których zwracała uwagę na wszystko i wszystkich, można wytłumaczyć bardzo prosto: Veronika Martel nie ufała światu.

Chociaż w ten sposób zawędrowała na północ, południe, wschód i zachód wzdłuż pograżonych w deszczu ulic jednej z najbardziej zatłoczonych i ruchliwych metropolii na ziemi, równo o dziesiątej dotarła do siedziby Sharps Global Intelligence Partners. Punktualnie o czasie. Po krótkim sprawdzeniu przez ochronę, którą spotkała w lobby na parterze budynku, dwóch ochroniarzy zawiozło ją windą na czwarte piętro, gdzie weszła do wyłożonego marmurem foyer biura jednej z najskuteczniejszych korporacji wywiadowczych.

Lobby pilnowane było przez ochronę składającą się z sześciu osób. Wszyscy mieli na sobie służbowe garnitury, a w uszach słuchawki bezprzewodowe. Ich włosy były szpakowate, ciała dobrze zbudowane, przez co mężczyźni wyglądali zarówno dystyngowanie, jak i niebezpiecznie. Martel wiedziała, że są byłymi wojskowymi, tak samo jak ochroniarze w jej wydziale w Belgii; zresztą tak samo jak wszędzie, w każdym z dwudziestu sześciu oddziałów Sharps Partners na świecie. Byli uprzejmi i profesjonalni, ale zawsze wpatrywali się w nią intensywnie. Martel wiedziała o tym i jak zawsze irytowało ją to, choć odczuwała także pewien dyskomfort.

Nie bywała często w Nowym Jorku i nie widziała Wayne'a Sharpsa od dnia, gdy zatrudnił ją przed trzema laty. Praktycznie cały czas pracowała w terenie i lubiła to, lecz teraz została wezwana przez dyrektora organizacji i wiedziała, że powinna pokazać się w głównym biurze i przypomnieć wszystkim, kim jest.

Domyślała się powodów wezwania. Operacja w Ho Chi Minh sprzed dwóch tygodni była z pewnością jednym z nich. Obecność Koreańczyków w kryjówce, Australijczycy i ich obawy przed tym, w co się w miesza, a także Amerykanin odmawiający przekazania jej dokumentów. No i krew na paszporcie wskazująca, że odebrano mu go siłą.

Veronika wiedziała, że zrobiła wszystko tak, jak powinna zrobić. Zgodnie z instrukcją. Nic więcej, nic mniej. Naraziła się na niebezpieczeństwo, ale nie znalazła się w kłopotliwej sytuacji. Stwierdziła więc, że ściągnięto ją na konsultacje, aby się upewnić, czy ogólnie czuje się po tym wszystkim

dobrze albo przynajmniej na tyle, żeby trzymać język za zębami i nisko pochyloną głowę.

I Veronika nie miała z tym najmniejszego problemu.

Do gabinetu Wayne'a Sharpsa zaprowadziła ją sekretarka, która – jak pomyślała Martel – była zbyt młoda i atrakcyjna, aby zajmować taką pozycję tylko dzięki swoim kwalifikacjom, a kiedy Veronika znalazła się już w środku, rozejrzała się uważnie wokół.

Okna narożnego gabinetu na czwartym piętrze, sięgające od sufitu do podłogi, wychodziły na aleję Kolumba i Siedemdziesiątą Siódmą Ulicę, skąd rozciągał się widok na Muzeum Historii Naturalnej. Sharps siedział za dużym biurkiem z nogami na blacie. Właśnie rozmawiał przez telefon po arabsku – w dodatku bardzo płynnie, zauważyła Martel.

Usiadła na nowoczesnej, modułowej sofie, znajdującej się w strefie rekreacyjnej rozległego gabinetu. Na stoliku przed nią stała taca z kawą i herbatą, ale Veronika skupiła się jednak na myśleniu. Duke Sharps znany był jako wyjątkowy rozpustnik i Martel zaczęła się zastanawiać, ile kobiet ten sześćdziesięcioletni mężczyzna mógł mieć tu, w tym gabinecie.

Odsunęła od siebie te myśli – jeśli tylko będzie czegoś z nią próbował, wyśle go przez okno prosto na aleję Kolumba.

W końcu skończył rozmawiać, wyłączył telefon i w nieco dramatyczny sposób – przynajmniej w ocenie Veroniki – odwrócił się do niej na fotelu. Wstał, przeszedł przez gabinet, a w tym czasie kobieta podniosła się z sofy. Był dość tęgim mężczyzną, co bynajmniej nie czyniło go mniej atrakcyjnym, chociaż jego twarz, w ciągu tych trzech lat od czasu, gdy widziała się z nim osobiście, wyraźnie się postarzała i przybyło mu zmarszczek.

– Droga pani Martel – rzucił z szerokim uśmiechem.

– Miło mi pana widzieć, panie Sharps.

– Dla pani Duke – poprawił.

Duke dla każdej, pomyślała.

– Veronika – odparła tylko dlatego, iż czuła, że teraz tak musi, a nie dlatego, że lubiła się spoufalać. Poza tym była Europejką, a każdy normalny Europejczyk rzadko zwraca się do współpracowników w biznesie po imieniu.

W dodatku Veronika była jeszcze bardziej zasadnicza. Wolała trzymać się do wszystkich na dystans.

Usiedli i Sharps bez pytania nalał jej kawy, chociaż wolałaby się napić herbaty. Zapytał, jak minęła podróż, co słychać w jej oddziale w Belgii, zainteresował się ostatnim zadaniem związanym z jednym z zarządców Paryża i problemem z jego córką.

To była mało ważna operacja, nic, co mogłoby zająć na dłużej uwagę Duke'a, a przynajmniej nie teraz, gdy Sharps Global Intelligence Partners angażowało setki agentów do naprawdę wielu akcji. Veronice wydawało się, jakby przed chwilą, gdy wjeżdżała windą do jego biura, przeczesał jej akta.

Po krótkiej pogawędce Sharps przystąpił jednak do rzeczy.

– Veroniko, czytałem raporty. W Wietnamie wykonałaś kawał dobrej roboty. Jesteś jedną z moich najjaśniejszych gwiazd. Spodziewam się po tobie wiele.

Uśmiechnęła się ironicznie. Nie powiedziała mu o śladach krwi na paszporcie. Nic nie wskazywało na to, że wie, więc nie poruszała tego wątku, bo w istocie była jego najjaśniejszą gwiazdą. Agentką, która robiła swoje i trzymała język za zębami.

Pomyślała, że teraz powinien okazać choćby cień skruchy za komplikacje w misji.

Jednak Sharps powiedział tylko:

– Miałem szczęście, że udało mi się skraść cię DGSE.

Veronika przez chwilę milczała, po czym odparła z typowym zażenowaniem:

– To nie było szczęście. Byłeś wystarczająco bogaty, żeby mnie ukraść. No i dodatkowo pomogło to, że wyrzucili mnie stamtąd i miałam niewiele innych możliwości.

Rozchylił usta i zawahał się, rozważając, jak potraktować jej komentarz. Najwyraźniej przyjął go jako żart, ponieważ roześmiał się głośno.

– Mimo problemów we Francji nie byłaś słabą inwestycją. To cholernie pewne. Jesteś warta każdego wydanego centa.

– Sama dbam o swoją wartość.

Pokiwał głową bardzo dynamicznie i ułożył się wygodniej na sofie. Veronika przez chwilę myślała, że próbuje się do niej przysunąć, ale on tylko skrzyżował nogi. Nie była pewna, czy w ostatniej chwili nie zniechęcił go jej pełen zaskoczenia wzrok.

Po chwili Sharps powiedział:

– Mam dla ciebie nowe zadanie. Za kilka tygodni, a może nawet szybciej.

– To dobrze.

– Kontynuacja tego, co robiłaś w Wietnamie.

– Och?

– Podam ci dane, którymi nie dysponowałaś, gdy zaczynałaś tę operację. Koreańscy odkryli gigantyczne pokłady minerałów ziem rzadkich. Choć powinienem raczej powiedzieć, że odkryli je Chińczycy, ale ten świr Choi wykopał ich z kraju, więc teraz Korea Północna musi działać w tej branży na własną rękę.

– Naród, który nie potrafi wyżywić własnych obywateli, ma sobie sam poradzić z wysoko wyspecjalizowaną technologią wydobywczą? – odparła Veronika.

– Gdyby mogli to robić, nie potrzebowaliby nas. Nie. Nie są sami. Jednak naszym klientem nie jest Korea Północna. To byłoby oczywiście nielegalne. Współpracujemy z New World Metals LLC, absolutnie uczciwym konsorcjum wydobywczym z Meksyku, za pośrednictwem towarzyszących mu mniejszych kompanii. Mają zupełnie legalny kontrakt jako w jednej trzeciej wspólnicy.

Veronica była już znudzona i dała znać o tym Sharpsowi.

– Moje zadanie?

– Polecisz do Kalifornii.

Szybko wyprostowała się na sofie. To brzmiało nieźle. Do diabła, w każdym razie lepiej niż Wietnam!

– Koreańscy nie ufali Chińczykom podczas procesu wydobywczego w górach. Zrodziło to poważne problemy, ponieważ przetwarzanie minerałów ziem rzadkich to proces szczególnie skomplikowany, wymagający specjalistycznych urządzeń i wiedzy. Konsorcjum New World Metals zakupiło w Europie komputery sterujące procesem przetwarzania minerałów i przez Bułgarię przesłali je do Korei Północnej, ale bez zastrzeżonego oprogramowania. Poprosili nas o wysłanie kogoś do Valley Floor, gdzie wydobywa się minerały ziem rzadkich w NewCorp w Kalifornii, aby tam zdobyć używane w ich komputerach oprogramowanie.

Kalifornia oznaczała dla Veroniki Martel głównie Fisherman's Wharf w San Francisco albo Rodeo Drive w Los Angeles. Wayne Sharps opisywał jednak kopalnię, która chyba leżała daleko od tych atrakcji. Mimo to Martel ciągle była posłusznym pracownikiem.

- Okej, Duke. Co masz tam dla mnie do roboty?
- Potrzebuję oprogramowania. Całego, do ostatniego bita. Musisz je zdobyć.
- Oczywiście.

Znowu przesunął się na sofie, ale tym razem nie było już żadnych wątpliwości – chciał się do niej zbliżyć.

Zerwała się szybko z miejsca.

Mężczyzna uśmiechnął się tylko. Dla Veroniki było jasne, że spodziewał się po niej takiej reakcji i że absolutnie go to nie zniechęcało. To był człowiek, którego bardziej podniecał opór niż sam fakt sukcesu, i wiedziała, że teraz nadeszła taka sytuacja.

Opóźniał zadanie ciosu, udając, że nic się nie stało. Również podniósł się z sofy.

- Twoim kontaktem będzie Edward Riley. Znasz go?

Uniosła brwi.

- Skandal we Włoszech?

– Zgadza się. Ale to już przeszłość. To dobry człowiek. Brytyjczyk. Nie mamy nic przeciwko niemu. Zna wszystkie operacje New World Metals. Zostaniesz urzędniczką do spraw kontroli jakości z kompanii kanadyjskiej, która produkuje jakieś wyposażenie służące procesom przetwórczym. Przybędziesz tam oficjalnie po to, żeby przeprowadzić rewizję tych urządzeń oraz sprawdzić ich działanie. W kontrakcie zamieścimy uwagę, że do tego celu potrzebne ci będzie oprogramowanie.

- Doskonale – zgodziła się.

Duke odpowiedział uśmiechem.

- Miło było cię zobaczyć. Do czasu, kiedy znów się spotkamy.

Uścisnął jej dłoń i przytrzymał. Zawahał się, lecz wiedziała, co nastąpi. Jakiś atak werbalny, jeśli już zawiodły próby fizyczne. Spodziewała się, że będzie to jednak proste i zupełnie pozbawione uroku.

Nie myliła się.

- Twój chłód sprawia, że jesteś jeszcze bardziej pociągająca. Mówił ci to ktoś?
- Z pewnością nie prosto w oczy, Duke.

Cofnęła rękę z uśmiechem, odwróciła się i opuściła gabinet, czując, jak mężczyzna śledzi każdy jej krok.

Prezydent Stanów Zjednoczonych normalnie wezwałby całą Radę Bezpieczeństwa Narodowego, aby przedyskutować sytuację tak ważną jak odnalezienie części przeznaczonych do konstrukcji broni masowego rażenia, które płynęły właśnie do Korei Północnej. Właśnie zamierzał to zrobić, ale kiedy szef jego sztabu Arnie Van Damm skontaktował się z dyrektorem Wywiadu Narodowego Mary Pat Foley i dyrektorem CIA Jayem Canfieldem, w odpowiedzi otrzymał od nich prośbę, aby odłożono spotkanie na kilka godzin, do czasu gdy rozpracują coś, co może znacznie poszerzyć obraz tych zdarzeń.

Zwykle nikt nie ważył się powiedzieć prezydentowi Stanów Zjednoczonych wprost „Nie!”, gdy ten chciał zwołać spotkanie, ale Van Damm wiedział, że Ryan nie będzie miał problemu z tym, aby dać wysokim urzędnikom wywiadu więcej czasu na wykonanie potrzebnej pracy, więc przesunął termin spotkania na dziewiątą rano dnia następnego. Jediną związaną z tym komplikacją był fakt, że prezydent tego ranka miał lecieć do Londynu na szczyt NATO poświęcony sprawie Rosji.

Mogli jednak prowadzić spotkanie w formie wideokonferencji, gdyż Air Force One zapewniał niezbędne łącza telekomunikacyjne, umożliwiające w czasie lotu stały kontakt z Waszyngtonem. Jednak Mary Pat w ostatniej chwili podjęła decyzję, że wyjedzie wczesnym rankiem do Andrews i polecą do Europy razem z prezydentem, aby przedstawić mu osobiście swoje materiały. Foley znała Jacka od ponad trzydziestu lat i współpracując z nim częściej niż jakakolwiek inna osoba publiczna, doskonale wiedziała, jak bardzo lubił sam zagłębiać się w problemy wywiadu.

Miała obiekcje przeciw dzisiejszej propozycji spotkania. Dużo więcej mogła ustalić z prezydentem, jeżeli przedstawi mu wszystkie otrzymane dotychczas informacje wywiadu. Lot do Londynu tam i z powrotem był więc małą ceną za to, że będzie mogła zająć jego uwagę przez kilka godzin.

Ryan wyraził zgodę na spotkanie z Mary Pat w jego osobistej kabinie w Air Force One. Spotkanie wszystkich członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego mogło poczekać – na razie.

W czasie gdy samolot kołował na pas startowy, Ryan siedział przy biurku, przeglądając jakieś dokumenty. Gdy usłyszał pukanie i otwieranie drzwi za plecami, podniósł wzrok i zobaczył Arniego Van Damma.

– Nie zapiąłeś pasów w czasie startu? – zapytał Ryan.

– A pan? – Fotel Ryana przy biurku miał pasy, ale teraz zwisały po bokach.

– Zapnę się, zapnę, ale na razie się rozpiąłem. Kiedy usłyszę, że otwierają przepustnice, zaraz się zapnę i oczyszczę biurko. – Ze śmiechem chwycił kubek stojący na blacie. – A potem zabezpieczę kawę, żeby się nie rozlała.

Van Damm wszedł do kabiny i usiadł w fotelu po drugiej stronie biurka. Ten również miał pasy bezpieczeństwa.

– Jak na faceta, który nienawidzi latać, szybko się tego nauczyłeś.

Ryan chrząknął tylko i spuścił wzrok na papiery. Wiedział, że ciągle kołują i że będzie to trwało jeszcze kilka minut.

– O co chodzi?

– Secret Service znów chce z panem rozmawiać o Mexico City – odparł Arnie.

Ryan potrząsnął głową, nie podnosząc wzroku.

– Już rozmawialiśmy. Nie cofnę się. Niech przestaną.

Arnie był jedynym członkiem sztabu Ryana, który regularnie sprzeczał się ze swym szefem.

– Myślę, że powinien się pan nad tym zastanowić. Mamy inne problemy, więc nie martwmy się jeszcze dodatkowo tym. Naszej uwagi wymagają sprawy toczące się w Azji, na Ukrainie... Prezydent Lopez zapewne wybaczy panu, jeżeli wyślemy przeprosiny.

Ryan i teraz nie podniósł oczu.

– Nie, Arnie. Polecę. Jakie argumenty wysuwa Secret Service przeciwko tej podróży?

– Cóż, myślę, że w tej sprawie wolą raczej rozmawiać z panem osobiście.

– Ale ja pytam o to ciebie.

– Sprawa z Maldonado.

– To było pół roku temu. – Prezydent machnął ręką.

– Niepokoją się o to, że...

Ryan przerwał mu, wołając w kierunku korytarza przy jego kabinie:

– Andrea, możesz tu zaraz przyjść?!

Natychmiast zjawiła się jego główna agentka ochrony, Andrea Price O'Day.

– Tak, sir?

– Mam prośbę żebyś rąbnęła Arniego, aby otrzeźwiał, ale myślę, że zamiast tego raczej zaśpiewasz mi o tym, że nie jest to zgodne z twoimi zasadami.

Andrea zaśmiała się i spojrzała na Van Damma.

– Może będę go po prostu uważnie obserwować? Wygląda całkiem niegroźnie.

– Dobrze. Dlaczego nie chcecie, żebym leciał do Mexico City?

– Nie ja, panie prezydencie – odpowiedziała Andrea. – Od określania zagrożeń jest specjalny oddział i to oni mają pod tym względem obawy.

Ryan wzruszył ramionami.

– Więc według ciebie powinienem lecieć?

– Tego też nie powiedziałam. Jeśli miałabym cokolwiek stwierdzać, to według mnie nie powinien pan w ogóle opuszczać Białego Domu. Ale to nie moja decyzja, panie prezydencie.

Ryan przez moment bębnił palcami w blat biurka.

– Lecę – oznajmił. – Nie będę się chował tylko dlatego, że jakiś psychol z meksykańskiego kartelu siedzi w górach na Twitterze i próbuje mi grozić. Urząd prezydenta to zbyt poważna funkcja, by okazywać jakieś reakcje przed takim sukinsynem jak on.

– Ale... – zaczął Arnie.

– Jeżeli Secret Service chce tego spotkania, mogę to dla nich zrobić, ale tylko z szacunku – przerwał mu Ryan. – Nie zamierzam anulować tej podróży. Powiedz im to, być może innym razem uda im się uratować nas oboje.

Spojrzał na Andreeę. Skinęła głową. Dla niej sprawa była już załatwiona.

– Będę tam razem z panem.

– Zatem wszystko się uda.

O'Day wróciła do siebie, a Ryan spojrział znów na Arniego.

– Jeszcze pięć sekund i będziemy w powietrzu. Lepiej się zapnij.

Obaj mężczyźni sięgnęli po pasy w chwili, gdy maszyn 747 zaczął wibrować.

Zaraz po starcie o siódmej piętnaście Ryan posłał po szefową wywiadu, która właśnie kończyła jeść muffina jabłkowego z otrębami i dopijała kawę w sali spotkań, pracując jednocześnie na swoim iPadzie. Wspięła się więc po schodach do gabinetu prezydenta, gdzie zastała Ryana siedzącego za biurkiem. Miał na sobie koszulę z krawatem, a na to narzuconą ciemnoniebieską marynarkę Air Force One. Skinął dłonią, wskazując mały stolczyk konferencyjny, i zabrał z biurka stos papierów. Kiedy podchodził do krzesła naprzeciwko Mary Pat, złapała za nie i przysunęła obok swojego.

– Masz coś przeciwko, żebyśmy siedzieli obok siebie? Chcę ci coś pokazać na tablecie.

– Żeby tylko nie trafiło do Eda – zażartował.

Mary Pat zaśmiała się i usiedli. W tym czasie podano kolejną kawę.

– Widziałas, jak zareagowała Korea Północna na zajęcie statku „Emerald Endeavor”? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie. Nie miałam okazji włączyć telewizora.

– Nie domyślasz się, jak to określili?

– Nie. Może coś jak „to nielegalne wtargnięcie na statek jest aktem agresji dokonany przez Amerykę”?

Ryan spojrział na codzienne poranne sprawozdanie, zawierające skrót oświadczenia ambasadora Korei z poprzedniego wieczoru. Przeczytał je najpierw w milczeniu, po czym powiedział:

– Bardzo dobrze, Mary Pat. – A następnie odczytał już na głos: – „Uznajemy to bezprawne wtargnięcie przez Stany Zjednoczone za akt wypowiedzenia wojny”.

Mary Pat machnęła ręką.

– Łatwo zgadnąć, zawsze to samo z tymi pajacami.

– Co wiesz o tym, co tam znalezione? Na pewno części do rakiet?

– Na pewno. Te rury pasują idealnie do chińskiej rakiety Dongfeng-3A, nuklearnego pocisku balistycznego średniego zasięgu.

– Chińska? – Ryan wyglądał na zdezorientowanego. – To nie ma sensu. Przecież Chińczycy mogli je przemyścić przez granicę ciężarówkami. Dlaczego transportowali morzem na wodach międzynarodowych, gdzie statek mógł zostać spacyfikowany?

– Nie wykonali ich, nie był to też ich transport – odparła Foley.

– Ale przecież właśnie powiedziałaś...

– To podróbki.

Jack przekrzywił głowę.

– Fałszerstwo?

– Tak. To dokładne repliki rur używanych jako kadłuby DF-3A, chińskich rakiet średniego zasięgu. Jednak wyprodukowała je prywatna firma aerokosmiczna we Francji, Précision Aéro Toulouse.

– Interesujące. Dlaczego?

– Tego możemy się tylko domyślać. Wszyscy wiemy, że Korea Północna ma problemy z rakieta

balistyczną dalekiego zasięgu, ponieważ ich Taepoong-2, najbardziej sprawna, regularnie zawodzi. Albo między pierwszym i drugim stopniem, albo między drugim i trzecim. A to oznacza, że coś musi być nie tak w drugim.

– Zgadza się. Mów dalej.

Mary Pat podsunęła mu iPada i zaczęła przesuwać zdjęcia oraz plany rakiet. Każdy obraz był oznaczony, miał datę i podpis. Ryan dostrzegł, że niektóre pochodziły z jawnych źródeł, a inne ze ściśle tajnych.

– Drugi stopień, jaki teraz testują, został wzięty z ich balistycznych rakiet średniego zasięgu, Rodong. Zasadniczo wcisnęli jednostopniową raketę w środek trzystopniowej, ale cóż, to nie zadziałało.

– Mogę to sobie wyobrazić.

– Wiedza na temat rakiet to sprawa skomplikowana – stwierdziła Mary Pat z uśmiechem. – Ale z tego co wiemy, Chińczycy robią coś podobnego ze swoimi pociskami dalekiego zasięgu. Używają jednostopniowych Dongfeng-3A jako drugiego stopnia w międzykontynentalnych raketach balistycznych.

– I teraz Korea Północna chce użyć Dongfeng do swoich Taepodong-2?

– Tak to wygląda. Na początku lat dziewięćdziesiątych Chińczycy podarowali Korei Północnej jedną raketę Dongfeng-3A. Nigdy nie została wystrzelona, tylko rozebrano ją na części pierwsze. A teraz Chiny odmówiły przekazania Choiowi potrzebnej technologii ICBM (Intercontinental Ballistic Missile), nuklearnych rakiet dalekiego zasięgu, które mogłyby osiągnąć Stanów Zjednoczonych. Uważamy więc, że Korea Północna użyła tej francuskiej firmy, aby zbudować replikę Dongfeng-3A.

– Według chińskich planów? – zapytał Ryan.

– Tego akurat nie zakładamy. Ta francuska firma mogła przeprojektować części rakiet, aby przystosować je do tej Dongfeng-3A, która obecnie należy do Korei Północnej.

Jack przejrzał fotografie rur znalezionych na „Emerald Endeavor”.

– No, no!

– Tak, masz rację, „no, no”! Aby tak dopracować te rury, firma musiała mieć odpowiednie oprzyrządowanie razem z wyspecjalizowanymi maszynami.

– I z pewnością bardzo kosztowne – dorzucił Ryan.

– Tak. Badaliśmy to kilka dni. Osiem i pół miesiąca temu Précision Aéro otrzymało wynagrodzenie w wysokości siedemnastu milionów euro, to znaczy około dwudziestu pięciu milionów dolarów.

Ryan pociągnął łyk kawy.

– Czy powinno nas martwić, że Korea Północna miała dwadzieścia pięć milionów naszych dolarów, które wydaje na tak spektakularny projekt?

– To martwi przede wszystkim mnie. Nie wiemy, na co jeszcze czekają od tej firmy albo co zdążyła im już przekazać.

– Musimy się tego dowiedzieć. Rozmawialiśmy z rządem francuskim?

– Nie i mamy z tym problem. Musimy postępować ostrożnie, żeby się nie zorientowali, że mieliśmy wgląd w konta bankowe jednej z ich firm. W każdym razie wiem, co powiedzą. Umowy nie

zawarto z Koreą Północną, ale z firmą peryferyjną z Luksemburga.

Ryan westchnął, spojrzął jeszcze raz na rury zabrane z „Emerald Endeavor”.

– Ale ten ładunek narusza międzynarodowe traktaty o nierozprzestrzenianiu.

– To dyskusyjne.

Ryan odwrócił się do Mary Pat, ale ona tylko uniosła rękę.

– Nie dla mnie. Oczywiście handel tego rodzaju artykułami o podwójnym zastosowaniu powinien być zakazany przez międzynarodowe traktaty, ale firmy twierdzą, że jak długo nie trafia to jawnie do osób, które chcą zmontować swoje rakiety balistyczne, tak długo powinno być to legalne. Mamy dziś na świecie mnóstwo prywatnych firm satelitarnych, z którymi takie firmy jak Précision Aéro całkiem legalnie współpracują, udostępniając im materiały do broni masowego rażenia.

Ryan przetarł oczy pod okularami.

– Mogę się połączyć z prezydentem Francji i powiedzieć mu to, co wiemy. Jeżeli przekażę mu, że otrzymaliśmy te informacje jako poufne, może mi nie uwierzyć, jednak nie będzie mógł ich zakwestionować.

– Panie prezydencie – przerwała mu Foley – tak naprawdę teraz nie jest najważniejsze to, co znaleźliśmy na pokładzie „Emerald Endeavor”, ale to, że Korea Północna skupuje te materiały na światowych rynkach i że płaci za nie twardą walutą.

– Z wyrazu twojej twarzy wnioskuję, że masz coś jeszcze w zanadru.

– Zgadza się. CIA zbadała temat praktyk bankowych Korei Północnej i uzyskała nowe informacje. Prześledziliśmy płatności Précision Aéro, docierając aż do konta w banku w Dubaju. Na koncie było trzysta milionów, już po sfinalizowaniu zakupu.

– Co Korea Północna zrobi z tą gotówką?

– Mamy z Jayem teorię na ten temat, dlatego nie mogłam się z tobą wczoraj spotkać. Trzy dni ciężko nad tym pracowaliśmy, jeszcze przed zajęciem „Emerald Endeavor”.

Ryan przysunął się bliżej.

– Mów.

– Panie prezydencie, mamy niezbite dowody, że Korea Północna wznowiła wydobywanie i przetwarzanie minerałów ziem rzadkich w Chöngju.

– Cholera! – zaklął Ryan.

– Analitycy z National Geospatial-Intelligence Agency twierdzą, że kopalnia odkrywkowa minerałów ziem rzadkich na północnym zachodzie kraju podjęła znowu pracę – ciągnęła Mary Pat. – Co więcej, uważają, że stało się to bez pomocy Chin.

– Zostali przecież kilka miesięcy temu usunięci z kopalni – przypomniał Ryan.

– Mija już rok. Nasze kontakty z Chin donoszą, że nic się nie zmieniło w ich stosunkach. Zastanawia nas więc fakt, że Korea Północna robi postępy w tym przemyśle, zwłaszcza że zwiększyli teraz wydobywanie i zaczęli sami oczyszczać i udoskonalać rudę. A przecież od takich możliwości dzieliły Koreę Północną zawsze lata świetlne. Nawet Chińczycy zamierzali oczyszczać rudę na swoim terenie.

– Czy Chiny wiedzą, co robią pod ich nosem ich sąsiedzi?

– Praktycznie wszystko, co wiemy na temat działań Korei Północnej, pochodzi od Chin. Albo z przechwyconych komunikatów, albo z informacji wywiadu osobowego, albo ze źródeł jawnych. Na

razie nie otrzymaliśmy jeszcze stamtąd żadnych wiadomości o działaniach w Chǒngju, więc zakładamy, że Chińczycy nic nie wiedzą albo przynajmniej na razie nic nie wiedzą.

– Masz zdjęcia z National Geospatial-Intelligence Agency? – zapytał Ryan.

Mary Pat spodziewała się tego pytania. Zaczęła przesuwać obrazy w tablecie, aż dotarła do tych ukazujących z góry rząd budynków.

– Co o tym myślisz? – zapytała po chwili.

– Myślę, że dobrze by było, aby analityk z NGA rozszyfrował to dla nas. Ja oczywiście sam też mogę coś z tego odczytać, widzę tam kopalnię odkrywkową, ale te zbiorniki i budynki przypominają jakąś fabrykę.

Mary Pat przesunęła następną stronę. Znajdowały się na niej dwa zdjęcia – jedno podpisane „Tama Chǒngju”, drugie „LAMP”.

– Pierwsze z lewej to urządzenie do przetwarzania rudy w Korei Północnej. Nazywają je „Tama Chǒngju”, dlatego że leży blisko konstrukcji znajdującej się na północ od miasta i na zachód od kopalni. A to drugie to LAMP, urządzenie do przetwarzania minerałów ziem rzadkich w Malezji. Porównaj zbiorniki utleniające na obu zdjęciach.

Ryan ponownie przyjrzał się obrazom i zgodził się, że obie instalacje są do siebie bardzo podobne.

– Dowiedzieliśmy się z informacji otrzymanych od Chińczyków w minionym roku, że Chǒngju mogłoby przynieść Korei Północnej zysk w wysokości dwunastu bilionów dolarów w ciągu dwóch, może trzech dziesięcioleci. Chyba nie jest wielkim zaskoczeniem, że mając w perspektywie tak ogromny zastrzyk gotówki, znaleźli kogoś innego, aby pomógł im zbudować i utrzymać w ruchu te urządzenia.

– A ten ktoś wpompował w nich twardą walutę w zamian za udziały w zyskach. I to też łączy się z rurami obudowy raket na „Emerald Endeavor”.

Foley skinęła głową.

– Zgadza się. Korea Północna, biorąc pieniądze zagraniczne, miała je przeznaczyć na rozwój kopalni, ale użyła ich też do zakupu technologii raketowej, aby stworzyć sprawny system pocisków balistycznych dalekiego zasięgu, które mogłyby osiągnąć Stanów Zjednoczonych.

– Kwestia czasu – mruknął do siebie Ryan.

– Tak. Chłodna kalkulacja. Jeśli Korei Północnej uda się zdobyć tylko ułamek tych pieniędzy, a uważamy, że mogą je zarobić na wydobywaniu minerałów ziem rzadkich, to będą mogli zakupić technologię i wiedzę potrzebną, aby nam zagrozić.

– W dyplomacji – rzekł Ryan – często występuje tendencja nadmiernego upraszczania spraw. Wiele sytuacji nie kończy się jak w grze, gdzie suma wygranych i strat jest zero-jedynkowa. Ale nie w tym wypadku. Sukces Korei Północnej oznacza dla nas klęskę. Jeżeli powstrzymamy ich proces wydobywczy, zakręcimy kurek z gotówką zasilającą ich program raketowy.

– Właśnie. Ale nie będziemy mogli ich powstrzymać tak długo, jak długo Korea Północna ma dostęp do banków, w których mogą prowadzić transakcje z podstawionymi firmami.

Jack wyjrzał przez okienko obok siebie. Właśnie lecieli nad wybrzeżem Maine i kierowali się na północny wschód. Poniżej leżał niemożliwie błękitny Atlantyk.

– Nie możemy wystrzelić w kierunku Korei Północnej rakiet, aby zniszczyć kopalnie. Musimy dowiedzieć się, kto finansuje ich na Zachodzie. Oraz jak.

– „Jak” to nie problem. CIA sporządziła listę trzydziestu banków w dziewięciu państwach, w których odkryliśmy konta zagraniczne Korei Północnej.

– Które to?

Spojrzała na ekran iPada i odszukała plik. Otworzyła go i odczytała głośno:

– Hongkong, Vanuatu, Brunei, Singapur, Meksyk, Szwajcaria, Malta, Belize, Nikaragua i Kajmany.

– Nie są to miejsca, na które możemy wyrzucić bezpośrednią presję.

– Bynajmniej.

– A co z identyfikacją, kto pracuje w kopalni razem z Koreą Północną? – zapytał sfrustrowany Ryan.

– Łatwiej zapytać niż zrobić, panie prezydencie. Transakcja z Précision Aréo dobiega końca. I nie zaprowadziła nas do innych, obcych partnerów w kopalni. Mamy tylko ślad prowadzący do firm podstawionych, które, jestem pewna, zostały założone przez Koreę Północną w celu uzyskania zagranicznego wyposażenia niezbędnego do realizacji programu raketowego.

Jack odwrócił się i spojrzał poważnie na Mary Pat.

– Nienawidzę gadać jak zepsuta płyta, ale chyba wiesz, co chcę powtórzyć.

– Tak. Chcesz, abym dostarczyła ci więcej informacji.

Skinął głową.

– Tyle, ile tylko możesz. Korea Północna z raketami balistycznymi dalekiego zasięgu, mogącymi dosięgnąć Stanów Zjednoczonych, stanie się poważnym graczem. Zmieni sytuację nie tylko w Azji, lecz także na całym świecie. Możemy ukarać ich za naruszenie sankcji, i tak to już robimy. Mogę zmusić ONZ, żeby nałożyła następne ograniczenia, uniemożliwiające im dostęp do kont w zagranicznych bankach, ale to strzał w ciemno i nie zostanie zrealizowany z dnia na dzień. Jeżeli dowiesz się, kto pomaga im w eksploatacji minerałów ziem rzadkich, podążę jego tropem i zemszczę się, a to ostatecznie zamknie im źródło dochodu.

Mary Pat stwierdziła, że żąda od niej czegoś niemal niemożliwego. Był jednak jej przełożonym.

– Tak jest, panie prezydencie.

Generał porucznik Ri Tae-jin przyleciał helikopterem na lotnisko Kangdong, na północny wschód od Pjongjangu. Towarzyszyło mu ośmiu podwładnych oraz ośmiu agentów ochrony osobistej; większość z nich leciała jednak drugim helikopterem.

W południe dwa rosyjskie Mi-8s dotknęły ziemi i chwilę później Ri wysiadł, aby chwilę później wsunąć się na tylne siedzenie czekającej limuzyny marki Mercedes. Jego liczni towarzysze zajęli miejsca w samochodach wojskowych, po czym wszyscy ruszyli, aby jak najszybciej dotrzeć do celu.

Dzielnica Kangdong leżała na przedmieściach rozrastającego się Pjongjangu, tylko trzydzieści mil od placu Choia Li-hunga w centrum stolicy. Jednak Choi Ji-hoon miał tutaj drugą rezydencję pałacową i gdy przebywał w Kangdong-gun, każdy, kogo wzywał, musiał odbyć dwugodzinną podróż nędznymi drogami. O ile oczywiście nie był wysoko postawionym urzędnikiem rządowym albo wojskowym, który mógł tu przylecieć helikopterem.

W Korei Północnej obowiązywała oficjalna polityka Songun, co oznaczało „pierwszeństwo wojskowym”. Była to doktryna mówiąca, że najpierw należy nakarmić Chosun Inmingun – nakarmić najlepiej ze wszystkich, zapewnić im lokum i ubrać, korzystając z najświetniejszych dostępnych w państwie materiałów. Większość partyjnych bonzów osiągnęła swój status dzięki karierze wojskowej. Wielu wyższych urzędników w rządzie nadal należało do Chosun Inmingun.

Wysokiej rangi wojskowi mieli dostęp do helikopterów, a gdy podróżowali drogami, mogli zażądać, aby zostały zamknięte przed cywilami.

Doktryna Songun tworzyła w państwie wojskową elitę społeczną.

Lot Ri trwał tylko dziesięć minut, jazda limuzyną następnie dwadzieścia, aż dotarli do punktów kontrolnych na terenie luksusowej posiadłości, aby w końcu stanąć przed drzwiami frontowymi.

Sześciu mężczyzn z Piątej Sekcji Wydziału Kierownictwa Komitetu Centralnego Partii zaprowadziło go do małej sali bankietowej. Należeli do osobistej ochrony Choia i traktowali Ri uprzejmie, chociaż bez szczególnego szacunku. Odprawiono jego towarzyszy, po czym wskazano mu miejsce przy niewielkim stoliczku i podano herbatę.

Czekał tu godzinę i dwadzieścia trzy minuty.

Nie narzekał, nie okazał choćby najmniejszego śladu zniecierpliwienia. W pomieszczeniu cały czas stali funkcjonariusze Piątej Sekcji i nie spuszczały go z oczu.

W końcu wszedł Choi i Ri natychmiast wstał, tłumiąc naturalną potrzebę skrzywienia się na jego widok.

Dae Wonsu wszedł z nabiegłymi krwią oczami, w na pół rozpiętej kurtce w stylu Mao. Włosy Choia były zbyt krótko obcięte, aby ukazywać nieład, lecz Ri mógł dostrzec zmarszczki na jego młodej twarzy, wskazujące na to, że chwilę przedtem leżał w łóżku. Jego mięsiste policzki były bardziej różowe niż zwykle.

Ri niemal natychmiast zorientował się, że Dae Wonsu jest pijany. Już przedtem widywał przywódcę narodu w różnych stanach nietrzeźwości. W Ryongsong regularnie coś świętowano i Ri

miął rozkaz uczestniczyć we wszystkich uroczystościach. Oczywiście Choi zwykle przychodził spóźniony, ale zawsze pojawiał się z drinkiem w ręce – i zawsze było zupełnie jasne, że już wcześniej pił. Jednak nigdy nie upadł, nigdy nie stracił przytomności, w przeciwieństwie do innych uczestników przyjęć. Było jednak do przewidzenia, że w czasie przyjęcia będzie siedział ponury przy wielkim stole.

Ri nie był więc zaskoczony widokiem pijanego przywódcy, ale czuł się jednak zniechęcony. Wiedział, dlaczego został wezwany, lecz pijany Dae Wonsu mógł sprawić, że ich rozmowa stanie się jeszcze bardziej nieprzewidywalna.

Amerykanie udaremniłi bowiem ich wysiłki sprowadzenia z Francji precyzyjnie wykonanych rur obudowy drugiego stopnia rakiet.

Ri ciągle miał jeszcze czas do terminu wyznaczonego przez Choia. Z dopływem pieniędzy od Óscara Roblasa mógł jeszcze coś zrobić, aby znaleźć inny sposób na zdobycie rur. Martwił się jednak, że Choi może stracić do niego zaufanie, a tym samym zostanie zlikwidowany.

Generał pułkownik dobrze wiedział, że Dae Wonsu może nie dochować trzyletniej umowy. W każdej chwili decyzja mogła zostać zmieniona, a Ri rzucony psom na pożarcie.

Choi usiadł przy stole, z roztargnieniem powitał generała skinieniem głowy, a następnie, po kilku zgodnych z protokołem głębokich ukłonach, Ri też usiadł.

Przywódcą obracał w palcach kieliszek z ciemną brandy, zachowując się tak, jakby skupiał całą uwagę na wirującym płynie. Generał pomyślał, że Choi powie coś zaraz niewyraźnie i bez sensu, ale gdy władca w końcu przemówił, jego głos brzmiał czysto i dobitnie, a słowa były klarowne i uszczypliwe.

– Następny transport ma zostać zatrzymany i odholowany do portu Inchon. Jak bardzo spowalnia to nasze działania?

Ri trzymał wysoko uniesioną brodę. Został wezwany na to spotkanie z samego rana, miał cały dzień na przygotowanie się.

– To niefortunne zdarzenie. Amerykański okręt wojenny „USS Freedom” utrudnia nam sprowadzanie potrzebnych urządzeń wielkogabarytowych. Mniejsze elementy mogą podróżować drogą powietrzną i korzystamy z tego z sukcesem. Problemy mamy tylko na morzu.

– Problemem jest Ameryka – rzucił Choi.

– Właśnie, Dae Wonsu. Inne narody w ONZ-ecie nie przestrzegają tak rygorystycznie sankcji. Przed powrotem Jacka Ryana do Białego Domu były prezydent, Ed Kealty, nie śledził naszych transportów tak, jak to robią dziś.

– Zatem, mówiąc dokładnie, naszym problemem jest Jack Ryan.

– Tak, masz rację. Ale nie ma się czym martwić, zamówiliśmy dla rakiety nowe rury. Wykona je firma rosyjska. Potrzebują na to pół roku, ale w tym czasie będziemy mieli na miejscu wszystkie niezbędne materiały i jestem przekonany, że Taepodong-2 zadziała w pełni sprawnie.

Po prawdzie Rosjanie nic nie wyślą, dopóki Korea im nie zapłaci; ale Ri mógł to zrobić dopiero wtedy, gdy dostanie od Roblasa pięćset milionów. A to nie nastąpi do czasu, aż ta cholerna kopalnia minerałów ziem rzadkich Hwanga nie zacznie działać.

Jednak Ri nie zamierzał niepokoić Choia tymi detalami.

– Czy Amerykanie nie zajmą następnego statku, tak jak zrobili to teraz? – zapytał Choi. Ri

uśmiechnął się, choć w jego oczach nie pojawił się żaden błysk radości.

– Rosjanie mają samolot typu An-225, potężny transportowiec, którym mogą dostarczyć nam te rury. Nie musimy się martwić o statki.

– Masz jeszcze niecałe dwa lata.

– Tak, Dae Wonsu. Wiem o tym.

– Prezydentowi Jackowi Ryanowi pozostają też dwa lata kadencji.

– O tym również wiem. Będziemy gotowi dużo szybciej. Nawet bez względu na niego.

– Twój poprzednik też bardzo narzekał na Jacka Ryana. – Choi wypił duży łyk brandy. – Chciał się w ten sposób usprawiedliwić.

Ri zorientował się, że powinien teraz szybko stworzyć dystans między sobą a swoim poprzednikiem, tak jak między sobą a psami w Chongjin.

– Ja nie używam go jako usprawiedliwienia. Ryan to problem, ale i tak nam się uda.

Choi patrzył ponad stołem. Miał oczy przymglone alkoholem, ale nie mrugał.

– Co wiesz o Rangunie?

Ri wiedział, że Choi nie pyta go, co wie o stolicy Mjanmy, ale o wydarzeniu, które miało tam miejsce. Kiedy przywódca Korei Północnej mówił o Rangunie do kogoś z wywiadu, mogło to znaczyć tylko jedno: było to ważne miasto dla jego narodowej agencji wywiadowczej.

– Dziewiąty października 1983 – odparł stanowczo Ri. – Byłem wtedy porucznikiem w Chosun Inmingun. Nigdy nie zapomnę bohaterskiej postawy naszych ludzi, którzy...

– Dziewiąty października 1983 – zaczął mówić Choi, jakby w ogóle nie słuchał swojego rozmówcy. – Mój dziadek wysłał trzech zabójców, żeby zdetonowali bombę i zabili prezydenta Korei Południowej podczas jego wizyty w Mauzoleum Męczenników w Birmie. Tylko godny pożalowania przypadek sprawił, że wybuch bomby nie zabił Chooną Doo-hwana, bo kawalkadę aut rozdzielił ruch uliczny.

Ri wiedział o tym wszystkim bardzo dobrze. Zginęło wtedy dwadzieścia jeden osób, czterdzieści sześć zostało rannych. Nie rozumiał tylko, dlaczego Choi wywleka teraz to stare wydarzenie sprzed trzydziestu lat.

– Jako ekspert od historii, nie mogę przestać się zastanawiać, co mogłoby się stać, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Jeśli Rangun zakończyłby się sukcesem, Korea Południowa zostałaby zdestabilizowana. Nasza armia była wtedy silniejsza od ich. Amerykanie wahałoby się. W ciągu roku, może dwóch, mój dziadek zagarnąłby cały Półwysep, a my mielibyśmy dużo silniejszą pozycję. Ekonomicznie. I wojskowo. Nigdy nie pojawiłyby się problemy z klęską głodu w latach dziewięćdziesiątych. Stany Zjednoczone mogłyby sobie nakładać sankcje, ale nic by one nie dawały. Zastanawiam się, gdzie bylibyśmy dzisiaj, gdyby ruch uliczny w Rangunie nie był tamtego popołudnia tak duży. – Choi uśmiechnął się tęsknie.

Generał skinął głową. Niewątpliwie niektóre wnioski przywódcy były słuszne i Ri nie mógł nic do nich dodać.

– Wiesz, co jeszcze mogło się wydarzyć? – zapytał Choi.

– Przykro mi, ale muszę wyznać, że nie wiem.

– Mój ojciec nie zostałby zabity przez Jacka Ryana.

– Twój ojciec?

– Amerykanie otruli mojego ojca. Jak to inaczej wytłumaczysz? To był zdrowy człowiek. Słabo słyszał, ale lekarze mówili, że może jeszcze przeżyć ze dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat w dobrym zdrowiu.

Ri nawet przez moment nie uwierzył, żeby mogła to być prawda. Co prawda uważał, że starzy lekarze Choia mogli stwierdzić, że został otruty, aby zrzucić z siebie winę za jego śmierć. Ri był szefem operacyjnym RGB, gdy umarł ojciec Choia, i otrzymał wtedy ze swoimi ludźmi rozkaz znalezienia dowodów na morderstwo. Nie dotarł do żadnych, ponieważ nie istniały.

Choi wrócił do tematu Rangun.

– Odwaga mojego dziadka, aby wydać rozkaz zgładzenia przywódcy Korei Południowej, była związana z jego myśleniem przyszłościowym. Zastanów się nad tym przez moment, Ri.

Generał nie mógł się pozbyć myśli, że tych trzech zabójców było prawdziwymi bohaterami, większymi od tego, który rozkazał im, aby po ataku popełnili samobójstwo. Ale oczywiście nie wspominał o tym.

Gdy Choi dopił brandy, przez pusty pokój bankietowy przeszła piękna młoda dziewczyna – Ri stwierdził, że nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat – z kryształową karafką w rękach. Napełniła kieliszek przywódcy. Choi w ogóle nie zwrócił na nią uwagi, tylko mówił dalej:

– Gdyby operacja w Rangunie zakończyła się sukcesem, to zmieniłyby się nie tylko los naszego narodu. Wraz z nim zmieniłyby się losy całego świata.

Ri skłonił się.

– Oczywiście.

– Gdyby tobie udało się wyeliminować Jacka Ryana, to jestem pewien, że podobnie pomogłoby to naszemu narodowi. Zgadzasz się ze mną?

Serce Ri zamarło. Następne niemożliwe do realizacji zadanie. Odpowiedział jednak:

– Tak. Całkowicie się zgadzam.

– Wiem, że to trudne do przeprowadzenia i będziesz musiał zaangażować wielu ludzi – powiedział Choi, pochylając się nad stołem. Ri poczuł silny zapach brandy, ale płynący nie z kieliszka w ręce przywódcy, tylko z jego skóry. – Lecz to już twój problem.

Zapanowała niezręczna cisza i generał Ri pomyślał, że teraz kolej na niego.

– Tak. No... z pewnością wielu odniesie korzyść z jego śmierci.

– Oczywiście. Jak zamierzasz to zrobić?

Ri zamrugał. Musiał coś powiedzieć, żeby wzmocnić zaufanie Choia. Próbował okazać pewność siebie, brak wahania. Mówił zdecydowanie i głośno, starając się wyraźnie wymawiać słowa.

– Muszę najpierw poznać harmonogram jego podróży. Następnie mogę skorzystać z pomocy wytwórców bomb z Bliskiego Wschodu. Mam do nich dostęp dzięki naszym dobrym stosunkom z Syrią i Iranem. Mogę zorganizować to jednak przez pośredników. – Po chwili wahania dodał: – Ale pod każdym względem sam będę uczestniczył w tej akcji. Nie może się tu wkraść nawet najmniejszy błąd. Teraz Jack Ryan już jest dobrze strzeżony, lecz gdy nastąpi atak na jego życie, Amerykanie mogą zrobić znacznie więcej, żeby ochronić go przed zabójcami. I wtedy nie będziemy już mieli nawet cienia okazji.

Choi skinął głową w zamyśleniu.

Ri bał się, że każe mu kontynuować, więc mówił szybko, formułując zdania tak, aby pod żadnym

pozorem nie obrazić Dae Wonsu.

– Jestem pewien, że już zdajesz sobie z tego sprawę, biorąc pod uwagę twoją doskonałą i wnikliwą wiedzę o historii świata, a ja wspominam o tym tylko dlatego, aby uświadomić sobie, ile wymaga ta operacja. Trzeba też wziąć pod uwagę to, jak Ameryka zareaguje na tę zniewagę, zagrożenie i atak. Przykładem może być Pearl Harbor. Japoński marszałek admirał Isoroku Yamamoto powiedział, że obudził wtedy śpiącego giganta. Ameryka może długo szukać sprawców, ale jeżeli już nabiorą pewności, że to była nasza operacja, zaczną szukać zemsty na naszej ziemi.

Ri miał nadzieję, że dotarło do Choia to, co powiedział, ale przywódca narodu machnął tylko ręką z kieliszkiem, rozlewając trochę płynu na szklany blat stołu.

– Twój bomber z Bliskiego Wschodu nie może przeżyć. Inaczej wszystko wyzna.

Choi uśmiechnął się, jakby właśnie tą jedną błyskotliwą sentencją rozwiązał wszystkie problemy.

Ri rozpaczliwie walczył, żeby dopasować swój wyraz twarzy do nastroju przywódcy.

– Tak, Dae Wonsu. To wspaniały pomysł.

Londyńczyka Edwarda Rileya niezbyt obchodził Nowy Jork, jako że nie był jego domem. Ale odkąd jego własny rodzinny dom przestał zbytnio dbać o niego, pięć lat temu przeniósł się do Stanów i był z tego piekielnie zadowolony.

Teraz Riley mknął w porannym ruchu swoim czarnym sportowym BMW i8 wzdłuż West Side Highway. Samochód lśnił, jakby ktoś polakierował go tuż przed wyjazdem z garażu, wywołując nawet tu, w tej snobistycznej dzielnicy Upper West Side, gwizdy podziwu.

Edward Riley uwielbiał zwracać na siebie uwagę, co w istocie było dziwne, ponieważ Edward Riley był szpiegiem.

Sława nie cieszy się uznaniem agentów wywiadu, ale droga Edwarda Rileya do niej niezaprzeczalnie robiła wrażenie. Był najmłodszym szefem jednego z oddziałów MI6⁴, służb specjalnych Wielkiej Brytanii zajmujących się wywiadem zagranicznym od trzydziestu lat. Teraz, w wieku trzydziestu sześciu lat, miał takie doświadczenie i CV, których mogliby mu pozazdrościć ludzie dwukrotnie od niego starsi. W tym momencie Riley bardziej już dbał o swoją karierę niż o własne bezpieczeństwo jako szpieg.

Jako młody chłopiec, krótko obcięty blondynek, Eddie był zakochany w różnych językach i kulturach. Rodzice podróżowali po Europie jako przedstawiciele firmy produkującej sprzęt fitness i kiedy Riley miał dziesięć lat, zdążył już zwiedzić wszystkie państwa tego kontynentu. Co więcej, dziadkowie od strony matki byli zapalonymi podróżnikami, którzy zabierali ze sobą wnuka na letnie wyjazdy do Afryki, Azji albo Ameryki Południowej.

Do Eton Eddie wstąpił z planem przejęcia biznesu ojca, aby móc potem dalej zwiedzać świat, więc w tym celu uczył się też francuskiego, arabskiego i rosyjskiego.

Nie był idealnym kandydatem do pracy w wywiadzie, bo nawet jeśli wielu szpiegów prezentowało dość słabą lojalność wobec własnej flagi, to Riley nie miał jej w ogóle. Nie żeby był antypatriotą, po prostu nie chciał mieszkać we własnym kraju i wśród współobywateli. Ale jeden z jego profesorów w Eton działał nieoficjalnie dla Korony i to właśnie on przekazał nazwisko Eddiego dalej. W efekcie wkrótce po zajęciach Riley został zatrzymany przez pewną kobietę w średnim wieku, która spytała go, czy byłby zainteresowany egzaminem do służby cywilnej.

– Nieszczególnie – brzmiała szczerza odpowiedź.

Ale kobieta była bardzo przekonująca, opowiadała z pasją o innych kulturach i podróżach, które miały temu towarzyszyć, i w chwili gdy w pomieszczeniu zgasło światło, Eddie Riley domyślił się, że to rekrutacja do brytyjskiej tajnej służby.

Brzmiało to interesująco – co prawda nie jak w filmie z Jamesem Bondem, który młody Riley oglądał pięć razy – ale jego „absolutnie nie” zmieniło się w „dlaczego nie”.

Nikt nie mógł aplikować bezpośrednio do MI6. Zamiast tego oficjalnie dostawał posadę w Biurze Zagranicznym i Brytyjskiej Wspólnoty – i w ten sposób zaczynał pracę jako agent zagranicznego

wywiadu. Tak postąpił też Riley. Przeszedł wstępne szkolenie i wkrótce ruszył w świat, rozpoczynając tułaczkę każdego młodego oficera wywiadu po odległych placówkach, aby w trudnych warunkach zdobywać doświadczenie.

Sana w Jemenie. Windhuk w Namibii. Potem awans do Montevideo w Urugwaju.

Gdy kończył się jego rok spędzony w Ameryce Południowej, na Bliski Wschód, gdzie trwała wojna, wysłano tylu doświadczonych już agentów wywiadu, że w innych rejonach świata zostało wiele wolnych i świetnych posad, które objęli młodzi, wyróżniający się agenci.

Przez rok Riley pracował w Finlandii, a potem odwalił kawał dobrej roboty na brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Przez cały czas pracował intensywnie na swoje nazwisko i w wieku dwudziestu siedmiu lat wrócił do Europy jako asystent szefa oddziału w Bułgarii, wschodząca gwiazda wywiadu.

Pracował na tym stanowisku niecałe pół roku, aż jego szef dostał zgodę na powrót do domu ze względu na chorobę w rodzinie. MI6 zamierzało co prawda zastąpić starego szpiega kimś innym niż jego młody asystent, ale gdy miesiąc zastępstwa przedłużył się do trzech, a potem do sześciu, ktoś zdecydował, że Riley obejmie szefostwo. Skompletowano odpowiednie dokumenty i został oficjalnie mianowany.

Edward Riley z Londynu został dwudziestosiedmioletnim szefem oddziału SIS w Bułgarii, co czyniło go najmłodszym szefem oddziału w tej służbie od ponad trzydziestu lat.

Ale Riley nie poprzestał na tym. Dalej ciężko pracował, bez skrupułów wykorzystując ludzi do swoich osobistych celów. Na trzydzieste urodziny ta szybko rozwijająca się kariera zaprowadziła go do Włoch jako szefa znacznie ważniejszego oddziału od tego w Bułgarii.

Jednak w Rzymie wszystko skończyło się szybko, bo Riley przestał przestrzegać rozkazów i nawiązał współpracę z lokalnymi przestępcami, przez co zakłócił działanie miejscowej komórki rosyjskiej mafii powiązanej z rządem moskiewskim; w praktyce to wszyscy kryminaliści z Rosji z nim współpracowali. Bandyci zwrócili się do Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, aby usunąć Rileya z gry.

Rosjanie zidentyfikowali Rileya jako szefa oddziału zagranicznego wywiadu Wielkiej Brytanii i wzięli go na cel – nie po to, żeby go zlikwidować, był za mało ważny i nie chcieli dodatkowych problemów – tylko żeby go usunąć.

Rosjanie zastawili na niego pułapkę i mógł tylko siebie winić za to, że dał się w nią zwabić. Była to bardzo prosta akcja, którą rozpoczynało niby przypadkowe spotkanie z kobietą. Edward miał w Wielkiej Brytanii żonę i trójkę małych dzieci, ale gdy pewnego dnia usiadł w kawiarni przy Via Bergamo, do której lubił chodzić, obok dwudziestoczteroletniej modelki z Rumunii o imieniu Alina i zaczął z nią rozmawiać, wpadł w przygotowaną zasadzkę.

Twierdziła, że jest studentką na wymianie, i okazywała więcej zainteresowania podręcznikiem niż przystojnym mężczyzną, z którym właśnie nawiązała rozmowę. Jednak jej uroda kompletnie go obezwładniła i cały czas usiłował podtrzymać dyskusję. Przyjął rolę atakującego amanta, więc absolutnie nie przyszło mu do głowy, że może być pionkiem w jakiejś grze. Poprosił ją o numer, lecz odmówiła, ale po kilku dniach znowu pojawiła się w tej kawiarni. Poszli razem Via Piave i wkrótce znaleźli się w hotelu Oxford przy Via Boncompagni. Nie miał pojęcia, kiedy jego karta kredytowa na jeden z jego pseudonimów znalazła się zamiast w portfelu w jego dłoni, a potem w ręce

recepjonisty, i nie mógł zupełnie zrozumieć, w jaki sposób on i ta młoda dziewczyna znaleźli się w łóżku w apartamencie na trzecim piętrze.

Wszędzie dookoła jakieś kurewskie tajemnice, powiedział do siebie, gdy wszystko się skończyło.

Alina nie wiedziała dokładnie, że pracuje dla Rosjan. Była przekonana, że została wynajęta do tej akcji przez brytyjski tabloid. Dobrze jej zapłacono, gazeta rzeczywiście istniała, ale Alina nie miała pojęcia, do kogo należała. Myślała tylko, że jest brytyjska, chociaż tak naprawdę stanowiła własność rosyjskiego koncernu i gotowa była zrobić wszystko, co tylko rozkazał rosyjski wywiad.

Chociaż Riley wpadł w pułapkę i do miasta przybyli już paparazzi, aby złapać brytyjskiego agenta na gorącym uczynku, to w istocie nie było to takie proste. Riley, jak większość zdradzających szpiegów, potrafił przełożyć swoje umiejętności zawodowe na prywatne przyjemności. Swój romans z Aliną utrzymywał w tajemnicy przez miesiąc, co umożliwiło mu wcześniejsze wyszkolenie w MI6. Używali telefonów na kartę, spotykali się w podrzędnych kafejkach tylko po upewnieniu się, że nie są śledzeni, i często zmieniali trasy. Alina trzymała się z dala od miejsc, gdzie mogli napotkać kamery, natomiast Riley cały czas utrzymywał romans w tajemnicy, chociaż zupełnie nie uświadamiał sobie, że ktoś już był na ich tropie.

W końcu kamery dopadły ich na oblanej światłem księżycą plaży na Sardynii. Byli nadzy, złapano ich na gorącym uczynku, a gdy błysnęły flesze i kliknęły migawki, trzydziestoletni Edward Riley już wiedział, że jego kariera i małżeństwo należą do przeszłości.

Brytyjski tabloid miał już gotowy reportaż: zdjęcia nagiej blondynki, leżącej na niej pewny siebie młody szpieg z obnażonym torsem, wpatrzony w obiektyw jak jeleń w oślepiające go światła samochodu. Wszystko, co ukazywało ohydłą naturę tej schadzki.

„Moralne brudy Jej Królewskiej Mości!”, krzyczał nagłówek i gdy Riley następnego ranka przejrzał artykuł, wiedział, na czym stoi. I życzyłby tylko sobie, aby ten szmatławiec z prostej przyzwoitości dopisał, że zrobił to na polecenie tej pierdolonej Moskwy, na przykład dodając jedno krótkie zdanie: „Napisane przy pomocy Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej”.

Riley został oczywiście odwołany do Londynu. Po tylu latach pracy przyniósł służbie wstyd, a paparazzi ścigali jego i jego rodzinę także poza miejscem zamieszkania w Knightsbridge.

Coś w nim pękło i stał się przesadnie ostrożny; nie pozwalał sobie na samokrytykę i wzięcie odpowiedzialności za swoje czyny. Z swoją klęskę winił Anglię, swój własny kraj, lecz na pewno nie siebie. Przez kilka miesięcy zachowywał fason, ale w tym państwie zbytnia sława szpiega działa przeciwko niemu i Riley wiedział, że musi w końcu stąd wyjechać.

I tak trafił na Duke'a Sharpsa. Nigdy przedtem go nie spotkał, słyszał tylko o nim jako o człowieku pozbawionym skrupułów. Duke zaprosił Edwarda na spotkanie, oczywiście na koszt Sharps Global Intelligence Partners. Edward poszedł, wysłuchał, co Amerykanie mówią o pracy, i z miejsca się zgodził. Z entuzjazmem przyjął fakt, że wraca do gry, nawet w tak komercyjnym wymiarze. Mógł to robić bez skrupułów. Zależało mu teraz tylko na pieniądzach, nie musiał kierować się pojęciami dobra i zła, dbał jedynie o swój interes.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że zła sława, jaką się okrył, może sprawić, że już nigdy nie będzie mógł w pełni pracować w wywiadzie. Stało się jednak coś, czego Edward Riley się nie spodziewał. Odkrył, że ten rozgłos przynosi mu korzyści. Reputacja z dawnej pracy wywiadowczej w MI6 pomagała mu w Sharps Partners. Spotykał ważnych ludzi, jadał kolacje z potencjalnymi

klientami i swoimi zwierzchnikami, pojawiał się w telewizji w charakterze gadającej głowy, wypowiadając się na temat tajnych służb Wielkiej Brytanii w biurach i dużych studiach wiadomości TV Nowego Jorku.

No i zarabiał mnóstwo pieniędzy. Sharps płacił ogromne sumy swoim agentom, gdy ich działania wieńczył sukces. Nie tak jak MI6, gdzie człowiek z sześcioletnim doświadczeniem w pracy spotykał się w Islandii z informatorem na kolacji z wielorybim tranem za dokładnie takie samo wynagrodzenie, jakie dostawał facet od sześciu lat biorący udział w strzelaninach z rosyjskim Specnazem z jakiejś zaszranego dziurze w Czeczenii.

Chociaż miał też swój „błyskotliwy czas” w TV, Riley nie był marionetką Sharpsa. Nie, trzydziestosześcioletni Anglik pracował dla niego zaskakująco ciężko, budował operacje od podstaw, wkładając w to wiele wysiłku. Już wtedy, gdy kierował posterunkiem MI6, oczekiwał od podwładnych tego samego, czego wymagał od siebie, i spodziewał się po swoich ludziach pełnego poświęcenia.

Sharps wyznaczał Rileya do trudnych zadań, a Edward zupełnie się tym nie przyjmował, przyjmując je bez komentarza. Pracował dla pieniędzy i tyle.

W trzecią rocznicę spektakularnej klęski przeanalizował dokładnie swoje życie i stwierdził, że piekielnie kocha tę nową robotę i brak moralności.

Korona mogła się od niego odpiardolić.

Edward Riley zatrzymał sportowe BMW obok stanowiska parkingowego przed Mandarin Oriental, w pobliżu ronda Kolumba. Wysiadł i mrugnął do młodego Dominikańczyka, gdy ten podchodził do auta z pełnym podziwu uśmiechem.

– Zatrzymuje się pan u nas, sir? – zapytał, niemal śliniąc się na myśl o jeździe tym luksusowym autem.

– Tylko na spotkanie przy herbacie w Asiate.

Parkingowy odwrócił się.

– Może z tą kobietą, która właśnie podjechała taksówką?

– Wysoka blondynka o długich jak diabli nogach?

Dominikańczyk uśmiechnął się szerzej. Zazdrościł Rileyowi i nie krył się z tym.

– To jedna z tych, sir?

– Jeszcze jej osobiście nie spotkałem, ale słyszałem – odparł Anglik – że jest kimś ważnym.

– To piękność, sir... Życzę udanego spotkania, a ja zajmę się teraz tą pięknością, sir – powiedział, patrząc na samochód.

Riley był obecnie singlem, nawet już oficjalnie, nie na papierze. Jego małżeństwo rozpadło się w Londynie zaraz po tym, jak stracił dobre imię. Pewnego dnia, gdy wrócił do domu, żona podała mu papiery do podpisu i musiał się wyprowadzić.

Myśl o spędzeniu chwil w łóżku z tą Francuzką wyglądała kusząco, mimo że nawet się jeszcze nie znali, ale ta operacja była zbyt ważna, żeby mieszać biznes z przyjemnością.

W tym wypadku będzie trzymał ręce przy sobie.

Odnalazł Veronikę Martel przy stoliku w prawie pustej restauracji, siedziała oparta plecami o ścianę. Gdy go zobaczyła, wstała i uściśnęła mu dłoń. Spojrzał jej wtedy w oczy i stwierdził, że są

nawet piękniejsze, niż głośiły plotki.

Riley był pewien, że Veronika wie już o nim wszystko. Albo chociaż to, co rosyjski wywiad chciał, żeby świat o nim wiedział. Miała jednak klasę i nawet jeśli kojarzyła tę sprawę, która zrujnowała mu życie, to nie wspominała o niej. Lecz świadomość, że kobieta mogła o wszystkim słyszeć, sprawiała, że Riley czuł się mało komfortowo na tym spotkaniu.

Powiedział sobie jednak, że nie pozwoli podważyć swojego autorytetu. Przez kilka minut gawędził z tą oszałamiająco piękną blondynką o rzeczach na pozór błahych. O jej locie, o hotelu i wrażeniach z miasta oraz Stanów Zjednoczonych. Stwierdził, że jest inteligentna, ale bardzo ostrożna.

Ostatecznie okrężną drogą dotarł do tematu spotkania.

– Wiem, że Duke mówił już pani o zadaniu w Valley Floor.

– Tak, rozmawialiśmy o tym.

– To niezłe miejsce pracy – ciągnął. – Będzie pani mniej niż czterdzieści mil od Vegas, więc może pani tam co rano dojeżdżać. Tak naprawdę w tym rejonie nie ma innych opcji. Ulokujemy panią w dobrym hotelu i zapewnimy dobrą opiekę. Przez pierwszy tydzień albo dłużej będzie pani się tam zdomawiać, zawierać znajomości, rozglądać się i tym podobne. Zostanie pani w dodatku przeszkolona w zakresie urządzeń przetwarzających minerały ziem rzadkich. Nasz Wydział Nauki i Technologii da pani telefon komórkowy, za pomocą którego będzie mogła pani przesyłać oprogramowanie komputerowe prosto do naszych serwerów. Otrzyma też pani hasło pozwalające wchodzić do tamtejszego systemu administracyjnego, aby uzyskać konieczny dostęp do innych programów.

– Poradzę sobie.

– Niewątpliwie – zgodził się Riley. – New World Metals ma w tym miesiącu wysłać do Korei Północnej urządzenia służące do przetwarzania rudy, a komputery będą leciały z Europy, co daje nam trochę czasu. Chodzi tu o wszystkie urządzenia do rafinacji. Sprzęt do wydobywania rudy już tam jest.

– Gdzie go trzymają?

– Chińczycy musieli uciec tak nagle, że nie mieli czasu zabrać ze sobą wszystkiego. Jednak nie pozostawili tyle sprzętu, żeby dało się obsługiwać kopalnię na wystarczająco dochodowym poziomie, ale prace już trwają. Dlatego dostarczenie tam kolejnych urządzeń jest niezwykle ważne, aby nie przerywać całego procesu.

– Zatem nie mogę zwlekać z rozpoczęciem.

– Wspaniale. Dziś do Nowego Jorku przylatuje pewna osoba. To kobieta z Brazylii, pracująca dla Wele, koncernu zajmującego się różnymi kopalnianymi metalami. W NewCorp pani praca będzie polegać na tym samym. Ma pani trzy dni, aby z tą kobietą popracować i zyskać jej zaufanie. Jestem przekonany, że uda się to pani zrobić.

Veronika przez całą swoją karierę wcielała się w podobne role. Była recepcjonistką, techniczką, programistką komputerową, handlarką rybami, profesorką, a nawet modelką bikini na rajdzie w Le Mans. Siedemdziesiąt dwie godziny intensywnych przygotowań przekształci ją w kogoś, w kogo nie przekształciłyby nikogo innego lata doświadczeń.

– Będę starała się ze wszystkich sił – powiedziała.

Riley patrzył przez chwilę na swoją filiżankę z herbatą.

– Muszę panią zapytać o to, o co Duke pani nie zapytał. Jak czuje się pani z tym, że pracuje pani na rzecz Korei Północnej?

Martel miała jednak tak wykalkulowane podejście, jak Riley był bezpośredni.

– Nie martwię się o to.

– Dobra odpowiedź. Cholerne kłamstwo, ale lubię słuchać kłamstw, które mi się podobają. Wiem, że zetknęła się pani bezpośrednio z agentami Korei Północnej w Wietnamie. Miała tam miejsce źle poprowadzona akcja, która zakończyła się bałaganem, ale to nie moja sprawa. Ja nigdy nie dopuściłbym do takiego braku profesjonalizmu w tego rodzaju działaniu. O tym mogę panią zapewnić. Chcę też, żeby pani zrozumiała, co my tam robimy. Na końcu tej gry jest kopalnia. Duże pieniądze dla New World Metals i źródła dla nas u Sharpsa. Nie pracujemy dla Korei Północnej, nie robimy nic, czego musielibyśmy się wstydzić.

Martel pomyślała o Amerykaninie zatrudnionym przez Sharpsa, którego krew stała z paszportu. Ale milczała. Riley chciał zacząć tę operację na świeżo, a ona myślała podobnie. Nie było powodów, aby teraz poruszać jakieś drastyczne kwestie. Chciała też, żeby zrozumiał, że ona również nie troszczy się o swoje morale w tej pracy. Była to po prostu praca, jak każda inna.

– Panie Riley, doceniam pański gest, ale nie musi się pan martwić o to, czy mam jakieś wątpliwości. Szczerze mówiąc, mam gdzieś to, co robimy, dla kogo to robimy i kim się stajemy. Całkiem zręcznie nakreślił pan zakres i charakter moich obowiązków w Valley Floor, więc wykonam je najlepiej, jak potrafię. Może pan wszystkich zapewnić, że nie wymagam specjalnej troski.

– Czuję dokładnie to samo. Jesteśmy tylko mężczyzną i kobietą w pracy, gdzie moralność jest jedynie przeszkodą na drodze.

– Przedstawia pan to we właściwy sposób, panie Riley.

Edward uśmiechnął się.

– Myślę, że będziemy się świetnie dogadywać, pani Martel.

Przed dziewiątą rano sala konferencyjna Pokoju Dowodzenia położonego poniżej Zachodniego Skrzydła zaczęła się wypełniać wysokimi urzędnikami państwa. Chwilę później zjawił się prezydent i powitał zebranych skinieniem dłoni.

Temat dzisiejszej dyskusji, jak zapisano w porządku dziennym, był banalnie prosty.

„Nieskuteczność sankcji Organizacji Narodów Zjednoczonych nałożonych na Koreę Północną”.

Stany Zjednoczone i ONZ większość czasu w ciągu minionych siedemdziesięciu lat spędziły na szukaniu rozwiązań, jak zapewnić skuteczność sankcjom nałożonym na Koreę Północną. Gdy Ryan zobaczył więc w nagłówku porannego sprawozdania, że to zagadnienie będzie właśnie tematem posiedzenia, wydał z siebie jęk rozpaczony i wycedził, że liczy na to, że rozwiązanie tej kwestii nastąpi przed lunchem.

Za stołem naprzeciwko niego siedzieli urzędnicy ze sztabu bezpieczeństwa narodowego, sekretarz handlu i ambasador USA przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, a także szef sztabu prezydenta, Arnie Van Damm.

Konferencja zaczęła się od raportu Jaya Canfielda na temat sposobów wykorzystywanych przez Koreę Północną do przetrzymywania pieniędzy z banków na Kajmanach i w Singapurze, gdzie gromadzono gigantyczne depozyty, na mniejsze konta założone w Brunei, na Antigui, w Meksyku i w Singapurze, a także w innych miejscach świata. W ciągu minionych kilku miesięcy najwyraźniej dokonano wielu ogromnych wypłat, lecz CIA nie miała dostępu do systemów bankowych, żeby dowiedzieć się, dokąd płynęły te pieniądze.

Po wielu szczegółowych i często niezwykle skomplikowanych wyjaśnieniach Canfield zakończył raport prostymi słowami:

– Wystarczy po prostu stwierdzić, panie prezydencie, że ktoś przelał na rzecz Korei Północnej cholernie dużo pieniędzy. Jednak kto to zrobił i co zostało za to kupione, jest ciągle dla nas niewiadomą.

W następnej kolejności zabrała głos ambasador Stanów Zjednoczonych przy Organizacji Narodów Zjednoczonych Danielle Rush. Zaprezentowała swoją propozycję, podchwyconą przez sekretarzy stanu, handlu i skarbu, aby postarać się o zwiększenie w rezolucji ONZ-etu sankcji ekonomicznych przeciwko Korei Północnej.

Prezydent przez dwadzieścia minut słuchał w milczeniu. Na koniec wsunął tylko palce pod szkła okularów i przetarł zmęczone oczy.

– Uważam, że musimy powstrzymać te transakcje. Nie mam tylko pojęcia, co, u diabła, możemy osiągnąć, nakłaniając ONZ, aby zwiększyła sankcje nałożone na Koreę Północną. Cały czas gadamy o tym, co Narody Zjednoczone mogą zrobić, ale tak naprawdę to nie mogą nic. ONZ nie wprowadza nałożonych sankcji w życie. To akurat zależy od jej członków, to oni muszą wyegzekwować realizację sankcji. Myślicie, że te wszystkie państwa, które przekazywały pieniądze Korei Północnej, naprawdę przejmą się zwiększeniem ograniczeń?

– Weszliśmy w to bardzo ostro i mówimy jakiemuś państwu, które świadomie omija sankcje, że może się spotkać z jednostronnie nałożonymi sankcjami przez Departament Handlu Stanów Zjednoczonych – włączył się sekretarz stanu Scott Adler. – Robimy ogromne zamieszanie, chcąc wciągnąć na pokład naszych europejskich i azjatyckich partnerów. Ale gdy już mamy stempel ONZ-etu na tej akcji, moglibyśmy dodać swój wkład, aby była bardziej skuteczna.

Po tych słowach nastąpiło pół godziny dyskusji za nowymi sankcjami i przeciw nim. W końcu prezydent Ryan został przekonany do tego, że jest to posunięcie niezbędne. Wtedy skinął głową i powiedział:

– Okej. Pewnie nigdy nie słyszeliście, żebym to mówił, ale zgadzam się, żeby Narody Zjednoczone odegrały w tym ważną rolę. Stany Zjednoczone i Europa już wydały bankom zakaz współpracy z Koreą Północną. Ale rozpoznane przez nas placówki mieszczą się też w krajach, których nie obowiązują sankcje wobec Korei Północnej.

– Musimy sformułować treść zakazu handlu i świadczenia usług bankowych... Ograniczenia dla osób z krajów Trzeciego Świata, banków i firm, które współpracowały z Koreą Północną – powiedziała ambasador Rush. – Wyszczególnić wszystkie trzydzieści osiem kont, które odkryliśmy, wszystkich pośredników i zaangażowane kraje.

– Dobrze – zgodził się Ryan. – Powstrzymamy ten napływ pieniędzy do Korei Północnej. Najlepszym na to sposobem, który trzeba zrealizować w jak najkrótszym czasie, jest uzyskanie w ONZ-ecie rezolucji nakładającej teraz sankcje na współpracujące banki. Jeżeli my, jako członek Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, zechcemy wdrożyć nowe blokady, to musimy je najpierw przeforsować w Komitecie do spraw Sankcji. Potem Komitet będzie miał dziesięć dni na zdecydowanie, czy proponowane ograniczenia spełniają wymagania ONZ-etu dotyczące sankcji. Jest to głosowanie proceduralne i nie powinno stanowić dużego problemu, chociaż mogą się pojawić pewne komplikacje. Treść karty jest naprawdę złożona, więc członkowie ONZ-etu pracujący w Komisji do spraw Sankcji muszą sami decydować, czy wniosek jest prawomocny.

– Możemy wyrzucić presję na delegatach rządów – stwierdził Ryan, ale ambasador Rush potrząsnęła głową.

– To nie zadziała. Co prawda w samym głosowaniu nad uchwaleniem sankcji ambasadorzy zawsze występują w interesie swoich państw. Ale akurat tutaj decydują pracownicy ONZ-etu. Zwykli biurokraci. Nie twierdzą, że są nietykalni, ale to międzynarodowi eksperci od prawa, niezwykle dumni ze swojej roli.

– Okej – przytaknął Ryan. – Zatem zacznijcie natychmiast szkicować treść tych sankcji. Chcę to jak najszybciej podpisać i niech sprawa zacznie się toczyć. Korea Północna codziennie gromadzi ogromne sumy na kontach bankowych, a tym samym jest coraz bliżej skonstruowania raket balistycznych dalekiego zasięgu.

– Panie prezydencie – wtrącił Adler – chciałbym, żeby jedna rzecz była dla pana zupełnie jasna. Kiedy pan zacznie naciskać, aby jak najszybciej przepchnąć te sankcje, może pan zostać przegłosowany. Jest wiele państw, wiele bardzo wpływowych firm, które wiedzą, że Korea Północna ma ogromne zasoby minerałów ziem rzadkich. Firmy dysponujące zaawansowaną technologią potrzebują na przykład elektromagnesów do swoich komputerów, a kraje, które ściągają z tych firm

podatki w dolarach, Francja, Niemcy, Japonia albo Tajwan, dla przykładu, mogą naprawdę mieć pewne obiekcje co do tych sankcji.

Ryan roześmiał się.

– Zostałem przegłosowany już wcześniej. Do diabła, ostatnie półtorej godziny spędziłem na obserwowaniu, jak się o to spieraliście.

W sali rozległ się ogólny śmiech.

Adler też się uśmiechnął, ale pozostał przy swoim.

– Dyplomatycznie, politycznie czy nawet etycznie, wypadniemy na świecie paskudnie, jeśli będziemy próbować zahamować rozwój przemysłu niemającego nic wspólnego ze zbrojeniem albo z łamaniem praw człowieka. W rzeczywistości możemy zostać oskarżeni przez cały świat, że aby chronić siebie, zamierzamy zagłodzić na śmierć populację liczącą dwadzieścia pięć milionów.

– Przecież wiesz, że to zwykłe pieprzenie. Nikt w Korei Północnej, kto dziś jest tam głodny, nie dostanie kubelka z KFC, gdy tylko państwowy przemysł górniczy rozpocznie wydobywanie minerałów ziem rzadkich.

– Jeśli odetniemy dostęp do produktów wyrabianych za granicą, z pewnością rzuci się na nas prasa. – Arnie poparł argument Adlera. – Politycznie, panie prezydencie, to ślepy zaulek.

Ryan westchnął ciężko.

– Nie chcę więcej zajmować się polityką. Wygrałem wybory raz i nie będę ponownie startował. Pamiętajcie o tym?

Van Damm nie odpowiedział, tylko przewrócił oczami.

– Nie mówię o panu. Na nadchodzącym półmetku rządów będzie pan miał słabe poparcie w Kongresie i Senacie. Gdyby skupił się pan na sprawach, które należy popchnąć na naszą korzyść, wówczas wypisze pan sobie bilet na ostatnie dwa lata kadencji.

– Społeczeństwo skupia uwagę na znajdujących się bezpośrednio przed nim obiektach, które błyszczą. Media przede wszystkim zajmują się sprawami krajowymi, potem problemem między Ukrainą a Rosją, a na koniec wojną na Bliskim Wschodzie. Szaleństwa Korei Północnej nie poruszyły nikogo w najmniejszym stopniu, niewielu zwróciło większą uwagę na ich testy rakietowe albo na transport rur do pocisków balistycznych z Francji. Skończyło się tylko małą, jednodniową wzmianką. Kraju to nic nie obchodzi.

– Nie do mnie należy ocenianie, jakie są tendencje społeczne, Arnie. Przecież wiesz o tym. Jednak dlatego że ta sprawa nie jest traktowana tak jak inne ważne problemy tego świata, nie oznacza to, że powinienem ją ignorować.

– Niech będzie – zgodził się Van Damm. – Jednak niech pan uważa. W tej sprawie nie ma pan wielu sojuszników.

Gulfstream G550 należący do Hendley Associates przyleciał nocą z lotniska Baltimore/Washington do portu lotniczego im. Václava Havla w Pradze. Samolot ten miał zasięg ponad pięciu tysięcy mil, więc lot na dystansie czterech tysięcy dwustu nad oceanem był jak krótka wycieczka, bez konieczności lądowania w celu uzupełnienia paliwa.

O potrzeby Jacka Ryana, Doma Carusa i Gavina Biery'ego dbała na pokładzie Adara Sherman. Po starcie przygotowywała drinki, w czasie gdy trójka pasażerów siedziała przy stole konferencyjnym w centrum kabiny, przygotowując się do czekającej ich operacji.

Podczas lotu zamierzali zapoznać się z terenem działania w Pradze. Karel Skála mieszkał w Žižkowie, dzielnicy miasta oddalonej na wschód od turystycznych szlaków Starego Miasta i Hradczanów. Znajdowały się tu liczne budynki mieszkalne, osiedla domów jednorodzinnych i parki miejskie, więc wiedzieli, że aby prowadzić tam jakiegokolwiek śledztwo bez łażenia z nosem w planie miasta, powinni wcześniej znać teren.

Oprogramowanie, którego używali tej nocy, aby zdobyć wiedzę na temat wschodnich dzielnic Pragi, należało do najnowocześniejszych możliwych technologii. Gavin dostał ostatnio od programistów Kampusu nowe aplikacje z National Geospatial-Intelligence Agency, które działały teraz w ich komputerach. Nazwano je „Mapą Świata”; była to niebywale szczegółowa, interaktywna mapa, na której można było znaleźć każdy najmniejszy zakątek Ziemi. Miała też łatwy w użyciu interfejs, dzięki któremu mogli uzyskać praktycznie wszystkie dane o wybranym terenie, jeśli był znany agencji wywiadowczej Stanów Zjednoczonych oraz innym członkom Sojuszu Pięciorga Oczu, anglojęzycznym krajom, które współpracowały w zakresie wywiadu ze Stanami. „Mapa Świata” zawierała miliony informacji zaczerpniętych nie tylko z jawnych źródeł, lecz także z tajnych, pochodzących od agencji ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii i Nowej Zelandii.

Agenci poświęcili więc czas na badanie na „Mapie Świata” budynku mieszkalnego, w którym mieszkał ich cel. Kilka kliknięć i mieli przed sobą fasadę, parking z tyłu, zdjęcia wewnętrznych korytarzy, informacje o rozmieszczeniu kamer, a nawet dane o lokatorach w postaci przetworzonych komputerowo umów najmu.

„Mapa Świata”, MOTW, była więc wprost niebywałym źródłem informacji, trochę jak Google Earth, tylko że na sterydach; Jack i Dom wiedzieli, że niedługo może zastąpić EagleView, niezwykle wydajny program mapowy, którego dotąd używali. Program EagleView był bardzo dobry, ale nie podawał na przykład, w jakim konkretnie czasie i miejscu na ulicy opróżniane są kontenery na śmieci. Natomiast „Mapa Świata” mogła to zrobić – pod warunkiem że ktoś z wywiadu w USA wrzucił ten bit informacji z danych wywiadowczych albo tych zawartych w jawnych źródłach.

Gavin załadował na iPhony Jacka i Dominica mobilną wersję aplikacji, aby w razie potrzeby mogli coś sprawdzić w terenie. Oprócz tego testował własną aplikację, dzięki której agenci mogli wydawać polecenia przez swoje telefony i otrzymywać odpowiedzi z systemu „Mapy Świata”, które

system odczytywał im na głos.

Gdy zjedli kolację i omówili działanie oprogramowania, Gavin poprosił Jacka o wypróbowanie swojej aplikacji.

– O co mam poprosić?

– O cokolwiek. Jak mówiłem, to wciąż faza beta, więc nie traktuj jej zbyt obcesowo.

Jack zastanawiał się przez chwilę, następnie nacisnął przycisk na swojej komórce.

– MOTW – powiedział, żeby system zrozumiał, że chce skorzystać z „Mapy Świata”. – Podaj, na którym lotnisku w Pradze jest najmniej policji.

Wszystkie oczy w kabinie skierowały się na komórkę. Po kilku sekundach kobiecy głos powiedział:

– Przykro mi, ale nie rozumiem.

Jack spojrział na Gavina.

– Przepraszam, Gav, ale nie sądzę, żeby to było gotowe do testu w terenie.

Ale Biery szybko wyrwał telefon z ręki Jacka.

– MOTW – rzucił – ilu policjantów jest na lotnisku imienia Václava Havla w Pradze?

Krótką przerwą i mechaniczny, komputerowy głos odpowiedział:

– Dokładna odpowiedź nieznana. Na lotnisku Václava Havla jest posterunek straży miejskiej, komisariat policji państwowej i policja portu lotniczego. Czy mam podać lokalizację posterunku i komisariatu w terminalu, numery telefonów albo adresy poczty elektronicznej?

Jack i Dom unieśli brwi. Gavin uśmiechnął się.

– Mamy miliony bitów danych do dyspozycji. Zadacie w prawidłowy sposób pytanie, a otrzymacie odpowiednio użyteczną odpowiedź.

– Okej, już wiemy, jak to działa, więc do czego cię jeszcze potrzebujemy? – zażartował Dom. Gavin tylko wywrócił oczami, po czym wrócił do swojej kolacji. Adara w tym czasie ponownie napełniła wszystkim kieliszki do wina.

Po kolacji uprzątnęła stół i zaproponowała kawę. Ryan i Biery nigdy nie zapominali o podziękowaniach za doskonałą obsługę Adary i zawsze pytali, czy mogą jej w czymś pomóc w czasie podróży. Ale tylko Caruso tej nocy jako jedyny z pasażerów spędził noc w kuchni, pomagając w zmywaniu naczyń.

Ani Gavin, ani Jack nie zwrócili na to uwagi, pochłonięci pracą, a Caruso poświęcił dużo czasu na rozmowę z Sherman w czasie lotu nad Europą.

G550 wylądował o dziewiątej rano i cała trójka z Kampusu przesiadła się do czarnego mercedesa klasy E, którego załatwiła Sherman. Czekał na nich w hangarze, gdzie miał się zatrzymać samolot. Zapakowali bagaże i ruszyli w porannym ruchu do trzeciej dzielnicy Pragi.

Ryan przekazał pozostałym członkom zespołu podstawowe informacje o Skáli, które zbierał przez cały poprzedni dzień, chociaż nie był w stanie dowiedzieć się wszystkiego. Ponieważ Skála zaczęła pracować w dwóch różnych biurach mieszczących się w innych częściach miasta, Ryan postanowił też nie komplikować operacji i nie inwigilować mężczyzny w pracy. W najlepszym wypadku mieliby tylko pięćdziesiąt procent szans. Zamiast tego mieli obserwować go w domu, śledzić, gdy wyjdzie z mieszkania, i przed rozpoczęciem działań poświęcić kilka dni na obserwację jego zwyczajów oraz

miejsc, do których często chodzi – chyba że wcześniej pojawiłaby się jakaś sprzyjająca sytuacja.

Celem było sprawdzenie, czy na jakimkolwiek urządzeniu elektronicznym, które nosił przy sobie, znajduje się coś, co mogłoby wskazać im, kto zabił byłego amerykańskiego agenta CIA. Jack kombinował więc, jak podwędzić Skáli komórkę podczas jego codziennej drogi do pracy. Ostatnio razem z Dominikiem szkolili się w Las Vegas w sztuce kradzieży kieszonkowej i byli przekonani, że w dostatecznym stopniu opanowali tę umiejętność, aby móc odebrać Skáli komórkę, gdy ten będzie sterczał w tłoku w wagonie metra albo czekał na czerwonym świetle przy przejściu dla pieszych. Jeżeliby się to powiodło, uniknęliby uciekania się do bardziej drastycznych metod.

Oznaczałoby to, że mogła się zdarzyć sytuacja, że musieliby zastosować takie metody; Ryan nie odrzucał takiej możliwości, że będą musieli w tej akcji działać otwarcie – albo ujawnić się przed Skálą i nakłonić go do współpracy, albo po prostu siłą zabrać mu telefon.

Nie planowali jednak włamywać się do jego mieszkania, ponieważ Ryan uważał, że Skála nie zostawi ani laptopa, ani telefonu komórkowego, wychodząc z domu. Na razie mieli więc nie spuszczać celu z oczu i szukać okazji, aby się do niego zbliżyć i dokonać kradzieży.

Agenci Kampusu, działając w terenie, w większości przypadków nie nosili ze sobą broni palnej, ale po tym, co stało się w Wietnamie, Clark zdecydował, aby Dom i Jack mieli jednak ze sobą pistolety w czasie operacji w Czechach.

Dostanie się za granicę z bronią nie było proste – w większości państw mieliby ogromny problem, gdyby nie lecieli własnym odrzutowcem. Ale nawet kiedy mieli do dyspozycji gulfstreama, musieli dobrze ukryć broń przed urzędem celnym i imigracyjnym, które przeszukiwały samolot po wylądowaniu. Nie było to trudne – w gulfstreamie znajdowały się specjalne skrytki za panelami ściennymi w kokpicie i kabinie. Po skończonej rewizji Jack i Dom po prostu wyjęli broń ze skrytek i ukryli na sobie.

Teraz obaj mężczyźni nosili subkompaktowe dziewięćmilimetrowe pistolety Smith & Wesson M&P Shield, w kaburach ukrytych w spodniach. Kabury były firmy o pomysłowej nazwie Thunderwear, jako że mieściły się tuż nad kroczem.

Jeszcze w Stanach Clark zorganizował im wielogodzinne szkolenie z używania thunderwearów z niewielkimi pistoletami. Dom i Jack ćwiczyli setki razy wyjmowanie i chowanie broni do kabury w spodniach. Dom mógł jej dobyć i wycelować w odległy o siedem jardów cel w ciągu 0,85 sekundy. Ryanowi udawało się to w ciągu jednej. Nawet wyciągając broń z tak głębokiego ukrycia, mieli czas lepszy od większości policjantów, którzy sięgali po nią do kabury przy pasku.

Gavin w przeciwieństwie do młodszych kolegów nie dostał pistoletu, co trochę go niepokoiło. Jako nagrodę pocieszenia Caruso dał mu jednak na tę akcję mniej śmiertelniejszą broń do samoobrony. Była to zapasowa bateria do iPhone'a, zdecydowanie pojemniejsza i silniejsza od przeciętnych baterii, których używał Gavin, ale gdy Dom pokazał mu, jak to działa, Biery przekonał się, że nie był to zwykły sprzęt. Po odsłonięciu gumowej nasadki z boku aparatu i naciśnięciu czerwonego guzika aparat zmieniał się w paralizator o sile 7,8 miliona voltów.

Pojemność baterii umożliwiała jeden trzysekundowy wstrząs paralizujący, ale Dom, dając paralizator Gavinowi, wyjaśnił, że jego siła i skuteczność są w filmach zdecydowanie przesadzone. Jednak w pewnych sytuacjach stanowił on jedyną możliwość obrony dla kogoś, kto nie dysponował inną bronią i nie był wyszkolony w walce wręcz.

Ryanowi i Carusowi Dział Technologii i Zaopatrzenia Kampusu zaoferował podobne wyposażenie, ale odmówili. Obaj uważali, że lepsze rezultaty mogą osiągnąć, waląc przeciwnika prosto w nos, niż używając paralizatora, a poza tym byli wyszkoleni w sztukach walki.

Skála sam zajmował dwupokojowe mieszkanie na czwartym piętrze przy ulicy Křišťanovej, kilka bloków na zachód od Cmentarza Olszańského. Ryan obserwował ten dom, korzystając z poleconego przez oddział Kampusu w Luksemburgu budynku przy ulicy Baranovej, w którym na trzy miesiące wynajęto na piątym piętrze biura po zamkniętym domu towarowym. Z pomieszczeń z południowej strony mogli obserwować wejście do bloku Skáli i znajdujący się obok parking, ale nie było stamtąd widać okien jego mieszkania. W tym celu musieliby wyjść na dach i tym samym znaleźć się na widoku, więc zamiast tego ulokowali tam kamerę bezprzewodową i laserowy mikrofon dalekiego zasięgu, umieszczone w ochronnych gumowych pojemnikach z otworami, aby kamera mogła „widzieć” okna przez ulicę. Obraz i dźwięk z tych urządzeń odbierały komputery Biery’ego, co umożliwiało agentom czuwającym na dole ciągłą obserwację mieszkania ich celu.

Za sześciostopową osłoną z desek w rogu biura grupa zorganizowała sobie pozycję do śledzenia celu. Gdy urządzili swój punkt obserwacyjny, wyjęli lornetkę i zamontowali ją na trójnogu, po czym skierowali na wejście do budynku Skáli i parking. W tym też kierunku ustawiono drugi mikrofon laserowy dalekiego zasięgu z otwartego okna. Rozwiesili też pościel przy szybach, aby nikt z zewnątrz nie widział ich ruchów.

Rozłożyli także dwa śpiwory, ulokowali gumowe odbojniki do drzwi u wejścia do biura, aby się same nie zamykały, i sprawdzili zasuwę. Potem przymocowali dwa duże zdjęcia Karela Skáli do zasłony na oknie przy lornetce, aby w każdej chwili mogli porównać twarz.

Gavin położył na biurku jeden ze swoich laptopów, drugi zostawił natomiast w plecaku przy drzwiach. Jack stwierdził bowiem, że gdyby śledzili Skále na ulicy lub w praskim metrze i udałoby im się skraść jego komórkę, lepiej, żeby Gavin był w pobliżu, aby błyskawicznie przenieść z niej wszystkie dane. Według idealnego scenariusza – na który wszyscy liczyli – mieli potem wsunąć komórkę z powrotem do kieszeni Skáli, który nie domyśliłby się absolutnie niczego.

Jack powiedział jednak Gavinowi, że musi przygotować się na wszystko, ponieważ większość idealnych scenariuszy nie sprawdza się nigdy. Doskonale wiedział, że gdzie tylko można, musi przewidzieć odstępstwa od pierwotnego planu.

O trzeciej po południu Jack, Dom i Gavin zajęli swoje pozycje. Laserowy mikrofon nie zarejestrował niczego z mieszkania Skáli, zatem podejrzewali, że lokatora tam jeszcze nie ma. Nie było to zaskakujące. Założyli, że może wrócić z pracy po piątej, więc siedzieli i czekali.

W tym czasie Gavin zajął się przeszukiwaniem „Mapy Świata” na komputerze, wykorzystując podstawowe dane dotyczące Skáli, aby dostać się do informacji w jego umowie najmu i dokumentach dotyczących mieszkania. Przeglądając to wszystko, dowiedział się też, że ich cel miał białego volkswagena golfa. W zapisach dotyczących wynajmu mieszkania było także wymienione prawo jazdy, ale Gavinowi nie udało się dowiedzieć, czy Skála wykupił miejsce na parkingu budynku przy ulicy Křišťanovej.

Caruso spojrział przez lornetkę na trójnogu, szukając odpowiadającego opisowi auta na przylegającym do bloku parkingu. Szybko dostrzegł białego golfa i chociaż nie mógł odczytać

numeru rejestracyjnego, stwierdził, że to może być pojazd należący do ich celu. To dziwne, pomyślał. Przecież był normalny dzień pracy, więc założyli, że Skála jest teraz u siebie w biurze.

– Pewnie pojechał do pracy metrem – stwierdził Caruso.

Była to wygodna teoria, jednak o siódmej wieczorem, gdy nadal nie widzieli nikogo podobnego do Skáli wchodzącego lub wychodzącego z budynku, zaczęli mieć wątpliwości.

Kiedy nadeszła północ i nadal nie widzieli choćby śladu swojego celu ani nie słyszeli odgłosów dochodzących z mieszkania, ich obawy wzrosły.

Zacząli rozważać inne możliwości. Mogli nadal prowadzić obserwację, ale już dawno odrzucili wariant, że obiekt ich zainteresowania został w pracy do późna. Skála nie był jednak żonaty, zaczęli się więc zastanawiać, czy może nie zagościł na noc u jakiejś kobiety.

Albo u przyjaciela; Ryan nie znał dobrze obiektu ich zainteresowań, aby móc z pewnością przyjąć jakieś założenia o jego życiu prywatnym.

Drużyna spała na zmiany – jedna osoba czuwała, dwie spały dwie godziny, po czym następowała zmiana; i tak przez całą noc.

O dziewiątej rano nadal nie było widać Skáli, więc postanowili czekać przez kolejny dzień na następną okazję, aby zobaczyć człowieka, dla którego przylecieli tu przez pół świata.

Taka ciągła obserwacja była dziś trudniejsza dla Gavina niż wtedy, gdy był młodszy. Dom miał ponad dziesięć lat doświadczenia w operacjach śledczych, zarówno w FBI, jak i później w Kampusie. Przyzwyczyił się do nudy, wyczerpującej koncentracji w czasie pracy, niewielkich ilości snu oraz braku dobrego jedzenia. W pełni kontrolował wszystkie działania.

Ryan spędził znacznie mniej czasu na tych tak żmudnych operacjach, ale przez kilka ostatnich lat coraz częściej zdarzało mu się siedzieć godzinami na obserwacji w zaparkowanych samochodach. Albo tkwić całymi dniami w ciasnych, ciemnych pomieszczeniach oraz jeść fast foody w towarzystwie cuchnących potem kolegów z oddziału.

Niezbyt lubił ten zastój w działaniach – kochał jednak dreszcz emocji towarzyszący pościgowi i sukcesowi wieńczącemu misję, a to sprawiało, że nudna obserwacja jednak się opłacała.

Gavin miał za sobą dekady doświadczeń z kiepskim jedzeniem, bezsennymi nocami, ale to dlatego, że prowadził siedzący tryb życia jako specjalista od IT. Jednak teraz nieustannie znajdował się pod presją z powodu braku wiedzy, co będzie musiał zrobić w następnej minucie. Z powodu sypiania na twardych podłogach pod cienkimi kocami jego pięćdziesięciosześcioletni kręgosłup i kark zaczęły protestować.

Kiedy Skála nie wrócił do siebie przez następne dwadzieścia cztery godziny, stwierdzili, że ich plan, aby śledzić go po drodze od jego domu, nie będzie działał.

Ten sukinsyn znajdował się zapewne poza miastem.

Od samego początku obserwacji Jack i Dom rozważali krótki wypad do budynku, w którym mieściło się mieszkanie Skáli. Nie chcieli się tam włamywać, tylko „zajrzeć” do skrzynki pocztowej, która – jak dowiedzieli się, wykorzystując „Mapę Świata” – znajdowała się w lobby. Z początku nie podjęli jednak takiej decyzji; nikt z nich nawet przez sekundę nie pomyślał, że w tej skrzynce może się znaleźć jakiś list dotyczący sprawy Hazeltona, więc nie spodziewali się tam niczego wartego uwagi. Poza tym podczas tej akcji mogłoby się wydarzyć coś nieprzewidzianego, przez przypadek

zrobiliby jakiś hałas, pojawiłby się ciekawski sąsiad i zapamiętałby faceta w lobby, który nie należał do lokatorów budynku, a wtedy cała akcja ległaby w gruzach. Zarówno Jack, jak i Dom, mieli już doświadczenia z przypadkami działania prawa Murphy'ego – że kiedy nie może się nic wydarzyć, to z pewnością się wydarzy – gdy ktoś w niewłaściwym czasie wtrącał się do akcji, wobec tego postanowili zostawić skrzynkę pocztową w spokoju.

Teraz jednak mieli jeden problem do rozwiązania – gdzie, u diabła, podział się Skála. Zajrzenie do skrzynki mogło więc dać im odpowiedź na pytanie, czy ktoś w ogóle odbiera jego pocztę, a to byłby jakiś element prowadzący do rozwiązania całej zagadki.

Dom został wyznaczony do sprawdzenia skrzynki Skáli. Podczas gdy pozostała dwójka była wprawiona w kradzieżach kieszonkowych, on znał się na zamkach. Stanowczo najlepiej.

Mały cylindryczny zamek skrzynki pocztowej nie stanowił dla niego żadnej przeszkody.

O pierwszej po południu wszedł do budynku, przytrzymując drzwi dwóm dostawcom wnoszącym drewniany antyczny stół, a potem po prostu idąc z nimi. Gdy mężczyźni zniknęli w windzie, został w małym, nijakim lobby sam z dwoma innymi osobami. Zachowywał się jednak jak mieszkaniec, więc nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Podszedł prosto do skrzynki Skáli, gdzie nad zamkiem widniało jego nazwisko, zapisane odręcznie, i otworzył zamek, co zabrało mu dwanaście sekund. Gdy skrzynka otworzyła się, natychmiast zatrzasnął ją i zamknął, nie wyjmując niczego ze środka.

Dziesięć minut później przeszedł przez ulicę i wrócił do biura na piątym piętrze.

– Co tam znalazłeś? – zapytał Ryan.

– Była pełna... wprost nabita. Nie zaglądał do niej co najmniej od kilku dni.

– Cholera – rzucił Jack. – Zatem straciliśmy masę czasu.

– Niekoniecznie – sprzeciwił się Caruso. – Z „Mapą Świata” wiemy, gdzie znajdują się kamery, poza tym lobby jest puste. Może sami popchniemy trochę bieg zdarzeń?

– Chcesz tam iść i zerknąć do środka? – domyślił się Jack.

Dom skinął głową.

– Teraz, zanim ludzie zaczną wracać z pracy.

Gavin milczał; nie był tu jednak w swoim żywiole, ciekawiła go wszakże jedna rzecz, więc w końcu zapytał:

– Czemu nie chcecie tego robić w nocy?

– W nocy? – odparł Caruso. – Wtedy wszyscy są w domu, panuje cisza i słychać najlżejszy hałas. Ludzie nas zobaczą i będą się dziwić, co tu robimy, inaczej niż gdy wejdziemy teraz i będziemy się zachowywać jak mieszkańcy. Nikt nie zwróci na nas uwagi.

Gavin skinął głową ze zrozumieniem.

– Jeżeli chcesz, mogę unieszkodliwić kamery ochrony – odparł.

Ryan przechylił głowę.

– Naprawdę? Jak możesz to zrobić?

– Ten budynek mieszkalny jest obsługiwany przez największe biuro ochroniarskie w Europie. Kilka lat temu w Paryżu weszliśmy do ich serwerów. Teraz też mogę do nich wejść i wyłączyć kamery albo odwrócić je tak, aby nie widziały cię, gdy wchodzisz.

– To brzmi świetnie – stwierdził z uznaniem Ryan. – Wyłącz je też, gdy będziemy w środku. Gavin otworzył swojego laptopa i zaczął stukać w klawisze. Po chwili podniósł wzrok.

– A co ze mną? Mam siedzieć bezczynnie? Chcesz mnie tu zostawić samego?

Dom przewrócił oczami, ale Jack powiedział:

– Będziesz potrzebny tutaj, Gav. Monitoruj wejście do budynku i daj nam znać, jeżeli Skála nagle się zjawi, gdy będziemy u niego.

– I co zrobisz, jeśli wróci?

– Będziemy improwizowali – odparł Ryan.

Z wyrazu twarzy Gavina wyraźnie wynikało, że to mu się nie podoba, ale podniósł laptopa ze stołu i przysunął krzesło do trójnogu z lornetką. Teraz, w tym miejscu z komputerem na kolanach, mógł obserwować obrazy z kamery na dachu, a także patrzeć przez lornetkę. Słyszał też to, co rejestrowały oba mikrofony laserowe i jednocześnie miał połączenie z Jackiem i Dominikiem, aby odbierać od nich wiadomości.

Dwaj mężczyźni założyli więc czapki i ciemne okulary, po czym ruszyli do drzwi. Jeszcze przed wyjściem Jack odwrócił się do Gavina.

– Daj mi znać, jeżeli zauważysz coś niezwykłego – rzucił.

– Jasne – odparł Biery z takim napięciem w głosie, jakby sam brał udział we włamaniu do mieszkania Skáli.

Tego ranka Annette Brawley zjawiła się wcześniej w pracy. Zostawiła na stole w kuchni przy pudełku cheerios kartkę z przeprosinami dla córki, obok postawiła miskę i położyła łyżkę. Zdążyła jeszcze uciąć jedną gerberę z donicy na tarasie i zostawić ją w małym wazoniku obok pozostałych rzeczy.

Nie miała wątpliwości, że Stephanie zignoruje kwiat, a liścik zgniecie i wrzuci do śmieci. Zapewne zrobiłaby to niezależnie od sytuacji, ale Annette spodziewała się, że główny powód jej gniewu tego ranka będzie leżał w tym, że zostawiła budzik u stóp schodów do jej pokoju z założeniem, że gdy włączy się alarm, córka wstanie i zbiegnie na dół, żeby go wyłączyć.

Nie było to niezawodną metodą, aby zerwać córkę z łóżka do szkoły, nie zastępowało osobistej interwencji, ale Annette musiała być tego dnia wcześniej w biurze, aby zobaczyć, co zmieniło się w zdjęciach satelitarnych, więc nie miała innego wyjścia.

O siódmej rano była w pracy już od godziny. Obrała sobie za cel ustalenie, kim są pracownicy zakładów przetwarzania minerałów ziem rzadkich zbudowanych na północ od kopalni. Była to trudna praca – dane dostarczone przez satelitę KH-12 znajdującego się na orbicie nad Koreą Północną były co prawda imponująco dokładane i mogła z nich uzyskać nawet czytelny wizerunek tablicy rejestracyjnej pojazdu, chociaż niezwykle rzadko zdarzało się, aby w obserwowanym miejscu były takie warunki, by mogła to zobaczyć. Ustalenie tożsamości grupy około stu pięćdziesięciu osób nie było więc łatwym zadaniem.

Miała do przeanalizowania kilka możliwości. Pierwsza to przyjąć, że robotnicy nie pochodzili z Korei Północnej. Wokół tymczasowych budynków mieszkalnych przy hotelu w Chŏngju najwyraźniej zainstalowano dodatkowe środki bezpieczeństwa. Oczywiście w Korei stosowano też typowo orwellowskie metody represji w stosunku do obywateli kraju, ale w tym wypadku teren bardziej przypominał obóz wojskowy w obrębie miasta. Annette uznała zatem, że gdyby to byli miejscowi robotnicy, nie musiałoby ich pilnować aż tylu uzbrojonych strażników.

Nie, to musieli być obcokrajowcy, pomyślała. Tylko skąd?

Nie mogła zidentyfikować, czy ludzie stojący przy przyczepach byli rasy białej, czy czarnej. Przypominali Azjatów, ale nie potrafiła stwierdzić, czy byli strażnikami z Korei Północnej, czy robotnikami z innego azjatyckiego kraju. Oczywiście jeżeli byli to robotnicy, to w pierwszej kolejności na myśl nasuwałyby się Chiny, gdyby rok wcześniej Korea Północna nie wyrzuciła Chińczyków z kraju.

Kontynuowała więc polowanie, oglądając na swoich trzech monitorach każdy kubeł na śmieci, każdy pojazd i każdy strój w takim przybliżeniu, jak to tylko było możliwe.

O ósmej rano doszła do wniosku, że już coś ma, a piętnaście minut później poczuła taką ekscytację, jakby przeszedł przez nią jakiś wstrząs elektryczny. Kiedy o ósmej trzydzięci w pracy zjawił się pułkownik Peters, spotkał Annette Brawley przy drzwiach do swojego gabinetu, stojącą z dwoma kubkami parującej kawy w rękach.

W odpowiedzi posłał jej zdawkowy uśmiech.

– Dzień dobry, Brawley. Dasz mi trochę czasu, żebym się ogarnął, zanim zalejesz mnie obrazkami w PowerPointcie?

– Ależ bardzo proszę, proszę pana, to tylko kilka minut – odparła jak uczennica w szkole. Westchnął.

– Czy to coś robi wrażenie?

– Wręcz powalające.

– Więc wchodzi – rzucił, otworzył drzwi i wpuścił Brawley.

Peters chciał właśnie położyć teczkę na biurku, gdy Annette Brawley postawiła przed nim kubek z kawą i przysunęła do siebie jego komputer, po czym zaczęła otwierać PowerPointa na serwerze wydziału, aby wyświetlić obrazy na ekranie ściennym. Robiąc to, mówiła:

– Wiem, kto pracuje w koreańskiej przetwórni minerałów ziem rzadkich. – Otworzyła zdjęcie satelitarne tymczasowych budynków mieszkalnych w Chöngju. Zrobiła zbliżenie kilku posterunków wartowników i zaznaczyła je czerwonymi kółkami. – Widzimy tu strażników zwróconych na zewnątrz i do wewnątrz, co wygląda tak, jakby obserwowali nie tylko pracowników kopalni, ale także obustronnego zabezpieczenia. Nie chcą, żeby mieszkańcy stykali się z robotnikami. Właśnie na tej podstawie można wyciągnąć wniosek, że zatrudnieni w przetwórni nie należą do miejscowych.

– Kupuję to – powiedział Peters.

Zmieniła obraz. Teraz na ekranie pojawiło się coś w rodzaju kuchni opalanej drewnem. Obok znajdowały się kobiety noszące garnki.

– A tu mamy kantynę dla tych pracowników. Ogniska z rusztami umieszczone na otwartym powietrzu pod wiatami. Obok zbiorniki z wodą.

– Widzę – rzucił Peters. – Brak lodówek. Brud.

– Tak. W każdym razie w naszym pojęciu. Większość mieszkańców Trzeciego Świata nie trzyma mięsa w lodówkach. Ilekroć mówię o tym mojej córce, dostaje torsji. Choć niektóre potrawy, które ona sama je, u mnie wywołują mdłości.

Następny czerwony okrąg pojawił się wokół kwadratowego obiektu przy ognisku.

– Co to jest? – zapytał Peters. – Kurniki?

– Nie – zaprzeczyła i kliknęła, żeby powiększyć.

Peters pochylił się. Wyraźnie widział, że są to klatki. Każda miała dwie stopy kwadratowe. Pułkownik spróbował zajrzeć do środka i po kilku sekundach zapytał:

– Chwila. Tam są... psy?

– Tak – odparła Brawley. – Dwadzieścia klatek, dwadzieścia psów. To zdjęcie sprzed dwudziestu czterech godzin. – Kliknęła myszką i pojawił się następny obraz. Ten sam teren. – A tu kantyna i ogniska sześć i pół godziny później.

– Ubyło osiem klatek – stwierdził Peters.

– Domyślam się, że robotnicy zjedli te zwierzęta na kolację.

– Więc są Koreańczykami? Oni chyba jedzą psy, prawda?

– Tak, jedzą. Ale robią to też inni Azjaci. Wietnamczycy, Indonezyjczycy, Tajwańczycy, no i Chińczycy.

– Cóż, wiemy, że nie mogą pochodzić z Chin.

– Niezupełnie. Wiemy, że nie mogą pochodzić z żadnego innego kraju niż z Chin. Tylko Chińczycy mają doświadczenie w obróbce minerałów ziem rzadkich. Żadne inne państwo w tym przemyśle nie ma takiego doświadczenia.

Peters przekrzywił głowę.

– Ale... Chińczycy zostali stamtąd wyrzuceni.

Brawley uśmiechnęła się szeroko.

– Państwowe przedsiębiorstwa wydobywcze rud metali, Chinalco i Minmetals, zostały stamtąd usunięte, ale ustaliłam, że ci robotnicy to nielegalni chińscy górnicy, pracujący w kopalniach na gangsterskich zasadach.

– Nielegalni górnicy?

– Tak. Istnieją tam nielegalne towarzystwa górnicze. Działają w całym kraju.

– Skąd wiesz?

Otworzyła następny obraz.

– To jest kopalnia minerałów ziem rzadkich w Mongolii. I właśnie tę kopalnię eksploatują gangsterzy z nielegalnej ekipy z Szanghaju. To zdjęcie z sierpnia. – Kopalnia na ekranie była pełna ludzi. Wszędzie znajdowały się auta osobowe i ciężarowe, a także sprzęt do pracy przy wydobywaniu rudy. – Ta kopalnia przez wiele lat miała zaniżone wydobywanie, jednak nie zamknęła jej, wydobywając tyle, ile tylko mogli. Trzystu pięćdziesięciu robotników czy coś koło tego, patrząc po budynkach.

Wyświetliła następne zdjęcie, potem następne i następne. Wszystkie pokazywały tę samą kopalnię i sąsiednie budowle. Różniły się tylko daty w lewym górnym rogu: październik, grudzień, luty.

Otworzyła kolejne zdjęcie. Kwiecień. Peters przyglądał się mu przez chwilę, po czym powiedział:

– Cholera.

– Gdzie wszyscy mogli pójść, szefie? – Annette uśmiechnęła się.

– Do Korei Północnej? Do Chōngju?

– Właśnie – odparła. – Nielegalni górnicy zostali w tajemnicy legalnie zatrudnieni przez państwowy przemysł wydobywczy Korei Północnej, ponieważ nie mając wystarczającej wiedzy i doświadczenia, nie mogli działać w kopalni samodzielnie. To samo dotyczy procesu przetwórczego. Jedyne wyjątkiem w tym procederze stanowią Chińczycy, którzy w tym zakresie posiadają pewne doświadczenie. Nielegalni górnicy z Chin nie przerabiali wydobytej przez siebie rudy.

Peters wstał zza biurka. Nawet nie tknął kawy.

– Musimy to przedstawić na czwartym piętrze, nawet jeżeli jest jeszcze za wcześnie na opowiadanie dyrektor o zjedaniu psiego mięsa. Powinniśmy o tym donieść jak najszybciej.

– My? – zapytała. – Ja teraz wyglądam okropnie.

– Po prostu jesteś zmęczona, Brawley. Musisz się wyłączyć, za dużo zapieprzasz. To ci dobrze zrobi. Pomijam, że sam muszę się też trochę wyłączyć, ale ty utrzymujesz formę, zatem teraz, gdy tam pójdziemy, według mnie nie będziesz wyglądała tak źle – rzekł ze śmiechem.

– Nie, nie musisz, szefie.

Włamanie do mieszkania Karela Skáli w budynku przy ulicy Křišťanovej w Pradze odbyło się o drugiej po południu.

Poszło gładko. W chwili gdy Ryan i Caruso wchodzili na stopnie wejściowe, otworzyły się drzwi, z budynku wyszedł starszy mężczyzna i chwycił je, zanim zdążył je zamknąć za sobą. W środku szli przy ścianie, aby niezauważenie dostać się do klatki schodowej.

O tej porze było tam pusto, więc bez przeszkód weszli na czwarte piętro i podeszli do drzwi mieszkania Karela Skáli. Ryan zapukał, a w tym czasie Dom obejrzał dokładnie zamek.

Po trzykrotnym pukaniu, Ryan skinął głową Domowi i zrobił mu miejsce. Caruso ukląkł i zaczął pracować przy zamku, natomiast Ryan obserwował korytarz, równocześnie nie spuszczać oka z klatki schodowej. Obok niej znajdowała się winda, ale Jack wiedział, że na długo przed otwarciem jej drzwi będzie słyszał każdego, kto wjeżdżałby na ich piętro. Jednak nie tego obawiali się najbardziej. Nagłe pojawienie się jakiegoś sąsiada wychodzącego z pięciu mieszkań na tym piętrze albo z klatki schodowej na końcu korytarza mogło skutecznie pokrzyżować im plany.

Agenci pracowali w milczeniu. Ryan chciał co prawda powiedzieć kuzynowi, żeby się, do cholery, pospieszył, jednak wiedział, że byłoby to bezcelowe. Dom i tak rozprawi się z drzwiami szybciej od niego, więc zmusił się do cierpliwości.

W końcu usłyszał szcęknięcie – zamek puścił – i wszedł za kuzynem do mieszkania. Mały, ciemny, pozbawiony wyrazu przedpokój. Dalej równie ciemny hol długości około dwudziestu stóp. W jego połowie, po prawej, znajdował się łuk prowadzący do kolejnego pomieszczenia, jak się zorientowali, do elegancko urządzonego salonu. W całym mieszkaniu nie paliło się żadne światło, więc Jack włączył lampę przy sofie, żeby mogli się dobrze rozejrzeć. Stwierdzili, że wszystko jest tu porządnie poukładane, panuje niemal wzorowy porządek.

Wciągali w nozdrza powietrze, aby stwierdzić po zapachu, czy ktoś przebywał w mieszkaniu, ale niczego szczególnego nie wyczuli. Rozdzielili się i szybko sprawdzili, że mieszkanie było puste, wrócili więc do salonu.

– Gabinet na tyłach – powiedział cicho Dom. – Nie ma w nim komputera. Sypialnia gościnną też pusta.

– Tu po prawej znajduje się sypialnia Skáli. Mnóstwo bezładnie porzucanych rzeczy, więc przeszukanie tego pokoju może zająć dużo czasu. Musimy jednak trochę powęszyć. Ty zacznij od gabinetu. Ja zajmę się sypialnią – rzucił, po czym połączył się z Gavinem. – Gavin, wszystko okej?

Biery odpowiedział ze swego miejsca obserwacyjnego:

– Na zewnątrz wszystko w porządku.

Jack wrócił więc do sypialni pana domu i zaczął szukać czegoś interesującego, ale nie trwało to długo. Wglądało na to, że Skála żył życiem wyedukowanego Europejczyka w wieku około trzydziestu lat. Na całym łóżku leżały porzucane bezładnie części ubrania, książki i magazyny, na ścianie wisały jakieś tanie obrazki. Poza tym facet wyraźnie lubił grać w squasha – rakiety i inny

sprzęt do gry leżały na półce, znalazł też fotografię Skáli pozującego na boisku z pucharem, obok drugiej, mniejszej.

Jack wszedł do łazienki przy sypialni i przejrzał lekarstwa w szafce. Odnotował, że mężczyzna trzymał w niej coś, co okazało się receptą na lek zapobiegający łysieniu, oraz dużą butlę leku na żołądek.

Po drugiej stronie mieszkania Dom przeczesywał gabinet. Nie znał w ogóle czeskiego, więc nie był w stanie stwierdzić, czy na małym biurku Skáli leży coś interesującego, ale nic nie wyglądało na takie. Zaczął więc szperać w środku. Wyciągał szuflady, szukając skrytek i przegródek, badał od spodu blat, następnie przejrzał półki z książkami. Kiedy w gabinecie niczego nie znalazł, przeniósł się do pokoju gościnnego, gdzie zajrzał pod łóżko. Następnym etapem była łazienka.

W sypialni Skáli Jack otworzył szafę i zobaczył, że mężczyzna trzymał po jednej stronie ubrania, ułożone w nienagannym porządku, a w tylnej części szafy ciasno zbity rząd płaszczy zimowych. Szukając jakiejś skrytki albo drzwi, usłyszał, jak Dom woła z kuchni:

– Możemy założyć tu podszuch, jednak przed wyjazdem będziemy musieli go zdjąć!

Jack pomacał deskę w tylnej części szafy. Po chwili rzucił kilka płaszczy na podłogę, odsłaniając fragment ruchomej ściany, szerokiej na półtorej stopy i wysokiej na kilka stóp. Oparł się o nią, aby ją przesunąć.

– Hej, kuzynie! Chyba coś mam...

Gdy odsłonił otwór w ścianie, zobaczył klęczącego bladego mężczyznę w bieliźnie. Miał czerwone, szeroko otwarte oczy i trzymał w rękach duży, metalowy przedmiot.

– Co, u diabła... – Jack odskoczył zdumiony. Na szczęście, bo nieznajomy wyskoczył gwałtownie z ukrycia.

Jack przetoczył się przez łóżko, padając u stóp regału z ekwipunkiem do squasha. Napastnik nie zrezygnował, skoczył za nim, uniósł wysoko swoją broń i zamachnął się. Była to duża mosiężna lampa, trzymał ją w rękach jak miecz obusieczny.

– Czekaj! – wrzasnął Jack, ale mężczyzna znowu się zamachnął, przeskakując łóżko. Ryan odsunął się, czując na twarzy powiew przecinanego ruchem lampy powietrza.

Wtedy usłyszał, jak kuzyn krzyczy z kuchni:

– Jack?!

Nie miał czasu odpowiedzieć. Odskakując do tyłu, potknął się o kant komody, gdy goniący go mężczyzna zaczął się niebezpiecznie zbliżać z ciężkim przedmiotem. Znowu zaatakował, lecz i tym razem Jackowi udało się uniknąć kontaktu z lampą i wyskoczyć z sypialni do holu.

Pobiegł w lewo i znowu krzyknął do atakującego, ale tym razem zawołał go po nazwisku:

– Skála, zaczekaj!

Dom Caruso wpadł do holu z kuchni z pistoletem wyciągniętym z kabury Thunderwear. Skála zamachnął się lampą, zanim pistolet zdążył wypalić, i wielki przedmiot z brzękiem uderzył w stalowo-poliuretanową broń, wytrącając ją z ręki Carusa.

Dom uchylił się, aby uniknąć drugiego ciosu, i natychmiast zaatakował Skále, wytrącając mu broń z ręki, a jego odrzucając na ścianę holu. Mosiężna lampa z łoskotem upadła na posadzkę, Dom tymczasem znowu pchnął mężczyznę, którego głowa uderzyła o ścianę i Skála oszołomiony osunął się na posadzkę. Dom stanął nad nim z zaciśniętymi pięściami, gotów prawym sierpowym złamać

mu szczękę.

– Nie! – krzyknął Jack. – Nie rób mu krzywdy. To Skála.

Dom przyjrzał się twarzy leżącego, rozluźnił pięści i odwrócił się, żeby podnieść pistolet. Jack w tym czasie wstał i spojrział na oszołomionego mężczyznę w bieliźnie.

– Mówisz po angielsku?

Czech miał tylko dwadzieścia osiem lat, ale jego blond włosy były już bardzo przerzedzone. Poza tym miał zaczerwienione oczy, cuchnął potem i moczem. Jack w pierwszej chwili stwierdził, że jest narkomanem.

Skála wolno skinął głową.

– Tak.

– Co, do cholery, robiłeś tam w szafie? – spytał Jack.

Skála kilka razy zakaszał. Wydawało się, że jego gardło jest zupełnie wyschnięte.

– Ukryłem się przed wami, sukinsyny.

– Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

To pytanie wprawilo go wyraźnie w zakłopotanie. Przetarł oczy.

– Wy... nie jesteście z Korei Północnej?

Caruso, chowając pistolet do kabury, klął ze złości, że dał sobie wytrącić z ręki broń przez człowieka mniej od niego wyszkolonego.

– Czy my, kurwa, wyglądamy na Koreańczyków? – warknął.

– Jesteśmy Amerykanami – wtrącił Jack.

– Tak? – odparł Skála. – Ostatni Amerykanin, z którym rozmawiałem, pracował dla Korei Północnej.

Hazelton, pomyślał Jack, ale powiedział tylko:

– Nie pracujemy dla Korei Północnej. A mają coś przeciwko tobie?

Skála tylko skinął głową. Ciągle był oszołomiony i najzwyczajniej przestraszony.

– Przejdźmy do salonu, usiądźmy i porozmawiajmy. Na zewnątrz mamy swojego człowieka, jesteśmy z nim w ciągłym kontakcie. Da nam znać, jeżeli pojawi się ktoś obcy.

Wydawało się, że to trochę odprężyło Skále.

– Bardzo chciałbym się napić piwa – powiedział.

Podczas gdy Dom wyszedł do kuchni, aby przynieść Skáli piwo z lodówki, Jack udał się do sypialni, żeby obejrzeć dokładnie wnękę w tylnej ścianie szafy. Była szeroka na dwie stopy i wysoka na pięć, tylko na półtorej głęboka. Mniejsza od trumny, ale z pewnością tak samo ciemna.

Koreańczycy do tego stopnia przestraszyli tego faceta, że praktycznie pogrzebał się żywcem we własnym mieszkaniu, pomyślał Ryan i wzdrygnął się.

W środku skrytki znalazł telefon komórkowy Skáli i jego laptop, były tam też ładowarki do obu urządzeń. Jack zabrał wszystko do salonu. Skála poszedł do łazienki, ale Dom zostawił otwarte drzwi, żeby mieć pewność, że mężczyzna nie będzie chciał uciec przez małe okienko pod sufitem.

Jednak Skála po skorzystaniu z toalety wrócił do nich i usiadł na kanapie stojącej na wprost łukowatego przejścia do holu. Dom podał mu piwo i usiadł obok. Jack zajął miejsce na krześle po lewej stronie Skáli.

– Przed kim się tam ukryłeś?

Nie odpowiedział.

– Kim wy jesteście? – zapytał.

– Na lotnisku spotkał się z tobą nasz przyjaciel. I to on chciał, żebyśmy się z tobą zobaczyli.

– Jaki przyjaciel?

– Colin Hazelton.

Skála w ogóle nie zareagował na to nazwisko.

– Masywnie zbudowany Amerykanin, około sześćdziesięciu lat.

– Tak – odparł Skála, kiwając głową. – Ale... jeżeli jesteście jego przyjaciółmi, to pracujecie dla...

– Już mówiliśmy, że nie pracujemy dla nikogo – przerwał mu Dom. – Ktoś zamordował Hazeltona.

Uważamy, że zrobili to Koreańczycy. Jesteśmy tu po to, żeby ustalić przyczyny.

– Zabili go... – powtórzył cicho Skála. Nie wydawał się zaskoczony, ale te słowa wywarły na nim wrażenie. Sięgnął po trzecią butelkę piwa. Najwyraźniej był bardziej przerażony niż przemęczony. Jego ręce mocno się trzęsły.

– Dałeś Hazeltonowi jakieś dokumenty?

Skála skinął głową.

– Tak. Pięć kompletów. Paszporty dyplomatyczne Unii Europejskiej razem z czeskimi dokumentami podróży.

– Masz kopie?

– Nie. Wszystko zniszczyłem. – Skála wzruszył ramionami. – To jasne, że tak zrobiłem. Nie chciałem, żeby mnie z nimi złapano.

Jack skrzywił się ze złością.

– Kim byli ci ludzie?

– Nie wiem. Miałem ich fotografie. Resztę sam przygotowałem.

– Skąd pochodzili?

– Nie mam pojęcia. Myślę, że to Amerykanie, ponieważ to Amerykanin mi zapłacił i odebrał ode mnie dokumenty.

Jack wzruszył ramionami. On nie był tego taki pewien.

– Dokąd lecieli ci ludzie? – zapytał.

Skála przechylił głowę.

– Korea Północna. To jasne i oczywiste. Przygotowałem dokumenty dla czeskich dyplomatów podróżujących na misję w Pjongjangu.

– Ktoś w Wietnamie zamordował Hazeltona – odparł na to Jack – i zabrał mu dokumenty, ale nie wiemy kto i nie wiemy dlaczego. Nawet nie wiemy, czy działał na rzecz Korei Północnej.

Skála zaskoczył Jacka odpowiedzią.

– Oczywiście, że działał na ich rzecz.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ tydzień temu zjawili się tu osobiście Koreańczycy. Zakomunikowali mi, że chcą mieć takie dokumenty dla większej liczby ludzi, którzy chcą wjechać do ich kraju. Oferowali mnóstwo pieniędzy. Oświadczyli, że z czasem będzie dużo więcej podróżujących. Próbowałem im wyjaśnić, jak bardzo jest to dla mnie niebezpieczne. Już z tą piątką omal nie zostałem nakryty. W żadnym

wypadku nie mogę fałszować dokumentów dla większej liczby podróżujących. Nie chcieli jednak nawet słuchać. Zaczęli mi grozić. Zachowywali się jak zwierzęta. Nie wiedziałem, do czego to może doprowadzić.

Dom parsknął.

– Kiedy zgodziłeś się działać na rzecz Korei Północnej, nie wyobrażałeś sobie, że będziesz musiał osobiście z nimi współpracować?

Wzruszył ramionami.

– Zdarzało mi się pracować dla organizacji w Stanach Zjednoczonych, która chciała mieć fałszywe paszporty Unii Europejskiej.

– Sharps Global Intelligence Partners? – zapytał Jack.

Skála skinął głową.

– Tak. To oni się do mnie zgłosili. Myślałem, że będzie tak jak zawsze, ale ten człowiek chciał też północnokoreańskie dokumenty. Byłem zaskoczony. Przyszło mi na myśl, że toczy się tu jakaś tajna gra i tak naprawdę to oni wcale nie chcą tam jechać. Amerykanin oferował mi podwójną niż zwykle stawkę, no to się zgodziłem.

– Amerykanin? To znaczy Hazelton?

– Nie. To był ktoś inny. Anglik. Około trzydziestu lat. Bardzo uprzejmy, miło było z nim pracować.

– I co się potem stało?

– Dzień wcześniej, gdy miałem już wszystko gotowe, zadzwonił do mnie. Powiedział, że jest chory, mówił, że coś zjadł, więc na lotnisku spotka się ze mną ktoś inny z firmy i odbierze ode mnie dokumenty. Odpowiedziałem, że zapakuję je w taki sposób, aby nie mógł widzieć zawartości. Ten człowiek to wasz przyjaciel. Dobrze zbudowany Amerykanin. Zabrał dokumenty i zniknął. Pomyślałem, że na tym koniec. Potem zjawili się tu Koreańczycy z ambasady Korei Północnej i powiedzieli mi, że jeżeli nie zgodzę się pracować dla nich, to mnie zabiją. Zgodziłem się, ale powiedziałem, że muszę poczekać jeszcze jeden dzień, aby uzyskać dostęp do drukarni paszportów. I wtedy też ukryłem się.

– Dlaczego nie uciekłeś? Dlaczego tu zostałeś?

– Chciałem uciec. Oczywiście, że chciałem. Ale nie znalazłem miejsca, gdzie mógłbym się schronić, a nie mogłem liczyć na pomoc przyjaciół. Bałem się zresztą wciągać w to jeszcze kogoś. Musiałby poznać prawdę o moich fałszerstwach. W każdym razie pomyślałem, że Korea Północna zrezygnuje po kilku dniach.

– Ale nie zrezygnowała, prawda?

– Wrócili dwa dni temu w nocy. Siedziałem wtedy w ukryciu, ale wiedziałem, że to oni. Słyszałem ich głosy. Oczywiście nie rozumiem ich języka, ale mówili podobnie jak tamci. Byli tu długo, ale mnie nie znaleźli.

Ryan rozejrzał się po pokoju.

– Zaraz, zaraz... Byli tu, w twoim mieszkaniu?

– Tak, wszędzie.

Jack wymienił z Domem szybkie spojrzenie. Skála zauważył to i spytał:

– O co chodzi?

Dom odpowiedział tylko:

– Cholera.

– O co chodzi? – powtórzył Skála.

Jack wstał.

– Mogli zostawić tu podsłuch. Coś, dzięki czemu wiedzieliby, czy wróciłeś do domu. – Odwrócił się od Skáli i połączył się z Bierym. – Gav! U ciebie wszystko okej?

– Spokojnie jak w grobie – odpowiedział Biery.

– Dobra – odrzekł Ryan. – Ruszamy za pięć minut. Miej oczy szeroko otwarte.

– Zrozumiałem.

Chwilę później w budynku biurowym przy ulicy Baranovej Gavin odsunął fotel, słysząc pukanie do drzwi. Wstał i odwrócił się.

Nie otworzył jednak. Wrócił na miejsce i czekał, aż pukający odejdzie. Nie chciał spuszczać z oczu swoich chłopców.

Następne pukanie.

Już chciał połączyć się z Jackiem i Domem, ale zrezygnował. Mógł tylko zignorować pukanie. Poza tym skoro zawsze chciał się angażować w działania w terenie, nie mógł pozwolić, aby Jack i Dom myśleli, że przeraża go coś takiego jak stukanie do drzwi.

Teraz ktoś już załomotał, ale Gavin postanowił dalej nie zwracać na to uwagi; patrzył przez lornetkę, skupiając całą uwagę na ulicy przy budynku, w którym mieściło się mieszkanie Skáli, żeby się upewnić, że panuje tam spokój.

Teraz usłyszał jednak brzęk kluczy i szcęk otwieranego zamka. Zorientował się w tym momencie, że to zarządczyni budynku, kobieta imieniem Gretta. Była tu już przedtem i tak samo brzęczała kluczami. Zerwał się więc z fotela i podbiegł do drzwi. Jack pewnie ulokował tam gumowy stoper, aby nie otworzyły się całkowicie. Gavin wyobraził sobie, że jeśli Gretta nie będzie mogła swobodnie wejść, natychmiast zacznie się awanturować. Po drodze przez kuchnię chwycił nóż do mięsa, tak na wszelki wypadek, i wsunął go do rękawa koszuli.

W chwili gdy to robił, drzwi otworzyły się i zobaczył Grettę – samą. Starsza kobieta oprowadziła ich wczoraj po budynku i wiedział, że nie stanowi zagrożenia. Teraz trzymała pod pachą kwadratowy filtr powietrza.

Kobieta nie mówiła po angielsku, ale była dość miła. Gestami i uśmiechami pokazała, co chce zrobić, więc Gavin poszedł za nią przez duże pomieszczenie biurowe. Gdy nie patrzyła, usunął nóż z rękawa i położył na biurku, a potem szybko ją dogonił.

Część pokoju odgradzona była stosem z desek i przeznaczona na działania Kampusu, ale Biery zdołał jakoś odwrócić uwagę kobiety od tego miejsca, gdy otwierała szafkę z grzejnikiem.

Szybko wymieniła filtr i skierowała się przez kuchnię do wyjścia, Gavin ruszył więc za nią. Jak zauważył, Gretta, idąc, rozglądała się z ciekawością po pokoju, jednak pomyślał, że pewnie dziwi się, co, u diabła, robią tu Amerykanie. Nie było tutaj zbyt wielu biurek ani innego wyposażenia, tylko kilka butelek z wodą i jakieś artykuły spożywcze w kuchni. Poza tym mieszkańcem, który teraz jej towarzyszył, absolutnie nikogo nie widziała.

Gretta przy drzwiach odwróciła się, próbując porozmawiać z Gavinem. Zwykle włączyłby się

w dialog, ale teraz musiał wracać do swoich obowiązków, więc tylko stał w milczeniu, sprawiając wrażenie nieco zirytowanego.

W końcu poddała się i zapytała z uśmiechem:

– Wszystko tu w porządku?

– Tak, wszystko okej, Gretto. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała i Gavin zamknął drzwi kilka cali przed jej uśmiechniętą twarzą.

Odwrócił się i przebiegł przez pomieszczenia, wracając do swojego punktu obserwacyjnego, aby spojrzeć przez lornetkę na trójnogu. Na szczęście nie zauważył żadnego ruchu przed wejściem do budynku przy ulicy Křišťanovej. Już zaczął oddychać z ulgą, ale nie skończył. Zakaszłał nerowo.

Cholera!, zaklął w myślach.

Na parkingu stała szara furgonetka. Gavin przez większość dnia obserwował ten parking i tego pojazdu zdecydowanie przedtem nie było. Wyostrzył lornetkę i przez przednią szybę zobaczył mężczyznę za kierownicą.

Nie wyglądało to dobrze. Połączył się z Jackiem.

– Ryan?

Usłyszał, że ktoś też naciska swój przycisk transmisji, gdy nagle w słuchawkach rozległ się trzask, a potem wyraźny głos Jacka Ryana juniora:

– Pistolet!

Potem usłyszał stłumiony huk wystrzału z pistoletu.

Oddział, który wtargnął do domu Skáli, nie składał się z agentów pierwszego szeregu, ale byli dobrze zmotywowani – na tyle, na ile Jack się zorientował – a przynajmniej większość z nich. Dyplomatyczne stosunki Czech i Korei Północnej oznaczały, że Korea Północna miała swoją ambasadę w Pradze, był to jednak tylko niewielki kwadratowy budynek z czerwonej cegły w szóstej, zachodniej dzielnicy miasta. Chociaż biedny i mały, to znajdowało się w nim ponad tuzin agentów z Generalnego Biura Rozpoznania podlegającego Ri Tae-jinowi oraz następna dwunastka żołnierzy sił zbrojnych, pracujących dla RGB, gdy tylko zaszła taka potrzeba.

To oznaczało, że Ri miał do dyspozycji dwudziestu czterech ludzi do każdej misji w Pradze, a jedną z nich było złapanie Karela Skáli, czeskiego urzędnika konsularnego, który mógł fabrykować dokumenty podróżne naukowcom z Zachodu, umożliwiając im tym samym wjazd do Korei Północnej, aby tam zajęli się procesami wydobywczymi i przetwarzaniem minerałów. Ale Skála zniknął. Większość agentów RGB w ambasadzie myślała, że uciekł z kraju, lecz dwa dni temu złożyli w nocy wizytę w jego mieszkaniu, zostawili ukryte za telewizorem mikrofony podsłuchu i dziś, dwadzieścia minut temu, usłyszeli, że ktoś mówi tam po angielsku. Oddział sześciu agentów otrzymał natychmiastowy rozkaz wejścia do budynku i sprawdzenia, co się tam dzieje.

Kiedy byli już w drodze, otrzymali drugą wiadomość od zwierzchnika. Zawiadomił ich, że w mieszkaniu przebywa sam Skála – rozmawia z Amerykanami i opowiada im o swoich powiązaniach z Koreą Północną. W tym momencie ich zadanie zmieniło się z pojmania na zabicie Skáli.

Tylko pięciu agentów było uzbrojonych – mieli pistolety CZ kalibru 9 mm, miejscowej produkcji. W oddziale znalazł się też kierowca, tak jak wszyscy wyszkolony w walce wręcz, i mający podstawowe umiejętności, które nabył w swoim kraju, zanim został wysłany na zagraniczny posterunek.

Jednak tych ludzi bardziej niż posiadanie broni motywowało coś zupełnie innego. Gdyby ich misja skończyła się niepowodzeniem, byłaby to też klęska Dae Wonsu. Wiedzieli, że karą za to może być tylko śmierć – ich śmierć, a także całych ich rodzin. Musieli pójść na czwarte piętro i jeżeli to konieczne, rozszarpać na kawałki tych trzech ludzi. I nie wracać do ambasady bez wykonania zadania.

Caruso wrócił do sypialni gospodarza w mieszkaniu Skáli i zabrał kilka części garderoby młodego dyplomaty. Razem z Ryanem mieli zamiar go ubrać i opuścić budynek tak szybko, jak to tylko było możliwe, w wypadku gdyby Koreańczycy zostawili tu podsłuch. Jednak Skála ciągle był otumaniony ze zmęczenia i od uderzenia głową o ścianę, więc Dom postanowił nie czekać, aż Czech zacznie się ubierać. Chwycił resztę jego rzeczy – buty, koszule i tym podobne – a także przybory toaletowe, po czym wrzucił je do torby, którą znalazł na półce.

Ryan został, żeby pilnować Skáli przy wejściu do holu. Czeski urzędnik konsularny siedział na

kanapie, zwrócony twarzą do łukowatego przejścia, gdzie stał Jack, co oznaczało, że jeśliby patrzył przed siebie, pierwszy zobaczyłby ludzi wchodzących do mieszkania. Jednak zamiast tego wpatrywał się w podłogę przed sobą, ciągle czując zawroty głowy. Kiedy w końcu podniósł wzrok, zobaczył dwóch mężczyzn w wejściu. Zapewne Koreańscy. W odległości około dwóch metrów od brodatego Amerykanina opartego o ścianę, chociaż jeszcze go nie zobaczyli.

Skála na ten widok zamrugał i zaczął się podnosić z kanapy.

Ryan właśnie łączył się z Gavinem, gdy dostrzegł ruch i zobaczył zdumienie na twarzy Skáli. Obrócił się i ujrzał to, co przeraziło Czecha; ze swojego miejsca widział jednak tylko lufę pistoletu wystającą z łukowatego wejścia po jego lewej stronie. Instynktownie skoczył w tym kierunku, próbując ją chwycić i podbić w górę.

– Pistolet! – krzyknął.

Broń wypaliła.

Ryan prawą dłońią chwycił gorącą lufę, lewą zadał silny cios pięścią w głowę mężczyzny – nawet nie widząc przeciwnika, ponieważ całą uwagę skupił na broni.

Drugi strzał zagrzmiał kilka stóp po lewej z holu. Ryan bardziej wyczuł, niż zobaczył grupę ludzi wpadających przez drzwi wejściowe. Uskoczył z linii strzału, układając teraz bezwładne ciało nieprzytomnego Koreańczyka z pistoletem między sobą a napastnikami. Następny huk wystrzału dobiegł z odległości mniejszej niż dziesięć stóp i Ryan poczuł, że trzymany w ramionach mały mężczyzna poruszył się nagle. Otrzymał postrzał w plecy od swoich towarzyszy.

Ryan chciał wyciągnąć pistolet z kabury w spodniach i włączyć się do walki, lecz w normalnych okolicznościach mógł to zrobić w sekundę, a teraz znajdował się na końcu holu pełnego wrogów, kryjąc się tylko za rannym albo już martwym człowiekiem, którego trzymał w ramionach. W tej sytuacji sekunda była nieskończonością – ale odrzucając swoją prowizoryczną zasłonę, aby sięgnąć do kabury i wydobyć broń, mógł się narazić jedynie na postrzał i śmierć z ręką w spodniach.

Hol wypełnili wrzeszczący Koreańscy i w tej małej przestrzeni rozległ się trzeci wystrzał. Mężczyzna w ramionach Ryana podskoczył, więc Jack schylił się jeszcze niżej. Postanowił przynajmniej sięgnąć po jego broń. W chwili gdy zaczął to robić, ujrzał kątem oka Dominica Carusa wybiegającego do salonu z sypialni, z wymierzonym w ścianę pistoletem, za którą co najmniej czterech lub pięciu Koreańczyków otaczało Jacka Ryana. Nie byli oni jednak świadomi obecności drugiego mężczyzny po ich lewej stronie.

Dominic nie widział wrogów, ale dostrzegł kuzyna przykucniętego nisko za skurczonym, krwawiącym człowiekiem, którego trzymał w ramionach. Stamtąd słyszał ostatni strzał. Wycelował pistolet na wysokości mniej więcej biodra i pociągnął za spust – raz, drugi, trzeci – kierując lufę w lewo, w stronę drzwi wejściowych, sam zaś poruszał się w prawo, do kuzyna, aby lepiej widzieć, co się dzieje w holu.

Wymienił magazynek i skoczył do salonu, padając na podłogę.

Po oddaniu pięciu strzałów zobaczył pył i drzazgi wyrwane z boazerii powyżej miejsca, w które celował. Ci, którzy tam byli, musieli się zorientować, że są pod ostrzałem jakiegoś niewidocznego strzelca, znajdującego się po drugiej stronie ściany, i odpowiedzieli ogniem. Dom pochylił się nisko i ruszył przez salon, aż zbliżył się do skurczonego przy podłodze przed sofą Karela Skáli.

Wystrzelił jeszcze dziewięć razy, zanim wszedł do holu, gdzie zobaczył plecy Koreańczyka uciekającego przez drzwi mieszkania na korytarz budynku w stronę klatki schodowej. Wyglądało na to, że jeszcze kilku innych napastników wybiegło z mieszkania, ale na podłodze przy drzwiach leżały dwa ciała, poza tym był jeszcze martwy człowiek u stóp Ryana.

Dom zatrzymał się obok kuzyna, który teraz klęczał, wyciągając broń. Pistolet Carusa był pusty, więc mężczyzna sięgnął po magazynek do kabury w spodniach. W tym samym momencie zobaczył Koreańczyka stojącego na korytarzu przy klatce schodowej, trzymającego uniesiony do strzału pistolet.

– Padnij! – usłyszał Dom zza pleców i rzucił się płasko na podłogę.

Jack Ryan przeskoczył nad kuzynem. Smith & wesson zagrzmiał w jego rękę. Koreańczyk został trafiony kulą w sam środek czoła, a jego pistolet wyleciał w powietrze, aby z hukiem upaść na posadzkę korytarza.

Gdy ucichł strzał z broni Jacka i dźwięk pistoletu uderzającego o podłogę, w mieszkaniu zapanowała niesamowita cisza. W niewielkim pomieszczeniu unosił się zapach prochu strzelniczego, w powietrzu wisiała błękitna mgiełka.

Mężczyzna leżący u stóp Jacka drgnął. Uniósł delikatnie głowę i wyciągnął rękę po pistolet leżący przy nogach swojego martwego towarzysza.

Jack natychmiast strzelił, mierząc w jego kark. Z rany trysnęła fontanna krwi. Następnie Ryan skierował lufę pistoletu w stronę drzwi wejściowych mieszkania.

– Naliczyłem czterech – rzucił. – Ilu jeszcze?

Caruso szybko przeładował pistolet.

– A skąd, kurwa, mam wiedzieć? Przed chwilą się tu zjawiłem.

Jack spojrzał w kierunku Skáli. Czech miał wywrócone do góry, otwarte oczy.

– Cholera. Nasz cel jest martwy.

Dom, z już sprawnym pistoletem wymierzonym w drzwi wejściowe, odparł:

– Tak.

Jack połączył się z Bierym.

– Gavin? Jesteś tam?

Nie było odpowiedzi.

– Gavin, nie żartuj sobie!

Nic.

– Jeżeli mnie słyszysz, to chcemy cię ostrzec! – krzyknął Jack. – Mamy tu skurwysynów. Nie wchodź do budynku! – Wstał. Rzucił też szybko do kuzyna: – Zabierz laptopa Skáli! – Po czym przeskoczył nad martwymi ciałami i wybiegł z mieszkania na klatkę schodową.

Gavin, tkwiąc w jadącej wolno windzie budynku biurowego przy ulicy Baranovej, stwierdził, że w najgorszej z możliwych chwil stracił kontakt z kolegami. Zorientował się jednak zbyt późno, że lepiej użyć schodów, a tym samym uniknąć martwej strefy telefonów komórkowych w zjeżdżającej irytująco powoli windzie.

– Cholera! Cholera! Cholera! – krzyczał sam do siebie.

Kiedy w końcu dostał się na dół, wybiegł na chodnik i skierował się w stronę ulicy Křišťanovej, do

budynku, gdzie znajdowało się mieszkanie Karela Skáli. Biegnąc, spojrzął na ekran telefonu i włączył tryb konferencyjny, starając się odzyskać połączenie z Jackiem i Domem.

Jeżeli jeszcze żyli. Ogień z broni palnej, jaki słyszał w słuchawkach, zanim stracił kontakt, brzmiał tak, jakby w budynku po drugiej stronie ulicy rozpętała się wojna.

Gdy tylko usłyszał dźwięk nawiązanego połączenia, podniósł wzrok i zobaczył Azjatę wybiegającego z budynku mieszkalnego i przebiegającego przez ulicę tuż przed nim. Gavin zatrzymał się gwałtownie. Mężczyzna chował w płaszczu pistolet. Z bloku wybiegło kilkoro przerażonych mieszkańców niemających pojęcia, że wśród nich znajduje się jeden z ludzi odpowiedzialnych za strzelaninę.

– Jack? Dom? – szepnął Biery do mikrofonu.

Jack odpowiedział szybko, więc odetchnął z ulgą.

– Jesteśmy tu. Cali. Nie zbliżaj się do budynku, przynajmniej jeszcze jeden sukinsyn zbiega na dół.

– Czy ten sukinsyn to uciekający mężczyzna z bronią?

– Tak.

– Teraz go widzę. Pędzi do szarej furgonetki, siedzi tam za kółkiem jakiś inny facet. Właśnie wyjeżdżają z parkingu.

– Niech jadą. Za trzydzieści sekund będziemy na dole. Przygotuj się, żeby nas zapakować, i spieprzamy stąd.

Gavin odwrócił się i zaczął biec z powrotem do biurowca.

– Wracam i zaczynam działać.

Oddział musiał w ciągu dziesięciu minut zwinąć ukryte stanowisko obserwacyjne, zapakować się i załadować do mercedesa. W czasie gdy Jack wyprowadzał pojazd z podziemnego garażu, starając się nie palić opon, aby nie alarmować sąsiadów, Dom połączył się z tylnego siedzenia z Adarą. Odpowiedziała po pierwszym sygnale.

– Tak?

Wiedział, że jego telefon jest dobrze zaszyfrowany, więc nie zwracał uwagi na to, co mówi.

– Nie uwierzysz w to, co ci powiem.

– Pewnie zechcesz, żebym załatwiła natychmiastowy odlot?

– Czy to możliwe?

– Ktoś jest ranny?

– Nie. Z nami wszystko w porządku, ale musimy się stąd natychmiast zrywać.

– Kto jest naszym przeciwnikiem?

– Korea Północna. Nic więcej nie wiem i wątpię, żeby domyślali się, kim my jesteśmy, ale miejscowa policja będzie szukać dwóch facetów przypominających Jacka i mnie, gdy tylko otrzyma oficjalny raport z miejsca zbrodni.

– Z miejsca zbrodni? – zapytała Adara.

– Jeden miejscowy martwy. Nasz cel. Cztery trupy obcokrajowców. Korea Północna.

– Jezu, Dom.

– Czyste szaleństwo, kurwa.

– Pospieszcie się. Zorganizuję wam jak najszybszy wylot z kraju.

– Przyjąłem.

Dom zakończył rozmowę i schował telefon do kieszeni. Ryan odezwał się zza kierownicy:

– Co powiedziała Sherman?

– Że zaraz wszystko będzie gotowe.

Umilkli. W tym momencie Gavin odezwał się po raz pierwszy:

– Chłopcy... bardzo mi przykro.

Wyjaśnił, że zarządczyni przyszła wymienić filtr powietrza. Dom nie miał na to nastroju, zamknął tylko oczy i rozłożył się wygodnie. Jack słuchał jednak uważnie. Kiedy Biery skończył, powiedział:

– Gdybyś dał nam znać, że opuścisz stanowisko obserwacyjne, moglibyśmy się przygotować.

Rozumiesz?

– Tak – odparł Gavin. – Ale to wszystko toczyło się tak szybko. Ja... nie chciałem was niepokoić.

Dom nie otworzył oczu, tylko z głową nadal na oparciu stwierdził:

– Wiesz, co tak naprawdę mnie zaniepokoiło? Pół tuzina sukinsynów strzelających do mnie.

– Przepraszam – powtórzył Gavin.

Resztę drogi na lotnisko przejechali w milczeniu.

Lot z lotniska Chicago-O'Hare do Waszyngton-Reagan-National trwał tylko dziewięćdziesiąt minut, ale trzydziestopięcioletni funkcjonariusz CIA, Adam Yao, kiedy wysiadał z odrzutowca, wyglądał tak, jakby odbył lot dookoła świata. Ale nie działo się to bez powodu. Lot do Waszyngtonu kończył prawie dwudziestoczterogodzinną podróż komercyjną Yao, którą rozpoczął po drugiej stronie globu. Zupełnie rozregulowała jego zegar biologiczny. Chociaż tutaj był już późny ranek, umysł Adama uważał, że w tej chwili zbliża się północ. Kiedy mężczyzna jechał już autokarem, uzmysłowił sobie, że po przebyciu podróży przez blisko połowę stref czasowych musi teraz walczyć z chęcią odpoczynku, podobnie jak po opuszczeniu samolotu musiał starać się utrzymać równowagę.

Lot Adama Yao z Singapuru do Waszyngtonu był prawdziwą trzyetapową odyseją. Podróż odbył przez Tokio i Chicago, aby na koniec z czerwonymi ze zmęczenia oczami wylądować na lotnisku Reagan National. Była dziewiąta trzydzieści. Niczego więcej nie pragnął, jak tylko odpocząć przed spotkaniem kilka godzin w hotelu, jednak polecono mu zjawić się w McLean w Wirginii tak szybko, jak to możliwe.

Zamierzał wypożyczyć auto, ale gdy po wylądowaniu włączył telefon, otrzymał wiadomość, że kierowca będzie na niego czekał przed halą przylotów. Nie musiał odbierać bagaży – rzadkość w przypadku kogoś, kto odbywa lot przez pół globu – więc wyszedł z budynku portu lotniczego prosto na słoneczną ulicę, gdzie czekał na niego czarny lincoln navigator.

Adam był agentem operacyjnym CIA, jednak nie działał jako szpieg podający się za dyplomata z ambasady. Przez większość swojej kariery pracował w Hongkongu pod przykrywką. Stamtąd został na kilka miesięcy przeniesiony do pracy biurowej w Langley, ale wkrótce otrzymał z powrotem status tajnego agenta CIA i skierowano go do Singapuru, gdzie mógł zostawić za sobą nudną robotę papierkową i zająć się tym, co lubił.

Pracą w cieniu.

Centralna Agencja Wywiadowcza, dla której działał Yao, miała swoją siedzibę tu, w McLean. Jednak tego ranka to nie ona była celem jego podróży – jechał do Liberty Crossing⁵, kompleksu budynków rządowych znajdujących się nie tak daleko od kwatery głównej CIA w Langley.

Przy Lewinsville Road stały dwa najważniejsze budynki Liberty Crossing, praktycznie identyczne i w rządowej nomenklaturze figurujące jako LX1 i LX2. W LX1 mieściło się Narodowe Centrum Antyterrorystyczne, a w LX2 – Biuro Dyrektor Wywiadu Narodowego.

Chociaż Yao był zatrudniony w CIA, wszystkie szesnaście agencji wywiadu Stanów Zjednoczonych podlegało pod Biuro Dyrektor Wywiadu Narodowego. Tym samym było też dla Yao instytucją nadrzędną.

Przy głównej bramie sprawdzono jego dokumenty, po czym zaprowadzono go do budynku, gdzie przeprowadzono całą procedurę drugi raz. Telefon umieszczono w szafce, Yao został zrewidowany i zbadany skanerem, a po tych wszystkich czynnościach – które musiał znosić niezliczoną ilość razy w ciągu dziesięciu lat pracy ze ściśle tajnymi instytucjami – zaproszono go do biura na drugim

piętrze budynku.

Przez chwilę czekał sam. Podano mu kawę, ale wypił jej już tyle tego ranka w czasie lotu z Chicago, że jego żołądek buntował się, więc Yao pozostawił filiżankę nietkniętą.

Adam nie miał pojęcia, dlaczego wezwano go do Stanów, a już z pewnością nie wiedział, po co tutaj, do gmachu LX2, zamiast do budynku CIA znajdującego się zaledwie dziesięć minut jazdy stąd. Może udałoby mu się zgadnąć, był w tym jednak dobry, ale teraz zmęczenie wygrywało z ciekawością, więc tylko spokojnie siedział.

Do chwili gdy otworzyły się drzwi pokoju konferencyjnego.

Adam szybko podniósł wzrok. Do pokoju wszedł tylko jeden człowiek. Był to Brian Calhoun, pełniący w CIA funkcję dyrektora biura National Clandestine Service. Był szefem w Agencji stojącym prawie na szczycie hierarchii i tyle szczerbli wyżej od Adama Yao, że ten potrzebowałby pióra i papieru, aby spokojnie porachować, ile dzieliło ich pozycje.

Nigdy nie spotkał Calhouna, jeśli nie liczyć uściśnięcia dłoni podczas krótkiego spotkania, kiedy składał sprawozdanie w zeszłym roku, ale Yao był jego fanem, więc w tym momencie jego jedynym pragnieniem było sprawdzenie węzła krawata w łazience. Wyobrażał sobie, że wygląda teraz paskudnie, a należał jednak do ludzi, którzy lubią wywierać dobre wrażenie swoją prezencją.

Adam rzucił okiem na dyrektora NCS, spodziewając się, że zobaczy za nim jakiegoś posłusznego podwładnego, ale Calhoun zatrzasnął za sobą drzwi i wchodząc do pokoju konferencyjnego, uśmiechnął się.

– Synu, ten lot był dla ciebie bardzo męczący, prawda?

– Och, ale czuję się dobrze, sir.

– Zatem jesteś lepszy ode mnie. Lot z Singapuru do Waszyngtonu zawsze daje mi w kość. Australia jest chyba gorsza, ale nie aż tak bardzo.

– W czasie podróży usiłowałem się trochę zdrzemnąć. Mogę bez problemu rozmawiać, sir. – Nie była to prawda, jednak Yao założył, że Calhoun nie przyszedł tu po to, aby wysłuchiwać jego narzekań na podróż samolotem.

– Siadaj.

Obaj zajęli miejsca przy dużym stole.

– Rozmawiałem z twoimi dowodzącymi z czwartego piętra. Przeczytałem też wszystkie raporty, jakie znalazły się w aktach z ostatnich dziewięciu miesięcy. Odwalasz piekielnie dobrą robotę.

– Dziękuję, sir. – Adam nie mógł się powstrzymać. Równocześnie jego umysł pracował intensywnie, próbując ustalić, o co w tym wszystkim chodzi. Awans? To byłoby dla niego zaskoczenie. Na obecnym stanowisku nie działał wcale tak długo. Chyba że ktoś ważniejszy od niego, o kim nic nie wiedział, wykonał jakiś ruch, ale nie wydawało się, żeby po to pchali go do pracy jako agenta operacyjnego, by potem ściągać go z powrotem do Langley. No chyba że ma być awansowany na szefa któregoś z posterunków, tak z sześć stopni wyżej od swojego obecnego stanowiska, Brian Calhoun nie byłby zaangażowany w jego awans.

A to dla Adama oznaczało, że Calhoun jest tu z powodu jakiejś nowej operacji. Dobry agent operacyjny – bez względu na to, jak bardzo utajniony i co robił – wiedział, że może być przesunięty w każdej chwili na inne stanowisko. Ale Adam pomyślał, że dyrektor NCS raczej nie wydaje rozkazów agentom operacyjnym.

– Twoja praca w Singapurze jak dotąd szła dobrze. No i to, co robiłeś w Hongkongu, było równie wspaniałe.

– Bardzo dziękuję – powtórzył Adam.

– Ale ściągnęliśmy cię z powrotem do domu, ponieważ mamy nowe zadanie i uważamy, że nadajesz się do tej pracy.

– Nowa operacja?

– Potencjalnie tak.

– Dobrze – powiedział Adam. W jego głosie zabrzmiało jednak zakłopotanie.

Calhoun przekrzywił głowę.

– Coś się nie zgadza?

Adam uśmiechnął się przeproszająco i odparł:

– Proszę zrozumieć moje zdumienie, sir. Wytyczne zwykle daje mi agent, który dowodzi moją akcją, albo szef sekcji. Jestem bardziej niż zaskoczony, że ktoś taki jak pan rozmawia ze mną o nowym zadaniu.

Teraz to Calhoun się uśmiechnął.

– Yao, jeszcze nic pan nie wie.

Jak na zawołanie znów otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Mary Pat Foley, dyrektor Biura Wywiadu Narodowego. Adam szybko podniósł się z miejsca za Calhounem.

Yao nigdy osobiście nie spotkał tak wysokiego urzędnika rządowego, któremu nie towarzyszyłoby trzech, czterech podwładnych. Teraz był zakłopotany, widząc, że ani Calhoun, ani Foley nie przyprowadzili ze sobą nikogo.

– Dzień dobry, Adamie.

– Pani dyrektor...

– Słyszałam, że przyleciałeś z Singapuru.

– Tak...

– A my ściągnęliśmy cię tutaj, nie pozwalając nawet skorzystać z porannego prysznica...

Adam zaczerwienił się z zażenowania.

– Czy to aż tak wyraźne?

Mary Pat uśmiechnęła się tylko, a potem ona, Calhoun i Yao usiedli przy stole konferencyjnym.

– Jak daleko jesteśmy? – zapytała Calhouna.

– Ciągłe jest w fazie „o co tu, do diabła, chodzi?”.

Foley roześmiała się.

– Tak się nieszczęśliwie składa, Adamie, że niektórzy urzędnicy rządowi spędzają cały czas, tkwiąc w tej fazie. Ale nie ty, bo zaraz ci wszystko wyjaśnię. Po pierwsze, zakładam, że Brian wykorzystał już cały obowiązkowy zestaw z cyklu „kochamy twoją pracę”?

– Hm... tak.

– Zatem mogę od razu przejść do rzeczy. Więc, Adamie, co wiesz o sektorze górniczym w Chinach?

Yao uniósł ze zdziwieniem brwi, zaskoczony pytaniem z kilku powodów. Poruszony temat jednak sprawił, że znalazł się na pewnym gruncie.

– Sporo. Kiedy pracowałem w Hongkongu jako konsultant w korporacji dochodzeniowej, miałem

dużo spraw do załatwienia w dwóch z sześciu chińskich państwowych koncernów, Chinalco i Minmetals. Kradli technologie z zachodnich firm, a ja robiłem wszystko, aby to przestępstwo wyszło na jaw.

– Czy te technologie dotyczyły w szczególności wydobycia minerałów ziem rzadkich?

Ciągle był onieśmielony towarzystwem tak wysoko postawionych urzędników wywiadu Stanów Zjednoczonych, jednak teraz bardziej intrygowała go ta tajemnicza operacja niż sposób, w jaki ją przedstawiali.

– To gigantyczna gałąź gospodarki Chin. Są naprawdę ważni w tym przemyśle, kontrolują ponad osiemdziesiąt procent światowego wydobycia i zaopatrzenia.

– Proszę dalej – zachęciła Mary Pat.

Adam uśmiechnął się. Jeżeli go testowali, to nie da się złapać.

– W wydobywanej rudzie znajduje się siedemnaście minerałów ziem rzadkich i wszystkie występują razem, ale jeżeli w jednym wypadku mogą występować we względnie wysokich proporcjach na korzyść któregoś z minerałów, to w innym proporcje zmieniają się na korzyść innego minerału, jednak ogółem wydobywa się je jako rudę i wysyła do przetworzenia. Minerale ziem rzadkich dzieli się na dwie kategorie: lekkie i ciężkie, i to właśnie Chiny wydobywają większość ich światowych zasobów, z wielu przyczyn: niskie koszty pracy i brak dbałości o środowisko naturalne, a w procesie bardzo dla niego szkodliwym pozwalają im tanio uzyskiwać rudę. Jednak głównym powodem jest konieczność zaopatrzenia Chin w minerale i uzyskanie w tym zakresie dominacji. Oni po prostu chcą mieć więcej od innych. Mając już tak dużo, chcą wykopać jeszcze więcej. A bierze się to stąd, że Chiny popadły w kłopoty wraz z rozwojem produkcji przemysłowej, zaczęto zużywać coraz więcej minerałów ziem rzadkich, wzrosło zapotrzebowanie na inne surowce i wzrosły ceny towarów.

Australia w minionych kilku latach zwiększyła wydobycie, podobnie USA, ale to Chiny nadal dominują w tym przemyśle.

– Po co nam to wszystko mówisz?

– Chiny zawsze były nastawione na rywalizację z Zachodem. Mają absurdalnie niskie koszty robocizny. Ich kopalnie pracują na ziemi państwowej, więc nie muszą płacić za możliwość korzystania z tych zasobów, poza tym praktycznie nie dba się tam o środowisko. My też mamy na naszym Zachodzie kopalnie minerałów ziem rzadkich, ale płacimy dużo więcej niż Chiny za wydobycie rudy i jej obróbkę.

Calhoun klepnął zachęcająco Yao w plecy, po czym spojrzał na Mary Pat.

– Mówiłem ci, że Yao zna się na tym wszystkim.

– Orientuję się trochę w działaniach Chińczyków w zakresie wydobycia minerałów ziem rzadkich, kto jest tam głównym graczem w przemyśle i gdzie znajdują się kopalnie – sprecyzował Yao. – Znam się też na technice wydobywczej i przetwórstwie rudy... ale tutaj mam tylko ogólną wiedzę. Z pewnością nie potrafiłbym obsługiwać aparatu absorpcyjnego do minerałów ziem rzadkich czy innych tego typu urządzeń.

– My nie chcemy, żebyś zjeżdżał do kopalni – wtrąciła Mary Pat – liczymy tylko na to, że masz wiedzę w tym temacie.

– To akurat mogę potwierdzić – odparł Adam. Ogólnie był dość skromnym człowiekiem, jednak

skoro przez kilka lat przebywał w Hongkongu i Singapurze, totalnie pochłonięty zagadnieniami związanymi z ekonomią Chin, wiedział, że się na tym zna.

– A co wiesz o nielegalnym przemyśle wydobywczym minerałów ziem rzadkich w Chinach? – zapytała Mary Pat.

– No cóż... niezbyt wiele – odparł mniej pewnie. – Są tam kopalnie, w których pracują nielegalni górnicy, zwani po prostu gangsterami. Nielegalne prywatne korporacje, prowadzone przez chińskie organizacje przestępcze, mają ogromne kopalnie minerałów ziem rzadkich w Mongolii Wewnętrznej, a także w innych rejonach. Cieszą się powodzeniem, ponieważ miejscowe i regionalne rządy czerpią z nich zyski. Gangsterzy dają grube łapówki. – Zakaszłał. – I jeżeli pani twierdzi, że rząd chiński eksploatuje swoje kopalnie poniżej standardów ochrony środowiska, to gangsterzy robią to dużo gorzej.

Foley odwróciła się do Calhouna i skinęła głową. Adam uznał, że zdał pewnego rodzaju test, ale nie był pewny, co to właściwie oznacza.

Calhoun pochylił się nad stołem, wsparty na łokciach.

– Mamy jeden cholerny problem i tylko jedną cholerną okazję.

– Chcecie ulokować mnie w tamtejszej kopalni? – Adam wiedział, że rząd chiński już raz próbował go zabić w Hongkongu. Ktoś musiał go wsypać, łamiąc tym samym zasady wywiadu, bo wrogowie zbliżyli się do niego, znając dokładnie jego tożsamość i działania w Hongkongu. Dlatego nie zachwycała go praca w Chinach i poczuł się niezręcznie, myśląc, że ma tym dwojgu opisywać swoją w pewnym sensie nietypową sytuację.

Lecz Calhoun pokręcił głową.

– Nie, chcemy, żebyś udał się na krótko do Chin pod fałszywym nazwiskiem, w czym z pewnością ci pomożemy – powiedział. – Ale twoim ostatecznym celem nie będą Chiny. Cel leży gdzie indziej.

Adam trochę odetchnął, jednak był na tyle ostrożny, że nie okazał tego po sobie.

– Okej, więc gdzie dokładnie mnie potrzebujecie?

Inicjatywę przejęła Mary Pat:

– W twoich aktach zanotowano, że znasz język koreański.

– Tak, całkiem nieźle. Spędziłem jeden semestr na wymianie w Seulu, następnie wróciłem na jeszcze jeden semestr do college'u. Tam uczyłem się tego języka, potem chodziłem jeszcze na kurs, pracując już w Hongkongu.

Dwoje wysokich urzędników wywiadu skinęło młodemu agentowi. Oni już o tym wszystkim wiedzieli.

Adam zadał następne pytanie z pewną obawą:

– Mówimy o wyjeździe do Korei Południowej? Zgadza się? – Kiedy jednak odpowiedź nie nadeszła ani od Foley, ani od Calhouna, Adam dodał: – Chyba żartujecie.

– Tak, jednak powinnam ci to od razu powiedzieć – stwierdziła Mary Pat. – Co odpowiesz na to, że mamy sposób, aby wysłać cię do Korei Północnej?

– Z całym szacunkiem poprosiłbym o więcej szczegółów.

W pokoju zapanowała nerwowa atmosfera, jednak rozładował ją śmiech Foley.

– To zrozumiałe. Blisko dwa lata temu w Korei Północnej pracowali chińscy górnicy i geolodzy. Odkryli bogate złoża minerałów w rejonie Chǒngju, blisko północnej granicy z Chinami. Wydrążyli

tam szyby, by potwierdzić znalezisko, wokół którego zaraz zaczęli organizować całą infrastrukturę.

Adam coś o tym słyszał, ale nigdy nie interesowało go to na tyle, aby się na tym skupiał.

Mary Pat ciągnęła dalej:

– Około roku temu Choi Ji-hoon wyrzucił Chińczyków ze swojego kraju.

– Dlaczego?

– Tego nie wiemy. Może wynikało to z warunków umowy. Dowiedzieliśmy się natomiast, że teraz nowym ministrem górnictwa został człowiek nazwiskiem Hwang, który ostatnio ściągnął do Chŏngju grupę nielegalnych robotników do pracy w kopalni. Wyraźnie jest na tyle bystry, żeby wiedzieć, że Korea Północna nie jest w stanie samodzielnie wydobywać minerały ziem rzadkich i przetwarzać je, więc musi korzystać z pomocy zagranicznych ekspertów. Istotni w tej operacji są też nielegalni górnicy gangsterzy.

– Brzmi całkiem rozważnie.

– Kompania zatrudniająca takich górników jest doskonale wyposażona i ma doświadczenie, ale wyspecjalizowała się tylko w wydobyciu, a nie w obróbce. Tymczasem Korea Północna musi też sama zająć się przetwarzaniem rudy, więc skoro nie mają fachowców po zerwaniu umowy z Chinami wprowadzili nielegalną kompanię do Szanghaju, aby pod przykrywką zdobyć zagraniczne technologie do obróbki minerałów, a także sprowadzić specjalistów. – Przerwała. – Nadążasz za mną?

Skinął głową i dał znak, żeby kontynuowała.

– Ta kompania ma kontakt z Chińczykami pracującymi w kopalni minerałów ziem rzadkich w Kalifornii. Ustaliliśmy to, obserwując przez jakiś czas ich człowieka. Z początku myśleliśmy, że pracuje dla chińskiego wywiadu, ale myliliśmy się. Całkiem przeciwnie. To górnik gangster, który postarał się o zatrudnienie w Stanach i został pracownikiem NewCorp, amerykańskiego koncernu górniczego.

Mamy teraz możliwość przechwytywania informacji przesyłanych między kompanią gangsterskiego górnictwa i ich agentem w Kalifornii. Wiemy, że w Chŏngju do przetwarzania minerałów ziem rzadkich potrzebują wykwalifikowanych robotników. Próbują dość szybko znaleźć odpowiednie osoby do tej pracy, bo już za dwa tygodnie będą wysyłać do Korei Północnej następną grupę ludzi do pracy w kopalni i przetwórni. Nasz plan przewiduje powiadomienie górników gangsterów, że ich człowiek zatrudnił Chińczyka z Ameryki, mającego wiedzę na temat technologii stosowanej w procesie przetwarzania minerałów ziem rzadkich. Ten człowiek, nasz człowiek, poleci wtedy do Szanghaju, żeby dołączyć do nielegalnej kompanii górniczej, aby potem udać się do Pjongjangu razem z innymi Chińczykami. Do Chŏngju przybędzie już kontrolowany przez rząd Korei Północnej, aby podjąć pracę w kopalni.

Yao był zdumiony. To była gigantyczna operacja.

– I w jakiś sposób będzie wysyłać stamtąd raporty do Stanów?

Tym razem odpowiedział Calhoun:

– Oczywiście. Dział Nauki i Technologii dysponuje pewnym systemem komunikacyjnym, który może zostać wysłany do Korei Północnej. Twierdzą, że jest niewykrywalny.

Twarz Adama pozostała nieruchoma, jednak nie mógł się pozbyć myśli, że to nie jajogłowi z Działu Nauki i Technologii znajdują się pod ścianą, gdy ich „niewykrywalna” sieć zostanie w jakiś

sposób wykryta w Korei Północnej. Wyruszając tam, mógł się tylko spodziewać tragicznego finału.

Ale wymamrotał tylko:

– Wspaniale.

Mary Pat wyczuła jego wątpliwości.

– Korea Północna nie tylko ściąga do kraju wyspecjalizowanych fachowców od przetwórstwa i górnictwa, ale próbuje też importować niezbędny sprzęt. Nie będziesz sam przewoził naszego systemu komunikacyjnego do Korei, dostanie się on tam ze sprzętem na którym będziesz pracować. Dowiedzieliśmy się, że w przyszłym tygodniu komputery mają być wysłane do Korei Północnej z Bułgarii. W jednym z nich ukryliśmy już nasz program. Jak długo nasz człowiek nie zostanie złapany na gorącym uczynku, tak długo będzie dla nas użyteczny w czasie tej operacji.

– To oczywiste. Rozumiem. – Adam stwierdził, że Mary Pat mówi zbyt ogólnie, ciągle odnosząc się do jakiegoś „naszego człowieka”. Wyraźnie chciała, żeby sam wyraził zgodę na tę akcję, co nawet doceniał.

– A tak dokładnie to jakie dane wywiadowcze chcecie uzyskać od tego „waszego człowieka” w kopalni Chǒngju? – zapytał.

– Satelity nie dadzą nam wszystkiego, co chcemy wiedzieć: czy w kopalni znajduje się sprzęt zakazany w nałożonych na Koreę Północną sankcjach. Czy są tam pracownicy pochodzący z innych krajów. Czy kopalnia przynosi zyski, a jeśli tak, to jak wysokie – odpowiedziała.

– Mogę spytać, ilu innych agentów CIA działa w Korei Północnej?

Mary Pat pokręciła głową.

– Nie mogę ci udzielić takich informacji. Mogę tylko powiedzieć, że w tym kraju będziesz działał bez sieci kontaktów.

Adam spodziewał się tego. Jeżeli znajdzie się w Korei Północnej, to będzie zdany tylko na siebie. Ale nie tylko to było powodem jego zaniepokojenia.

– Jednak muszę o coś jeszcze zapytać. Czy to naprawdę tak duża sprawa, biorąc pod uwagę wszystkie inne problemy, jakie mamy z Koreą Północną? Mam na myśli to nielegalne wydobycie minerałów w związku z naruszeniem sankcji... No i czy wysyłając mnie do tego kraju, nie zechcecie wciągnąć mnie w inne, ważniejsze sprawy niż to górnictwo?

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, zostaniesz zaangażowany w coś jeszcze – odpowiedziała Mary Pat. – Postrzegamy to jako niewiarygodny zbieg okoliczności i mamy nadzieję, że będziemy mogli wykorzystać tę sytuację najlepiej, jak się da. Kopalnia w Chǒngju nieprzypadkowo znajduje się tylko dwadzieścia cztery mile od Sohae Satellite Launching Station. A tam mają też pociski balistyczne dalekiego zasięgu.

– Ten zbieg okoliczności z naszej perspektywy, tu, w Wirginii, wydaje się zapewne dość łatwy do wykorzystania. Jednak tam, na miejscu, te dwadzieścia cztery mile mogą być bardzo długim odcinkiem.

Uśmiechnęła się.

– Tak, to prawda. Ale nie wysyłamy tam ciebie z powodu bliskiego sąsiedztwa Sohae – powiedziała. – Prezydent Ryan twierdzi, że kopalnia w Chǒngju to obecnie najważniejszy temat do rozszyfrowania przez wywiad Stanów Zjednoczonych.

Dla Adama zabrzmiało to trochę przesadnie. Osobiście nie znał dobrze Mary Pat Foley, ale

wiedział, że cieszy się opinią osoby niezwykle zrównoważonej.

– Co takiego sprawia, że jest aż taka ważna dla wywiadu?

– Szacunkowo pod tamtejszymi górami leży dwieście trzysta milionów ton ciężkich minerałów ziem rzadkich. Ich wartość, w zależności od popytu na rynku, może się wahać w granicach dwunastu bilionów dolarów.

Adam chwycił mocno za krawędź stołu.

– Dwanaście bilionów? Czy to możliwe?

– Możliwe. Możesz sobie wyobrazić, co oni tam w Pjongjangu mogliby za to kupić?

Adam powoli skinął głową.

– Broń atomową, rakiety balistyczne, całe uzbrojenie, jakie produkują Chiny albo Rosja. Nowe technologie, kapitał intelektualny...

Mary Pat pochyliła się nad stołem.

– Tak, mogliby to wszystko kupić, ale mogą zdobyć też coś ważniejszego. Przyjaciół.

– Przyjaciół?

– Głosy w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Głosy państw, które będą przeciwne sankcjom. Pozyskają partnerów przemysłowych, o których teraz nawet nie mogą marzyć. Kiedy będą dysponować takimi pieniędzmi, wiele krajów, które teraz są absolutnie pewne, że nie chcą współpracować z tym bestialskim reżimem, nagle zacznie się łamać.

– Zgadza się.

– Ktoś spoza Korei Północnej zapłacił już za prawo eksploatacji tych minerałów – dodała Mary Pat. – Dużo zapłacił. Te pieniądze wykorzystano do rozszerzenia programu raketowego Korei Północnej. W zeszłym tygodniu u jej wybrzeży przechwycono transport rur służących jako korpusy pocisków balistycznych. Zakupiono je za te pieniądze i zakładamy, że będą potrzebować ich dużo więcej, chociaż jeszcze nie wiemy ile.

– Czy rozumiesz, dlaczego kopalnia w Chŏngju stanowi obecnie duże zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych? – włączył się Calhoun.

– Tak – odparł Adam niewyraźnie. Był ciągle pod wrażeniem. – Korea Północna z takimi sumami jest niebezpieczna.

Mary Pat przytaknęła.

– Wróćmy jednak do ciebie. Jeżeli zgadzasz się wziąć udział w tej operacji, musisz jeszcze coś zrozumieć. Nie będzie ona dla ciebie kolejnym stopniem do awansu albo do kariery, dlatego że tobie jest to niepotrzebne. To, co zrobiłeś w ostatnim roku w Hongkongu, to nawet więcej niż potrzeba do osiągnięcia najwyższego stopnia. Ta wycieczka do Korei Północnej to sto procent ryzyka i marna nagroda.

Adam wzruszył ramionami.

– Może już pani wie, pani dyrektor, że ja nie szukam dróg awansu, tylko wyzwania.

Przez chwilę wpatrywała się w niego. Potem odwróciła wzrok i powiedziała:

– Ja i mój mąż kochamy naszą pracę. Zdarzają się w niej tysiące chwil frustracji i miliony cholernych wyzwań, ale jej sensem jest coś, czego z niczym nie da się porównać. Dreszcz emocji. Zgadza się?

Adam uśmiechnął się.

– Jak najbardziej.

Calhoun skinął głową w milczeniu.

– Myślę, że nasz plan, aby cię tam wysłać w celu przesyłania raportów, jest solidnie opracowany – ciągnęła Mary Pat. – Chciałabym jeszcze wiedzieć, czy na pewno chcesz wziąć w tym udział. A zatem?

Adam nie wahał się.

– Tak. Dam radę.

– Dobrze – odpowiedziała Mary Pat. – Ale pamiętaj, oni tych nielegalnych górników nie nazywają bez powodu gangsterami. Znajdziesz się wśród niebezpiecznych ludzi, kiedy tylko opuścisz samolot w Szanghaju.

– Rozumiem.

– Najważniejszy jest czas, musimy wysłać cię jak najszybciej. Po kilku dniach pobytu tutaj polecisz do Kalifornii, żeby tam zdobyć umiejętności potrzebne do uwiarygodnienia twojej legendy. Dzisiaj będziesz jednak tylko odpoczywał. Jutro zaczniemy cię przygotowywać.

– Mogę wyruszyć zaraz – powiedział Adam pod wpływem adrenaliny, ale Mary Pat pokręciła głową.

– Nie. Twoja dyrektor Wywiadu Narodowego wysłała cię do hotelu. Prześpij się i weź prysznic, potem mi za to podziękujesz. Ktoś przywiezie ci coś do jedzenia, jakieś przybory toaletowe i ubranie na zmianę. Jutro rano odbierze cię CIA i zaczniemy pracować nad twoją legendą, zanim wyślemy cię do Kalifornii.

– Tak jest – odparł Adam.

W czasie gdy Ryan, Caruso i Biery wracali z misji w Czechach do Alexandrii w Wirginii, pozostali członkowie zespołu operacyjnego Kampusu przenieśli się do Nowego Jorku, aby przyjrzeć się działaniom Duke'a Sharpsa.

Dom i Jack chętnie dołączyliby do nich na Manhattanie. Nie tylko dlatego, że chcieli zająć się badaniem operacji, w której omal nie stracili życia – z ochotą uniknęliby też powrotu do biura i spotkania z Gerrym Hendleyem.

Podczas długiego lotu powrotnego do Stanów poinformowali Gerry'ego o przebiegu zdarzeń w Pradze i wyraźnie czuli, że szef nie jest zadowolony, choć oficjalnie tego nie powiedział. Gerry nie działał jako agent w terenie, więc zwykle pozostawiał analizę raportów z akcji Johnowi Clarkowi. Gdy się jednak dowiedział, że jego dyrektor IT, Gavin Biery, nie dopilnował obserwacji w trakcie tajnego wejścia do mieszkania ich celu i nie ostrzegł w porę oddziału o zagrożeniach – co mogło skończyć się śmiercią jego dwóch agentów operacyjnych i spowodowało śmierć ich celu, a także pewnie z sześciu koreańskich napastników – a wszystko w centrum jednego z większych miast europejskich – wówczas postanowił zająć się tym osobiście. Przekazał obu swoim agentom, że gdy tylko samolot wyląduje, mają zaraz jechać z Baltimore do Hendley Associates i dobrze się przygotować do złożenia wyjaśnień.

Dom nie czuł się winny, nie uważał, że popełnili z Jackiem jakiś błąd. Z tego co się orientował, Gavin zniszczył całą akcję, więc to on powinien wziąć na siebie cały opieprz, który obecnie skupiał się przede wszystkim na nim i jego kuzynie. Jednak Jack uważał, że Gavina nie można za wszystko winić, bo nie jest jednak agentem operacyjnym wyszkolonym do pracy w terenie. Tak jak Jack i Dom nie mieliby ze strony Hendleya problemów za nieudaną próbę włamania do komputerów wroga, tak Biery'emu powinien ująć na sucho błąd w czasie obserwacji przy tajnym włamaniu.

Lecz Gavin nie mógł sobie tego wybaczyć. Z powodu niedopatrzienia niemal spalał się ze wstydu. Co prawda pod koniec lotu Dom wreszcie przestał się na Biery'ego wściekać, a Jack powiedział mu, że od samego początku całą winą należałoby obciążyć tylko jego, Jacka, ale dyrektor IT dalej był niepokieszony.

Tego dnia rano, gdy Dom i Jack byli w gabinecie Gerry'ego i próbowali wyjaśnić, co właściwie wydarzyło się w Pradze, Gavin siedział ponuro przy swoim biurku. Zabrał ze sobą zabezpieczony w Pradze laptop Karela Skáli i zaczął przeszukiwać dokładnie pliki wykasowane z twardego dysku. Wkrótce znalazł to, czego potrzebował: pięć zdjęć przysłanych Skáli trzy tygodnie wcześniej, siedem dni przed śmiercią Colina Hazeltona w Wietnamie. Niewątpliwie były to te same, które zostały wykorzystane w dokumentach – typowe fotografie paszportowe czterech mężczyzn i jednej kobiety. Nadeszły w porę, więc Gavin załadował je do programu rozpoznawania twarzy i uruchomił przeszukiwanie.

W czasie gdy Biery siedział przy biurku nadal wściekły na siebie, zdjęcia były poddawane różnym pomiarom – głębi, szerokości, wysokości i kształtu określonych miejsc na twarzy – na przykład

ustalającym odległość między nosem i górną wargą. Wyniki sumowały się tabelarycznie, aby potem powstała z nich wartość liczbowa dla każdej twarzy, którą następnie porównywano z milionami zdjęć zaczerpniętych praktycznie z każdego źródła internetu, a także z bazy danych Sojuszu Pięciorga Oczu. Każde zdjęcie z parametrami wyraźnie innymi niż na analizowanej fotografii było automatycznie eliminowane przez komputer, ale te, które miały zbliżone wartości, były bardzo starannie porównywane.

Komputer sprawdzał dokładnie wszystkie pomiary. Jeżeli uszy były w tej samej odległości od nosa, komputer badał przestrzeń okołogałkową. Jeżeli tutaj też pojawiło się podobieństwo, porównywał wymiary i kształt szczęki. Gdy i one pasowały, przechodził do kształtu ust.

W ten sposób system zestawiał miliony zdjęć z fotografiami nieznanej piątki. Cały proces trwał oczywiście bardzo długo. Ogólnie rzecz biorąc, wszystkie ludzkie twarze różnią się od siebie – nawet identyczni bliźniacy różnią się wymiarami twarzy. Jednak gdy ocenia się je tak precyzyjnie, jak to robi ten program, wiele ludzkich twarzy, które na pierwszy rzut oka nie wydają się do siebie podobne, może mieć zbliżone parametry, widoczne dopiero przy precyzyjnych pomiarach.

Gavin spodziewał się, że minie dobrych kilka godzin, zanim będzie mógł w ogóle sprawdzić, czy można ustalić nazwisko któregoś z poszukiwanych osób widocznych na zdjęciach uzyskanych z laptopa Skáli.

Podczas gdy system przewijał zdjęcia szybciej niż automat do gry, Gavin pochylił się, kryjąc twarz między łokciami. Ciągle czuł się okropnie na myśl o błędzie popełnionym w Pradze. Jack próbował mu wmówić, że to nie jego wina, ale Gavin wiedział, że chciał go w ten sposób tylko pocieszyć. Jego działanie, albo raczej brak działania, doprowadziło do śmierci ważnego świadka i omal nie zabiło jego dwóch przyjaciół i kolegów.

Gavin Biery nie miał pojęcia, w jaki sposób miałby odkupić swój błąd.

W tym momencie kobiecy głos z komputera wyrwał go z rozmyślań:

– Znalaziono podobieństwo.

Gavin uniósł głowę i spojrzał zdumiony na ekran. Nie mógł wprost uwierzyć, że nastąpiło to tak szybko.

To była kobieta. Ruda, w wieku między trzydziestką i czterdziestką. Monitor pokazał po jednej stronie ekranu zdjęcie paszportowe użyte w czeskich dokumentach, a po drugiej stronie inne jej fotografie. Na jednym z nich stała przy pulpicie, najwyraźniej przemawiając do jakiegoś audytorium. Pozostałe – zidentyfikowane przez program jako zdjęcia tej samej kobiety – zostały umieszczone pod spodem.

Gavin od razu zrozumiał, dlaczego program tak szybko zidentyfikował rudą. Wyraźnie była bardzo dobrze znana w swoim środowisku, stąd tak wiele jej zdjęć w internecie.

Przez następne kilka minut sprawdzał jej nazwisko i dane biograficzne, a potem chwycił słuchawkę telefonu i wybrał numer wewnętrzny Gerry'ego.

Początkowo chciał zaczekać, aż Hendley skończy spotkanie z Domem i Jackiem, ale pomyślał, że może ta dobra wiadomość pomoże im w ich sytuacji.

Gerry odebrał po pierwszym sygnale.

– Tak, Gavin? – Był poirytowany i Biery domyślił się, że nie tylko z powodu tych dwóch, którzy siedzieli przed nim, ale też jego.

– Przepraszam, że cię niepokoję – powiedział Gavin – ale znalazłem twarz zgodną z jednym zdjęciem, które uzyskaliśmy z laptopa Karela Skáli.

Hendley westchnął.

– Okej. Przyjdź tu.

Gavin odchrząknął. Chciał trochę pomóc Jackowi i Domowi, ale zupełnie nie miał zamiaru iść tam osobiście i razem z nimi wysłuchiwać opieprzania Hendleya.

– Hm... dobrze, zaraz będę.

Kilka minut później Gavin wchodził do gabinetu Hendleya, gdzie zobaczył Doma i Jacka siedzących cicho przed biurkiem szefa. Ten zajmował miejsce po drugiej stronie, ale nie wstał jak zwykle, aby powitać Gavina. Obok Jacka stało puste krzesło.

– Wejdz, zamknij za sobą drzwi i mów, co masz – powiedział Gerry. Gavin usiadł.

– Mam identyfikację rudej kobiety. Program nadal próbuje rozpoznać pozostałe cztery osoby.

Gerry Hendley czekał przez chwilę, po czym westchnął i zapytał trochę zirytowany:

– No więc kim ona jest?

– Och, przepraszam. To doktor Helena Powers. Australijka. Geolożka.

Jack i Dom wymienili spojrzenia. Geolożka? Spodziewali się, że piątka zagadkowych podróżników będzie raczej naukowcami zajmującymi się energią jądrową albo raketami.

– Najwyraźniej może być dość znana, w sieci jest mnóstwo jej fotografii z konferencji i tym podobnych. Była zaangażowana w poszukiwanie złóż minerałów ziem rzadkich, głównie w środkowej Australii.

Dom powiedział głośno to, o czym inni myśleli:

– Dlaczego, u diabła, ci wszyscy ludzie pchają się, żeby umrzeć dla geologii?

Niedługo później Gavin wyszedł, więc Gerry ponownie zwrócił się do obu agentów siedzących przed nim.

– Jack, Dominic. Praga była klęską. Macie szczęście, że przeżyliście, lecz teraz nie mamy już żadnej możliwości, aby dowiedzieć się od waszego celu czegoś więcej na temat planów Korei Północnej. Fakt, że dwóch ludzi Kampusu działających w terenie mogło zginąć już kilka godzin po przybyciu na miejsce, sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy nie musimy zrewidować tego, co my, do cholery, właściwie robimy.

Jack i Dom w milczeniu skinęli głowami. Myśleli już nad tym w ciągu minionych godzin. Teraz nie było już czasu na dyskusję z dyrektorem Kampusu. Biorąc to pod uwagę, Jack czuł, że musi przenieść uwagę Gerry'ego na inny temat.

– Domyślam się, że teraz nie pora na zadawanie pytań – rzekł Jack. – Ale tak się zastanawiam, czy istnieje jakaś szansa, żebyśmy mogli wesprzeć operację Clarka w Nowym Jorku. Ma tam ze sobą tylko trzech ludzi...

Gerry zwrócił się jednak do Carusa:

– Dom, chcę, żebyś był tu u góry dziś wieczorem.

Dominic wstał zaskoczony.

– Jesteś podwładnym Johna Clarka – ciągnął Gerry. – Niech John wykorzysta cię do pracy.

Dom był za bardzo zadowolony, żeby czuć się urażony. Już sobie wyobrażał, jak siedzi za swoim

biurkiem przez następne pół roku, podczas gdy Clark razem z innymi zagłębia się w tajemnice Wielkiego Jabłka⁶, więc szybko pochwycił tę okazję.

– Zgoda, Gerry – odparł.

Jack uniósł brwi. A więc siedzenie za biurkiem to dla niego?

– Teraz ty, Jack – kontynuował Gerry. – Praga to była twoja operacja, która skończyła się marnym wynikiem, więc to ty poniesiesz konsekwencje. Usiądziesz sobie za biurkiem, żebyś przypomniał sobie, co znaczy praca analityka. Sprawdzisz doktor Helen Powers. Ustal co, u diabła, dzieje się w tych kopalniach, że na kilku kontynentach mordowani są ludzie.

– Okej, Gerry – odparł Jack, po czym razem z kuzynem opuścił gabinet szefa.

W korytarzu Dom położył rękę na jego ramieniu.

– To nie fair, kuzynie. Przecież to ja naciskałem, żeby przeszukać mieszkanie Skáli.

Ryan wzruszył ramionami.

– Gerry posłał nas tam, gdzie powinniśmy teraz pójść. Idź i grzeb się w brudach Sharpsa. Ja zostanę tutaj i będę szukał następnych elementów tej układanki.

Generał porucznik Ri Tae-jin z Generalnego Biura Rozpoznania był zaskoczony wprost niebywałym tempem, w jakim rozwijał się jego plan. Zwykle zadowalała go normalna szybkość realizacji założonego schematu, bowiem brudna gra wywiadu w istocie była czymś niezwykle trudnym. Jednak ta nowa operacja – komputer wybrał jej nazwę „Ognisty Topór” – musiała toczyć się szybko, tego wymagała sytuacja. „Ognisty Topór”, o ile miał odnieść sukces, powinien zakończyć się śmiercią prezydenta Stanów Zjednoczonych, lecz generał miał co do tego więcej obaw niż dobrych przeczuć – zastanawiał się, czy został już wciągnięty w wir zdarzeń, który sam uruchomił.

Miał nadzieję, że to gwałtowne tempo akcji było po prostu spowodowane łutem szczęścia i że dobra passa będzie trwać. Z każdym kolejnym etapem operacji, który kończył się pozytywnie, Ri stawał się... może nie coraz pewniejszy siebie, ale jednak bardziej skłonny do obaw o powodzenie projektu.

Ri stracił już wiarę w nieomyślność Choia Ji-hoona, ale musiał przyznać, że Dae Wonsu miał całkowitą rację w swoich analizach. Zabicie Jacka Ryana niewątpliwie doprowadziłoby do sukcesu w innej sprawie – zbudowania w pełni sprawnej rakiety balistycznej dalekiego zasięgu.

Popuścił wodze fantazji, jak mógłby wyglądać świat po śmierci Ryana, w którym Korea Północna byłaby zdolna do uderzenia na Stany Zjednoczone albo na Europę Zachodnią raketami uzbrojonymi w ładunek plutonowy. W tych rozważaniach nie brał pod uwagę istniejących, jeszcze niesprawnych, rakiet balistycznych. Nie, to oznaczałoby pewną śmierć wszystkich mieszkańców Korei Północnej, gdyby Stany Zjednoczone wzięły odwet. Lecz jeśli Korea Północna będzie tylko posiadała nowoczesne rakiety międzykontynentalne i zagrozi ich użyciem, sukces jego narodu będzie niepodważalny.

I to właśnie było częścią tego, co go napędzało. Inną częścią, większą, było to, co motywowało go, aby jak najszybciej zbudować sprawne pociski balistyczne dalekiego zasięgu. Instynkt samozachowawczy. Nie miał tego luksusu, by choć na chwilę odłożyć „Ognisty Topór”, jeśli projekt nie będzie funkcjonował perfekcyjnie, bo wiedział, że jego następne spotkanie z Choiem – wzdrygnął się na samą myśl – zakończyłoby się jego śmiercią.

Wieczorem po ostatnim spotkaniu z Dae Wonsu w jego rezydencji w Kangdong-gun zorganizował pilną konferencję ze swoimi porucznikami i rozdzielił im zadania. Prawie natychmiast ustalili schemat działania – chociaż śmierć przywódców światowych nadal była traktowana tylko teoretycznie, co miesiąc sporadycznie omawiano ten temat w RGB w ramach szkolenia, to cała infrastruktura była już gotowa.

Poza tym na świecie istniało kilka państw bardziej doświadczonych od Korei Północnej w sprawach dokonywania międzynarodowych zbrodni.

Chociaż Korea to państwo odcięte od reszty świata, jej wywiad był wysoko lokowany w światowej skali tajnych organizacji. Ri osobiście współpracował już z wybitnymi agentami wielu reżimów, kupującymi i sprzedającymi broń, i wysyłał swoich ludzi do innych krajów na szkolenie

w technikach prowadzenia przesłuchań.

RGB było też ściśle związane z większością głównych światowych koncernów przestępczych. Co roku zarabiały one miliony dolarów na produkcji i sprzedaży narkotyków, metamfetaminy, głównie europejskim organizacjom przestępczym albo kartelom meksykańskim. Drukowały fałszywe pieniądze, a także kupowały i sprzedawały nielegalnie broń – wszystko oczywiście przeprowadzały w sposób tajny.

Ri i jego ludzie znali parę osób, które mogłyby przyczynić się do powodzenia operacji „Ognisty Topór”, i bez trudu ulokować mogli zabójcę w tym samym miejscu, w którym będzie się znajdował prezydent Stanów Zjednoczonych. Lecz zaaranżowanie tego bez możliwości powrotu zabójcy do Korei Północnej, aby nie wzbudzać podejrzeń, że został dokonany na zlecenie tego kraju, było zupełnie inną sprawą.

Ri i jego agenci zapoznali się ze wszystkimi rozkładami podróży zagranicznych Ryana na najbliższe kilka miesięcy. Miał odwiedzić Europę dwa razy – raz w Berlinie, na konferencji w sprawie handlu, a następnie w Polsce, na szczycie NATO.

Później, po dwóch i pół tygodnia, miał polecieć do Meksyku na dwudniową oficjalną wizytę, a potem do Buenos Aires na kolejne spotkanie.

Europa była kuszącą okazją z prostego powodu – relacje między Stanami Zjednoczonymi i Rosją w tym momencie nie były najlepsze, można nawet powiedzieć, że wręcz złe. Ri wiedział, że rosyjski prezydent, Walerij Wołodin, pragnął śmierci Jacka Ryana i – co ważniejsze – wiedział, że Amerykanie też o tym wiedzieli. Jednak wykorzystanie Rosjan było w sumie nierealne. Owszem, Ri miał kontakty w Moskwie, ale tylko z małą organizacją zrzeszającą hakerów komputerowych albo z Rosoboroneksportem, państwowym przedsiębiorstwem zajmującym się handlem bronią. Zawierał też transakcje narkotykowe z rosyjską bratwą, czyli mafią sołncewską, ale nie miał na nich takiego wpływu, żeby zgodzili się przygotować i przeprowadzić taki atak.

Bardziej podobał mu się więc Meksyk. Mało czasu, ale świetna atmosfera. Pół roku wcześniej jeden z największych i najsilniejszych karteli narkotykowych stracił przywódcę, Antonia Maldonada, w strzelaninie z policją federalną w Acapulco. Organizacja z bazą w stanie Guerrero zmieniła więc przywódcę, został nim młodszy brat poprzedniego szefa, Santiago Maldonado. Okazało się jednak, że równocześnie stała się organizacją mało stabilną i bardziej zachowawczą niż przedtem. Krążyły plotki, że meksykańskie władze dotarły do Antonia Maldonada tylko dzięki pomocy pewnej grupy amerykańskich wojskowych. Jednostka ta, znana pod nieformalną nazwą „Aktywistów”, ponad dwadzieścia lat wcześniej uczestniczyła w akcji przeciw kolumbijskiemu kartelowi narkotykowym Pabla Escobara i od tej pory byli w Ameryce Łacińskiej – i poza nią – główną organizacją działającą w wojnach narkotykowych, również na rzecz zaprzyjaźnionych państw. Ani w Stanach Zjednoczonych, ani Meksyku nie wiadomo, że amerykańscy wojskowi przebywali w Acapulco, gdy w strzelaninie zginął Antonio Maldonado, a jego brat, nieprzewidywalny Santiago, poprzysiągł zemstę.

Ri skontaktował się ze swoimi agentami w Meksyku, którzy współpracowali z kartelem Maldonado, a ci potwierdzili, że być może uda im się przekonać organizację, aby włączyła się w plan zabicia amerykańskiego prezydenta. Według ludzi Ri, Santiago był uzależnionym od narkotyków, nihilistycznym szaleńcem, który nie posiada nawet cienia instynktu

samozachowawczego. Ponadto nie miał żadnych skrupułów, żeby wysyłać na śmierć swoich ludzi, którzy traktowali go niemal jak obiekt kultu, jeśli tylko istniał choćby cień możliwości odegrania się na kimś za śmierć brata.

Jednak Korea Północna szybko się zorientowała, że chociaż Maldonado miał ludzi i broń, to brakowało mu jednak wykszolenia i nie miał pojęcia, w jaki sposób przeprowadzić operację zabicia prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mimo to generał Ri zdecydował, że meksykański kartel może odegrać zasadniczą rolę w tej akcji. Wiedział bowiem, gdzie znaleźć odpowiedniego mordercę.

Znalazł następną element układanki i po dopracowaniu planu postanowił przedstawić go Dae Wonsu. Nawiązał osobisty kontakt z zaufanym człowiekiem pełniącym niegdyś funkcję szefa syryjskiego Generalnego Dyrektoriatu Bezpieczeństwa, który w czasie wojny ukrywał się w Afryce Północnej. Ri powiadomił go, że szuka kogoś, kto działa niezależnie i mógłby wziąć udział w skomplikowanym zabójstwie. Syryjczyk nie pytał, kto ma być celem – wiedział, że Ri i tak mu tego nie zdradzi. Jednak po obietnicy sowitego wynagrodzenia podał mu informacje o pewnym wytwórcy bomb, człowieku, który – jak mówił mężczyzna – był tak samo utalentowany jako twórca elementów urządzeń eksplodujących, jak chętny do zaoferowania swoich usług.

Ri był zaskoczony, że ten człowiek, z którym się później skontaktował, nie był Syryjczykiem, tylko Irańczykiem. Pracował po prostu w Teheranie. Przez ostatnie kilka lat był w rzeczywistości naprawdę niezależnym wytwórcą bomb. Ri skontaktował się z rządem syryjskim i poprosił o informację, w jaki sposób mógłby zatrudnić tego człowieka i ściągnąć go na przeszkolenie do Korei Północnej. Byli otwarci na ten pomysł i chętnie zorganizowali im spotkanie.

Adel Zarif mieszkał w strzeżonym przez wywiad domu w Damaszku, w mieście, gdzie przebywał od ponad trzech lat. Za jego głowę Hezbollah oraz powstańcy z Wolnej Armii Syrii wyznaczili już nagrodę. Krążyły pogłoski, że jego nazwisko znajduje się też na amerykańskiej prezydenckiej liście osób do unieszkodliwienia.

Hezbollah chciał jego śmierci za to, że zostawił ich bez pomocy, Armia – za zabicie setek ich bojowników w wojnie domowej. Amerykańskie drony przeczesywały za nim świat z powodu lat, które spędził w Iraku na szkoleniu rebeliantów w swojej specjalności – tworzeniu IED (Improvised Explosive Devices), improwizowanych urządzeń wybuchowych.

Zarif nie zgodził się na proponowane warunki; dla niego nie było nic improwizowanego w konstruowanych przez niego bombach. Studiował elektrotechnikę w Teheranie, zanim zaczął działać po stronie Hezbollahu. W latach dziewięćdziesiątych wysyłał im swoje bomby i produkował pasy wybuchowe dla palestyńskich terrorystów w południowym Libanie. Gdy zaczęła się wojna w Iraku, był już na miejscu, współpracując z milicją szyicką, a Hezbollah wysłał go na szkolenie i zgłębianie tajników taktyk zwalczania amerykańskich oddziałów pancernych. Zaczął tworzyć niemal z niczego pomysłowe urządzenia eksplodujące – pocisk penetrujący, coś, co zwykle wymaga wysokiej, wyspecjalizowanej technologii, urządzenie w postaci pocisku, który przebijał stal, wchodząc w pancerz jak nóż w masło.

W 2005 zniszczył pierwszy amerykański czołg i do 2007 roku w 33 900 atakach użyto IED przeciwko siłom koalicyjnym w Iraku, Zarif wyszkolił setki wytwórców bomb.

W 2011 roku Hezbollah przeniósł go do Afganistanu. Tam wykonał najwięcej swoich bomb. Między innymi podłączył ładunek o wadze dwóch tysięcy funtów do detonatora i umieścił go na

tyłach ciężarówki z wodą. Samobójca zawiózł ją do Kandaharu, gdzie zatrzymał się w odległości około stu jardów od bazy brytyjskiej. Kula snajpera trafiła go śmiertelnie, ale zdążył jeszcze włączyć detonator i wybuch bomby zabił siedemdziesiąt sześć osób. Wszyscy, poza pięcioma, pochodzili z tego regionu.

Nadeszła arabska wiosna i w regionie wybuchła wojna domowa. Zarif zbliżał się do pięćdziesiątki i był już wystarczająco stary, aby dostrzec, że rozmaite sekty, wyznania, plemiona i frakcje wykorzystywały go jako narzędzie do swoich celów. Doszedł do wniosku, że prawdziwie lojalnego człowieka może znaleźć tylko w sobie, tym samym został wolnym strzelcem.

Zaopiekował się nim rząd syryjski, wykorzystując go do tworzenia min pułapek w miastach, z których uciekano przed Wolną Armią Syrii, lecz odseparował go od rynków zbytu, żeby nie miał okazji zaangażować się w walkę przeciwko nim. Ich stosunki miały charakter czysto finansowy – poczynania reżimu Asada tyle go interesowały, co los ludzi rozrywanych na strzępy przez jego bomby. A jednak szybko dołączył do 17. Dywizji Wojsk Asada, aby wysadzać w powietrze całe budynki albo blokować drogę za oddziałem autami wypełnionymi ładunkami wybuchowymi.

Zyskiwał coraz większą sławę w Syrii i światowe organizacje wywiadowcze ustalały miejsca jego pobytu po akcjach bombowych. Wkrótce stało się jasne, że nie może opuszczać Damaszku, ponieważ wszyscy dookoła czekali, żeby go zabić.

Agenci Ri odwiedzili go w jego kryjówce i ujawnili, że nie przybyli po to, aby rozmawiać o wycieczce szkoleniowej do Korei Północnej. Zamiast tego przedstawili mu plan przetransportowania go do Mexico City, skontaktowania z miejscowymi agentami i dostarczenia wszystkiego, czego tylko potrzebował do zabicia prezydenta Stanów Zjednoczonych, razem z materiałami zdobytymi przez koreański wywiad.

Po udanym zamachu miał zostać w tajemnicy wywieziony z kraju przez agentów Korei Północnej i jeśli wyraziłby taką chęć, zabrany z powrotem do Syrii albo – co uważano za lepsze rozwiązanie – do Korei, gdzie mógł mieszkać do końca życia, ciesząc się poważaniem i miłością wdzięcznego narodu. Agenci pokazali mu na tablicie fotografie jego przyszłego domu, pałacu nad plażą w pobliżu miasta Hamhŭng, oraz zdjęcia pięknych młodych dziewcząt, z których mógł sobie wybrać kandydatkę na żonę.

Zarif chciał opuścić Syrię i postrzegał operację w Mexico City jako znakomitą do tego okazję. Ale nie wyraził zgody na wszystko. Wiedział, że aby mógł zamieszkać w Korei Północnej i żyć jak król, jego misja musiałaby zakończyć się sukcesem i nikt nie dowiedziałby się, kto jest zleceniodawcą. Zaczął więc wypytywać agentów o szczegóły techniczne, domagał się wyjazdu do Korei Północnej na spotkanie z ich przywódcą.

Nie spodobało się to Ri, ale nie miał wyboru.

Chociaż rząd Syrii trzymał u siebie wytwórcę bomb niczym więźnia, wywiad Korei Północnej przekonał ich do wystawienia mu dokumentów podróży, aby mógł opuścić Syrię. Korea przekazała im, że chce, aby Zarif przybył do Pjongjangu i wyszkolił ich siły specjalne w produkcji bomb penetrujących, a w zamian za to mieli udostępnić mu zdobytą ostatnio wysoko wyspecjalizowaną sieć komunikacyjną Korei Południowej. Ta wiedza pozwoliłaby mu konstruować zdalnie uaktywniane detonatory. Pracując w Syrii, miał niewielką możliwość korzystania z tego rodzaju technologii i Korea Północna przekonała tamtejszy rząd, że ta krótka wyprawa Zarifa może być

również dla nich doskonałym interesem.

Był to oczywiście podstęp. Plan wyglądał prosto – Zarif miał polecieć do Meksyku, zabić tam prezydenta Stanów Zjednoczonych, a następnie udać się na wybrzeże Korei Północnej.

A przynajmniej pozwolono mu w to wierzyć.

Następnego dnia przetransportowano Zarifa do Pjongjangu. Tam spotkał się między innymi z Ri. Gdy nie wyraził od razu zgody na ich plan – nie miał przekonania do Meksykanów i wiarygodności ich wywiadu – został zawieziony do Hamhŭng, gdzie pokazano mu jego przyszły dom.

Pałac rzeczywiście istniał. Był majestatyczny i robił wrażenie, a przy wejściu witał Zarifa rząd pięknych dziewcząt. Mężczyzna został przekonany.

Lecz tak naprawdę ta rezydencja była jedną z wielu należących do najwyższego przywódcy, a generał Ri wcale nie zamierzał informować Dae Wonsu, że chce podarować ją zagranicznemu muzułmańskiemu zabójcy.

Nie. Gdy Adel Zarif z uśmiechem ścisnął dłoń Ri na pasie startowym w Pjongjangu, z niepokojem odlatując z Korei Północnej do Mexico City, aby tam przygotowywać się do największej w swej karierze operacji, zazwyczaj smutne oczy generała błysnęły na moment, a jego twarz rozjaśnił uśmiech. Wiedział, że człowiek przed nim umrze w czasie operacji „Ognisty Topór” i nikt na świecie nawet nie będzie wiedział, że Adel Zarif gościł kiedyś w Korei Północnej.

Edward Riley zaparkował swoje bmw i8 w garażu przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy, po czym sześć przecznic do celu pokonał pieszo. Tego popołudnia na Manhattanie padało, co akurat cieszyło Riley'a, ponieważ miał proste wytłumaczenie, dlaczego założył płaszcz przeciwdeszczowy. Musiał go mieć na sobie z powodu prowadzonej akcji, ale w słoneczny dzień wyglądałby dziwnie.

Pięć minut temu odebrał telefon z wiadomością, że jego pułapka zadziałała. Nie był całkiem pewny, jak długo powinien czekać, zanim się pokaże. Wiedział jednak, że największą szansą na sukces było schwytanie ofiary w chwili największego stresu, więc nie zwlekał.

Na Dwudziestej Dziewiątej Ulicy, blisko Lexington, zszedł z chodnika na stopnie prowadzące do drzwi sutereny czteropiętrowego budynku mieszkalnego.

Kilka razy zapukał, po czym zwinął parasol i zostawił go przy małym stoliku obok.

Po chwili ktoś otworzył mu drzwi. Riley wszedł do słabo oświetlonego wąskiego korytarza i skinął głową na powitanie stojącej tam Azjatce w średnim wieku.

– Pokój numer cztery – powiedziała, a jej poważny głos był tylko nieco głośniejszy od szeptu.

Riley szedł, uważając, żeby niczego nie poruszyć. Nie dotykał ścian ani klamek mijanych drzwi. Upewnił się nawet, że spodnie poniżej brzegu płaszcza przeciwdeszczowego nie ocierają się o zasłony wnęki po prawej stronie.

Nie chodziło tu o odciski palców albo ślady DNA. Trzymał ręce przy sobie, a spodnie podciągał tak, aby nie dotykały podłogi, bo czuł, że to miejsce jest obrzydliwie brudne. Był to salon masażu, melina prostytutek, wyglądająca nawet znacznie gorzej, niż ją Rileyowi opisywano.

Ludzie Riley'a znaleźli tu człowieka, którego szukał, dwa razy w ciągu trzech dni. Było zupełnie jasne, że przedmiot śledztwa odwiedzał to miejsce regularnie, więc Riley przyjechał tu wcześniej, żeby porozmawiać z właścicielką. Uśmiechnął się, wręczył kilka banknotów i błysnął odznaką. Pokazał japońskiej *mamasan* zdjęcie obiektu swoich zainteresowań i poprosił, żeby go poinformowała, jeśli ten mężczyzna ich odwiedzi. Wyjaśnił, w jaki sposób chce przeprowadzić atak, po czym obiecał, że zapłaci dwa tysiące dolarów odszkodowania za zakłócenie jej pracy. Zapewnił też, że jej współpraca zostanie doceniona przez policję Nowego Jorku, NYPD, która nie będzie się w ogóle interesowała jej działalnością.

Ta obietnica była tylko w połowie prawdziwa.

Riley mógł wyłożyć od siebie dwa tysiące, ale nie mógł ręczyć za tę cholerną policję.

Przy drzwiach oznaczonych numerem 4 użył łokcia osłoniętego płaszczem i uderzył tylko raz. Te drzwi, podobnie jak inne, zostały otwarte od środka, ale tym razem przywitał go Amerykanin. Czarnoskóry, w wieku trzydziestu lat, masywny, z zawieszoną na szyi odznaką informującą, że jest detektywem z NYPD.

Riley wiedział, że Bridgeforth wcale nie należał do policji. Pracował dla Sharps Partners i był jego podwładnym, a ta odznaka stanowiła część dzisiejszej pułapki.

Sięgnął do kołnierza płaszcza, rozpiął go i pokazał swoją odznakę.

Oprócz Riley'a i Bridgeforth'a w pokoju numer 4 znajdowała jeszcze trzecia osoba, dla której właśnie założyli te odznaki. Siedziała na drewnianym stole do masażu. Był to chudy, wyglądający na Europejczyka mężczyzna w średnim wieku, w samej tylko bieliźnie.

Riley skinął na Bridgeforth'a, więc Afroamerykanin wyszedł z pokoju. Edward zamknął za nim i zignorował jedyne krzesło, zostając przy drzwiach. Płaszcz przeciwdeszczowy chronił go przed milionami bakterii, które, jak sobie wyobraził, roily się wokół niego.

Chudy patrzył na niego przerażonymi oczami.

Doskonale, pomyślał Riley.

Anglik potrafił znakomicie naśladować nowojorski akcent. W zeszłym roku ćwiczył go przez setki godzin, poświęcając wiele dni na poznanie specyfiki miasta tak, aby nikt nie miał wątpliwości, że stąd pochodzi.

Teraz z łatwością powiedział tubalnym głosem brooklyńczyka:

– Detektyw Rich Kincaid z NYPD – i dodał: – Wydział Przystępstw.

Mężczyzna siedzący przed nim jedynie skinął głową.

– Jak już powiedziałem pańskiemu koledze – stwierdził z silnym akcentem niemieckim – posiadam immunitet dyplomatyczny chroniący mnie od jakichkolwiek oskarżeń.

Riley wzruszył ramionami. Rozłożył szeroko ręce, nie wychodząc z roli policjanta z Brooklynu.

– A kto tu kogoś oskarża?

– Panowie, domagam się...

– Siedź tu i zamknij się!

Mężczyzna zadrżał zaskoczony.

– A teraz spróbujmy ustalić, co się tu dzieje. Nazywasz się Hans Tischer. Wchodzisz w skład delegacji austriackiej uczestniczącej w obradach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Co oznacza, że gdyby nawet mój partner złapał cię na czymś wyjątkowo obrzydliwym z nastoletnią dziewczynką w środku największego amerykańskiego miasta, to i tak musiałby puścić cię wolno.

Mężczyzna na stole do masażu odetchnął z ulgą.

– Ale ja mogę zatrzymać cię tu do czasu, aż zjawi się mój przyjaciel, fotograf z „New York Post”, i zajmie się tą sprawą po swojemu.

Tischer zakrztusił się.

– *Nein!* Nie. Proszę, niech mi pan tego nie robi.

– Oczywiście zawsze możesz się odwrócić plecami. Tak... może poskutkuje. – Po następnym wzruszeniu ramion dodał: – Już powiedziałem mojemu kumplowi z „Daily News”, że możesz tego próbować, jednak naprawdę nie polecam.

– *Mein Gott.* Dlaczego pan mi to robi?

Riley zbliżył się o krok.

– Kiedy na pierwszych stronach gazet ukaże się twoja wstrętne gęba, to będziesz przekonywał swoją rodzinę, że ta dziewczynka mówiła, że ma już osiemnaście lat? Myślisz, że ci uwierzą? Teraz ten dzieciak siedzi w ambulansie przed domem i według mnie nie wygląda na osiemnaście lat, Hans.

Tischer ukrył twarz w dłoniach.

– Mógłbym puścić cię wolno, ale nie podoba mi się takie rozwiązanie. Poza tym nie ma takiego prawa, które zabroniłoby mi wystawić cię prasie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Tischer tylko szlochał cicho. Riley pochylił się.

– Jednak mogę to wszystko zmienić. Żadnego nazwiska, żadnego zdjęcia. Nie ma sprawy.

Mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Tak? Jak?

– Właśnie doszliśmy do tego, co naprawdę interesujące, Hans – odparł łagodnie Riley i zerknął przez ramię, czy drzwi są zamknięte. – Trzy dni temu twój Komitet odbył proceduralne głosowanie.

W chwili gdy Riley spodziewał się zobaczyć na jego twarzy wyraz zaskoczenia, ujrzał cały wachlarz uczuć: od zakłopotania po strach.

Po chwili Austriak zapytał:

– I co z tego?

Riley znowu wzruszył ramionami, starając się nie wypaść z przyjętej roli.

– Pewien facet potrzebuje od ciebie przysługi. I tym facetem, który jej od ciebie potrzebuje, jestem ja.

– Kim pan jest? Nie jest pan policjantem.

– Jestem facetem, który trzyma w aktach twoje zdjęcie, jestem facetem, który ma przyjaciół w tutejszej prasie, i jestem facetem, który może cię zniszczyć, jeżeli nie będziesz na posiedzeniu głosował przeciw sankcjom.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – odpowiedział Riley. – Dlaczego ktoś robi to, co robi? Dlaczego spuszczasz gacie w takim obskurnym miejscu jak to? – Nie była to odpowiedź na jego pytanie, ale poskutkowała i Tischer umilkł. Wbił tylko wzrok w podłogę i długo siedział w milczeniu. Po chwili odparł jednak:

– To i tak nie będzie miało znaczenia. Jeżeli zagłosuję tak, jak pan chce, to niewiele zmieni. Jest nas dziewięćoro. Wczoraj zasięgnęliśmy opinii na ten temat i członkowie Rady Bezpieczeństwa będą za sankcjami. Piątkowe głosowanie to tylko formalność.

Riley uśmiechnął się.

– Znajdź tylko kilku, którzy zmienią zdanie od ostatniego badania. Świat powinien się opamiętać w tej sprawie.

Tischer zorientował się, o co chodzi temu człowiekowi. Miał zyskać członków swojego komitetu. Tak, Austriak był tego absolutnie pewny.

– Jeżeli zagłosuję przeciw – zapytał – to wpuści mnie pan tak, żeby nikt mnie nie widział?

– Tak. Wyjdę stąd i powiem mojemu kumplowi z „Postu”, że się pomyliłem, że nie było cię tutaj, a potem odejdziemy. Ty możesz wyjść wtedy po pięciu minutach i wrócić do siebie, tak jakby nic się nie stało. Jeżeli na piątkowym posiedzeniu zagłosujesz przeciw sankcjom, otrzymasz kopertę z dyskiem zawierającym wszystkie fotografie, jakie zrobił tu mój kolega. Możesz je zniszczyć i tym samym uznamy, że całej tej sytuacji nie było.

– Pan chyba nie pracuje na rzecz Korei Północnej, prawda? – zapytał Tischer.

– Oczywiście, że nie. Ja pracuję w NYPD. Powiem tylko tyle, że dorabiam na boku, służąc interesom pewnej grupy. Jednak zostawmy ten temat bez komentarza – zakończył Riley z uśmiechem.

John Clark, Ding Chavez i Sam Driscoll przebywali w mieście już od pięciu dni, lecz dopiero teraz udało im się namierzyć w salonie masażu przy Dwudziestej Dziewiątej Ulicy zatrudnionego u Sharpesa Edwarda Rileya. Driscoll widział, jak mężczyzna wchodził do lokalu, więc nie oddalał się od tego miejsca, spacerując z parasolem tam i z powrotem. Kupił sobie u ulicznego straganiarza na Trzeciej Alei porcję gyrosa i jedząc, schronił się przed deszczem pod wiatą przystanku autobusowego. Cały czas miał na oku budynek, do którego wszedł Riley, ale w istocie najbardziej pożyteczny byłby wtedy, gdyby wyjął z plecaka aparat fotograficzny i skierował w tę stronę obiektyw.

Jednak na razie cieszył się gyrosem. Obserwacją zajmował się Chavez.

Ding nadchodził z innej strony. Miał na sobie garnitur, koszulę z krawatem i właśnie rozmawiał przez telefon komórkowy. Po drodze zatrzymał się w drogerii Duane Reade po drugiej stronie ulicy i zaczął oglądać stojak z parasolami. Z tego miejsca miał idealny widok na oddalone o mniej niż trzydzieści jardów wejście do sutereny.

Nadal rozmawiał przez telefon. Była to rozmowa z Clarkiem przebywającym teraz w strzeżonym mieszkaniu, gdzie dyrektor operacyjny, siedząc przed komputerem, śledził ruchy swoich ludzi na „Mapie Świata”. Ich przekomarzenie się na temat lepszej pogody „tam, u nas w domu, w Los Angeles” było jedynie przykrywką. Kiedy Ding zatrzymał się w drogerii, co Clark widział na swojej mapie, powiedział przyciszonym głosem:

– Po drugiej stronie ulicy w stosunku do mojej pozycji, wejście do sutereny.

W odpowiedzi Clark zaczął szybko skanować ten obszar na „Mapie Świata”, szukając dodatkowych informacji. Po kilku sekundach ustalił, że mieści się tam salon masażu. Znalazł jego stronę w sieci; podano tam numer telefonu i wymieniono w ofercie „azjatycki masaż”, jasne, że chodzi o płatny seks, stronę uzupełniały zdjęcia młodych Azjatek w bieliźnie. Clark miał absolutną pewność, że nie było to miejsce, do którego twój lekarz rodzinny odesłałby cię, gdybyś potrzebował pomocy po kontuzjach sportowych.

Znalezione dane przekazał Dingowi, który przeszedł tymczasem do innej części drogerii. Chavez nie odpowiedział na nie, tylko ciągle opowiadał o pogodzie albo o tym, co widzi przez szybę w oknie.

Riley wyszedł z budynku po około dziesięciu minutach. Sam kręcił się w pobliżu, natomiast Ding zaczął śledzić ich cel, gdy wracał do swojego auta.

Pięć minut później suterene opuścił też mężczyzna w średnim wieku, wyglądający na mocno zdenerwowanego. Miał na sobie spodnie dresowe i rozpiętą pod szyją koszulę. Sam dokończył gyros i sięgnął do plecaka po nikon z 300-milimetrowym obiektywem. Nawet gdy zrobił już około tuzina zdjęć twarzy tego człowieka, miał wrażenie, że i tak wie, kto to jest.

Mężczyzna, czekając na taksówkę, stał w deszczu, ale zachowywał się tak, jakby zupełnie nie

zwracał na to uwagi. Sam schował aparat do plecaka i skierował się do kryjówki Kampusu.

Kwatera główna Sharps Global Intelligence Partners mieściła się na Upper West Side, więc Kampus wynajął odpowiednio zabezpieczone mieszkanie w pobliżu, na piętnastym piętrze apartamentowca przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

Było to zwykłe mieszkanie o powierzchni dwóch tysięcy stóp kwadratowych. Miało trzy sypialnie, ale nie dało się stamtąd obserwować bezpośrednio żadnej operacji Sharpsa. Jednak agenci Kampusu nie byli tu tylko dla zwykłej inwigilacji. Ich zamiarem było znalezienie w terenie agentów Sharpsa i śledzenie ich ruchów oraz kontaktów.

Jednak ostatecznym celem misji było udowodnienie, że Sharps pracuje dla Korei Północnej, co nabrało jeszcze większego znaczenia po naradzie z Gerrym poprzedniego dnia.

Gerry rozpoczął spotkanie słowami:

– Jestem pewien, że wszyscy znacie najświeższe wiadomości o planowanym w przyszłym tygodniu proceduralnym głosowaniu w Komitecie do spraw Sankcji Rady Bezpieczeństwa ONZ na temat kolejnych ograniczeń dla Korei Północnej. Dziewięciu urzędników ONZ zdecyduje, czy żądania wysuwane przez prezydenta Ryana i Biały Dom mogą być przedmiotem głosowania w Radzie Bezpieczeństwa.

Nie trzeba podkreślać, że rząd Stanów Zjednoczonych chce, aby to głosowanie zakończyło się zgodnie z jego wolą. Jeśli tak się nie stanie, zostaną otwarte kanały handlowe i Korea Północna będzie coraz bliższa otrzymania materiałów i wiedzy umożliwiających zbudowanie takich rakiet, jakie chce mieć.

– Jeżeli jest to tylko głosowanie *pro forma*, to czego się boimy? – zapytał Clark.

– Boimy się Duke'a Sharpsa. Do Mary Pat doszły pogłoski, że pracownicy Sharps Global Intelligence Partners krążyli po korytarzach gmachu ONZ i próbowali skontaktować się z dziewięcioma członkami Komitetu do spraw Sankcji.

– Przekupstwo?

– Niewątpliwie. Foley może trzymać ludzi Sharpsa z dala od ONZ, a przynajmniej wtedy, kiedy pełnią oficjalne obowiązki. Ale Sharps Partners ma agentów na całym Manhattanie. Mary Pat obawia się, że mogą znaleźć sposób, aby dotrzeć do tych ludzi i albo kupić ich głosy, albo wywrzeć na nich nacisk.

– Zatem... to wyraźnie wskazuje, że Sharps pracuje dla Korei Północnej, prawda? – stwierdził Ding.

– Tak jak w Wietnamie, jego organizacja wyraźnie działa w interesie Korei, ale nie mamy niezbitych dowodów na to, że robią to bezpośrednio dla nich. To bardzo ważne, żeby ustalić, jak dokładnie wyglądają ich działania. Ale jest coś jeszcze. Jeżeli udowodnimy, że Sharps bezpośrednio współpracuje z Koreą Północną, będziemy mogli natychmiast go wyeliminować za zdradę państwa.

– Dlaczego Foley nie skontaktuje się z FBI? – zapytał Sam Driscoll. – Mogliby ich śledzić.

– Z agentami Sharpsa jest jeden zasadniczy problem. Tylu z nich należało do FBI albo CIA, że część z nich nadal może mieć kontakt z kimś stamtąd i wiedzieć, co się dzieje. Zatem nie ma szans, żeby FBI zbliżyło się do Sharpsa i złapało kogoś na gorącym uczynku – stwierdził Gerry. – Zostało tylko półtora tygodnia do głosowania, więc muszą się trochę nabiegać za członkami Komitetu. A to

łączy się z ryzykiem, co stwarza wam okazje, by ich przyłapać.

Po tej rozmowie Clark od razu zaczął organizować polowanie na agentów Sharpsa i niedługo później śledzili Edwarda Rileya w Nowym Jorku po jego spotkaniu z szefem Komitetu do spraw Sankcji. Szybko zorientowali się, co się dzieje.

Zdjęcia mężczyzny opuszczającego w deszczu salon masażu wykonane przez Sama zostały przesłane do systemu, ale niepotrzebny był nawet program do rozpoznawania twarzy. W Komitecie do spraw Sankcji było tylko dziewięć osób – siedmiu mężczyzn i dwie kobiety. Postać na tych fotografiach wyraźnie pasowała do Hansa Tischera, czterdziestojednoletniego Austriaka pracującego w ONZ w One Dag Hammarskjöld Plaza w Turtle Bay na Manhattanie.

– Edward Riley – powiedział Clark – drugi po Sharpsie, wygląda na to, że jest tu szefem operacji. Interesuje ich głosowanie w przyszłym tygodniu. Muszą wywrzeć wpływ na delegatów, aby nie głosowali za wprowadzeniem następnych sankcji ekonomicznych.

– Możemy to zdusić w zarodku – stwierdził Sam. – Wystarczy puścić do prasy, co zamierza zrobić Sharps. To go zatrzyma.

– Rozważałem taką możliwość – odparł Clark – jednak problem tkwi w tym, że my już wiemy, jakim diabłem jest Sharps. W Stanach mamy jeszcze inne, pozbawione skrupułów prywatne firmy wywiadowcze, poza podobnymi organizacjami z innych krajów. Te inne firmy co prawda działają na naszym terenie, jednak nie są nam znane, a tym samym są poza zasięgiem naszego radaru. A poza tym może u nas działać też samo zainteresowane państwo. Nie wątpię, że Korea Północna spuściła już ze smyczy swoich agentów, żeby zajęli się członkami Komitetu do spraw Sankcji. Jednak w to wglądu już nie mamy. Nie możemy więc zrobić czegoś takiego. Gdyby Sharps odkrył, że jego agenci są śledzeni, możemy stracić możliwość ustalenia, jak daleko zaszła sprawa z głosowaniem i jak wygląda jego współpraca z Koreą Północną. Nie możemy uderzyć w Sharpsa, póki nie udowodnimy, że pracuje bezpośrednio dla nich. To dopiero pośle go do więzienia za zdradę. – Clark uśmiechnął się blade. – Takie coś powinno spotkać tego faceta...

– Więc nadal śledzimy Rileya – powiedział Ding. – I jeśli spotka się z Koreańczykami, mamy jasny dowód. Jeśli zobaczymy, że zaszantażował jeszcze kogoś, jak tego Austriaka od salonu masażu, spróbujemy tę osobę nakłonić, aby nie zmieniała swojego głosu.

Sam zdjął buty i zaczął masować łydki. Przez kilka dni niemal ciągle był na nogach, śledząc agentów Sharpsa.

– Myślę, że lepiej będzie, jak się stąd zmyjemy. On jest jeszcze u siebie w biurze. Zwykle wychodzi o czwartej po południu.

Clark wstał.

– Nie. Ty i Ding zostaniecie tutaj. Teraz moja kolej. Poza tym mam też dobrą wiadomość, niedługo dołączy do nas Dom, co daje nam dodatkową parę oczu.

Generał porucznik Ri nie był jedyną osobą, która z przesadną dokładnością dbała o detale operacji. Obecnie miał więcej niż sto różnych schematów i planów, które krążyły po całym świecie – większość wprowadzał w czyn – niektóre bardziej skuteczne, zaś inne mniej, te, którymi zajmowali się jego podwładni.

Tajne operacje przemytu narkotyków, broni do Syrii, Iraku i Afryki Wschodniej, a także zakup broni przez Iran i Pakistan. Porwania w Japonii i w Korei Południowej. No i wreszcie „Ognisty Topór”, zamach na prezydenta Stanów Zjednoczonych w Meksyku.

On sam nie mógł się już więcej angażować w te działania ze względu na konieczność ewentualnego wyparcia się uczestnictwa, ale ze wszystkich pozostałych operacji akcja z New World Metals była zupełnie odmienna i dlatego wymagała jego ciągłej uwagi. Ri doskonale wiedział, że Dae Wonsu zagroził mu okrutną śmiercią, jeśli nie dostarczy sprawnych rakiet balistycznych dalekiego zasięgu, a zostały mu na to jeszcze tylko dwa lata. Jedyną szansę, aby uniknąć tego losu, widział w New World Metals i kopalni w Chöngju.

Zajmował się więc każdym szczegółem tej operacji. Jeżeli nawet Ri nie wynajął Sharpsa bezpośrednio, to i tak wiedział wszystko o tym współpracowniku i jego udziale w realizacji planu. Wiedział, jakie znaczenie ma głosowanie proceduralne w Organizacji Narodów Zjednoczonych, i śledził działania Sharpsa dzięki raportom otrzymywanym od Óscara Roblasa.

Ri miał wrażenie, że Sharps wykonuje doskonałą robotę, przymuszając członków Komitetu do zmiany głosowania. W tym momencie wiedział, że powodzenie akcji Sharpsa i jego agentów wpływa na jego osobisty los. Dwa dni wcześniej w Pradze wydarzyło się coś, co również miało na to wpływ. Oddział ludzi z RGB tropił urzędnika konsularnego, który pomagał w wystawieniu dokumentów, jakich potrzebowali, żeby sprowadzić obcokrajowców do Chöngju. Ri osobiście nie nadzorował tej sprawy, ale wiedział, że ci naukowcy przybyli do Korei z krajów, które nie wyraziłyby zgody na ich podróz.

Ri nie wiedział już jednak, że ten czeski urzędnik zniknął, a potem, według raportu, który nadszedł tego ranka, pojawił się w swoim mieszkaniu w Pradze w towarzystwie dwóch Amerykanów. Koreańczycy weszli do jego mieszkania, aby go wyeliminować, ponieważ ujawniał właśnie sekrety operacji Korei Północnej. W dodatku według agentów, którzy przeżyli, Amerykanie byli gotowi do odparcia ataku własnymi siłami.

W strzelaninie wzięło udział czterech Koreańczyków, w tym trzech z Generalnego Biura Rozpoznania.

Generała pułkownika Ri bardzo to zaniepokoiło. Nie wiedział, kim byli ci Amerykanie, jak wiele informacji mieli na temat jego operacji i planów oraz co mogli teraz zrobić. Natychmiast pomyślał wówczas o Sharpsie w Nowym Jorku oraz o tym, jak istotne może być dla New World Metals głosowanie ONZ, a tym samym dla niego samego.

Ri nie siedział jednak beczynn timer, czekając na to, co zrobi Duke Sharps. Wysłał swoich agentów,

aby monitorowali sytuację i jeśli zaszłaby potrzeba, zastosowali ostrzejsze metody. Zezwolił im nawet zabijać na ulicach amerykańskich miast, ponieważ stawka była bardzo wysoka.

Sharps nie prowadził takich działań, o czym donieśli Ri członkowie RGB stacjonujący w Stanach. Amerykanin, były agent FBI, który wolał uniknąć konfliktu z prawem we własnym kraju, nie mógł dowodzić uzbrojonymi ludźmi w bezpośredniej akcji, więc Ri musiał wykorzystać inne metody.

Korea Północna utrzymywała w ONZ stałą misję, która mieściła się na trzynastym piętrze budynku biurowego na rogu Drugiej Alei i Czterdziestej Czwartej Ulicy, tylko przecznicę od wejścia do gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wchodzący i wychodzący koreańscy urzędnicy byli stale obserwowani przez agentów kontrwywiadu FBI oraz przez wiele innych organizacji podlegających rządowi Stanów Zjednoczonych. Generał Ri wiedział, że regularnie nawiązywanie kontaktu z nowojorskim biurem nie będzie łatwe, więc po prostu rozkazał swoim agentom krążyć po tym terenie i chronić Duke'a Sharpsa i jego pracowników, którzy pracowali dla Korei.

Jednak Ri miał w Nowym Jorku jeszcze kilka innych możliwości. W tym mieście mieszkało około dwustu tysięcy Koreańczyków albo Amerykanów koreańskiego pochodzenia, więc Ri mógł mieć pod sobą setki północnokoreańskich agentów albo emigrantów mieszkających w tym rejonie, będących tajnymi pracownikami Generalnego Biura Rozpoznania. Ci agenci prowadzili nawet akcje bezpośrednio w mieście, biorąc za cel dysydentów Korei Północnej albo pochodzących z Korei Południowej wichrzycieli. Po spotkaniu i rozmowie telefonicznej w swoim biurze w Pjongjangu Ri postanowił wykorzystać dwunastu doskonale wyszkolonych, uśpionych agentów na Manhattanie, rozkazując im obserwować Sharpsa i przesyłać mu z tego raporty.

Po dwudziestu czterech godzinach od wydania rozkazu Koreańczycy z Manhattanu zaczęli śledzić pracowników Sharps Global Intelligence Partners na mieście. Mieli zadanie upewnić się, czy Amerykanie odnieśli sukces w wysiłkach dotyczących wpływania na głosowanie i otrzymali zielone światło na użycie wszelkich zasobów i środków, niezbędnych do zakończenia misji z sukcesem.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Jack Ryan w tym momencie oficjalnie nie pełnił swoich obowiązków, o ile oczywiście obowiązki głowy państwa można na jakiś czas zawiesić. Przez cały dzień był odpowiedzialny za kraj, jednak dziś był jeden z tych rzadkich wieczorów, gdy plan dnia nie przewidywał żadnych spotkań po godzinach albo wyjścia poza obręb rezydencji.

Po tym, jak około szóstej wieczorem opuścił Gabinet Ovalny, zjadł z Cathy, Kylem i Katie kolację w Rodzinnej Jadalni i tam zaplanowali oglądanie na Discovery programu o lampartach śnieżnych. Ostatnio Katie stwierdziła, że chce zostać weterynarzem, chociaż Kyle kpił z niej, że to on częściej wyprowadza psa do Ogrodu Różanego, rodzice byli poruszeni jej młodzieńczymi planami, dlatego zaproponowali oglądanie filmów przyrodniczych.

Katie lubiła się uczyć o zwierzętach podobnie jak Kyle, chociaż jego marzenia dotyczyły teraz wyłącznie kariery kaskadera i uważał, że to nie fair ze strony rodziców, że nie popierają jego pomysłu zbudowania na tyłach domu rusztowania z materacem u spodu. Twierdził, że bez tej konstrukcji nigdy nie nauczy się, w jaki sposób skakać z budynku jak prawdziwy filmowy kaskader.

Jack i Cathy nie dyskutowali z Kylem, robiąc to, co uważali za najlepsze, czyli starając się skierować jego zainteresowania w inną stronę – w jakąkolwiek stronę – lecz Katie, dziewięcioletnia dziewczynka, chociaż nie lubi sprzątać po psie, była, przynajmniej w oczach rodziców, dobrze ukierunkowana i z pewnością zostanie szanowanym w świecie weterynarzem, specjalistką od zwierząt egzotycznych.

Jack już miał włączyć telewizor, gdy lokaj zawiadomił go, że dzwoni Mary Pat Foley i chce z nim rozmawiać.

Odebrał więc w swoim gabinecie.

– Cześć, Mary Pat. Coś złego?

– Nie, panie prezydencie, wszystko w porządku. Przepraszam, że pana niepokoję.

– Nie ma sprawy. O co chodzi?

– Myślę, że mamy okazję wysłać do Korei Północnej naszego człowieka – odparła Mary Pat. – Do samej kopalni Chǒngju i rafinerii minerałów, co da nam lepszy wgląd w panującą tam sytuację. Nie będzie mu tam łatwo, nasz agent może się znaleźć w dużym niebezpieczeństwie.

– Zaraz, zaraz. Powiedziałaś „agent”. Nie mówisz o armii, tylko o pracowniku naszego wywiadu?

– Tak, panie prezydencie. CIA. Amerykanin chińskiego pochodzenia. Z pierwszego pokolenia. – Nie podała prezydentowi więcej szczegółów.

Ryan rozluźnił krawat i oparł się w fotelu.

– Chcesz, żebym powiedział „tak” lub „nie”? O to chodzi?

– Tak, panie prezydencie.

– Jak długo ma trwać ta akcja?

– Mogę podać tylko w przybliżeniu. Nie sądzimy, żeby było to dłużej niż kilka miesięcy.

– Czy jego fałszywa tożsamość jest dobrze przygotowana? Plan jest dokładnie opracowany?

Możesz dostarczyć mu jak najlepsze wsparcie? Czy dobrze wie, jakie są jego zadania?

– Tak, ma wszystko, co potrzebne.

– A co, jeżeli mimo zabezpieczeń wpadnie w kłopoty?

Mary Pat milczała przez chwilę.

– Aby go nie narażać, jestem przy tym z panem szczerą, mogę tylko powiedzieć, jakie przebieg szkolenie i o dostępnych dla niego opcjach infiltracji. Więc gdyby odkryto, co robi na terenie Korei Północnej, najprawdopodobniej zostałby uwięziony i potem zabity. Albo zabity od razu.

Plan awaryjny, gdyby nagle trzeba było agenta ewakuować, został przygotowany z siłami zbrojnymi Stanów Zjednoczonych. Mamy oczywiście w pobliżu, przy granicy z Koreą Południową, specjalne oddziały. Na Morzu Żółtym pływa „USS Freedom” z jednostkami SEAL na pokładzie. To ten okręt, który zatrzymał statek handlowy przewożący rury do obudowy rakiet.

W tej grze trzymamy karty przy orderach ze względów bezpieczeństwa operacyjnego. Gdyby nasz człowiek znalazł się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, byłby to dla niego koniec akcji i w przyszłości nie moglibyśmy się po nim już niczego spodziewać. Powiadomię jednak JSOC², że zapewne potrzebna będzie akcja ratunkowa.

Mary Pat wiedziała, że JSOC będą żądały więcej informacji, i chociaż nie mogła mieć do nich o to pretensji, nie mogła im nic przekazać, dopóki Yao nie dotrze do Korei Północnej.

Sama tylko myśl o tym mroziła jej krew w żyłach.

Ryana też to niepokoiło. Wyobrażał sobie tego nieznanego mu oficera stojącego nad urwiskiem i balansującego na linie, aby przejść na drugą stronę. Pod liną nie było siatki. A Jack Ryan był tym, który ma mu powiedzieć „zawróć do domu” albo „idź”.

Ale Ryan miał przed oczami też przyszłość. Taką, w której Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych znajdzie się w zasięgu rakiet balistycznych Korei Północnej.

Nie zastanawiał się więc długo.

– Wysyłaj go – powiedział. Nie był pewien, jak to zabrzmiało. Musiał być stanowczy, na tym polegała jego funkcja, nawet wobec Mary Pat. Gdyby jego słowa zabrzmiały niepewnie, tylko pogłębiłyby wątpliwości dotyczące tej operacji. Musiała wiedzieć, że ma jego wsparcie, nawet jeśli perspektywa tego, co czekało ich człowieka w Korei Północnej, mogła w ciągu następnych kilku tygodni wywołać wrzody żołądka. Jego wiara w znaczenie tej misji była jednak niezachwiana.

– Dziękuję, panie prezydencie – odparła Mary Pat. – Niech pan wie, że w tej akcji biorą udział najlepsi nasi ludzie, codziennie się z nimi spotykam i dobrze ich znam.

– Wiem, Mary Pat. Oboje wiemy, jaka jest stawka. Nasza i jego. Po jednej stronie wynik pracy wywiadowczej, po drugiej jego życie tam, w terenie.

– Tak, panie prezydencie.

Jack odłożył słuchawkę i wrócił do sypialni, żeby się przebrać. Cathy już tam była. Założyła strój do joggingu, który lubiła nosić, gdy układała się wygodnie do oglądania telewizji. Kiedy mąż wszedł do pokoju, spojrzała na niego i zaraz zapytała:

– Co się stało? Coś złego?

Jack uśmiechnął się sztucznie.

– Nie. – Usiadł na skrajku łóżka. Poczul się nagle bardzo zmęczony.

Cathy zajęła miejsce obok niego.

– Jack?

– Dzwoniła Mary Pat. Chciała mojej zgody na akcję w niebezpiecznym miejscu, na którą wysłała młodego oficera. – Przerwał. – Zgodziłem się.

Przytuliła go.

– To jest Mary Pat, Jack. Wie, co robi.

Wzruszył ramionami.

– Czasem czuję się jak kawał gówna. Muszę podejmować decyzje na podstawie mniejszej ilości informacji od tej, jaką mają ludzie pytający mnie o zgodę. Wiem tylko połowę tego, co ona, a powiedziałem, żeby działała dalej. Może powinienem spędzić kilka dni na sprawdzaniu tej operacji.

– Przecież wiesz, Jack, że wielu ludzi wpierw zapoznaje się z surowymi danymi, aby przetworzyć je w coś bardziej strawnego dla ciebie. Zaburzasz naturalną kolejność, kiedy zaczynasz grzebać w szczegółach.

Jack uśmiechnął się. Zmarszczki wokół oczu wyraźnie wskazywały, że nie spał od kilku dni.

– Wiem. I ufam ludziom, którzy dla nas pracują. Jednak uważam, że powinienem mieć więcej informacji, jeśli mam podejmować tak ważne decyzje jak dziś.

– Wszystkiego nie możesz wiedzieć.

– To prawda. Ale chciałbym mimo wszystko więcej. – Westchnął ciężko, opuszczając ramiona w geście, jaki Cathy dobrze znała. – Jezu, jeszcze dwa lata. O czym pomyślę, gdy już będę miał z tym do czynienia?

Cathy pogładziła palcami zmarszczki na jego czole i wokół oczu.

– Jak już będzie po wszystkim, to zaczniesz tęsknić. Ale gdy już ten czas nadejdzie... będziemy mieli więcej chwil na relaks.

Uśmiechnął się i ujął jej dłoń.

– O tak.

Poczuł się lepiej, ale tylko na tyle, żeby teraz na chwilę zapomnieć o problemach. Potem wstał i przebrał się w zwykłe ubranie.

To była dla niego najlepsza pora dnia.

Mając w Nowym Jorku Doma Carusa, Clark zamiast trzema parami oczu dysponował teraz czterema, co stanowiło ogromną różnicę w obserwowaniu działań Sharps Partners.

Druga zmiana w operacji Kampusu polegała na tym, że teraz mieli śledzić tylko Edwarda Riley'a, co też upraszczało ich pracę. Było zupełnie jasne, że to właśnie on odpowiadał za całą akcję związaną z głosowaniem w Komitecie. Clark z pozostałymi agentami zastanawiał się więc, czy poza zastawioną poprzedniego dnia pułapką w salonie masażu, Riley przeprowadził już inne podobne działania, aby zyskać głosy na korzyść Korei Północnej.

Tego dnia o dziewiątej wieczorem Riley wziął taksówkę do Chinatown, więc Sam, Domingo i Dom ruszyli za nim. W czasie gdy ich obiekt siadał w prawie pustej restauracji azjatyckiej przy Mott Street, Sam przygotował sobie punkt obserwacyjny – nierzucającego się w oczy szarego sedana. Cztery razy okrążył kwartał budynków, aby znaleźć wolne miejsce przy krawężniku. W końcu zatrzymał się na Bayard, blisko narożnika, co dało mu nie tylko idealny widok na restaurację, lecz także na całą Mott Street od północy do południa. Zaraz po zaparkowaniu wyjął z torby aparat fotograficzny i położył go między stopami.

Dom przybył pieszo – najpierw przyjechał metrem, a potem poszedł Canal Street, aby po minięciu dwóch przecznic skręcić na Mott i obserwować restaurację. Miał na sobie czarną koszulkę polo i spodnie khaki. Usiadł samotnie w barze z fast foodami na rogu Mott i Canal, ale w uszach miał słuchawki gwarantujące łączność z oddziałem. Był więc gotów wkroczyć do akcji, gdyby Sam musiał się nagle ewakuować albo gdyby Riley razem ze swoim kontaktem opuścił restaurację pieszo.

Ding, uprawiając jogging na południe i zachód od lokalu, miał na sobie ocieplane spodnie i lekką bluzę. Słuchając w dousznych słuchawkach, co Sam przekazuje mu ze swojego statycznego punktu obserwacyjnego na ulicy, okrążył Columbus Park, przebijając się przez tłum pieszych. Cały czas był gotów wrócić, gdyby Sam miał jakieś problemy.

Z trzema agentami w akcji nie było dużo możliwości popełnienia błędu, ale Clark, siedząc w kryjówce na Upper West Side, monitorował ruchy oddziału na komputerze i współpracował bezpośrednio z analitykami w Alexandrii, aby uzyskać więcej danych o celu – urzędnikach ONZ należących do Komitetu do spraw Sankcji.

Chwilę po dziewiątej trzydzięci wieczorem kobieta w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym minęła Doma na rogu Canal i Mott, po czym skręciła na południe. Była tylko jedną z setek pieszych mijających go w ciągu ostatnich dziesięciu minut, więc ledwo zwrócił na nią uwagę i nie przyjrzał się jej twarzy. Lecz dwie minuty później, gdy Sam opisał kobietę wchodzącą do restauracji, Dom zorientował się, że ich cel właśnie przeszedł obok niego.

Gdy Sam dodał chwilę później, że kobieta usiadła przy stoliku Edwarda Riley'a, Dom powiedział:

– Na Canal przyszła pieszo od zachodu. Albo zaparkowała gdzieś w pobliżu, albo przyjechała metrem.

– Przyjąłem – wtrącił Ding, po czym dodał: – Sam, potrzebujemy jej danych tak szybko, jak to

tylko możliwe.

– Pracuję nad tym – odparł Sam.

Jego cyfrowy nikon miał 500-milimetrowy obiektyw. Z tej odległości mógłby zrobić zdjęcie przez okno restauracji i otrzymać świetny obraz twarzy. Jednak na nieszczęście warunki panujące na ulicy dalekie były od zadowalających, w dodatku migające neony odbijały się w szybie, przez co Sam nie mógł uzyskać dobrego widoku. Był tylko w stanie powiedzieć, że miała ciemnobrązowe albo kasztanowe włosy związane z tyłu w kok, poza tym ocenił ją na około czterdziestu lat.

– W Komitecie są tylko dwie kobiety – powiedział.

Otworzył mały notes wyjęty ze skrytki po stronie pasażera i zaczął przeglądać fotografie. Po chwili znalazł zdjęcie pierwszej kobiety.

– Zdecydowanie nie jest to Noreen Paige z USA... – Odwrócił dwie strony i trafił na następne. – Ale może to być Marleni Allende z Chile. Chociaż nie jestem pewny. Muszę poczekać, aż usiądzie inaczej, aby mieć lepszy widok.

Kiedy to mówił, dostrzegł przy stoliku ruch. Przez chwilę obserwował, czy kobieta i Riley coś między sobą wymieniają, ale nic takiego nie nastąpiło. Ona żywo gestykulowała, a on tylko kiwał głową. Najwyraźniej ze złością.

Sam przekazał pozostałym członkom oddziału ten szczegół.

– Nasz chłopak wygląda na wkurzonego. Teraz może być wesoło.

Po dziesięciu minutach od rozpoczęcia spotkania z urzędniczką ONZ z Chile Edward Riley zaczął przyjmować jej słowa poważnie. Wcale nie robiła sobie z niego żartów.

Ta cholerna dziwka naprawdę zmieniała zdanie.

Riley przyniósł ze sobą dwadzieścia pięć tysięcy dolarów amerykańskich. Uzgodnili tę kwotę kilka dni temu podczas rozmowy na promie Staten Island. Jakiś czas później zaczęła przeproszać, że zmieniła zdanie, ale bez wahania zgodziła się na spotkanie dzisiejszego wieczoru. Teraz Riley zorientował się, że będzie z nią kłopot, bo damulka nie będzie chciała wziąć forsy w zamian za oddanie głosu zgodnie z jego życzeniem.

Wiedział, że tak się może zdarzyć. Dotąd udało mu się przekupić dwóch z dziewięciu urzędników, dwóch następnych zmusił do wyrażenia zgody groźbą ujawnienia skandali, uważał jednak, że Marleni Allende ma już w kieszeni.

Allende rzeczywiście miała problemy finansowe. U siebie w kraju należała do kobiet klasy średniej, była profesorką prawa międzynarodowego, teraz, mimo wielu zasług, pracowała w poważanej, lecz mało płaconej instytucji nowojorskiej, a tu otaczali ją mężczyźni i kobiety lepiej zarabiający i żyjący na wyższym stopniu od niej. W pewnym momencie przestała ze sobą walczyć i zaczęła brać kredyty w bankach, przez co zadłużyła się w Nowym Jorku na dwadzieścia tysięcy dolarów.

Kiedy Riley i inni agenci z Sharps Partners wybrali ją na kolejny cel, zaczęli sprawdzać jej konta bankowe i natychmiast znaleźli plan, jak przeciągnąć ją na swoją stronę. Gdy Riley się z nią skontaktował, była wręcz zaszokowana, ale z pewnością podekscytowana perspektywą wyjścia z długów.

Teraz jednak wyglądało na to, że przecenił jej problemy finansowe albo raczej nie docenił jej

poświęcenia dla organizacji, w której pracowała.

A to stwarzało nowy problem.

Chciał, żeby zagłosowała przeciw sankcjom, ale jeszcze bardziej zależało mu na tym, aby była dyskretna. Gdyby ujawniła akcję przekupywania urzędników Organizacji Narodów Zjednoczonych, Rileyowi również groziłby skandal.

Pociągnął łyk piwa Tsingtao, żeby zyskać na czasie. Potem, nie wychodząc z roli detektywa Kincaida z NYPD, powiedział z brooklyńskim akcentem:

– Posłuchaj, Marleni, przyszedł tu dziś wieczorem na piechotę. Chciałaś się ze mną spotkać w tej dziurze. Jesteś ubrana jak jakieś niezbyt zamożne dziwadło rodem z powieści z Samem Spade'em, co dla mnie wcale nie oznacza, że nie będziesz działała zgodnie z naszym planem. Wręcz przeciwnie, mogę wnioskować, że zechcesz, abym zrobił wszystko, żebyś była zadowolona.

Allende pokręciła głową.

– Nie. Niczego od pana nie chcę. Wstydzę się tego spotkania. Gdyby ktoś zobaczył, że... Tak, potrzebuję pieniędzy, to oczywiste, ale nie jestem kryminalistką. Mam swoje zobowiązania wobec organizacji. Nie mogę tego zrobić. Ja nie chcę tego zrobić.

Riley spojrział na nią wyzywająco.

– Jak się będziesz czuła, gdy głosowanie tak czy owak pójdzie po naszej myśli, ponieważ większość twoich kolegów nie podzieli twojego godnego naśladowania przywiązania do swojej misji? Ty możesz być jedyną, która nie skorzysta z okazji, aby się wzbogacić.

– Wiem, że kontaktował się pan z innymi. Poznałam to po wyrazie ich twarzy, gdy przyglądałam im się w biurze. Każdy z nich chciałby wiedzieć, czy pozostali znają jego tajemnicę. Jestem przekonana, że każdy z nich obawia się tego, więc będzie siedział cicho.

Riley uniósł brwi, ale Marleni Allende podniosła szybko rękę. Na jej twarzy pojawił się wyraz zatroskania.

– Tak, tak, ja będę też cicho, niech pan w to nie wątpi. Nikomu nie powiem ani słowa o tym, co się stało. Nie chcę szkodzić przyjacielom i kolegom. Ale nie chcę też brać udziału w tej... korupcji. – Wstała. – Przykro mi, panie Kincaid. Żegnam.

Odwróciła się w milczeniu i ruszyła do drzwi.

Gdy Allende była jeszcze w restauracji, Driscoll odnotował, że w sąsiedztwie pojawił się nowy pojazd. Był to mały, czarny SUV, stał z wygaszonymi światłami przy krawężniku, około dwudziestu pięciu jardów na południe od jego pozycji na rogu Bayard i Mott. Widział tylko jedną osobę, kierowcę, ale nie był tego zupełnie pewien. Migoczące jaskrawe światło chińskich neonów po obu stronach ulicy utrudniało mu przyjrzenie się.

Marleni Allende – Sam potwierdził jej tożsamość, gdy udało mu się zrobić zdjęcie jej twarzy w czasie spotkania z Rileyem – wyszła z restauracji i ruszyła wzdłuż Mott Street, kierując się w stronę czarnego SUV-a.

Sam nie zauważył, żeby kobieta i Riley coś między sobą wymieniali. Teraz obserwował, jak szła energicznie, co odebrał jako formę demonstrowania stanowczości. Odniósł też wrażenie, że odwróciła się plecami do Riley'a, dosłownie, czyli fizycznie, ale i symbolicznie, czyli psychicznie.

– Słuchajcie – powiedział Sam. – Ta kobieta nie chce współpracować z Rileyem, teraz idzie pieszo

na północ. Na rogu ulicy zaparkował jednak podejrzany pojazd.

– Zbliżam się od południa – odparł Ding.

– Jestem na pozycji, w razie gdyby cały czas szła Canal Street – oznajmił Dom.

Sam rozsiadł się w ciemnym aucie. Chciał zacząć śledzić tę kobietę, ale wiedział, że nie może zdradzić swojej obecności, zapuszczając silnik. Obserwował więc dalej, jak Allende przekracza ulicę. W tym czasie SUV ruszył za nią, gdy nagle przejeżdżający obok sedan audi zatrąbił i gwałtownie zahamował, żeby uniknąć kolizji, po czym skręcił w Mott.

Czarny SUV, z ciągle wygaszonymi światłami, zatrzymał się.

– Mamy tu przeciwników – ostrzegł Sam. – Ten SUV chce ją albo śledzić, albo zlikwidować. Nie mogę jeszcze stwierdzić, co na pewno.

– Nie żartuj... na Manhattanie? – zapytał Dom.

– Mówię wam po prostu o tym, co widzę – odparł Sam. – Czekajcie...

SUV włączył się w ruch zaraz za audi i ruszył prosto na Bayard, w ślad za Allende. Kobieta szła teraz na północ, w kierunku pozycji Doma na rogu Canal Street i Mott. Pojazd włączył światła i ruszył w górę ulicy.

Sam zerknął szybko na restaurację azjatycką. Edward Riley wyszedł drzwiami frontowymi, po czym skręcił na południe, w przeciwną stronę od miejsca wydarzeń. Rozmawiał przez telefon, ale nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego czy zmartwionego.

– SUV jedzie za nią, ale niewykluczone, że dalej może się tym zająć inny oddział, chociaż równie dobrze mogą śledzić ją cały czas. Tego nie wiem, ale jakoś nie odnoszę wrażenia, że mają zamiar tak po prostu odjechać.

– Zdajemy się na twoją intuicję – powiedział Ding. – Idę na zachód, równoległe do ciebie. Ty zostań tam, gdzie jesteś, i przedostań się na Canal, a Dom niech ma na oku Allende, gdy będzie go mijala.

Wszyscy się z tym zgodzili i cała trójka ruszyła do akcji.

Ding czuł się jak obserwator – oczy szeroko otwarte na każdy znak, że jest śledzony. Jednak nie miał absolutnie żadnej szansy dostrzec siedemdziesięcioletniej Koreanki siedzącej w oknie na pierwszym piętrze mieszkania nad podłgą knajpą. Brudne zasłony rozsunięte były na tyle, żeby zmieścił się między nimi obiektyw kamery. Kobieta bez problemu zrobiła dwunastosekundowe ujęcie idącego ulicą Dinga.

Minutę później wysłała film do swojego miejscowego kontaktu, oficera RGB. W późniejszej rozmowie telefonicznej powiedziała mu, że ten podobny do Hiszpana facet na wideo niewątpliwie znajdował się blisko Brytyjczyka, którego miała rozkaz obserwować dzisiejszego wieczoru.

To było jej jedyne zadanie. W terenie pracowali inni agenci RGB, dla których śledziła wydarzenia w restauracji. Nigdy nie widziała swojego kontaktu, nie wiedziała nic o ich misji.

Obserwacją zajmowała się od kilku dni. Codziennie otrzymywała telefon z informacją, co tym razem jest celem – knajpa, pralnia samoobsługowa, ogródek restauracyjny w centrum handlowym, parking czy, tak jak dziś wieczorem, ulica Mott w Chinatown.

Nie miała spuszczać oczu z tego, co się działo wokół, a na co normalnie nawet nie zwróciłaby uwagi. Już drugiego dnia zauważyła, że w tych miejscach pojawił się ten sam biały mężczyzna

o ciemnych włosach. Nie znała jego imienia ani nazwiska, ale kiedy na niego wskazała, rozkazano jej obserwować go, a także innych, którzy mogli się nim interesować.

I tak to trwało przez pięć dni. W końcu odniosła sukces.

Ten wyglądający na Hiszpana mężczyzna, którego zauważyła dziś wieczorem, nie robił nic złego. Nie zbliżał się zanadto do swojego celu ani też nie zachował się inaczej niż zwykły, przypadkowy przechodzień – nie zmieniał się, chociaż widziała go już po raz trzeci.

I właśnie to mogło stanowić dla niego niebezpieczeństwo. Kobieta miała świetną pamięć. Trzy dni temu, rano, mężczyzna szedł Trzecią Aleją z kubkiem kawy w rękę, pogrążony w rozmowie z jakimś znajomym. Przecieli ulicę około siedemdziesięciu pięciu jardów od Edwarda Rileya, który właśnie pił kawę ze swoim kontaktem w Starbucks. Koreanka tkwiła w sklepie Hallmark i bezmyślnie wyglądała przez okno, obserwując przechodniów.

Dwa dni później, przed południem, robotnik w dżinsowych spodniach i koszulce siedział na schodkach do budynku mieszkalnego w Chelsea, półtorej przecznicy od miejsca, w którym Riley razem z jednym ze swoich agentów zniknął w biurowcu z piaskowca.

Koreanka była w sklepie na rogu, dość daleko od tego mężczyzny, ale wydawało się jej, że rozpoznaje w nim Hiszpana sprzed dwóch dni. Gdyby miała lornetkę, mogłaby stwierdzić, czy na pewno jest podobny. Jednak ceniła sobie bardziej własne bezpieczeństwo i dłużej nie obserwowała mężczyzny.

Jednak dzisiejszego wieczoru znowu zobaczyła tego mężczyznę w mroku, ubranego tak, jakby wyszedł tylko po to, aby pobiegać. Albo naprawdę był jednocześnie biznesmenem, robotnikiem i biegaczem, albo po prostu należał do jakiejś organizacji działającej przeciwko nim.

Wątpiła, że pracuje sam, ale nie udało się jej namierzyć współników.

Nie obchodził jej powód, dla którego miała obserwować Edwarda Rileya, tak samo jak nie interesowało jej, czym zajmuje się Edward Riley. Jednak jej dorosły syn i córka mieszkali w Korei Północnej, a jej okazjonalna praca w Nowym Jorku dla RGB sprawiała, że dostawała od nich dobre wieści. Ostatnio, gdy działała tu dla wywiadu Korei Północnej, jej syn kilka miesięcy później przysłał list, w którym pisał, że dostał nowy rower, a siostra nowe radio. Nie wiedzieli dlaczego, ale podziękowali gorąco Dae Wonsu.

Stara Koreanka z Manhattanu była zadowolona, że jej praca w Ameryce daje jej rodzinie tyle szczęścia w kraju. Mimo to wolałaby ściągnąć ich do siebie, aby zamieszkali tutaj razem z nią.

Trójka agentów Kampusu kontynuowała zabawę polegającą na taktyce żabich skoków przez Chinatown, ciągle przypominającą balet, chociaż o złożonej choreografii, bo czarny SUV znowu skręcił i teraz jechał za kobietą przez Canal Street. Marleni Allende szła niczego nieświadoma, a jej beżowy płaszcz przeciwdeszczowy wyraźnie kontrastował z T-shirtami przechodniów, którzy robili tu zakupy w kończącym już pracę rzędzie straganów na chodniku. Za kobietą, ostrożnie ją śledząc, posuwał się w ruchu ulicznym ford escape, skręcając w boczne ulice, aby zaraz potem wrócić na Canal.

Caruso ciągle miał Allende na oku. Znajdował się około stu stóp za nią, co oznaczało, że momentami poruszał się tuż za czarnym fordem. Mówił cicho, ale mikrofon chwycił jego słowa bez problemu.

– Zaczynam się czuć jak w Wietnamie. Naliczyłem w fordzie czterech. Nie zbliżają się do niej, może dlatego że otacza ją tłum.

Sam przeciskał się przez ruch uliczny, teraz zmierzając do najbliższej stacji metra na Canal. W czasie spotkania Allende i Rileya połączył się z Clarkiem, aby zdobyć informacje o kobiecie. John odczytał mu wszystko, co podali analitycy Kampusu, i Sam dowiedział się, że urzędniczka mieszka sama w Midtown.

Nie doszłaby pieszo do domu, tego był pewien. Jeżeli nie zawoła taksówki, to – mógł się założyć – pojedzie metrem. Nie miał szans zaparkować i pójść dalej piechotą, ale mógł przynajmniej odnotować zagrożenia na jej drodze.

Dom nie bał się, że Allende go zauważy. Szła z opuszczoną głową i wysuniętymi ramionami. Gdyby chciała spojrzeć za siebie, Dom od razu by zareagował, ponieważ na jednym ze szkoleń uczył się mowy ciała, więc zdążyłby przybrać taką pozycję, że nie zwróciłaby na niego uwagi.

Jednak nie to było jego zmartwieniem, tylko pasażerowie forda. Albo znajdowali się za nim, albo obok niego, albo przed nim, gdy przyspieszali na ulicy. Zakładał, że kimkolwiek byli, wiedzieli, że mają być czujni, czy ktoś ich nie śledzi.

Dom zatrzymał się zatem i zaczął z zainteresowaniem oglądać tanie koszulki oraz portfele, które sprzedawano na straganach. Przy okazji rzucił okiem na Allende i zobaczył, że śledzi ją inny zespół, chociaż nie zbliżał się do niej za bardzo.

Kiedy poszedł dalej, zauważył, że ford escape przestał ją śledzić, i ruszył dalej ulicą. Dom połączył się więc z kolegami. Od razu się zorientowali, że ford pojechał do stacji metra.

– Co w takim razie robimy, chłopcy? – zapytał Sam.

– Wy dwaj zostańcie tam – odparł Clark, który cały czas monitorował akcję. – Mnie tam nie ma, Ding też jest daleko. Dom, nie chcę, abyście schodzili do w metra, jeśli to niekonieczne, ale jeżeli uważasz, że kobieta jest w niebezpieczeństwie, zgadzam się, żebyście poszli za nią na stację. Dom? Sam? Odpowiedzcie.

Sam zobaczył, że ford zatrzymał się przy wejściu do metra. Z tyłu auta wysiedli dwaj Azjaci, po czym zbiegli po schodach.

Rzucił więc, zanim Dom zdążył odpowiedzieć na wezwanie Clarka:

– Widzę dwóch, pewnie koreańskich szpicli schodzących na stację Canal Street. Obaj noszą jasne, zapinane do dołu biznesowe garnitury.

Oczywiście używając określenia „szpicle”, miał na myśli takich samych agentów jak ci, z którymi miał kontakt w sieci. Byli to mężczyźni przysposobieni do walki. Jednak mogli też być zwykłymi bandytami, wywodzić się ze sfer wojskowych albo być złymi aktorami. Choć oczywiście mogli też być sprzedawcami ubezpieczeń wracającymi po prostu do domu.

Ale Clark mógł się założyć, że na pewno nie byli tymi ostatnimi.

– Sam, zostań w aucie. Ding, dołącz do Doma.

– Widzę go przed sobą – odparł Chavez.

Ciągle biegł, jakby uprawiał jogging, kryjąc się mimo zmniejszającego się dystansu do celu

inwigilacji.

– Ding i Dom, bądźcie blisko Allende – powiedział Clark. – Jeżeli zajdzie potrzeba, ujawnijcie się. Niech te dupki z Korei Północnej wiedzą, że tam jesteście, ale trzymajcie się daleko od wszelkiego zagrożenia. Nie ryzykujcie niepotrzebnie. Zapewne stracie kontakt z Samem i ze mną, więc spróbujcie się połączyć natychmiast, gdy tylko będzie to możliwe. Powodzenia.

Allende, idąc przed Domem w płaszczu przeciwdeszczowym, zaczęła schodzić na stację, zupełnie nieświadoma, że ktoś ją śledzi, a także tego, że tam na dole czekają już inni.

Stacja przy Canal Street była zaskakująco spokojna mimo dziesiątej piętnaście wieczorem w weekend, na schody i daleko na tory padały światła ulicznych lamp. Marleni Allende szła razem z innymi ludźmi. Dręczyły ją jednak różne niechciane myśli, więc nie do końca zwracała uwagę na to, co działo się wokół.

Weszła na peron linii N, z którego metro jechało na północ. Nadal nie mogła oderwać się od zdarzeń ostatnich dni. Próbowwała przekonać siebie, że postąpiła dobrze. Żadne pieniądze nie złagodząby poczucia winy, jakie dręczyłoby ją do końca życia, gdyby zgodziła się na korupcję. Uważała siebie za dobrą katoliczkę i chociaż tu, w Nowym Jorku, popełniła wiele pomyłek, pozaciągała długi i straciła oszczędności całego życia, to miała na tyle rozsądku, by stwierdzić, że przyjęcie łapówki od podejrzanego faceta, wyraźnie działającego na rzecz Korei, nie będzie niczym innym, jak tylko wejściem w jeszcze większe problemy.

Nie zwracała uwagi na otoczenie, więc nie zauważyła, kiedy bezpośrednio przed nią wśród tłumu na peronie pojawiło się dwóch Azjatów. Dopiero chwilę później zwróciła na nich uwagę, więc skręciła w prawo, widząc, że idą w jej stronę.

Kiedy dostrzegła, że oni też zmienili kierunek i znajdowali się teraz w odległości piętnastu stóp, podniosła głowę i spojrzała na nich. Obaj mężczyźni, nie spuszczać z niej wzroku, wyraźnie szli na nią.

Zaskoczona zwolniła kroku. Nie była przyzwyczajona do takiego zachowania, ale nie bała się. Myślała, że może chcą jej coś powiedzieć.

W odległości ośmiu stóp raczej wyczuła, niż zobaczyła, że obaj mężczyźni sięgają do kieszeni płaszczy.

Spojrzała w dół i zobaczyła, co wyjmują z kieszeni. Serce zamarło jej w piersi.

O Boże! To policjanci, wiedzą już wszystko! pomyślała.

Wtedy poczuła ręce chwytające ją od tyłu za łokcie, po czym dwóch mężczyzn łagodnie, lecz stanowczo, poprowadziło ją na skos przez peron, omijając trasę, jaką zamierzali dojść do niej Azjaci.

Kiedy spojrzała na nich, pewna, że chcą ją aresztować, jeden z nich uśmiechnął się i powiedział przyjaznym głosem:

– *¿Marleni? ¿No lo creo! ¿Como te vas, amiga?* – Marleni? Nie mogę w to uwierzyć! Co u ciebie, przyjaciółko?

Podniosła wzrok i zobaczyła Azjatów stojących na peronie z rękoma ciągle schowanymi w kieszeniach płaszczy. Wyglądali na wyraźnie zakłopotanych.

Mężczyźni, którzy prowadzili ją przez peron, chyba nie zwracali na nich uwagi.

– *¿Todo bien, chica?* – zapytał niższy. Szedł po jej lewej stronie. Zachowywał się tak, jakby znali się od dawna, i cieszyło go to niespodziewane spotkanie, jednak czuła wyraźnie, że to tylko gra.

– *¿Quién es usted?* – zapytała. Kim jesteście?

Mężczyzna po prawej był trochę wyższy, miał czarną brodę i włosy. Osłaniał ją przed Azjatami,

którzy znajdowali się teraz za nią. Kilka osób na peronie podeszło do nadjeżdżającego pociągu.

Latynos trzymający rękę na jej plecach (po akcencie wywnioskowała, że jest Meksykaninem) powiedział do niej cicho, nadal po hiszpańsku:

– Wsiądź z nami do wagonu. Wszystko jest okej. Jesteśmy przyjaciółmi.

Zrobiła tak, jak polecił. Nie dlatego, że rozumiała, o co chodzi, czy że mu ufała, ale dlatego, że było ich dwóch i choć zachowywali się uprzejmie, to wyraźnie nie przyjęliby odmowy.

Kiedy drzwi zamknęły się, Chavez odwrócił się i poszukał wzrokiem dwóch Koreańczyków. Nie mógł ich jednak dostrzec na peronie w tłumie ludzi, którzy opuścili pociąg i teraz szli ku wyjściu. Pomyślał, że pewnie wsiedli do innego wagonu, miał jednak nadzieję, że nagle interwencja jego i Doma spowolniła ich na tyle, aby nie zdążyli wsiąść za nimi.

Chavez pomógł kobiecie znaleźć miejsce. Była uległa, ale wyraźnie przestraszona.

– Pani Allende – powiedział – niech się pani uspokoi, jestem pani przyjacielem.

– Kim panowie są? – Zacisnęła ręce na torebce. Ding był czterdziestosiedmioletnim Hiszpanem i chociaż w ocieplanych spodniach i szarej bluzie nie wyglądał groźnie, to swoim zachowaniem wzbudził podejrzenia Allende, czy przypadkiem nie chce jej obrabować.

– Ci Koreańczycy śledzili panią od spotkania z Rileyem. Podejrzewamy, że mogli chcieć panią skrzywdzić. Nie pozwolimy im na to.

– Nie znam żadnego Riley'a.

– Pewnie podał pani inne nazwisko. Mówię o człowieku, z którym spotkała się pani dwadzieścia minut temu w restauracji przy Mott Street.

Twarz Allende poczerwieniała.

– Nic nie wiem...

– Nieważne. My chcemy mieć tylko pewność, że jest pani bezpieczna. Proszę pozwolić eskortować się do miejsca, gdzie moglibyśmy swobodnie porozmawiać.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi. Naprawdę. Żądam natychmiastowego kontaktu z moją ambasadą.

– Nie jest pani tu bezpieczna – odparł Chavez. – Na następnej stacji wyjdziemy na ulicę i tam skontaktujemy się z naszymi przyjaciółmi, którzy nam pomogą.

Allende podniosła się nagle. Zniknęło jej zakłopotanie, przybrała teraz władcą pozę, okazała nawet pewną dumę.

– Powiedziałam, żądam kontaktu z moją ambasadą.

Pociąg zwolnił przed stacją przy Prince Street. Dominic podeszedł do drzwi z ręką na biodrze, gotów wyciągnąć broń, gdyby jakiś agent Korei Północnej wszedł do wagonu.

– Okej – powiedział Ding. – Zadzwoń pani, dokąd chce, ale najpierw wyjdziemy na ulicę. Dobrze?

– Nie będę rozmawiała z...

Dom odsunął się od drzwi, podeszedł do urzędniczki ONZ i wyjął portfel.

– Proszę spojrzeć. – Otworzył go i pokazał legitymację. – Jestem z FBI. Pójdzie pani z nami.

– Mam immunitet dyplomatyczny.

– Gównu mnie to obchodzi. Nie jest pani aresztowana, tylko eskortowana dla bezpieczeństwa. Musi pani docenić z uwagi na to, co się stało. A teraz wysiadamy.

Zacęła się zbierać, ale trwało to piekielnie długo.

Gdy pociąg stanął na stacji, gęsty tłum – około piętnastu pasażerów, przeważnie turystów – rzucił się do drzwi w pobliżu Allende, zanim kobieta zdążyła znaleźć się na tyle blisko, żeby wysiąść. Podobna grupa tłoczyła się już na peronie. W tym czasie, gdy Chavezowi i Carusowi udało się przepchnąć ją przez ludzi, drzwi zamknęły się i pociąg ruszył dalej.

Ding spojrział na Doma.

– Niech zostanie przy drzwiach, ty rozglądaj się dookoła. Wsiadamy na następnej stacji.

– Okej.

Gdyby nie duża grupa pasażerów jadących w wagonie na stojąco, Ding i Dom może dostrzeżliby dwóch Azjatów wchodzących drzwiami między ich wagonem a wagonem z przodu. Zaraz po wejściu Koreańczycy zaczęli przeciskać się przez tłum w poszukiwaniu swojego celu. Kiedy zobaczyli kobietę i jej dwóch tajemniczych opiekunów, znajdowali się od nich w odległości tylko dziesięciu stóp. Natychmiast wepchnęli więc ręce w kieszenie płaszczy.

Caruso i Chavez zauważyli ich w chwili, gdy wyciągali broń. Odepchnęli z drogi kobietę w średnim wieku i jej dorastającą córkę, po czym unieśli pistolety, mierząc w środek grupy oszołomionych pasażerów.

Obaj agenci Kampusu też chwycili za broń. Dom sięgnął do paska pod koszulką, po swojego smith & wessona kalibru 40 mm, a Chavez wyciągnął z kabury w spodniach Glocka 26 kalibru 9 mm, po czym stanął przed Marleni Allende, zasłaniając ją.

Koreańczycy ruszyli w ich stronę, lecz agenci Kampusu uprzedzili ich ruch i cała czwórka skupiła się na celu.

W tym momencie pasażerowie zaczęli przeraźliwie krzyczeć.

W ciągu półtorej sekundy obie grupy, widząc, że znajdują się w tym samym wagonie, wycelowały broń i teraz mierzyły do siebie, trzymając bojowo pistolety w obu dłoniach. Wyciągnęli ręce i lufy znalazły się w odległości osiemnastu cali jedno od drugich.

Wokół nich ludzie padli na podłogę albo zaczęli kryć się po bokach. Cała czwórka stała tymczasem bez ruchu na środku wagonu.

Chavez był pewien, że to Koreańczycy z zagranicznej służby wywiadowczej. Zaskoczyło go jednak, że tak jawnie działają w mieście, z bronią w ręku, lecz uznał, iż broń jest po prostu narzędziem pracy zabójców, stąd zapewne wynika fakt, że są nią cali naszpikowani.

Caruso stał po prawej stronie Chaveza i teraz mierzył w faceta znajdującego się bezpośrednio przed nim, podczas gdy Ding celował w mężczyznę stojącego tylko sześć stóp przed Domem. Koreańczycy ustawili się tak samo. Cztery pistolety tworzyły niemal doskonałą literę X, kołyszącą się w rytm ruchów pociągu i Chavez nie mógł odeprzeć myśli, że on i pozostała trójka mogą równocześnie strzelić w głowę każdemu w tym wagonie, jeśli ktoś tylko kichnie.

Wyobraził sobie, że to może wyglądać tak, jakby wzięli ludzi w wagonie jako zakładników albo jedynie w niewolę. Jednak wystarczyłaby tylko jedna salwa i czterech uzbrojonych facetów padłoby trupem na podłogę w kałuży krwi.

Byłoby to koszmarnym wspomnieniem z wakacji dla tych wszystkich turystów, którzy znajdowali się teraz w wagonie.

Przez pierwsze kilka sekund panowała niczym niezmacona cisza, więc Chavez odezwał się pierwszy:

– Angielski? Który z was mówi po angielsku?

Pot spływał po czole Koreańczyka stojącego przed Chavezem. Ding nie patrzył jednak na niego, bo to Dom celował do niego i w razie potrzeby zareagowałby od razu.

Mężczyzna, w którego mierzył Chavez, miał szeroko otwarte oczy, ale nie sprawiał wrażenia spanikowanego.

– Ja – oznajmił.

Chavez skinął głową.

– To dobrze. – Uśmiechnął się lekko, próbując nieco rozładować napięcie. – Mamy kłopot, co?

Koreańczyk nie odpowiedział, więc Ding kontynuował:

– Założę się, że chcielibyście dziś wieczorem wrócić do domu, podobnie jak my. Mam rację?

Przeciwnik znów nie odpowiedział, ale zwrócił się po koreańsku do swojego partnera niskim, gardłowym głosem. Przez chwilę Chavez myślał, że tłumaczy mu jego słowa, ale i tak nie brzmiało zbyt dobrze.

Broń nieco drgnęła, gdy pociąg zaczął podskakiwać przy skręcie w lewo, ale cztery lufy nadal celowały w cztery twarze, a cztery palce nadal spoczywały na czterech spustach.

Turystka około trzydziestki zaczęła coś mówić, ale Caruso, nie patrząc w jej stronę, uciszył ją.

– Opuście broń i wysiądziecie na następnej stacji? – zapytał Chavez. – Nie będziemy wam przeszkadzać. Tak naprawdę, to... z przyjemnością wam na to pozwolimy.

Ten, który był zapewne dowódcą, pokręcił głową. Pot spływał po jego skroniach.

Pociąg zaczął zwalniać przed stacją przy Ósmej Ulicy.

Dom mówił spokojnie, chociaż zdecydowanie, nie chcąc wzniecać paniki i straszyć faceta z pistoletem wymierzonym w jego twarz.

– Proszę o spokój – rzucił. – Jestem funkcjonariuszem federalnym. Niech nikt się nie rusza, dopóki pociąg się nie zatrzyma. Gdy otworzą się drzwi, wszyscy wychodzą z wagonu. Spokojnie, bez przepychania się, bez paniki.

– Nie! Nie! Nikt nie wychodzi! – krzyknął Koreańczyk.

– Jeżeli skierujesz pistolet w cywilów, natychmiast zginiesz – zagroził Chavez. Po chwili dodał: – Wy tłumacz to też kumplowi, jeżeli nie rozumiał.

Siedzący na ławce za Domem chłopak, wyglądający na studenta college'u, szepnął:

– Czy chce pan, żebym...

– Chcę tylko, żebyś zrobił dokładnie to, co powiedziałem – przerwał mu Caruso. – Nic więcej.

W wagonie zapanowała cisza przerywana tylko stukotem kół pociągu, ale gdy Caruso usłyszał za sobą szuranie nóg, szmery ubrań i toreb, natychmiast zareagował:

– Każdy, kto wyciągnie aparat fotograficzny lub telefon z kamerą, zostanie zapewne zastrzelony, ale nawet jeśli mu się poszczęści, to ja zawlokę jego dupę do pierdła. Siedzieć spokojnie!

Dźwięki natychmiast ucichły.

Nagle szarpnęło i pociąg zatrzymał się na stacji przy Ósmej Ulicy. Cała czwórka nieco drgnęła, ale pistolety ciągle układały się w literę X. Mężczyźni i kobiety w wagonie – na szczęście było na tyle późno, że nie znajdowały się wśród nich dzieci – zachowali się nawet lepiej, niż Dom się spodziewał,

i w ciągu kilku sekund pociąg był pusty. Marleni Allende wyszła jako jedna z pierwszych. Caruso i Chavez zauważyli, że Koreańczycy, chociaż najwyraźniej brali udział w akcji życie-albo-śmierć, mieli na tyle rozsądku, żeby jej nie zatrzymywać. Skupili się na swoim trudnym położeniu.

Caruso żywił pewne nadzieje związane z tym, że pociąg zatrzymał się na stacji przy Ósmej Ulicy. Liczył na to, że ktoś powiadomi motorniczego, że w jednym z wagonów znajduje się czterech uzbrojonych ludzi, a tym samym metro zostanie zatrzymane. Jednak drzwi zamknęły się i ruszyły dalej.

Stwierdził, że znajdują się w drugim wagonie od końca składu i ludzie, którzy go opuścili, biegnąc przez peron do wyjścia, zapewne byli bardziej zajęci ucieczką z tego piekła i linii strzałów niż przejściem do przodu pociągu.

Oczywiście po wyjściu na ulicę ktoś na pewno zwróci się do pierwszego przejeżdżającego policjanta, więc Caruso i Chavez wiedzieli, że pociąg może się zatrzymać dopiero na następnej stacji, Union Square.

Ding znowu spróbował nawiązać rozmowę:

– Kobieta wysiadła. Teraz możemy się wystrzelać, co nic nam nie da. Możemy też skończyć na dziś i się rozejść.

– Mamy immunitety dyplomatyczne – odparł Koreańczyk.

– A co to ma za znaczenie? – zapytał Caruso.

– Więc opuśćcie broń – wtrącił Ding. – Teraz może was tylko czekać wydalenie z kraju. I nie będzie to wcale takie złe.

Pot spływający po twarzy Koreańczyka sprawił, że mężczyzna zaczął gwałtownie mrugać. Jego partner powiedział coś w ich języku, po czym zaczęli się sprzeczać, aż w końcu klócili się ze sobą zażarcie.

W tym czasie Caruso odezwał się cicho do Chaveza:

– Przegrali i pogubili się.

– Czas na konsekwencje popełnionego błędu – odparł Ding.

Dom wziął głęboki oddech.

– Czas kończyć.

Chavez wiedział, co towarzysz miał na myśli. Koreańczycy zapewne zaczęli dochodzić do wniosku, że teraz nie mają już nic do stracenia, a to oznaczało, że agenci Kampusu mogli za moment znaleźć się w złej sytuacji. W każdej chwili strzelanina mogła się rozpocząć, więc Chavez i Caruso też nie mieli już nic do stracenia.

Koreańczycy przestali się klócić, co oznaczało zapewne, że osiągnęli porozumienie. Pociąg zaczął zwalniać przed stacją Union Square i cała czwórka ugięła kolana, aby złagodzić moment hamowania. Chociaż nie mogli teraz zbyt wiele do siebie mówić, agenci Kampusu byli przekonani, że przeciwnicy złączą strzelać, gdy tylko metro stanie, jeszcze przed ostatnim wstrząsem wagonu poprzedzającym otwieranie drzwi. Tylko w ten sposób mogliby osiągnąć sukces, a także mieć najlepszą okazję do ucieczki.

– Ufasz mi, Dom? – zapytał cicho Chavez.

Caruso zastanawiał się tylko chwilę, żeby zrozumieć, o co mu chodzi.

– Ufam ci.

– Co ty powiedzieć?! – wrzasnął Koreańczyk znający angielski.

– Powiedziałem, że się poddam – odparł Chavez. Powoli cofnął lewą rękę z uchwytu kolby pistoletu i uniósł ją przed sobą. Gdy to mówił, mężczyzna przed nim wymierzył w niego. Chavez powoli odwrócił swój pistolet lufą w bok i zmieniając pozycję uchwytu glocka, obrócił go na osłonie spustu ku podłodze. Odwrócił się od Koreańczyka, w którego wcześniej celował, i powiedział do tego, który stał przed nim.

– Tu. Bierz to.

Gdy Chavez to mówił, mężczyzna przed nim, celujący wcześniej w Carusa, spojrzął na niego. Ta zmiana spowodowała, że przez pół sekundy był tak zaskoczony, iż nie potrafił kontrolować panującej sytuacji.

Gdy tylko przestał obserwować Dominica, ten obrócił się w prawo i strzelił do drugiego Koreańczyka, celującego w Chaveza, i trafił go w czoło.

Mężczyzna kierujący lufę pistoletu w Carusa zamarł na moment, a jego oczy powędrowały w kierunku celownika pistoletu, orientując się, że został przyłapany na chwilowej nieuwadze, gdy patrzył na jednego przeciwnika, a celował w drugiego, ale ciągle nie przestawał celować, więc zaczął naciskać spust.

Jednak nie zdążył wystrzelić. Chavez przerzucił pistolet przez rękę, złapał go mocno i położył palec na spuście. Choć broń była zwrócona wierzchem do podłogi, jej lufa celowała w napastnika stojącego przed nim. Ding nacisnął spust i pistolet wypalił. Pocisk trafił Koreańczyka w pierś, odrzucając go do tyłu. Padając na plecy, mężczyzna zdążył jeszcze wystrzelić, trafiając w sufit wagonu.

Dom skierował swojego smith & wessona w padającego mężczyznę i zanim tamten dotknął podłogi, Caruso strzelił jeszcze dwa razy.

Pociąg zaczął zwalniać. Obaj agenci Kampusu zobaczyli przez okno mnóstwo mężczyzn w ciemnozielonych mundurach, zbiegających po stopniach w odległości dwudziestu pięciu jardów od pociągu. Policja nie wiedziała, o który wagon chodzi, więc zatrzymała się u stóp schodów.

Chavez, aby uniknąć policji, ruszył szybko na tył pociągu.

– Biegniemy do tunelu!

Wyskoczyli na tory w przerwie między ostatnimi dwoma wagonami. Ostrożnie, unikając kontaktu z trzecią szyną, skierowali się na południe.

Dwa wagony za nimi policjanci z bronią w rękę wpadli do środka. Po półminutowych oględzinach w następnej minucie zaczęli podejrzewać, że ktoś opuścił pociąg i pobiegł tunelem.

Ale Caruso i Chavez byli już w połowie drogi do Ósmej Ulicy.

Biegli na południe, aby wydostać się na peron pociągu jadącego w tym kierunku. Ponieważ świadkowie wysiedli na peronie metra jadącego na północ, obaj agenci Kampusu spodziewali się, że właśnie tam będzie policja, natomiast drugi powinien być pusty – nie mylili się, na pierwszym peronie było z tuzin, albo więcej, policjantów w jasno- i ciemnoniebieskich mundurach, niektórzy z karabinami, inni z automatami, w otoczeniu świadków i przypadkowych gapiów.

Chavez i Caruso po wspięciu się na drugi peron, pięćdziesiąt jardów od tego zajętego przez policję, wydostali się na ulicę, niezauważeni przez nikogo.

Kilka minut później dołączył do nich Sam i niedługo potem byli już na Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy w kryjówece Kampusu.

Domingo i Dominic usiedli z butelkami wody i zajęli się czyszczeniem broni.

Zespół IT miał już wszystkie informacje od NYPD i zdjęcia z kamer Władz Transportu Metropolitalnego, obejmujących zasięgiem interesujący ich teren. Nie stwierdzono nic, co mogłoby pozwolić zidentyfikować agentów Kampusu, jednak zawsze istniała szansa, że może jakiś dzieciak w pociągu wyjął telefon i zrobił zdjęcie. Jawnie nikt nie dokonał zapisu wydarzeń, jakie tam miały miejsce, z tej prostej przyczyny, że nikt w pociągu, będąc narażony na śmiertelne niebezpieczeństwo, nie chciał ryzykować wyciągnięcia aparatu fotograficznego w obawie, że dostanie kulkę w głowę.

Po godzinach spędzonych w relaksującej, gorącej kąpieli, usiedli w czwórce w salonie; w trakcie rozmowy doszli do wniosku, że jakoś udało im się w czasie tego incydentu uniknąć ujawnienia swoich tożsamości. Nie mieli pojęcia, dlaczego Koreańczycy chcieli zabić zwykłego członka Komitetu do spraw Sankcji. Sam twierdził jednak, że Allende i Riley w czasie spotkania nie doszli do porozumienia, co zapewne sprawiło, że po otrzymaniu od Riley'a wiadomości, chcieli ją unieszkodliwić, aby nie powiedziała nikomu o niczym.

Żeby dojść do takiej konkluzji, należało znaleźć odpowiedzi na wiele pytań. Jednak fakty wskazywały na to, że jest to właściwe rozumowanie.

– Tak jak w Wietnamie – stwierdził Clark. – Ci Koreańczycy grają na śmierć i życie. W tak ważnej sytuacji wystarczy jedna osoba, która zacznie mieć wątpliwości, i wszystko się wali. Korea Północna idzie na całość, stosując metody ostateczne. Biorą udział w ohydnej grze i nigdy nie możemy przewidzieć, jak będą działać. Koniecznie musimy wziąć to pod uwagę.

Adam Yao siedział w pokoju konferencyjnym o szklanych ścianach na drugim piętrze Biura Wywiadu Narodowego. Okna wychodziły na południowy zachód, na zielony las na stoku wzgórza zasłaniającego widok każdemu, kto jechał Capital Beltway. Adam był przekonany, że to wzgórze zostało utworzone sztucznie właśnie z tą właśnie myślą, niemniej był to relaksujący, piękny widok na zielen. Jednak nie mógł się nim długo rozkoszować. Spuścił wzrok na stosy książek, notesów i dokumentów leżących przed nim na stole.

Musiał zabrać się do roboty.

Przez cały miniony tydzień po szesnaście godzin dziennie przekopywał się przez operację „Acrid Herald”, w ramach której CIA zamierzała wysłać go do kopalni minerałów ziem rzadkich w północno-zachodniej części Korei Północnej. Rano miał wyjechać na Zachodnie Wybrzeże Stanów, a stamtąd do kopalni w Valley Floor w Kalifornii. To właśnie tam miał przejść specjalistyczne szkolenie, żeby jeszcze bardziej uwiarygodnić swoją legendę przed wyjazdem do Chin.

„Acrid Herald” było zaszyfowaną nazwą tej akcji. Tylko kilka wybranych osób z wywiadu Stanów Zjednoczonych wiedziało, na czym polega. Dla bezpieczeństwa operacji nikt z oddziału CIA w Seulu nie został o niej poinformowany, a już z pewnością nie wiedział o niej nikt w agencji wywiadu Korei Południowej, bo Korea Północna na pewno miała swojego agenta w ich służbach.

Nawet większość członków centrali w Langley nie została wtajemniczona. Wybrany do tej akcji agent został ulokowany w specjalnym centrum operacyjnym mieszczącym się w Biurze Dyrektora Wywiadu Narodowego w Liberty Crossing.

Część dni Adam spędził na zapamiętywaniu wszystkich słów szyfru, znaków, częstotliwości radiowych i innych informacji, które mogły mu być potrzebne w czasie pobytu w Korei. Jego pseudonim operacyjny brzmiał Avalanche (Lawina), wygenerował go dla niego program komputerowy. Adamowi podobało się jego brzmienie, szczególnie dlatego że powiedziano mu, iż ostatnio stworzony kryptonim dla agenta płci męskiej brzmiał Sunflower (Słonecznik).

Adam jakoś nie czuł sympatii do Słonecznika, kimkolwiek ten był, i miał nadzieję, że jego misja przebiegnie bez komplikacji i bez konieczności interwencji sił szybkiego reagowania – w związku z owym Słonecznikiem.

Przyjął więc swój pseudonim entuzjastycznie. Operacja, w jakiej miał wziąć udział, mogła być piekielnie trudną i niebezpieczną misją, ale przynajmniej – Adam próbował w ten sposób przekonać sam siebie – wyposażyli go przed wyjazdem we wszystko, co potrzebne, razem z tym pseudonimem.

Jeżeli plan przewidywał wysłanie Adama do Valley Floor, aby zdobył większą wiedzę, to równocześnie musiał się przekonać, czy jego system komputerowy będzie działał w Chöngju. Wiedział też, że musi na wylot znać swoją umożliwiającą trzymanie się w ukryciu legendę, gdy będzie opuszczał Kalifornię, zatem całe popołudnie ostatniego dnia spędził w LX2, jeszcze raz analizując swoją nową biografię. Znał ten typ pracy i teraz to go bawiło – czuł się jak aktor uczący się roli i chociaż każdy ruch na scenie był czystą improwizacją, dobrze poznał charakter przybranej

postaci, jej wychowanie, okoliczności dorastania, wykształcenie i doświadczenie życiowe. Teraz, w nowym wcieleniu, mógł już to wszystko powołać do życia.

Według tej legendy Adam nazywał się Shan Xin, był trzydziestopięcioletnim inżynierem mechanikiem, Chińczykiem z Nanchang, który przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Tam ukończył uniwersytet w Chicago, ale potem przedłużył sobie studencką wizę na dalsze czternaście lat. Górnicy gangsterzy z Szanghaju mówili, że chce zatrudnić się w sektorze górniczym jako ekspert od mechanicznej obróbki rudy, szczególnie w zakresie wykorzystania do niej komputerów sterujących pracą hydraulicznych kruszarek, potężnych maszyn, które przerabiały rudę na drobne cząstki, potem oddzielić z minerały ziem rzadkich do dalszych procesów przetwórczych w zależności od jakości minerałów. CIA zdobyła informacje na ten temat dzięki włamaniu do systemów chińskich gangsterów górników, którzy pracowali już w Korei Północnej, używając gigantycznych kruszarek, razem z systemem hydraulicznego zasilania. Sprzęt został tam po działaniach Chinalco, choć Chińczycy zabrali wcześniej komputery, gdy Choi wyrzucił ich ze swojego kraju.

Nowy komputer był w drodze z Francji przez Bułgarię, ale CIA zdążyła już dostać się do niego w magazynie spedytora portowego i umieścić tam program pozwalający Adamowi używać urzędnika jak czegoś, co było podobne do bezpośredniej linii telefonicznej do jego dowództwa, albo do kontaktu z kontrolującym go agentem w Biurze Dyrektor Wywiadu Narodowego.

W istocie Adam, albo raczej Shan Xin, mieszkając i pracując w USA przez minione osiemnaście lat, mógł liczyć zarówno na swoją wiedzę dotyczącą koniecznego wyposażenia, jak i na fakt, że nikt inny w nielegalnej kompanii górniczej nigdy o nim nie słyszał. Oczywiście w tego rodzaju tajnej pracy zawsze istniała szansa, że Adam może natknąć się na kogoś, kto będzie twierdził, że wie, kim jest naprawdę. Aby tego uniknąć, musiał bardzo dobrze znać swoją legendę.

Jak każdy dobry tajny agent, Adam, potrafił gładko wplatać własne życiowe doświadczenia do legendy – to zawsze pomagało w uwiarygodnieniu jej. Im więcej prawdy się w niej znajdzie, tym mniejsza szansa złapania na oszustwie.

Musiał też ukryć fakt, że rozumie koreański i umie się nim posługiwać. On i prowadzący go oficerowie w operacji „Acrid Herald” zakładali, że Koreańczycy będą swobodniej rozmawiać między sobą, myśląc, że ich nie rozumie. Stosunki między górnikiem z Korei Północnej i nielegalnymi robotnikami z Chin z pewnością nie układały się najlepiej, więc CIA chciała dowiedzieć się jak najwięcej z tego, co Koreańczycy będą mówić między sobą w swoim języku, niż jakie informacje będą przekazywać po chińsku.

Koreański Adama nie był najlepszy, chociaż mężczyzna ukończył błyskawiczny kurs tego języka, który miał podnieść jego umiejętności do poziomu osób pobierających intensywne nauki. Tego ranka pracował nad swoimi kompetencjami z rodowitym Koreańczykiem, znającym doskonale język i pracującym jako tłumacz i nauczyciel w CIA. Dodatkowo przez kilka wieczorów wysłuchiwał nagrań, co pozwoliło mu choć trochę udoskonalić wymowę, jednak dziś skupił się na słownictwie związanym z przemysłem górniczym.

Szkolenie Adama nie zakończyło się po opuszczeniu Wirginii. Podróż do Valley Floor miał odbyć w towarzystwie instruktorki, Myun, która jednocześnie miała odgrywać rolę jego żony, żeby wieczory mogli spędzać razem na nauce.

Spodziewał się, że będzie przebywał tam nie dłużej niż półtora tygodnia, lecz nawet te dziesięć

dni nauki języka mogło zaważyć na powodzeniu operacji.

Adamowi wcale nie przeszkadzało, że Myun była atrakcyjną kobietą. Jednak pechowo dla niego była mężatką, a jej mąż, blondyn o niebieskich oczach, analityk CIA z Bostonu, natknął się na nich kilka razy w laboratorium językowym. Wtedy stwierdził, że Yao jest miłym facetem i chociaż nie znał istoty jego operacji, postanowił udzielić mu wsparcia.

Przebywanie w jednym mieszkaniu przez półtora tygodnia z atrakcyjną mężatką było trochę nietypowe, ale Adam wiedział, że to, co robi, pracując jako szpieg, też jest nietypowe.

Jego życiem nie rządziły ani normalność, ani typowość.

Było już późne popołudnie. Zamknął jedną książkę instruktażową i sięgnął po następną. Właśnie zaczął czytać o obróbce rudy, gdy w szklane drzwi pokoju konferencyjnego zapukała Mary Pat.

Adam skinął jej dłonią i wstał.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Adamie – powiedziała.

– Ależ wcale pani nie przeszkadza – zapewnił Yao. – Miło mi panią znowu widzieć.

Przez chwilę milczała.

– „Acrid Herald” zaczyna się. Rano wyjeżdżasz.

– Znakomicie.

Usiedli.

– Ostro wzięli cię w obroty, co?

– Wbijano mi w pamięć legendę. Dostałem szyfry, dane techniczne do rozpracowania, żeby nie popełniać błędów. Tu wykułem na pamięć cały proces obróbki rudy i mechanizm kruszenia, ale aktualne informacje zaczerpnę z programu komputerowego w Kalifornii. Pracuję też nad moimi umiejętnościami językowymi – dodał. – Realizuję moje zadanie związane z „Acrid Herald”.

– Ja również – odparła Mary Pat – i widzę, że inni też robią swoje. Nie chcę się bawić w rządzenie, wdając się zbytnio w szczegóły tej operacji, ale dziś już dwa razy zapoznałam się z danymi dostarczonymi przez obu kierujących tobą oficerów. I wiem już, jakie niebezpieczeństwo ci grozi, co ryzykujesz. Nie mogę tam być razem z tobą... ale...

– Pani Dyrektor. Wiem, że większość swojej kariery spędziła pani na pracy w terenie. Proszę mi zaufać. Pani wie, jak obecnie ważne jest zaufanie.

Foley uśmiechnęła się. Adam dał jej czas na odpowiedź, ale gdy zorientował się, że nie zamierza jej udzielić, dodał:

– I chociaż doceniam to, że przyszła pani zobaczyć się ze mną przed wyjazdem, zastanawiam się, czy istnieje coś szczególnego, co chciałaby mi pani przekazać.

Spojrzała przez okno na zielone drzewa.

– Ostatnio straciłam dobrego przyjaciela. Agenta operacyjnego. Nie był podobny do ciebie, był dużo starszy. Pechowo był żołnierzem w czasach zimnej wojny, a nawet później.

Adam odchrząknął niepewnie.

– Straciła go pani?

– Został zamordowany – uściśliła. – Nie pracował dla Agencji, ale zginął w terenie. Nie wiemy na pewno, ale jest całkiem możliwe, że zabili go Koreańscy.

– Trochę niepokoi mnie, dlaczego nic o tym nie słyszałem w czasie przygotowań do tej operacji.

– Oficjalnie nie pracował dla Agencji. Był wolnym strzelcem, zatrudnionym czasowo w firmie

wywiadowczej. Nie znamy jego powiązań z ostatnimi wydarzeniami. W każdym razie do tej pory jeszcze nic nie wiemy.

Yao milczał.

– W mojej pracy nie ma miejsca na sentymenty, ale w tym wypadku... Przestałabym uważać się za istotę ludzką, gdybym wystrzegą się w pracy wszelkich sentymentów.

– To zrozumiałe.

– Wiem o wszystkim, co wydarzyło się w Chinach w ostatnim roku.

– Tak? – odparł Adam.

Pochyliła się trochę bliżej ku niemu.

– I wiem o Jacku juniorze.

Yao spotkał syna prezydenta Stanów Zjednoczonych w Hongkongu. Ryan twierdził, że pracuje w prywatnej firmie inwestycyjnej, ale Yao wkrótce zorientował się, że był to tylko kamuflaż w misji wywiadowczej, w której Ryan brał udział. Syn prezydenta nie pracował dla CIA, to było zupełnie pewne, ale jednocześnie Yao nie miał żadnych złudzeń, że Ryan był w bezpośrednim kontakcie z dyrektorem Wywiadu Narodowego. Yao pomyślał, że to było niemal komicznie surrealistyczne, gdy on wraz z synem prezydenta prześlizgiwali się przez granicę na teren Chin. Jednak cała ta zabawa skończyła się, gdy doszło do otwartej wojny.

Yao i Ryan zakończyli swoje misje, ale Ryan zataił, dla kogo dokładnie pracował. Natomiast Yao po powrocie do Stanów otrzymał instrukcje, aby nie wymieniać w raporcie Jacka Ryana juniora. Nikt później nie wspominał o obecności syna prezydenta w Chinach i Yao też nikomu nic nie mówił.

Domyślał się, że Mary Pat wiedziała o zaangażowaniu Ryana w operację chińską, jednak nie spodziewał się, że poruszy teraz ten temat. Zapanowała więc niezręczna cisza.

– Tak? – wydusił w końcu.

– To skomplikowana sprawa i nie dotyczy twojego udziału w „Acrid Herald”, ale muszę nadmienić, że jeżeli ktoś zechce wymusić od ciebie informacje na temat tamtej sprawy z Jackiem, to nie możesz nic powiedzieć.

Yao zastanawiał się przez moment, czy Foley da mu fiolkę cyjanku. Jasna cholera, przecież takie sytuacje zdarzają się tylko w filmach, prawda?, pomyślał.

– Tak... – powtórzył. Po chwili dodał z nerwowym chrząknięciem: – Z pewnością niczego nie zdradzę.

W pierwszej chwili zaniepokoił go fakt, że prawdopodobnie zabrzmiało to nieco sarkastycznie, ale z ulgą zobaczył, że Foley wzrusza ramionami, jakby cała sprawa była bez znaczenia.

– Jestem pewna, że twoi agenci kontrolujący mówili ci coś na temat możliwości nagłej ewakuacji.

Miała na myśli ucieczkę w razie zdemaskowania.

– Chce mi pani powiedzieć, że jest ich niewiele?

Foley skinęła głową.

– Tak. W razie wpadki najlepszym wyjściem jest przedostanie się do Chin. Granica jest strzeżona, ale naturalnym kierunkiem są góry, rzeki i tym podobne. Chociaż trudno się przedostać do Chin, to w razie nagłej konieczności może to być dla ciebie najlepsza droga.

– Tak, mówiono mi o tym, zapamiętałem różne kierunki ucieczki.

– Ważne jest również – dodała – żebyś pamiętał, że jeśli nawet uda ci się przedostać na teren

Chin, nadal nie będziesz bezpieczny. Jeżeli znajdą cię Chińczycy, będziemy mogli cię stamtąd zabrać, ale agenci Korei Północnej również patrolują granicę na ich terytorium, szukając zdrajców i szpiegów. Jeżeli oni ciebie złapią, zawloką zapewne z powrotem przez rzekę Yalu na swój teren.

Adam westchnął głęboko. Wiedział to, ale nawet nie chciał o tym myśleć.

– Zgadza się. To komplikuje ewakuację przez granicę.

Kontrolujący go agenci zamierzali zaszyć w jego ubraniu fałszywe papiery, które pomogłyby mu w razie ucieczki przez Chiny. Poszli nawet tak daleko, że chcieli przygotować dokumenty mówiące, że jest mieszkańcem graniczącej z Koreą Północną prowincji Liaoning.

Ostatecznie zrezygnowali. Był to jednak sposób nagłej ucieczki, a wcześniej Koreańczycy mogliby znaleźć przy nim te dokumenty. Natychmiast zostałby wzięty za szpiega, co skończyłoby się tragicznie. Zatem ostatecznie postanowiono wysłać go tam „nagiego”.

Gdyby złapali go Chińczycy, zostałby tylko uwięziony. Gdyby po którejkolwiek stronie granicy złapali go Koreańczycy, zostałby rozstrzelany.

– Istnieje jeszcze inny sposób, aby wydostać cię z Korei Północnej, ale to najgorszy z możliwych scenariuszy.

Adam nie wiedział, o co chodzi.

– Zamieniam się w słuch.

– To część najbardziej tajnego planu, o którym nie musisz nic wiedzieć. – Przerwała. – O ile oczywiście już o nim wiesz. Proszę jednak, żebyś mi pod tym względem zaufał. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego.

Adam nie miał pojęcia, o czym Foley mówi ani dlaczego, ale mimo to jej podziękował. Potem Mary Pat wstała, uścisnęła dłoń Adama i powiedziała:

– Powodzenia, Avalanche. Pamiętaj, że potrzebuję informacji wywiadowczych, ale jeszcze bardziej potrzebuję takich ludzi jak ty. Nigdy dość ostrożności, jeśli chodzi o osobiste bezpieczeństwo.

– Dziękuję, pani dyrektor – rzekł Yao.

– Kiedy już skończysz to robić, chcę powitać cię w domu całego i zdrowego.

Yao uśmiechnął się.

– Kiedy już skończę, wrócę do domu cały i zdrowy.

Kiedy skończyła im się kawa w kryjówce, John Clark uznał to za całkowicie nie do zaakceptowania. Po strzelaninie Sam, Ding i Dom zostali wysłani rano, aby śledzić pracownika Sharpsa nazwiskiem Bridgeforth, więc Clark postanowił wyskoczyć na miasto po kubek prawdziwej kawy. Na tyle, na ile się orientował, najbliżej miał do 7-Eleven, bowiem w pobliżu znajdowały się jedynie jakieś małe winiarnie – on tylko potrzebował mocnego zastrzyku kofeiny – a najbliższa kawiarnia była w sąsiedztwie jego kondominium, więc tam właśnie się udał.

Po dziesięciu sekundach chciał jednak zrezygnować i wyjść. Panował tam cholerny tłok, ale miał już za sobą chłopców wyglądających na studentów college'u, którzy skutecznie blokowali wyjście, więc tylko westchnął i czekał na swoją kolej. Nawet o tej porze, o dziewiątej rano, tłum był duży, chociaż większość tych ludzi powinna w tym momencie być – przynajmniej na tyle, na ile Clark się orientował – w pracy. Jak na jego gust ta dziura stała się zbyt popularna; był tu stałym klientem przynajmniej od ćwierćwiecza. Gdy teraz spojrzął na ogromne menu napisane ręcznie kredą na tablicy wiszącej na ścianie i zobaczył ekspres do kawy – stwierdził, że oferowano tu zbyt szeroki zakres usług, żeby to miejsce nazywać tylko kawiarnią, gwarantującą serwowanie każdej wyobrażalnej kombinacji kawy ziarnistej z pianką i herbaty, przewrócił oczami ze zdumienia na myśl o pozornie nieskończonych opcjach dotyczących syropów, wszelkich słodkości, herbatników i różnego rodzaju protein w proszku, jakie można dodawać do drinków.

Czekając na swoją kolej, miał szczerą chęć poprosić – jeśli w ogóle miałyby na to szansę – tę smętną dziewczynę za kontuarem, ze szpilką wklutą w przegrodę nosa, żeby mu podała poza kolejką kubek zwykłej, normalnej czarnej kawy, ale na szczęście mógł marnować swój czas na czekanie i studiowanie spisu sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu wersji kawy na tablicy. Ku swej uldze po drugim przejrzaniu menu ujrzał w końcu, że ten lokal mógł zaoferować mu też coś tak nietypowego i dziwaczного jak ta wymarzona zwykła czarna kawa.

Jego transakcja poszła gładko, nawet trochę się uspokoił i przy okazji kupił wieloziarnistego bajgla, a potem usiadł na tyłach lokalu przy małym stoliku.

Na krześle obok niego leżał egzemplarz „The New York Timesa”. Wziął go do ręki i rzucił okiem na pierwszą stronę.

Prezydent Ryan oberwał od „Timesa” za swoje stanowisko w sprawie Korei Północnej. Clark nie dotarł nawet do pierwszego artykułu, aby o tym przeczytać. Inwektywy znalazł już na pierwszej stronie, zaraz nad tekstem relacjonującym najświeższe wiadomości. Głosowanie proceduralne w następnym tygodniu wydawało się dobiegać końca i „Times” donosił, że Korea Północna obiecała przeznaczyć lokaty na kontach bankowych na pomoc swoim obywatelom. Twierdziła też, że każda forma restrykcji, która mogła temu przeszkodzić, przyczyniłaby się do zagłodzenia na śmierć niewinnych ludzi.

„Times” forsował tezę „ufaj, ale sprawdzaj”, pozostawiając Korei Północnej swobodę w dysponowaniu kontami tak, aby mogła lokować twardą walutę na zagranicznych kontach

bankowych. Widziano też ograniczenie obejmujące konieczność wyrywkowych kontroli przez zachodnich inspektorów księgowych, którzy mieli sprawdzać transakcje finansowe, aby mieć pewność, iż Korea Północna nie wydaje za granicą pieniędzy na narkotyki, fałszerstwa albo na nielegalny handel bronią.

Clark jęknął ze zgrozą. Nie był księgowym, ale znał tych dupków, przez co mógł się uważać za eksperta w sprawach dotyczących poczynań Choia. Dobrze znał tego szalonego człowieka i wiedział, że nie można mu ufać. Nigdy nie udostępniłby autentycznej księgi i rejestrów inspektorom.

Jeżeli głosowanie w Komitecie do spraw Sankcji ONZ nie pójdzie zgodnie z życzeniem prezydenta USA, wtedy Choi będzie mógł realizować swoje ogólnoświatowe machinacje przestępcze. Albo, podsuwając Organizacji Narodów Zjednoczonych fałszywe księgi, będzie maskował wszystkie swoje działania i może upłynąć pięć lat, zanim ONZ ogłosi, że naruszył porozumienie, i zacznie działać.

A w ciągu tych pięciu lat Choi może już mieć swoje wymarzone rakiety balistyczne dalekiego zasięgu. Wtedy ONZ nie będzie mogła go już zatrzymać.

Clark rzucił ze złością gazetę na stół i gdy podniósł wzrok, dostrzegł, że naprzeciwko, bardzo blisko, siedzi mężczyzna. Miał falujące blond włosy z pasemkami siwizny, a na jego rumianej twarzy gościł szeroki uśmiech.

Jasna cholera, pomyślał Clark. Duke Sharps.

Nie okazał jednak zaskoczenia, milczał, wpatrywał się tylko w siedzącego przed sobą mężczyznę tak lodowatym spojrzeniem, że trudno byłoby wyczytać coś z jego oczu.

Sharps ciągle uśmiechał się szeroko. Clark był pewien, że to fasada i mężczyzna w niebieskim blezerze i koszuli w paski wywarł na Johnie wrażenie, iż bardziej nadawałby się na pasażera lub właściciela jachtu w Palm Beach niż klient tej hipisowskiej knajpy na Manhattanie.

Duke odezwał się pierwszy:

– John Clark. Minęło już piekielnie dużo czasu. Jak się miewasz, bracie?

Wyciągnął rękę, a Clark uściśnął ją niechętnie i nią potrząsnął. Oczekiwał ze strony Sharpsa ataku albo pogroźek, bez względu na to, jaki sposób rozmowy zechciałby wybrać. Jednak przeciwnik się nie spieszył.

– Kiedy i gdzie spotkaliśmy się po raz ostatni? Chyba wtedy, gdy opuszczałem Biuro. Brałeś udział w akcji Rainbow. To było w Wielkiej Brytanii, prawda?

– Co mogę dla ciebie zrobić, Sharps?

– A więc przechodzimy do sedna sprawy, co? Widzę, że nie chcesz marnować mojego czasu. Doceniam to. – Sharps chwycił egzemplarz „Timesa” i wskazał artykuł, który Clark przed chwilą czytał. – Nawet ślepa kura raz na jakiś czas znajdzie ziarno. Nie trzeba lubić „Timesa”, żeby wiedzieć, że tym razem mają rację. To nie Korea Północna jest tu tym złym facetem. Z nimi tak wielu współpracuje na rynku jak z żadnym innym krajem. Sądzę, że nasz pieprzony prezydent powiedział im, że długo nie zajmują się zyskownym handlem bronią, to, skąd mają brać forsy i jak mogą wydawać pieniądze, nic nas nie obchodzi, prawda?

Clark westchnął.

– Od kiedy to stałeś się pełnoprawnym członkiem Fair Play komitetu na rzecz Korei Północnej? – Clark nawiązał do Lee Harveya Oswalda. Pracował w grupie Fair Play dla komitetu kubańskiego, organizacji protestującej, żeby rząd Stanów Zjednoczonych przestał stosować tak restrykcyjne

metody wobec tej komunistycznej wyspy.

Sharps zaśmiał się, po czym powiedział:

– Tym razem, Clark, to ja mam rację, ale mój zespół, debatujący w akademickim stylu, jest daleko w tyle za mną. Nie będę próbował cię przekonać. – Pochylił się do przodu, opierając się na łokciach. Znowu się roześmiał. – Wczoraj mój współnik wspomniał, że przypadkowo widział twojego kumpla w Turtle Bay. Przypuszczam, że to mógł być oczywiście przypadek, ale dał mi wiele do myślenia. Jesteś tak samo jak ja szcwanym lisem i wiesz, że w tym wypadku nie było czegoś takiego jak zbieg okoliczności. Powęszyłem za twoim kumplem, a on zaprowadził mnie do ciebie. Zajął się tobą jeden z moich ludzi i to, co znalazł, podsunęło mi myśl, że ty też dla kogoś pracujesz. Ale nie w Agencji, nawet nie w sekcji szkoleniowej, zatem domyślałem się, że jesteś zaangażowany u kogoś przy badaniu kontaktów. – Sharps pochylił się niżej. – Może niektórzy się ciebie boją. Jesteś starym wyjadaczem. Ale na tyle, na ile się orientuję, tu działa głównie słowo „stary”, czyli doświadczony.

Clark nie był ani „starym wyjadaczem”, ani nie był ogólnie „stary” czy coś w tym stylu. Były to archaiczne określenia używane przez Zielone Berety sił specjalnych Stanów Zjednoczonych, a Clark służył w Navy SEAL. Nie spodziewał się, żeby Sharps znał różnicę między tymi formacjami, i wcale nie zamierzał go o niej uświadamiać.

– Siedzę tu i gadam z tobą z zawodowej uprzejmości – kontynuował Duke. – Jestem tu po to, aby cię grzecznie poprosić, żebyś zabrał swoją bandę domytych chłopców na Penn Station, a potem wsiadł razem z nimi do pociągu jadącego do Dystryktu Kolumbii. Ty jesteś tu obcy. Jeżeli moi i twoi ludzie się ze sobą zderzą... no, wtedy ktoś może oberwać.

Clark zacisnął zęby. Nie chciał powiedzieć tego, co cisnęło mu się na usta. Wiedział, że musi przyjąć tę sytuację jako tymczasowe taktyczne niepowodzenie. Sharps w jakiś sposób zorientował się o jego operacji i był to paskudny cios, ale Clark ustalił szybko jedną rzecz. Duke się pomylił, nie wiedział, na czym właściwie polegała akcja Kampusu. Najwyraźniej uważał, że John działał dla którejś z zagranicznych ambasad albo delegacji ONZ. Mogło to być coś wysoce nielegalnego, lecz Sharps nie miał co do tego zastrzeżeń ani na gruncie prawnym, ani moralnym. Jego konfrontacja z Clarkiem dotyczyła tego, że uważał, iż Clark próbuje chronić jednego z delegatów, który był celem Sharpsa i Rileya.

Gdyby Clark w tym momencie odpuścił, to zwiększyłby tylko ciekawość Sharpsa. Dużo lepiej, stwierdził, jeżeli Duke dalej będzie myślał, że wygrał, a operacja dobiegła już końca.

Clark po raz pierwszy w czasie tej rozmowy, a także po raz pierwszy w życiu, kategorycznie się temu sprzeciwił i powiedział z długim, powolnym skinieniem głowy:

– Trudno znaleźć w tych czasach dobre wsparcie. Moi ludzie nawalili. Pieprzone gliny Keystone'a⁸. – Dostrzegł błysk w oku Sharpsa. Teraz Duke sprawiał wrażenie człowieka pewnego swej władzy i wartości. Zwycięzca, świetny w swym tryumfie, lecz zdolny do wygłoszenia takiego oto wspaniałomyślnego komentarza:

– To się zdarza, przyjacielu. Albo może to moi ludzie mieli tylko szczęście.

Clark wyjął z kieszeni telefon i wystukał numer Dinga. Kiedy Chavez odebrał, John rzucił jedynie:

– Wracaj na miejsce, wszystko anulowane. Zabieraj siebie i innych na Penn Station. Masz na to dziewięć minut. – Przerwa. – Zrób tylko to. Tam się spotkamy.

Rozłączył się i schował telefon do kieszeni dzinsów. Oczy Sharpsa nadal błyszczały, Clark jednak

wzruszył ramionami jak ktoś, kto został zdemaskowany, ale zachowuje się tak, jakby dla niego nie było to czymś istotnym.

– Co, u diabła, w dodatku jeszcze ta forsa. Dla każdego gównno. Pomyśl tylko, zatrudnili nas oni w Port-au-Prince tylko za żarcie i alkohol.

Sharps uśmiechnął się.

– Och... – I z nonszalancją, którą Clark odczytał jako udawaną, powiedział: – Teraz, gdy już jest po wszystkim, to może mi powiesz, dla której delegacji pracowałeś? Według mnie było to Chile albo Dania, ale jestem przygotowany na to, że mnie zaskoczysz.

Clark machnął ręką i ostentacyjnie wzruszył ramionami.

– Posłuchaj, Duke. Wracamy do domu z podwiniętą kitą. Więc pozwól mi chociaż zachować odrobinę szacunku do siebie, nie odzieraj mnie zupełnie z zawodowej przyzwoitości i nie zmuszaj do ujawnienia tożsamości mojego klienta.

– Miałeś wiele dni chwały w swojej karierze – odparł Sharps. – Cholernie dobrze ci szło, ale każdy się starzeje. Traci wyczucie. – Uśmiechnął się, sprawiając wrażenie, jakby czuł się winny wobec siedzącego przed nim mężczyzny. – Jeżeli ktoś cieszył się z bycia najlepszym, powinien też cieszyć się, że ma już to za sobą.

Clark westchnął głęboko trzy razy, starając się obniżyć ciśnienie krwi, a potem wstał i wyciągnął rękę.

– Dziękuję, Duke. Jestem ci zobowiązany.

Sharps ucisnął dłoń Clarka, ale nadal siedział. Tymczasem John przecisnął się przez tłum hippisów, wyszedł z kawiarni i skierował się do kryjówki Kampusu. Założył, że jest obserwowany, bo Sharps skądś wiedział, że poszedł do kawiarni przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, co z pewnością oznaczało, że znał też ich centrum operacyjne w sąsiednim budynku.

Po pięciu minutach Clark wszedł do mieszkania, gdzie zastał Sama i Doma pospiesznie pakujących rzeczy, a Dinga stojącego na środku pokoju z glockiem przy biodrze i zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– Z tobą wszystko okej?

– Poczuję się lepiej, gdy zwymiotuję.

– Co się stało?

– Sharps nas załatwił. Nie wiem, jak i dlaczego to zrobił, ale mu się udało.

– Więc wszyscy się stąd zmywamy? – zapytał Sam.

– Nie – odparł Clark. – Sam, ty tu zostajesz. Wynajmiesz mieszkanie albo pokój w hotelu z widokiem na wejście budynku Sharpsa. Zamkniesz się tam na klucz i będziesz obserwował, kto wchodzi do środka i stamtąd wychodzi. To może być gówniana robota, ale masz program do rozpoznawania twarzy i kamerę wideo.

– Nie ma sprawy – odparł Sam.

– Reszta z nas jedzie do domu, ale jeszcze tu wrócimy.

– A co z głosowaniem w ONZ? – zapytał Caruso.

– Domyślam się, że głosowanie skończy się dla nas niepomyślnie i Komitet do spraw Sankcji nie weźmie pod uwagę petycji o zwiększenie sankcji ekonomicznych dla Korei Północnej.

Caruso nie mógł w to uwierzyć.

– Zatem Sharps wygrał?

– Tak, wygrał bitwę, ale tylko bitwę. Ja chcę jednak upokorzyć sukinsyna. Nic nie sprawi mi nigdy większej przyjemności.

Irański wytwórca bomb Adel Zarif przybył do Mexico City na syryjskich papierach. Przyleciał z Pjongjangu do Hawany, gdzie czekał jeden dzień na połączenie. Nawet na Kubie był obserwowany przez agentów z Korei Północnej, którzy co prawda pozwolili mu działać swobodnie, ale ograniczyli swobodę ruchów.

W Mexico City, po wylądowaniu na międzynarodowym lotnisku Benito Juárez, spodziewał się spotkać agentów RGB, ale zamiast nich czekał na niego członek kartelu Maldonado. Przedstawił się jako Emilio i mówił po angielsku. Zarif nauczył się tego języka w Libanie i chociaż nie posługiwał się nim tak płynnie jak Emilio, mogli porozumieć się bez problemu.

Razem pojechali zatłoczonymi ulicami śródmieścia do Tepito. Tam Zarif został zaprowadzony na pierwsze piętro budynku chronionego przez trzech mężczyzn, którzy wyglądali tak, jakby niedawno ukończyli dwadzieścia lat.

Dostał do dyspozycji małe mieszkanie na tyłach domu. Stała w nim lodówka wypełniona butelkami piwa Pacífico, którego nie zamierzał pić, oraz jakąś zagraniczną żywnością, której nie zamierzał jeść. Emilio był na każde jego zawołanie, przez co mógł go wysyłać, po co tylko chciał: na przykład po wędliny, sałatę, chleb i butelkę wody.

No i otrzymał też laptopa. Zarif miał do wykonania mnóstwo pracy, aby przygotować meksykańską operację, więc nie zamierzał spędzać czasu na siedzeniu bez przerwy w jakimś mieszkaniu i czekaniu, aż coś się wydarzy.

Pod koniec pierwszego dnia Emilio dostarczył Zarifowi także nowy telefon komórkowy i używany laptop, który połączył z sygnałem WI-FI z kafejki internetowej znajdującej się na parterze, tak żeby Zarif mógł rozpocząć swoje działania.

Powiedziano mu, że kartel Maldonado ma swoich ludzi w Policji Federalnej i to właśnie oni spotkają się z nim pięć dni przed przyjazdem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jednak teraz Zarif spędzał praktycznie cały czas na YouTube, przeglądając nagrania z poprzednich wizyt Jacka Ryana w tym mieście.

Od początku wiedział, że przejazd kolumny prezydenta może być dla niego najlepszą okazją do działania. Nawet gdyby miał do dyspozycji dokładny plan oficjalnej wizyty, to mnóstwo nieprzewidzianych czynników mogło uniemożliwić mu odniesienie sukcesu. Dwie rzeczy były jednak pewne: prezydent wylądował na lotnisku Benito Juárez i potem razem ze swoimi ludźmi pojedzie do Palacio Nacional w centrum miasta, gdzie spotka się z prezydentem Meksyku, Lopezem.

Mając co do tego pewność, zaczął oglądać poprzednie przejazdy kolumny prezydenta przez miasto, aby dokładnie przeanalizować ich trasę. Tak, Zarif znał Secret Service Stanów Zjednoczonych i wiedział, że mogą w ostatniej chwili wybrać inną drogę niż przy poprzednich wizytach, chociaż prawie zawsze jakiś element się powtarzał – zwykle na początku i końcu trasy, w miejscach, przez które samochód prezydenta musiał przejechać.

Przeglądał więc cały czas kolejne nagrania – oficjalne filmy, dokumenty po hiszpańsku

i angielsku, a nawet po chińsku, a poza tym dziesiątki pourywanym, zamazanych zdjęć z kamer ulicznych. Studiował też każdą klatkę Google Maps z miejsc pasujących do oglądanych ujęć. Używając Street View, przygotował własną mapę, ale był to żmudny i czasochłonny proces, chociaż od czasu do czasu mógł liczyć na pomoc Emilia w identyfikacji ulic albo budynków, które pojawiły się na nagraniu. Zarif na podstawie tych danych mógł wytyczyć trasę, jaką musiał przejechać prezydent z lotniska w czasie każdej oficjalnej wizyty.

Po dwóch dniach pracy Zarif nie zdołał ustalić wiele więcej, ale przynajmniej określił cztery prawdopodobne trasy, którymi mogła jechać kolumna z lotniska Benito Juárez do Palacio Nacional.

To był już postęp, ale wiedział, że nadal niewielki. Nie miał dostępu do materiałów wybuchowych, które dopiero mieli mu dostarczyć. Co więcej, nie wiedział dokładnie, z kim będzie współpracował. Uważał, że bez tych informacji nie mógł wybrać miejsca na przeprowadzenie akcji. Warunki panujące na danej ulicy zwykle wpływały na rodzaj materiałów wybuchowych albo broni.

Trzeciego dnia Zarif spotkał się z dwoma mężczyznami z kartelu Maldonado, którzy należeli też do policji federalnej. Znali szczegóły zbliżającej się wizyty prezydenckiej i potwierdzili ustalenia Zarifa dotyczące ogólnej trasy kolumny.

Wskazał im więc cztery miejsca, które zaznaczył kółkami na mapie, i poprosił, żeby zabrali go do nich, aby mógł je obejrzeć. Natychmiast, razem z Emiliem, wsiedli do cadillaca escalade i pojechali do miasta.

Zarif spędził ostatnie kilka lat w Syrii i tam, nawet w rządowym mieście, jakim był Damaszek, nigdzie nie ruszał się bez niewielkiego uzbrojonego oddziału, który wypatrywał ewentualnych napastników. Ale w Mexico City, mimo że słyszał, że nie jest tu bezpiecznie, czuł się nawet bez takiej ochrony o wiele lepiej.

Kilka przecznic dalej zatrzymali się na światłach. Wyglądając przez okno, Zarif zauważył na chodniku dwie młode blondynki. Kierowca opuścił szybę. Zagwizdał, a jedna z nich roześmiała się i powiedziała coś po angielsku. Kierowca odwrócił się do Irańczyka siedzącego na tylnej kanapie.

– Amerykanki. – Uśmiechnął się, a Zarif znów na nie spojrzał.

Te dziewczyny nie miał pojęcia, jak bardzo zmieni się ich świat, gdy ich prezydent zostanie zamordowany.

Pierwsze miejsce, jakie mieli w programie, znajdowało się niedaleko portu lotniczego, przy Oriente 172. Zarif widział na nagraniu, że każda kolumna prezydenta przejeżdżała tędy po minięciu bramy lotniska dla VIP-ów. Natychmiast odrzucił to miejsce. Na Google Street View nie dostrzegł żadnych problemów z otoczeniem, ale teraz zobaczył wyraźnie, że nieopodal znajduje się posterunek policji. Bez względu na to, jakiego rodzaju bombę zamierzał przygotować, nie mógł tak po prostu położyć tu na ziemi plecaka i spokojnie odejść. Wysoko wydajne bomby Zarifa wymagały wielu godzin lokowania w terenie i zabezpieczenia. Musiał to robić bez pośpiechu, niezwykle ostrożnie. Pracując nad tym, nie mógł myśleć o policji siedzącej dwie przecznice dalej.

Druga lokalizacja znajdowała się na szerokiej ulicy w okolicy domów towarowych, niedaleko portu lotniczego. Uznał, że ten rejon jest nocą spokojny, i brzmiało to dobrze, jednak Zarif pomyślał, że chodniki po obu stronach mogą być zbyt puste. Mógł tu bez problemu złożyć bombę, ale bez względu na to, jak dobrze by ją ukrył, czuł, że najpewniej zostałaaby znaleziona przed zamachem.

Zarif wiedział, że Secret Service USA na dzień przed akcją przeczesze całą trasę, więc jego bomba

musiała być niewidoczna. Tylko wtedy będzie miał jakąkolwiek szansę na sukces.

Trzecia lokalizacja znajdowała się na drugim końcu trasy, blisko Palacio Nacional w Centro Histórico. Była to szeroka ulica o nazwie Vidal Alcocer, biegnąca z północy na południe przez Tepito, z niską zabudową po jednej stronie i parkingiem po drugiej.

Zarif od samego początku czuł, że to miejsce ma potencjał. Przy dwupasmowej ulicy znajdował się też rynek graniczący ze skrzyżowaniem od wschodu i zachodu. Panował tu ożywiony ruch, szczególnie o czwartej po południu, chociaż Zarif przypuszczał, że wieczorem będzie tam dużo spokojniej, ponieważ na przestrzeni kilku przecznic nie było tu budynków mieszkalnych.

Spojrzał na dopiero wznoszony budynek na rogu ulicy i zwrócił się do Emilia:

– Czy możemy wejść na teren tej budowy?

Emilio popatrzył na niego trochę zakłopotany, ale zaraz wysiadł z cadillaca i przeszedł przez jezdnię na drugą stronę ulicy. Zarif chwilę później udał się w ślad za nim. Emilio podszedł do pomarańczowego brezentu mającego blokować dostęp do budynku i podniósł go, wpuszczając wytwórcę bomb.

Zarif zgarbił się, przeszedł pod płachtą i zaczął się rozglądać. Budowa wyraźnie była opuszczona. Nic tu się nie działo od tygodni albo nawet od miesięcy, chociaż wszędzie unosił się zapach betonu, tynku i kurzu. Z układu stropów, betonowych podjazdów i ramp Zarif wywnioskował, że ma to być wielopoziomowy parking. Stały już północne i zachodnie ściany, a w centrum budowli widać było klatkę schodową prowadzącą na trzy kondygnacje, jednak południowa i wschodnia strona budynku nadal były otwarte, odsłaniając miejsca, w których miały być wbudowane belki stalowe, kraty, i gdzie na razie wystawały pręty zbrojeniowe przygotowane do zabetonowania. Brakowało tu jeszcze ścian, choć równie dobrze projekt mógł ich nie przewidywać. Teraz do wysokości dwunastu stóp wznosiła się sieć stalowych prętów czekających na dziesiątki ton płynnego betonu.

Zarif podszedł do prętów po zachodniej stronie i wetknął między nie ręce.

Tutaj. Dokładnie tu. Dziesięć stóp nad ziemią i frontem do ulicy. Po wykonaniu bomby mógłby ją zatopić w płynnym betonie. Jeżeli ulokowałby na wierzchu stalową płytę, którą siła eksplozji wyrzuciłaby w stronę ulicy, i zamaskował to jednolitą ścianą tak, żeby wyglądała jak nowo wykonana, powinno wystarczyć.

Zarif miał jednak problem. Nie był w stanie zrobić tego samodzielnie.

– Emilio – rzucił – chcę mieć do dyspozycji ludzi znających się na konstrukcjach betonowych, którzy pomogliby mi wykonać tu pewne prace.

– *No hay problema.* – Nie ma sprawy.

Zarif uśmiechnął się. Ciągłe nie wiedział, jakiego typu bomby użyje i to też stanowiło problem, jednak nie mógł narzekać na poziom usług, jakie otrzymywał od kartelu. Ludzie Maldonado byli wszędzie i działali z taką pewnością i władzą jak Wolna Armia Syrii w Damaszku.

Gavin pierwsze dwa dni po klęsce w Pradze spędził absolutnie bezużytecznie. Był tak przygnębiony, że ledwo chodził do pracy, a potem siedział za biurkiem i ciągle się usprawiedliwiał, co zrobił w czasie operacji. Poza tym z trudem nawiązywał jakąkolwiek rozmowę ze współpracownikami.

Pod koniec trzeciego dnia coś w nim jednak pękło. Stwierdził, że powinien stać się znów użyteczny tu, w biurze, zwłaszcza że tak strasznie zblądził się w terenie.

Jego ludzie z działu IT w Hendley Associates razem z grupą analityków nadzorowali teraz operację Clarka w Nowym Jorku. Kilka godzin temu Gavin usłyszał jednak, że akcja padła, a agenci wracają do Dystryktu Kolumbii.

W chwili gdy jego zespół wyłączał komputery, szykując się do wyjścia z pracy, Gavin opuścił swój pokój i poprosił dyrektora od systemów analitycznych, żeby wprowadził go w tajniki tej operacji. Mężczyzna w trzy kwadransy przedstawił Gavinowi działania oddziału Clarka w Nowym Jorku.

Nie trzeba wspominać, że zespół doskonałych hakerów Biery'ego próbował już włamać się do sieci komputerowej Sharpsa. Jednak nie byli w stanie dostać się do tego doskonale zabezpieczonego systemu, więc przerwali się na sprawdzanie osób pracujących dla Sharpsa. I tutaj odnieśli wielki sukces. Uzyskane informacje pomogły Clarkowi i jego ludziom zlokalizować w czasie operacji Rileya oraz jego podwładnych, a także sfotografować spotkania z członkami ONZ. Agenci nie mogli jednak zdobyć dowodów obciążających Sharps Partners, że albo ingerowało w przebieg głosowania Komitetu do spraw Sankcji, albo współpracowało z Koreą Północną.

Gavin zorientował się, czego Kampusowi obecnie potrzeba – musiał dostać się do sieci Sharpsa. Wrócił więc do swojego pokoju. W dziale IT zostało jeszcze kilka osób. Podnosili już aktówki i ruszali do drzwi, zakładając zapewne, że Gavin zrobi to samo, lecz on usiadł za biurkiem i dopiero teraz zaczął pracować.

Musiał znaleźć sposób, aby włamać się do sieci Sharps Global Intelligence Partners.

Sześć godzin później, o północy, nie osiągnął jeszcze niczego. System Sharpsa był jak kasa pancerna. Jednak pechowo dla niego Gavin nie należał do tych, którzy łatwo się poddają. Po przełknięciu tej małej porażki zmienił kierunek ataku i wrócił do pracy.

Jack Ryan rzucił telefon z szafki nocnej, usiłując złapać go ręką. Wyczołgał się więc z łóżka i znalazł dzwoniącą komórkę na podłodze. Spojrzał na zegarek przy łóżku. Była trzecia czterdzieści osiem w nocy. Poczul lekką panikę. Zawsze myślał o ojcu, gdy telefon dzwonił o takich porach. Wiedział, że ojciec był zarówno najbardziej kochanym, jak i najbardziej nienawidzonym człowiekiem na świecie – w zależności od punktu widzenia. Zawsze istniał ktoś, kto chciał go skrzywdzić.

Podnosząc telefon, aby zobaczyć, kto dzwoni o tej porze, stwierdził, że jest też inne wytłumaczenie tej sytuacji. Mógł to być Gavin. Często pracował nocami i nie zastanawiał się, czy wypada dzwonić w nocy do Jacka, gdyby coś znalazł. Ryan narzekał już wcześniej, ale Gavin to

zignorował, więc poddał się jakiś czas temu.

I tym razem na wyświetlaczu pojawiło się „Biery”.

Ryan odetchnął, że to nie Biały Dom, ale nie był też zaskoczony tym nocnym telefonem.

– Do diabła, Gav!

– Uważaj, co mówisz, Ryan, bo jak ci powiem, co odkryłem, to cofniesz każde słowo.

Jack, owinąwszy się prześcieradłem, usiadł przy łóżku na podłodze. Ziewnął.

– W takim razie o co chodzi?

– Przez ostatnie dziewięć godzin i czterdzieści trzy minuty próbowałem włamać się do sieci Duke’a Sharpsa. Na Boga, mówię ci, jego ludzie z IT to fachowcy z najwyższej półki. Ich system jest tak solidny, że jeszcze takiego nie...

– Człowieku, ostrzegam cię! Rozłączę się, jeżeli w ciągu pięciu minut nie zaczniesz gadać o konkretach.

– Ta blondynka, którą widzieliście w Wietnamie... no ta, o której pewnie śniłeś po nocach przez kilka tygodni? Otóż jest właśnie teraz w USA, nazywa się Élise Legrande, choć to zapewne pseudonim. Pracuje albo będzie pracować w rafinerii minerałów ziem rzadkich w Kalifornii, blisko granicy z Nevadą.

Jack ukląkł i zapalił nocną lampkę przy łóżku.

– Zaciekawilem cię, nie? – zapytał Gavin.

– Tak, masz mnie. Wskazał ją twój program rozpoznawania twarzy czy też może znalazłeś ją w sieci Sharpsa?

– Niedokładnie. Zająłem się rozpoznawaniem twarzy ludzi wchodzących i wychodzących z budynku Sharpsa. Wtedy ustaliłem tożsamość kobiety, która pracowała w niewielkim butikiu z grafiką artystyczną i w drukarni w Greenwich Village. Przyjrzałem się jej bliżej i odkryłem, że od czasu do czasu zajmuje się fałszerstwami. Wtedy zacząłem sprawdzać firmę, w której pracowała, i odkryłem, co tam mają. Program AutoCAD⁹. To zaczęło wyglądać interesująco. Zastanawiałem się, czy może Sharps zlecił im przygotowanie jakichś dokumentów podróży albo fałszywych odznak dla swoich ludzi. Kilka godzin zajęło mi włamanie do sieci drukarni, ale udało mi się wejść na tyle głęboko, że dotarłem do plików w chmurze obejmującej ich serwer. Zacząłem tam grzebać i znalazłem duży zestaw dokumentów wystawionych dla twojej dziewczyny ze snów. To na pewno ta sama kobieta.

– I to ona właśnie ma pracować w przetwórnii minerałów ziem rzadkich?

– Tak. Ma kanadyjski paszport, tymczasową wizę pracowniczą i referencje pracodawcy wystawione przez towarzystwo konsultacyjne do spraw minerałów ziem rzadkich w Ottawie o nazwie TRU Alloy. Wiza pracownicza nasunęła mi myśl, że może pracować w przetwórstwie minerałów ziem rzadkich tu, w Stanach, tylko w jednej, głównej lokalizacji, i zacząłem grzebać na stronie NewCorp Valley Floor. Znalazłem tam wzmiankę, że jakaś Élise Legrande z TRU Alloy przyjedzie w czwartek i zatrzyma się u nich na kilka dni, aby monitorować użycie jakiegoś nowego sprzętu.

– Niech to szlag, Gavin! Odwaliłeś świetną robotę.

– Wiem – powiedział. – Ale wiem też, że nie usprawiedliwi mnie to za Pragę.

– Praga to mój błąd. Nie twój, Gavin. Nie możesz się ciągle za to biczować. Jesteś zbyt cenny dla

naszej organizacji. Dziś w nocy zrobiłeś więcej niż my wszyscy w czasie operacji w Pradze i w Nowym Jorku.

Gavin trochę się rozchmurzył.

– Dzięki, Ryan. Myślisz, że Gerry wyśle cię do Valley Floor?

– Spodziewam się. Był wściekły za Pragę, ale teraz mamy Nowy Jork i nieudaną akcję. Więc zostaje nam to. Jeżeli ta kobieta pracuje dla Sharpsa, może nam wskazać jego powiązanie z Koreą Północną.

Mary Pat Foley złożyła drugą wizytę w Hendley Associates w burzliwe popołudnie i stwierdziła, że panowała tam nie lepsza atmosfera niż na zewnątrz.

Kilka dni temu odbyło się głosowanie proceduralne w Komitecie do spraw Sankcji ONZ i Ryan oraz jego ludzie musieli uznać się za pokonanych. Głosowanie zawiodło przynajmniej na następne sto osiemdziesiąt dni, w ciągu których nie planowano rozpatrywania nowych sankcji przeciwko Korei Północnej.

Wszyscy w pokoju konferencyjnym na trzecim piętrze Hendley Associates znali przyczyny tej klęski. Wielu członków Komitetu do spraw Sankcji zostało do tego nakłonionych przez Sharps Global Intelligence Partners. Jednak bez śledztwa, które powinien przeprowadzić Departament Sprawiedliwości, nie dało się tego udowodnić. Mimo że wszyscy, nawet Mary Pat, chcieli jak najszybciej pozbyć się Sharpsa, nikt nie zamierzał wpływać na działania Departamentu. To mogłoby tylko rozciągnąć całą procedurę w czasie, przez co trwałaby tak długo, że Korea Północna zdążyłaby przygotować swoje rakiety balistyczne dalekiego zasięgu z ładunkami nuklearnymi w głowicach.

Nie, Mary Pat była pewna, że Kampus mógł sam zająć się monitorowaniem akcji Sharpsa oraz jego agenta, Edwarda Rileya. Chociaż zespół Hendleya nie popisał się w Nowym Jorku, to mieli jednak środki, aby się tym zająć. Poza tym nie naraziliby na szwank żadnej instytucji federalnej – takiej jak na przykład Departament Sprawiedliwości – gdzie Sharps mógł mieć swoich informatorów i tym samym dostęp do wszystkich pomieszczeń.

Odkrycie, że Sharps umieścił swojego człowieka w Valley Floor, było prawdziwą rewelacją, co odnowiło zaufanie Mary Pat do Kampusu. Kiedy Jack Ryan junior ujawnił jej ten fakt oraz przedstawił zarys planu wyprawy na miejsce, Foley postanowiła przekazać też tajną notę dowódcom „Acrid Herald”. Nie miała powodów, aby uważać, że jej agent w Valley Floor, Adam Yao, był w niebezpieczeństwie ze względu na obecność kobiety Sharpsa – pracowali w zupełnie innych pomieszczeniach tego ogromnego kompleksu – niemniej istniała tam też część wspólna, którą należało monitorować.

Mary Pat nie wspomniała słowem nikomu z Kampusu, że „Acrid Herald” będzie ich wspomagać w akcji. Poinformowała ich jednak o budowie i działaniu urządzeń do przeróbki i uzdatniania minerałów ziem rzadkich, jakie działały pod miastem Chŏngju w północno-zachodnim rejonie Korei Północnej, poza tym przekazała im, że nieznany zagraniczny inwestor wspiera Koreę i wyklada dziesiątki milionów dolarów, które azjatyckie państwo zamierzało przeznaczyć na modernizację i uruchomienie produkcji rakiet.

Kampus zaczął więc znów badać operację Sharpsa, którą wszyscy uważali za jedynie drobny element większego planu Korei Północnej. Lecz fakt, że Sharps Partners miało realny wpływ na

głosowanie w ONZ, jak się okazało, był piekielnie ważnym jego fragmentem.

Jack Ryan junior poleciał odrzutowcem Hendley Associates do Las Vegas razem z Dingiem Chavezem i Johnem Clarkiem, gdzie cała trójka zajęła oddzielne pokoje w Mandarin Oriental przy Strip. Zameldowali się, po czym spotkali się razem, aby przygotować plan działania.

Następnego dnia rano Ryan miał jechać do NewCorp w Valley Floor. Jego wyjazd zaaranżowano z wyprzedzeniem i był przygotowany.

Nie musiał. Gdy odkryli, że będzie tam ta kobieta – nazywali ją Élise, bo nie znali jeszcze jej prawdziwej tożsamości – wiedzieli, że nie mają tyle czasu, żeby stworzyć przekonujące fałszywe tożsamości dla któregokolwiek z ludzi Kampusu, aby mogli rozpocząć tę operację. Musieli wysłać szybko Ryana do Valley Floor, zanim jeszcze Élise zdąży cokolwiek zrobić.

Gerry Hendley stwierdził jednak, że musi zadzwonić w kilka miejsc, aby przedstawić swoje propozycje inwestycyjne i aby Ryan był w drodze w ciągu dwudziestu czterech godzin jako przedstawiciel białej strony Hendley Associates; było to świetną wymówką, aby mógł otrzymać dostęp do urządzeń technicznych.

Kiedy Ryan przybył na miejsce, nikt w NewCorp nie miał wątpliwości, że jest analitykiem finansowym z firmy Hendley Associates i przyjechał do Valley Floor, bo jego korporacja rozważała kupno udziałów w NewCorp, a szczególnie w przemyśle przetwórczym. W minionych latach Stany Zjednoczone znacznie go rozwinęły, podczas gdy Chiny zaczęły mieć kłopoty ze sprzedażą swoich produktów. Dla NewCorp było czymś zupełnie normalnym przyjmowanie księgowych oraz analityków finansowych z firm inwestujących, które chciały się zapoznać z procesami technologicznymi i możliwymi udziałami.

Ryan oczywiście wiedział, że odkrycie ogromnych złóż minerałów ziem rzadkich nie mogło skutkować obniżką cen udziałów. Kopalnie znajdowały się w takim rejonie, w którym eksploatacja była niemal niemożliwa.

Jack na pewno nie planował rozmowy na temat Korei Północnej z urzędnikami Valley Floor. Musiał okazywać szczerze zainteresowanie inwestycją, dlatego nie zamierzał wszem i wobec rozpowiadać o złożach leżących gdzie indziej niż tu, pod jego stopami.

Głównym celem Jacka był jednak kontakt z Élise Legrande czy jak tam brzmiało prawdziwe nazwisko tej agentki. Musiał się dowiedzieć, co robiła w Valley Floor i w jaki sposób jej misja – poprzez Sharpsa – związana była z Koreą Północną. Jeżeli udałoby mu się to ustalić, mógłby zatrzymać operację Sharps Partners, a także pokrzyżować działania Korei.

Oficjalna zapowiedź wizyty Legrande w tutejszym zakładzie przetwórczym zdradziła też, w jakim dziale kobieta miała pracować – było to Hydrometallurgii Quality Control. Ryan planował więc podróż do tej części kompleksu przetwórczego tak szybko jak to możliwe, w nadziei, że uda mu się ustalić, co właściwie się tu dzieje i co będzie robić agentka Sharpsa udająca przedstawicielkę kanadyjskiego koncernu.

Jack nawet nie wiedział, czy kobieta jest naprawdę Kanadyjką. Szczerze w to wątpił. Miał własne

domysły – legenda kanadyjska była dobrą przykrywką, bo Élise naprawdę pochodziła z Francji. Założył tak, ponieważ kanadyjskie agencje wywiadowcze współpracowały ze swoimi amerykańskimi odpowiednikami względnie blisko i mimo to nie mogły zidentyfikować tożsamości tej kobiety. Francuzi trzymali swoich agentów koło siebie, poza zasięgiem kontroli amerykańskiej, a tym bardziej kanadyjskiej.

Ryan wiedział, że będzie musiał się z nią zapoznać, aby przeszukać wszystkie jej urządzenia elektroniczne. Jednak Clark ostrzegał go, żeby był szczególnie ostrożny w tym swoim „zеткиnięciu się” z nią i z nawiązywaniem z kimkolwiek kontaktu w sposób, który miałby wyglądać na czysto przypadkowy. Poza tym Sharps nie zatrudniał młodych agentów wywiadu, zatem ona mogła potem zająć się śledzeniem tego, kto ją „przypadkowo” zaczepił, powiedzmy, przechodząc korytarzem.

Sposobność do takiego „przypadkowego spotkania” pojawiła się szybciej, niż się spodziewał.

Już pierwszego dnia, późnym popołudniem, Ryan wszedł sam ze swojego tymczasowego gabinetu na spotkanie z księgowym NewCorp. Czuł się tu nieco zagubiony, ale nie dziwiło go to aż tak bardzo. Valley Floor było rozległym kompleksem z ponad dwunastoma budynkami, co Ryan stwierdził wczoraj, wędrując przez dwie godziny po całym zakładzie. Z kopalni odkrywkowej został zabrany do działu płukania urobku wodą, a potem do sekcji obróbki rudy. Odwiedził też budynki, gdzie mieścił się dział badawczo-rozwojowy, a nawet park pojazdów mechanicznych i gigantycznych maszyn do transportu urobku.

Teraz, patrząc na mały plan, który trzymał w ręce, był pewien, że idzie w dobrym kierunku, i cieszyło go, że to spotkanie ma się odbyć w tym samym budynku, w którym znajdował się jego gabinet. Wiedział, że gdzie indziej mógłby się zgubić. Przeszedł już połowę korytarza, gdy po lewej stronie otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich kobieta, którą po raz ostatni widział na ruchliwej ulicy w Ho Chi Minh.

Jack przyspieszył, żeby się z nią spotkać, ale zwolnił jednak, gdy blondynka odwróciła się, żeby zamknąć za sobą drzwi. Nie widziała, jak zmienił krok, a on potrzebował sekundy, aby sformułować jakieś słowa powitania. Wtedy usłyszał wołanie za swoimi plecami:

– Élise? Tu jesteś. Myśleliśmy, że spotkamy cię na pierwszym piętrze laboratorium. Tam, gdzie znajduje się serwer.

Kobieta spojrzała ponad ramieniem Ryana na mężczyznę stojącego za nim.

– Tak, przepraszam, Ralph – odpowiedziała z miękkim, francusko-kanadyjskim akcentem i roześmiała się. – Ciągle jeszcze czuję się tu zagubiona.

Jack ruszył korytarzem. Był niemal pewien, że została złapana na przeszukiwaniu budynku, chociaż starała się wyjść bez wzbudzania podejrzeń.

Skrecając na końcu korytarza, zerknął przez ramię na mężczyznę, który wołał Élise. Rozpoznał w nim człowieka, który był wczoraj jego przewodnikiem po zakładzie. Ralph Baggett, dyrektor IT w NewCorp.

W czasie długiej drogi powrotnej do hotelu przy Las Vegas Strip Ryan zadzwonił do Gavina Biery’ego, aby dowiedzieć się, czy udało mu się znaleźć trochę więcej informacji na temat tej kobiety. Opowiedział też Gavinowi o sytuacji z facetem z IT, zapewne o przeszukiwaniu systemów

oraz o tym, nad czym wydział IT skupiał się w sposób szczególny.

– Tak, właśnie tak. Tak właśnie toczy się akcja – potwierdził Biery trochę żartobliwie, na co Ryan nie miał teraz czasu.

– Ja mówię poważnie – odparł Jack. – Co może być jej celem? Domyślasz się?

– Hasło. Dostęp do systemu – powiedział Gavin bez wahania.

– A potem co z tym zrobi?

Biery westchnął, jakby to było zupełnie oczywiste.

– Ryan, przecież już cię przez to przeprowadziłem.

– Gadaj.

– Klucze do królestwa. Gdy się zaloguje, to jeżeli zechce, będzie mogła wprowadzić wirusy, wymazać dyski albo wyrządzić niewyobrażalne szkody w systemie, szkody fizyczne, czyniąc sprzęt bezużytecznym. Kilka lat temu wysadziliśmy pewne turbiny w irańskim reaktorze atomowym, umieszczając w systemie pliki ze złośliwym oprogramowaniem.

Jack zamyślił się.

– Nie. Jeśli Korea Północna stworzy przetwórnictwo minerałów ziem rzadkich, będzie nieporównywalnie ogromna. NewCorp płaci Stanom za wydobycie i przetwarzanie uranu, Korea Północna może płacić swoim ludziom grosze. Ta kobieta nie jest tu po to, aby zaszkodzić Valley Floor, ona przyjechała po to, aby zdobyć coś, czego potrzebuje Korea.

Gavin zastanawiał się przez moment.

– Może chce zdobyć jakieś instrukcje obsługi urządzeń albo specjalistyczne dane... Cóż, teraz nie jestem w stanie nic stwierdzić.

Jack przytaknął. Wiedział, że sam musi to ustalić.

– Jeżeli przypuszczasz, że próbuje wydostać od nich jakieś informacje, to przecież musi je potem gdzieś komuś przekazać, prawda? – dodał po chwili Biery.

– Przez stację dysków czy inny nośnik pamięciowy?

– Tak. Ale nie potrzeba do tego specjalnego sprzętu. Lepiej monitorować ją przez cały czas, używając czegoś, co zawsze nosisz przy sobie. Powiedzmy, telefonu komórkowego.

– Więc... mam jej ukraść telefon? Coś, czego nie zrobiliśmy w Pradze?

– Tak. Mogę wysłać ci atrapę telefonu z funkcją nagrywarki, którą będziesz ze sobą nosił. Jeżeli spotkasz się z tą kobietą, to po prostu połącz jej telefon ze swoim za pośrednictwem wejścia wbudowanego w bok telefonu. Wtedy będziesz mógł skopiować wszystko, co ma na swojej komórce.

– A co, jeśli te dane będą zaszyfrowane?

– Och, z pewnością tak będzie. Ale możesz je skopiować i przekazać nam tutaj, a my już popracujemy nad złamaniem szyfru – powiedział Biery, po czym dodał zuchwale: – Jestem dobry w tego rodzaju rzeczach, jeśli jeszcze nie zauważyłeś.

– Zauważyłem.

– Jedyny problem to zdobycie jej komórki. Ale wiemy, że znasz się na tym.

– Zrobię, co będę mógł, Gav. Przyślij mi ten telefon.

Oficjalna wizyta prezydenta w Mexico City była planowana już od wielu miesięcy, co oznaczało, że praktycznie przez cały czas funkcjonariusze Secret Service skupiali się na niej.

Teraz, pięć dni przed jego przybyciem, oddział zwiadowczy już od kilku dni był na miejscu. Zorganizowali tymczasowe centrum operacyjne w hotelu o pasującej do akcji nazwie InterContinental Presidente i regularnie spotykali się ze stacjonującymi w Meksyku agentami Secret Service, przedstawicielami miejscowych władz i partnerami wywiadu przy ambasadzie USA, znajdującej się na pięknej Paseo de la Reforma.

Agent kierujący całą wizytą był weteranem o dwudziestoletnim stażu w tajnych służbach. Nazywał się Dale Herbers. Herbert, pracujący w był wiele podróżującym agentem Secret Service, przybył do Mexico City bezpośrednim lotem z Londynu, tuż po zakończeniu prac nad ostatnią wizytą prezydenta w Wielkiej Brytanii.

Tamta wyprawa – jak każdy inny zagraniczny wyjazd prezydenta Stanów Zjednoczonych, którym Herbers kierował w swojej karierze – zakończyła się idealnie, lecz mężczyzna wiedział, że wizyta w Mexico City będzie jedną z najtrudniejszych, jaką przyjdzie mu prowadzić. Tu występowały wszelkiego rodzaju zagrożenia, gromadzono różnego rodzaju broń i w tym rejonie – gdzie Herbers kończył przygotowania do swojej akcji – były dobrze zorganizowane grupy przestępcze.

Agent Secret Service to, jak się ogólnie przyjęło, mężczyzna o szerokiej, kwadratowej szczęce, noszący okulary przeciwsłoneczne i garnitur; zawsze powinien znajdować się blisko prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby chronić go przed kulami. Jednak prawdą było też to, że służba agenta Secret Service bywała zupełnie przyziemna i nieciekawa. Za każdą akcją i agentem widocznym za Jackiem Ryanem stały setki albo i więcej mężczyzn i kobiet, zapewniających bezpieczeństwo wszystkim agentom w akcji. Każdy agent Secret Service jest osobiście odpowiedzialny za ochronę życia powierzonej mu osoby – ma za sobą całe lata szkoleń, aby mieć pewność, że zagrożeniom, przed którymi ochrania człowieka, potrafi zapobiec.

Dziś, w pokoju konferencyjnym w apartamencie hotelu InterContinental, Dale Herbers zwołał jedno z takich spotkań. Na śniadaniu zebrali się wyższej rangi lokalni urzędnicy odpowiedzialni za egzekwowanie przestrzegania prawa, razem z naczelnikami departamentów wielu agencji Stanów Zjednoczonych mających swą bazę w ambasadzie. Tematem narady było ponowne przejście listy znanych i potencjalnych zagrożeń na tym obszarze i upewnienie się, że organizacja ochrony prezydenta ma właściwy stopień utajnienia i że zagrożenia są zgodne z założonym poziomem.

Agenci Secret Service od początku wiedzieli, że Meksyk był prawdziwym wyzwaniem. Istniało realne zagrożenie ze strony kartelu Maldonado, ponieważ ich przywódca został pół roku temu zastrzelony. Mimo że wszyscy analitycy w D.C. zgadzali się, że szanse, aby jego brat Santiago potrafił zorganizować atak na prezydenta w Mexico City, są małe, to nie byli jednak w stanie z całą pewnością stwierdzić, czy ktoś ściśle związany z kartelem nie przygotowuje jakiejś akcji przeciw SWORDSMANOWI – jak w Secret Service brzmiało zaszyfrowane imię prezydenta Ryana.

Po krótkim wstępie Herbers rozpoczął zebranie.

– Dobrze. Od śmierci Antonia Maldonada jego brat, Santiago, wini za to Stany Zjednoczone. Czy Stany rzeczywiście były związane z atakiem w Acapulco, to naprawdę nie ma teraz znaczenia. Znaczenie ma to, że Maldonado wmawia swoim ludziom, że to nasza wina, a jego ludzie mają broń. Nasza ocena jest taka, że zagrożenia z natury są bardziej hipotetyczne niż obiektywnie niebezpieczne, a my, będąc przez ostatnie kilka tygodni w kontakcie z wami, doszliśmy do wniosku, że się z tym zgadzacie. Teraz mamy pięć dni do wizyty prezydenta i chcę wykorzystać ostatnią szansę do przedstawienia ewentualnych obaw, jakie mamy w związku z zagrożeniami. Zatem... czy możemy spodziewać się ataku kartelu Maldonada?

Zwrócił się do sześćdziesięcioletniego Meksykanina o gęstych wusach i w okularach o grubej oprawie. Był to szef División de Inteligencia de la Policía Federal. Departament wywiadu policji federalnej.

Mężczyzna bez wahania zaprzeczył.

– Nie. Kontrolują duże części stanu Guerrero, ale to daleko od stolicy. Inne kartele trzymają ich z dala od większej części Distrito Federale. – Wzruszył ramionami. – Tak, aresztowaliśmy znane osoby z kartelu Maldonada tu, w stolicy, ale to było jeszcze przed strzelaniną w Acapulco. Kiedy jednak Antonio Maldonado został zlikwidowany, cała jego organizacja stała się bardziej agresywna, ale równocześnie dużo gorzej zorganizowana.

Herbers przytaknął. Pasowało to mniej więcej do tego, co już wiedział o kartelu, ale chciał mieć pewność, czy nie pojawiło się coś nowego.

Miejscowy szef wydziału do spraw walki z narkotykami siedział przy stole naprzeciw Herbersa.

– Raúl, co ty na to? – zwrócił się do niego agent Secret Service.

– Zgadza się. – Siwowłosa Amerykanin hiszpańskiego pochodzenia skinął głową. – Po śmierci Antonia członkowie Maldonada zaczęli rzucać w mediach społecznościowych groźby pod adresem SWORDSMANA. Razem z policją federalną zorganizowaliśmy nalot na strzeżony dom w Iguali, jakieś dwa miesiące po strzelaninie w Acapulco. Znaleziono tam między innymi film DVD. Nagrany na nim mężczyzna trzymał w rękach granatnik i mówił, że zabije Jacka Ryana, kiedy ten tylko zjawi się w Meksyku. Zakładamy, że miało to trafić na YouTube albo gdzie indziej. Jednak to było wiele miesięcy temu. Nic takiego się już potem nie zdarzyło.

Herbers widział to nagranie. Tego rodzaju rzeczy zawsze ściągały uwagę Secret Service.

– Mimo wszystko coś mnie niepokoi. Ci faceci rzucają głośno groźby pod adresem SWORDSMANA, nagrywają tego rodzaju wideo, ale teraz, gdy jego przyjazd jest już blisko, nie dzieje się nic. Czy to nikogo nie zastanawia?

– Zauważyłem to – odparł dyrektor biura Secret Service w Mexico City. – Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zarządzili ciszy radiowej, dlatego że coś knują. Ostatecznie jednak stwierdziłem, że jest tak, jak mówią inni. Ci faceci tkwią teraz w takim chaosie, że nie byliby w stanie czegokolwiek zorganizować, a już na pewno czegoś, co mogłoby stanowić realne zagrożenie. Oczywiście jestem za całkowitym zabezpieczeniem kolumny i samego SWORDSMANA na poziomie czerwonego alarmu, ale nie widzę tu ludzi Maldonada jako organizatorów ataku.

Na koniec Herbers dał sprawie ostatnie pchnięcie. Zwrócił się do agenta FBI w służbie ambasady:

– Istnieje jakaś możliwość, żeby porozumieli się z inną grupą? Z Rosjanami? Kubańczykami?

Koreańczykami? Ogólnie z bandytami, którzy też chcą zniszczyć prezydenta?

Agent nie odrzucił od razu takiej możliwości, ale wyraźnie w nią wątpił.

– Owszem, dostrzegamy coś tu, ale w gruncie rzeczy te grupy różnią się od siebie. Maldonado sprowadza broń z Rosji, narkotyki z Korei Północnej, aby potem sprzedawać je w Stanach. Ale czy są na tyle zorganizowani, żeby przygotować zamach na prezydenta? Myślę, że to mało prawdopodobne.

– A jednak jest to możliwe – powiedział Herbers.

Miał jeszcze wiele bieżących spraw i każda z nich wydawała się teraz tak samo ważna.

Adel Zarif całymi dniami zamęczał swoich meksykańskich łączników w sprawie materiałów niezbędnych do wyprodukowania bomby. Emilio oraz jego ludzie okazywali mu jednak tylko lekceważenie, ciągle twierdząc, że muszą przybyć z Zachodu jacyś faceci, którzy wkrótce porozmawiają z nim na ten temat.

Pięć dni przed przybyciem prezydenta do Meksyku Irańczyk stwierdził, że musi skontaktować się bezpośrednio z Koreą Północną i poinformować ich o całej sytuacji. Dostał numer kontaktowy do ludzi z RGB znajdujących się w Meksyku, ale równocześnie rozkazano mu zadzwonić tylko wtedy, gdy operacja się zakończy. Pomyślał jednak, że musi przekazać im, że jego współpracownicy z Meksyku opóźniają całą akcję.

Sprawy nie układały się zbyt pomyślnie, a Emilio ciągle mówił Zarifowi, że musi czekać.

W końcu, gdy zostały już tylko cztery dni, Emilio posadził Zarifa na kanapie w salonie ich kryjówki.

– Poproszono mnie o listę tego wszystkiego, co ci potrzebne – powiedział.

Zarif przekrzywił głowę.

– Nie wiem, co jest dostępne.

– Wszystko.

– To znaczy?

– Mamy dostęp do Base Aérea Militar Numero Siete. To teren wojskowy w stanie Guerrero. Możemy dostać wszystko, co jest w tamtejszych magazynach broni. Jeżeli wybierzesz coś, co będzie na tyle małe, żeby zmieścić się w bagażniku auta, dostaniesz to jutro.

Zarif był zdumiony. Już się martwił, że będzie musiał zrobić bombę z nawozu i benzyny. Albo, w ostateczności, będzie miał dostęp do TNT. Ale Emilio przyrzekł mu dostarczyć fachowo wykonane wojskowe urządzenia.

Niczego więcej nie potrzebował.

Zamyślił się, próbując ustalić, co będzie najlepsze. Prezydent miał jechać swoją limuzyną, która owiana była prawdziwą legendą. Dla Zarifa stanowiła jednak problem z dwóch powodów. Po pierwsze: czy rzeczywiście była taka, jak mówili, a jeśli tak, to jak silny powinien przygotować ładunek albo jak precyzyjną skonstruować bombę, aby udało się ją zniszczyć.

Po drugie: legenda była tylko legendą. Znano jedynie kilka szczegółów dotyczących konstrukcji auta. Waga, grubość pancerza, rodzaj użytych materiałów i lokalizacja najbardziej wrażliwych miejsc – tego nie wiedział jednak oficjalnie nikt. Zarif był mechanikiem i gdyby miał właściwe dane, mógłby je świetnie wykorzystać, ale w przypadku tego pojazdu musiał opierać się na przypuszczeniach, co utrudniało mu zadanie.

Legenda.

Dla tej nieznanego mu limuzyny musiał zbudować bombę tak silną i tak precyzyjną, na jaką go tylko było stać.

Zaczął rozmyślać nad przyjęciem podstawowych założeń i natychmiast doszedł do wniosku, że musi to być coś, co przypominałoby pocisk artyleryjski. Z tego co wiedział, każda nowoczesna armia dysponowała 105-milimetrową haubicą. Ich pociski były niezwykle skuteczne dzięki IED, których Zarif używał setki razy w Iraku, Afganistanie, Libanie i Syrii.

Gdyby jeden pocisk o dużej sile rażenia albo jedna bomba penetrująca eksplodowały w limuzynie prezydenta, z pewnością zabiłyby wszystkich.

Jednak był jeszcze inny drobiazg. W kolumnie prezydenta zawsze znajdowały się dwie limuzyny. W ten sposób, jeżeli pojawiłby się jakiś problem w jednej, Jack Ryan mógł się przesiąść do drugiej. Być może Zarif powinien w związku z tym przygotować dwa pociski, żeby trafić w oba auta. Nie wiedział, w którym będzie siedział prezydent, gdy będą przejeżdżali przez strefę ataku.

Zarif przez chwilę zastanawiał się nad czymś jeszcze. Obawiał się dużej liczby postronnych ofiar. Stos martwych cywilów mógłby rozwścieczyć jego meksykańskich współpracowników, choć bardziej obchodziła go możliwość porażki. Jeśli nie uda mu się zabić Jacka Ryana, Korea Północna nie wypełni warunków umowy. Zaczął więc nalegać na pilne dostarczenie czterech wysoko skutecznych pocisków do haubicy, chociaż ostatecznie mogły być trzy, a następnie wręczył Emiliowi kolejną listę, którą sporządził już wcześniej. Były to rzeczy, które można kupić w każdym magazynie z artykułami żelaznymi i sprzętem elektronicznym.

Emilio przejrzał ją bez komentarza, a potem skinął tylko głową i powiedział:

– Stopiątką przyjedzie z Guerrero, jak już mówiłem. Resztę przedmiotów kupię daleko stąd, zatem nie wzbudzi to niczyich podejrzeń.

– Doskonale – odparł Zarif. – Kiedy tu będą?

– Za dwadzieścia cztery godziny możesz zacząć robotę.

Trzeciego dnia pobytu w Valley Floor Jack Ryan junior stwierdził, że musi w końcu zacząć działać. Wczoraj spędził praktycznie cały czas na spotkaniach, aby uwiarygodnić swoją fałszywą tożsamość, a dziś znowu próbował niby przez przypadek spotkać Élise Legrande – lecz bezskutecznie, mimo dwóch wizyt w dziale Hydrometallurgii Quality Control. Wydawało mu się, że kobieta spędza dużo czasu w sekcji IT, więc wymyślił jakiś pretekst, aby odwiedzić Ralpha Baggetta. Osiągnął jednak tylko tyle, że dowiedział się, iż dyrektor IT wyszedł na spotkanie gdzieś w odległym rejonie zakładu.

Jack skierował zatem kroki do swojego tymczasowego gabinetu. Po drodze postanowił wstąpić do stołówki na późny lunch i przemyśleć następny krok. Cały czas zastanawiał się nad swoim kłopotliwym położeniem. Wszystkie elementy układanki dopasowywały się do siebie bardzo wolno, więc nie wiedział jeszcze, czego szuka tutaj Élise Legrande. Z pewnością starała się poznać działanie jakichś urządzeń hydroseparujących, używanych do rozdzielania minerałów od wydobywanej rudy. Co ważniejsze, wyraźnie próbowała zbliżyć się do dyrektora IT, choć tutaj zdążyła już osiągnąć sukces.

W stołówce Ryan spotkał dwóch kierowników, których poznał wczoraj, więc usiadł z nimi, żeby pogadać przy lunchu. Po kilku minutach mężczyźni podnieśli się, żeby pójść na zebranie, i w tym samym momencie do pomieszczenia weszła Élise Legrande razem z Ralphem Baggettem. Jack nie ruszył się z miejsca, udając, że jest bardzo zajęty kanapką z indykiem.

Kilka minut później Jack siedział już przy stoliku sam, natomiast Ralph i Élise zajęli miejsca trochę dalej. Ryan miał nadzieję, że mężczyzna z własnej inicjatywy przedstawi go swojej towarzyszkę, ale Baggett wyraźnie nie miał zamiaru dzielić się nią z nikim innym. Obserwując, jak je lunch z piękną blondynką, Ryan stwierdził, że ten nudny dyrektor IT chce za wszelką cenę zatrzymać tę kobietę tylko dla siebie.

Mimo że Baggett i Legrande nie zwracali na niego uwagi, inna osoba w stołówce, kobieta w średnim wieku, ubrana w laboratoryjny kitel z odznaką mówiącą, że jest technikiem eksperymentalnym w dziale badawczo-rozwojowym, Research and Development, intensywnie wpatrywała się w Jacka. Już wcześniej doświadczył tego, zanim zaczęła mu rosnąć broda. Jack doskonale wiedział, co to może oznaczać.

Starał się ignorować patrzącą na niego kobietę i kombinował, jak się zbliżyć do Élise, gdy nagle sekretarka Baggetta wezwała go przez interkom. Dyrektor IT przeprosił więc swoją towarzyszkę, po czym wstał i udał się do gabinetu. Kiedy wychodził – Jack zauważył to wyraźnie – przesunął ręką po jej plecach tak niezręcznym gestem, że Ryanowi skojarzyło się to z uczniami szóstej klasy.

Élise nie zareagowała.

Ryan już zamierzał wstać i podejść do niej, gdy zobaczył, że kobieta z Research and Development idzie uśmiechnięta w jego stronę.

– Przepraszam, że przeszkadzam w lunchu.

Jack natychmiast wstał.

– Ależ nie, wcale nie.

– Chciałam tylko powiedzieć, że jestem wielką zwolenniczką pańskiego ojca.

Uśmiechnął się.

– Wspaniale. Z pewnością to doceni.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę, po czym wyrwała kartkę z notesu i poprosiła Ryana o autograf. Kiedy spełnił jej prośbę, podziękowała i kilka sekund później wyszła ze stołówki.

Jack wiedział, że piękna blondynka po drugiej stronie pomieszczenia nie mogła słyszeć ich rozmowy, ale z pewnością widziała, co dawał tej kobiecie. Zerknął w jej stronę i zobaczył, że wpatruje się w niego z uwagą. Posłał jej słaby uśmiech, jednak go nie odwzajemniła, ale nie odwróciła też oczu.

Uznał więc, że nadszedł właściwy moment. Jednak w chwili gdy już miał do niej podejść, to ona wstała i ruszyła ku niemu.

Okej, pomyślał. Dam sobie radę.

– Hej – rzucił z przyjaznym uśmiechem. Nie odpowiedziała, zamiast tego nadal patrzyła na niego z nieukrywaną ciekawością.

– Pytałam Ralpha, kim pan jest. Powiedział, że jest pan księgowym z firmy inwestycyjnej.

– Tak, zgadza się. W pewnym sensie – odparł Jack. Stwierdził, że jej głos brzmi sugestywnie, władczo. Trochę nie pasował do jej urody i delikatnej figury.

– Zatem muszę zadać panu pytanie: jacy księgowi dają autografy przymilającym się do nich kobietom?

Ryan układał sobie w głowie wiele różnych scenariuszy spotkania z francuską agentką, jednak na tej liście nie miał podobnej sytuacji, w której musiałby opowiadać o sobie.

Szybko zmienił temat:

– Pani akcent jest francuski, jak mniemam?

– Francusko-kanadyjski.

Gówno prawda, pomyślał, ale brnął dalej:

– Pięknie. W jakim dziale pani pracuje?

– W żadnym. Jestem niezależnym ekspertem.

Czuł, jak jej przymglone oczy wwiercają się w niego. Wiedział, co się czuje, gdy samemu się śledzi innego agenta, a potem ten ktoś staje się przedmiotem ciekawości. Pewnie zastanawiała się, czy to jakiś rodzaj gry, chociaż pierwsza zaczęła rozmowę.

Ryan wyciągnął rękę i uściskał jej dłoń.

– Jack – przedstawił się.

– Élise – odparła i zerknęła na jego plaketkę. Wielkimi literami napisane było na niej JACK, ale poniżej znajdował się mniejszy napis. Odczytała go głośno:

– Ryan.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, po czym przewróciła oczami.

– Ach rozumiem. Ta kobieta pomyślała, że jest pan prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Tak naprawdę to pomyślała, że jego synem.

Znowu ten sam ruch, a potem jej oczy rozszerzyły się nagle, gdy uświadomiła sobie, co powiedział.

- Och... Nie myliła się?
- Do usług, panno Legrande. Albo może pani?

Veronika Martel nie odpowiedziała na to pytanie; ciągle próbowała poukładać sobie nowe informacje. Pamiętała, co mówiono o rodzinie prezydenta Ryana. Miał jedną córkę w wieku podobnym do niej i dwóch młodszych synów. Coś słyszała o drugim, ale nie przypominała sobie zbyt wielu szczegółów. Jak przez mgłę pamiętała zdjęcie całej rodziny w jakimś magazynie sprzed wielu lat.

- Pan jest tym, który przedstawia się jako „junior”?
 - Zgadza się. Jestem zaskoczony, że ktoś w Kanadzie o mnie słyszał.
- Élise powoli skinęła głową.
- Tak, ja jestem ogólnie zorientowana.

Ryan widział w oczach kobiety nieufność i zakłopotanie. Szpiedzy szybko uczą się podejrzliwości wobec wszystkich obcych. Spotkanie wyglądało jednak na przypadkowe i byłaby bardzo skonsternowana, gdyby dowiedziała się, że jest inaczej. Teraz z pewnością zastanawiała się, jak krewny prezydenta mógłby zagrozić jej misji.

- Fascynujące – powiedziała w końcu. Minutę później siedzieli razem przy stoliku.

Zapytała go, co robi w Valley Floor.

– Jestem tak naprawdę analitykiem finansowym, nie księgowym. Moja firma zamierza kupić udziały w kopalni, a przynajmniej to rozważa. Przyjechałem, żeby zorientować się, jak wygląda ta nowa inwestycja, i spotkać się z dyrektorem finansowym. Chcemy też wiedzieć, jak ich zmiękczyć, żeby zrobić dobry interes.

Wydawało mu się, że kobieta w to wierzy. Jack dobrze się bawił, obserwując, jak zastanawia się, czy to może mieć jakieś znaczenie dla jej operacji.

- A pani? Co panią sprowadziło do Kalifornii? – zapytał.
- Od dłuższego czasu pracowałam w przemyśle wydobywczym Kanady.

Nie była to satysfakcjonująca odpowiedź, ale zapewne miała wystarczyć. Jack założył, że kobieta spróbuje zaraz skierować temat rozmowy na niego, ale nie chciał do tego dopuścić. Skinął więc głową i powiedział:

- Proszę dalej.

– Ach tak. Cóż... obecnie wdramy nowe technologie. NewCorp też usprawniają swoje urządzenia, dostosowując je do nowych wyzwań. A ja po prostu obserwuję, jak wcielają w życie nowe pomysły.

Ryan skinął z uznaniem głową. Była dobra. Nie, była bardzo dobra. Omal go nie przekonała. Postanowił rozegrać teraz swoją partię, więc zadał kilka pytań na temat prowadzonych przez nią badań, a nawet zapisał parę rzeczy w tak ostentacyjny sposób, żeby wyglądało to tak, jakby robił notatki do inwestycji.

– To rzeczywiście wspaniałe – stwierdził w końcu. – Zastanawiam się, czy mógłbym to wszystko obejrzeć w działaniu.

Skinęła głową.

– Mogę pana skontaktować z Hydrometallurgy Quality Control. Jestem pewna, że będę mogła panu pokazać proces rozkładu chemicznego.

– Będę wdzięczny. Zastanę tam też panią?

Élise zawahała się. Jack był pewien, że ciągle analizuje sytuację, próbując ustalić, czy jego obecność jest jakimś zagrożeniem. Spotkanie było przecież tak zupełnie przypadkowe i takie dziwne i był przekonany, że nie mogła niczego podejrzewać.

– Jeżeli może pan przyjść jutro – powiedziała – to zapraszam, będę tam przez cały dzień. Później już nie, pojutrze wyjeżdżam do domu. Zatem do jutra.

Wyszli ze stołówki i zeszli na dół, do wind. Chciał ją zaprosić na kolację, ale oparł się tej pokusie z dwóch powodów. Po pierwsze, nie chciał przeciążać jej umysłu jakimś sygnałem mogącym wprowadzić ją w stan zbytnej czujności, czy przypadkiem nie prowadzi jakiejś gry. Gdyby zaczął działać zbyt nachalnie, mógłby wzbudzić jej podejrzenia, że w tym spotkaniu nie było nic przypadkowego. Natomiast nie narzucając się, mógł ją przekonać, że spotkanie było tylko zbiegiem okoliczności.

Po drugie, wiedział, że Chavez i Clark mogliby dostać ataku nerwowego. Z uwagi na powodzenie operacji nie widzieli sensu zbytowego zbliżania się Ryana do tej kobiety i poszli tylko na kompromis w wypadku tematu „syna prezydenta”.

Przy windach nacisnął przycisk w dół, do swojego gabinetu, a Élise udała się do schodów prowadzących na parter, aby wrócić do swojego budynku. Pożegnali się i udali swoimi drogami.

Gdy drzwi windy zaczęły się zamykać, Ryan usłyszał, jak ktoś biegnie przez hol.

– Może pan zaczekać, proszę?! – zawołał mężczyzna. Jack przytrzymał drzwi trochę rozdrażniony, chciał porozmawiać z Clarkiem i Dingiem o Élise Legrande, zanim będą mieli przerwę na kolację.

Do windy wszedł szybko młody Azjata w dżinsach i koszulce polo. Miał ze sobą plecak i na początku stał tyłem do Ryana.

– Dziękuję – powiedział, odwracając się.

Jack puścił drzwi i wybrał przycisk swojego piętra, po czym uniósł wzrok.

– No nie...

Przechylił głowę. Mężczyzna zrobił to samo.

– Yao?

– Ryan?

Uścisnęli dłonie, obaj z wyrazem zakłopotania na twarzach.

– Miło mi cię tutaj widzieć.

– Hm... tak. Mnie też.

– Co sprowadza cię do Valley Floor? – zapytał Ryan.

– Mógłbym spytać cię o to samo – odparł Yao.

Jechali dalej w ciszy, aż winda zatrzymała się na piętrze Ryana. Obydwaj zastanawiali się nad znaczeniem tego spotkania. Zanim znów zamknęły się drzwi, Jack zapytał:

– Chcesz napić się piwa?

Adam przytrzymał drzwi.

– Muszę coś załatwić, a potem mam wolne. Spotkajmy się w lobby na dole za dwadzieścia minut.

Ryan skinął głową.

– Będę czekał.

Bar znajdujący się najbliżej kompleksu NewCorp stał zaraz przy granicy z Nevadą, przy międzystanowej nr 15. Wiele nędznych kasyn wyrastało tu jak grzyby po deszczu z nadzieją, że złapią jadących na wschód mieszkańców Los Angeles, aby zagraли jeszcze w Nevadzie. Miejsce leżało około trzydziestu mil od Vegas. Znajdowało się tam mnóstwo hoteli, salonów gier i spelunek z fast foodami. Wszystkie były jednak tylko przystankiem dla tych, którzy nie mieli czasu albo benzyny lub nie chcieli bez tchu gnać do Strip.

Jack Ryan i Adam Yao usiedli przy stoliku w tylnej części baru w Whiskey Pete's Hotel & Casino. Przed nimi stały szklanki z piwem – sam adams dla Ryana i shiner bock dla Yao.

Przez pierwsze kilka minut prowadzili niezobowiązującą pogawędkę, lecz każdy jednocześnie obserwował drugiego. Nie byli nieprzyjaciółmi. Mieli wspólne zainteresowania, więc lubili się i szanowali nawzajem. Ale tak było kiedyś, teraz było inaczej. Każdego ciekawiło, co drugi tu robi.

– Zmieniłeś się – powiedział Yao.

– Broda?

– Tak. Jesteś też bardziej muskularny.

– Bycie rozpoznawalnym jest męczące.

– Domyślam się. Czy mogę ci w czymś pomóc?

– W czym? – zapytał Ryan.

– Nieważne – odparł Adam i pociągnął łyk piwa. – Spotkałem twoją przyjaciółkę.

– Doprawdy? Kogo?

– Mary Pat Foley.

– Wspaniała osoba. Gdzie ją spotkałeś?

Przerwa.

– No wiesz. Taka praca.

– Rozumiem.

– No... a ta dziewczyna? – zapytał Yao.

– Élise Legrande? To gość. Przybyła do NewCorp na kilka tygodni. Twierdzi, że przyjechała z Kanady.

– Wspaniale.

– Ta...

Nastąpiła długa przerwa. Rozmowa zaczynała się rwać.

– Posłuchaj – powiedział w końcu Yao. – Miło mi cię spotkać, ale myślę, że nie mamy o czym rozmawiać.

– Jednak piwo jest okej – stwierdził Ryan. Yao zaśmiał się, zaskoczony tą uwagą.

– Jest czy nie jest? Domyślam się, że obaj się zgrywamy. Ty wiesz, że ja nie mogę o tym rozmawiać, a ja wątpię, żebyś ty chciał.

Jack Ryan potrząsnął głową. Właśnie nad tym myślał i chociaż nie wiedział, w jakim celu przyjechał tu Yao, doszedł do wniosku, że pewnie w jakichś sprawach związanych z wywiadem.

– Nieprawda. Mogę ci coś powiedzieć. Mam nadzieję, że wysłuchasz tych informacji i przyjmiesz je jako przysługę z mojej strony. No i nie będziesz zadawał wielu pytań.

- Mam się zadowolić tylko tym, co mi powiesz? Czy tak?
- Blondynka – powiedział Jack.
- Co z nią?
- Szpieg.

Yao nie okazał żadnych emocji, uniósł tylko szklanekę i pociągnął długi łyk. Dopiero potem powiedział:

– Nie mów.
– Sądzę, że nie jest tu z powodu ciebie... To znaczy... Ja tak nie uważam. Podobno jest Kanadyjką, ale ja myślę, że to Francuzka, była agentka DGSE. Teraz pracuje dla prywatnej agencji w Nowym Jorku.

- Skąd to wiesz?
- Zainteresowałem się nią razem z pewnymi facetami.
- Z pewnymi facetami?
- Tak.

Adam wzruszył ramionami, jednak porzucił ten temat.

– Zatem co ona tu robi?
– Uważamy, że zamierza skraść coś dla firmy, w której pracuje, a która działa z kolei dla Korei Północnej. Dotyczy to minerałów ziem rzadkich, ten kraj ostatnio rozwija swój przemysł wydobywczy.

Ryan wpatrywał się w twarz Yao, szukając reakcji, ale Adam nawet nie mrugnął.

Adam Yao był zawodowcem. Chociaż współpracowali ze sobą w Chinach, Ryan nie był zaangażowany w operacji „Acrid Herald” albo przynajmniej Yao nie powiedział Ryanowi, że ma być w niej w jakiś sposób zaangażowany, lub że brał w niej bezpośredni udział. Jednak w miarę upływu czasu ta operacja stawała się coraz dziwniejsza, więc nie mógł być niczego pewien. Nie mógł jednak nic powiedzieć, nawet synowi prezydenta Stanów Zjednoczonych.

To mogło być nawet jeszcze dziwniejsze.

– Tak, to interesujące – stwierdził Yao. – Niezwiązane ze mną, ale interesujące. Jeżeli chcesz, to zadzwonię i poproszę, żeby odpowiednie służby ją sprawdziły.

Ryan wiedział, że Yao może kłamać. Miał tu do wykonania zadanie związane z przemysłem wydobywczym Korei Północnej.

- To niepotrzebne. Wiedza o tym, dlaczego ona tu jest, może cię narazić na niebezpieczeństwo.
- Spokojnie. Ale doceniam twoją troskę. – Spojrzał na przechodzącą kelnerkę. – Wezmę rachunek. Po chwili obaj mężczyźni wyszli na wietrzny parking.
- Cieszę się, że cię spotkałem, Adam – powiedział Ryan. – Uważaj na siebie.
- Ty też. Jeszcze raz dzięki.

Uścisnęli dłonie i rozdzielili się. Każdy wsiadł do swojego auta, po czym ruszył do Vegas.

Ryan nie miał pojęcia, co Yao tu robił, ale piekielnie go to ciekawiło. Adam też nie wiedział, co robił tu Jack, ale w przeciwieństwie do niego naprawdę nie chciał wiedzieć. Mógłby przekazać Mary Pat to, co powiedział mu Ryan, ale był pewien, że ona i tak ma już wszystkie informacje.

Yao mniej obchodziło, co się dzieje w Kalifornii, bardziej obawiał się o swoją przyszłość. Miał

odlecieć następnego dnia rano i nie mógł tego zrobić, mając jakiegokolwiek wątpliwości, których nie byłby w stanie rozwiązać.

Veronika Martel wróciła do swojego pokoju na osiemnastym piętrze hotelu Palazzo na Las Vegas Strip. Rzuciła torebkę na łóżko i usiadła przy otwartym laptopie. Otworzyła odpowiedni program i podłączyła telefon do komputera. Wcisnęła właściwy klawisz i natychmiast zawartość telefonu, a dokładniej pliki skradzione z serwerów NewCorp zaczęła przenosić do chmury. Stamtąd Edward Riley miał wziąć te materiały i przesłać je dalej, do New World Metals LLC, skąd miały z kolei trafić do Korei Północnej.

Nie wiedziała, co będzie się działo na końcu tego łańcucha, ale to jej nie obchodziło. Miała swoje zadanie, które dziś wykonała perfekcyjnie.

Nie było to wcale takie łatwe. Te dwa tygodnie spędzone w pracy w przemyśle, o którym miała słabe pojęcie, były naprawdę męczące. W dodatku musiała udawać fascynację swoim zajęciem przed tym niechlujnym dyrektorem IT, Ralphem Baggettem. Z pewnością to zadanie nie należało do dziesięciu najgorszych, jakie wykonała w swojej karierze, ale raczej wolałaby spędzać czas na czymś innym.

Ale zrobiła to. Nie bawiła się w jakieś skomplikowane wyciąganie z Baggetta haseł do serwera, jak pierwotnie planowała. Udało jej się skraść pliki z jego systemu po tym, jak sam się zalogował i zostawił komputer bez opieki. Zrobiła to bez wysiłku, bez flirtu i seksu z Baggettem, co ją akurat cieszyło, chociaż była przygotowana na taką możliwość, aby osiągnąć cel.

Teraz, po zakończeniu operacji, Veronika miała pojechać nazajutrz do Valley Floor na ostatni dzień swojej dwutygodniowej wizyty, a potem przemęczyć się na wieczornym przyjęciu pożegnalnym z kilkoma osobami, z którymi pracowała w Hydrometallurgy Quality Control. Także z Baggettem, który sam się wprosił na tę uroczystość.

Veronika uważała, że to trochę idiotyczne, że ci ludzie, z którymi pracowała zaledwie dwa tygodnie, zorganizowali jej przyjęcie pożegnalne. We Francji mogła pracować w biurze nawet dziesięć lat i koledzy nadal nie znali jej imienia, jednak teraz była w Ameryce, a ci Amerykanie chyba mieli skłonność do takich głupot.

Gdyby miała wybór, odleciałaby do domu już dziś i nie spotykała się z nikim.

Nie. To nie była do końca prawda. Był jednak ktoś, z kim chciała się znowu się spotkać.

Uważała to za czystą ironię, że w dniu, w którym zakończyła misję, wydarzyło się coś znacznie bardziej interesującego.

W tej sytuacji Veronika sięgnęła po telefon, aby zadzwonić. Teraz, kiedy zdobyła już dane z systemu NewCorp, powinna skontaktować się z Rileyem i złożyć sprawozdanie.

Pierwsze, czego agent lub agentka wywiadu musieli się nauczyć w ramach szkolenia, w ramach OPSEC (Operations Security – bezpieczeństwo operacji) i PERSEC (Personal Security – bezpieczeństwo osobiste), to informowanie o wszystkich, nawet przypadkowych spotkaniach. Leniwa rozmowa o pogodzie z nieznajomym lub nieznajomą, na przykład w czasie czekania na taksówkę, mogła być istotna dla kogoś, kto miał większą wiedzę na temat operacji – niezależnie od

tego, jak bardzo nieistotnie wyglądało to dla agenta działającego w terenie.

Spotkanie z synem prezydenta Stanów Zjednoczonych w Valley Floor mogło nie mieć żadnego znaczenia dla operacji New World Metals, ale jej szef raczej wolałby wiedzieć, że pojawiła się tu taka osoba. Bezpieczeństwo akcji narzucało regułę, że każdy agent w terenie powinien natychmiast powiadomić swojego agenta, jeżeli coś – nawet w najmniejszym stopniu – uznał za niezwykle. To była właśnie taka sytuacja.

Veronika już miała wystukać numer do Riley'a, ale zatrzymała się.

Zaraz, pomyślała. Czy to może być przydatne?

Odłożyła telefon i zamyśliła się. Po chwili zganiła siebie za marnowanie popołudnia na dochodzenie do oczywistej konkluzji. Tak długo służyła w światowej korporacji wywiadu, że zapomniała, jak postrzegać małe i przyziemne sprawy na tle tych o szerszym znaczeniu.

Teraz miała najlepszą sposobność.

Nie, teraz nie ma czasu dokadnie zastanawiać się nad praktykami stosowanymi przez Sharps Global Intelligence Partners.

Teraz czas zająć się sobą.

Syn prezydenta Stanów Zjednoczonych, tak, pomyślała Veronika. Jak to wykorzystać...

Przez ostatnie lata pracowała, żeglując jak statek bez steru i kierując się tylko nadzieją – chociaż czasem zastanawiała się, czy to tylko zwykła fantazja – że kiedyś wróci do wywiadu francuskiego. Opuściła go trzy lata temu, ale od samego początku chciała wrócić.

Jej starsi koledzy mówili, żeby o tym zapomniała. Ona zaś nie miała poprawnych relacji z kierownictwem DGSE.

I nagle nadszedł ten dzień. Dziś spotkała Jacka Ryana juniora. Nie miała żadnych wątpliwości, że mogłaby go wykorzystać, aby wrócić do francuskiego wywiadu. Przekazać im informacje o amerykańskim prezydencie, których nie byłoby w stanie zdobyć w inny sposób. Teraz mieliby okazję, właśnie dzięki niej, Veronice. Na pewno przyjęliby ją z powrotem.

Oczywiście Martel powinna wtedy nawiązać bliższą znajomość z tym mężczyzną, ale raczej nie był to problem. Jack udowodnił, że jest taki jak inni na tym świecie. Nie musiałaby nawet kiwnąć palcem, aby coś zaczęło się dziać.

Tak. Po nawiązaniu bliższej znajomości z Ryanem skontaktuje się z DGSE i powie im, że wraca do domu z nagrodą. Francuski wywiad powita ją z otwartymi ramionami.

Oczywiście nie powie Riley'owi nic. Natomiast gdy Ryan odwiedzi jutro jej dział, wspomni mu, że wieczorem odbywa się jej pożegnalne przyjęcie. Spędzi ten wieczór, ignorując Baggetta i zabiegając o względy Ryana.

Uśmiechnęła się do siebie, zadowolona z wykonania jednego zadania i gotowa do pracy nad drugim, które mogło się zakończyć niewiarygodną wprost nagrodą.

Adam poleciał z Las Vegas do Los Angeles, a stamtąd airbusem A330 linii China Eastern do Szanghaju. Siedział w tyle samolotu i lot spędził, słuchając materiałów do nauki języka koreańskiego w telefonie komórkowym. Na dwie godziny przed wylądowaniem w Chinach usunął je, żeby nikt nie mógł się dowiedzieć, że zna ten język.

Krótko po wylądowaniu Adam skierował się do strefy kontroli imigracyjnej międzynarodowego portu lotniczego Pudong w Szanghaju. Zaczekał na swoją kolej, po czym podszedł do biurka urzędnika.

Mężczyzna wziął do ręki amerykański paszport Adama, na którym widniało nazwisko Shan Xiu, i zaczął go kartkować. Zatrzymał się na wizie chińskiej naklejonej na jednej ze stron.

– Pan jest Chińczykiem? – zapytał po mandaryńsku.

– Tak. Opuściłem kraj osiemnaście lat temu i poszedłem do szkoły w Stanach.

– A teraz pan wraca?

– Nie.

– Ożenił się pan w Ameryce?

Urzędnik tego nie wiedział, ale przyjął jako pewnik.

– Tak. Przyleciałem teraz odwiedzić tu rodzinę.

– Gdzie jest pana chiński paszport?

– Już dawno go zgubiłem. W ambasadzie powiedziano mi, że mogę podróżować z paszportem Stanów Zjednoczonych. Nowe dokumenty chińskie mógłbym wyrobić sobie tutaj, na miejscu, po przedstawieniu tutejszego aktu urodzenia. Wszelkie papiery znajdują się jednak tu, u mojej matki.

Urzędnik spojrzał na Yao uważnie, po czym zaczął powoli kartkować paszport. Sprawdził kilka pieczętek, a następnie podsunął dokument pod szkło powiększające zamocowane na stojaku na biurku i obejrzał okładkę.

Gdyby Adam nie znał tutejszej procedury, byłby z pewnością zdenerwowany. Wiedział jednak, że Chińczycy zawsze tak postępują przy kontroli imigracyjnej. Ten człowiek szukał stron wyciętych po to, aby usunąć jakieś stemple. Obcokrajowcy nie byli wpuszczani do Chin, jeśli mieli w paszporcie stemple chociażby Nepalu.

Urzędnik nie znalazł jednak nic niewłaściwego i cztery minuty po podejściu do jego biurka Adam Yao odebrał paszport, zebrał bagaże z posadzki i ruszył do strefy przylotów. Był teraz, zgodnie z legendą, Shanem Xinem z Chin.

Trzy godziny po przybyciu do Szanghaju Adam Yao dotarł do zwykłego budynku na przedmieściach w Kunshanie. Wjechał windą na pierwsze piętro, po czym zapukał do nieoznaczonych metalowych drzwi. Przez moment widział, jak wizjer pociemniał, po czym odezwał się ochryply głos z interkomu w drzwiach.

– Nazwisko?

– Shan Xin. Jestem umówiony z panem Hu.

Drzwi szcęknęły i otworzyły się. Dwaj mężczyźni obejrzeni najpierw dokumenty Adama, a potem starannie go przeszukali, wyjmując portfel, telefon komórkowy, a nawet zdejmując zegarek. Jeden z nich powiedział:

– Urządzenia do podsłuchu. Musimy wszystko zbadać.

Adam nie zabrał do Chin nic, co mogłoby go obciążyć, więc był spokojny. Szybko zaprowadzono go do gabinetu, gdzie za biurkiem siedział starszy mężczyzna o surowym wyglądzie. Pan Hu. Yao znał jego twarz z wideokonferencji, którą odbył z nim na Skypie w sprawie pracy jeszcze w Wirginii. W czasie tej rozmowy Hu wyjaśnił mu, że mogą go zatrudnić od zaraz w mongolskiej kopalni górników gangsterów jako operatora sprzętu. Podkreślił też, że potrzebuje Adama albo raczej Shana Xina – bo znał go pod tym nazwiskiem – tak szybko, jak to tylko możliwe, więc najlepiej, żeby natychmiast przyleciał do Szanghaju na dalszą lustrację i przygotowanie.

W czasie tej wideokonferencji pan Hu zachowywał się jak prawdziwy biznesmen. Wypytywał Adama o jego wykształcenie, pochodzenie i o wiedzę o systemie używanym do obsługi hydraulicznych kruszarek stożkowych. Adam już na samym początku stwierdził, że Hu nie sprawdzał go, aby potwierdzić jego tożsamość. Chciał mieć tylko pewność, że Shan Xin ma odpowiednie kwalifikacje do tej pracy.

Adam przeszedł przez to wszystko już dwa tygodnie wcześniej w czasie konferencji na Skypie, ale jasne było dla niego, że pan Hu jest człowiekiem na tyle ostrożnym, żeby nie zatrudniać niewykwalifikowanego pracownika.

Jednak nie na tyle, żeby rozpoznać szpiega z CIA.

W końcu stary Chińczyk był zadowolony i wyjął jakieś dokumenty.

– Jako że nie jesteśmy podporządkowani władzom państwowym, musimy postępować nieformalnie.

Adam pomyślał, że niedomówienia Hu są bardzo zabawne. Ta firma nie tylko nie była państwowa, po prostu działała nielegalnie. Mimo to twarz Yao pozostała absolutnie nieruchoma, bez wyrazu.

– Jest pan zatrudniony na ośmiotygodniowym kontrakcie. Może pan jednak odejść w każdej chwili.

– Oczywiście.

– Po tym czasie może pan wziąć tydzień urlopu albo, jeśli pan zechce, nadal pracować.

Adam wolał sprawiać wrażenie gorliwego pracownika.

– Przyleciałem tu do pracy. Nie na urlop.

Hu spojrzał na niego uważnie i skinął głową.

– Nie może pan mówić nikomu, co robił pan w Ameryce. Nigdy. Proszę się nie przyznawać do tamtejszego paszportu. Zatrzymam go u siebie. Taka procedura.

Yao wiedział dlaczego, ale udał, że nie ma pojęcia.

– Ludzie w kopalni nie lubią Amerykanów?

Hu zapalił papierosa i oparł się w fotelu.

– Ten zakład przetwórczy, do którego pan jedzie, nie leży w Mongolii, tak jak słyszał pan wcześniej. Nie mogłem o tym jednak mówić przed pańskim przylotem i zrozumie pan dlaczego, gdy

powiem, gdzie będzie pan naprawdę pracował.

Yao był dobrym aktorem i z rozkoszą odegrał rolę człowieka autentycznie zakłopotanego.

– Nie rozumiem. Gdzie?

– Jeszcze dziś pojedzie pan autobusem z czterdziestoma trzema innymi osobami na lotnisko, po czym wsiądzie do samolotu lecącego do Pjongjangu. Kopalnia leży w północnej części Korei, blisko granicy z Chinami.

Yao rozszerzył oczy. Zanim zdążył coś powiedzieć, Hu dodał:

– Wszystko zorganizowano w najwyższych kręgach ich państwowej korporacji wydobywczej. Gdy tylko znajdzie się pan w strefie powietrznej Pjongjangu, otrzyma pan dokumenty umożliwiające wjazd do tego kraju.

– Co na to rząd chiński?

– Dla niego nigdy nie opuścił pan Chin.

Adam nie miał żadnych zastrzeżeń i podpisał wszystkie papiery jako Shan Xin.

Hu zakończył spotkanie ostrzeżeniem:

– Wysłaliśmy już stu pięćdziesięciu pracowników do kopalni w Korei Północnej. Są dobrze opłacani, więc na to nie narzekają, ale dochodzą do nas skargi na panujące tam trudne warunki.

– Rozumiem.

– Proszę pamiętać, że będzie tam pan pracował pod ciągłą obserwacją. Proszę nie robić nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenie władz Korei Północnej. Najlepiej niech pan zajmuje się tylko swoją pracą. Nie zadaje pytań, nie rozgląda się, nie narzeka i nie daje im powodów, żeby przestali panu ufać. Jeżeli zastosuje się pan do tych uwag, zarobi pan dużo pieniędzy. Jeżeli nie... to już nikt nie będzie mógł panu pomóc.

Adam przytaknął powoli, jak gdyby lekceważąc ostrzeżenie. Ale prawda była inna. Czuł autentyczny strach. Bał się Korei Północnej.

Lot z Szanghaju do Pjongjangu odbył airbusem A319, wycarterowanym przez chińskie towarzystwo Deer Jet z siedzibą w Pekinie. Na pokładzie samolotu Adam spotkał też kilka innych osób lecących do Chŏngju. Większość, jeśli nie wszyscy, wydawała się zaskoczona faktem, że lecą do Korei Północnej.

Ci ludzie byli profesjonalistami, to było dla Adama jasne. Wcale nie wyglądali na górników, podobnie jak Adam. Wiedział, że do obsługi urządzeń przetwarzających rudę firma gangsterska rekrutuje wykwalifikowanych specjalistów – inżynierów czy techników komputerowych, lecz raczej kilku z nich, o ile nie żaden, mogło mieć wcześniej jakąś styczność z podziemiem kryminalnym. Adam miał nadzieję, że będzie to mógł wykorzystać. Lepiej się do nich dostosuje, jeżeli będzie zachowywał się jak wszyscy. Będzie trochę naiwny, ale nie wyjdzie z roli.

Wylądowali o siódmej wieczorem i airbus opróżnił się w ciągu kilku minut. Adam odniósł wrażenie, że był to jedyny samolot, który w tym momencie wylądował na tym lotnisku, ponieważ w terminalu stały tylko dwa długie rzędy młodych żołnierzy w zielonych galowych mundurach, zajmujące praktycznie całą drogę od bramy do strefy kontroli imigracyjnej.

Adam, idąc między żołnierzami w grupie zmęczonych Chińczyków, z całych sił starał się trzymać spuszczoną głowę. Zerknął tylko kilka razy i dostrzegł, że w koreańskiej armii byli zarówno

mężczyźni, jak i kobiety, którzy wyglądali tak, jakby mieli zaprogramowany ponury wyraz twarzy. Przez ich piersi przewieszane były gotowe do strzału kałasznikowy rodzimej produkcji. Adam mógł wyraźnie zobaczyć, że były odbezpieczone i nastawione na ogień półautomatyczny.

Chryste, pomyślał.

Jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył takiej kontroli imigracyjnej. Chińscy technicy zostali posłani do oddzielnych stołów stojących na środku terminalu. Przy każdym stało w pogotowiu pięciu uzbrojonych, ponurych urzędników imigracyjnych. Adam został doprowadzony do wyznaczonego dla siebie miejsca. Stojąca za nim umundurowana kobieta w łamanym języku mandaryńskim poleciła mu położyć na blacie bagaż i otworzyć go. Zrobił, co kazała. Obaj wojskowi zaczęli wyciągać wszystko i szperać w jego rzeczach. Następnie rozkazano mu oddać portfel, umowę o pracę i paszport jasnowłosemu urzędnikowi. W czasie gdy ten przeglądał każdą kartkę dokumentów, czterech pozostałych zaczęło przeszukiwać Adama od stóp do głów. Rozkazano mu rozebrać się do bielizny, zrobił więc to na oczach nie tylko północnokoreańskich funkcjonariuszek, ale też nowo zatrudnionych kobiet, które również potraktowano w ten sposób.

Każdy fragment ich ubrań został sprawdzony, a potem każda osoba została zbadana wykrywaczem metali przesuwanym wzdłuż całego ciała.

Adam spędził w sumie ponad dwadzieścia minut w samej bieliźnie. Był co prawda dobrze zbudowanym i pewnym siebie mężczyzną, ale stanie przed dwoma młodymi kobietami trzymającymi broń z wrogim wyrazem twarzy było doświadczeniem, jakiego jeszcze nigdy nie przeżył.

W połowie tego wlokącego się procesu Yao usłyszał przy sąsiednim stole jakieś zamieszanie. Mężczyzna podniesionym głosem mówił po koreańsku:

– Co to ma znaczyć? Co ja tu znajduję? Jak to wytłumaczysz?

Adam odwrócił się w tę stronę. Chinka w wieku trzydziestu lat, którą Adam spotkał w czasie lotu, stała teraz w biustonoszu i majtkach i patrzyła na to, co urzędnik imigracyjny trzymał w rękach. Nie rozumiała jego słów, więc czekała, aż je ktoś przetłumaczy. Po chwili podszedł ich opiekun, Koreańczyk, który znał chiński, i spojrzał na rzekomy dowód zbrodni, a potem zwrócił się do kobiety:

– To jest słownik języka koreańskiego. Dlaczego go masz?

– Dlaczego? Pan żartuje? – odparła Chinka ze szczerym zakłopotaniem. – Nie mówię po koreańsku. Kupiłam go na lotnisku. Myślałam, że pomoże mi znajomość kilku słów.

– Pewnie w szpiegowaniu?

– Co?! Oczywiście, że nie!

Kobieta została odprowadzona za rękę, ciągle w samej bieliźnie. Płakała głośno. Jej bagaże nadal stały otwarte na stole, a garderoba leżała obok w nieładzie.

Adam milczał. Miał nadzieję, że zostanie za to tylko wydalona z kraju; w sumie byłoby to dla niej znacznie lepsze niż zostanie tutaj. W istocie nie wiedział, czy powinien odczuwać żal, czy jej zazdrościć.

Korea Północna już zaczynała wyglądać potwornie.

Nie, upomniał się surowo za tę myśl. A czego się, u diabła, spodziewałeś, Adamie?

Po tej wlokącej się w nieskończoność kontroli imigracyjnej i stracie jednej z osób Adama i czterdziestu dwóch pozostałych chińskich techników zaprowadzono do autobusu i przewieziono przez ciemne, niemal puste ulice Pjongjangu do hotelu Yanggakdo.

Adam wiedział już o nim wszystko. Krążyły pogłoski, że czynne jest tam tylko jedno piętro – dwudzieste szóste. Pozostałe były zamknięte, a ich okna zasłonięte, aby wyglądało na to, że Korea Północna wybudowała ogromny obiekt w celach biznesowych i przyjmuje w nim Bóg wie ilu inwestorów. Tak naprawdę to korzystano z zaledwie kilkudziesięciu pomieszczeń. Adam założył, że wraz z pozostałymi technikami zostanie zakwaterowany na jakimś nędznym, czasowo zamkniętym piętrze.

Jednak w lobby kazano im ustawić się w rzędzie, po czym jedna z nienagannie ubranych uzbrogonych opiekunek powiedziała:

– Teraz otrzymacie klucze. Po cztery osoby w pokoju. Wszyscy na dwudziestym szóstym piętrze.

No, no! pomyślał Adam. On i cała jego grupa byli zapewne jedynymi gośćmi hotelu i zapewne jedynymi podróżującymi obcokrajowcami w tym dużym mieście.

Skromne przyjęcie dla chińskich techników miało się zacząć o dziewiątej wieczorem w sali bankietowej mieszczącej się w podziemiach. Żeby tam zjechać, Adam ustawił się razem z innymi mieszkańcami dwudziestego szóstego piętra, czekając na strażników, którzy potem zawieźli ich w grupach na dół.

Yao wiedział, że ta ścisła kontrola powinna go niepokoić; zupełnie jakby znalazł się w maksymalnie strzeżonym więzieniu. Czuł się jednak tak, jakby nagle wrócił do szkoły podstawowej. Dorośli ustawiali dzieci w rzędzie i czekali, nieustannie kontrolując każdy ich ruch.

Sala bankietowa była niemal komicznie udekorowana i pięć razy za duża na przyjęcie dla takiej liczby chińskich techników. Pracowało w niej dwanaście kelnerek, z czego żadna nie znała języka chińskiego. Adam spróbował zacząć rozmowę ze swoimi nowymi kolegami i koleżankami, lecz wielu było tak zdenerwowanych, że nie bawili się dobrze, więc konwersacja ciągle kulała. Jedna z kelnerek włączyła radio i podłączyła bezprzewodowy przenośny mikrofon do małego głośnika. Popłynęły z niego ochryple pieśni rewolucyjne, wypełniając muzyką całą salę bankietową. Adama bawił ten spektakl, jaki prezentowano na scenie, i mógłby go oglądać godzinami, ale przestał pić po dwóch piwach. Stwierdził, że aby uspokoić nerwy, musiałby ich wypić z pięćdziesiąt, jednak wiedział, że dobry agent wywiadu nie staje się jeszcze lepszy pod wpływem alkoholu. Trzymał zatem tylko w ręce swoją prawie pustą butelkę, głupio się uśmiechał i kiwał głową w rytm muzyki, jednocześnie nie zwracając na siebie uwagi. Potem podszedł do drzwi, skąd opiekun zabrał go i eskortował do jego pokoju.

W drodze na dwudzieste szóste piętro Adam przypomniał sobie coś jeszcze o tym hotelu. Aby potwierdzić te pogłoski, odchylił się, żeby opiekun mu nie zasłaniał, i zaczął odczytywać numery pięter.

Tak. Tak jak mu mówiono, piąte piętro nie istniało. Założył więc, że tam właśnie pracowali wszyscy agenci północnokoreańskiego kontrwywiadu. Wiedział, że tu, hotelu Yanggakdo, wszystko, co powie i zrobi, zostanie zapisane albo nagrane na wideo. Yao był tym bardzo zaniepokojony, mimo że w Chinach przywykł do ostrych metod pracy wywiadu.

Tu jednak, wśród paranoidalnych zabezpieczeń, odniósł wrażenie, że to tylko amatorzy.

Veronice Martel sprawy układały się zgodnie z planem. Jej cel, aby zbliżyć się do Jacka Ryana, był już niemal w zasięgu ręki – szło jej łatwiej, niż przewidywała. Łapała się już na myślach o życiu w Paryżu po powrocie do francuskiego wywiadu razem z nim, jako ewentualnym nowym rekrutem.

Tego ranka Ryan przyszedł do jej działu zaraz po dziewiątej i większość czasu spędził, robiąc notatki dotyczące wyposażenia i obróbki. Potem poszli do jej tymczasowego gabinetu i tam dyskutowali o ekstrakcji rozpuszczalnikowej. Podziękował za poświęcony mu czas, wymienili wizytówki, po czym, gdy przez parę chwil udawała brak większego zainteresowania, aby skruszyć zbytnią pewność siebie mężczyzny, w najswobodniejszy jak to tylko możliwe sposób zarzuciła na Ryana przynętę, zapraszając go na wieczorne przyjęcie organizowane przez jej kolegów z pracy. Jack dał się złapać, powiedział, że chętnie przyjdzie. Na szczęście dla Veroniki kobieta z Kontroli Jakości organizowała po pracy, w miejscu przeznaczonym na tego rodzaju okazje, spotkanie, więc Veronika obiecała Ryanowi, że wyśle mu wiadomość, gdy wszystko będzie ustalone.

Kiedy Jack wrócił do siebie na kilka godzin pod koniec dnia, otrzymał informację, że wszyscy zbierają się o ósmej wieczorem w modnym V Barze hotelu Venetian.

Veronika ani przez chwilę nie wątpiła, że Ryan przyjdzie. Wszedł do baru o ósmej piętnaście. Musiała przyznać, że sprawiał niezłe wrażenie. Przystojny, w lekkim, jasnobrązowym sportowym płaszczu i dzinsach, chociaż usiadł od niej dalej niż zawsze obecny i zawsze irytujący Ralph Baggett, wkrótce przesunął się kilka siedzeń, aby znaleźć się dokładnie naprzeciwko niej.

Baggett, tak jak przez całe dwa tygodnie, zajął absolutnie cały czas Martel, ale to Francuzka miała nad nim władzę. Włączyła Ryana do rozmowy w taki sposób, który z pewnością wyglądał dla obu mężczyzn naturalnie.

Jackowi Ryanowi wszystkie sprawy układały się zgodnie z planem. Jego cel, aby zbliżyć się do Élise Legrande, był już niemal w zasięgu ręki – szło mu łatwiej, niż przewidywał. Dziś rano poszedł do jej działu i spędził z nią tyle czasu, aby okazać niezobowiązujące zainteresowanie i dać się zaprosić na wieczorne przyjęcie.

Z ulgą dowiedział się, że będzie mógł się z nią znowu zobaczyć, bo zdecydowanie łatwiej było mu osiągnąć cel w tłumie niż w trakcie spotkania we dwoje w jej gabinecie. Teraz najważniejsze było, aby zdobył jej telefon – tak zdecydował Gavin Biery, uważając, że w ten sposób najskuteczniej dowiedzą się, jakich danych szukała w systemie NewCorp. Jack szkolił się w kradzieży kieszonkowej, więc przyjęcie mogło być dla niego szansą, aby niepostrzeżenie wykonać zadanie.

Cały poranek spędził, konsultując się z zespołem w sprawie dotarcia do danych wykradzonych przez Élise. Ryan miał telefon od Gavina i aby wydostać dane z jej komórki, po czym przesłać je do Biery'ego, musiał zdobyć ją na zaledwie dwie, trzy minuty. Uważał, że może to zrobić podczas przyjęcia, chociaż obecni tam faceci też mogą szukać okazji, aby zbliżyć się do tej kobiety. Czy jednak mógł na imprezie uzyskać prosto od niej więcej informacji? Jakies szczegóły, co zamierza

zrobić, informacje o tożsamości jej klienta – tego dobroczyńcy, który łąduje miliony dolarów w Koreę Północną? Agenci Kampusu wiedzieli, że w głowie Élise Legrande znajduje się tyle samo – jeśli nie więcej – ważnych informacji co w jej telefonie, i powstał problem, jak to od niej wydobyć.

Clark był przeciwny temu, aby Ryan starał się w jakikolwiek sposób zbliżyć do niej fizycznie. Nawet wtedy gdy Jack zaproponował, że zaprosi ją na niezobowiązującego drinka po przyjęciu i spróbuje coś od niej wyciągnąć, Clark od razu wyraził sprzeciw. Był mniej niż entuzjastycznie nastawiony do tego pomysłu.

– Jedno pytanie, Ryan.

– Strzelaj.

– Co się stało z tym ostatnim sukinsynem, którego obserwowaliśmy w restauracji z tą kobietą? Zapomniałeś o Wietnamie?

Dom, który siedział cicho i słuchał tej rozmowy, wtrącił:

– Och!

Ryan potrząsnął głową.

– Przecież będą mnie mieli na oku twoi chłopcy.

– Hazeltona też śledziliśmy – warknął Clark. – Cholernie mu to pomogło.

Przez moment nie mogli się dogadać, ale ostatecznie zawarli kompromis. Gavin miał przesłać Ryanowi następne urządzenie: miniaturowe, bezpieczne słuchawki douszne z długim na pół cala zasobnikiem do baterii. Całość przypominała aparat słuchowy, ale tak naprawdę mogła zostać podłączona przez Bluetooth do zwykłych słuchawek, aby retransmitować albo odbierać emitowane dźwięki. W przeciwieństwie do innych słuchawek te miały zewnętrzny mikrofon przechwytyjący dźwięki wokół osoby, która je nosiła. Ryan przetestował ten sprzęt; miał dość długie włosy, żeby zakryć większą część ucha, a pozostali członkowie Kampusu mogli słyszeć jego i rozmowy toczące się wokół. I co ważniejsze dla Clarka, Ryan mógł odbierać od niego komunikaty.

John zgodził się więc, aby Ryan poszedł na to przyjęcie i zrobił wszystko, co się da, aby zbliżyć się do telefonu Francuzki, ale nadal nie odpowiadały mu proponowane przez Jacka późniejsze działania. A to oznaczało, że Clark chciał słyszeć go przez cały wieczór i nawet udał się w tym celu do hotelu Venetian, poszukał ławki w galerii handlowej w lobby, aby w razie kłopotów znajdować się od Ryana tylko o kilka sekund.

Dał mu jasno do zrozumienia, że nie zawaha się rozkazać mu zakończyć operację, jeśli stwierdzi, że sprawy nie toczą się tak, jak powinny.

Przyjęcie, jak większość tego rodzaju spotkań organizowanych przez firmy dla swoich pracowników, zaczęło się paplaniną na temat pracy, ale z czasem, po drugiej rundzie drinków i większym rozluźnieniu, tematy zmieniały się na bardziej osobiste. Wyjątek stanowiła Élise Legrande. Ryan zręcznie manewrował w rozmowie tak, aby odwrócić uwagę od siebie. Tymczasem Élise niczym jastrzęb śledziła ludzi przy stole – zwykle w milczeniu. Prawie przez cały czas zerkała na Ryana, jednak nie był tym zakłopotany – widział, że często kieruje na niego wzrok. Nie było to trudne, jako że siedzieli naprzeciwko siebie, a ona chwytiała jego spojrzenie w sposób, jaki mimo jej oszałamiającej urody uznał za niemiły.

Z upływem czasu zajętych miejsc było coraz mniej, bo większość gości miała w domu dzieci, które

musiała rano wysłać do szkoły, poza tym wielu dorosłych też wstawało wcześniej. Większość gości twardo siedziała przy trzecim drinku, ale czwartym gości zaczęli się wykruszać zakropiona przez kelnerki koktajlami. W końcu zostali tylko Ryan, Baggett i Élise.

Jack spędził ostatnie czterdzieści pięć minut, czekając na sposobność do podjęcia akcji. Był gotów obejść stół, żeby znaleźć się obok Élise i zacząć bawić się jej telefonem; miałby na to z tuzin usprawiedliwień, najpierw musiał się dowiedzieć, gdzie go w ogóle trzymała. W kieszeni, w torebce, w ręce? Nawet z umiejętnościami kieszonkowca nie mógł tak po prostu usiąść obok niej i przeszukać jej od stóp do głów. Przez całe półtorej godziny od jej przyjścia nie widział ani śladu telefonu.

W rzeczywistości nie widział go, ale później zorientował się, że znajduje się prawdopodobnie w jej torebce, więc gdy podniosła ją i zaczęła w niej grzebać, przystąpił do akcji. Stojąc tyłem do stołu, zaczął pokazywać Ralphowi i Élise coś w swoim telefonie, równocześnie zerkając na jej prawą rękę.

Trzymała w niej komórkę i odczytywała właśnie jakąś wiadomość. Ryan zorientował się jednak natychmiast, że to nie był ten sam telefon, który od tygodnia nosiła w Valley Floor.

Jasna cholera, pomyślał. Zamieniła telefony. Jack potrzebował tego, który nosiła w pracy, ponieważ najpewniej to tam trzymała dane, jakich potrzebował.

Gdzie więc go schowała? W pokoju?

Jack nie miał pojęcia, gdzie mieszkała. Nie udzieliła takiej informacji i nie miał jak tego od niej wcześniej wyciągnąć. Był przekonany, że to powinno być gdzieś przy Vegas Strip, bo wszyscy goście NewCorp w Valley Floor byli tam lokowani, ale nie znając dokładnego miejsca, nie mógł wysłać agenta Kampusu na przeszukanie.

Przeprosił zatem i wyszedł do toalety. Ludzie z oddziału mogli słyszeć każde jego słowo, więc zaczął mówić zaraz po tym, jak odszedł daleko od stołu.

– Słuchajcie, jest problem. Ona ma przy sobie inny telefon.

– Cholera – odparł Chavez. – Co to, u diabła, ma znaczyć?

– Myślę, że ma znaczyć tyle, że Gavin miał rację – powiedział Ryan. – Tamten telefon służył jej do działania operacyjnego. Zdobyła to, czego chciała, więc zostawiła go w swoim pokoju. Albo... do diabła, nie wiem, może jednak tkwi w jej torebce.

– Więc sprawdź to – rzucił Dom.

– A ty sprawdź jej pokój – odparował Ryan.

– Gdzie mieszka?

– Nie wiadomo.

– Kuzynie, to Vegas. Tu jest sto dwadzieścia pięć tysięcy pokoi hotelowych. Chcesz, żebym włamywał się do wszystkich?

Ryan wymruczał kilka przekleństw.

– Okej, dowiem się tego dla ciebie, gdy uda mi się pogrzebać w jej torebce. A ty w tym czasie siedź na dupie i nie przemęczaj się.

– Panowie – Clark upomniał ich cicho.

– Okej, Ryan – powiedział Ding. – Sprawdź jej torebkę i jeżeli go tam nie będzie, zapytaj, gdzie mieszka, i daj nam cynk. Będę na linii, a dział Gavina da mi wgląd w listy gości hoteli w całym mieście. Znajdź właściwy, a ja znajdę numer jej pokoju. Wyślemy Dominica na miejsce, ty będziesz

pilnował dziewczyny.

Ryan zgodził się, chociaż Ding przedstawił to dużo prościej, niż mogło się okazać w rzeczywistości.

- Postaram się jakoś to zdobyć. Wracam tam, zanim Baggett spróbuje ją porwać.
- Ta francuska agentka prędzej urwie mu jaja – mruknął Ding.

Ryan stwierdził po powrocie, że Baggett zniknął i Élise Legrande została sama przy dużym stole. Sprawdzała coś w telefonie i ścisła między kolanami torebkę.

Jack usiadł obok niej.

- Co się stało z Ralphem?
- Musiał wyjść. Prosił, żebym życzyła ci dobrej nocy.

Ryan wysiłał się, żeby ukryć zadowolenie, ale w prawym uchu usłyszał głos Clarka studzący jego ekscytację:

- To byłoby zbyt łatwe. Trzymaj oczy otwarte, coś się święci.

Clark sugerował, że agentka Sharps Intelligence może też prowadzić operację przeciwko Ryanowi, ale Jack go wyśmiał. Twierdził, że ta kobieta jest zainteresowana nim tylko jako mężczyzną. Usunęła z gry Ralphi Baggetta i to była dla Ryana i jego misji dobra wiadomość, a nie dowód, że w ten sposób Élise próbuje coś osiągnąć.

Obserwował, jak chowa telefon do torebki, i w pewnym momencie zapuścił wzrok do środka. Nie było tam żadnej innej komórki.

Musiał zatem poznać nazwę jej hotelu. Nie miał czasu na jakieś ciągnące się w nieskończoność sztuczki, więc zaczął wprost:

- Co sądzisz o hotelu Venetian?

Miał nadzieję, że powie coś o pokojach i tym samym wskaże mu hotel, ale ona tylko rozejrzała się dookoła.

- Nie ma w nim nic z Wenecji.
- Tak, rzeczywiście. Niemniej jest całkiem sympatyczny. – Jack przystąpił do ataku. – Gdzie się zatrzymałaś?

Zamrugała, być może trochę zaskoczona pytaniem, jednak odpowiedziała:

- Tu, w sąsiedztwie, w Palazzo.
- Naprawdę? – Ryan udał zdziwienie. – To zabawne. Ja też.

Francuzka zmrużyła oczy. Ryan domyślił się, że mu nie uwierzyła, i natychmiast przestraszył się, czy czegoś nie spieprzył. Chciał znaleźć pretekst, żeby z nią zostać trochę dłużej i obserwować, gdy Dom będzie pracował i jeżeli stwierdzi, że mieszka w tym samym hotelu, to później będą mogli wrócić tam razem. Clark ostrzegł Ryana, że kobieta może łatwo wykryć kłamstwo, mimo to Jack wolał zaufać swojemu szczęściu.

W słuchawce usłyszał głos Dinga:

- Załatwiam ci właśnie pokój.
- Który pokój? – zapytała Legrande, jakby nieświadomie włączając się w ich rozmowę. Ryan uniósł brwi.
- Przepraszam?

– Jaki jest numer twojego pokoju w Palazzo?

Cholera, pomyślał. Nie mógł tak po prostu podać byle jakiego numeru. Mogłaby chcieć go dalej sprawdzać – tak na własny użytek – a wtedy złapałaby go na kłamstwie.

Ding usłyszał jej pytanie.

– Daj mi jeszcze kilka minut, Ryan! Pieprz coś.

Jack uśmiechnął się.

– Czy to trochę nie za szybko?

– Nie powiedziałabym. Pytam, ponieważ nie sędzę, żebyś mówił prawdę. Nie wiem, co tu robisz, ale myślę, że z jakiegoś powodu właśnie próbujesz kłamać.

Jack odpowiedział tylko:

– Dyplomatyczna nieufność to twój problem... – Czuł się idiotycznie, ale brnął dalej. Nie mógł się cofnąć.

– Tak, ale to tylko nieufność z ostrożności. To dlatego że otaczają mnie ludzie, którzy nie mówią prawdy. Tak jak na przykład teraz.

Ryan widział już, że ta kobieta cały czas trzymała się na baczności. Przez chwilę naciskała, żeby powiedział, gdzie naprawdę mieszka, ale on z uporem powtarzał swoją wersję.

W końcu Élise rzuciła:

– Masz ostatnią szansę na szczerść, Jack. Gdzie jest twój hotel?

Jack uśmiechnął się.

– W takim razie chodź, pokażę ci mój pokój – powiedział, wstrzymując oddech.

– Kłamiesz – odpowiedziała, choć uśmiechnęła się kokieteryjnie. Naprawdę mu nie wierzyła i sprawiała wrażenie, jakby jej to sprawiało przyjemność, natomiast Jack stwierdził, że kobieta wyobraża teraz sobie, iż on robi to tylko po to, żeby ją potem rozebrać.

Tak, kłamał, nie miał klucza do pokoju. Jednak nie zakładał, aby tak pewna siebie i wytworna kobieta, jaką miał przed sobą, mogła mu złożyć tego rodzaju propozycję. Nawet jeśli mu nie wierzyła. Ale jeżeli blefował, to ten blef bardzo mu się podobał.

– Myślę, że ty też kłamiesz – rzucił. – I wcale nie chcesz iść.

Na to nie odpowiedziała, stwierdziła natomiast:

– Sprawdzałam cię dziś w Google.

– Naprawdę? Podobało ci się zdjęcie czternastolatka z durną fryzurą i w szelkach?

– Bardzo – odparła z pełną powagą. – Dowiedziałam się też, że pracujesz dla Hendley Associates.

– I w to też nie wierzysz?

Znowu nie odpowiedziała na pytanie.

– Naprawdę nie ma tam o tobie nic złego, ale jestem zaskoczona, jak mało jest danych na twój temat, odkąd ukończyłeś college. Tak jakbyś zapadł się w cień.

Teraz Ryan poczuł, że zaczyna się denerwować. Była szpiegiem, a szpiegdy łatwo nabierają podejrzeń. Nie był zaskoczony poziomem, na którym go zaczepiła. Zastanawiał się, czy wie o nim coś więcej, niż teraz zdradziła, i czy ma to związek z jej obecną operacją.

– W sieci brak informacji na mój temat z prostej przyczyny. Jestem nudny. Taka jest korzyść z mojej pracy. Ludzie nudni nudzą innych.

– Pytasz kobietę, czy chce pójść z tobą do pokoju hotelowego, którego nie masz. To dziwne, nie

nudne.

– Ciągłe mi nie wierzysz?

– Nie w tym momencie. Masz jakiś powód, aby śledzić mnie do hotelu, dlatego powiedziałeś, że też się tam zatrzymałeś. Myślałeś, że ci uwierzę? A może kombinowałeś, że usiądziemy sobie razem w tutejszym barze, a potem zabiorę cię do mojego łóżka?

– Jesteś bezczelna.

– I doświadczona.

W końcu w słuchawce Jacka odezwał się głos Dinga.

– Pokój trzydzieści-dziewięć-zero-osiem. *Junior suite*. Clark jest w drodze z kluczem. Połóż go na biurku i jeżeli będziesz bajerował ją jeszcze przez dwadzieścia minut, Dom zdąży przenieść całe twoje gówna z Mandarin.

Jack musiał przyznać, że trochę za szybko powiadomił Chaveza, że chce zabrać tę kobietę do swojego pokoju hotelowego. Przecież, do diabła, nawet nie miał klucza ani pojęcia, jak go zdobyć bez zwracania uwagi.

– Pokój trzydzieści-dziewięć-zero-osiem – powiedział jednak i wstał. Podając tę informację, tym samym rzucił jej wyzwanie.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Okej, Jacku Ryane juniorze. A zatem idziemy do Palazzo i obejrzymy ten twój pokój.

Jack zawahał się. Cholera!

– Jeszcze nie! – krzyknął nagle Ding. – Do diabła! Jeszcze nie jesteśmy gotowi!

Jack poprosił przechodzącą obok kelnerkę o rachunek. Miał nadzieję, że będzie ekstremalnie powolna i zajmie jej to dużo czasu.

Kiedy Ryan powiedział, że zatrzymał się w hotelu Palazzo, Dom Caruso skoczył na równe nogi w pokoju Mandarin Oriental, pobiegł do sypialni Ryana i zaczął zbierać porozrzucone części garderoby, buty, nawet jego komputer i urządzenia peryferyjne, aby wrzucić to wszystko byle jak do torby na podłodze. Potem opróżnił szafę kuzyna; wyciągnął z niej wyprasowane koszule i garnitur, zwinął je w kłębek i położył na wierzchu. Dorzucił jeszcze przybory toaletowe, zaciągnął zamek i ruszył do drzwi. Potem zarzucił torbę na ramię i wyszedł z pokoju.

Kluczyki do mercedesa klasy E, którego oddział używał w mieście, znajdowały się u parkingowego na dole. Mandarin Oriental był oddalony o około półtorej mili na południe od Palazzo, więc Dom nie zamierzał czekać na jego przyjście. Idąc do windy, uruchomił tryb konferencyjny w telefonie, aby w każdej chwili skontaktować się z pozostałymi członkami zespołu, a następnie wybrał bezpieczny numer komórki głównego parkingowego, który pełnił dzisiejszej nocy dyżur.

Clark zaprzyjaźnił się z tym człowiekiem i kilkoma jego współpracownikami zaraz po tym, jak się zameldowali.

Gdy parkingowy odebrał, Dom rzucił szybko:

– Andy, tu Bobby, siostrzeniec pana Phillipsa. – Oczywiście wszyscy posługiwali się pseudonimami; Clark zawsze zakazywał im jednak nazywać siebie ojcem albo tatą. Był wujkiem Joem, wujkiem Petem albo po prostu wujkiem jakimś tam dla całej reszty agentów.

– Hej, bracie, o co chodzi?

– Będę na dole za trzy minuty. Jeżeli mój czarny mercedes będzie tam czekał z kluczykami w środku, to dam ci pięćdziesiąt baksów.

– Załatwione, bracie! – rzucił Andy i rozłączył się.

Clark był już w hotelu Venetian, więc mógł biegiem skoczyć do budynku obok. Zajęło mu to nie więcej niż pięć minut, przez co zyskał jakieś pięć, może sześć minut, zanim Ryan wejdzie z Francuzką.

Podszedł do recepcji, omijając dwóch japońskich biznesmenów z kilkoma skłonami w profesjonalnych przeprosinach, i wziął dwie karty-klucze do apartamentu na trzydziestym dziewiątym piętrze.

Ryan i Élise przybyli przed Palazzo w tym samym czasie, co mercedes klasy E.

Z auta wysiadł Caruso, wyjął z bagażnika torbę i poszedł za nimi do wejścia.

Wyprzedził ich w imponującym lobby i ruszył prosto do wind, prawie jak jakiś biznesmen spieszący do swojego pokoju.

W lobby Ryan przytrzymał Élise za rękę. Skinął głową w stronę baru i powiedział:

– Barman robi tu wspaniałą margaritę.

Francuzka z uśmiechem pokręciła głową.

– Twoja noga pewnie nigdy w życiu tam nie powstała.

Jack zaśmiał się, udając, że jest zafascynowany jej podejrzliwością.

– Nie napijemy się wpierw?

– Nie, dziękuję – odmówiła znowu. – Jedziemy na górę czy rezygnujesz z tej zabawy?

– Dobrze, jedziemy. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę wyraz twojej twarzy.

Wzruszyła ramionami.

– A ja twojej.

Dom biegł do wind zaledwie dwadzieścia pięć jardów przed Ryanem i Francuzką.

Clark już dwadzieścia sekund wcześniej pojechał na górę, zostawiwszy wetkniętą w donicę obok kartę-klucz dla Doma. Wcześniej uzgodnili, że tam właśnie ją schowa. Dom wyjął ją, podbiegł do pierwszej windy i wszedł do środka. Nacisnął przycisk trzydziestego dziewiątego piętra i ruszył na górę, nie zatrzymując się po drodze.

John Clark zatrzymał natomiast swoją windę na pierwszym piętrze. Po drodze wyjął kawałek taśmy samoprzylepnej, nakleił go na karcie-kluczu dla Ryana i przylepił do przycisków po prawej stronie drzwi. Potem rzucił do mikrofonu:

– Słuchaj, Ryan. Gdy dojdiesz do wind, ostatnia będzie zjeżdżała na dół. W niej znajduje się twoja karta, jest przyklejona koło przycisków.

John posłał windę w dół i wysiadł.

Gdy tylko Ryan i Élise znaleźli się przed windami, ostatnia zadzwoniła, a drzwi otworzyły się. Jack – jako prawdziwy dżentelmen – puścił kobietę przodem, a sam tuż za nią wcisnął się do środka, zasłaniając sobą przyciski. Wybrał swoje piętro, chwycił kartę i jednocześnie odwrócił się twarzą do Élise. Opuścił rękę wzdłuż boku, schował kartę do kieszeni i znów uniósł dłoń.

Kobieta patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Winda zatrzymała się na pierwszym piętrze, drzwi otworzyły się. Jack i Élise stali, patrząc na pustą, wyłożoną płytkami posadzkę. Jack zerknął na piękną blondynkę i uśmiechnął się.

– To wspaniały hotel.

– Widzisz go pierwszy raz?

– Nie. Chciałem po prostu to powiedzieć.

Drzwi zamknęły się i winda ruszyła w górę.

John Clark wszedł po schodach na drugie piętro. Pot spływał po jego twarzy, pierś pracowała z wysiłku. Podbiegł do rzędu wind i nacisnął przycisk.

W tym momencie usłyszał dzwonek oznajmiający, że winda właśnie się zatrzymuje. Szybko usunął się z pola widzenia, gdyby ktoś był w środku.

Drzwi otworzyły się zaledwie stopę od niego. Clark wstrzymał oddech. Chwila ciszy – w windzie i jego słuchawkach – potem kobiety głos mówiący z wyraźnie francuskim akcentem.

– Piekielne dzieciaki.

– Małe bękarty – padła odpowiedź Ryana.

- Drzwi się zamknęły. Clark pozwolił sobie na westchnienie ulgi i powiedział:
- Zrobiłem, co w mojej mocy, Dom. Są około sześćdziesięciu sekund za tobą.
 - Zrozumiałem – odparł Caruso, ciężko dysząc.

Dwie minuty później Jack wsunął kartę do zamka swojego pokoju hotelowego na trzydziestym dziewiątym piętrze. Otworzył drzwi, przytrzymał je, żeby wpuścić Élise do środka, ale kobieta tylko stanęła oniemiała.

- Nie wierzę – powiedziała cicho, lecz po chwili weszła do środka.

Jack ruszył za nią z uśmiechem, gdy dostrzegł na jej twarzy wyraz zaskoczenia. Rzucił okiem na pokój. Dominic zostawił parę jego bokserów na środku podłogi w salonie. Ryan stłumił jęk zgrozy i przyrzekł sobie, że jak spotka kuzyna, to kopnie go w dupę. Obok leżały inne części garderoby, ale garnitur był starannie ułożony na łóżku, komputer stał na stoliczku, frontem do kanapy. Pokój sprawiał wrażenie trochę niechlujnego, ale wyraźnie używanego.

Élise w milczeniu podeszła do otwartych drzwi łazienki i zerknęła do środka.

Na posadzce wyłożonej płytkami leżały mokre ręczniki, obok otwartej tubki pasty do zębów szczoteczka, a przy niej stała butelka płynu do płukania ust. Ściany i brodzik prysznicowy były mokre.

Odwróciła się i wyszła na środek pokoju. Na stoliku przy kanapie stała w kubku z lodem butelka szampana. Ryan, zarówno zaskoczony, jak i pod wrażeniem, że hotel zorganizował to zaledwie dwadzieścia minut po dokonaniu rezerwacji, podszedł bliżej i wyciągnął butelkę.

Élise dopiero teraz zauważyła kubek z lodem i przekrzywiła głowę.

- Skąd ten szampan? – zapytała. – Zawsze tak jest, gdy się meldujesz?

Jack zawahał się, ale powiedział:

- Tak, to trochę krępujące.
- Czy bardziej od majtek na podłodze?

Roześmiał się.

– Właściciel jest republikaninem. Nie chwalebę się swoją rodziną przy rezerwacji, jednak bywa, że ludzie i tak mnie rozpoznają. Chyba odkrył, kto się tu zameldował, i przygotował mi królewską wizytę. Co wieczór szampan. – Dodał: – Nie zamawiałem tego.

- Rozumiem – odparła.

Jack otworzył butelkę i napełnił dwa kieliszki, a potem zaprowadził Élise do kanapy, ale głos w słuchawce nakazał mu zmienić plan. Był to Dominic, ledwo słyszał jego szept.

- Idź z nią na balkon. Teraz.

Chryste, pomyślał Ryan. Dom jest gdzieś w pokoju.

- Och, zapomniałem – powiedział. – Musisz to zobaczyć.

Jack podprowadził ją do balkonu. Miał nadzieję, że rzeczywiście rozciąga się stamtąd przepiękny widok.

Dom Caruso wymknął się z szafy obok łóżka, zamknął za sobą drzwi i padł na podłogę. Zaczął się czołgać po dywanie, nie spuszczać oczu z balkonu i pleców kuzyna – i co ważniejsze – z jego dziewczyny o oszałamiającej urodzie, francuskiej agentki.

Kiedy upewnił się, że skupiła całą uwagę na światłach neonu Strip widocznych z trzydziestego

dziewiątego pietra, wstał i szybko opuścił pokój.

Kiedy był już w korytarzu, rzucił do mikrofonu:

– Jestem bezpieczny. Ding, prowadź mnie do jej pokoju.

– W tym hotelu nie został zarezerwowany na jej nazwisko. Albo użyła innego pseudonimu, albo zarezerwowała pokój na swoje własne nazwisko. Albo tam nie mieszka – stwierdził Ding. Dom zatrzymał się w korytarzu.

– Cholera. Okej. Jack, wracaj do roboty. Wyciągnij to z niej.

Élise, stojąc na balkonie, odwróciła wzrok od rozciągającego się przed nią widoku i spojrzała na Ryana. Jej twarz złagodniała, nie było już na niej widać wyrazu niedowierzania ani cynizmu.

– Przykro mi, że ci nie wierzyłam – powiedziała. – Napijmy się szampana.

Jack pociągnął łyk.

– Nieważne. Teraz twoja kolej. Gdzie się zatrzymałaś?

– Już ci mówiłam. Tutaj.

Ryan wpatrywał się badawczo w jej oczy, aż w końcu odparł:

– Wierzę ci.

W słuchawce rozległ się głos Clarka.

– Ryan mówi, że zatrzymała się tutaj. Domingo, przejrzyj rezerwacje na żeńskie nazwiska, na dwudziestego piątego minionego miesiąca. To dzień przed rozpoczęciem przez nią pracy w Valley Floor. Nie powinno być tam wielu kobiet, które zarezerwowały tu pokój na dwa tygodnie.

Nastąpiła chwilowa przerwa.

Élise i Jack nadal stali na balkonie i patrzyli na światła Las Vegas.

W końcu w sieci rozległ się głos Chaveza:

– Mam! Dwudziestego piątego przybyły tu tylko trzy kobiety. Jedna z nich to Sophie Brochard z Ontario w Kanadzie. Pokój trzydziści-jeden-dwanaście. To nasza dziewczyna.

– Jestem w drodze – oznajmił Dom.

Jack, stojąc na balkonie, odwrócił się od widoku miasta i zobaczył, że Élise weszła do środka po butelkę szampana. Wróciła z nią, żeby napełnić swój i jego kieliszek.

Postawiła butelkę na stoliku i podeszła do balustrady, stając bardzo blisko Ryana.

Wszystko zaczęło się toczyć interesująco szybko i w tej sytuacji Jack nie starał się specjalnie o pretekst, w jaki sposób trzymać tę piękną kobietę z dala od jej pokoju hotelowego. W czasie gdy kuzyn, szperając za telefonem komórkowym, będzie go przeszukiwał, mniej się martwił o to, czy za szybko od niego wyjdzie, a bardziej o to, czy nie zechce zostać dłużej.

I wtedy, jak na jakiś sygnał, pochyliła się i pocałowała go w usta.

Jack miał się jednak na baczności, nie zważając na jej seksapil – chociaż był to dla niego trudny moment, gdy dłońmi przytrzymała jego głowę i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Pojemnik z baterią słuchawki zwisał za uchem. Nie był co prawda widoczny, ale nie był też tak zaprojektowany, żeby zniknąć, gdyby ktoś odgarnął włosy.

Jack odsunął się niepewnie.

W słuchawce odezwał się głos Clarka:

– Jack, nie mamy od ciebie żadnej wiadomości. U ciebie wszystko okej?

- Och... rozumiem. Jesteś żonaty – powiedziała Élise. Jack uśmiechnął się.
- Gdybym był, przeczytałabyś o tym w Google.
- Więc jesteś gejem?
- Gwarantuję, że to mógłby wymyślić tylko internet.
- Więc...?
- Muszę do łazienki.

– Och... – Uśmiechnęła się. – Nie ma sprawy. Zaczekam.

Élise wrócił do pokoju i usiadła na brzegu łóżka, Ryan tymczasem wszedł do łazienki i zamknął drzwi. Dalej, Jack, jaki teraz masz pieprzony plan? pomyślał.

W słuchawce zabrzmiał głos Dinga.

- Jack... Dom potrzebuje jakichś piętnastu minut.
- Dobra – szepnął. – Bez problemu.

Och, chłopcze! mruknął do siebie Jack.

Dom nie miał klucza do pokoju numer 3112, ale nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. Podeszedł do drzwi i wyjął przyrząd skonstruowany przez Gavina i jego mądrali z Kampusu. Mikrokontroler nie był większy od hotelowej karty-klucza. Miał krótki kabelek zakończony dżekiem.

Dom chwycił wtyczkę i ukląkł, aby móc widzieć spód zamka na kartę-klucz. Tu, ukryty przed wzrokiem gości, znajdował się mały, okrągły port wejściowy. Dom wetknął w niego dżek i przesunął przełącznik na swoim sprzęcie.

Niektóre zamki na kartę-klucz miały takie porty, aby można było doładować baterię mechanizmu otwierającego oraz ładować szyfry pokoi hotelowych. Trzydziestodwubitowy klucz dawał powszechny dostęp do wszystkich zamków w hotelu. Był to prawdziwy *master key*, którego używali zarządcy oraz inni pracownicy hotelu, nie musząc nosić przy sobie indywidualnych, ciągle się zmieniających kart do każdego pokoju.

Gdy Gavin włączał swój mikrokontroler, zamek wysyłał swój trzydziestodwubitowy klucz do urządzenia, które odczytywało go, rozkodowywało i odsyłało z powrotem do zamka.

Zielone światło po sekundzie dało znać, że drzwi zostały otwarte, chociaż w zamku nie było karty. Dominic pchnął je, odłączył sprzęt i wsunął go do plecaka.

Ryan stał w wyłożonej marmurem łazience pokoju, patrząc na swoje odbicie w lustrze i próbując sobie wyobrazić, jak zająć czas kobiecie siedzącej teraz na jego łóżku.

Był zaskoczony, że Élise tak szybko przeszła do rzeczy. Oboje byli atrakcyjni, ale jej pożądlivość i to, że ona okazała mu aż takie zainteresowanie, wydawały się osobliwe.

Jack miał zamiar ją pocałować. Tak. Ale teraz nie potrafił się tym cieszyć z powodu słuchawki i paplaniny członków oddziału, której słuchał – bez tego sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Ciągle pracował, a to, co się teraz działo, wydawało się nierealne. Myśl o pieprzeniu kobiety tylko po to, aby ktoś inny wykradł coś z jej pokoju hotelowego, sprawiła, że poczuł mdłości.

Clark myślał, że Élise prowadzi jakąś grę z Jackiem – aby albo go zdemaskować, albo uzyskać informacje, albo wywrzeć na niego wpływ – ale Jack uważał inaczej. Clark był wyszkolony w zakresie bezpieczeństwa operacyjnego – i tylko operacyjnego – podczas gdy on miał też

doświadczenie z osobami płci odmiernej, które okazywały mu zainteresowanie.

Spuścił wodę, przekręcił kurek w umywalce i próbował przekonać samego siebie, że to nie jest jakieś błahe reality show, tylko gra na śmierć i życie. Ta kobieta w pokoju była wrogim agentem pracującym dla Korei Północnej, więc on powinien mieć wszystko gdzieś poza wykonaniem swojego zadania.

Nie widział wyjścia z tej sytuacji; mógł porzucić cel i ujawnić, że tylko się nią bawił, bo nie było sposobu, aby zatrzymać ją w pokoju bez uprawiania z nią seksu.

– O co chodzi, Ryan? – zapytał Clark.

Jack wyciągnął z ucha słuchawkę i wsunął ją do kieszeni. Zakręcił kran i wyszedł z łazienki.

Musiał wracać do pracy.

Élise leżała na łóżku. Była ciągle ubrana, ale jej zachęcający wzrok mówił mu, że jego kłopoty jeszcze się nie skończyły. Podszedł krok bliżej.

I wtedy zadzwoniła komórka w jej torebce.

Na twarzy kobiety natychmiast pojawiło się zaskoczenie. Jack zastanawiał się, czy ten wyróżniający się ćwierkający sygnał oznacza rozmowę przychodzącą z jakiegoś szczególnego numeru. Élise wstała z łóżka, podniosła torebkę ze stolika przy kanapie i równocześnie powiedziała do Jacka:

– Przepraszam. Odbiorę.

– Oczywiście – odparł Ryan.

Halo?

– Tu Riley. Gdzie pani jest?

Veronika Martel mogła wywnioskować z jego głosu, że dzieje się coś złego.

– Hej, Rebeka. Cieszę się, że dzwonicz, ale teraz jestem w Stanach Zjednoczonych. I jest już bardzo późno...

– Słuchaj uważnie – kontynuował Riley, jakby nie słyszał, co powiedziała. – W twoim pokoju hotelowym jest teraz jakiś człowiek.

– Co? Skąd wiesz?

– Nieważne. Ważne, że wiem. Ale nie wiem, co on tam teraz, kurwa, robi. Wyślę ludzi, żeby się przekonali. Gdziekolwiek jesteś, zabieraj tę swoją cholerną dupę i wracaj zaraz do swojego pokoju!

Ryan usiadł na łóżku i obserwował, jak Francuzka odwraca się z telefonem przy uchu. Po krótkiej rozmowie znów spojrzała na niego, ale na jej twarzy dostrzegł złość. To pewnie z powodu rozmowy telefonicznej, pomyślał Ryan. Próbuje ukryć gniew.

Patrząc na Ryana, kobieta zmrzyła oczy. Nie wiedział, co się stało, więc zapytał:

– Coś złego?

Kobieta wyłączyła telefon i wrzuciła go do torebki.

– Kim... Kim ty jesteś? – wycodziła.

– O co ci chodzi? – Zaśmiał się sztucznie, wstał i podszedł bliżej, prosząc w myślach, aby nie wychodziła. – Przecież sprawdzałaś mnie w Google. Pamiętasz?

Kiedy był już w połowie drogi przez pokój, odwróciła się i podeszła do wyjścia.

– Co się stało? Zaczekaj!

Ale już wyszła. Biegiem, zatrzaskując za sobą drzwi.

– Cholera. – Ryan zaczął grzebać w kieszeni, szukając słuchawki, ale po kilku sekundach zrezygnował i rzucił się na łóżko. Zgarnął telefon ze stolika nocnego, odblokował i włączył tryb konferencyjny.

– Dom! Wynoś się stamtąd! Ona wie!

Caruso znalazł telefon w zamkniętej na klucz walizce na kółkach. Otworzył ją w dwadzieścia sekund po minucie rozmowy instruktażowej. Trzy i pół minuty po tym, jak wszedł do pokoju Francuzki, mógł zacząć przenosić pliki do specjalnie zaprojektowanego przez Gavina urządzenia.

Po kilku sekundach ładowania odebrał jednak telefon od zdenerwowanego Ryana, który powiedział mu, że kobieta opuściła jego pokój i wraca do swojego.

Caruso nie obawiał się, że Élise zjawi się tu w czasie jego obecności – musiała zjechać z trzydziestego dziewiątego piętra do lobby, żeby wsiąść do windy w innym pionie i wjechać na trzydzieste pierwsze piętro – bardziej zastanawiało go, skąd, u licha, wiedziała, że tu jest! Ryan mówił, że odebrała jakiś telefon, więc Dom założył, że na korytarzu byli jej wspólnicy, którzy go widzieli. Albo którzy mieli dostęp do kamer ochrony hotelu i podsłuch założony w tym pokoju.

Jakkolwiek działali, brali udział w tej grze i teraz wiedzieli o jego obecności, a to oznaczało kłopoty. Nie był pewien, co robić, więc połączył się z Clarkiem.

– John?

– Jestem w lobby. Sprawdzam, czy zbliżają się jakieś kłopoty. Nie widzę nikogo, ale zmywaj się stamtąd. Ktoś może być już na twoim piętrze.

– Ładowanie może potrwać jeszcze kilka minut.

– Nie ma czasu – powiedział Clark. – Wiedzą już, że w pokoju jest intruz. Zabieraj telefon i spływaj.

– Spodziewałem się, że to powiesz.

Caruso wrzucił oba telefony z kablem do plecaka i ruszył do drzwi. Apartament Francuzki był podobny do tego, który zarezerwowali Ryanowi: Dom przebiegł więc przez mały korytarz przy kuchence, potem minął drzwi do salonu i sypialni. Jednak gdy skręcał do przedpokoju, usłyszał szczęk zamka.

Za późno, żeby uciec drzwiami wyjściowymi.

Caruso odwrócił się i wbiegł do pokoju, skoczył za stolik, potem za kanapę i następnie ruszył do drzwi balkonowych. Otworzył je i wyskoczył na zewnątrz.

Usłyszał dochodzący z pokoju huk wystrzału, tuż nad jego głową posypało się szkło. Dom pokonał balkon dwoma skokami, przeszedł nad balustradą i chwycił stalowy pręt na zewnątrz. Z pokoju dobiegł drugi, bliższy od pierwszego, strzał. Dom, trzymając się prętów, zawisł w powietrzu, trzydzieści jeden pięter nad Las Vegas Boulevard.

Usłyszał głos Clarka, ale koncentrując się na rozhuśtaniu ciała, nie zareagował. Gdy wychylił się do przodu, poczuł, jak palce zaczynają mu się ześlizgiwać z metalowych prętów. Spojrzał w górę. Widząc Azjatę w czarnym kapturze przechylonego przez poręcz z pistoletem w rękę, zeskoczył na balkon piętro niżej.

Upadł z hukiem na wyściełaną kanapkę, a potem przetoczył się przez mały stoliczek barowy z pleksi. Wykręcił się, czując ból w ramieniu i w żebrach, jednak wstał, spojrzął za siebie i w górę.

Azjatycki zabójca nie mógł go zobaczyć ze swojej pozycji, jednak Dom padł na posadzkę. Pistolet w ręce, która wysunięta z balkonu wyżej zataczała kręgi, celował w miejsce obok Carusa.

Błysk i głośny huk. Kula strzaskała szybę w zamkniętych drzwiach balkonu, tylko trzy stopy po lewej od Doma.

Przesunął się w prawo.

Następny błysk – tym razem kula trafiła w szybę bliżej.

Dom cofnął się, zerwał na nogi i chwycił metalowe krzeselko. Zamachnął się, celując w rękę z pistoletem. Uderzył w chwili, gdy Azjata strzelał czwarty raz, i wtrącił broń z jego ręki. Wyleciała szerokim łukiem od budynku i zniknęła w ciemności.

Dom nie czekał, aby się przekonać, czy ten człowiek ma wsparcie. Odwrócił się i wbiegł przez wybitą szybę do pokoju.

Pokój, dzięki Bogu, był pusty, więc Dom kilka sekund później był na korytarzu, a po sekundzie na klatce schodowej. W pięć minut przebiegł trzydzieści pięter – głównie dzięki uderzeniu potężnej dawki adrenaliny.

W chwili gdy znalazł się na parterze, Ryan i Clark byli już przy drzwiach frontowych, czekając na parkingowego z mercedesem. Dom podszedł do nich bez słowa i gdy podjechał samochód, pomógł Jackowi włożyć jego bagaż.

Wrócili na Las Vegas Boulevard, zanim pierwsi agenci wyskoczyli na zewnątrz.

W czasie gdy Ryan zajmował się przenoszeniem plików z telefonu Élise, reszta oddziału likwidowała pospiesznie kryjówkę. Dom wezwał Adarę Sherman, przekazując jej wiadomość, do której zdążyła się ostatnio przyzwyczaić. Znowu trzeba było zrobić szalony ruch, żeby uciec z piekielnego miasta.

Gulfstream wystartował z lotniska Henderson Executive, położonego na południe od miasta, o pierwszej trzydzieści w nocy. Adara na początku lotu zajęła się Dominikiem Carusem. Miał kilka rozcięć i siniaków, ale kości były całe. Ryan był przekonany, że jego rany wyglądają na powierzchowne, ale Adara jako lekarz oddziału czuła się w obowiązku poświęcić dużo uwagi obrażeniom Doma.

Podczas gdy Dom poddawał się zabiegom medycznym w tylnej kabinie samolotu, grupa zebrała się z przodu, żeby omówić wypadki tego wieczora. Było zupełnie jasne, że w hotelu przebywał oddział północnokoreańskich agentów, pilnujących pracowników Sharps Global Intelligence Partners. Jednak nie było wiadomo, czy ludzie Sharpsa z nimi współpracowali. Dlatego agentom Kampusu nie pozostało nic innego, jak tylko wrócić do Alexandrii i czekać, aż Gavin Biery rozkoduje tajemnice, jakie krył w sobie telefon Élise.

Najbardziej narażony na niebezpieczeństwo był Ryan, bo agentka Sharpsa albo już wiedziała, albo domyślała się, że trzymał ją z dala od pokoju hotelowego po to, żeby umożliwić komuś innemu włamanie. Pierwotny plan Ryana nie był już aktualny, bowiem Élise mogła też nie mieć pojęcia, że jej telefon jest narażony na niebezpieczeństwo przejęcia z niego danych.

Z perspektywy bezpieczeństwa osobistego nie wyglądało to dobrze, ale teraz nie dało się w tej sprawie nic zrobić.

Wkrótce po sporządzeniu raportu rozłożyli się w fotelach i zasnęli.

O piątej trzydzieści rano czasu obowiązującego w Dystrykcie Kolumbii i drugiej trzydzieści w nocy na zegarkach pasażerów gulfstreama zaczęło migać światelko w telefonie samolotu.

Adara Sherman siedziała na kanapie obok zabandażowanego i pogrążonego we śnie Dominica Carusa. Chwyciła telefon i powiedziała:

– Tu samolot.

– Dzień dobry, pani Sherman, mówi Gavin Biery.

– Dzień dobry, panie Biery. Wszyscy teraz odpoczywają.

– O... Założę się, że w tym stanie są bardzo sympatyczni. Niech więc śpią, ale wylej trochę wody na Ryana i podaj mu telefon.

– Oczywiście, szanowny panie.

Adara nie użyła wody, obudziła Ryana łagodnym szturchnięciem. Poderwał się i otworzył oczy. Wtedy podała mu telefon, ale z początku spoznał na nią zdumiony.

– Biery?

Adara skinęła głową z uśmiechem. Ryan był zły tylko przez dwie sekundy, ale potem jego twarz rozjaśniła się z podniecenia. Przyłożył telefon do ucha.

– Niemożliwe, żebyś miał już coś dla nas...

– Zapomniałeś, jaki jestem dobry, Ryan. Dom przysłał mi pliki wyciągnięte z komórki Élise Legrande. Było to szyfrowanie 256-bitowe, ale mając specjalny program, który wymyśliliśmy już kilka miesięcy temu i mogliśmy to bez trudu rozwiązać. Naprawdę nie jest to trudne, jeżeli weźmie się pod uwagę...

– Gavin, to naprawdę wspaniałe, ale co znalazłeś w tych plikach?

– No wiesz... to samsung galaxy, więc znalazłem w nim jakieś gry i inne bzdury. No i kilka dzwonek.

Ryan był już poirytowany, ale jednak z radością słuchał zgrywającego się i puszącego się kolegi, który odzyskał dawną energię po akcji w Pradze.

Gavin czekał na reakcję Ryana, ale gdy się nie doczekał, zapytał:

– Czy to nie zabawne?

– Co jeszcze, Gavin?

– Ach tak, właśnie. Jest tam też aplikacja. Najwyraźniej zastrzeżona. Musiała ją zdobyć z systemów NewCorp.

– Co to jest?

– Program został stworzony do jednego celu – organizacji procesu hydraulicznej separacji minerałów. Nie mam pojęcia, o co chodzi, to nie moja działka.

Ryan spędził kilka minionych dni w tym wydziale – wiedział dokładnie, co oznacza „proces hydraulicznej separacji minerałów”.

– Dotyczy to wysoce wyspecjalizowanych urządzeń płuczających, do których wprowadza się urobek z kopalni, czyli surową rudę. Tam rozdziela się poszczególne minerały od sproszkowanej ziemi. Skoro mówisz, że program służy do prowadzenia obu tych procesów równocześnie, to właśnie może być podstawą całej rafinacji.

– Brawo, Jack. Najwyraźniej Korea Północna zdobyła odpowiednie urządzenia, niezbędne do przeprowadzenia tego procesu, tylko nie potrafi ich uruchomić. Wysłali więc tę seksowną francuską

panienkę do amerykańskiej przetwórni, aby tam skopiowała im cały system zarządzania.

– Zaraz po powrocie – odparł Ryan – prześlemy to Mary Pat. Ona ma szerszy obraz całości. Miejmy nadzieję, że pomoże jej to ustalić, co, u licha, teraz robić.

Dzień po przybyciu do Korei Północnej Adam Yao wraz ze swoimi towarzyszami, chińskimi technikami górnictwa, zjadł makaron i wypił herbatę na śniadanie w jadalni hotelu Yanggakdo. Potem zaprowadzono ich do sali bankietowej na drugim piętrze tego masywnego gmachu.

Gdy zajęli miejsca, jeden z opiekunów wszedł na podium i stanął za pulpitem. Za nim ruszyła tłumaczka, która wzięła do ręki mikrofon. Technicy dowiedzieli się, że tego popołudnia wrócą na lotnisko, żeby odbyć godzinny lot na północ do Chǒngju. Dziś rano mogli się jednak cieszyć uczestnictwem w wykładzie, który miał im pomóc zaznajomić się z Koreą, jej obyczajami, mieszkańcami i obowiązującymi przepisami.

Adam jęknął cicho.

Opiekun wyciągnął listę zakazów i nakazów Korei. Niektórzy technicy wyglądali na zde gustowanych, na przykład zakazem plucia na podłogę. Inni uznali to za jakieś dziwactwo. Powiedziano im, że nie wolno składać, miąć ani wyrzucać żadnego wizerunku Dae Wonsu. Dotyczyły to też gazet, magazynów i innych mediów, wszystkiego, w czym pojawiał się zdjęcie najwyższego przywódcy. Adam zastanawiał się, co w takim razie robią z makulaturą, ale wiedział, że lepiej nie pytać.

Dowiedzieli się też, że nie można używać radia, chyba że zostało tak przerobione, aby odbierało wyłącznie jedną stację – kontrolowaną przez rząd koreański. W Korei było tylko kilka kanałów telewizyjnych, emitujących programy w wyznaczonym przez rząd czasie.

Adam nie przybył tu, żeby oglądać telewizję, ale inni mamrotali pod nosem ze złością.

Po tym, jak opiekun zszedł z podium, jego miejsce zajęła kobieta i rozpoczęła, jak się okazało, pięćdziesięciminutową przemowę na temat Dae Wonsu, jego ojca i ich szczególnych relacji z Chinami. Przywódca Korei Północnej został opisany słowami pełnymi czci i miłości, a oczy kobiety zachodziły mgłą za każdym razem, gdy wspominała rodzinę Choia, utrzymując, że tylko z ich inicjatywy Chiny uniknęły wojny i głodu. Opowiadała też o niezwykle ważnych odkryciach Korei w przemyśle wydobywczym, w informatyce, a nawet w lotnictwie, o czym mogli się przekonać wszyscy zebrani na sali.

Były to wierutne bzdury, więc większość, pochodząca przeważnie z dobrze wykształconych środowisk Chin, siedziała oszołomiona i skonsternowana.

Adam po raz pierwszy zetknął się bezpośrednio z takim poziomem prania mózgu i był tym wstrząśnięty. Ci ludzie żyli w tak zamkniętym społeczeństwie, bez dostępu do internetu, telewizji satelitarnej, a nawet radia.

Koledzy Adama wiedzieli, kto będzie im wypłacał pensje, ale wiedzieli też, kto miał przy sobie broń w korytarzu. Dlatego żaden z nich nie wstał i nie oznajmił, że wszystko, co powiedziała kobieta, było kłamstwem. Nikt się nie odważył.

Kiedy wykład na temat intelektualnej, kulturowej i historycznej potęgi Korei Północnej dobiegł końca, do sali bankietowej weszło kilku uzbrojonych żołnierzy, za którymi pojawił się niski, starszy

mężczyzna w garniturze. Z każdej strony otaczali go umundurowani strażnicy. Adam wyciągnął szyję, aby się mu lepiej przyjrzeć, lecz łysy mężczyzna wspiął się na podium i podszedł do mikrofonu.

Mówił po koreańsku, a jego słowa były tłumaczone. Mówił głośno i wyraźnie, więc Adam rozumiał najważniejsze słowa, zanim zostały przełożone na chiński.

– Dzień dobry, witam w Korei Północnej. Nazywam się Hwang Min-ho i jestem dyrektorem Koreańskiej Korporacji Handlowej do spraw Zasobów Naturalnych. To ja was tu zaprosiłem, więc z zadowoleniem witam was wszystkich.

Adam pomyślał, że ten człowiek mówi jakoś łagodnie, sympatycznie, zwłaszcza w porównaniu z surowymi, ochrypłymi głosami większości strażników i opiekunów, z którymi miał kontakt od chwili przybycia do Korei Północnej.

Hwang jakiś czas mówił o kopalni, o historii partnerstwa Korei z Chinami w innych projektach, o swoim szacunku dla obu narodów, ich wiedzy i umiejętności w sektorze wydobywczym. Jego słowa brzmiały bardziej logicznie i precyzyjnie, mniej nacjonalistycznie niż wykład kobiety i w tej sytuacji Adam mógł z łatwością dostrzec reakcję tłumu. Zebrani na sali wyraźnie odetchnęli z ulgą.

Następnie Hwang przedstawił zaskakująco szczerą ocenę obecnej kondycji Chŏngju.

– Zastaniecie tam bardziej prymitywne urządzenia techniczne od tych, do jakich jesteście przyzwyczajeni. Prosimy was o cierpliwość. Modernizujemy je, a szczególnie ciąg technologiczny do przeróbki rudy. Musi to jednak zająć trochę czasu, bo żeby osiągnąć cel, musimy to robić dokładnie i powoli.

Yao był zaskoczony, że Hwang nie okazał tego niemal obsesyjnego uwielbienia dla swojego narodu. Sam fakt, że przybył tu, aby porozmawiać z chińskimi pracownikami, był dla tajnego agenta CIA czymś fascynującym. Nie spodziewał się zobaczyć tu człowieka tej rangi.

Hwang mówił dalej:

– Jesteście tu pracownikami sezonowymi, naszymi gośćmi, ale będziecie dobrze traktowani. Wasze kontrakty zostały podpisane na osiem tygodni pracy. W tym czasie macie prawo do jednego tygodnia urlopu albo jeśli będziecie woleli, możecie z niego zrezygnować i pracować dalej.

Mężczyzna z pierwszego rzędu podniósł rękę i zapytał:

– Co można robić na urlopie w okolicach kopalni?

Dyrektor Hwang wzruszył ramionami.

– Pracować.

W sali rozległy się śmiechy.

Hwang Min-ho po zakończeniu wystąpienia jeszcze raz podziękował wszystkim i zapytał:

– Macie jakieś pytania?

Adam miał nadzieję, że jego grupa będzie na tyle mądra, żeby trzymać język za zębami, ale natychmiast uniosło się kilka rąk.

Hwang wskazał mężczyznę w średnim wieku, który – z tego co Adam wiedział – pracował przy frezarkach elektromagnetycznych.

– Panie dyrektorze, może nam pan powiedzieć o sieci elektrycznej w zakładzie?

Hwang uśmiechnął się.

– Mamy w pobliżu zapórę z hydroelektrownią. W czasie gdy nie wytwarza energii elektrycznej, co

zdarza się dość często, chociaż nie aż tak, uruchamiamy agregaty na ropę, które sprowadziliśmy z pańskiego kraju i które w momentach krytycznych zaopatrują nas w prąd. To nie Szanghaj ze światłami i kolejami elektrycznymi, ale mimo wszystko prąd elektryczny w czasie pracy jest w Chōngju priorytetem. – Znowu się uśmiechnął. – Nocą wszyscy śpicie, ale następnego dnia musicie pracować. W czasie snu światło nie jest wam potrzebne.

Adam znał już tutejsze urządzenia techniczne, a nawet całe miasto Chōngju, kiedy pogrążone było w ciemnościach przez dwanaście godzin na dobę, bo wyłączono prąd. Widział to na zdjęciach satelitarnych.

Inna osoba zadała pytanie, na które Adam też chciał znać odpowiedź.

– O ile dobrze zrozumiałem, to ciąg przetwórczy znajduje się stale w budowie. Czy może nam pan powiedzieć, kiedy te urządzenia będą w pełni sprawne?

– Obecnie zakończyliśmy montaż. W zeszłym tygodniu otrzymaliśmy transportem morskim komputery. Wszyscy będziecie odpowiedzialni za zainstalowanie ich i wykorzystanie na swoich stanowiskach pracy. Otrzymaliśmy też nowe wyposażenie do przemysłowego kruszenia i mielenia rudy, a także urządzenie do rafinacji. Muszą tylko zostać przetestowane. W drodze jest jeszcze duży sprzęt do usprawnienia całego procesu. Będzie tu bardzo szybko. Mam wielką nadzieję, że cały proces uruchomimy w ciągu miesiąca.

Po tych słowach poświęcił dużo czasu procesowi obróbki w następnych kilku tygodniach i nadzorowaniu go przez nowych pracowników. Następnie opuścił podium, nagrodzony dyskretnym aplauzem Chińczyków.

Autobus zawiózł techników na lotnisko, potem prosto na pas startowy i do samolotu. Kiedy Adam wysiadł z pojazdu, wiał silny wiatr zapowiadający burzę. Patrząc na to wczesnowieczorne niebo na zachód od stolicy, mężczyzna zobaczył gęste czarne chmury.

Stwierdził, że to zły znak. Było jeszcze gorzej, gdy odwrócił się i zobaczył samolot, którym mieli lecieć do Chōngju.

Był to boeing 737 pomalowany na czerwono, biało i niebiesko w znaki Air Koryo.

Adam przeczytał gdzieś, że Skytrax – firma konsultingowa oceniająca światowe linie lotnicze, gdzie badano prawie sto linii na całym świecie – dała tylko jedną gwiazdkę północnokoreańskiej Air Koryo.

Adam nie pamiętał, gdzie to przeczytał, ale gdy wchodził na pokład samolotu, chciał o tym zapomnieć.

Lot Air Koryo nie był miły, ale Adam latał już gorzej w Stanach. Wylądowali bez problemu w wieczornym deszczu na lotnisku Kwaksan. Tam zaprowadzono ich do kolejnego autobusu, który zawiózł ich nadspodziewanie dobrą drogą do Chōngju.

Tak jak poprzednio, w czasie jazdy z przodu siedzieli uzbrojeni strażnicy, za busem jechała natomiast oliwkoszara ciężarówka pełna żołnierzy. Adam zastanawiał się, czy Korea Północna chce w ten sposób nastraszyć chińskich techników, żeby nie wyskakiwali po drodze z autobusu i nie uciekali w góry otaczające drogę. Przyszło mu też na myśl, że inni technicy, tak jak ta kobieta, która dziś rano wyraźnie tak uważała, naprawdę wierzą, że Korea Północna jest rajem, i teraz czuwają,

aby obcokrajowcy nie spróbowali przekroczyć granicy państwa.

Miasto Chǒngju było pogrążone w mroku, najwyraźniej z powodu wyłączenia prądu. W światłach reflektorów autobusu mogli dostrzec kilka samochodów parkujących przy ulicach, jakieś ogniska, dziwne błyski latarek i żar papierosów ludzi idących w ciemnościach.

Jedno miejsce stanowiło wyjątek. Autobus wjechał na drogę okrążającą plac, na środku którego stał charakterystyczny posąg Choia Ji-hoona w wojskowym mundurze. W jednej ręce trzymał lornetkę, drugą wyciągał na północ w stronę Chin. Cały posąg był skąpany w jaskrawożółtym świetle, a usytuowany wokół mały targ uliczny korzystał z ograniczonego światła emanującego od Dae Wonsu.

Autobus skręcił i Adam przechylił się do okna, czując, jak gardło ściska mu się widok wjazdu do rejonu zakwaterowania sezonowych robotników przetwórci. Minione tygodnie spędził na badaniu tego miejsca na zdjęciach satelitarnych. Gdy minęli bramę, ten kompleks – bardziej przypominający pewnego rodzaju obóz jeniecki z filmów o drugiej wojnie światowej – sprawiał takie wrażenie, że Yao poczuł się jeszcze bardziej oddalony od domu.

Wydano rozkaz po koreańsku, który natychmiast został przetłumaczony na chiński, i Adam znalazł się przed autobusem w szeregu razem ze swoją grupą. W czasie tego krótkiego czekania w ciemności Adam uświadomił sobie, że po raz ostatni patrzył na ten parking w centrum metalowych przyczep mieszkalnych, gdy siedział w schludnym i odpowiednio wyposażonym pokoju konferencyjnym Biura Dyrektora Wywiadu Narodowego w Wirginii, z kubkiem gorącej białej kawy ze Starbucksa w jednej ręce i z cynamonową bułką w drugiej. A teraz stał tu, w kolejce po przydział pryczy. Nawet dla agenta, który w swojej karierze grał wiele ról, było to coś nie z tego świata.

Trzy dni przed przyjazdem prezydenta Stanów Zjednoczonych do Mexico City irański wytwórca bomb Adel Zarif wrócił do nieukończonego parkingu na rogu ulic Vidal Alcocer i Joségo J. Herrery.

Była siódma wieczorem, szybko zapadał zmrok i zamknięto już targ uliczny. Ale okolica bynajmniej się nie uspokoiła. Gdy wysiadał z auta Emilia, słyszał hałas, oślepiły go światła. Zarif wcześniej polecił grupie sześciu ludzi z kartelu Maldonado, którzy znali się na budownictwie, aby całe popołudnie poświęcili interesującej go ścianie budynku. Mieli do dyspozycji betoniarkę, przenośne oświetlenie i nie kontaktowali się z Zarifem, ale byli do jego dyspozycji.

Cały dzień spędził przy warsztacie samochodowym, położonym ćwierć mili na północ od Tepito. Wziął ze sobą trzy 105-milimetrowe pociski odłamkowe i usunął zapalniki ze stożkowych czubków, zastępując je zapalnikami opóźniającymi. Podłączył je do detonatora spłonkowego, który z kolei połączył z urządzeniem wysyłającym sygnał.

Na początku wojny w Iraku Zarif i jemu podobni używali zwykłych elektronicznych detonatorów reagujących na zdalnie wysyłany sygnał – takich jak piloty do drzwi garażowych – aby zdetonować IED. Jednak dość szybko siły koalicyjne zaczęły namierzać te urządzenia i ich sygnały, dlatego Zarif razem z innymi stopniowo przeszedł na telefony komórkowe.

Jakiś czas to działało. W istocie Zarif używał głównie tej metody w Syrii przeciwko powstańcom. Mimo wszystko telefony komórkowe nie były doskonałym rozwiązaniem. Ich sygnały mogły zostać przechwycone albo zakłócone, a poza tym sieć nie obejmowała jednak sporej części świata.

Ale istniał też inny sposób. Telefony bezprzewodowe dalekiego zasięgu. Niepopularne w Stanach Zjednoczonych, ale tam, gdzie nie było sieci komórkowej, wszechobecne. Tajwańska firma StreamTel sprzedawała model telefonu posiadający urządzenie, za pośrednictwem którego można było połączyć się z siecią telefonów stacjonarnych, oraz zestaw słuchawkowy o zasięgu dziesiątek kilometrów. Dwa zestawy mogły być do siebie podłączone i stworzyć tym samym niemal niewykrywalny zestaw sygnału dalekosiężnego.

Telefony StreamTel wchodziły w skład zestawu do obsługi urządzeń eksplodujących na Bliskim Wschodzie. Firma chwaliła się, że czterdzieści procent światowej sprzedaży trafia do Iraku, Afganistanu i Pakistanu. Sfery militarne USA rozumiały powód tej popularności.

Zarif posiadał zakupioną w sklepie w Guadalajarze przez jednego z członków kartelu stację bazową razem z dwoma zestawami słuchawek. Irańczyk działał podobnie jak w Mosulu albo w prowincji Helmand w Afganistanie. Nie były to najnowocześniejsze metody, ale Zarif zawsze wierzył, że te wypróbowane w praktyce są najbardziej skuteczne.

Całe urządzenie zostało zaraz po zmierzchu zawieszono w dużym kufrze do nieukończonego garażu, po czym Zarif został sam za pomarańczowym brezentem, podczas gdy sześciu ludzi wylewało beton na chodnik ulicy Joségo J. Herrery i w już ukończonej klatce schodowej w centrum budynku.

Teraz ściana, na którą Zarif zwrócił uwagę trzy dni wcześniej, wyglądała inaczej. Dziś mężczyźni

z kartelu na polecenie wytwórcy bomb oszalowali dobre sześć stóp i zdążyli wypełnić je betonem. Wyżej też to zrobili, co podniosło ścianę do wysokości dwunastu stóp, jednak ta część została rozebrana na życzenie Zarifa.

Wytwórca bomb wnosił teraz po drabinie poszczególne elementy swojego urządzenia na położone pięć stóp nad podłogą rusztowanie przy ścianie. Delikatnie ulokował je między wystającą – dzięki brakowi szalunku – siecią prętów. Pociski skierował czubkami w sześciopasmową ulicę. Znajdowały się obecnie dziesięć stóp nad nią, lekko pochylone w dół, do ziemi, ułożone na drewnianych podpórkach tak, aby celowały dokładnie w jezdnię. Nie miały teraz pełnego ładunku, ale nie musiały pokonywać długiej drogi w lufie, która nadawała im ruch obrotowy.

Zarif tak zaplanował działanie swojej broni, aby ładunek eksplodujący znalazł się na ulicy przed wybuchem. Dwóch ludzi z Maldonado pomogło mu ulokować za pociskami trzy dziewięćdziesięciopuntowe żelazne płyty, utrzymując je we właściwej pozycji przy zastosowaniu drewnianych klinów i mocując do prętów zbrojenia. Po zakończeniu budowy tego zabezpieczenia dodał do niego jeszcze płytę osłonową, żeby pocisk artyleryjski został wypchnięty na zewnątrz.

Zarif często budował tego rodzaju urządzenia niszczące pancerze wroga z odległości ponad pięćdziesięciu stóp.

Ulokowanie pocisków w otwartej ścianie zajęło mu prawie trzy godziny. Po tym okrył całe urządzenie plastikowymi torbami przewleczonymi przez pręty zbrojeniowe, od płyty zapobiegającej odrzutowi z tyłu po stożkowy czubek, chroniąc całość i kryjąc bombę przed pozostałymi członkami kartelu Maldonado. Potem razem z pomocnikami usunął rusztowanie i drabinę, a na koniec wezwali innych, żeby dostarczyli pojemnik z betonem.

Trzy godziny później wokół urządzenia eksplodującego został rozprowadzony płynny beton i następnego dnia rano, gdy stężał, robotnicy zaczęli układać na froncie ściany cienką warstwę kamiennej wykładziny.

Po południu cała fasada była gotowa. Od strony sześciopasmowej ulicy gmach wyglądał tak jak solidny garaż w budowie z ozdobnym frontonem, a tak naprawdę krył w sobie siłę trzech pocisków do haubicy, które na dany sygnał miały zostać wystrzelone na ulicę.

Ale Zarif jeszcze nie skończył. Po południu pojechał z Emiliem do sklepu spożywczego. Chwytał koszyk i pospieszył do półki z przyprawami, gdzie wyszukał kilka pojemników kminku i kurkumy.

– Szykujesz kolację? – zapytał Emilio.

– Zobaczysz.

Następnie wrócili do garażu. Znowu było tam pusto, ale zniknął też brezent. Podeszli do ściany od strony ulicy Joségo J. Herrery i Zarif wyjął pojemniki z przyprawami, otworzył je i zaczął się czołgać na czworakach po posadzce. Powoli i dokładnie posypywał nimi styk podłogi z nową ścianą. Użył też dość dużo przypraw w miejscu, gdzie była bomba, a następnie zaczął się czołgać w różnych kierunkach, rozsypując kminek i kurkumę dookoła.

Wstał, otrząsał ręce i podszedł do kratki ściekowej znajdującej się na środku garażu. Ukłął, zerknął przez metalową kratę, po czym spojrzął na Emilia.

– Jeszcze jedno. Chcę, żebyś mi znalazł jakieś martwe zwierzę.

– Co?

– Takie naprawdę nieżywe.

Godzinę później przyjechał motocyklista z kartelu, trzymając w ręce białą torbę na śmieci, którą wręczył Zarifowi. Gdy ten tylko ją otworzył, szybko się odsunął – tak potwornie śmierdziała. W środku leżały rozkładające się zwłoki kota.

Zarif podszedł znów do kratki ściekowej. Usunął ją i wyrzucił kota z torby. Spadł tylko dwie stopy w dół i utknął w kolanku rury.

Zarif spojrzał na Emilia.

– To podziała na nosy psów.

– Jakich psów?

– Amerykanie przeczesują teren przed przyjazdem prezydenta. Możesz to zobaczyć na YouTube. Mają psy, które wywąszą każdy materiał wybuchowy. Ale teraz zamiast tego znajdą tylko przyprawy i zdechłego kota. – Wskazał na ścianę. – Jeżeli nawet zechcą ją sprawdzać, nie sięgną aż tak wysoko. Nikt nie będzie szukał bomby, która ustawiona jest pionowo. – Uśmiechnął się zadowolony z siebie.

Adam pierwszy dzień w przetwórnicy Chǒngju spędził na instalowaniu swojego nowego terminalu komputerowego. Był to nowy, choć zwyczajny sprzęt przysłany z Francji, posiadający kilka programów pozwalających kontrolować pracę maszynowych kruszarek stożkowych. Nie były to programy skomplikowane, jednak posiadały dość szczególnej natury narzędzia i chociaż Adam nauczył się tego w ciągu kilku tygodni, nikt w Korei Północnej nie miał doświadczenia w sterowaniu kruszarkami.

Oznaczało to, że Adam był jedyną osobą upoważnioną do obsługi terminalu. I bardzo dobrze, bo program do kontroli kruszarek stożkowych nie był najważniejszą rzeczą na tym komputerze. Adam przeszedł krótkie szkolenie w CIA, zorganizowane dla niego przez dział Nauki i Technologii, w jaki sposób wysyłać z niego tajne wiadomości do centrum operacyjnego „Acrid Herald” w Liberty Crossing Intelligence Campus.

Chociaż urządzenie nie było podłączone do internetu, ukazywała się w nim tekstowa informacja, że nie jest skomunikowane z twardym dyskiem i macierzystą klawiaturą, tylko z innym urządzeniem, które zostało wbudowane w hardware. Była to sprawa zasadnicza, jak telefon satelitarny bez głośnika, tylko posiadający składniki umożliwiające połączenia *via* satelita i wysyłanie tekstowych wiadomości. Zminiaturyzowane części tego urządzenia były tak dobrze ukryte w wieży komputera, że nawet gdyby specjaliści z Korei Północnej go rozmontowali, musieliby do tego zatrudnić specjalnego eksperta, ale i on doszedłby tylko do wniosku, że zainstalowano w nim coś, co nie powinno się tam znajdować. Ale nie stwierdziliby, co to mogłoby być, do czego mogłoby służyć, stwierdzając jedynie, że do pracy komputera jest zbędne.

Mimo wszystko działowi Nauki i Technologii to nie wystarczyło. Te drobne części, jakie ukryli w komputerze, były wyprodukowane w Chinach przez firmę Huawei, którą z pewnością każdy agent Korei, który miał kontakt z chińskim wywiadem, doskonale znał.

Ten dodatkowy krok służył temu, że nawet gdyby odkryto w komputerze to urządzenie, tylko Chiny zostałyby posądzone o szpiegowanie działań w Chǒngju.

Mimo wszystko ta świadomość wcale nie wpłynęła na Adama uspokajająco. Północnokoreański kontrwywiad mógłby go równie dobrze zastrzelić jako chińskiego szpiega, ale przynajmniej Ameryka byłaby czysta.

W pierwszym dniu Adam zajął się kompletowaniem, instalowaniem i wprawianiem w ruch całej elektroniki, dochodząc do wniosku, że nie musi prosić o lepsze miejsce do pracy. Miał do dyspozycji własne pomieszczenie w kabinie ulokowanej obok kruszarki stożkowej o wysokości dwóch pięter. Była to wystarczająco bezpieczna lokalizacja do wysyłania raportów do Biura Dyrektora Wywiadu Narodowego.

Co prawda blisko niego, przy maszynie, pracowało kilkoro ludzi, ale Adam był u siebie sam. Mechanicy, technicy oraz zwykli niewykwalifikowani robotnicy dalej ładowali rudę i Yao wątpił, żeby mogli zauważyć, że kontaktuje się z wywiadem amerykańskim.

Kruszarka stożkowa znalazła się w Korei Północnej półtora roku temu, na długo przed uruchomieniem linii rafinacji. To urządzenie sprowadziła obecna wtedy jeszcze chińska firma Chinalco. Stało niemal przy samej kopalni Chŏngju, kilometr na wschód, ponieważ Chińczycy planowali kruszenie rudy, ładowanie urobku w worki i transportowanie ich ciężarówkami, w przeciwieństwie do trudniejszych w transporcie dużych brył skalnych z kopalni do kruszarki. Natomiast Koreańczycy nie mieli problemu z dłuższym transportem rudy do zakładu przetwórczego, dlatego przetransportowali tę maszynę do miejsca, gdzie dostawy prądu były bardziej regularne niż w kopalni.

Zaraz po piętnastominutowej przerwie na herbatę i zorganizowane przez władze wspólne śpiewy i gimnastykę, łącznie z przysiadami w celu rozluźnienia stawów kolanowych, Adam wrócił do biurka z zamiarem wysłania pierwszej wiadomości. Sprawdził otoczenie, czy nie ma w pobliżu kogoś, kto mógłby go zobaczyć – rozejrzał się dookoła, po czym zerknął też przez kratę na górny pomost. Kiedy z zadowoleniem stwierdził, że jest czysto, zrestartował komputer i wszedł do BIOS¹⁰. Zmienił ustawienia i wcisnął enter.

Teraz miał dwie rzeczy do wyboru. Mógł wybrać 1, co otwierało program tekstowy, albo 2, mapę satelitarną Korei Północnej również ukrytą w systemie. W nagłym wypadku skrytego ewakuowania opiekunów Adama, o czym wiedzieliby wcześniej, mógł wprowadzić specjalne koordynaty z funkcją ukrycia tego w napędzie.

Adam nie musiał jednak teraz uciekać i miał nadzieję, że to się nie zmieni, więc wcisnął 1, a potem enter.

Ekran pociemniał, jedynie w prawym dolnym rogu pulsował mały kursor...

Adam musiał przyznać, że w S&T (Science and Technologies) naprawdę tak dobrze ulokowali ten program, że nikt – nawet przypadkowo – nie mógłby go odkryć.

Jeszcze raz rozejrzał się dookoła i szybko wystukał tekst wiadomości w języku mandaryńskim – co gdyby nawet ktoś niepowołany przechwycił w Stanach, nie zaszkodziłoby operacji.

TAJNE

DO: FLASH DLA TIDALWAVE

OD: AVALANCHE

TEMAT: PRZYBYCIE NA MIEJSCE

ŹRÓDŁO: AVALANCHE

WSZYSTKO OFICJALNE: PEŁEN RAPORT WKRÓTCE.

FLASH - DZR. HWANG MIN-HO SPOTKAŁ SIĘ Z AVALANCHE'EM I CHIŃSKIMI TECHNIKAMI DWA DNI WCZEŚNIEJ W PJONGJANGU - OCZEKUJE PRZYBYCIA JEDNEGO (1) TRANSPORTU DUŻEGO SPRZĘTU DO PRZETWÓRNI. NIE PODAŁ TYPU SPRZĘTU. NIE MAJĄC DALSZEGO POTWIERDZENIA, AVALANCHE NIE MOŻE TEGO SAMODZIELNIE POTWIERDZIĆ.

HWANG TWIERDZI, ŻE W NAJBLIŻSZYCH TYGODNIACH BĘDZIE OBECNY W PRZETWÓRNI.

AVALANCHE

Podpis tajnym imieniem Avalanche świadczył, że Adam nie wysyłał tego pod przymusem. Mógł zakończyć innym podpisem – albo w ogóle bez podpisu – wtedy agent kontrolujący w „Acrid Herald” wiedziałby, że treści, jaka ukazała się na jego ekranie, nie można brać poważnie.

Adam nacisnął enter dwa razy, przekazując do telefonu satelitarnego polecenie wysłania wiadomości cyfrowej.

Nauka i Technologia ostrzegała go o tej części. Jeszcze w McLean poinformowali, że wysyłanie może trwać kilka minut i że niektóre wiadomości mogą być niekompletne i przeinaczone. W tej tak dobrej, jaką była ta technologia – a ludzie z Langley dali słowo, że była najlepsza – zawsze pojawiał się czynnik w postaci problemów z warunkami atmosferycznymi, podobnie jak kwestie z następnym sprzętem dla przetwórci w Chōngju.

To również dało mu bardzo interesujący fragment informacji. Większość telefonów satelitarnych wysyłała sygnały do jednego z wielu komercyjnych satelitów, ale ten połączył się z geostacjonarnym satelitą NASA znajdującym się na orbicie nad Koreą Północną, częściowo też nad Chinami i Japonią. Yao wiedział również, że po wysłaniu raportu musiał poczekać na potwierdzenie, które powinno się pojawić na ekranie w postaci długiego rzędu kresek biegnących od lewej do prawej.

Półtorej minuty później otrzymał je.

Adam był mile zaskoczony, że chłopcy i dziewczęta z S&T, którzy nie musieli być tutaj z tym urządzeniem, nie umieścili na ekranie dużego, pulsującego napisu WIADOMOŚĆ WYŚLANA.

Dyrektor Biura Wywiadu Narodowego Mary Pat Foley była główną przedstawicielką wywiadu Stanów Zjednoczonych Ameryki, a z tym wiązała się ogromna odpowiedzialność i dużo problemów.

Odbyła już trzecią podróż do George Washington Memorial Parkway, czyli do biur Hendley Associates.

W dzisiejszym spotkaniu nie brał jednak udziału cały sztab operacyjny Kampusu. Przy stole konferencyjnym byli obecni tylko Mary Pat, Gerry Hendley i Jack Ryan. Sam przebywał jeszcze w Nowym Jorku, monitorując siedzibę Sharps Partners. Brakowało tylko raportu pozwalającego wyjaśnić ich aktywność w Wietnamie, więc Clark, Chavez i Caruso pozostali przy swoich biurkach.

Ryan przedstawił zdarzenia z operacji w Valley Floor bez wdawania się w szczegóły dotyczące wymiany ognia, włamania i wtargnięcia. Pomijał wypadki w Las Vegas, wspominając tylko o tym, co niezbędne.

Wyjaśnił, jak agentka Sharpsa skopiowała tajny program komputerowy, z pewnością na użytek Korei Północnej.

Mary Pat słuchała uważnie. Kiedy Jack skończył, zdawała się rozważać, ile ona może teraz powiedzieć, lecz wyraźnie postanowiła ujawnić tylko część tego, co wiedziała.

– Twoje informacje są bardzo pomocne. Mamy też własne źródło, które dotarło do czegoś, co pasuje do twojego raportu.

Jack wiedział, o czym mówiła, ale zapytał:

– Jakie źródło?

– Spodziewamy się, że przetwórnia w Chǒngju otrzyma w ciągu kilku dni transport morski – odparła Mary Pat. – Nasze źródło nie wie dokładnie, co to będzie, ale transport ma być ogromny.

– Tak, to z pewnością dotyczy urządzeń do flotacji piany bąbelkowej, czyli procesu odzyskiwania cząstek rudy, w którym cząstki te przylegają do pęcherzyków i mogą być usuwane jako część piany. Większość tych w Valley Floor była wielkości furgonetki. Jeśli Chǒngju spodziewa się takiego transportu, to rzeczywiście może on być dość duży – powiedział Jack.

– Tylko że jeśli Korea spodziewa się dostawy tych urządzeń w przyszłym tygodniu, to oznacza, że teraz właśnie płynie transport – odparła Mary Pat.

Ryan i ludzie Hendleya stwierdzili, że Stany Zjednoczone niewiele mogą z tym zrobić, jeżeli rzeczywiście ten sprzęt płynął już do Korei Północnej. Nie było prawa, które zakazywałoby transportu wyposażenia kopalni.

Mary Pat po powrocie do Liberty Crossing natychmiast zgłosiła się do CIA. W ciągu kilku minut dysponowała zespołem specjalistów sądowych od finansów, którzy mieli spróbować ustalić, gdzie doszło do sprzedaży sprzętu do flotacji piany bąbelkowej.

Okazało się to trudniejsze, niż się spodziewano. Tego typu urządzenia nie należały do towarów

powszechnie kupowanych i sprzedawanych na świecie, poza tym różne gałęzie przemysłu stosowały inne ich typy. W dodatku nie był to sprzęt objęty sankcjami, zatem tego rodzaju towar nie był obligatoryjnie rejestrowany.

Jednak Mary Pat miała dobry zespół, więc w pierwszych trzech godzinach pracy znaleźli dane o czterech transakcjach tego sprzętu. Firma kanadyjska właśnie sprzedała dziewięć urządzeń razem z oprogramowaniem. Kopalnia w Brazylii w zeszłym roku zakończyła eksploatację, a kilka miesięcy wcześniej kupiła cały ciąg przetwórczy. Firma australijska miesiąc temu wykonała na zamówienie dwanaście egzemplarzy. Takie same urządzenia przetwórcze w Malezji ostatnio zmodernizowano, poza tym sprowadzono nowe zbiorniki, a stare sprzedano.

Zespół specjalistów rozpoczął prace od Kanady. Szybko się okazało, że towar nie opuścił jeszcze Vancouveru, poza tym miał zostać wysłany do Brazylii, do innej przetwórci minerałów ziem rzadkich. Firma, jej właściciele i wspólnicy zostali nawet trzy razy sprawdzeni przez CIA w poszukiwaniu najmniejszego śladu, że ktoś podstawiony kupił sprzęt dla Korei Północnej. Ostatecznie jednak zespół zdecydował, że transakcja została przeprowadzona legalnie.

Potem zajęli się zlikwidowaną kopalnią w Brazylii. Głęboka zapasć tej firmy i jej wyprzedaże pokazały, że urządzenia zostały sprzedane innej korporacji, a potem kolejnej, zapewne po to, aby w procesie bankructwa uniknąć utraty kapitału. Analitycy poprosili więc agenta CIA w São Paulo, żeby poleciał do Belo Horizonte i natychmiast sprawdził, co znajduje się w magazynie, w którym – jak widniało w rejestrach – miały być zmagazynowane urządzenia do flotacji piany bąbelkowej. Ostatecznie okazało się, że była to ślepa uliczka.

Tak samo w wypadku Australii. Wykonane na zamówienie urządzenia do flotacji piany bąbelkowej były w drodze do Lynas Advanced Materials Plant, LAMP, przetwórci minerałów ziem rzadkich w pobliżu Kuantan w Malezji. Była jedną z największych i najnowocześniejszych na świecie, przetwarzającą też większość urobku wydobywanego w Australii. Chociaż miała dopiero kilka lat, nie było zaskakujące, że unowocześniali urządzenia, bo kierunki rozwoju wyznaczała nowa technologia i LAMP chciała być w czołówce.

Została jeszcze jedna transakcja. Dokąd trafiły stare urządzenia z LAMP?

Zespół analityków bardzo szybko znalazł trop. Urządzenia sprzedano cztery miesiące temu firmie, która istniała tylko na papierze. Została puszczona z dymem, ale zanim wypadła z biznesu, przekazała kapitał do spółki holdingowej zarejestrowanej w Singapurze.

Lecz znowu okazało się, że to ślepy zaułek, a przynajmniej na krótką metę. Jednak analitycy znali inne, skuteczniejsze metody, aby otrzymać szybkie odpowiedzi. Zwrócili uwagę na fizyczne pochodzenie materiału. Lynas była australijską firmą, zatem rozmowa między dyrektorem CIA, Jayem Canfieldem, i dyrektorem tamtejszego wywiadu spowodowała naradę między analitykami z USA i biznesmenami po drugiej stronie świata, co z kolei skierowało ich do urzędników transportu morskiego w Kota Bharu, porcie na wschodnim wybrzeżu Malezji. Ci potwierdzili, że dwanaście dużych skrzyń wysłano kilkoma ciężarówkami z Kuantan, zmagazynowano w Kota Bharu, i następnie umieszczono w czterech wysokich na czterdzieści pięć stóp kontenerach do transportu morskiego i zaledwie dwa tygodnie temu ułożono na pokładzie statku.

Ładunek popłynął do Manili, gdzie przeniesiono go na prywatny statek.

Wyglądało na to, że analitycy znowu zabrnęli w ślepy zaułek, ale się nie poddali. Wiedzieli, jakimi

źródłami dysponuje CIA – żadne z nich nie były znane „Acrid Herald” – i to one mogły ujawnić, dokąd sprzęt trafił w ciągu następnych kilku dni, zaczęli więc badać transport morski do Korei Północnej.

Indonezyjski frachtowiec San Fernando Chieftain wypłynął z Marsylii do Korei. Po drodze zawijał do wielu portów, a jednym z nich, zaledwie sześć dni wcześniej, była Manila. Teraz San Fernando Chieftain za trzydzieści godzin mógł wpłynąć na wody terytorialne Korei Północnej.

Zespół analityków dołączył to do tego, co już odkryto, i przerzucił się na inny temat zupełnie nieświadomy wagi tej sprawy.

Mary Pat Foley po otrzymaniu wiadomości stwierdziła, że ma już wszystko, czego potrzebuje, ale to samo w sobie niczego nie wyjaśniało. Nawet dowody, że statek płynący do Korei Północnej zawiera transport, którym się interesowali, niewiele dawały. Jeżeli towar nie był objęty sankcjami, to i tak mógł dotrzeć na miejsce.

Mimo to Mary Pat postanowiła, że prezydent powinien dowiedzieć się, że Korea Północna potrzebowała jeszcze jednego elementu, aby rozpocząć produkcję dostarczającą im stałe źródło dochodu, a ten element był już blisko, oddalony od jej brzegów zaledwie o jeden dzień.

Połączyła się z Arnoldem Van Dammem i poprosiła o natychmiastowe spotkanie z prezydentem. Arnie odpowiedział, że Ryan jest teraz zajęty sprawami związanymi z oficjalną wizytą w Meksyku, ale gdy tylko znajdzie chwilę, to się z nią zobaczy.

Pięćdziesiąt minut później Mary Pat przyjechała do Białego Domu i – jak już setki razy – została przyjęta w Gabinetcie Ovalnym. Prezydent siedział na sofie i śmiał się z czegoś, co mówił znajdujący się przed nim dystyngowany mężczyzna.

Ryan wstał i przedstawił Foley Horatiowi Stylesowi, ambasadorowi USA w Meksyku. Wyjaśnił, że Styles przybył do Waszyngtonu tylko na dwa dni, potem miał polecieć razem z prezydentem samolotem Air Force One do Meksyku.

Ambasador po chwili opuścił Gabinet Ovalny i udał się do Departamentu Stanu. Gdy tylko wyszedł, Ryan powiedział:

– Fantastyczny facet. Zwiedził cały świat, służąc w piechocie morskiej, ale zakochał się w Ameryce Łacińskiej. Przeszedł na emeryturę wojskową jako pułkownik, a potem zrobił doktorat z latynoamerykanistyki na Uniwersytecie Columbia. To prawdopodobnie najzdolniejszy ambasador w Departamencie Stanu. Gdyby tylko trochę rozpostarł skrzydła, mógł narobić niezłego zamieszania sekretarzowi.

– Tak, panie prezydencie – odparła się Mary Pat.

Jack Ryan usiadł.

– Okej, ale nie przysłaś tu słuchać o naszych ambasadorach. O co chodzi?

Opowiedziała mu o transporcie wyposażenia płynącym do Chöngju i o tym, że w istocie byłaby to ostatnia część pozwalająca uruchomić cały proces.

Ryan wysłuchał uważnie i jego pierwsze pytanie wcale jej nie zaskoczyło.

– Czy te wiadomości pochodzą od naszego nowego źródła ulokowanego w kopalni?

– Częściowo. – Mary Pat nie wspomniała, że najbardziej istotnie wiadomości otrzymała od jego syna.

Jack wpatrywał się badawczo w dyrektora Wywiadu Narodowego, próbując odczytać jej myśli. Jej odpowiedź była dwuznaczna, chociaż przyzwyczał się już do tego. Jego ludzie często chronili go w ten sposób przed stresującymi wiadomościami. Nie lubił tego, ale rozumiał.

Zaczął myśleć o czymś innym, przechodząc od problemu Mary Pat do sprawy bieżącej. Komitet ONZ nie przegłosował rozszerzenia sankcji ekonomicznych dla Korei Północnej, które – jak uważał prezydent Ryan – były kluczowe, aby odciąć to państwo od dopływu twardej waluty, której potrzebowało do opanowania technologii rakiet nuklearnych. Teraz Ryan myślał co dalej. Nie doszedł jednak do żadnego wniosku, obecnie nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Musiał działać.

– Mary Pat, z tego, czego dowiedzieliśmy się w ostatnim miesiącu, wynika, że Chǒngju ma służyć do zdobycia środków na produkcję broni nuklearnej Korei Północnej. Zwrócę się do Rady Bezpieczeństwa Narodowego i podpiszę prezydencką dyrektywę, że kopalnia w Chǒngju w Korei Północnej zagraża obecnie bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych, oraz polecę, żeby armia, wywiad i dyplomacja poświęciły zrobić wszystko, aby uniemożliwić tej przetwórni osiągnięcie pełnej zdolności produkcyjnej. – Po chwili dodał jeszcze: – Nie zaatakuję przetwórni ani tego, czym Korea Północna mogłaby zasypać Seul, artylerii i rakiet. Ale musimy ich powstrzymać.

Mary Pat rzadko widywała prezydenta aż tak zdecydowanego.

– Oczywiście. Proszę sobie tylko uświadomić, że jeśli wyśle pan okręty wojenne, aby zatrzymały ten statek, musiałyby to zrobić w ciągu dwudziestu czterech godzin, inaczej znajdzie się on na wodach terytorialnych Korei Północnej.

Ryan skinął głową.

– Wiem. Natychmiast połączę się z Burgessem i poinformuję go o mojej dyrektywie. Zdąży przygotować swoje siły do zatrzymania statku. Potem podpiszę odpowiedni dokument. – Ryan potarł nos pod okularami. – Wywołamy tym awanturę, ale to konieczne.

Minutę później Mary Pat opuściła Gabinet Ovalny. Czeką ją mnóstwo roboty. Być może mniej niż Radę Bezpieczeństwa Narodowego, bo oni mieli tylko kilka godzin na przygotowanie do podpisu dyrektywy prezydenta USA. Ale gdy tylko dokument będzie gotowy, Foley wiedziała, że nikt już nie będzie niczego owijał w bawełnę – będą działać *full force and effect of law* – z pełną mocą i skutkiem prawnym. W ten sposób ona i jej współpracownicy w Departamencie Obrony i Departamencie Stanu mogli mieć też pewność, że kopalnia w Chǒngju nie będzie mogła finansować produkcji broni nuklearnej w Korei Północnej.

I nawet gdyby walka w tym rejonie miała być prowadzona przez połączone siły całego rządu Stanów Zjednoczonych, Foley miała bolesną świadomość, że każde uderzenie w tym konflikcie będzie też skierowane w młodego mężczyznę, który teraz w Korei Północnej był tak samotny, jak to tylko możliwe.

Dale Herbers, agent specjalny Secret Service Stanów Zjednoczonych, przybył do Mexico City tydzień przed przejazdem kolumny prezydenckiej z portu lotniczego do Palacio Nacional. Tak jak zaplanowano, miał w ramach swoich zajęć przejechać tę trasę wcześniej, ale czuł, że jego odpowiedzialność musi dotyczyć jeszcze czegoś więcej – trasę przejazdu prezydenta do centrum miasta w tym konkretnym dniu musi zabezpieczyć przed różnymi nieprzewidzianymi wypadkami. A na ulicach sytuacja nieustannie się zmieniała z powodu ruchu wywołanego przez turystów zwiedzających muzea, napływu gości do restauracji, do budynków rządowych i do miejsc atrakcyjnych turystycznie, więc Herbers, jak większość wysyłanych wcześniej agentów, chciał się wczuć w tę sytuację, gdy prezydent będzie przemierzał trasę.

Czterdziestosiedmioletni dowódca razem z kilkoma współpracującymi agentami z różnych meksykańskich instytucji odpowiedzialnych za przestrzeganie prawa opuścił port lotniczy Benito Juárez zaraz po południu, dokładnie w tym samym czasie, w którym za dwa dni miał przybyć prezydent. Jechali razem w konwoju pojazdów zachodnim szlakiem w kierunku Plaza de la Constitucion, rozległego placu, gdzie wznosił się pałac prezydenta Meksyku i gdzie miała zakończyć podróż jadąca z portu lotniczego kawalkada aut prezydenta USA.

Jedną z najważniejszych części pracy zespołu wyprzedzającego była identyfikacja miejsc, w których będą się zbierały największe tłumy gapiów; miejsc, w których auta będą musiały zwolnić albo podjąć decyzję co do ewentualnego objazdu. Dziś jego zadanie polegało na wyznaczeniu w kawalkadzie pojazdów stanowisk dla agentów amerykańskich i meksykańskich i określeniu każdego możliwego zagrożenia przed przybyciem prezydenta.

We wszystkich oficjalnych wydarzeniach, w jakich miał uczestniczyć w Meksyku SWORDSMAN – nawet w tych publicznych – każdy widz czy uczestnik miał być sprawdzony. A to oznaczało, że albo zostanie zbadany wykrywaczem metali, albo przeszukany ręcznie. Oczywiście kontrola dotyczyła też wszelkich toreb. Jednak dokładne sprawdzenie całej trasy było niemożliwe – każdego okna, dachu, zaułka, kieszeni każdej osoby na chodniku, każdego samochodu zaparkowanego na ulicy.

Kawalkady pojazdów prezydenckich często wywoływały chaos na jezdni, ale Secret Service potrafiła sobie z tym poradzić. Prezydent w krytycznej sytuacji zostawał w trakcie jazdy wprowadzany w „kokon” – termin ten oznaczał osłonę z agentów w autach oraz jadącego tuż za nim dużego zespołu przeciwdziałającego ewentualnym atakom zabójców – w skład „kokonu” wchodził też statyczny szyk złożony z agentów Secret Service ulokowanych w budynkach i na pozycjach umożliwiających osłanianie go wzdłuż trasy przejazdu.

W Mexico City miało przebywać w tym czasie około dwustu agentów i każdy z nich miał wyznaczoną rolę na trasie. Była to jednak tylko pierwsza linia obrony. Meksykańska policja federalna dysponowała sześciuset funkcjonariuszami zaangażowanymi w blokadę dróg, eskortę kolumny, kontrolę ruchu i pilnowanie tłumu.

Ale Herbers miał jeszcze coś, co działało na jego korzyść. „Potwora”.

Prezydencka limuzyna była gruntownie zmodyfikowanym cadillakiem DTS. Otrzymała nazwę „potwór” z powodu wielkiej wagi. Kuloodporne szyby i gruby pancerz były tylko dwoma zaletami pojazdu. Poza tym miała trudne do przebicia opony, wyposażenie noktowizyjne, wewnętrzne zaopatrzenie w tlen i bezpieczne połączenie z identycznym pojazdem, który zawsze wchodził w skład kolumny, aby prezydent mógł przejść do drugiego, gdyby pierwszy uległ zniszczeniu.

Herbers dostał informację, że SWORDSMAN poprosił o to, aby w „potworze” obecna była jego główna agentka ochrony, Andrea Price O’Day. Niektórzy prezydenci lubili zatrzymywać pojazd, wysiadać i ścisnąć dłonie ludziom z tłumu, ale nie było to w stylu Ryana. Podczas gdy Herbers uważał go za człowieka uprzejmego i bezpośredniego, prezydent był politykiem powściągliwym dla wielu, z którymi współpracował w ciągu swojej dwudziestotrzyletniej służby. Nie wychodził ludziom naprzeciw, chyba że było to konieczne, by wygrać wybory.

Konwój sprawdzający trasę zatrzymywał się po drodze wiele razy i wtedy wszyscy wysiadali z pojazdów. Herbers widział otwarte okna – co go niepokoiło – albo budynki z balkonami lub innymi miejscami pozwalającymi potencjalnym napastnikom obserwować trasę, widział też wąskie uliczki blisko trasy, które chciałyby mieć na oku, gdyby zaistniała konieczność ich zablokowania.

Byli jednak doświadczoną grupą, więc mimo wielu przystanków przebyli połowę trasy w dobrym czasie. Potem wjechali natomiast w okolice niebezpieczną, do Tepito, rejon miasta, któremu musieli poświęcić więcej uwagi.

Kiedy agent Dale Herbers rozpoczął przygotowania do oficjalnej wizyty prezydenta w Meksyku, on i jego sztab szybko ustalili, że krótki odcinek na Eje 1 to miejsce wymagające szczególnej uwagi. Każda kolumna musiała albo pokonać tę dość długą, prostą sześciopasmową prostą ulicę, albo szukać drogi przez wąskie zaułki Tepito i Centro. Secret Service próbowała uniknąć prowadzenia prezydenta przez labirynt uliczek między blisko stojącymi domami i tym samym zmuszania kolumny do wielu zakrętów i zwolnionej jazdy w tak niebezpiecznym terenie.

Nie, ulica Vidal Alcocer, odcinek na Eje 1, była niewątpliwie najlepszym wyborem.

To jednak świadczyło o tym, że każdy pojazd wybrałby właśnie tę trasę – a to oznaczało problem.

Herbers zatrzymał się więc, aby razem z czterema detektywami z meksykańskiej policji federalnej oraz czterema agentami Secret Service przyjrzeć się krytycznie każdemu budynkowi. Zanotowali sobie na papierze i w tabletach to, co wskazał Herbers, jako przygotowanie tej trasy na przejazd prezydenta.

Na rogu Vidal Alcocer i Joségo J. Herrery Herbers zauważył masywną budowlę ze ścianą o wysokości dwunastu stóp biegnącą z północy na południe wzdłuż chodnika na Alcocer oraz do targu na zachód, przy Herrery.

Jeden z meksykańskich policjantów opowiedział, jak zaplanowano układ barierek, aby oddzielić targ od trasy przejazdu, i Herbers natychmiast przekroczył ulicę, wchodząc za pomarańczowy brezent na południowym krańcu budynku. Wszyscy poszli za nim. Przez kilka minut sprawdzali to miejsce, szukali broni ukrytej przez snajpera, czegoś, co wyglądałoby dziwnie, nietypowo.

Wkrótce Herbers dotarł do świeżego betonu przy wschodniej ścianie i wyczuł smród zgnilizny. Po niecałych trzydziestu sekundach jeden z policjantów skierował światło latarki na kratkę ściekową.

– *Gato* – powiedział. – Kot.

Herbers zajrzał do środka.

– Biedny wpadł, zanim zakryli otwór, i utknął.

Nie poświęcił temu więcej uwagi, tylko spojrzął na ścianę. Jeden z jego ludzi przeszedł wzdłuż niej, opukując ją na wysokości bioder i trochę nad głową, aby się przekonać, czy nie znajduje się za nią jakaś ukryta przestrzeń. Puszczono też psa wyszkolonego specjalnie do wykrywania bomb. Krótko węszył, ale zaraz poderwał łeb i zaczął kichać. Potem znowu się pochylił, ale sytuacja się powtórzyła.

Herbers spojrzął na opiekuna psa, oczekując wyjaśnienia. Mężczyzna powiedział krótko:

– Dużo tu kurzu z kamieni i pokruszonych fug.

Agent Secret Service skinął głową i poszedł dalej, do klatki schodowej. Jeszcze kilka minut badał teren. Zobaczył radio stojące na wiadrze, więc podniósł je i kopnął kubek, żeby się przekonać, czy sprzęt nie był do czegoś podłączony. Gdy go włączył, usłyszał charczące dźwięki akordeonu. Odstawił je na miejsce, po czym zwrócił się do swoich agentów i policjantów federalnych:

– Odgródźcie to miejsce taśmą, a w czasie przejazdu kolumny ulokujcie agenta na zewnątrz, na rogu ulic.

– Postawię dwa auta za barierkami na Joségo J. Herrery – odezwał się jeden z Meksykanów. – Czterech agentów będzie obserwować ludzi na targu i tłum, jaki się pojawi, żeby widzieć limuzynę. Dodatkowych dwóch będzie pilnowało, żeby nikt nie wszedł pod brezentem do tego budynku.

– Dobrze – zgodził się Herbers i zwrócił się do swojego zastępcy: – Rick, chcę tu mieć też dwóch naszych nowych chłopców.

– Będziesz miał.

– Ulokuj kogoś z karabinem na szczycie schodów. Będzie miał dobry widok na całą ulicę.

Rick zanotował to, po czym opuścili budynek i ruszyli na zachód aż do Centro Histórico, następnego punktu krytycznego przy Palacio Nacional.

Prezydent miał przybyć za niecałe czterdzieści osiem godzin, a Herbers i jego ludzie mieli jeszcze do zbadania wiele problematycznych obszarów.

Po dwóch dniach czekania w Las Vegas na instrukcje z biura Veronika Martel w końcu otrzymała od Edwarda Riley'a rozkaz lotu do Nowego Jorku.

Po przylocie nawet nie zameldowała się w hotelu, tylko pojechała prosto do budynku Sharps Global Intelligence Partners, gdzie od razu została zaprowadzona na czwarte piętro do gabinetu Sharpsa.

Siedział tam już Riley, ale mówił zaskakująco mało. Natomiast Sharps zaczął ją wypytywać o akcję, którą prowadziła przez dwa tygodnie w Valley Floor.

Martel już na samym początku postanowiła nie wspominać o kontakcie z Jackiem Ryanem juniorem, ale teraz nie widziała sposobu, żeby wyjaśnić, dlaczego tak wokół niej krążył, gdy była w Valley Floor, i dlaczego nic o tym nie mówiła. Jednak jeśli ujawni to, co robiła i co od początku zrodziło się wraz z zainteresowaniem jej osobą, wtedy mogłaby ująć za osobę niekompetentną albo za kogoś, kto z nim współdziałał.

A Veronika ani na moment nie pomyślała, że Riley mógłby ją uważać za kogoś niekompetentnego.

Sama tak o sobie nie myślała, musiała jednak przyznać, że była zachłanna. Jej pragnienie przeobrażenia zwykłej, przyziemnej wywiadowczej operacji firmowej w indywidualną akcję jednej kobiety, usiłującej zwerbować ważny kontakt, było głupie. Okazała się zbyt pewna siebie.

Obecnie mogła już tylko łagodzić skutki. Ukryć każdy ślad próby zwerbowania Ryana i rzucenia współpracy z Sharpsem. Przedstawić siebie jako niesprawiedliwie traktowaną ofiarę, która miała być w jakiś sposób skompromitowana.

Tak, to zadziało nadspodziewanie dobrze. Sharps pozwolił, żeby ktoś obcy pojawił się w czasie operacji New World Metals – najpierw w Wietnamie, potem w Nowym Jorku i na koniec w Las Vegas. Twierdził, że w czasie gdy Veronika wykonywała swoje zadania w Ho Chi Minh i Vegas, nie wiedziała nic o operacji w Nowym Jorku, zatem według niego nie można było jej winić za przeciek z telefonem komórkowym.

Martel z całą mocą broniła swoich działań, jednak ostrożnie, nie rzucając żadnych oszczerstw na Riley'a, bo po pierwsze, był jej opiekunem i kimś, z kim mogła w przyszłości pracować, a po drugie, siedział teraz razem z nimi w pokoju.

Później zastanawiała się, czy powinna jednak pójść dalej i tak czy owak zaatakować Riley'a, ponieważ przez cały czas zawzięcie milczał, a Veronika uznała to albo za jakiś objaw poczucia winy, albo nawet za słabość.

Kiedy skończyli rozmowę, Sharps przekazał jeszcze Veronice, że ma zostać w mieście jeszcze przez kilka dni, może trochę dłużej.

Tego popołudnia znalazła sobie wolne mieszkanie do wynajęcia na Lower East Side. Nie była na służbie, więc zrobiła to na własne nazwisko, ale dla bezpieczeństwa zawarła transakcję przez internet i odebrała kartę-klucz ze skrzynki, aby nie mieć do czynienia z nikim osobiście. Nie było to duże mieszkanie, piętrowy apartament w budynku, w którym czuła się jak w Paryżu. Było to

znacznie lepsze od pokoju w hotelu w Nowym Jorku i od krzykliwego apartamentu w Las Vegas.

Sam Driscoll spędził półtora tygodnia na obserwowaniu i filmowaniu każdej osoby wchodzącej do biur Sharps Global Intelligence Partners. Zajął miejsce po drugiej stronie ulicy na północ od budynku Duke'a Sharpsa na alei Kolumba i od czasu do czasu nie mógł ogarnąć wszystkich wchodzących. Jednak praktycznie każda osoba została uwieczniona na filmie, aby potem jej wizerunek trafił do programu rozpoznawania twarzy.

To jego zmundne zajęcie przyniosło efekt dziesiątego dnia, gdy do budynku weszła kobieta znana im jako Élise Legrande. Ryan często o niej wspominał i powiedział Samowi, żeby zrobił wszystko, co tylko będzie mógł, żeby ją śledzić.

Sam wynajął swoje mieszkanie na półtora tygodnia i właśnie je opuścił, toteż był więcej niż zadowolony, mogąc ruszyć w pościg za kimś tak ważnym. Gdy po godzinie kobieta wyszła, Sam siedział na ławeczce parkowej przed Muzeum Historii Naturalnej; obok stał jego rower, przy nim leżał plecak. Gdy kobieta wsiadła do taksówki, ruszył za nią, z łatwością śledząc samochód jadący tylko kilka przecznic na południe. Élise weszła tam do kawiarni i zaczęła coś robić na tablecie.

Po godzinie spędzonej przy herbacie wzięła następną taksówkę. Tym razem Sam miał trudności ze śledzeniem, bo auto cały czas krążyło po Midtown, aż ostatecznie skończyło podróż na Lower East Side. Gdyby jechał samochodem albo nawet motocyklem, pewnie by się zgubił, ale na rowerze mógł manewrować z powodzeniem w ruchu ulicznym tak, aby nie stracić taksówki z oczu.

Kiedy kobieta wysiadła na Clinton Street, wystukała kod na skrzynce zawieszanej na płocie przed apartamentowcem, wyjęła elektroniczną kartę-klucz, a następnie przeniosła bagaż pod drzwi. Sam zaczekał, aż zapali się światło na drugim piętrze, po czym wsiadł na rower i wrócił na róg Siedemdziesiątej Siódmej i alei Kolumba.

Następnego dnia Veronika wstała wcześniej rano i poszła do kawiarni na śniadanie, po czym udała się do miejscowego marketu. Ponieważ była przekonana, że będzie musiała się tu zatrzymać na dłużej, napełniła wózek żywnością i napojami, wzięła nawet kwiaty i zabrała to wszystko do wynajętego mieszkania.

Z trudem wniosła zakupy, pokonując dwa piętra schodów, i zaniósła je do kuchni na ladę. Potem przeszła do salonu i tam zamarła w bezruchu.

Zaczęła ją ogarniać panika, ale Veronika opanowała się i spróbowała zachowywać nonszalancko.

– Jak mnie tu znalazłeś? – zapytała.

Na sofie siedział Jack Ryan junior ze skrzyżowanymi nogami. Miał na sobie ciemnoszary garnitur w prążki i bordowy krawat. Był absolutnie spokojny.

– Czasem najlepsze są staromodne sposoby.

– Obserwowałeś biuro Sharpsa?

– Nie ja, kolega.

– Czego chcesz?

– Siadaj, Veroniko.

Gdy usłyszała swoje imię, wróciło uczucie paniki, ale zrobiła tak, jak polecił, i znowu próbowała udawać obojętność.

– Jak tu trafiłeś? – Gdy Ryan zaraz nie odpowiedział, dodała: – Niech zgadnę. Użyłeś tego samego sposobu, co twoi ludzie, aby wejść do mojego pokoju hotelowego w Las Vegas.

– Czasem lepiej działają nowe sposoby – odparł Ryan.

– Po co to zrobiłeś?

Ryan tym razem nie odpowiedział.

– Taki ojciec, jaki syn? Jesteś z CIA?

Pokręcił głową.

– Znam ludzi, to wszystko. Nie jest to niezgodne z prawem. Czasem potrzebują pomocy. To ty powinnaś się tłumaczyć.

– Wywiad korporacyjny jest tak stary jak sama korporacja. Nie robię nic, czego musiałabym się wstydzić.

Ryan roześmiał się i to ją zezłościło.

– Co na mnie masz? Co o mnie wiesz?

– Veronika Aimeé Martel, lat trzydzieści osiem. Urodzona w Rambouillet we Francji. Służyłaś w DGSE przez siedem lat, otrzymywałaś wysokie oceny, bardzo wysokie oceny. Potem miałaś romans z deputowanym do Zgromadzenia Narodowego. – Ryan nie czytał, cytował to z pamięci. – To nic nadzwyczajnego we Francji i nie sądzę, że aż tak skandalicznego... No ale jego żona była akurat zastępczynią sekretarza Partii Socjalistycznej.

Veronika założyła ręce na piersiach. Odruchowa reakcja obronna.

– To była z twojej strony zła decyzja, ale nie powinna wpływać na karierę szpiega. Niemniej zostałaś wyrzucona ze służby, ale potem znalazł cię Duke Sharps i wróciłaś do pracy.

– Doskonale, Jack. Masz dobre źródło informacji. Ale nie upoważnia cię to do włamywania się do mojego mieszkania.

Jack Ryan rozprostował nogi i uniósł wzrok.

– Tego wieczoru w Ho Chi Minh, gdy został zamordowany Colin Hazelton, byli tam moi przyjaciele.

Martel nie zareagowała. Nie знаła tego nazwiska, ale domyśliła się, kim był Hazelton. Ciągle z niczym się jednak nie zdradzała.

– Zdobyli tamtej nocy twoje zdjęcie. Mieli możliwość porównania twarzy z nazwiskiem, ale w twoim przypadku nic nie znaleźli. Domyślam się, że DGSE lub Sharps mają akta, z których usunięto twoje zdjęcia.

– Nie ze wszystkich. Inaczej nie byłoby tu ciebie.

– Żeby to wynajść, użyłaś swojego prawdziwego nazwiska. Moi przyjaciele szukali Veroniki Martel i znaleźli o tobie trochę informacji. Żadnych zdjęć, ale mając imię i nazwisko, nie potrzebowali ich.

– Czego chcesz? Nie zabiłam tego człowieka w Ho Chi Minh. Nawet nie wiem, o czym ty mówisz.

– W Wietnamie byli mordercy z Korei Północnej. Byli też w Czechach, w Vegas i tu, w Nowym Jorku. Kiedy ty wykonujesz swoją misję, umierają ludzie. Tymczasem zabójcy znikają.

– To nie jest moja misja.

– Nie. To misja Edwarda Riley'a. Ale ty też jesteś w to wplątana i teraz pomożesz moim przyjaciółom powiązać go bezpośrednio z Koreą Północną.

Roześmiała się.

– Śmieszne. On nie pracuje dla Korei Północnej.

– Ale tamtejsze zbiry pojawiają się bez przeszkód tam, gdzie potrzebuje ich Riley. To mi wystarczy.

– Jeżeli to prawda, powinni być też tutaj, nie?

– Wierz mi, zawsze byli tam, gdzie być musieli. Ale ja mam tu przyjaciół, którzy oczyścili twoje mieszkanie z podsłuchu i pilnują go przed nimi. Jednak wygląda na to, że Koreańczycy zapomnieli o tobie. Domyślam się, że zostałaś wyrzucona na margines, usunięta z akcji po tym, co stało się w Las Vegas.

– Mam nadzieję, że to prawda. Wrócę do Brukseli i będę miała to wszystko za sobą.

– Ty, Veroniko, nie rozumiesz, jaka jest stawka. Dokąd pracujesz dla Sharpsa, jesteś w niebezpieczeństwie. Jeżeli Koreańczycy dojdą do wniosku, że chcesz ich drugi raz zawieść, zrobią z tobą to, co z Colinem Hazeltonem.

Ryan podszedł niej i klęknął. Przysunął się tak blisko, że przez chwilę pomyślała, iż chce ją pocałować.

– Pomóż nam, a my będziemy cię chronić.

– Nie potrzebuję żadnej ochrony. Chcę tylko, żebyś wyszedł. – Ryan nie drgnął. – Już raz mnie nabrałeś w Las Vegas. Drugi raz ci się to nie uda.

– Ależ nie oszukuję cię. Ja...

– Chcesz mnie aresztować? Nie? To nie jest robota dla CIA. – Tym razem uśmiechnęła się. Przez chwilę czuła się niepewnie, ale teraz odzyskiwała twardy grunt. W tym momencie ten pewny siebie i zadowolony mężczyzna nie wiedział, co powiedzieć. – Więc wynoś się.

– Veroniko, proszę...

– Wyjdź!

Jack Ryan westchnął. Wyjął pióro i zapisał numer telefonu na leżącym obok magazynie.

– Moi przyjaciele mają kogoś w mieście. Jeżeli zmienisz zdanie albo znajdziesz się w kłopotach i będziesz nas potrzebowała, zadzwoń. W ciągu kilku minut ktoś się tu zjawi.

Veronika wstała i wskazała drzwi.

– Wyjdź.

Ryan opuścił mieszkanie pewien, że kobieta stojąca za nim nie ma pojęcia, jak daleko może się posunąć Korea Północna.

Żadna prezydencka dyrektywa nie uzasadniała wejścia na pokład i dokonania rewizji „San Fernando Chieftain”, indonezyjskiego kontenerowca płynącego z szybkością piętnastu węzłów po zmaconych wodach Morza Żółtego.

Prawdą było, że płynął do północnokoreańskiego portu Nampo, na południowy zachód od Pjongjangu, więc przed wypłynięciem z Manili został sprawdzony już sześć dni wcześniej przez międzynarodowych ekspertów. Uznano, że ładunek spełnia warunki embarga – żywność, części do samochodów i maszyn dla przemysłu górniczego Korei Północnej mogły zostać dostarczone na miejsce. Statek przez cały czas nadawał autentyczny sygnał identyfikacyjny i nie wykonywał żadnych podejrzanych manewrów.

Krótko mówiąc, „San Fernando Chieftain” płynął poprawnie, więc teraz jego kapitan wpadł we wściekłość, stojąc przy kole sterowym z lornetką skierowaną na oddalony trzy mile przed dziobem punkt. Chociaż był to późny ranek, niebo pokrywały ciemne chmury zbliżającego się szkwału, co nieco zakłócało dobrą widoczność. Jednak to, co zobaczył, nie budziło żadnych wątpliwości. Był to duży amerykański okręt wojenny „USS Freedom”, ustawiony dokładnie na trasie „San Fernando Chieftain” i blokujący mu drogę.

Wezwanie radiowe jeszcze bardziej go rozżłościło. Na amerykańskie żądanie wejścia na pokład kapitan zapytał ich, na jakiej podstawie roszczą sobie do tego prawo. Amerykanie zacytowali na to rezolucję ONZ nr 1874.

Indonezyjski kapitan zareagował oburzeniem – miał wszystkie dokumenty, jego transport był zarejestrowany. Ale Amerykanie nie przyjęli tego do wiadomości. Poinformowali go, że oddział, który ma wejść na pokład jego statku, jest już w drodze, więc dla bezpieczeństwa własnego, załogi oraz ładunku musi się zatrzymać i spełniać wszystkie polecenia.

Kapitan natychmiast skontaktował się ze swoim ministerstwem spraw wewnętrznych. W tym momencie nie mógł zrobić nic poza narzekaniem, ponieważ jeśli nawet miał rację, nie mógł walczyć z marynarką wojenną Stanów Zjednoczonych.

O dziesiątej pięćdziesiąt sześć szef Daryl Ricks z plutonu Echo, SEAL, Oddział 5, wstał w łodzi „Zodiac”, przewiesił przez plecy karabin HK416 i wspinał się po drabince opuszczonej przez załogę „San Fernando Chieftain”.

Jakiś czas temu jego pluton dokonał zajęcia zakazanego transportu francuskich części do raket i dzisiejsze wejście oznaczało też akcję zajęcia z morza. Tak samo jak poprzednio jego kolega, Bones Hackworth z Oddziału Bravo, już osiem mil przed dziobem zaczął działać z powietrza.

Nie było to typowe egzekwowanie sankcji. Zwykle on i jego ludzie dokonywali wyrywkowej kontroli kontenerów oraz samych ładowni, bez specjalnych wskazań wywiadu, czego dokładnie i gdzie szukać. Teraz miał wrażenie, że specjalne polecenie pochodziło z Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony, chociaż przeszło przez różne kanały i ostatecznie dotarło do niego przez

oficera wywiadu z Oddziału 5 w Seulu.

Musiał otworzyć i sprawdzić cztery wysokie na czterdzieści pięć stóp sześciennie kontenery. Ricks znał nawet ich numery oraz lokalizację na pokładzie.

Co jednak dziwne, nie dostał żadnych informacji, co prawdopodobnie znajdowało się w tych kontenerach, jednak Ricks uważał, że nie trzeba się długo domyślać. Był przekonany, że odkryją następny transport części do rakiet.

Poprzednim razem natrafili na opór i Ricks wiedział, że teraz będzie łatwiej, ale na razie nie znaleźli żadnych dowodów, że załoga próbuje coś ukryć albo odciągnąć uwagę ludzi SEAL od czegoś konkretnego.

Dziwne. Wydaje się, że będzie cholernie łatwo, pomyślał, wspinając się na pokład. Trzymał broń w pogotowiu, sprawdzając otoczenie i szukając zagrożeń.

Lecz załoga nadal nie stawiała oporu. Ricks i jego ludzie weszli do sterowni, podczas gdy Hackworth razem ze swoim oddziałem zszedł do maszynowni. W ciągu dziesięciu minut cała czternastoosobowa załoga została zabezpieczona na pokładzie przez czterech mężczyzn, a reszta ludzi SEAL zajęła się ładunkiem.

Tak jak poinformował oficer wywiadu, tam też były kontenery. Wiele z nich zgadzało się z otrzymanymi wcześniej danymi.

Greaser i Hendriks wystąpili do przodu i zerwali plomby w pierwszym kontenerze. Otworzyli drzwi, a Ricks zajrzał do środka, rzucając promień światła z latarki na końcu karabinu. Przesunął go w górę i w dół, a potem z lewej w prawo.

Za nim stał Hendriks, specjalista od działań zbrojnych. Powiedział dokładnie to, co pomyślał Ricks:

– Złe informacje, szefie.

W środku nie było żadnych materiałów nuklearnych. Żadnych części do rakiet. Znaleźli tylko po bokach jakieś trzy długie okrągłe maszyny, które Ricks na pierwszy rzut oka uznał za kotły przemysłowe. Na boku każdego widać było przymocowane w woreczkach faktury. Ricks opuścił broń i włączył światło w lampce na hełmie, po czym odczytał z dokumentu, na co dokładnie został wystawiony.

– Zbiornik na pianę emisyjną.

Greaser spojrział na napis.

– To urządzenie do rafinacji minerałów.

Szef odwrócił się bez słowa, podszedł do następnego kontenera i zerwał plombę.

Dwadzieścia minut później Daryl Ricks stał na pokładzie rufowym statku z telefonem satelitarnym przy uchu.

– Typhoon Actual do Typhoon Main.

– Typhoon Main. Mów, Actual.

– Nic zabawnego w ładunku.

– Rozumiem, nic zabawnego. Co znalazłeś?

– To nie jest wyposażenie dla broni masowego rażenia.

Przerwa.

– Rozumiem. Ale co tam znalazłeś, Actual?

Ricks wyjaśnił. Czekał dość długo na odpowiedź i już zamierzał sprawdzić, czy Main usłyszał tę ostatnią wiadomość, gdy rozmówca znów się odezwał:

– Typhoon Actual, słuchaj. Kontenery należy wyładować, a towar zabrać. Zostań na pokładzie do przyplłynięcia statku przeładunkowego z Seulu. Dopilnuj wszystkiego, a potem zwolnij statek i pozostały ładunek.

Ricks przekrzywił głowę.

– Uch... przyjąłem. Jeszcze tylko dla jasności. Rozumiem, że konfiskujemy te urządzenia dla kopalni i przetrzymujemy statek do ich przejęcia?

– Typhoon Actual, Typhoon Main. Przyjąłem.

Ricks umilkł na chwilę.

– Możemy to zrobić? – zapytał.

– Szefie, powiedziano panu, że to jest coś, co ma związek z bronią masowego rażenia. Rozumie pan?

Ricks podrapał się po szyi między kamizelką kuloodporną a hełmem.

– Przyjąłem, Typhoon Main. Actual wyłącza się.

Ricks wrócił do swojego oddziału w ładowni. Znalazł tam Greasera, Hendriksa i Hackwortha. Pluton Echo był gotów do wykonania rozkazu zwolnienia załogi i zejścia z pokładu.

– Słuchajcie – powiedział Ricks. – Gdyby ktoś pytał, właśnie znaleźliśmy pewne części do broni masowego rażenia.

– Możesz powtórzyć? – zapytał Greaser.

– Części do broni jądrowej.

– Bardziej przypominają pralki – stwierdził Hendriks.

– Nie pieprz, Hendriks. Nie wiem, może używają ich do mycia rakiet balistycznych. Musimy je jednak wyładować z tego statku i załadować na ten, który przyplynie tu z Korei Południowej.

– Więc... to będzie coś w rodzaju rabunku, prawda? – zapytał Hendriks. – Teraz jesteśmy piratami?

Ricks tylko wzruszył ramionami.

– Myślę, że naczelne dowództwo wie, co robi.

– Dla mnie nie wygląda to tak, jakby prezydent wiedział, co robi – zauważył Hendriks. – Koreańczycy, gdy się ich nie czepiamy, zachowują się jak zwykłe dupki, ale ta kradzież może ich rozwścieczyć.

– Hendriks, nie mogę się doczekać, aż ty zostaniesz prezydentem – rzucił Ricks. – Może wtedy będziesz odgrywał rolę jasnowidza.

– Szefie, nie mogę zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Jestem z Holandii.

Ricks odwrócił się i wszedł na główny pokład przekazać reszcie plutonu plan działania. Wychodząc, rzucił jeszcze sarkastycznie:

– Tak, to naprawdę wielka szkoda, Hendriks.

Sam Driscoll już od dwunastu godzin obserwował dom Veroniki Martel, gdy nagle zajechała przed niego czarna limuzyna marki BMW i8 i zaparkowała na ulicy. Było już dobrze po zmroku, gęsta ściana deszczu utrudniała widok, więc Sam ze swojego punktu obserwacyjnego nie mógł odczytać numeru rejestracyjnego. Jednak nawet się o to nie starał.

Znał to auto.

Podczas swojej pracy wiele razy widział, jak Edward Riley zajechał na parking przy budynku Sharps Global Intelligence Partners, i podziwiał wybór tej marki i typu auta.

Tu zadaniem Driscolla było nie spuszczać z oka żadnego śledzącego Martel Koreańczyka. Ryan nie wiedział, czy przybyli tu za nią, ale obecnie wyglądało na to, że została odsunięta od działań na ich rzecz, więc niepokoił się, czy nie skończy tak jak Hazelton. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale Sam nie chciał niczego zaniedbać.

Połączył się więc z Ryanem, który odebrał natychmiast.

– Hej, Sam. Co się dzieje?

– Edward Riley właśnie zajechał przed dom Martel.

– Jesteś pewien, że to on?

– Widziałeś jego samochód?

– Nie, czym jeździ?

– BMW i8.

– Ładnie. Trochę zbyt wyróżniający się jak dla agenta, ale ładny.

– I to mówi facet, który jeździ kanarkowym hummerem.

– *Touché*. Zastanawiam się, co on tam robi. Może przyszedł dać jej nowe zlecenie albo wyłączyć ją z roboty. Jest sam?

– Sam. Sprawdziłem, czy go nie śledzą. Teraz co prawda leje, ale nie widzę żadnych czających się Koreańczyków.

– Okej. Przy okazji, będziesz miał towarzystwo.

– Czyje?

– Nas wszystkich. Clark kazał nam wracać do Nowego Jorku. Nie mamy nic innego do roboty, będziemy obserwować Martel.

– Myślałem, że Sharps zdążył nas już zdemaskować w Nowym Jorku. Będziesz tu jeździł po ulicach autem?

– Uważamy, że pozbyła się śledzących ją Koreańczyków, i sądzimy, że oni dali cynk Sharpsowi. Jest dobrze. I tak mam wrażenie, że będziemy mało mobilni, raczej będziemy siedzieć z tobą.

Sam odrzekł:

– Brzmi świetnie. Pięciu dupków w apartamencie z jedną łazienką cały dzień zje pizzę.

– Jak w college'u – dodał Ryan, a Sam tylko chrząknął.

Riley zjawił się w czasie burzy. Miał na sobie dżinsy i czarny sweter, w dłoniach trzymał tylko parasol i telefon.

Veronika zaproponowała mu herbatę. Odmówił, więc usiadła naprzeciwko niego w salonie. Z jego zachowania wywnioskowała, że coś jest nie tak.

– Co się stało?

Riley pochylił się do przodu.

– Minionej nocy naszego czasu marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych zatrzymała statek dostarczający do Korei Północnej zbiorniki na pianę emisyjną. Skonfiskowano je.

Veronika nie odpowiedziała, była kobietą inteligentną. Założyła, że Amerykanie dowiedzieli się o istnieniu tych towarów z informacji przesłanych z Valley Floor. Teraz Riley zapewne szukał kogoś, kto poniósłby odpowiedzialność za to, co się stało w Vegas.

– Chcę, abyś wiedziała, że Duke jest na ciebie wściekły. Uważa, że dałaś cynk Amerykanom. Korea Północna też jest niezadowolona.

Martel przewróciła oczami.

– To kompletny absurd. Ktoś zdradził całą operację. Tamci przecież włamali się do mojego pokoju i doskonale wiedzieli, czego szukać.

– A ty nie masz pojęcia, kto to mógł zrobić? – zapytał Riley.

Spojrzała mu prosto w oczy. Znała prawdę, ale wiedziała też, jak kłamać.

– Nie mam pojęcia.

Riley wyraźnie chciał ją postawić w pozycji defensywnej, ale to nie było w jej stylu.

– Może sam znasz odpowiedź na to pytanie. Wydaje mi się, że wiedziałeś, co się dzieje w moim pokoju hotelowym. Założyłeś u mnie podsłuch? Skierowałeś na mnie kamery? Czy tak? Obserwowałeś mnie? Nawet jak spałam?

Riley pokręcił głową. Teraz jej wysiłek, aby przejąć kontrolę nad sytuacją, zawiódł. Mężczyzna nawet nie drgnął.

– W hotelu na własną rękę rezydowali wspólnicy. W twoim pokoju zostały pewne urządzenia podsłuchowe.

Martel wzdrygnęła się zaskoczona.

– Wspólnicy?

– Powiedzmy, że ludzie zainteresowani sprawą.

– Masz na myśli Koreańczyków? Kogo konkretnie? RGB?

Riley potwierdził skinieniem głowy.

– Więc teraz pracujesz bezpośrednio z nimi? Nie z New World Metals?

Riley nie zaprzeczył.

– Dwanaście bilionów dolarów. Czy w twojej ciasnej główce mieści się taka liczba?

– Taka jest wartość kopalni?

– Tak. Istnieje jednak możliwość wejścia w to niebywałe przedsięwzięcie, które w swej naturze może angażować jedynie kilka osób. W samej Korei Północnej praktycznie nie ma konkurencji. Istnieje tam tylko jedna, państwowa firma eksploatująca bogactwa kopalniane, współpracująca z pewną zagraniczną korporacją zajmującą się całokształtem biznesu poza granicami Korei.

Riley uniósł w górę palec.

– Tylko jedna.

– New World Metals.

– Tak brzmi nazwa tej korporacji, która sprowadziła do Korei ludzi do obsługi linii produkcyjnej i jej wyposażenia. Óscar Roblas ma pod sobą sto firm i może utworzyć kolejne sto. Transport morski, surowce, kupno–sprzedaż, marketing... – Riley uśmiechnął się. – Bezpieczeństwo zewnętrzne. Każde przedsięwzięcie będzie rosło, aż eksploduje kolosalnym zyskiem, dlatego że Roblas jest człowiekiem Korei Północnej. Kiedy Korea otrzyma transport kompletu urządzeń do rafinacji rudy, nic jej nie powstrzyma.

– W jaki sposób może ci to pomóc? Przecież ty jesteś człowiekiem Sharpsa.

Riley machnął ręką.

– Ja pracuję niezależnie. Duke to człowiek o ograniczonych działaniach, zajmuje się głównie wywiadem. Ja natomiast widzę większe możliwości. I teraz w kręgu moich zainteresowań znalazła się Korea Północna.

– Więc idź do nich i powiedz im, że będziesz dla nich pracował. Że możesz im pomóc pójść dalej, niż obiecuje im Sharps. Że pomożesz im zabijać ludzi na amerykańskich ulicach, jeżeli tylko zechcą.

– Robię obu przysługę.. Wszystkim trzem, jeżeli wliczysz w to Óscara Roblasa. Sharps pewnie zaprzeczy wszystkiemu. Ale ja pracuję bezpośrednio dla Roblasa i generała Ri, szefa wywiadu Korei Północnej.

– Sami cię zaangażowali?

– Na to wygląda.

Veronika pomyślała, że to sprawia wrażenie, jakby ją chciał przeświecić. Nie rozumiała, dlaczego Riley mówi jej to wszystko. Mogła przecież pójść do Sharpsa i powiedzieć mu, że jego numer dwa zdradza jej sprawy dotyczące jego klientów.

Dość długo tkwiła już w tym biznesie i ufała instynktom, więc przez krótką chwilę zastanawiała się, czy znalazła się w niebezpieczeństwie. Czy Riley nie przyszedł po to, aby ją wyeliminować za Vegas?

Pochyliła się nieco, gotowa skoczyć do kuchni po nóż, jeżeli mężczyzna zrobi jakiś nagły ruch. Wydawało się to wysoce niemożliwe, ale od samego początku w operacji New World Metals stawka rosła.

– Jeżeli jeszcze o tym nie wiesz, to Sharps już z ciebie zrezygnował. Wypadłaś z gry za błąd w Las Vegas.

– Ale...

– Pogadaj z nim sama. Ja jestem tu po to, aby przekazać ci tę informację. – Po chwili Riley dodał: – Chociaż on już nie będzie korzystał z twoich usług, ja mogę to zrobić.

Martel zrozumiała albo przynajmniej wydawało się jej, że rozumie. Oparła się; nie mogła stąd uciec, teraz gniew i oburzenie zastąpiło dobre samopoczucie. Riley próbował ją zwerbować do siebie, tak jakby była jakąś zwykłą agentką, którą można dostać na kiwnięcie palcem. Zapewne myślał, że teraz, gdy została wyrzucona przez Sharpsa, będzie mógł przejąć nad nią kontrolę, bo nie będzie miała wyboru i zechce z nim współpracować.

Śmieszne, pomyślała. Najpierw śledzą mnie Koreańczycy, a teraz Riley chce mnie zmusić, żebym przyłączyła się do niego i tego zbrodniczego reżimu.

Nic nie mogło jej jednak powstrzymać przed powrotem do Paryża. Nie, nie wejdzie w ten układ.

– Dobrze, skontaktuję się z Duke'em. Zażądam spotkania w cztery oczy, żeby wszystko wyjaśnić – stwierdziła.

– Nie uda ci się.

– Tak myślisz? No to się przekonasz. Założę się, że załatwię z nim spotkanie nawet wtedy, gdy będzie leżał w łóżku z twoją żoną.

Zobaczyła, że mięśnie wokół szczęki Riley'a napinają się. Zmrużył oczy, po czym wstał i podszedł do drzwi. Ruszyła za nim, krzycząc:

– Jesteś znany z tego, że lubisz zwać na kogoś własne błędy, i z tego, że pozwalasz, aby mąciły ci w głowie wygórowane ambicje! Zdarzyło się to już we Włoszech i doprowadziło do twojego upadku!

Chwycił zasuwkę przy drzwiach i odwrócił się do niej.

– Myślisz, że Koreańczycy będą ci ufać, bo pracujesz z Sharpsem? – kontynuowała. – I że Roblas też ci zaufa? Sharps nie kierował tą operacją. To marionetka, figurant. Oni o tym wiedzą. Ja też nie miałam tu żadnej władzy. Wiń mnie za Las Vegas, jeżeli musisz. Ale to, co stało się w Wietnamie i w Nowym Jorku, nie ma ze mną nic wspólnego. To twoja wina. I to ty za to odpowiadasz.

Uśmiechnęła się. Dostrzegła na jego wykrzywionej wściekłością twarzy niezdecydowanie.

– Może i straciłam pracę, ale ty pójdiesz na dno razem ze mną, Riley.

Podszedł do niej. Dyszał ciężko, oczy miał szeroko otwarte. Zniknęło niezdecydowanie, wyglądał na gotowego do ataku.

– Co? – spytała.

Postąpił jeszcze krok i uniósł ręce do jej twarzy.

Veronika pomyślała, że chce ją objąć i pocałować. Wiele razy w życiu widziała ten wzrok, zawsze taki sam. Twarz wykrzywiona złością zmieniała się w twarz wyrażającą pożądanie.

– To cię pociąga? Myślisz, że cię chcę? Zwariowałaś?

Jednak nie objął jej. Zamiast tego złapał ją za szyję i zacisnął palce.

Próbowała się wyrwać.

– Co robisz...

Zdławiony głos zmienił się w jej krtani w charczenie.

Riley upadł na jej ciało, powalając ją na podłogę. Ścisnął jej gardło z całych sił, podczas gdy kobieta rozpaczliwie machała nogami i próbowała odepchnąć go słabnącymi rękoma. Nie zważał na jej rozpaczliwą obronę, nie zwalniał uścisku.

Wyciskając z niej ostatnie tchnienie życia, zbliżył usta do jej ucha, czując, jak jej włosy łaskoczą go w nos.

– Głupia Veroniko. Taka twarda, zasadnicza i zimna. Powiem ci, po co tu przyszedłem. Wykorzystałem cię. Nie przyszedłem tu po to, abyś się do mnie przyłączyła. Potrzebowałem kozła ofiarnego. Koreańczycy są wściekli, więc ktoś musiał umrzeć.

Pół minuty później leżała bezwładnie w jego rękach, ale nadal mówił do niej łagodnie:

– To był twój błąd. I Sharpsa. Ale oni mnie znają. Doceniają moje decyzje. Wiedzą, że nie jestem taki jak Sharps.

Gdy zorientował się, że jest martwa, przestał mówić i położył jej głowę na drewnianej podłodze.

Wstał.

– Należę do ludzi, którzy zawsze osiągają zamierzony cel.

Adel Zarif obudził się o świcie. Rozwinął dywanik modlitewny i klęknął twarzą w stronę Mekki. Odmówił fadżr, po czym usiadł, czekając, aż Emilio się obudzi. Jednak zanim młody Meksykanin wstał i zapukał do drzwi pokoju Zarifa, minęło jakieś dwadzieścia minut.

Śniadanie zjedli w milczeniu, potem oglądali program telewizyjny. O dziewiątej miejscowa stacja zaczęła nadawać wiadomości na temat zbliżającej się wizyty Jacka Ryana. Zarif nie rozumiał, co mówi reporter, ale wpatrywał się uważnie w obrazy z National Palace i portu lotniczego, podczas gdy Emilio starał się tłumaczyć słowa. Zarif usłyszał to, co już dobrze znał, czyli o której przybędzie prezydent czy jaki jest program jego oficjalnej wizyty. Wysłuchał też rozmowy o rzeczach, o których wiedział, że nigdy się nie wydarzą.

Bez względu na to, jak bardzo reporter rozplątywał się nad obfitością dań, które miały być podane podczas oficjalnej kolacji, nie będzie ona bynajmniej wydana na cześć Jacka Ryana. I bez względu na to, jak duży i wspaniały był Plaza de la Constitución, Ryan nie pospaceruje sobie po nim w towarzystwie prezydenta Meksyku. Zginie, zanim się z nim spotka.

Jednak Irańczyk usłyszał coś zupełnie nowego – pierwsza dama Stanów Zjednoczonych nie towarzyszyła w tej podróży mężowi, miała przylecieć następnego dnia po południu. Z zawodu była jakąś lekarką, ale Emilio nie wiedział, jakiej specjalności, i zgodnie z tym, co udało się Emiliowi przetłumaczyć na angielski dla Zarifa, miała coś ważnego do roboty w Maryland i mogła przylecieć dopiero, jak to skończy.

Zarif stwierdził, że ta kobieta nie będzie jednak pracowała ani dziś, ani jutro. Bo kiedy się dowie, że jej mąż został rozerwany na kawałki, pewnie już nigdy więcej nie będzie zdolna do pracy.

O jedenastej obaj mężczyźni wyszli w towarzystwie dwóch agentów z kartelu Maldonado, którzy nie znali miasta tak dobrze, jak powinni, i zabłądzili. Emilio nakrzyczał na nich z tyłu, ale oni odpowiedzieli mu tym samym. Zarifa wyprowadzali z równowagi nie niechlujnym wyglądem, ale kompletnym brakiem znajomości miasta. Denerwował się, że jego plan urządzenia sobie nowego życia w bezpiecznej Korei Północnej może lec w gruzach przez tych idiotów, którzy zapewne podpadną policji w drodze na miejsce.

Zarif nie miał przy sobie nic, co mogłoby go obciążyć. Niósł tylko komórkę oraz telefon bezprzewodowy dalekiego zasięgu, którego zamierzał użyć jako detonatora bomby. Miał jeszcze do niego akumulatory, które trzymał osobno, aby nawet przypadkowo nie wysłać zbyt szybko detonującego sygnału. Wiedział jednak, że jeśli ci dwaj idioci zwrócą na siebie uwagę, będzie wypytywany przez policję, która mogłaby go aresztować jako obcokrajowca.

Mimo obaw Zarifa dotarli do celu bez przeszkód. Na miejscu stały już barierki odgradzające ludzi od trasy przejazdu; a na ulicy Joségo J. Herrery przy rynku utworzył się tłum gapiów, więc Zarif postanowił nie podchodzić bliżej. Stała tam już policja i chociaż Irańczyk uważał, że nie różni się szczególnie od Meksykanów – był smagły, miał czarną brodę i wąsy – to jednak nie zamierzał poddawać swojego przekonania testowi i zrujnować tym samym szansy na komfortową emeryturę

na plaży pełnej pięknych azjatyckich dziewcząt.

Tak więc Adel Zarif i Emilio trzymali się z tyłu, poza zasięgiem wzroku, aby nie zagrażać swojemu zadaniu. I tak nie musieli się zanadto zbliżyć, aby zdetonować bombę.

Inny członek kartelu Maldonado – którego Emilio nazywał Gordo – zajął pozycję po drugiej stronie ulicy, blisko barierki przy skrzyżowaniu. Miał stamtąd doskonały widok na Vidal Alcocer, bo pobliski parking nie zasłaniał mu widoku. Miał przy sobie iPada, którym mógł filmować przejazd kolumny prezydenckiej i natychmiast przekazać nagranie do iPhone'a Emilia.

Kiedy obie prezydenckie limuzyny znajdą się na wysokości kamiennej fasady garażu, Zarif użyje telefonu połączony z bombą.

Gordo mógł zginąć od eksplozji; Zarif zastanawiał się nad tym przez sekundę, oglądając zdjęcia w telefonie Emilia, ale nic mu nie powiedział.

Kiedy spacerowali po rynku dla zabicia czasu, Emilio powiedział nagle:

- Oni już czekają na atak i eksplozję.
- Jacy oni? – Zarif nie zrozumiał.
- Dwunastka z Guerrero. Uczestniczą w ataku. Czekają tu, na miejscu. Mają *cuernos de chivo*.
- Co to takiego?

Emilio zastanawiał się przez chwilę.

- Kozie rogi.

Irańczyk nadal nie miał pojęcia, o czym mówi Meksykanin.

– No wiesz... AK-47. Paru chłopaków ma też granatniki przeciwpancernych. Gdy bomba wybuchnie, wyskoczą z tłumu i zaczną je odpalać. – Emilio wyszczerzył zęby. – Rozpęta się prawdziwe piekło.

- Nic mi o tym nie powiedziałaś – odparł wściekle Zarif.
- Wyluzuj. To nic takiego. Chcą tylko mieć pewność, że Ryan zginie.
- Nic z tego. Może ich ktoś zobaczyć, zanim zjawi się tu prezydent, i ostrzeże Amerykanów.

Emilio machnięciem ręki próbował zlekceważyć słowa Zarifa, ale Irańczyk domagał się rozmowy z liderem komórki Maldonado. Po kilku minutach Emilio wystukał jednak numer na swoim telefonie i przez chwilę z kimś rozmawiał. W końcu po rozmowie tłumaczonej przez Emilia Zarif zmusił lidera komórki, aby wycofał swoich ludzi z tłumu i przeniósł ich jedną przecnicę na wschód wzdłuż trasy. Wyjaśnił, że gdy na ulicy eksploduje rakietka, mogą przebiec tę odległość i wkroczyć do akcji, aby zaspokoić swoje żądze.

Lider komórki wsadził więc ludzi do furgonetek i zawiózł ich na Nicolas Bravo, rozkazując im czekać na wybuch, aby potem włączyć się do akcji. Dwie ciężarówki mogły uderzyć w kolumnę od południowego wschodu na Joségo J. Herrery, a pozostałe – z północnego wschodu na Nacional.

Zarif stwierdził, że ci ludzie dotrą do miejsca eksplozji, gdy Jack Ryan będzie już leżał martwy, i zostaną tam zmasakrowani przez ponad stu policjantów i agentów Secret Service, którzy przeżyją wybuch. Ale to nie był jego problem. Teraz, nie mając żadnych wiadomości o zbliżających się wydarzeniach, czuł się spokojniejszy, więc razem z Emiliem wstąpili do Starbucks, zamówili mrożoną kawę i usiedli, aby oglądać transmisję w telefonach.

Irańczyk miał zdetonować ładunek, obserwując miejsce akcji z kamery wideo, i był przekonany, że będzie pierwszym człowiekiem, który zabije światowego przywódcę przez iPhone'a.

Air Force One dotknął kołami ziemi o 12.05. Pilot podkołował samolot w wyznaczone miejsce na betonowej nawierzchni lotniska, po czym podstawiono schody. Szybko rozwinięto też czerwony dywan i po jego obu stronach stanęli w rzędach członkowie czterdziestoosobowej gwardii honorowej.

Na terenie portu lotniczego był już obecny oddział bombowy, drużyna K9, funkcjonariusze oddziału kontruderzeniowego SWAT oraz stu członków amerykańskich sił bezpieczeństwa, reprezentujących pół tuzina agencji federalnych. Dzień wcześniej przylecieli czterema samolotami C-141, wypełnionymi odpowiednim wyposażeniem.

Wokół samolotu rozbiegło się kilkudziesięciu agentów Secret Service, a wśród nich dowódca grupy wyprzedzającej, agent Dale Herbers, który zajął pozycję obserwacyjną obejmującą obszar płyty lądowania międzynarodowego portu lotniczego Benito Juárez. W tym momencie jego nagłące działania wstępne zostały zakończone i zwykle bywał przesuwany na następną pozycję, jednak tu, w Meksyku, bezpieczeństwo wymagało, żeby pozostał przy prezydencie podczas przejazdu kolumny prezydenckiej aż do Palacio Nacional, a później do hotelu.

Dwanaście minut po lądowaniu główna agentka ochrony, Andrea Price O'Day, wyszła z samolotu i zeszła po schodach, aby zająć miejsce u ich stóp. Kilka sekund później w drzwiach Air Force One ukazał się prezydent Stanów Zjednoczonych Jack Ryan.

Nie grała mu powitalna orkiestra – nie była to oficjalna wizyta państwowa, ale o jeden stopień niżej sklasyfikowana wizyta oficjalna, niewymagająca aż takiej pompy.

Mimo to Ryana powitał u stóp schodów minister spraw zagranicznych Meksyku i kilku wysokich urzędników państwowych. W czasie gdy rozmawiał z nimi za pośrednictwem tłumacza, ambasador Horatio Styles szybko opuścił samolot. Zajął miejsce za prezydentem i razem z nim i Andream O'Day podszedł do limuzyny.

„Potwór” stał zaparkowany tyłem, a na jego błotniku powiewała mała flaga Meksyku. Zgodnie z wymogiem dyplomatycznym prezydent odwiedzający dany kraj okazywał mu szacunek, wywieszając jego flagę. Limuzynę z tylnymi drzwiami otwartymi dokładnie na czerwony dywan ustawiono zaraz za gwardią honorową. Andrea O'Day stała obok, podczas gdy Ryan wsiadał do środka, i gdy za nim wszedł na tył dużej czarnej limuzyny ambasador Styles, agentka zatrzasnęła drzwi i rozkazała swoim ludziom zająć miejsca w samochodach.

O'Day usiadła na przednim siedzeniu limuzyny Ryana, obok kierowcy, Mitchella Delaneya. Dwóch agentów zajęło miejsca na stopniach pojazdu, który włączył się do kolumny, ale musieli na chwilę zeskoczyć i iść za nim pieszo, gdy mijał bramę wyjazdową z lotniska.

Przed limuzyną prezydencką jechał drugi „potwór” i dwanaście suburbanów chevroletów z agentami Secret Service i ludźmi z Białego Domu oraz Departamentu Stanu. Przed nimi znajdowały się auta meksykańskiej policji federalnej.

Za pojazdami prezydenckimi jechały dwa suburbany z agentami ochrony osobistej, za nimi

natomiast trzy specjalnie wyposażone suburbany z oddziałami kontruderzeniowymi. Wszystkie te samochody miały otwarte tylne drzwi i były pełne uzbrojonych ludzi, którzy badali wzrokiem drogę oraz dachy, skąd agenci mogli strzelać z góry. Następnymi ochroniarzy wiozły cztery pojazdy z ciężką bronią i ekwipunkiem dla funkcjonariuszy SWAT.

Po tej głównej grupie czuwającej nad bezpieczeństwem prezydenta jechał Roadrunner – była to nieoficjalna nazwa Mobilnego Ośrodka Dowodzenia i Kontroli Pojazdów – suburban wypełniony specjalistycznym sprzętem komunikacyjnym, pozwalającym w bezpieczny sposób kontaktować się z prezydentem i jego ochroną poza granicami Stanów.

Za Roadrunnerem jechały dwa białe szesnastoosobowe minibusy mediów, a następnie dwanaście SUV-ów i sedanów wiozących VIP-ów. Wszystkie pojazdy były pełne, bo z prezydentem podróżowała prasa razem z różnorodnymi osobami towarzyszącymi, które również leciały prezydenckim samolotem i opuściły go przed Jackiem Ryanem.

Cały kolumna liczyła trzydzieści pięć pojazdów, a Meksykanie dodali do nich ponad osiemdziesiąt z umundurowanymi policjantami federalnymi na motocyklach.

W furgonetce wiozącej pracowników mediów – szesnastu reporterów z prasy i telewizji – w pierwszym rzędzie foteli za kierowcą siedziała dwudziestosiemioletnia dziennikarka CNN, Jill Crosby, sprawdzając połączenia na swoim telefonie satelitarnym. Była pierwszy raz w podróży zagranicznej i chociaż powiedziano jej, że w Mexico City nie będzie miała problemów z sygnałem większym niż w biurze w Waszyngtonie, to musiała to sobie potwierdzić.

Odetchnęła z ulgą, widząc na wyświetlaczu cztery kreski.

Nigdy wcześniej nie podróżowała z prezydentem i tego popołudnia nie zamierzała łączyć się z nikim poza swoim chłopakiem, i musiała być przygotowana na wszystko. Tak brzmiała jej mantra, która doprowadziła ją do tego miejsca. Poza tym w tak młodym wieku nigdy jeszcze nie wykonywała tak odpowiedzialnego zadania dla CNN. Gdy ją wyznaczono do towarzyszenia prezydentowi w podróży zagranicznej na pokładzie Air Force One, nie mogła sobie pozwolić na żadną ulgę w pracy i liczyć tylko na łut szczęścia.

Na tylnym siedzeniu „potwora” Ryan i Styles popijali wodę z butelki i dyskutowali nad protokołem. Ale krótko, bo prezydent chciał usłyszeć kolejną opowieść ambasadora z czasów minionych wojen. Styles służył w piechocie morskiej w czasach walk w Grenadzie i Panamie, a karierę zakończył na Bliskim Wschodzie. Nie tylko on miał jednak do zaoferowania długie historie z dawnych akcji, bo prezydent dysponował jeszcze dłuższymi i bardziej fascynującymi relacjami niż młodszy ambasador, bowiem też służył w Piechocie Morskiej, niemniej teraz zasypywał Stylelsa pytaniami o jego służbę, niczym student zauroczony opowieściami profesora.

W Pjongjangu była godzina 2.18 w nocy, ale generał Ri Tae-jin siedział w pełnym umundurowaniu przy biurku w swoim gabinecie Generalnego Biura Rozpoznania. Po drugiej stronie pokoju stał trzydziestodwucalowy telewizor, odbierający sygnał amerykańskiej stacji CNN. Razem z generałem w gabinecie znajdowała się tłumaczka, również w zielonym mundurze Chosun Inmingun, koreańskiej armii. Otrzymała bez żadnych wyjaśnień rozkaz, że ma się tu pojawić.

Przez cały czas tłumaczyła informacje nadawane na żywo z Ameryki.

Teraz stacja emitowała południowe wiadomości o wylaniu rzeki Ohio. Kobieta szybko i pewnie tłumaczyła to dla Ri, ale generała nie interesowała treść, jedynie sprawdzał umiejętności tłumaczki. Jego myśli znajdowały się gdzie indziej, przy czymś niezwykle ważnym.

Mając pewne wątpliwości, początkowo uczestniczył w tej operacji, będąc wściekły. Jednak jak się już zaczęła i gdy odpowiednie składniki zajęły właściwe miejsca, wraz ze znalezieniem zabójcy w Syrii, a także w miarę napływu raportów od agenta z Meksyku, który monitorował potajemnie akcję kartelu Maldonado – razem z tymi wszystkimi czynnikami powoli zaczynał stawać się optymistą i wierzył w pomyślne jej zakończenie.

Lecz kiedy dwa dni temu amerykański prezydent ukraść mu urządzenia do rafinacji minerałów, ujawniając w ten sposób, że zna plan Ri związany z przemysłem przetwórczym i tym samym budową raket balistycznych, generał wiedział, że „Ognisty Topór” – jego operacja w Mexico City – musi się powieść, aby udał się plan związany z Chǒngju.

Ale jakby na nieszczęście – albo na szczęście – jedna akcja nakładała się na drugą.

Aby Ri mógł żyć, Ryan musiał umrzeć.

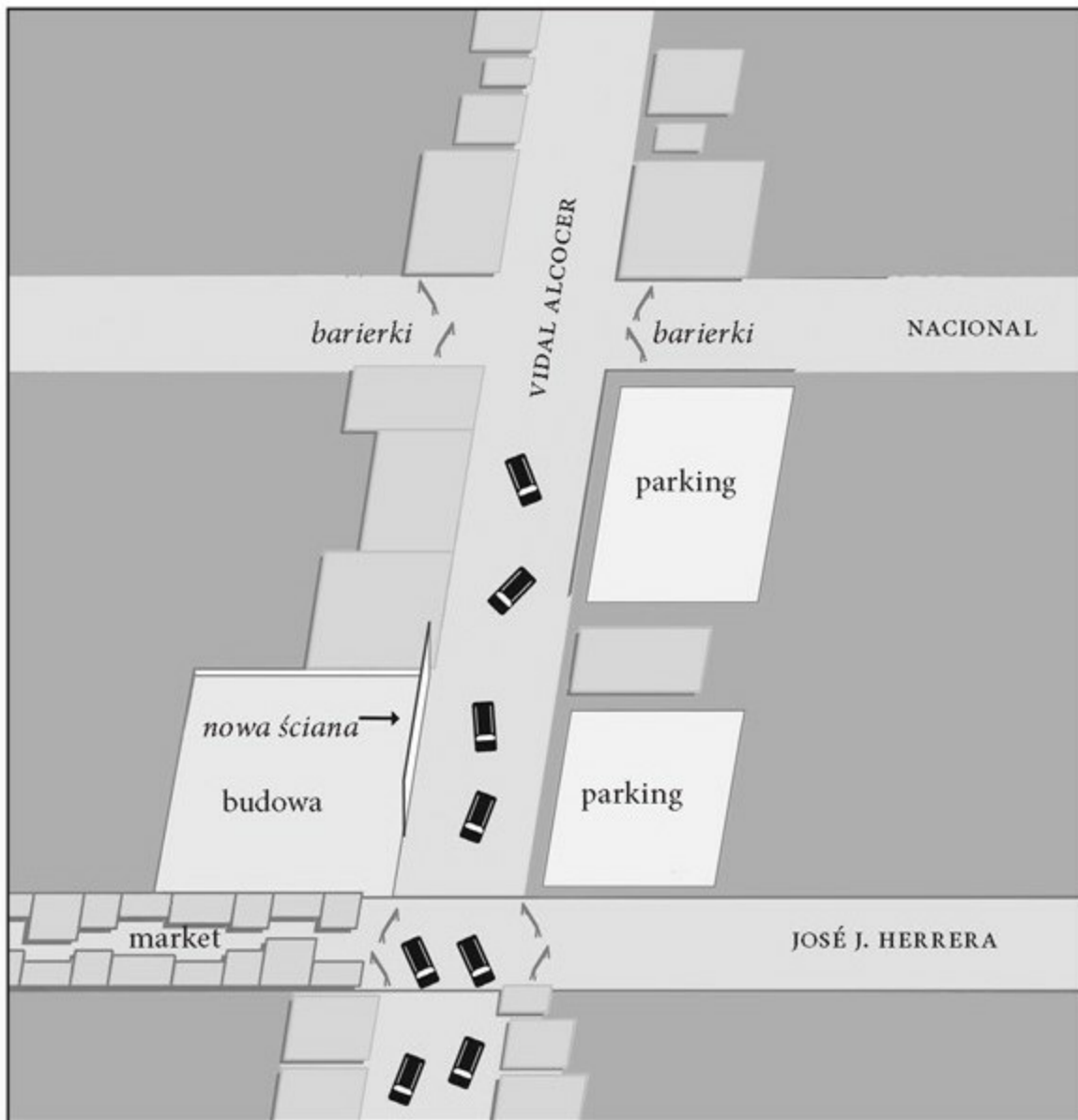
Podniósł rękę w górę i nakazał tłumaczce przerwać w pół zdania. Niech sobie Ohio wylewa albo się cofa, to go nie interesowało.

– Możesz teraz przerwać. Wznowisz tłumaczenie, gdy nadejdą ważne wiadomości.

– Proszę mi wybaczyć, towarzyszu generale – wykrztusiła niezręcznie. – Skąd będę wiedziała, co jest ważne?

Smutne oczy Ri zamrugały i ożywiły się. Jego zazwyczaj zmarszczone brwi na moment uniosły się w górę.

– Będiesz wiedziała.



Zasadzka w Mexico City

Gdy „potwór” skręcał w lewo z Costa Rica na Vidal Alcocer, Ryan skinął dłonią niewielkiej grupie ludzi zgromadzonych za barierkami. Wielu zdawało się witać go z radością, ale kilkoro młodych, którzy sprawiali wrażenie rozgniewanych, zaczęło wymachiwać transparentami z napisami, których nie mógł odczytać.

– Założę się, że zabicie Maldonado w Acapulco spowodowało u ciebie mały ból głowy – powiedział Ryan do Styleasa.

– Jako ambasador w Meksyku muszę wyznać, że dla mnie był to dyplomatycznie trudny okres, a przynajmniej jeśli chodzi o nasze kontakty z ogółem tamtejszych mieszkańców. Bracia Maldonado cieszyli się dużym poparciem w zachodnich regionach kraju.

Ryan skinął głową.

– Proszę mi teraz pozwolić powiedzieć coś, jako byłemu żołnierzowi piechoty morskiej –

powiedział po chwili Styles.

– Proszę bardzo.

– Ten sukinsyn musiał zdechnąć.

Jack znowu skinął głową, a Styles pochylił się.

– Mam przez to rozumieć, że nie powiedział pan tego, panie prezydencie, pod przymusem? Ale tak nawiasem, pytam z prostej ciekawości, czy naprawdę mieliśmy kogoś z naszych w Acapulco?

– Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam, panie ambasadorze – odparł Ryan i zakończył ten wątek mrugnięciem.

Styles spojrział przez okno.

– Poprawił mi pan nastrój, panie prezydencie.

Cztery przecznice przed nimi dwóch mężczyzn – Meksykanin w wieku dwudziestu kilku lat i Irańczyk w wieku ponad czterdziestu – siedziało przy małym okrągłym stolczku w rogu Starbucksa. Obaj pochyłali się nad telefonami. Starszy trzymał w dłoni biały telefon bezprzewodowy, był on jednak ukryty pod stołem. Ktoś, kto zwróciłby uwagę na obu mężczyzn, zauważyłby na ich twarzach krople potu, ale klienci i właściciele sklepu byli pochłonięci własnymi sprawami.

Adel Zarif w skupieniu oglądał transmisję, starając się nie przeoczyć pierwszej limuzyny. Gordo zbyt często obracał kamerę, co nie podobało się Zarifowi, w dodatku obrazy skakały w górę, w dół i na boki, gdy ludzie z tłumu go potrącali.

Zarif pomyślał jednak, że to dar od Allaha, kiedy zdjęcia zostały wysłane na telefon Emilia dokładnie w chwili, gdy czarny suburban minął ścianę, a za nim zjawiała się pierwsza czarna limuzyna z łopoczącą na wietrze meksykańską flagą.

Adel Zarif mruknął przy stoliku w tylnej części Starbucksa:

– *Allah akbar!*

W tym samym momencie Emilio dodał:

– *Come mierda.* – Jedz gówno.

Zarif nacisnął guzik na telefonie.

Nawet tu, w Starbucksie oddalonym o więcej niż trzy przecznice, słychać było ogłuszającą eksplozję.

Wszystko i wszystkich okryła ciemnoszara chmura.

Cała ulica, boczne drogi, rynek po zachodniej stronie i otwarty parking po wschodniej – wszystko w promieniu dwudziestu pięciu jardów od miejsca eksplozji zniknęło w dymie, pyle i drobnych cząstkach betonu.

Siła wybuchu sprawiła, że w unoszącej się dookoła nieprzeniknionej chmurze leżeli już martwi, część ludzi była zdezorientowana albo kompletnie ogluszona. Inni krążyli nieprzytomnie, tracąc równowagę z powodu wstrząsu mózgu.

Wszędzie stały całkiem rozbite albo uszkodzone pojazdy. Z okien pobliskich domów powypadały szyby, gdzieś wyły syreny alarmowe.

Przez kilka sekund po wybuchu panowała martwa cisza, żywych ogarnęło niedowierzanie i przerażenie.

Agent Secret Service Dale Herbers był jednym z pięciu mężczyzn w suburbanie jadącym z przodu przed SWORDSMANEM. Eksplozja zasypała ich deszczem odłamków, lecz kierowca, obserwując ulicę przez lusterko wsteczne, już postawił stopę na pedale gazu. Jeżeli zostali zaatakowani, to pierwszą rzeczą, jaką musieli zrobić, była natychmiastowa ewakuacja prezydenta.

Wielkość chmury powstałej po eksplozji za nimi wzbudziła w nim jednak wątpliwość, czy możliwe jest teraz działanie zgodne z wytycznymi protokołu. Czy „potwór” w ogóle był zdolny wyjechać z tej strefy śmierci?

Kierowca krzyknął do mikrofonu, próbując się dowiedzieć, co dalej, ale w tym samym momencie zrobiło to trzydziestu innych agentów i transmisja została przerwana.

W tym pojeździe najwyższy rangą był Herbers, zatem nie otrzymał żadnego polecenia, wiedział, że musi pokierować całą czwórką. Z siły eksplozji wywnioskował, że jego pojazd prawdopodobnie znajdował się najbliżej auta prezydenta. Jednak nie mógł rozkazać kierowcy zawrócić i szukać SWORDSMANA w chmurze dymu i pyłu, ponieważ – jak się domyślał – prezydent mógł leżeć ranny na ulicy.

W tej sytuacji podjął odważną decyzję i rozkazał:

– Zjedź na prawy pas, wszyscy wysiadają, kryją się i ewakuują!

Kierowca wykonał jego polecenie, zostawiając jak najwięcej miejsca każdemu pojazdowi, który mógł nadjechać z tyłu – o ile był jeszcze zdolny się poruszać. Pięciu agentów szybko wyskoczyło z auta, wyciągając gotowe do strzału pistolety Sig Sauer. Oczywiście znaleźli się teraz w niebezpiecznej sytuacji, ale nie mogli jechać dalej, nie wiedząc, czy „potwór” jest sprawny, czy uszkodzony. Wszyscy agenci Secret Service znali swoje podstawowe obowiązki, do których należała ochrona prezydenta, więc Herbers ruszył biegiem ze swoim oddziałem w gęstą chmurę.

Prawie natychmiast zorientował się, że jego rozkaz zjechania na skraj jezdni nie był dobry. Żaden pojazd nie mógł już jechać na południe przez Vidal Alcocer. Mijali leżące na boku albo w pionie doszczętnie zniszczone suburbany z porozbijanymi przednimi szybami i dymiącymi, rozdartymi

oponami. Pojazdy nie były już zdolne do jazdy, na koła mogłoby je postawić wspólnymi siłami chyba tylko ze dwunastu mężczyzn, ale potem i tak musieliby je zepchnąć z ulicy. Jednak nie było na to czasu, należało najpierw zapewnić bezpieczeństwo SWORDSMANOWI.

Jacyś ludzie wyczołgali się z samochodów, ale Herbers widział też ciała leżące bezwładnie na kierownicach.

Po jego prawej stronie tłum, który zgromadził się na Joségo J. Herrery, wyglądał teraz jak płatanina ciał leżących twarzami do ziemi. Herbers zwolnił w tym miejscu, celując z broni do każdego możliwego zagrożenia, ale zaraz zobaczył, że kilku leżących, którzy przeżyli, teraz wije się i skręca wśród milczących, martwych ciał.

Wtem usłyszał w słuchawkach głos, który krzychał coś, co sprawiało wrażenie ostrzeżenia. Jednak w następnej chwili rozległ się hałas, który, jak mu się wydawało, był wyciem klaksonów setek aut, a każdy sygnał zagłuszał pozostałe i Herbers nie mógł rozmawiać.

Widząc, że nie ma zagrożenia, odwrócił się od tłumu i ruszył do miejsca, w którym powinien znajdować się „potwór”. Biegł w służbowym ubraniu i eleganckich butach. Teraz znowu usłyszał w słuchawkach głosy, ale nie rozumiał słów. Mówiła O'Day, osobista agentka prezydenta.

Gdy wbiegł w gęstą chmurę dymu i pyłu, usłyszał za sobą strzały z broni palnej. Jeszcze zanim się odwrócił, rozpoznał jej typ po charakterystycznym dźwięku strzałów. AK-47, broni znajdującej się w wyposażeniu Secret Service albo meksykańskiej policji federalnej. Krzyknął do mikrofonu nadgarstkowego w tej samej chwili, co wielu innych agentów:

– Kontakt!

W tym momencie usłyszał przenikliwy gwizd kul lecących od strony tłumu.

Na całej ulicy, na której stał teraz Herbers, szukając źródła strzałów, funkcjonariusze Secret Service, którzy przeżyli, wychodzili z samochodów i zaczęli biec w stronę chmury. I tak nie mieli wyboru, bo pojazdy przed nimi zaczynały płonąć i blokowały ulicę, a Roadrunner leżał przewrócony na bok. Jeszcze nikt z niego nie wyszedł, chociaż od eksplozji minęło już pełne pół minuty.

Członkowie oddziału kontruderzeniowego, którzy nie zginęli w eksplozji, albo byli teraz unieruchomieni, albo zdeorientowani biegli w chmurze z karabinami M4, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Rozglądali się wokoło lub starali się usłyszeć jakieś głosy w słuchawkach.

Próbowali mierzyć w gęstym dymie i znaleźć cel. Rozglądali się za kimś, kto był blisko i pomógłby im zorientować się w sytuacji.

Kilka sekund później zabrzmiał nagle od południa ogień z AK. Agenci rzucili się na ziemię, gdy za nim rozległy się jeszcze intensywniejsze strzały od północy. Agenci Secret Service strzelali do kogoś.

Ludzie z oddziału kontruderzeniowego biegli z północy ku dwóm nadjeżdżającym z bocznej ulicy pikapom, ale dym i pył za nimi pochłonił ich wraz z gęstniejącą chmurą pyłu.

Ponad odgłosami wystrzałów, teraz dochodzącymi już zewsząd, w słuchawkach pojawił się rozpaczliwy krzyk, powtarzany echem w radiach pojazdów Secret Service.

– RPG! – Ręczny miotacz granatów!

Jack Ryan otworzył oczy i zamrugał, starając się usunąć coś, co wydawało się łzami. Przesunął dłonią po twarzy i stwierdził, że nie ma okularów. Spojrzał na rękę i zobaczył na niej krew.

Zupełnie nie uświadamiał sobie, że był jakiś wybuch. Nie widział błysku, nie słyszał żadnego huku. Zastanawiał się, czy brali udział w jakiejś ulicznej kraksie.

Ale teraz zorientował się, że leży niewygodnie na prawym boku, z nogami ułożonymi wyżej niż głowa. Obok niego znajdowało się nieruchome ciało ambasadora Stylesa. Wokół panował mrok, co było dziwne, bo Ryan pamiętał, że jechali w czasie pięknego słonecznego popołudnia.

Nagle uświadomił sobie kolejną rzecz. „Potwór” leżał do góry kołami. Przez okna widział tylko jakąś płynną ciemność, zupełnie jakby zostali zanurzeni we wodzie.

To niemożliwe, pomyślał. Uznał, że jest oszołomiony, więc energicznie potrząsnął głową, jednak zaczął tylko czuć tępy ból w prawym boku.

– Panie prezydencie?

– Tak, Andrea? Ze mną wszystko porządku.

Nie było w porządku, chociaż żył, a Andrea Price O’Day tkwiła na przednim siedzeniu głową w dół. Musiała usłyszeć jego głos, więc spełnił jej życzenie.

Potem Ryan wyciągnął rękę i położył dłoń na plecach Horatia Stylesa. Mężczyzna leżał na suficie limuzyny i nie ruszał się. Ryan potrząsnął nim, żeby się ocknął, ale głowa ambasadora przekreśliła się bezwładnie na bok, odwracając się twarzą ku niemu. Miał otwarte oczy, źrenice skierowane w górę. Zapewne złamał kark.

– Styles nie żyje! – krzyknął do O’Day. Była jednak zajęta przesyłaniem wiadomości przez mikrofon i nie odpowiedziała.

W tym momencie Ryan usłyszał strzały z karabinów dobiegające z zewnątrz. Brzmiały tak, jakby napastnicy nadchodzili z dwóch stron. Tuż za nimi zagrzmiął huk, tak jakby pocisk z granatnika trafił w jakiś pojazd.

– Tkwimy w aucie – mówiła O’Day. – Mamy tlen i nienaruszony pancerz, ale tak długo, jak... – Przerwała.

Jack przewrócił się teraz na lewy bok i klęknął. Poczuł, że ma niesprawne prawe ramię. Ciągle miał na sobie elegancki garnitur i nie widział krwi, może jednak nie został ranny!

Spojrzał na Andreę i zobaczył, dlaczego przerwała. Do środka pojazdu zaczął się przedostawać dym.

Odwróciła się do niego.

– Proszę mnie uważnie posłuchać. Niech się pan nie rusza. Postaram się dostać do pańskich drzwi.

Nie czekała na odpowiedź Ryana. Kopnięciem otworzyła swoje i wyczołgała się na ziemię. Jack tym czasie zwrócił się do kierowcy:

– Halo, Mitch! Wszystko w porządku? Musimy stąd wiać!

Kierowca uwolnił się z pasów, odwrócił głowę do Ryana, ale nic nie odpowiedział.

W oknie obok Ryana pojawiła się O’Day. Szarpnęła z całej siły drzwi i otworzyła je z głośnym zgrzytem.

Ryan wytoczył się na jezdnię; z zaskoczeniem ujrzał, że limuzyna leżała przy krawężniku, prawdopodobnie jakieś dwadzieścia stóp od środka ulicy.

Wykaszał dym, którego nawdychał się w środku limuzyny. Potem zaczął się podnosić, ale O’Day kazała mu uklęknąć i oparła go plecami o bok samochodu. Wtedy prezydent po raz pierwszy rozejrzał się dookoła. Przez gęstą chmurę biegło dwóch mężczyzn w mundurach oddziału

kontruderzeniowego. Trzymali gotową do strzału broń z celownikami laserowymi, którymi jak sztyletami przecinali ścianę dymu i pyłu w poszukiwaniu celu. Otoczyli Ryana, jednak nie mogli wypatrzeć żadnego wroga.

Po chwili pojawił się trzeci agent specjalny – był w garniturze i krawacie. Twarz i nogi miał całe w zaschniętej krwi, ale był już opatrzony. Teraz otworzył drzwi kierowcy, pomagając Mitchowi Delaneyowi wyjść z limuzyny, Ryan widział, że ten człowiek był kompletnie oszołomiony tym, co się stało.

O'Day wzywała przez telefon pojazd, jakikolwiek pojazd, który przez około pół tuzina płonących wraków mógłby przedrzeć się do strefy eksplozji, do „potwora”. Musiała ewakuować prezydenta, najlepiej do jakiegoś innego opancerzonego samochodu, jednak teraz mogła liczyć tylko na cztery zwykłe auta i motocykl.

Ryan chciał wyciągnąć z limuzyny ciało ambasadora Stylesea, mimo iż otaczający go ciasno agenci kryli go szczelnie. Dym co prawda utrudniał widoczność atakującym, ale agenci też mieli problem, nie wiedząc, jak bardzo prezydent może być odsłonięty, klęcząc przy krawężniku.

Wtedy od południa usłyszeli syczący świst. Nikt nic nie zobaczył, ale jak na komendę agenci pochyłili się.

Pocisk z ręcznego granatnika trafił w bok limuzyny i eksplodował, rzucając wszystkich na ziemię.

Dwa szesnastoosobowe mikrobusy mediów znajdowały się daleko od eksplozji, jednak do karoserii pojazdów dotarła fala uderzeniowa, w wielu miejscach rujnując odłamkami przednią szybę. Szyby w części pasażerskiej zostały rozbite, gdy lecące odłamki urwały lusterka wsteczne, które, lecąc wzdłuż pojazdu, niszczyły je po drodze. Niesamowity pierwszy wybuch i późniejsze eksplozje pocisków oraz niektórych samochodów zmusiły pasażerów do pochylenia się i ukrycia głów między kolanami.

Kierowca minibusa nie był wyszkolonym agentem, tylko pracownikiem prasowym Białego Domu, wiedział jednak, co robić w nagłym wypadku. Należało usunąć się z drogi, aby umożliwić przejazd siłom bezpieczeństwa, i jeśli padnie taki rozkaz, wycofać wszystkie busy z tego rejonu, poza tymi, które mogły być potrzebne.

Jednak dziesięć sekund po eksplozji nie mógł już jechać dalej. W obu minibusach opony przednich kół zostały rozerwane na strzępy eksplodującym szrapnelem z tylnej części pocisku, który przeorał jezdnię.

W pierwszym minibusie odłamki szkła zraniły czterech dziennikarzy. Pozostali pasażerowie byli zdezorientowani i zaszokowani, poza reporterką CNN Jill Crosby, która nie została ranna. Siedziała w drugim rzędzie foteli, po lewej od reportera „Foxa”, Jeffa Harkesa. Harkes został trafiony w głowę odłamkami szkła i w czasie gdy sprawdzał rany tuż za prawym uchem, Crosby zerwała się z fotela, złapała za klamkę i otworzyła drzwi. Pasażerowie minibusa albo opatrywali sobie rany, albo próbowali wydostać się z pojazdu, tymczasem Jill Crosby zaczęła biec w stronę zasnutego dymem miejsca eksplozji.

Wyciągała właśnie telefon i wybierała numer centrali CNN w Atlancie, gdy rozległy się strzały z broni palnej. Dobiegła więc do leżącego na boku rozbitego suburbana, pochyliła się nisko i minęła biegiem SUV-a. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła identycznego chevroleta w płomieniach.

Nagle obok rozległ się wybuch, która powalił ją na ziemię. Nie miała pojęcia, czy eksplozja mogła rozerwać ją na strzępy i czy był to pocisk z ręcznego granatnika. Zerwała się szybko i ruszyła dalej, słysząc wokół coraz więcej strzałów.

Wbiegła w najgęstszą ścianę dymu w chwili, gdy jej producent odebrał sygnał.

– Mówi Crosby! Zaatakowano kolumnę prezydencką! Staramy się przeżyć! – rzuciła szybko do telefonu. Obok niej przebiegł oddział kotruderzeniowy z karabinami na ramionach i zniknął w dymie.

Herbers zrezygnował z prób dotarcia do prezydenta. Jego obecnym celem było powstrzymanie wrogów w południowej części strefy zagrożenia w dwóch pikapach, które wjechały prosto w tłum martwych i rannych.

Herbers położył się płasko na jezdni, gdy kierowca jednego z białych pikapów zaczął strzelać z AK, klęcząc za otwartymi przednimi drzwiami auta i niezupełnie wiedząc, w co ma celować. Herbers razem z innym agentem zaczął strzelać przez cienką blachę drzwi, aż w końcu zabili przeciwnika.

W tym momencie rozległ się głos O'Day, mówiącej, że ma SWORDSMANA przy limuzynie, jednak „potwór” jest unieruchomiony. Wzywała drugi samochód, ale Herbers nie usłyszał odpowiedzi.

Nie myślał teraz o tym, co poszło źle. Na to będzie czas później, dużo później, i będzie dotyczyć tylko tych, którzy przeżyją strzelaninę. W tej sytuacji pozostało mu jedynie opróżnić magazynek w tę stronę ulicy, z której nadchodziło zagrożenie, zmienić go i przeładować pistolet, przygotowując się do dalszej akcji. Kiedy znowu zaczął szukać niewidocznych celów, ujrzał w mroku błysk na dalekim krańcu ulicy Joségo J. Herrery. W świetle eksplozji Herbers stwierdził, że patrzy na nadlatujący, wirujący niczym rakietę granat. Pocisk przeleciał dokładnie pięć stóp nad jego głową, po czym tuż za nim rozległa się eksplozja.

Miał cholerną nadzieję, że granaty nie trafiły w uszkodzoną limuzynę z prezydentem przy niej.

Herbers natychmiast zaczął strzelać w stronę, z której wystrzelono granat, w człowieka stojącego samotnie z pustą rurą granatnika, i zmusił go do ukrycia się.

Potem zaczął się rozglądać za jakimś pojazdem. Wiedział, że prezydent nie może dłużej pozostawać w strefie śmierci. Zaledwie w odległości pięćdziesięciu stóp stał suburban wyglądający na sprawny; co prawda miał rozbity przednią szybę, ale opony były całe.

Herbers zobaczył agenta Secret Service leżącego bezwładnie na kierownicy i drugiego na jezdni, przed otwartymi drzwiami pojazdu za kierowcą.

Herbers zerwał się na równe nogi i ruszył biegiem do czarnego suburbana.

Ryan w ciągu czterdziestu pięciu sekund po raz drugi spróbował klęknąć. Jego prawe ramię zwisało bezwładnie, ból wzrastał, ale mimo to rozejrzał się i dostrzegł przy krawężniku Andreę leżącą na wznak z krwawiącym czołem.

Zamrugał, starając się usunąć pył z oczu, i podczołgał się do niej. Leżała tylko pięć stóp od niego, ale czuł się tak, jakby przebył milę.

Dookoła niego wszyscy strzelali, wyły sygnały aut, jakiś helikopter przeleciał nisko, rozbijając dym w wirujące kręgi. Dwóch uzbrojonych agentów, ciągle gotowych do strzału, położyło ręce na plecach Ryana. Rozgrzane łuski z brzękiem spadały na jezdnię. Jack podczołgał się do Andrei i uniósł jej głowę w dłoniach. Miała zamknięte oczy i rozchylone wargi. Przyłożył ucho do jej ust, potem do piersi, ale nic nie usłyszał i niczego nie poczuł.

Nie oddychała.

Agent oddziału kontruderzeniowego próbował postawić Ryana na nogi, żeby zaprowadzić go do względnie bezpiecznego pojazdu, lecz prezydent odepchnął go lewą ręką. Potem dwoma palcami zacisnął nos Andrei i zaczął reanimację.

Wyszkolono go w tym wiele lat temu, potem musiał sobie odświeżyć wszystko przy narodzinach Kyle'a, więc wiedział, co ma robić. Nie zwracał uwagi na strzały, nie obeszała go nawet trzecia eksplozja granatu, który uderzył w pobliską ścianę piętrowego garażu; kontynuował akcję, jednocześnie lewą ręką uciskając pierś Andrei.

Po trzeciej rundzie zobaczył, że agentka reaguje. Wydała z siebie szybkie westchnienie, a jej twarz wykrzywiła się z bólu. Wiedział, że żyje.

Już chciał coś do niej powiedzieć, gdy z tyłu podjechał czarny suburban i zatrzymał się z piskiem opon tylko dziesięć stóp od nich. Kilku funkcjonariuszy CAT¹¹ oderwało Ryana od Andrei Price O'Day.

– Czekajcie! – krzyknął, ale zignorowali to.

– Zaopiekujemy się nią! – krzyknął młody agent, ciągnąc prezydenta do suburbana.

Ktoś otworzył tylne drzwi i Ryan został bezceremonialnie wepchnięty do środka, podczas gdy ze wszystkich stron – jak gdyby pancierz złożony z ludzkich ciał – otaczali go agenci. Próbował spojrzeć jeszcze przez ramię na swoją długoletnią przyjaciółkę leżącą bez ruchu na ulicy, ale bezpośrednio przy nim stał jeden z agentów ochrony, który pociągnął Ryana do wnętrza pojazdu, osłaniając go własnym ciałem.

Ryan krzyknął z bólu.

– Przed nami wrogowie i rozbite pojazdy! Zawracamy?

Nadbiegło dwóch agentów oddziału kontruderzeniowego.

– Potwierdzamy! Przez pięćdziesiąt jardów rozbite pojazdy, więc zawracaj!

Inny mężczyzna krzyknął:

– Startuj!

Pojazd skoczył do tyłu. Kierowca, agent specjalny Herbers, patrzył do tyłu przez ramię, starając się omijać rozbite pojazdy. Siedzący obok niego inny agent, Davis Linklater, odezwał się w sieci Secret Service:

– SWORDSMAN żyje, jedziemy na północ! Oczyszczyć drogę, a potem kryć się! – Spojrzał na Herbersa za kierownicą. On tu dowodził. – Dokąd jedziemy?

Herbers nie spuszczał oczu z drogi za sobą.

– Port lotniczy!

Suburban błyskawicznie minął leżący na boku płonący pojazd oddziału kontratakującego, wszyscy w SUV-ie omal się nie przewrócili albo pospadali z foteli.

Trzy przecznice dalej wszyscy w Starbucksie albo wybiegli, chcąc zobaczyć, co się stało, albo pchali się do okna.

Były tylko dwa wyjątki. Emilio i Zarif wyszli na Joségo J. Herrery i skręcili w lewo, oddalając się od miejsca eksplozji, chociaż młody Meksykanin zatrzymał się na chwilę, żeby zobaczyć chmurę po wybuchu.

– *Dios mío* – mruknął z respektem. Pomyślał, że Zarif sam nie wiedział, czego się może spodziewać, jednak wyraźnie nie tego, co się właśnie stało. Odwrócił się do Zarifa i przyspieszył kroku. – Mój Boże, człowieku.

Po przejściu połowy drogi między dwoma przecznicami Zarif nie usłyszał żadnych odgłosów walk. Zaraz jednak z oddali rozległy się strzały i uśmiechnął się. Wiedział, jak brzmi wystrzał z AK, już wiele razy słyszał dźwięk kałasznikowów; ich powolny, podobny do karabinu maszynowego cykliczny stukot, teraz mieszający się z dziesiątkami sygnałów samochodowych i łoskotem helikoptera nad ich głowami. Cała okolica pograżyła się chaosie jeszcze przed pierwszą eksplozją pocisku wystrzelonego z ręcznego granatnika.

Dwóch ludzi z Maldonado wepchnęło obu mężczyzn do zajętej przez nich godzinę wcześniej ciężarówki i ruszyli w stronę swojej kryjówki na północy.

Agent Secret Service Davis Linklater usadowił prezydenta Stanów Zjednoczonych na tylnym siedzeniu suburbana. Przesunął dłońią po ciele Ryana, potem pod marynarką wzdłuż pleców. Jack skrzywił się, gdy Linklater dotknął prawego ramienia, i wtedy agent ujrzał, że oczy prezydenta stały się zamglone.

– Gdzie został pan ranny, panie prezydencie?

Ryan spojrzał na niego i ruchem głowy wskazał prawe ramię.

– Tutaj – odparł.

– Gdzie dokładnie?

Ryan opuścił wzrok na lewy nadgarstek. Był spuchnięty.

– Moja dłoń... – Po chwili dodał: – Myślę, że mam też złamane ramię.

Linklater nacisnął silniej, tym razem bliżej obojczyka. Ryan krzyknął.

– Cholera, Link!

– Tutaj – stwierdził krótko Linklater.

Ryan skinął z roztargnieniem głową.

- Andrea? Co z Andrea?
- Szczerze mówiąc, nie wiem – odparł agent. – Panie prezydencie, teraz musimy zająć się panem, bezpiecznie dojechać do samolotu, a potem polecieć do Stanów.
- Nie możemy zostawić Andrei i...
- Tu jest chyba z setka różnych funkcjonariuszy, oni się nią zajmą. Przyrzekam.
- Chciałbym, żeby się pan dowiedział...
- Dowiem się, gdy znajdziemy się na pokładzie Air Force One.

Agent Secret Service Dale Herbers siedział za kierownicą piekielnie zadowolony, że był w tym mieście tydzień wcześniej. Na szczęście znał już drogę powrotną na lotnisko, więc nie musiał używać GPS-a. I tak wraz z rozbiciem przedniej szyby sprzęt został zniszczony, więc niewiele by pomógł. Teraz Herbers jechał inną trasą niż kolumna prezydencka, próbując uniknąć wzmożonego ruchu, gdy otwarto trasę dla aut i pieszych po przejeździe kawalkady pojazdów prezydenckich.

Trąbiąc, z zawrotnym tempie mijał skrzyżowania. Jego pojazd nie był opancerzony, ale ostały w nim się jeszcze migające niebieskie światła alarmowe, które teraz uruchomił.

Skręcił ostro w ulicę równoległą do kompletnie zakorkowanej Norte Transval i natychmiast słyszał głos Linklatera:

- Spokojnie, Dale! On doznał złamania. Nie znamy wewnętrznych obrażeń!
- Okej!

W aucie ogółem siedziało czterech uzbrojonych mężczyzn; poza tym Herbers, dwóch strzelców z oddziału kontruderzeniowego i jeden z agentów ochrony prezydenta. Po opuszczeniu strefy zagrożenia Linklater z dwoma strzelcami siedzieli na tyłach pojazdu razem z prezydentem, natomiast jeden z agentów CAT przeniósł się na przedni fotel obok kierowcy, przy okazji kopiąc w głowy innych agentów swoimi lśniącymi czarnymi butami wojskowymi. Siedząc już na miejscu, wysunął karabin nad deską rozdzielczą i zaczął mierzyć od lewej do prawej. Inny agent w czarnym kombinezonie klęczał z karabinem obok Linklatera i prezydenta, zwrócony twarzą do tylnego okna, wypatrując możliwych zagrożeń.

W czasie gdy Linklater zajmował się Ryanem, Dale Herbers analizował problemy komunikacyjne, wybierając optymalne kierunki, starając się, aby strzelcy mogli się skupić na obszarach, skąd mogło nadejść zagrożenie.

Herbers podał w sieci swoją pozycję, aby pozostali agenci Secret Service, którzy mogli się jeszcze poruszać autami, otoczyli kordonem Air Force One, a także żeby inne pojazdy wjechały im naprzeciw z lotniska.

Po opuszczeniu strefy eksplozji ponad tuzin motocykli meksykańskiej policji federalnej usiłował trzymać się blisko czarnego suburbana, a dwa dodatkowe auta wypełnione agentami specjalnymi jechały kilka przecznic za nimi z pełną prędkością, ignorując światła i znaki stopu.

Na tylnym siedzeniu Linklater zakończył pobieżną ocenę stanu zdrowia prezydenta i połączył się z samolotem, przekazując, aby osobista lekarka Ryana, Maura Handwerker, była gotowa na ich przyjazd.

- Kiedy Linklater skończył, Ryan chwycił go za kłapy marynarki i zapytał:
 - Ilu zabitych, Davis?

– Nie wiem, panie prezydencie. – Potrząsnął głową. – Dużo.

– Opowiedz mi, co widziałeś.

– Siedziałem w aucie jadącym dwa pojazdy za pańskim. Kiedy nastąpił wybuch, SUV przede mną został zniszczony. Nie widziałem, żeby ktoś z niego wychodził. Potem zobaczyłem ambasadora Stylesa. Wydawało mi się, że nie żyje. Kierowca pańskiego auta... był martwy.

Jack zamknął oczy.

– Delaney.

Mitch Delaney był u niego na służbie od dwóch lat. Kiedy Ryan widział go po raz ostatni, jeszcze żył, ale to było przed zniszczeniem „potwora” przez granat.

– Tak, panie prezydencie.

– Co jeszcze widziałeś?

– Zjawił się oddział kontruderzeniowy i rozbił grupę tych pierdolonych skurwysynów. Och, przepraszam, panie prezydencie, ale to przez adrenalinę.

– W porządku, Davis – powiedział Ryan i poklepał go po ramieniu. – Kimkolwiek są, z pewnością zasługują na miano pierdolonych skurwysynów.

Jill Crosby przez półtorej minuty leżała płasko na ziemi obok pojazdu Mobilnego Ośrodka Dowodzenia i Kontroli Pojazdów, zwanego przez wszystkich Roadrunnerem. Wokół niej grzmiały strzały z karabinów. Znajdowała się właśnie po drugiej stronie auta, gdy po chodniku przemknął tyłem suburban, zatrzymał się przy przewróconej limuzynie, a potem – ciągle tyłem – ruszył dalej. Jednak nikogo nie widziała.

Chociaż widok zasłaniał jej zniszczony SUV, nadal mogła coś przeoczyć, bo nie spuszczała wzroku z rozbitego pojazdu znajdującego się zaledwie siedemdziesiąt stóp od niej. Był to „potwór”, przecięty w połowie, płonący i dymiący, ze zwęglonymi ciałami na tylnym siedzeniu.

Crosby po raz pierwszy jechała za kolumną prezydencką i nie miała pojęcia, że jadą w niej dwie identyczne limuzyny. Była pewna, że pojazd przed nią był tym, który wiozł prezydenta.

Eksplozje i strzały z karabinów po dwóch minutach osłabły i prawie natychmiast kobieta zobaczyła ludzi z Secret Service w ciemnych garniturach i okularach przeciwsłonecznych podbiegających do płonącej limuzyny na środku ulicy, aby ugasić pożar. Po nich pojawili się agenci CAT, aby chronić swoich towarzyszy przed zagrożeniami, które mogły kryć się jeszcze w budynkach.

W rzeczywistości to, że strzały z broni palnej i eksplozje granatów ucichły, uświadomiło jej, co się stało. Nie miała już wątpliwości, że patrzy na ciała ambasadora Stanów Zjednoczonych Horatia Stylesa i prezydenta Jacka Ryana.

Nagrała to, używając kamery w telefonie, ale gdy usłyszała głos dochodzący z niego, szybko przytknęła go do ucha, przerywając filmowanie. Chciała na żywo przesłać zdjęcia z telefonu ale producent polecił jej tylko rejestrować obrazy do playbacku, żeby mogli kontrolować, co wysyła na antenę.

Prezenter prowadzący audycję w Atlancie szybko włączył rozmowę na żywo do audycji telewizyjnej.

– Jill Crosby z CNN, znajdująca się w Mexico City w czasie zamachu, obecnie jest z nami połączona. Przebywa w miejscu, gdzie kolumna prezydencka została zaatakowana. Jill, jesteś tam?

– Jestem, Don. Znajduję się w centrum zdarzeń związanych z zasadzką. To była bomba albo rakietka. Nastąpiła potężna eksplozja, po niej rozpoczęła się gwałtowna strzelanina i mniejsze wybuchy. Kolumna zatrzymała się, więc wyskoczyłam z busa dla mediów, próbując przebić się przez chmurę dymu i zobaczyć, co się stało z prezydentem. Widzę przed sobą szczątki auta z ciałami, ale muszę się kryć, więc nie mogę się temu przyjrzeć dokładnie.

– Widzisz prezydenta?

Przez chwilę znowu nagrywała, potem przyłożyła telefon do ucha. Słyszała syreny samochodów, krzyki i jęki, hałas nisko lecącego helikoptera.

– Limuzyna spłonęła. Na tylnym siedzeniu były dwa ciała, jedno z przodu. Tyle tylko mogłam zobaczyć.

– Bądź bardzo ostrożna. Jesteś pewna, że prezydent jechał tą limuzyną?

Jill nie rozumiała pytania. Gdzie mógł być prezydent jak nie tam?

– Widziałam, jak Ryan i ambasador Styles wsiadali do tego pojazdu. Wierzę, że sfilmowałam ich ciała, Don.

Prezenter w Atlancie uprzedził widzów, że nie ma potwierdzenia i że doniesienia z miejsca zamachu mogą się zmieniać. Ale to nie miało znaczenia. Po trzech minutach i dwunastu sekundach od eksplozji na rogu Vidal Alcocer i Joségo J. Herrery, reporter telewizji państwowej ogłosił, że prezydent został zabity.

Generał Ri Tae-jin chciał, żeby CNN pokazała nagranie wideo z miejsca zamachu, ale zamiast tego zobaczył gadającego Amerykanina o czarnej skórze siedzącego za biurkiem. Potem usłyszał głos kobiety mówiącej bez tchu po angielsku i zagłuszające ją ryki syren. Tłumaczka starała się przełożyć jej słowa na koreański. Generał kilka razy kiwnął potakująco głową, jakby się nie przejmował tym, że raport potwierdzał sukces ataku.

Po kilku sekundach pojawiła się transmisja, jednak pochodziła z kamery helikoptera. Tłumaczka poinformowała, że to nagranie telewizji meksykańskiej, które zostało przekazane CNN. Nad słoneczną ulicą widać było ogromną chmurę dymu. W oddali mgiełka spowiła leżące w dolinie miasto. Kamera zrobiła zbliżenie na kilka płonących pojazdów, potem na jakieś inne auta, odrzuconego siłą eksplozji SUV-a i biegających w panice ludzi.

Ri był zadowolony. Ogromny obszar zniszczeń. Znał się na wywiadzie wojskowym, ale nie był specjalistą od działań piechoty. Mimo to mógł ocenić skalę zniszczeń i zanotował, że ta strefa była dużo większa od strefy, którą zaatakowałyby salwa artylerii polowej.

W środku tej strefy nikt nie mógł przeżyć.

Ri miał pewność, że zamach się powiodł, jakkolwiek na operację „Ognisty Topór” składał się jeszcze jeden etap – który należało potwierdzić – więc chociaż było już dobrze po trzeciej nad ranem, wiedział, że ani on, ani jego tłumaczka długo nie opuszczą gabinetu.

Amerykańska Secret Service na lotnisku oznajmiła meksykańskiej policji federalnej, że za pięć minut pojazd z prezydentem wjedzie przez północną bramę dla VIP-ów. Jeżeli ktoś spróbuje go zatrzymać, ludzie w środku otworzą ogień.

Meksykańskie władze portu lotniczego były na tyle rozsądne, żeby trzymać się z boku. Agent specjalny Dale Herbers jechał w środku kawalkady czternastu pojazdów, w większości wypełnionych agentami Secret Service, choć przeważnie za kierownicami siedzieli meksykańscy policjanci, którzy także byli w pełni zaangażowani w ewakuację amerykańskiego prezydenta. Wszyscy wjechali w bramę na sygnale, a następnie z piskiem zahamowali przy samolocie. Chociaż większość amerykańskich sił bezpieczeństwa była jeszcze w drodze powrotnej z miejsca zamachu, na lotnisku znajdowało się ponad dwudziestu pięciu uzbrojonych agentów, którzy otoczyli samolot i kontrolowali okolicę z bronią w ręku.

Linklater, Herbers i dwóch agentów CAT pomogło prezydentowi wysiąść z suburbana. Dwóch sierżantów sztabowych Air Force One, zasadniczo pełniących funkcję stewardów, czekało z noszami, ale prezydent wszedł po schodach o własnych siłach. Szedł nieco przygarbiony, z prawą ręką zwisającą bezwładnie i wyrazem bólu na twarzy, ale miał tyle sił, żeby dojść do drzwi kabiny 747,

tylko w minimalnym stopniu korzystając z pomocy stewardów. Za Ryanem weszli uzbrojeni agenci, którzy dotąd obserwowali terminal albo okolicę portu lotniczego.

W środku Ryan, żeby nie upaść, musiał oprzeć się o ścianę. Czuł, jak uginają się pod nim kolana, ale czekała tam już na niego doktor Maura Handwerker, która pomogła mu utrzymać się na nogach.

Z małego pomieszczenia zdążyła usunąć wcześniej wszystkie zbędne rzeczy. Był to dobrze wyposażony gabinet lekarski zaraz obok wejścia i oddalonej zaledwie o dwanaście stóp kabiny prezydenta w przedniej części samolotu. Tu Ryan mógł się położyć, a Handwerker miała dość miejsca, aby zrobić nawet prześwietlenie, o ile zaistniałaby taka potrzeba.

Ryan został zaprowadzony ostrożnie do swojego apartamentu i położony na plecach na łóżku. Jego twarz była szara z bólu i doznanego szoku. Z rozcięć na czole sączyła się krew. Handwerker i towarzysząca jej pielęgniarka, wyspecjalizowana w pomocy w nagłych wypadkach, zaczęły natychmiast rozcinać jego ubranie.

Szef sztabu prezydenta Arnie Van Damm nie uczestniczył w wyprawie do Meksyku. Zastępował go trzydziestoletni mężczyzna o różowej, chłopięcej twarzy, David Detmer, teraz trzymający się z tyłu za służbą medyczną. Nadal był w zasięgu głosu i gdy Ryan zawołał go, Detmer wetknął głowę do apartamentu.

– Jestem tu, panie prezydencie!

– Telefon!

– Wiceprezydent już wie. Jest w drodze powrotnej z Kalifornii do Waszyngtonu.

Ryan pokręcił głową i nagle poczuł silny atak bólu.

– Daj mi Arniego. Potem Cathy.

Doktor Handwerker spojrzała na Detmera, bo nie mogła patrzeć na prezydenta.

– Panie prezydencie – powiedziała – musi pan leżeć spokojnie i odpoczywać. Ma pan pęknięty obojczyk i zapewne złamany nadgarstek. Musimy zabrać pana na rezonans magnetyczny, aby się przekonać, czy nie ma pan wstrząsu mózgu, ale to musi poczekać do naszego powrotu do Waszyngtonu. Obecnie zakładamy, że ma pan wstrząs, więc musi pan leżeć płasko na plecach. Unieruchomimy panu rękę, co pomoże uśmierzyć ból.

– Okej, ale muszę przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych.

– Panie prezydencie, najpierw musimy oczyścić rany. Muszę też lepiej unieruchomić...

– Pani doktor, nie mogę pani przeszkodzić w pełnieniu obowiązków, ale niech pani nie przeszkadza w moich. Teraz prezydent Rosji Wołodin, podobnie jak kilku innych szaleńców, chce wiedzieć, czy nadal żyję.

Handwerker wyjęła zimne kompresy z pojemnika, który wtoczono na wózku do kabiny przed przybyciem prezydenta. Owinęła nimi lewy nadgarstek Jacka Ryana i powiedziała:

– Niech ktoś przyniesie i przytrzyma mu telefon, teraz nie może używać rąk.

Podłączono więc słuchawki do bezpiecznego telefonu kabinowego i Detmer połączył się z Arnoldem Van Dammem. Z trudem minął pielęgniarkę Air Force i założył je prezydentowi. Jack zakaszłał i zapytał:

– Arnie?

– Jezu, Jack, jak się czujesz?

Ryan skrzywił się, czując lodowato zimny kompres na nadgarstku lewej ręki.

– Andrea jest ranna. Mitch Delaney nie żyje. Ambassador Styles też. Ten chłopak, który właśnie dołączył do ochrony... Philip jak mu tam...

– Przepraszam, ale jak...?

– Philip Weingarten. Nie miał trzydziestki... Widziałem, jak leży twarzą do ziemi.

– Ale co z panem?

Jack odparł strapiiony:

– Będzie dobrze. Co robisz?

– Rada Bezpieczeństwa Narodowego zebrała się w PEOC. Wiceprezydent wraca z Kalifornii.

Prezydenckie Centrum Operacyjne w Nagłych Wypadkach, PEOC, czyli Presidential Emergency Operations Center, działa w takich wypadkach jak na przykład atak nuklearny. Wtedy Centrum znajduje się w schronie przeciwoatomowym, będącym wersją Pokoju Sytuacyjnego.

– Obecna na miejscu reporterka CNN stwierdziła, że pan nie żyje – kontynuował Arnie. – Poszło to na antenę oraz do wszystkich mediów społecznościowych, chociaż jeszcze nikt sobie tego w pełni nie uświadomił. Kiedy tylko usłyszałem, że pan żyje, skontaktowałem się z ich szefem i poleciłem natychmiast zdementować tę wiadomość. Ale ten sukinsyn myślał, że go nabieram, więc dodałem, że albo wycofa tę idiotyczną wiadomość, albo postaram się, żeby go oskarżono, że dzięki jego informacjom Rosjanie postanowili dokonać inwazji na środkową Ukrainę.

W czasie gdy Arnie to mówił, Ryan poczuł, że samolot przyspiesza. Nic go nie obchodziło, że trzy minuty wcześniej zamknięto wejście i że już kołują na pas startowy. Nikt wokół niego nie myślał o zapięciu pasów, wszyscy byli zajęci czymś innym. Czuł, że ma zimne nogi, i pomyślał, że to pewnie dlatego, iż zdjęto mu spodnie, jednak uniesienie głowy i spojrzenie w dół sprawiało tyle bólu, że leżał bez ruchu, wpatrując się w sufit.

– MSNBC donosi – ciągnął Arnie – że Bractwo Muzułmańskie, Państwo Islamskie i talibowie przypisują sobie ten zamach.

– Przygotuj oświadczenie – polecił Ryan. – Niech wszyscy wiedzą, że żyję.

– Zgromadzę dziennikarzy w Pokoju Prasowym. Zrobię to zaraz po naszej rozmowie.

W tym momencie przekazano prezydentowi telefon z korytarza. Jeden z młodszych doradców Ryana zawołał:

– Pierwsza dama, panie prezydencie!

Jack polecił Arniemu, żeby się nie rozłączał. Zaczekał, aż ktoś zdejmie mu słuchawki, i przyłożył telefon do ucha. W tym celu musiał trochę przechylić głowę, co uczynił, sycząc z bólu. Opanował się jednak i powiedział:

– Halo, kochanie. Czuję się dobrze. Właśnie chciałem do ciebie zadzwonić. Przepraszam.

– Musiałam cię usłyszeć. Kocham cię. – Ryan wyczuł w głosie Cathy ból i strach. – Daj mi do telefonu doktor Handwerker.

Nie był zaskoczony tym, że żona nie zamierza polegać tylko na jego słowach o swoim stanie zdrowia. Jack nie był lekarzem i wiedziała, że mógłby zbagatelizować nawet poważny problem. Przed przekazaniem telefonu jednak zapytał jeszcze:

– Czy dzieci wiedzą? – Miał na myśli Kyle'a i Kate, ale Cathy domyśliła się.

– Nie wiedzą. W czasie gdy dotarły do nas wiadomości o tym, co się stało, były na wycieczce. Secret Service sprowadzi je do Białego Domu. Kiedy tu dotrą, powiem im.

– Powiedz, że wracam do domu.

– Kto to zrobił, Jack? Czy to robota Maldonado?

– Nie wiem. Ja nawet nie wiem, co się dokładnie stało. Jechaliśmy, gdy nagle ocknąłem się w przewróconym aucie. Potem chciałem uciekać. Przekazuję teraz telefon doktor Handwerker.

Wrócił do Arniego. Chociaż jeszcze przed chwilą znajdował się na skraju szoku, zdołała pokonać kryzys, obowiązki rozjaśniły mu umysł. Nie zagłuszył ich ból, mógł się skupić.

– Co robią Rosjanie?

– Zachowują czujność.

– To znaczy?

– Ich bombowce patrolują niebo nad Alaską, ale to nic nowego.

– Chcę mieć za godzinę raport sekretarza stanu i sekretarza obrony.

– Wszystko już załatwiliśmy – tu, na miejscu.

– Nie, Arnie, chcę, żeby się telefonicznie skontaktowali ze swoimi odpowiednikami z Wielkiej Brytanii, Rosji i Chin...

– Jack! Oni już to robią! Natychmiast się tym zajęliśmy. Świat zamarł bez ruchu czekając na informacje o tobie.

Jack zignorował to.

– Sporządź listę. Będę rozmawiał przez telefon przez cały dzień, aż stracę głos. Wszyscy muszą wiedzieć, że jestem silny i dalej pełnię swoją funkcję.

W tym momencie wtrąciła się doktor Maura Handwerker:

– Przykro mi, panie prezydencie, ale musi pan odpocząć.

– Muszę też wydać oświadczenie. Na żywo. Przed kamerą. Nie możemy czekać na lądowanie, musimy to zrobić w samolocie.

Ryan zauważył, że doktor spojrzała na pielęgniarkę. Milczały, były skupione na przykładaniu kompresów na ramieniu, jednak zrozumiał, co oznacza ten wzrok.

Zmusił się, żeby spojrzeć w dół. Buty leżały na podłodze, czarne spodnie były rozcięte, zakrwawiona gaza pokrywała dolną część prawej nogi. Zniknęły marynarka i koszula. Prawa ręka była silnie przymocowana do ciała i okryta kompresami. Czuł zadrapania na twarzy, którą teraz właśnie opatrywano, jako że znalazły się na końcu listy priorytetów.

Spojrzał na pielęgniarkę.

– Aż tak źle?

– Jeżeli wyda pan polecenie, żebyśmy pana posadziły, zrobimy to – rzekła – ale pan naprawdę musi odpocząć. Pański obojczyk nie może się ruszać, aby zrósł się prawidłowo, a to znaczy, że nie możemy teraz założyć panu koszuli.

Jack znowu zwrócił się do Arniego Van Damma:

– Musisz sam poprowadzić to na żywo, a ja wydam oświadczenie przez radio. Mam tu ludzi z prasy, którzy to nagrają.

Detmer, który trzymał się w tyle, wtrącił:

– Przepraszam, panie prezydencie, ale Secret Service nie wpuściła na pokład nikogo z prasy.

– Cholera – zaklął Ryan.

– Mogę pana nagrać – zaproponował od razu Detmer.

– Dobrze – zgodził się Jack. – Więc niech to się odbędzie z Białego Domu, bo ktoś mógłby powiedzieć, że to podróbka; natomiast po wylądowaniu pokażę moją poranioną twarz.

– Zabandażuję panu czoło – wtrąciła Maura. – Zrobimy wszystko, żeby się pan dobrze prezentował.

Emilio, dwóch jego ludzi z Maldonado i Adel Zarif po trzydziestu pięciu minutach od ataku dotarli do swojej kryjówki. Gdy cała czwórka wspięła się po schodach i spojrzała na południe, zobaczyła unoszącą się nad miastem nieruchomą, gęstą chmurę dymu i krążące nad nią helikoptery. Teraz była już nieco rozproszona, jednak jeszcze przez jakiś czas miała pozostać w tym miejscu.

Zarif, czekając na zapadnięcie zmroku, zamierzał śledzić wiadomości. Ludzie z kartelu mieli go potem zawieźć do Acapulco w stanie Guerrero, skąd miał lot na Kubę.

Tam czekali na niego agenci z Korei Północnej, żeby zabrać go do Pjongjangu. Zarif nie mógł się już doczekać.

Jeden z facetów o ponurej gębie otworzył drzwi i wszedł do mieszkania ze swoim partnerem depczącym mu po piętach. Za nimi ruszył Emilio i na końcu Zarif.

Trzej Meksykanie zaraz poszli do kuchni napić się piwa, ale Zarif, minawszy korytarz, udał się do łazienki na tyłach mieszkania. Od kilku godzin nie miał możliwości oddać moczu. Telewizja mogła poczekać. Nawet nie zdjął plecaka, tylko zaraz rozpiął rozporek. Jednak zanim zdążył go zasunąć, usłyszał dochodzący z salonu krzyk, a potem drugi, należący do Emilia.

Wychylił się z łazienki i zajrzał na korytarz, patrząc w stronę salonu.

Za Zarifem do mieszkania wtargnęło trzech Azjatów w niebieskich kombinezonach robotników. Trzymali w rękach czarne pistolety z długimi tłumikami. W chwili gdy Emilio ze swoimi ludźmi z Maldonado stał z piwem w rękach przed telewizorem, Azjaci strzelili do nich po kilka razy.

Ich ciała, podskakując, wygięły się i padły na zbryzgany krwią dywan.

Zarif szybko cofnął się do łazienki, zamknął drzwi na zasuwkę i wskoczył do wanny. Wysoko nad nią znajdowało się okno. Otworzył je, a potem z trudem się podciągnął.

Zaraz jednak kule zaczęły przebijać drzwi do łazienki. Zarif precyzyjnie się więc szybko przez okno na wąski parapet. Przesunął się na skraj i zeskoczył na zakurzony parking.

Obejrzał się przez ramię, słysząc hałas w łazience. Z okna rozległa się następna salwa, kule trafiały w nawierzchnię dookoła niego. Zarif wbiegł między zaparkowanego forda bronco i starego winnebago, potem przeczłogał się tak daleko, jak tylko się dało, na drugą stronę.

Podniósł się i przygarbiony, omijając tłum na ulicy, pobiegł chodnikiem.

Jego marzenie o azjatyckich pięknościach i domu na plaży legło w gruzach. Czuł to wyraźnie. Nie miał pojęcia, dokąd uciekać, więc po prostu biegł przez miasto, ciągle nie dowierzając – przecież zrobił wszystko, czego od niego żądano, a mimo to Koreańscy nasłali na nich morderców.

Generał Ri siedział w swoim gabinecie w Pjongjangu, cierpliwie czekając na telefon od dyrektora RGB w Meksyku. Kiedy w końcu nadejdzie informacja, że Zarif został zabity, będzie mógł pójść do domu i przespać się kilka godzin przed powrotem do pracy. Spodziewał się zaproszenia do rezydencji Ryonsong od biura Dae Wonsu i osobistych gratulacji – dlatego na to spotkanie chciał się odświeżyć.

W czasie oczekiwania na ten właściwy moment tłumaczka nieustannie przekładała treść wiadomości CNN, a Ri z wyteżoną uwagą i zarazem fascynacją obserwował obrazy na ekranie. Teraz widział zdjęcia płonącej limuzyny i chociaż były zamazane i nie dało się zobaczyć wyraźnie spalonych ciał w środku, jego tłumaczka powiedziała, że reporterka twierdzi, iż to byli martwi prezydent i ambasador.

Kobieta tłumaczyła angielskie słowa:

– ... druzgoczący atak na kolumnę prezydencką Jacka Ryana. Są ofiary, duża liczba ofiar, dziesiątki, a może nawet więcej.

Ri przestał słuchać. Teraz myślał, jak uhonorować Zarifa. Wytwórca bomb zapewne już nie żył, zabity zgodnie z jego instrukcjami. Ale należało zrobić coś dla człowieka, który tyle uczynił dla Korei Północnej. Żadnego oficjalnego oświadczenia, oczywiście. Gdyby Stany Zjednoczone zorientowały się, że ich przywódca został zamordowany na zlecenie Korei, z pewnością odpaliłyby choćby ostatnią rakietę nuklearną na jego kraj. To agresywni ludzie, tylko czekali na okazję. Już od siedemdziesięciu lat...

Ri bał się, że każdy błąd w jego operacji mógłby dać im taką okazję, ale ufał w skuteczność swojego planu, a gdy na ekranie pojawił się widok z góry, z helikoptera, być może nawet obejmując całą masę zniszczonych i płonących pojazdów, rozbitych szyb w oknach sklepów i szczątki porozrzucane po ulicach, generał Ri poczuł się bardziej pewny siebie.

Następnie transmisja przeniosła się do Białego Domu. Tłumaczka powiedziała, że sekretarz prasowy przygotował oświadczenie. Ri uśmiechnął się. Tak, właśnie na to czekał. Mężczyzna, który teraz pojawił się na ekranie, miał około sześćdziesięciu lat, był łysy i nosił małe okulary, przez co wyglądał jak profesor. Ri mógłby się założyć, że ten facet nigdy nie służył w wojsku, a dla generała tylko to mogłoby stanowić powód do drwin.

Bez względu na to, że był Amerykaninem.

– Towarzyszu generale – powiedziała tłumacza – nazwisko tego mężczyzny brzmi Arnold Van Damm. To szef sztabu prezydenta i jego najbliższy doradca.

Ri zaśmiał się.

– Jeżeli jest jego najbliższym doradcą, to powinien jechać razem z nim w aucie.

– Tak, towarzyszu generale.

Amerykanin sprawiał wrażenie niezdecydowanego i zdenerwowanego. Chwilę starał się zapanować nad emocjami, patrząc na leżącą przed nim niewielką kartkę papieru. W końcu skierował wzrok w obiektyw kamery.

– Panie i panowie. Około czterdziestu minut temu, o dwunastej trzydzieści pięć czasu lokalnego w Mexico City, a o pierwszej trzydzieści pięć czasu waszyngtońskiego, miał miejsce brutalny i tchórzliwy zamach wymierzony nie tylko w Stany Zjednoczone Ameryki, ale także w cały wolny świat. Kolumna prezydencka została zaatakowana przez nieznaną sprawców przy użyciu materiałów wybuchowych, broni palnej i rakiet. Prezydent Ryan jechał w opancerzonej limuzynie, która została zniszczona przez pierwszą eksplozję tak samo jak towarzyszące jej auta.

Jakiś reporter krzyknął:

– Czy prezydent żyje?!

Arnie Van Damm natychmiast skinął głową.

– Prezydent żyje i ma się dobrze. Obecnie znajduje się na pokładzie Air Force One i wraca do Waszyngtonu.

Ri chwycił tłumaczkę za ramię i szarpnął ją ku sobie.

– Żyje?

– Tak, towarzyszu generale.

Teraz odezwała się reporterka i tłumaczka przełożyła na koreański jej pytanie:

– Czy jest ranny?

– Prezydent został lekko ranny i jak się okazało, ma kilka złamań. Jest jednak w dobrym nastroju. Jego kontuzjami zajęła się już lekarka na pokładzie samolotu.

– Może rozmawiać z prasą?

– Ze względu na podjęte środki bezpieczeństwa na lotnisku prasa nie uzyskała pozwolenia na wejście do samolotu. Wiemy, że prezydent zamierza nagrać wiadomość dla radia, i gdy tylko ją otrzymam, przekażę do wszystkich mediów.

Młody mężczyzna, reporter z MSNBC, zadał pytanie:

– Dlaczego nie ma przekazu wideo?

– Szczerze mówiąc, nie mamy czasu na zorganizowanie z Air Force One bezpiecznej wideokonferencji – odparł Arnie Van Damm.

– Arnie, jaką możemy mieć pewność, że to będzie głos prawdziwego Ryana, nie widząc jego twarzy?

Szef sztabu wpatrywał się w niego przez chwilę.

– Czy to nie ty oznajmiłeś swoim widzom, że za zamach są odpowiedzialni talibowie? Potwierdzasz to czy może to była tylko taka twoja prywatna opinia?

– No, my...

– Nie obchodzi mnie, czy wierzysz, czy nie, że to prawdziwy głos Jacka Ryana. Po prostu puścimy to na antenę. Za kilka godzin samolot wyląduje w Waszyngtonie i jestem pewien, że wtedy wszyscy sceptycy przekonają się, jak bardzo się mylili.

Z pierwszego rzędu padło pytanie:

– Kto teraz pełni funkcję prezydenta?

– John Patrick Ryan jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nic się nie zmieniło.

Siedząc w swoim gabinecie w Pjongjangu, generał Ri spojrzął na kobietę obok. Nie patrzył już na ekran telewizora.

– Żyje i leci samolotem?

– Tak, towarzyszu generale.

Ri pokręcił głową. Najpierw wolno, potem drugi raz szybciej.

– To kłamstwo. W samolocie jest jego ciało. Chcą sobie kupić kilka godzin. Gdy tylko wylądują w Waszyngtonie, będą twierdzić, że prezydent zmarł w czasie lotu.

– Tak, towarzyszu generale.

Ri wstał i zaczął spacerować po gabinecie. Po kilku sekundach zadzwonił telefon. Podbiegł do niego i podniósł słuchawkę.

– Tak? – zapytał. – Co?! Żartujesz?! Niech to szlag! Macie natychmiast go znaleźć albo ktoś z waszej rodziny będzie pod koniec tygodnia w Chongjin!

Rzucił słuchawką z takim impetem, że tłumaczka aż krzyknęła.

W Nowym Jorku cały zespół Kampusu właśnie przybył do Sama Driscolla, aby pomóc mu w obserwacji Veroniki Martel. Dziś jeszcze nie opuściła swojego apartamentu, ale spodziewali się, że wkrótce wyjdzie, tym bardziej że było już wczesne popołudnie.

Clark poszedł wynająć drugi pojazd, pozostali siedzieli w salonie na telekonferencji z Gavinem Bierym.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do salonu wpadł z powrotem Clark. Ding, Dom, Sam i Jack szybko wstali, zaskoczeni jego zachowaniem. Clark zatrzasnął za sobą drzwi i spojrzał na telewizor. Zobaczył, że jest wyłączony, przeszedł więc salon do przedpokoju i skierował kroki do sypialni. Idąc, rzucił przez ramię:

– Ryan, do mnie.

Ryan wstał i spojrzał na pozostałych.

– Co ja, u diabła, zrobiłem?

Clark był już w przedpokoju.

Kilka sekund później Ryan też znalazł się w sypialni. Clark stanął blisko niego, a Jack przestraszył się, że znalazł się w jakichś kłopotach. W oczach Clarka zobaczył coś jeszcze, coś, co jeszcze bardziej budziło w nim strach.

– O co chodzi?

– Synu, kolumna prezydencka twojego ojca została zaatakowana w Mexico City. Wiem tylko tyle.

Ryan rozchylił usta, ale nic nie powiedział.

– Jeszcze nikt nic nie wie. Dzwoniłem do Gerry’ego, jest na linii, ale wkrótce dowiemy się więcej z mediów.

Clark nie wspomniał, że jedna z kablówek doniosła o śmierci prezydenta. Powiedział tylko:

– Zadzwoń do rodziny.

W tym momencie w salonie odezwał się telefon Ryana. Mężczyzna pobiegł tam szybko i spojrzał na numer. Właśnie dzwoniła matka.

Trzymając telefon w drżącej ręce, odebrał i zapytał:

– Nie żyje?

– Jest ranny, ale Maura twierdzi, że wszystko będzie okej.

Pod Jackiem ugięły się kolana, usiadł na kanapie i pochylił się. Uniósł kciuk, pokazując go Clarkowi, ale reszta nie miała pojęcia, co się stało.

Clark podniósł pilot od telewizora.

– Kto to zrobił? – zapytał Jack.

– On tego nie wie.

– Jeżeli w Meksyku, to mógł to być Santiago Maldonado ze swoją zgrają.

– Możesz przyjechać do szpitala imienia George’a Waszyngtona dziś po południu? Po powrocie zapewne będzie chciał cię zobaczyć.

Ryan na dźwięk ambulansu na ulicy odwrócił głowę od telefonu. Gdy karetka zatrzymała się przed małym budynkiem dokładnie naprzeciwko ich mieszkania, podszedł do okna. Wszyscy ruszyli za nim.

- Jack? – usłyszał głos matki. – Jesteś tam?
- Później do ciebie zadzwonię.
- Przyjedziesz do szpitala?
- Tak, przyjadę.

Wyłączył się. Dwóch sanitariuszy wbiegło po schodach do budynku, gdzie w progu powitał ich jeden z mieszkańców.

Clark spojrział na Sama. Ten wyszedł z pokoju, zbiegł po schodach i przebiegł przez ulicę. Przy ambulansie stało już dwóch sąsiadów z psami. Kilka sekund później z budynku wyszła kobieta i zaczęła z nimi rozmawiać. Sam trzymał się z tyłu, ale na tyle blisko, żeby słyszeć rozmowę.

Wrócił do mieszkania po pięciu minutach.

- Znaleziono ciało w mieszkaniu numer trzy A. Ciało sublokatorki.

Ryan wrócił na kanapę. W telewizorze nadawała stacja CNN, właśnie mówił Arnie Van Damm. Jack nie mógł oderwać wzroku od obrazów na ekranie, ale nie mógł też uwierzyć, że Veronika nie żyje, i stało się to zaledwie sto stóp od niego.

Sam Driscoll bez wahania ustalił, kto jest sprawcą jej śmierci.

– To nie byli Koreańczycy. Jeżeli chcesz wejść tylnymi drzwiami do tego budynku, to musisz przejść zaułkiem. Widać go stąd. Mamy kamery o szerokim zasięgu i jedynym człowiekiem, który wchodził albo wychodził tymi drzwiami w czasie, gdy widziałem Martel jeszcze żywą, był Edward Riley.

- Riley miałby zamordować własnego agenta? – zapytał Chavez. – Dlaczego?

Tego nikt nie wiedział.

Ryan siedział przez minutę z twarzą ukrytą w dłoniach. Nagle poczuł się potwornie zmęczony i słaby. Jednak po chwili zmobilizował się i wstał.

- Przepraszam, chłopcy, ale muszę wracać do Waszyngtonu.

Clark też podniósł się z miejsca.

– Podrzucę cię na lotnisko – powiedział i zwrócił się do pozostałych: – Chcę, żebyście odzyskali Riley'a. Sharps wie o nas, więc powrót na te ulice może być trudny. Jednak nie sądzę żeby Sharps był w to wciągnięty. Nie mordowałyby własnych ludzi w Nowym Jorku. Bez względu na to, o co w tym wypadku chodzi. – Patrzył przez chwilę na ekran telewizora. Chciałby być teraz w Meksyku i ścigać tych, którzy przygotowali zamach, i wiedział, że jego ludzie myślą o tym samym. Jednak musiał ich trzymać tu, aby wykonali swoją misję. – Bądźcie czujni. Ryan... chodźmy.

Prezydent Jack Ryan poprosił otaczających go ludzi w kabinie prezydenckiej, żeby pomogli mu usiąść. Choć miał nagrać tylko głos, nie mógł mówić na leżąco, gapiąc się w sufit. Ten ważny moment wymagał od niego choćby tego, żeby siedział prosto. Jego lekarka i pielęgniarka z Air Force One najpierw usiłowały mu to wyperswadować, jednak widząc w jego oczach determinację, szybko stały się jego sojusznikami w tym wysiłku, pomogły mu podnieść się i przejść do jednego z dwóch foteli przy małym biurku.

Ryan miał prawą rękę przytroczoną do piersi, zaś lewe ramię owinięte kompresami. Doktor Handwerker i pielęgniarka wycofały się i usiadły na wolnym teraz łóżku, gdy do kabiny wszedł David Detmer, asystent szefa sztabu prezydenta. Trzymał w ręce mały dyktafon, który pożyczył od sekretarza. Ukląkł przed prezydentem i uniósł go do twarzy Ryana.

Jack usiłował się skupić. Napływ adrenaliny może i potrafił stłumić ból, ale dyskomfort, który Ryan teraz czuł, wzmacniał go i teraz odczuwał intensywny, tępy ból w ramieniu i karku, niczym ukłucie miliona szpilek i igieł, z nieregularnymi, szybko po sobie następującymi ostrymi atakami.

Pokonał to jednak i powiedział do Detmera:

– Muszę przyznać, że nie przygotowałem tego oświadczenia i będzie trochę improwizowane, dlatego musisz dać mi trochę luzu.

– Panie prezydencie, niech pan po prostu pozostanie sobą. I będzie dobrze.

Ryan odchrząknął i zaczął:

– Mówi prezydent Jack Ryan. Obecnie zwracam się do was z pokładu samolotu Air Force One. Lecimy z uzbrojoną eskortą i znajdujemy się kilka minut od strefy powietrznej Stanów Zjednoczonych.

Mówiąc szczerze, znajdowali się jeszcze daleko od niej, tak naprawdę to ponad godzinę. Ryan założył jednak, że zanim nagranie ukaże się w mediach, jego słowa będą się już zgadzały z czasem, więc postanowił skupić się w swoim przemówieniu na ostudzeniu zapału co bardziej oportunistycznych wrogów amerykańskich.

– Podczas ataku zostałem trochę poturbowany, ale co ważniejsze, kilku moich kolegów i drogich mi przyjaciół straciło w nim życie, a wielu innych zostało rannych. Jeszcze nie mam pełnych danych o poniesionych stratach, ale jeżeli się modlicie, to mam nadzieję, że przyłączycie się do mnie w modlitwie za tych, którzy dziś niepotrzebnie zginęli, oraz za tych, którzy zostali ranni.

Nagle poczuł się słaby i zmęczony. Przerwał, żeby nabrać sił i mówić dalej silnym, stanowczym głosem.

– Chcę zwrócić uwagę wszystkich w Ameryce, że chociaż jeszcze nie wiem, kto odpowiada za ten zamach, osobiście byłem świadkiem, jak wielu obywateli Meksyku, członków ich policji federalnej i innych agencji odpowiedzialnych za przestrzeganie prawa ryzykowało życiem, aby zabezpieczyć i obronić nasz przejazd. Jestem też pewien, że wielu niewinnych Meksykanów straciło życie. Może

było ich tyle, ile nas, albo nawet więcej. Bez względu na to, kto przygotował ten atak, wspominam wszystkich bezimiennych bohaterów, wspominam tych dobrych Meksykanów i Meksykanki, którzy walczyli i umierali w mojej obronie... w obronie ciągłości rządu Stanów Zjednoczonych. Kiedy tylko będę mógł, połączę się z prezydentem Lopezem osobiście i podziękuję za to jemu i jego rodakom. Jego naród przeżywa trudny czas i chcę, żeby prezydent Lopez wiedział, że po powrocie do domu i wyleczeniu kontuzji wrócę do stolicy Meksyku, aby się z nim spotkać, jak to zaplanowaliśmy.

Teraz zwracam się do ludzi, którzy są odpowiedzialni za dzisiejszy zamach. Waszym celem było zabicie prezydenta Stanów Zjednoczonych. Posłuchajcie więc mojego głosu, a uświadomicie sobie, jak bardzo się pomyliliście. Podejrzewam, że chcieliście to zrobić w sposób, w jaki już to robiliście. Możecie uciekać, możecie się kryć. – Ryan uspokoił przyspieszony oddech. – Ale tak jak dziś przegraliście, tak przegracie w przyszłości. Znajdziemy was. Wszystko, co dotąd zawsze mieliście przeciwko Ameryce, teraz nie ma już żadnego znaczenia, bowiem teraz macie w nas prawdziwego wroga i Ameryka nie spocznie, póki nie dostaniecie tego, na co zasłużyliście.

Po powrocie do Waszyngtonu natychmiast zorganizuję wideokonferencję prasową. A tymczasem... niech Bóg błogosławi Stany Zjednoczone Ameryki.

Ryan kiwnął głową Detmerowi, żeby wyłączył nagrywanie.

Do kabiny przyniesiono aparat cyfrowy. Twarz Ryana została ulokowana na tle prezydenckiej pieczęci na ścianie i zrobiono zdjęcie.

Nie trzeba tu podkreślać, że to nagranie, na którym wystąpił tylko bieliźnie, było najważniejszą mową w jego karierze.

Zawołał Detmera, gdy tylko wrócił na łóżko. Kiedy mężczyzna stanął przy nim, Ryan powiedział:

– Davidzie, chcę, żebyś po dostarczeniu nagrania Arniemu coś dla mnie zrobił. Tylko jedną rzecz. Dowiedz się, jak się czuje Andrea Price O'Day. Jeżeli jest w szpitalu w Meksyku, to chcę, żeby tamtejsi doktorzy wiedzieli, że dostaną od nas wszystko, czego potrzebują. Zrozumiałeś?

– Tak, panie prezydencie.

Jack zamknął oczy i starał się myśleć o czymkolwiek, tylko nie o bólu w prawym ramieniu.

Arnie otrzymał nagranie z przemową prezydenta bardzo szybko. W pierwszej godzinie od zamachu indeks Dow Jones spadł o 1000 punktów i wtedy zamarł handel. Po udowodnieniu, że Ryan żyje, wszystko ruszyło i indeks wzrósł o 619 punktów. Przez cały dzień miał skakać, ale nie aż tak bardzo, jak obawiano się na Wall Street.

Po godzinie od ataku Koreańczyków Adel Zarif dotarł na przystanek i zaczął się trochę orientować, gdzie się znajduje. Wsiadł do autobusu jadącego do Toluki, leżącej czterdzieści mil na zachód od stolicy. Przyjechał tam po południu, w chwili gdy zaczął padać drobny deszcz.

Szedł w ciepłej ulewie przez zatłoczoną dzielnicę podmiejską, aż trafił do taniego hotelu, w którym wynajął pokój na noc. Nie zażądano od niego dowodu tożsamości, paszportu czy karty kredytowej, a stary mężczyzna za kontuarem nawet nie zauważył, że Zarif mówi ze specyficznym akcentem.

Pokój Zarifa był zapchlony i śmierdział pleśnią, ale Irańczyk czuł się w nim w miarę bezpiecznie. Usiadł przy małym stoliku w rogu i próbował ułożyć jakiś plan działania.

Zajął mu to godzinę, ale mogło zająć dużo więcej, gdyby istniały jakieś opcje. Miał bardzo mało pieniędzy, prawie nie znał hiszpańskiego i w całym Meksyku nie miał ani jednego przyjaciela.

Teraz mógł zrobić dwie rzeczy. Miał kontakt w postaci numeru telefonu i adresu e-mailowego. Wiedział też, że jeśli ujawni go teraz, zapewne będzie kompletnie spalony w Korei Północnej i w Stanach.

Istniała tylko jedna możliwość – szantaż.

Uruchomił nagrywanie wideo w swoim telefonie, położył go na stoliku i cofnął krzesło, żeby twarz zmieściła się w kadrze. Potem przemówił po angielsku:

– Nazywam się Adel Zarif. Mieszkałem w Damaszku i tam podpisałem umowę z Generalnym Biurem Rozpoznania Korei Północnej, angażującą mnie w zabójstwo Jacka Ryana w Mexico City. Obiecano mi potem azyl w nadmorskim mieście Hamhŭng...

Nagranie trwało tylko cztery minuty, ale zawierało relację z całej operacji. Przesłał ten plik wideo na adres e-mailowy swojego północnokoreańskiego kontaktu na Kubie. Potem dołączył tekst:

Prześlę to nagranie do wszystkich gazet i stacji telewizyjnych w Ameryce. Masz godzinę, żeby skontaktować się ze mną i wysłuchać moich żądań.

Po niecałych dwudziestu minutach nadeszła odpowiedź. Zarif domagał się od Korei Północnej dwóch milionów dolarów i w tym celu bezpośredniego spotkania w Meksyku. Agent RGB powiedział, że natychmiast zadzwoni do Irańczyka, gdy tylko zostanie zatwierdzony ten układ, ale Zarif roześmiał się na to bezceremonialnie, po czym odpowiedział, że musi zniszczyć ten telefon, zanim RGB zdąży go namierzyć. W ciągu osiemnastu godzin to on będzie dzwonił, tylko że z innego sprzętu.

Zarif nigdy nie robił czegoś takiego w czasie swoich sześciu wojen na Bliskim Wschodzie. Wtedy był na to za głupi. Tym razem spełnił jednak swoje słowa: poszedł za hostel, zmiażdżył cegłą urządzenie, a potem ruszył znaleźć inny telefon i inne miejsce na nocleg.

Nie miał pojęcia, co zrobi z dwoma milionami dolarów; nadal był pozbawiony dokumentów i nie miał przyjaciół. Ale zdecydował, że będzie mógł dużo więcej, mając pieniądze, i podejrzewał, że koniec końców uda mu się opuścić Meksyk i znaleźć jakąś kryjówkę.

Nie był to plan doskonały, ale problemem był następny dzień. Wiedział, że Koreańczycy będą próbowali go zabić, jeśli tylko da im do tego okazję.

Tak jak każdego ranka w Chǒngju Adama Yao obudziło pianie koguta. Spojrzał na zegar w tymczasowej przyczepie kempingowej i zobaczył, że jest dopiero piąta trzydzieści. Był jednak na tyle obudzony, że stoczył się z łóżka i poszedł do toalety.

Kilka minut później znalazł się wśród ośmiu mężczyzn i kobiet stojących na parkingu. Był mglisty, zimny poranek, ciągle panowała jeszcze ciemność, mimo że zza mgły od czasu do czasu wyłaniał się księżyc. Kucharze aż do siódmej nie zaczęły przygotować śniadania składającego się z herbaty i makaronu, a chińscy technicy aż do ósmej nie wsiądą do autobusu jadącego dwadzieścia minut do rafinerii, więc Adam postanowił skorzystać z jedyne go możliwego teraz sposobu na przeprowadzenie wywiadu – wybrał się na poranny jogging na terenie ogrodzonego parkingu, aby przyjrzeć się wszystkiemu, co mógł stąd zobaczyć.

Biegając, widział wielu znudzonych i zmęczonych koreańskich strażników, którzy tylko gapili się na niego, a potem wracali do pogawędki i palenia papierosów. Minął hotel nieopodal przyczep kempingowych i ujrzał kilka czarnych aut i furgonetek. Wiedział, że należały do Hwanga Min-ho, który przybył wczoraj wieczorem z Pjongjangu.

Adam czuł, że szykuje się coś ważnego. Poprzedniego dnia w pracy góra rozkazała mu zredukować dzienne wydobywanie. Przez trzy poprzednie dni musiał pracować tak długo, aż przerobi osiemset kilogramów rudy, co zajmowało dwanaście godzin na dobę. Jednak wczoraj zmniejszono tę liczbę do stu kilogramów.

Nie zadawał żadnych pytań, po prostu podporządkował się, ale w czasie przerwy inni chińscy technicy dyskutowali w pokoju wypoczynkowym o zmianach na ich stanowiskach pracy. Jeden z nich powiedział, że słyszał od koreańskiego kierownika zmiany, że urządzenia flotacyjne, które miały przyjechać za kilka dni, będą później. Adam nie wiedział, czy ta pochodząca z drugiej ręki informacja była prawdziwa, ale to, że wczoraj wieczorem przybył tu sam Hwang, podsunęło mu myśl, że Koreańczycy obecnie przechodzą pewnego rodzaju kryzys.

W drugiej rundzie biegu wokół ogrodzenia z zaskoczeniem dostrzegł innego biegacza, który poruszał się wolno wokół nieogrodzonej części parkingu. Był zbyt daleko, żeby Adam mógł się mu przyjrzeć – założył jednak, że to gość z hotelu.

Adam zwolnił. Przez moment pomyślał, że może to być sam Hwang, ponieważ też był niski i drobny, ale szybko zmienił zdanie. Hwang był łysy, a ten biegacz zdecydowanie miał na głowie włosy.

W następnym okrążeniu zwolnił na tyle, żeby znaleźć się jeszcze bliżej biegacza po drugiej stronie ogrodzenia. Ciekawiło go, kto to jest, bo przyszło mu teraz na myśl, że to któryś z zagranicznych gości z Australii. Widział ich w rafinerii, chociaż żaden z nich nie pracował w jego rejonie. Wiedział jednak, że mieszkali w hotelu.

Doskonale obliczył czas kolejnego okrążenia i gdy zbliżył się do osoby biegnącej po drugiej stronie płotu, stwierdził, że się pomylił. Nie był to żaden mężczyzna, ale rudowłosa Australijka,

którą widział już przedtem kilka razy.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową, gdy znaleźli się obok siebie. Adam odpowiedział jej tym samym i zatrzymał się.

Kiedy była już bardzo blisko, zawołała do niego:

– *Ni hao!* Cześć!

Z zaskoczeniem usłyszał, że kobieta odzywa się do niego po mandaryńsku. Adam skinął głową i odpowiedział:

– *Ni hao.*

Zatrzymała się.

– *Ni hao ma?* Jak się masz?

– *Wo hen hao. Ni ne?* Dobrze, a ty? – odparł Adam. Dalej rozmawiali po mandaryńsku.

– Też dobrze. Jestem doktor Powers z Australii.

– Shan Xin z Chin. Dobrze znasz język.

– Dziękuję. Studiowałam na uniwersytecie w Shenzhen. Mój mąż jest stamtąd.

Tak naprawdę to jej chiński był w najlepszym razie poprawny. Mówiła z wyraźnym akcentem australijskim, ale Adam poczuł, jak serce zaczyna mu mocniej bić. Może uzyska od tej kobiety jakieś informacje, w dodatku bez ujawniania swojej prawdziwej tożsamości.

Wiedział jednak, że nie może się spieszyć. Musiał uważać, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Zaczął więc od niewinnego pytania:

– Biegasz codziennie?

– A co tu można innego... – odparła. – Co robisz w Chöngju?

– Pracuję przy komputerze obsługującym kruszarkę stożkową. Przyjechałem tu tydzień temu.

A ty?

– Jestem geolożką. Przebywam tu już ponad miesiąc.

Adam uśmiechnął się i skinął głową.

– Bardzo dobrze.

Pokręciła głową. Nawet w mroku Adamowi wydawało się, że jest smutna.

– Jesteś daleko od domu – stwierdził.

– Mam dwoje dzieci – wyznała bez wahania. – Córkę i syna. Tęsknię za nimi.

– Rozumiem. Też mam córkę i syna.

Trochę się rozchmurzyła.

– Naprawdę? To cudownie. Jak się nazywają?

Kobieta była wyraźnie znudzona i samotna, Adam podał więc imiona i wiek dzieci. To wszystko było prostą wymianą uprzejmości, pewnie jednym z najstarszych trików, o których często można przeczytać w powieściach, a jednak niezwykle skutecznych.

– Masz ich zdjęcia?

Adam opuścił ramiona.

– W Szanghaju zabrano nam wszystkie osobiste rzeczy. Były wśród nich ich zdjęcia. Jednak jakie to ma znaczenie? Teraz nie mogę spojrzeć w oczy mojej małej Lanfen przed snem.

Adam był dobrym aktorem. Powers połknęła haczyk. Czuł się głupio z powodu tego oszustwa, była zapewne najmiłą kobietą, która podjęła tę fatalną decyzję i przybyła tu do pracy, jednak miał

do wykonania swoje zadanie. Źle odegrana rola mogła nie tylko zepsuć misję. Mogła go też zabić.

– Żałuję, że tu przyjechałam – powiedziała Powers. – Pojechałabym do domu natychmiast, ale oni mówią, że nie puszczą nas stąd, dopóki cały zakład nie uzyska pełnej zdolności produkcyjnej.

Adam dostrzegł w tym okazję, żeby poruszyć temat, który znał, ale który był dla niego bardzo ważny, zbyt ważny, żeby się nim nie zająć.

– Martwi mnie, że nawet nie wiem, kiedy to nastąpi – powiedział. – Wczoraj powiedziano nam, że rafineria nie zacznie działać w wyznaczonym terminie. Mieliśmy dostać jakieś wyposażenie, ale to się może odwlec. Ty chcesz stąd wyjechać, ale ja nie. Tam, skąd jestem, nie ma miejsc pracy w kopalniach. I boję się, że jeśli tutaj wszystko się będzie przeciągać, wyrzucą nas do domu.

Powers starała się rozwiać obawy Adama.

– Transport urządzeń do flotacji został wstrzymany. Ale nie martw się, Hwang temu zaradzi. Musi.

– Musi?

– Chodzi o pieniądze. Korea Północna nie dostanie pieniędzy dotąd, dokąd nie ruszy proces rafinacji rudy. W chwili gdy wszystko zacznie działać, Korea ma dostać pięćset milionów dolarów amerykańskich od swojego zagranicznego partnera.

– Rozumiem – odparł. – Skąd to wszystko wiesz?

Natychmiast zorientował się, że z tym pytaniem się zapędził. Kobieta długo zastanawiała się nad odpowiedzią, rozglądając się, czy nikt ich nie obserwuje. Adam stwierdził, że doktor Powers obawiała się, że to, co powiedziała, mogło być czymś, o czym nie powinna mieć wiedzy.

Jednakże Adam znał sposoby, jak wpłynąć na swoje źródło informacji.

Roześmiał się.

– Może nie powinnaś dłużej ze mną rozmawiać – powiedział z uśmiechem. – Ale ja jestem tylko technikiem komputerowym. Z radością usłyszałem, że wkrótce ruszy proces rafinacji. Tylko to mnie teraz obchodzi.

Odetchnęła i po minucie oboje pobiegli dalej wzdłuż płotu, lecz każde w swoją stronę.

Trzy godziny później Adam siedział przy swoim terminalu i wystukiwał raport do centrum operacyjnego „Acrid Herald”. Nie wymienił nazwiska doktor Powers, nawet o niej nie wspomniał, bo gdyby został nakryty, nie chciał, aby kobieta miała problemy. Wysłał natomiast wszystko, co od niej usłyszał: że Korea Północna otrzyma 500 milionów dolarów w chwili, gdy ruszy rafineria.

Wiedząc, na co te pieniądze miały być przeznaczone, miał cholerną nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

Óscar Roblas de Mota spał jak zabity w swoim apartamencie w hotelu Pan Pacific w Singapurze, gdy w jego rodzinnym mieście odległym o dziesięć tysięcy mil nastąpił atak na Jacka Ryana. Spał do rana i trwałoby to znacznie dłużej, gdyby o dziewiątej nie obudził go jego osobisty asystent, żeby wysłuchał najnowszych wiadomości.

Przez godzinę gapił się więc w telewizor, siedząc w białym szlafroku na sofie. Oglądał amerykańską i meksykańską stację, gdzie pokazywano nagrania z zamachu robione telefonami, z kamery helikoptera, a także z kamer ochrony. Pokazano praktycznie cały atak z różnych perspektyw.

Zadzwoił do sześciu przyjaciół z rządu tego regionu. Nie ujawnił jednak swojego obecnego miejsca pobytu. Wszyscy twierdzili, że za atak odpowiada Santiago Maldonado, ale Roblas ani przez chwilę tego nie kupił. Kartel Maldonado mógł sobie przypisywać zorganizowanie ataku, lecz nie byli na tyle kompetentni, żeby dokonać czegoś na tak ogromną skalę. Wiedział, że ostatnio nie udał im się zamach na burmistrza małego miasta w stanie Guerrero. Naprawdę mieliby stawić czoła setkom wyszkolonych agentów bezpieczeństwa i zabić prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Nie mieli szans.

Gdzieś w głowie Roblasa zrodziła się myśl o generale Ri. Szef wywiadu Korei Północnej mógł wynająć kogoś do tej akcji. A poza tym miał też kontakt z kartelem Maldonado. Motyw był zupełnie jasny. Plany Ri zostały pokrzyżowane zarówno pod względem wydobywczym, jak i produkcji sprawnych rakiet nuklearnych dalekiego zasięgu. W obu wypadkach dotyczyło to człowieka, który ledwo uszedł z życiem w Mexico City.

O jedenastej Roblas oderwał się od ekranu i poszedł wziąć prysznic, a potem udał się na spotkanie z bankierami. W tym czasie coraz bardziej utwierdzał się w podejrzeniu, że za to, co się stało, odpowiada Korea Północna.

Nie był na nich wściekły za to, że próbowali, ale dlatego że spieprzyli. No i za to, że zrobili to w jego mieście.

Już prawie zszedł ze swoimi ludźmi do limuzyny, gdy zadzwonił jego telefon satelitarny.

– *Bueno?* – powiedział. Po usłyszeniu tylko jednego słowa był pewien, że miał rację, co stało się naprawdę.

Była to jedna z tłumaczek Ri. Mówiła po angielsku.

– Dzień dobry. Towarzysz generał do pana.

Roblas nie odpowiedział powitaniem, tylko zapytał od razu:

– Co się stało w moim mieście?

– W tej sprawie – odrzekł Ri – wiem tylko tyle, ile donosi międzynarodowa prasa.

– Nie wierzę panu. Nie zrobił tego kartel Maldonado. To pan albo Rosjanie.

– Zatem niech to będą Rosjanie.

Tłumaczka długo czekała na odpowiedź. W końcu usłyszała głos Roblasa:

– Jeżeli ma pan z tym jakiś związek, to ze względu na pana i na mnie musi pan teraz posprzątać ten bałagan.

Znowu dłuższa przerwa.

– Tak, rzeczywiście trzeba tam posprzątać.

– Co to, do cholery, ma znaczyć?

– Ten człowiek jest teraz poza naszym zasięgiem – rzekł Ri. – To on odpowiada za to, co się wczoraj stało.

– Słucham uważnie.

Ri opisał, czego żądał Irańczyk, który teraz najwyraźniej był gdzieś w Meksyku. Gdy skończył, Óscar Roblas oświadczył:

– To nie moje zmartwienie. Co to ma wspólnego ze mną? Nie odpowiadam za to, co pan zrobił.

Ri odparł zimno, a tłumaczka przetłumaczyła to jak automat:

– Nie odpowiada pan za to, ale dotyczy to też pana.

– Co to ma znaczyć?

– Poświęcił pan dużo czasu i wysiłku w Chōngju. Chyba nie chce pan stracić wszystkiego?

– Czy to jakaś groźba?

– Absolutnie nie. Ale może pan to tak potraktować. Czy pan uważa, że w Chōngju będzie można zrobić cokolwiek, jeżeli Amerykanie dojdą do konkluzji, że za wczorajszą próbą zabicia ich prezydenta stoi Korea Północna?

Roblas zrozumiał. Gdyby wybuchła wojna, Korea by przegrała. A jeżeli to by się stało, przegrałby też Roblas.

To była zwykła propozycja biznesowa. Ryzyko kontra nagroda. Gdy o tym pomyślał, poczuł, że nagroda wyraźnie przeważa nad ryzykiem. Ryzyko wysłania kogoś, aby uciszył zabójcę, też było wysokie, ale nie tak wysokie, jak potencjalnie była wysoka za to nagroda – o ile plan się powiedzie.

Poza tym Ri miał rację. Roblas zainwestował już dużo w to przedsięwzięcie. Ta rozmowa telefoniczna była drobiazgiem, właściwie bez znaczenia.

– Ma pan dostęp do kogoś, kto mógłby rozwiązać nasz problem? – zapytał Ri.

Roblas spojrzął na swoje ręce i zobaczył, że drżą. Był wściekły, że chcą go w to wciągnąć.

Ale miał tam kogoś. Nie Meksykanina; Roblas nie wysłałby swojego człowieka do gniazda szerszeni. Postanowił zrobić wszystko, co tylko mógł, aby zachować pozory kogoś budzącego zaufanie. Jediną osobą, jaką mógłby polecić, był Edward Riley. Był to agent Sharpsa, ale podczas gdy Sharps zapewne nie chciałby się w to mieszać i poszukałby miejsca, żeby się ukryć, Riley robi to z ochotą. Jest gotów na wszystko.

Posprząta ten bałagan.

– Daj mi numer do jednego ze swoich agentów – polecił Roblas. – Przekażę go mojemu człowiekowi, a potem nie odpowiadam za to, co się stanie. Już powiedziałem, że ja nie jestem w to zamieszany.

– Czasem sprawy, które wymykają się spod naszej kontroli, muszą być załatwione w sposób trudny do zrozumienia.

Roblas rozłączył się.

Jack Ryan junior zdążył zgolić brodę w czasie półtoragodzinnego pobytu w swoim mieszkaniu w Alexandrii, zanim personel Białego Domu zabrał go do szpitala. Teraz wyglądał na zupełnie innego człowieka albo przynajmniej czuł, że patrzy w lustrze na kogoś takiego, jakim był przed zapuszczeniem brody – i był to całkiem niezły pomysł.

Nie chciał, żeby ten skromny wysiłek naturalnej zmiany wyglądu poszedł w świat, gdyby ktoś chciał go sfotografować. Broda później odrośnie, ale jeżeli teraz ma zaprezentować szerokiej publiczności swój nowy wizerunek, to z pewnością nie zaprezentowałby go korzystnie.

To miała być prywatna, rodzinna wizyta, ale Ryan wiedział, jak działają media. Wokół szpitala mogło się kręcić wielu fotografów próbujących zrobić zdjęcia zasmuconej i zestresowanej rodzinie prezydenta, aby tylko zarobić.

Ryan uczyniłby wszystko, żeby dziś wieczorem nie pojawić się w telewizji, a jutro rano w prasie, więc wrócił do „niekampusowego” wyglądu właśnie w tym celu.

Tuż przed dziewiątą wieczorem został wprowadzony do szpitala bocznym wejściem, a potem przeszedł do prywatnej poczekalni. Tam spotkał się z matką, starszą siostrą Sally i młodszym rodzeństwem, Kate i Kylem. Było tam też dwunastu policjantów i agentów Secret Service, ale okazali się na tyle dobrze wychowani, żeby dać rodzinie możliwość przebywania sam na sam z prezydentem.

O dziewiątej trzydzieści zostali wprowadzeni do pokoju. Jackowi ciągle mówiono, że jego ojciec będzie przez kilka tygodni cierpieć dotkliwy ból, chociaż jego kontuzje nie zagrażają życiu. Po powrocie z Meksyku wyglądał dość dobrze, biorąc pod uwagę zdjęcie przewróconej limuzyny, jakie Jack oglądał w telewizji.

Mimo wszystko zszokował go wygląd ojca.

Teraz, leżąc na szpitalnym łóżku z przewodem tlenowym w nosie i dużym bandażem na czole, prezydent mimo wszystko sprawiał wrażenie, że jest w dobrej formie. Miał żywe spojrzenie i był pełen życia.

U jego boku czuwała jak zwykle doktor Maura Handwerker, podobnie jak na pokładzie Air Force One. Natychmiast przeprosiła rodzinę, mówiąc, że przed ich przybyciem podała prezydentowi środki przeciwbólowe, aby mógł spokojnie przespać noc. Wspominała też, że długo się opierał przed ich zażyciem, ale w końcu ustąpił, gdy mu wyjaśniła, że w takim stanie nie zaśnie i następnego dnia będzie kompletnie do niczego.

Później, nie rozmawiając już z Jackiem seniorem, rodzina po prostu stała przy jego łóżku i odrabiała zaległości. Jack junior nie widział od wielu miesięcy starszej siostry Sally, a Katie i Kyle lamentowali, że minęły już wieki od czasu, gdy ich odwiedził w Białym Domu.

Jack pochwyił wzrok matki. Widział na jej twarzy wyraz zmartwienia nie tylko o męża, ale też o syna; zastanawiała się zapewne, na ile był zaangażowany w to, co ostatnio uczyniło go tak niedostępnym. Jack tymczasem robił to, co mógł, żeby dodać jej otuchy – objął ją i uściśkał, bo poza gestami nie miał jej wiele do zaoferowania.

Po jakimś czasie, gdy przestano o nim mówić i rozmowa zeszła na inne tematy, Jack zbliżył się do ojca, patrzył na bandaż i myślał, co sprawiło, że znalazł się w takiej paskudnej sytuacji, równocześnie zastanawiając się, co za sukinsyn mu to zrobił.

Wszyscy zrzucali winę na Santiago Maldonado, ale gdyby Jack miał się teraz założyć, to postawiłby na prezydenta Rosji, który prawdopodobnie skorzystał z pomocy kartelu.

Nagle odezwał się telefon w kieszeni jego spodni. Przeprosił i wyszedł z pokoju na korytarz. Przy drzwiach stało dwóch agentów Secret Service i Jack wiedział, że nie mogą się ruszyć z miejsca, więc odszedł na bok.

Na wyświetlaczu widniało nazwisko Chaveza.

– Hej, Ding.

– Przepraszam. Wiem, że jesteś teraz u ojca.

– Nie ma sprawy.

– Jak się czuje?

– W miarę.

– Piekielnie twardy z niego facet.

– Wydarzyło się coś złego?

– Raczej coś dziwnego, tak bym to określił. Całe popołudnie polowaliśmy na Rileyę, ale bez skutku. Łaziliśmy wszędzie tam, gdzie się zwykle z kimś spotykał. W końcu skontaktowaliśmy się z Gavinem, ale przyznam szczerze, powinniśmy to zrobić na początku. Prześledził system LoJack lokalizacji i odzyskiwania skradzionych pojazdów, ten konkretny LoJack dotyczy aut marki BMW.

– Chytrze.

– Tak. Zbadaliśmy całą trasę Rileyę, jaką odbył około dwóch godzin temu do portu lotniczego Teterboro i gdzie zaparkował na długoterminowym parkingu. Przez pół godziny próbowaliśmy sobie wyobrazić cel samolotu, który wystartował krótko po jego przybyciu. Miał do wyboru sześć lotów biznesowych, ale sprawdzając właścicieli linii i cele podróży, wykluczaliśmy wszystkie poza jednym, ponieważ ani Sharps, ani Riley nigdy nie mieli z nimi nic wspólnego.

– Zatem... dokąd poleciał?

– Jack... uważamy, że do Mexico City.

Ryan spojrział w stronę pokoju ojca. Widział przez małą szybkę w drzwiach, jak Sally sadza Kate na brzegu łóżka. Dziewczynka walczyła ze łzami, pochylając się, żeby ucałować śpiącego ojca.

Głos Ryana obniżył się o oktawę.

– Co on tam może robić?

– Nie wiemy – odparł Ding – ale dowiemy się tego. Leci samolotem linii, których właścicielem jest firma fasadowa z funduszami w banku na Antigui. Gavin przeszukał już bazę danych CIA, używając Interlink-TS¹², i to zaprowadziło go do Grupo Pacífico. Ropa naftowa, gaz, przemysł wydobywczy, wszystko należy do meksykańskiego miliardera Óscara Roblasa de Moty. Grupo Pacífico nie jest jawnym klientem Duke'a Sharpsa, ale system identyfikacji twarzy rozpoznał kilku kierowników Grupo Pacífico, gdy składali Duke'owi wizytę na Upper West Side.

– Nie mam pojęcia, o co tu chodzi – jęknął Ryan.

Istotnie nie miał zielonego pojęcia, co to wszystko ma znaczyć. I ciągle nie mógł sobie wyobrazić, jaki to ma związek z lotem Rileyę i usiłowaniem zabicia jego ojca. Ale fakt, że Riley poleciał do Mexico City w dniu ataku i w dzień po dokonaniu morderstwa w Nowym Jorku, wydał mu się absolutnie bez sensu, mimo że trudno byłoby uznać, iż jest całkowicie bez związku z tymi wypadkami.

– Jeszcze dziś wieczorem polecimy za nim. Nawet nie wiem, jak go wyśledzić, kiedy już tam będziemy, ale mamy kilka pomysłów. Clark powiedział, żebyś został przy ojcu, o ile to będzie

konieczne, ale jeżeli możesz...

- Za godzinę będę na lotnisku – przerwał mu Ryan.
- Zatem do zobaczenia – odparł Ding. – Powiedz staruszkowi, że myślimy o nim.

Edward Riley wyleciał z lotniska Teterboro w New Jersey prosto do Mexico City i wylądował na Benito Juárez. Siedział w tylnej części samolotu Embraer Phenom 300, należącego do jednej z firm Óscara Roblasa. Wsiadł krótko po trzeciej w nocy i pojechał wynajętym autem do hotelu w eleganckim Polanco pod miastem.

Większość lotu poświęcił na układanie planu, więc teraz we wczesnych godzinach rannych mógł się zdrzemnąć, aby krótko po dziewiątej przyjąć gościa – agenta RGB o imieniu Kim, który wczoraj wieczorem przybył z Hawany. Był kontaktem Zarifa i przyleciał do Meksyku, ponieważ Irańczyk próbował szantażować Koreę Północną, domagając się dwóch milionów dolarów.

Riley pomyślał, że nie była to zbyt wygórowana kwota, ale wiedział, dlaczego Zarif podał akurat taką. Wytwórca bomb nie miał łatwego dostępu do kont bankowych, zatem musiałby trzymać przy sobie całą gotówkę, a dwa miliony dolarów amerykańskich było największą kwotą, jaką mógł z łatwością nieść pojedynczy człowiek. W euro mógłby unieść dużo więcej, ale albo Zarif o tym nie wiedział, albo czuł, że dolary są walutą bardziej popularną – a przez to bardziej użyteczną – na zachodniej półkuli.

Kim rozmawiał z Zarifem krótko przed przybyciem do hotelu, w którym zatrzymał się Riley. Irańczyk domagał się, żeby transakcję załatwić poprzez pośrednika – kogoś, kto nie byłby Azjata i mówiłby po angielsku. Ta osoba miałaby przekazać mu pieniądze o ósmej wieczorem tego dnia w budynku kinoteatru Cinépolis w Toluca.

Tym człowiekiem miał być Riley.

Korea Północna podjęła już decyzję, że nie ulegnie szantażowi i nie zapłaci. Pozostawienie Zarifa przy życiu i ryzykowanie, że ujawni szczegóły operacji „Ognisty Topór”, było nie do przyjęcia, więc Kim nawet nie trudził się gromadzeniem tej kwoty.

Riley ogólnie zgodził się z ich oceną, mimo że ludzie Roblasa dali mu numer do lokalnego banku, do którego mógł dzwonić w każdej chwili, gdyby potrzebował gotówki, aby zdobyć dowody. Chociaż Riley wiedział, że Óscar Roblas z łatwością mógł tu przybyć z pieniędzmi, żeby kupić milczenie tego człowieka, nie było żadnych gwarancji, że Zarif nie ujawni tego, co wie o Korei Północnej – że to oni byli odpowiedzialni za zamach.

Było tylko jedno rozwiązanie. Zarif musiał umrzeć.

Jednak Riley wiedział, że nie mogą go tak po prostu zastrzelić na ulicy. Ten człowiek rzekomo nagrał wszystkie informacje na temat związku Korei Północnej z zamachem na prezydenta, więc musiałby być skończonym idiotą, gdyby przybył na spotkanie z kompletem nagrań, a nie zostawił je gdzieś w ukryciu. Nie, wytwórca bomb musiał albo sporządzić kopię i zabezpieczyć ją u kogoś, albo wysłać na jakiś adres mailowy, albo ukryć w komputerze, który do niego nie należał.

Riley musiał wiedzieć, co zrobił Zarif, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo, i był tylko jeden sposób, żeby wyciągnąć z niego te informacje.

Anglik wyobraził sobie długą, nieprzyjemną noc brutalnych tortur.

Musiał jednak zabezpieczyć do tego miejsce, a jego pokój w hotelu w Polanco nie spełniał wymogów. Zadzwoił więc do bankiera Roblasa i powiedział, że potrzebuje tylko dziesięciu tysięcy dolarów, które zwróci po zakończeniu operacji. Potrzebował też miejsca gdzieś w rejonie, w którym nikt by go nie niepokoił przez jedną albo dwie doby. Bankier przetrzymał go przy telefonie przez kilka minut, z pewnością po to, żeby skontaktować się z Roblasem albo z kimś z jego otoczenia, a potem wrócił na linię i podał adres. Była to prywatna willa w Cuernavaca, mieście leżącym w górach o godzinę drogi na południe od stolicy. Bankier zapewnił Rileyę, że tam nikt nie będzie ich niepokoić.

Potem Anglik przedyskutował z Kimem, jak podejść i uwięzić Zarifa. Riley zajmował się już w swojej karierze dostarczaniem pieniędzy szantażystom. Wiedział, że milion – jeżeli będzie w studolarowych banknotach – można z łatwością zmieścić w średniej wielkości szkolnym tornistrze. Poszedł więc do najbliższego sklepu i kupił dwa, potem wstąpił do antykwariatu i kupił pokaźną liczbę tanich powieści kieszonkowych, którymi wypełnił plecaki jako przynętę.

Razem z Kimem pojechali do Toluki, gdzie sprawdzili kinoteatr i ulice dookoła. Było krótko po południu, więc wiedział, że Zarifa prawdopodobnie nie ma jeszcze w tym rejonie, ale chciał się dowiedzieć, dlaczego Irańczyk zdecydował się na takie miejsce odbioru pieniędzy. Jednak szybko znalazł odpowiedź, gdy kilka razy okrążył z Kimem budynek.

Od razu przedstawił Koreańczykowi swój wniosek:

– Z multikina jest mnóstwo wyjść. Każda z sześciu sal ma własne wyjście pożarowe i istnieje też główne wejście do lobby. Boi się podstęp. Musimy obstawić wszystkie wyjścia.

– Jak mamy to zrobić? Jest nas tylko dwóch, a pan musi być w środku.

– Mogę zatrudnić oddział miejscowych mięśniaków, ale zajmie to trochę czasu, a my nie mamy go zbyt dużo.

Kim pojął, że to zadanie spadnie na niego.

– Sprowadzę z Mexico City ludzi z RGB.

– Nie. Jeśli Zarif zobaczy Azjatów, natychmiast ucieknie.

Kim zamyślił się.

– Mam lepszy pomysł. Pozwoli pan, że do kogoś zadzwonię.

Późnym popołudniem przyjechało dwoma jeepami cherokee dziesięciu kubańskich agentów wywiadu. Koreańczycy dobrze współpracowali z Kubańczykami, a często działali na terenie Meksyku. Kim musiał wszelkimi sposobami zadbać, aby cała operacja była dobrze zabezpieczona dla generała Ri, i Riley to doceniał. Zarif był pierwszy raz w krajach latynoskich, więc Riley miał pewność, że Kubańczycy na ulicach nie wzbudzą w nim takiego niepokoju jak Koreańczycy.

Mężczyźni byli uzbrojeni i chociaż nie pochodzili z okolic Toluki, wiedzieli, jak wtopić się w miejscowe społeczeństwo.

Nie wiedzieli o tym, że Korea Północna była odpowiedzialna za atak na prezydenta Stanów; byli przekonani, że pomagają swoim komunistycznym przyjaciółom złapać porywacza w czasie wymiany i przytrzymać go do czasu, aż wyjawi miejsce przetrzymywania swojej ofiary.

O ósmej wieczorem Riley wszedł do teatru z jednym tornistrem na plecach i drugim w ręce. Kupił bilet na pierwszy spektakl reklamowany na afiszu nad głową kasjera i przez pięć minut stał przy

bufecie, tak jak sobie życzył Zarif. Założył, że Irańczyk, który już musiał być w multikinie, miał go w ten sposób zidentyfikować.

Po pięciu minutach Riley wszedł do sali, gdzie wyświetlano jego film, po czym wspiął się po stopniach i zajął miejsce w najwyższym rzędzie.

Prawie natychmiast przygasły światła i Riley wkrótce zobaczył samotnego mężczyznę, który wszedł za nim i po chwili zajął miejsce obok. Gdy spojrzął na Riley'a ze zdziwieniem, ten powiedział:

– Mówiłeś, że nie chcesz tu widzieć żadnego Koreańczyka, tylko kogoś mówiącego po angielsku.

Irańczyk skinął głową.

– Myślałem, że będziesz Meksykaninem. Kim jesteś?

– Biznesmenem. Tylko tyle. Spodziewam się, że będę mógł wyjaśnić wczorajsze nieporozumienie.

Poklepał oba tornistry leżące na fotelu obok niego.

– Chcę zobaczyć pieniądze – rzucił Zarif. Riley sięgnął więc do kieszeni koszuli i wyjął paczkę studolarówek. Cisnął ją nonszalancko na kolana Zarifa.

– Dziesięć tysięcy. Tam jest reszta.

Znowu wskazał na tornistry. Zarif zerknął na nie i schował pieniądze do kieszeni.

– Podaj mi je.

– Nie. Najpierw telefon i wszystko, co nagrałeś.

Zarif podał mu komórkę i Riley sprawdził, czy zawiera zrobione przez niego nagranie. Było, więc wsunął telefon do kieszeni.

Potem pochylił się bliżej.

– Chcemy wiedzieć, czy zrobiłeś coś jeszcze z tym nagraniem.

– Kopia znajduje się w bezpiecznym miejscu. Kiedy otrzymam pieniądze i spokojnie stąd odejdę, zadzwonię i...

Przerwał, bo Riley pokręcił głową.

– Tak to nie działa, kolego. Powiem ci, jak to załatwimy. Zatrzymasz te dziesięć tysięcy. Ja zatrzymam resztę z tego miliona i kiedy zdecydujesz się przekazać mi wszystko, czego chcę, wtedy dasz znać. – Uśmiechnął się. – A za to, co otrzymałeś teraz, kupisz sobie telefon.

Zarif próbował mu przerwać, ale Riley wstał i wyszedł z teatru głównym wejściem. Chwilę później zadzwonił do Kima.

– Spodziewam się, że wyjdzie któryś z tylnych wyjść – powiedział.

– Kubańczycy są gotowi.

Zarif wyszedł z sali, w której spotkał się z Riley'em, i wszedł do innej, kierując się do wyjścia pożarowego. Był zdenerwowany i wystraszony. Wyglądało na to, że wymiana przebiega bez komplikacji, aż nagle Anglik wstał i po prostu poszedł.

Opuszczając kino, zorientował się, że to podstęp. Nie ma więcej pieniędzy, a to spotkanie było zorganizowane tylko po to, żeby go wyciągnąć z ukrycia.

W zaułku niedaleko wyjścia z kina zobaczył dwóch młodych mężczyzn w skórzanych kurtkach. Według niego wyglądali na zwyczajnych Meksykanów, jakich widział na ulicy przed budynkiem, więc z początku był spokojny. Jednak gdy minął latarnię uliczną, zobaczył za sobą długie cienie.

Z drugiej strony zaułka pojawił się czarny jeep cherokee i zatrzymał się tuż przed Zarifem.

Irańczyk odwrócił się i zaczął biec, ale otoczyło go czterech mężczyzn; powalili go na chodnik i zawlekli do samochodu.

Zarzucono mu na głowę poszewkę na poduszkę, a kablem elektrycznym związano ręce na plecach.

Wydawało mu się, że mówią po hiszpańsku, gdy nagle odezwał się mężczyzna mówiący po angielsku z brytyjskim akcentem. Wyraźnie ten sam, co był w teatrze.

– Gdzie wysłałeś plik?

– Załadowałem go.

– Łesz. Sprawdziłem twój telefon. Nie wysłałeś maila do nikogo poza naszym wspólnym przyjacielem w Hawanie.

– Użyłem kabla i przeniosłem oba pliki do komputera.

– Na jaki komputer?

Zarif zawahał się.

– Powiem ci, jak mi dasz pieniądze.

– Nie ma więcej pieniędzy. Jest tylko szansa na ocalenie twojego życia, ale znika teraz tak jak pieniądze. Gadaj!

Zarif zastanawiał się nad możliwościami rozegrania sprawy, ale nie znalazł żadnej. Mógł im powiedzieć, a wtedy zapewne natychmiast go zabiją. Mógł nie powiedzieć i będą go torturować. Koniec końców i tak umrze.

Z rozmyślań wyrwał go cios pięścią i krzyk Anglika:

– Gdzie jest to cholerne nagranie?!

Zarif doszedł do wniosku, że jego jedyną szansą jest granie na zwłokę i nadzieja, że ocali go Allah. Wypluł krew z ust, brudząc poszewkę. Potem powiedział:

– *Allahu akbar*.

– Do jasnej cholery! Zabieramy go do willi. Mamy przed sobą długą noc.

Agenci Kampusu śledzili Rileyę przez całe dwadzieścia cztery godziny. Wylądowali w Mexico City o szóstej piętnaście rano i ich gulfstream celowo podkołował do FBO, czyli stałej bazy operacyjnej, obsługującej wyznaczone samoloty, z której przed kilkoma godzinami korzystał embraer Rileyę. Ding Chavez zwrócił się do kierownika będącego akurat na służbie i zapytał go o wcześniejszy samolot. Z początku mężczyzna nie był zbyt rozmowny, ale gdy dwa studolarowe banknoty przeszły z ręki do ręki, zaczął sobie przypominać pewne szczegóły dotyczące embraera. Ding ustalił na tej podstawie adres firmy samochodowej, do której auta wsiadł śledzony przez nich pasażer samolotu. Telefon do tej firmy pozwolił z kolei ustalić, kim był kierowca i to, że poza tym między trzecią w nocy a siódmą rano jechało jeszcze kilka aut. Jadąc do miasta, prowadził miłą pogawędkę, która okazała się jeszcze miłsza dzięki dwóm studolarówkom, i Chavez trafił w ten sposób do tego samego hotelu w Polanco, w którym wcześniej zatrzymał się Anglik.

O dziesiątej przed południem cały zespół agentów Kampusu zajął odpowiednie pozycje wokół hotelu. Caruso i Ryan wynajęli motocykle, Clark i Driscoll jechali nieoznaczonym dodge'em durango z 2010 roku, a Chavezowi udało się wypożyczyć mercedesa klasy C, którego oddał na razie parkingowemu. Rozbiegli się w różnych kierunkach, jednak mieli ze sobą łączność, używając bezprzewodowych słuchawek. Chavez został w lobby; miał na sobie garnitur biznesowy i sączył kawę, czytając lokalną gazetę „El Día”.

W budynku kręciło się wielu Azjatów – hotel cieszył się popularnością wśród zagranicznych biznesmenów – Clark przekazał mu więc, żeby miał oczy otwarte, zwracając szczególną uwagę na Koreańczyków, którzy mogli towarzyszyć Rileyowi.

Wreszcie w południe z windy wyszedł Riley z Koreańczykiem, Chavez natychmiast uznał go za agenta RGB. Mężczyzna odebrał SUV-a marki Lexus od parkingowego, po czym odjechał razem z Rileyem.

Przez następną godzinę pięciu Amerykanów, w czterech pojazdach, na zmianę śledziło Rileyę i jego kumpla przez całą drogę do Toluki. Potem obserwowali, jak mężczyźni kręcą się wokół kinoteatru, aby po jakimś czasie podjechać do kawiarni, gdzie przez godzinę rozmawiali przez telefon. Krótco potem Riley dokonał zakupów – w pierw w domu towarowym, a potem w antykwariacie, gdzie kupił wyjątkowo dużą liczbę tanich wydań kieszonkowych.

Wczesnym wieczorem lexus zaparkował przy centrum handlowym i chwilę później zatrzymały się obok niego dwa czarne jeepy cherokee. W tym momencie ludzie z Kampusu rozproszyli się w promieniu stu jardów, aby znaleźć się poza zasięgiem wzroku. Dom i Jack zaparkowali na wiadukcie pobliskiego parkingu, Chavez pozostał w mercedesie na parkingu obok, a Driscoll i Clark stanęli w atrium biurowca po drugiej stronie ulicy. Byli daleko od celu, ale mieli ze sobą lornetki i inne urządzenia optyczne, dzięki czemu mogli obserwować oddział złożony z dziesięciu mężczyzn wyglądających na Hiszpanów, który spotkał się z Anglikiem i jego towarzyszem.

Gdy naradzali się z nowo przybyłymi, Chavez zawołał w sieci do Clarka:

– John, ty tu byłeś najdłużej! Zgadujesz, o co tu właściwie chodzi?!

– O nic dobrego. Razem mamy tu dwunastu ludzi. Widzę broń ukrytą pod kurtkami. Wygląda na to, że ci nowi wykonują rozkazy Riley'a. To spotkanie na parkingu wygląda na coś... w rodzaju wyprzedzającej działania operacyjne odprawy. Później będę mógł powiedzieć coś bardziej konkretnego.

– To coś, czego Riley i jego kumpel z Pjongjangu nie mogli załatwić bez pomocy mięśniaków – wtrącił Caruso. Clark zgodził się z tym.

– Tak. Na razie możemy ich tylko śledzić i trzymać się cholernie daleko, gdyby ci faceci wyciągnęli zza pasa broń.

Niebawem grupa prowadzona przez Riley'a odjechała w stronę centrum miasta. Clark w ciągu dziesięciu minut określił ich cel.

– Wracają do kinoteatru, który wcześniej sprawdzali.

Miał rację. Riley wysiadł z lexusa kilka przecznic na południe od wejścia, a następnie samochód odjechał. Chwilę później pojawiły się jeepy, które skręciły w boczne uliczki. Dom zaczął je śledzić przez dwie przecznice na południe, natomiast Ryan znalazł sobie ustronne miejsce dwie przecznice na północ.

Podczas gdy reszta agentów Kampusu zajęła pozycje dookoła budynku i czekała, Chavez wszedł do budynku środka i kupił bilet.

Wkrótce pojawił się Riley. Zatrzymał się przy bufecie, jednak niczego nie kupił. Chavez dostrzegł dwa tornistry i na początku pomyślał, że zawierają materiały wybuchowe, ale zaraz przypomniał sobie o książkach i wszystko stało się dla niego jasne. Połączył się z pozostałymi agentami Kampusu.

– Jeśli Riley nie zaczął się zajmować obnośnym handlem książkami w Toluca, to przyjechał tu na wymianę – rzucił do mikrofonu. – Ma przy sobie dwa plecaki, w których, jak sądzę, powinny znajdować się banknoty.

– Ale są wypchane tanimi książkami? – zapytał Clark.

– Tak.

Do rozmowy włączył się Sam Driscoll.

– Do czego potrzebowałbyś dwunastu ludzi... Czy tylko do tego, żeby przekazać dwa plecaki z forszą?

– Potrzebowałbyś ich, dlatego że boisz się, że coś może pójść źle, albo wiesz, że coś pójdzie źle – odparł Clark.

– A może chcą kogoś zlikwidować?

– Może tylko porwać – wtrącił Chavez. – Tego nie wiemy, ale to może być interesujące. No, nie wiem, jednak chyba powinienem kupić trochę popcornu.

Dwadzieścia minut później ludzie Kampusu śledzili lexusa i oba jeepy, które wyjeżdżały z miasta na południe, zastanawiając się po drodze nad tożsamością faceta, którego Riley i jego ludzie zgarnęli na ulicy.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Jack Ryan spędził nieprzyjemny dzień, cały czas udając, że jest przyjemny. Od chwili gdy się obudził, nieustannie udawał. Udawał przed lekarzami, że nie

potrzebuje żadnych środków przeciwbólowych silniejszych niż przeciwzapalne, bo nie chciał być otumaniony jak narkoman; udawał przed reporterami „Foxy” i „The Washington Post”, którzy wspólnie go odwiedzili, że czuje się świetnie po zaledwie dwudziestu czterech godzinach od ataku.

Udawał, gdy zadzwonił Patrick O’Day, mąż Andrei. Nadal leżała w szpitalu w Mexico City, mąż czuwał przy niej. Jej stan poprawił się z krytycznego na poważny. Znajdowała się w śpiączce farmakologicznej i meksykańscy lekarze konsultowali się ze swoimi amerykańskimi kolegami, jaki ma być dalszy przebieg leczenia. Jack wiedział, że ostatnią rzeczą, jakiej Pat potrzebował, było wysłuchiwanie narzekań na jego dolegliwości. Zatem skłamał i powiedział mężowi Andrei, że czuje się dobrze, a potem obaj pomodlili się za jej zdrowie.

Udawał też przed światowymi przywódcami, rozmawiając z nimi przez telefon, i innymi ważnymi osobami za pośrednictwem wideo, aby przekonać amerykańskich sojuszników, że z prezydentem Ryanem wszystko w porządku.

Udawał przed żoną, Cathy, żeby się nie martwiła bardziej niż dotychczas, a jeszcze mocniej udawał przed dziećmi, żeby nie zaczęły się bać potworów tego świata, które chciały skrzywdzić ich ojca.

Ale jednej osobie, tylko jednej, Ryan powiedział szczerą prawdę. Był nim pełniący obowiązki – trudne obowiązki – szef sztabu prezydenta Arnie Van Damm. Kiedy lekarze i pielęgniarki nie słyszeli, kiedy rodzina wróciła już do Białego Domu i mógł się trochę przespać, kiedy nie było już reporterów i odeszli wszyscy życzliwi i ciekawscy, wtedy Ryan wylewał cały swój ból na Arniego.

– Siostra Ratched znowu założy mi na noc ten cholerny opatrunek! Ona i Maura spróbują wepchnąć mi do gardła słonową porcję tego kurewskiego środka uspokajającego. Czy one sobie wyobrażają, że mogę być jednocześnie prezydentem i zombi? Muszę się skontaktować z AG Murray, żeby przeprowadzili dochodzenie, czy to byli rosyjscy szpiegowie. I muszę ci powiedzieć... wiem, że wczoraj Secret Service wykonało właściwą robotę, ale te dzikie młode dupki otoczyły mój samochód i nie pozwoliły mi pomóc Andrei.

Arnie wysłuchał do końca jego skarg, ale gdy było ich już zbyt dużo, wyjął notes i zaczął czekać na szczegółowe polecenia, przytakując z wielkim współczuciem. Kiedy prezydent ostatecznie zakończył tyradę, Arnie jeszcze raz skinął głową i rzekł:

– Jack, jeśli nie będziesz już czuł bólu, to będzie oznaczało, że nie żyjesz. – Uśmiechnął się. – Ale ty wyraźnie żyjesz i jeżeli się zastanowisz nad tym, jak byłeś wczoraj blisko śmierci, to mogę ci powiedzieć, że byłeś bardzo blisko.

– Słuchałeś, co mówiłem?

– Tak. I myślę, że jest wściekły, bo Rosjanie nie zaczęli inwazji. Myślałeś, że twój przyjazd do Meksyku ściągnie czerwonych chętnych do wystąpienia przeciw Ameryce, jednak teraz widzisz, że nawet wtedy gdy myślą, że ciebie już nie ma, nadal uważają, że to za mało, żeby uderzyć.

– Bardzo śmieszne, Arnie.

– A teraz serio, Mary Pat jest na zewnątrz.

Jack skinął głową.

– Niech tu wejdzie. Zna mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak wygląda moja zadowolona twarz. Przed nią nie muszę udawać.

Chwilę później weszła Mary Pat, ale Arnie został w pokoju. Zapytała Jacka o stan zdrowia, jak się

ogólnie czuje i jak go tu leczą. Ryan trochę zrzędził, jednak przed Arniem wystarczająco się otworzył i teraz nie musiał już tego robić.

Mary Pat w końcu powiedziała:

– Myślę, że teraz chciałbyś wiedzieć, gdzie jesteśmy, czy znaleźliśmy już sprawców ataku. Mamy za sobą zaledwie jeden dzień śledztwa, ale coś już wiemy.

– Co znalazłaś?

– Mamy na scenie martwych ludzi z Maldonado. Dwunastu facetów. Tylko czterech z nich było znanymi zbirami, ale reszta nosiła tatuaże kartelu, a ich dokumenty wskazują na stan Guerrero, gdzie ta grupa rządzi na drogach.

– Co wiecie o materiałach wybuchowych i samym wybuchu? Nie pamiętam nic z eksplozji. Ocknąłem się, myśląc, że to wypadek uliczny. Wszyscy mówili, że był piekielny błysk.

– Tak, to były pociski kalibru 105 mm do haubic. Trzy. Wygląda na to, że pochodziły od armii meksykańskiej.

– Jasna cholera – mruknął Ryan.

Kiedy służył w piechocie morskiej, widział, co potrafi taki stupeńcimilimetrowy pocisk, i nie było to nic przyjemnego.

– Jeden z tych pocisków uderzył dokładnie w przód limuzyny. Gdybyś znajdował się wtedy tylko piętnaście stóp bliżej, byłoby już po tobie, Jack.

Przez chwilę panowała cisza.

– Pocisk przewrócił twoją limuzynę kołami do góry. Ambasador Styles złamał wtedy kark. Na szczęście zmarł natychmiast. Ostatni pocisk uderzył za wami. Rozbił pojazd oddziału przeciwwuderzeniowego i jadący za nim samochód.

Jack patrzył na druty, rurki i bandaże, które zdawały się trzymać go przy życiu.

– Arnie?

Van Damm podniósł wzrok znad swojego telefonu.

– Tak, panie prezydencie?

– Podejdź do mnie i uściśnij mi dłoń.

Arnie wstał i lekko ścisnął czubki palców unieruchomionej lewej ręki Ryana, ponieważ prawa była przytroczona do piersi i całkowicie pokryta bawełnianym bandażem.

– Zapomnij o wszystkim, co powiedziałem. Jestem najszcześliwszym człowiekiem na ziemi.

– Zapomniałem, panie prezydencie.

– Wiem, że nakrzyczałem na ciebie, ale nie mogłem nakrzyczeć na nikogo innego.

– Oczywiście, rozumiem.

– Kiedy opuścimy już Biały Dom na stałe, masz moją zgodę na napisanie relacji z mojego życia prywatnego. Możesz wspomnieć, jakim byłem cholernym dupkiem. Zbijesz na tym majątek. A ja napiszę do tego wstęp.

Van Damm i Mary Pat uśmiechnęli się.

– Kiedy stąd odejdę, moim jedynym pragnieniem będzie znaleźć sobie jakiś mały, spokojny college w Nowej Anglii, uczyć w klasach rozwiązywania konfliktów czy czegoś takiego, no i odpoczywać – powiedział Arnie. Ryan roześmiał się. Był to jego pierwszy, autentycznie szczery śmiech od wczorajszego dnia.

- Brzmi pięknie. Będę uczęszczał do twojej klasy.
- To może sprawić, że poczuję się nieswój, panie prezydencie, bo będzie pan powracającym *case study*.

O jedenastej wieczorem Edward Riley ze swoją grupą dojechał pod adres, który otrzymał w Cuernavaca od bankiera Roblasa. Kręta droga górską nie była oświetlona, ale mijane po drodze domy wyglądały jak wspaniałe posiadłości elity. Znajdowali się niedaleko Mexico City, więc Riley domyślał się, że te wille stanowiły miejsce ucieczki bogatych mieszkańców stolicy.

Spodziewał się, że bankier dał mu do dyspozycji odległą wiejską farmę, ale gdy przybyli pod wskazany adres, zobaczył coś zupełnie innego. Tak jak inne posiadłości, teren był ogrodzony wysokim murem. Rozciągał się na zalesionym wzgórzu, pośrodku którego stała skąpana w jaskrawym świetle ultranowoczesna budowla, wyglądająca tak, jakby została przeniesiona tu z przyszłości. Była to prywatna rezydencja z basenem kąpielowym otaczającym ją niczym fossa. Z drogi przypominała wbijający się w nocne niebo i górujący nad okolicą ogromny szklistobiałły statek kosmiczny.

Podjechali dwustujardową krętą drogą i zaparkowali przed budynkiem. Riley rozkazał, żeby Zarif został w jeepie – otoczyło go więc czterech uzbrojonych Kubańczyków – a sam podszedł z Kimem do wejścia. Drzwi, podobnie jak brama, nie były zamknięte. W środku paliły się wszystkie światła. Pod stropem ogromnego pokoju o cylindrycznym kształcie obracały się wolno skrzydła wentylatora. Pokój miał wysokie, dwukondygnacyjne okna od podłogi aż do samej góry, wychodzące na piękny widok z basenem, wodospadami i fontannami.

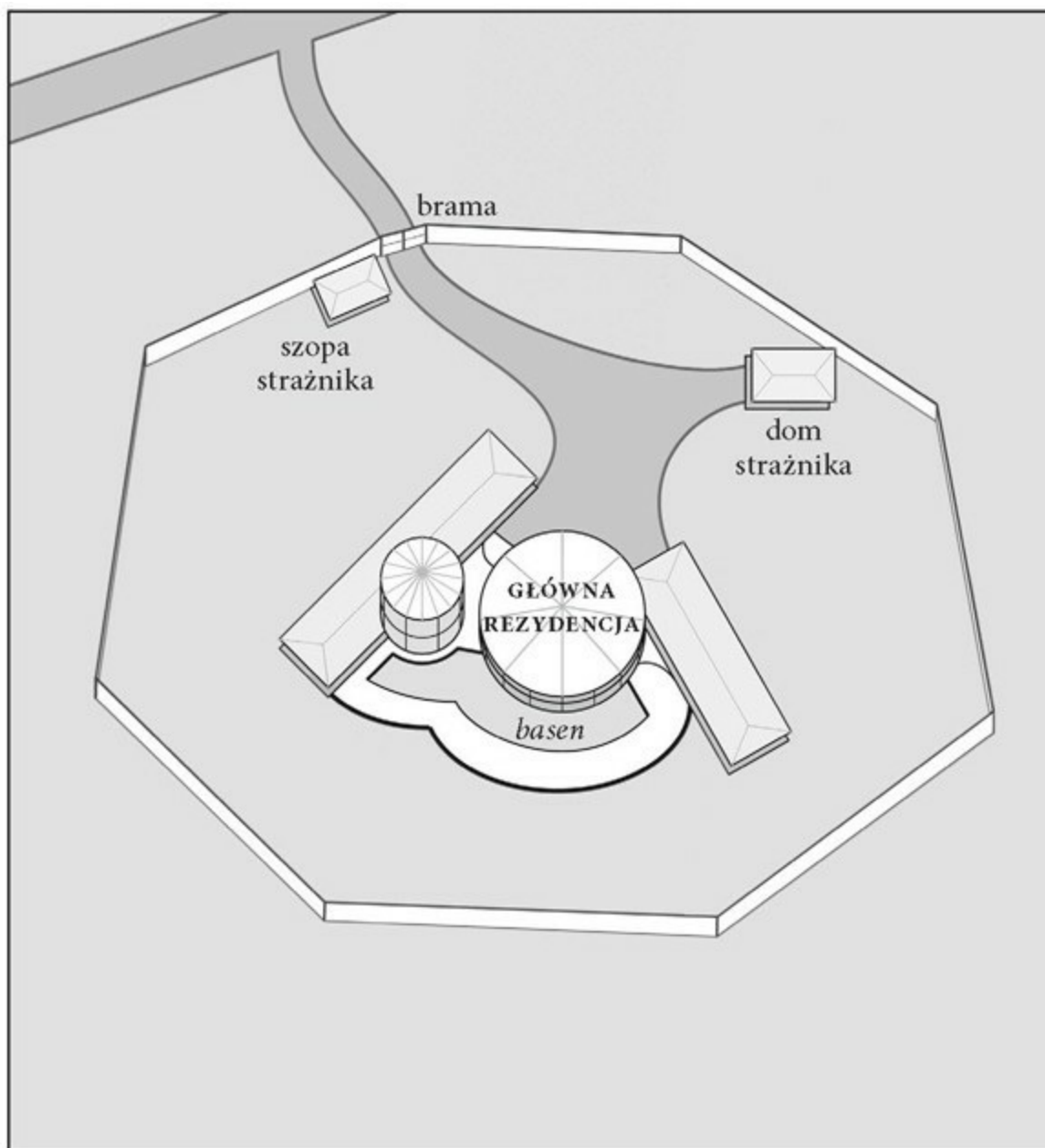
Ściany w środku były tak samo białe jak na zewnątrz. Wprowadzono tam Zarifa, po czym przywiązano go do krzesła. Chociaż Riley dostał informację, że nikogo tu nie będzie, kazał Kubańczykom sprawdzić cały teren i wszystkie budynki od piwnic po dach – kryty basen, wolno stojący dom dla gości, garaż i kilka zabudowań gospodarczych. Gdy Kubańczycy zbadali miejsce, potwierdzili, że są naprawdę sami.

Agent RGB Kim z czterema Kubańczykami powtórnie sprawdził teren, a sześciu pozostałych zajęło miejsca w głównym budynku: trzech na balkonie drugiego piętra, trzech przy więźniu.

Zarif całą trwającą godzinę drogę milczał i nie odezwał się nawet wtedy, gdy Riley zdjął mu z głowy poszewkę. Przez chwilę raziło go światło, a gdy przywykł, wpatrywał się w otaczające go luksusy z zakłopotaniem.

Riley usiadł naprzeciwko niego na kanapie.

– A więc możemy już zaczynać?



Posiadłość w Cuernavaca

Kampus starał się nie spuszczać z oczu samochodów Riley'a i jednocześnie unikać wywoływania podejrzeń. Było to trudne zadanie, ale wszystkie cztery pojazdy prowadzili eksperci w takich akcjach. Gdy po opuszczeniu Toluki okazało się, że Riley i jego ludzie minęli przedmieścia i nie wracają już do Mexico City, Caruso i Ryan oderwali się od grupy i przyspieszyli, starając się wyprzedzić swój cel i jechać w założonym kierunku. W chwili gdy mijał ich Riley i jego trzy pojazdy, inny pojazd, należący do zespołu Kampusu, mógł jechać prosto do celu – o ile byłby im znany – albo przyległymi, albo bocznymi drogami, żeby nie być widoczny.

Zadanie ułatwiały im zapadające ciemności i łagodny, ale ciągły deszcz. Clark wiedział jednak, że nie mogą zbyt długo kontynuować takiej jazdy, pozostając w ukryciu.

W końcu Riley zjechał z autostrady i skręcił na drogę do Cuernavaki, potem wszystkie trzy pojazdy minęły miasto. Na kilka minut agenci Kampusu stracili ich z oczu, ale Chavez dostrzegł trzy pary tylnych świateł poruszających się po drodze na zboczu wzgórza, więc po kluczeniu i kilku błędnych zakrętach ludzie Kampusu wrócili na trop człowieka, którego starali się znaleźć od samego Nowego Jorku.

Krótko po jedenastej w nocy lexus i dwa jeepy minęły bramę nowoczesnej rezydencji. W tym momencie tylko Clark i Driscoll byli blisko, natomiast tamci znajdowali się w tyle na krętej drodze – w odległości około stu pięćdziesięciu jardów – i przeoczyli fakt, że ich cel opuścił drogę. Szybko jednak zawrócili i ujrzeli światła pojazdów parkujących przed kosmicznym budynkiem na wzgórzu.

Clark zebrał oddział, a następnie połączył się z Gavinem w Alexandrii i polecił mu sprawdzić właściciela posiadłości, a potem zaraz oddzwonić. Krótko potem powiadomił zespół, jaki ma plan.

– Dwóch z nas wejdzie na teren od tyłu i sfotografuje nieznaną nam jeszcze cel, czyli faceta złapanego pod kinem. Riley przebył długą drogę, żeby ściągnąć tu tego faceta, i ostatecznie musimy się w końcu, do cholery, dowiedzieć, kim on jest.

Driscoll i Ryan zajęli pozycję obserwacyjną, korzystając wyłącznie ze sprzętu, jaki każdy z nich miał w plecaku. Sam dysponował doskonałym aparatem fotograficznym, a Jack miał czarny kaptur i noktowizor; obaj mieli też małe pistolety Smith & Wesson, ale żaden z nich nie zamierzał rozpoczynać strzelaniny z dwunastoma ludźmi.

Szczególnie gdyby mieli występować w obronie jakiejś ofiary, która w tym momencie nic dla nich nie znaczyła.

Trzydzieści minut po przyjeździe Rileya i jego ludzi agenci Kampusu przekroczyli ogrodzenie od strony sąsiedniego terenu i znaleźli się w leszczynowym zagajniku. Ryan przez chwilę sprawdzał otoczenie przez czterdziestomilimetrowy noktowizor, żeby upewnić się, czy w pobliżu nie ma psów i strażników, ale było czysto, więc wolno przeszli przez lasek. Przez pierwsze dwadzieścia pięć metrów zdawało im się, że każdy krok robi okropny hałas, jakby butami zgniatali muszle.

W końcu wyszli na otwarty teren. Ryan jeszcze raz obejrzał budynek i dostrzegł mężczyznę na wieży, który patrzył w ich kierunku, więc razem z Samem wycofał się między drzewa. Ruszyli wzdłuż tylnego ogrodzenia, oddalając się w stronę zabudowań posiadłości położonych najdalej od budynku głównego.

Znaleźli dobrą kryjówkę przed dwoma patrolującymi ludźmi, chowając się w zagajniku palmowym nad małym stawem na tyłach posiadłości, w pół drogi między ogrodzeniem a krytym basenem obok willi. Mieli tam dobry punkt obserwacyjny, skąd mogli przyjrzeć się całej tylnej części budynku.

Driscoll wyjął nikona, założył 500-milimetrowy obiektyw i skierował go na bogato urządzone, oświetlony jasno główny pokój. Zaraz po ustawieniu ostrości zobaczył Edwarda Rileya spacerującego tam i z powrotem. Zrobił kilka zdjęć. W pokoju był też ten sam Azjata, którego pierwszy raz widzieli około południa w hotelu w Mexico City. Jego także sfotografował. Stało tam również trzech osiłków o hiszpańskim typie urody, siedział też ten facet, którego Riley porwał w Toluca.

Sam, po zrobieniu kilku zdjęć tego człowieka, rzekł cicho do mikrofonu:

– Ten biedak został pobity. Wygląda tak, jakby zmuszali go do mówienia.

Clark ciągle był na zewnątrz w durango.

– Czy pytania zadaje Riley?

W tym momencie Sam zobaczył, że Riley coś mówi. Potem Azjata ponownie przywiązał ofiarę.

– Mogę tylko zgadywać, ale prześlij zdjęcia jego twarzy Gavinowi.

Gavin natychmiast zaczął pracę, kiedy tylko dostał fotografię...

Po pięciu minutach od wysłania zdjęć do Gavina została zwołana narada sieciowa wszystkich członków Kampusu.

– Hej, chłopcy! Tu Gavin. Właśnie załadowałem fotki. Spodziewam się, że potrwa to około pół godziny, może dłużej, to zależy.

– Dobra. A co z posiadłością?

– Należy do meksykańskiego banku. Grzebiąc trochę w danych CIA, natrafiłem na trop Grupa Pacífico.

– Jak ten samolot, którym przyleciał Riley – zauważył Ryan.

– Bingo – potwierdził Biery. – Właścicielem jest Óscar Roblas. To nie wygląda na osobisty adres, bardziej przypomina miejsce, które wynajął albo w którym urzęduje przyjęcia. Taka odskocznia typowa dla bogaczy, jakiej nikt z nas nigdy...

Przerwał. Po chwili Clark zapytał:

– Gavin? Uciekłeś nam?

– Och... nie. Nie uwierzycie. Mamy rozpoznanie twarzy.

– Żartujesz!

– Nie. To naprawdę nie jest żart. – Wydawało się, że Gavin był oszołomiony. – Och, rozumiem. Zakładam, że na początek przefiltrowało ją FBI i przeszła przez bazę danych CIA. To oszczędza czas, bo nie tylko sprawdza ogólną bazę danych...

Jack Ryan junior przerwał mu w pół zdania:

– Gavin! Kim, do cholery, jest ten facet?

– O, przepraszam. Według danych FBI, ten facet to Adel Zarif, czterdziestoosmioletni Irańczyk z...

– Wiemy, kim on jest – wtrącił John Clark.

Była to prawda. Wszyscy w Kampusie wiedzieli, że przez ostatnie piętnaście lat był znanym terrorystą i wytwórcą bomb.

– Wiesz, co to może znaczyć? – zapytał Caruso.

– Tak – odparł Clark. – Wczorajszy zamach.

Pięciu mężczyzn otaczających posiadłość przez chwilę zastanawiało się nad jego słowami. Tak, tu chodziło o tego, co przygotowywał zamach na prezydenta Stanów Zjednoczonych, ojca Jacka. Mieli go właśnie przed sobą. A to z kolei znaczyło, że Riley i Korea Północna byli w to zamieszani. Agenci nie wiedzieli co prawda, kim była pozostała dziesiątka, ale jeśli miała coś wspólnego z atakiem na Jacka Ryana seniora, to wydawało się, że w jej skład wchodził też Hiszpanie razem z ludźmi meksykańskiego kartelu Maldonado.

– Nie zgłosimy tego władzom Meksyku – stwierdził Clark.

Natychmiast zapadła ogólna zgoda. Nikt nie był pewny, czy Meksykanie byli na miejscu, zanim ludzie znajdujący się w środku zdążyli uciec.

– Możemy zadzwonić do Hendleya – dodał Clark – aby powiadomił Mary Pat. Ona może

przekazać informację organom wymiaru sprawiedliwości, które z kolei wejdą w kontakt z FBI. Zapewne mają w Meksyku swoich ludzi, szczególnie po tym, co się stało wczoraj.

Wszyscy milczeli.

– Albo idziemy po niego teraz – znów powiedział Clark. – Tylko że tam jest dwunastu ludzi. Nie martwię się szczególnie o Riley, ale ci faceci z RGB mają solidne wykształcenie bojowe. Wiemy, czym to się może skończyć, bo w minionych tygodniach już mieliśmy z nimi do czynienia.

– Ci faceci są pewnie częścią kartelu – zauważył Ryan. – Jako siły uderzeniowe, rewolwerowcy.

– Nie wiemy na sto procent, kim oni są – odparł Clark. – Możemy tylko podejrzewać, że ludźmi Maldonado. Jeżeli tak, to widzę szansę zajęcia tej rezydencji.

– Nie wiemy też, z kim Riley pracuje – pierwszy odezwał się Sam. – Powiedział tylko im przyjaźnie „cześć”, gdy zjawili się na trawniku, potem odprawił tych facetów, a my mamy wyłącznie zdjęcia.

Jack Ryan junior postanowił jednak wejść do budynku frontowymi drzwiami. Razem z pozostałymi agentami Kampusu albo bez nich. Ci ludzie próbowali zabić jego ojca i teraz miał ich piekielnie blisko. Dyskusja w sieci z kolegami była dla niego tylko gdybaniem, chociaż wiedział, że bez nich ma marne szanse.

– Okej – rzekł Clark. – Okej! Zajmujemy ten budynek. Nie mamy ładunków wybuchowych umożliwiających sforsowanie drzwi, nie dysponujemy kamizelkami kuloodpornymi, długą bronią, danymi wywiadowczymi o uzbrojeniu nieprzyjaciela ani planem odwrotu. Czas jednak ucieka. Mamy natomiast pistolety, element zaskoczenia i motywację. Chcę usłyszeć od was, jakie macie pomysły, i to zaraz!

Następne pięć minut oddział spędził na planowaniu. W tym czasie Dom Caruso przeskoczył przez wschodnie ogrodzenie posiadłości, oddalone o dziesięć jardów od Ryana i Driscolla znajdujących się po stronie północnej.

Znalazł tam znakomitą kryjówkę, wczołgując się pod kwitnącą jakarandę. Po znalezieniu się na pozycji połączył się z siecią.

– Jak zamierzacie przejść przez ten otwarty teren? – zapytał. Odpowiedział mu Domingo Chavez:

– Musisz tylko odwrócić ich uwagę, a ja mam na to swój pomysł.

Edward Riley był pod wrażeniem odporności Irańczyka na ból. Z pewnością miał teraz złamaną szczękę i nos. Kości oczodołów też wyglądały paskudnie, pod lewym widniała czarna opuchlizna, dużo zębów miał też już wybitych. Krew sączyła się z ust i nosa, jednak nadal nic nie powiedział. Mamrotał tylko *Allah akbar* i coś, co Riley uznał za przekleństwo.

Anglik spojrzął na zegarek. Chciał to mieć za sobą w ciągu tego dnia, ale sytuacja nie wyglądała dobrze i nawet teraz, chociaż Zarif coś mruczał, Riley ciągle nie znał miejsca, w którym mógłby się znajdować ten rzekomy komputer z plikami. Nie wiedział, czy Irańczyk miał współników w Meksyku, czy po prostu poszedł do biblioteki lub sklepu z elektroniką, czy też nawet załadował to wideo na komórkę i wysłał pod jakiś przypadkowy adres. Gdzieś, tego Riley był pewien, istniał dowód na to, że Korea Północna była związana z wczorajszym zamachem na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Ktoś zawołał nagle coś po hiszpańsku z balkonu nad drzwiami frontowymi. Riley spojrzął na

otaczających go mężczyzn.

Do pokoju wszedł Kubańczyk mówiący po angielsku, po czym zwrócił się do Riley'a i Kima:

– Mówią, że zbliża się samochód. Mercedes. Siedzi w nim tylko kierowca.

Nie zabrzmiało to dla Riley'a groźnie, ale musiał jakoś zareagować. Podeszedł do drzwi z Kubańczykiem znającym angielski. Zarifa nie było stamtąd widać, ponieważ kręte schody zasłaniały widok na główny pokój.

Riley otworzył drzwi w chwili, gdy z czarnego mercedesa wysiadał z kluczykiem w ręce elegancko ubrany Latynos w wieku około czterdziestu pięciu lat. Miał rozluźniony krawat i rozpiętą koszulę. Wchodząc na stopnie przed wejściem, lekko się zataczał.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał Riley.

– ¿Qué?

Kubańczyk powiedział coś do przybysza, ale ten odezwał się dopiero, gdy był już u wejścia.

– On pyta, gdzie jest wuj Óscar – wyjaśnił Kubańczyk.

– Óscar Roblas?

– Sí – odparł mężczyzna. Był wyraźnie pijany; Riley słyszał, że jego hiszpański jest niewyraźny. – *Tío Óscar.*

– Powiedz mu, że Óscar Roblas wynajął nam ten dom na dzisiejszą noc. Może do niego zadzwonić i sprawdzić, ale niech to robi na zewnątrz, bo obecnie mamy... spotkanie biznesowe.

Riley położył dłoń na piersi mężczyzny i zaczął go pchać ku drzwiom. Ten zatoczył się i coś wymamrotał.

– On pyta, czy przed odejściem może skorzystać z łazienki. Powiedział, że to pilne – wyjaśnił Kubańczyk. Riley przez chwilę przyglądał się przybyłemu, aż w końcu powiedział:

– Tak. Oczywiście, może skorzystać.

Gość skinął głową i skierował się do korytarza prowadzącego na tyły budynku. Po przejściu około dziesięciu stóp usłyszał jednak za sobą charakterystyczny dźwięk odbezpieczonego pistoletu, który odbił się głośnym echem w pustym pomieszczeniu.

– Dobry wieczór, panie Domingo Chavez. Miło, że pan wpadł.

Chavez odwrócił się powoli z uniesionymi rękami. Teraz Riley patrzył mu prosto w oczy. Uśmiechał się ironicznie, mierząc berettą 92 w jego pierś. Najwyraźniej wziął broń Kubańczyka idącego obok niego.

Chwilę wcześniej, gdy Chavez wchodził do budynku, wydarzyły się dwie bardzo złe rzeczy – jedna z nich była oczywista. Riley go rozpoznał, chociaż Ding nie miał pojęcia jak.

Ale ta druga była potencjalnie gorsza. Gdy tylko mężczyzna zaczął mówić po hiszpańsku, Chavez stwierdził, że nie był to słabo wyszkolony członek kartelu z zachodniego Meksyku. Nie, to był Kubańczyk, wykształcony i z tego powodu powiązany z północnokoreańskimi szpiegami, irańskimi terrorystami. Ale najgorszy był fakt, że miał przed sobą prywatnie zatrudnionego na nowojorskim kontrakcie Brytyjczyka. I w umyśle Chaveza zrodziła się pewność, że tych jego dziesięciu ludzi to agenci kubańskiego Dyrektoriatu Wywiadu. Ding wiedział, że kubańscy agenci byli wyszkolonymi strzelcami, a w związku z tym jego czteroosobowy zespół na otwartym terenie był z góry skazany na porażkę.

Riley zaprowadził Chaveza do głównego pokoju i kazał mu stanąć obok siedzącego Zarifa. Potem zwrócił się do dwóch obecnych tam Kubańczyków.

– Zabezpieczyć budynek. Przekazać to pozostałym. Ten człowiek jest z CIA i na pewno są tu jego towarzysze.

Po lewej stronie dwóch mężczyzn celowało w Chaveza. Riley znajdował się sześć stóp przed nim, a Kubańczyk, który powitał go u drzwi wejściowych, wyjął mały pistolet i zajął miejsce dziesięć stóp po prawej od Chaveza. Był tam też obecny Koreańczyk, opierał się o sofę, ale Chavez nie widział, żeby miał ze sobą broń.

Riley zwrócił się do niego:

– Ten człowiek śledził mnie kilka miesięcy temu w Nowym Jorku – odezwał się Riley. – Wtedy miał ze sobą kumpli, amerykańskich agentów. Jeżeli teraz są tutaj, to musimy się zmywać.

– Przygotujemy auta...

– Najpierw trzeba skończyć z Zarifem. – Riley wskazał lufą pistoletu zaskoczonego Irańczyka, który chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. – Twój czas dobiega końca, kolego. Jestem gotów strzelić ci w kolano, kostki, jaja, a potem w głowę.

Podniósł broń. Irańczyk wrzasnął ze strachu, a Chavez skoczył, aby chwycić pistolet Riley'a.

Riley, widząc to, skrócił dystans między sobą a Chavезem do jednej stopy i próbował zmienić kierunek lufy beretty, celując w Chaveza. Chavez chwycił Riley'a za nadgarstek, odwrócił broń w kierunku uzbrojonego mężczyzny i ten ruch spowodował, że Anglik pociągnął za spust. Pistolet wypalił i dziewięćmilimetrowy pocisk przeleciał pokój z szybkością 1100 stóp na sekundę, trafiając Kubańczyka w prawe ramię, obracając jego ciało o sto osiemdziesiąt stopni i sprawiając, że jego broń wypaliła i kula trafiła w ścianę nad głową Chaveza.

Chavez pochylił się, uderzeniem głowy powalił Riley'a na zimną posadzkę, wytrącając broń z jego

ręki. Wycelował w Koreańczyka, ale natychmiast zobaczył, że ten nie sięga po broń, więc odwrócił się w kierunku podestu pierwszego piętra. Przez balustradę przechylał się uzbrojony Kubańczyk.

Zarif znalazł się zapewne dokładnie za Chavezem, na linii strzału. Agent odwrócił się, przewrócił krzesło Irańczyka, potem strzelił przez ramię do tyłu, trafiając Kubańczyka w głowę.

Kątem oka dostrzegł, jak Koreańczyk biegnie w kierunku schodów do salonu na piętrze. Za nim ruszył Riley.

Chavez chwycił Zarifa za kołnierz i zaczął wlec go po podłodze, aby ukryć przed strzałami z piętra. Wtedy zjawił się drugi Kubańczyk. Przeskoczyli przez balustradę i ruszyli ku niemu, trzeci i czwarty wbiegli głównym wejściem do budynku. Chavez wiedział, że nie może się zająć wszystkimi czterema naraz.

Przez drzwi do kuchni wpadli Jack Ryan junior i Dominic Caruso. Wystrzelili natychmiast. Mężczyźni w holu wejściowym zaczęli się kryć, ale tylko jednemu się to udało. Drugi padł na plecy, krew trysnęła na białe płytki.

Kubańczycy na piętrze zaczęli strzelać, ale Chavez mógł już teraz uniknąć trafienia. Nadal wlokąc Zarifa poza zasięg kul, zdążył jeszcze strzelić do jednego z tych, którzy znajdowali się na schodach. Potem padł na podłogę za masywną kanapą, gdy w wejściu do budynku pojawiło się więcej przeciwników.

Driscoll zeskoczył z gałęzi drzewa na balkon pierwszego piętra po zachodniej stronie budynku. Panował tu spokój, więc mężczyzna wyciągnął pistolet i podkradł się do tylnych drzwi, ale gdy na dole zabrzmiały strzały – o wiele za szybko, niż którykolwiek z nich się spodziewał – przyspieszył kroku.

Na wieży z tyłu znajdował się jakiś człowiek. Sam minął narożnik, aby odciągnąć jego uwagę, ale mężczyzna przeszedł przez szklane drzwi, zapewne po to, żeby sprawdzić źródło strzałów w domu. Sam szybko ruszył za nim, przebiegł przez pustą sypialnię dla gości i zajrzał do holu. Po lewej widział rząd drzwi i dalej ciemny korytarz, po prawej korytarz kończył się podestem.

Właśnie stamtąd dochodziły strzały, ale ze swojego miejsca nikogo nie widział.

Wyszedł na korytarz w tym samym momencie, w jakim znalazł się tam ten Kubańczyk, który wcześniej wszedł z balkonu do pokoju znajdującego się po lewej stronie Sama. Obaj mężczyźni zobaczyli się w jednej chwili; byli od siebie oddaleni cztery stopy. Wyciągnęli pistolety i ruszyli na siebie. Zderzyli się i broń wypadła im z rąk na podłogę.

Sam zamachnął się, ale Kubańczyk uchylił się i wyciągnął nóż. Driscoll nie sięgnął jednak po swój, tylko doskoczył do przeciwnika i zablokował mu ręce. Obaj mężczyźni zaczęli przesuwać się wzdłuż korytarza, aż padli na podłogę. Sam ruszył na leżącego na plecach mężczyznę, który skierował nóż w jego pierś, ale Driscoll nadal trzymał go za nadgarstek, odpychając z całej siły ostrze.

Ryan i Caruso strzelali z kuchni ku wejściu, gdzie stało kilku atakujących.

Ding klęczał za kanapą w centrum pokoju, a Zarif – ciągle przytroczony taśmami do krzesła – leżał na boku obok niego.

Ryan wiedział, że Sam był zupełnie sam na piętrze. Dwóch ludzi z patrolu załatwili, używając noży, potem podeszli do domu, kiedy drugi patrol ruszył do drzwi. Nie zauważyli jednak od razu, że

koreański agent RGB i Riley wbiegli na schody. Jeżeli mieli ze sobą broń albo odebrali ją zabitym na podeście, to Driscoll znalazł się na piętrze sam przeciwko kilku wrogom.

Ryan musiał znaleźć sposób, żeby dostać się na górę. W tym celu ruszył przez otwartą przestrzeń salonu. Z czterema nabojami, jakie mu zostały w dziewięciopistoletowym subkompaktowym pistolecie, wskoczył za Chavez, wystawiając siebie na ogień czterech przeciwników przy wejściu. Ding i Caruso, widząc działania Ryana, wychylili się ze swoich pozycji, wystrzelili do wrogów, by odwrócić ich uwagę, i ponownie się schowali.

Ryan był już na schodach, biegnąc tuż przy ścianie, aby znaleźć się poza zasięgiem wzroku strzelających od wejścia. Ruszył na piętro, kierując lufę pistoletu raz za siebie, raz przed siebie.

John Clark nacisnął hamulec przed drzwiami frontowymi i wyskoczył z auta na zwirową nawierzchnię podjazdu, gdy ustał ogień skierowany w jego stronę.

Jego zadaniem było przygotować samochód do ewakuacji, ale gdy Chavez wcześniej zaczął strzelać, Clark wiedział już, że ten plan nie wypali. Postanowił włączyć się bezpośrednio do akcji.

Wstał zza maski dużego SUV-a i strzelił lewą ręką do mężczyzny na balkonie, trafiając go w czoło. Ten przechylił się przez balustradę i spadł na dach durango.

Clark ruszył do drzwi frontowych. Biegnąc, zawiadomił swoich ludzi, że wchodzi, aby go przypadkiem nie zastrzelili, gdy będzie w środku.

Riley i Kim z RGB wbiegli do pierwszego pokoju na górze. Riley otworzył okna, ale Koreańczyk chciał mieć broń, na wypadek gdyby na zewnątrz napotkali opór. Wrócił więc i zobaczył obu Kubańczyków martwych; zostali zapewne trafieni z salonu piętro niżej. Podniósł pistolet jednego z nich i ruszył do schodów. Po drodze szukał okna, przez które mógłby uciec, albo przynajmniej pokoju, w którym mógłby się zabarykadować i stawić opór amerykańskiemu agentom.

Wbiegając do korytarza, zobaczył przed sobą ruch – nie patrząc, uniósł pistolet i wypalił. Natychmiast dostrzegł brodatego Amerykanina kryjącego się za martwym Kubańczykiem. Na podłodze przed nim leżał porzucony pistolet. Mężczyzna podniósł go i skierował lufę w Koreańczyka.

Kim znowu wypalił i natychmiast poczuł cios, gdy coś nieokreślonego uderzyło go w pierś i odrzuciło do tyłu. Padł na plecy. Próbował oddychać, ale daremnie. Czuł, jak krew wypełnia mu usta, oczy robią się ciężkie, bezwładne. Zanim je zamknął, zmusił się jeszcze do uniesienia głowy i spojrzenia przez stopy na korytarz. Poczul nagły spokój, bo brodaty Amerykanin tak jak on leżał na plecach, a z jego piersi płynęła krew.

Sam jest ranny! Sam jest ranny! – krzyknął Ryan do mikrofonu, przeskakując nad ciałem Koreańczyka, potykając się o Kubańczyka z nożem w piersi, a potem padając na kolana przy Samie Driscollu. Oczy Sama były zamknięte, twarz zastygła, leżał bez ruchu.

– Sam!

Ryan zaczął uciskać ranę. Znajdowała się nad sercem i choć wyszkolenie i zdrowy rozsądek podpowiadały mu, że nic już mu nie pomoże, jednak kontynuował, jednocześnie wzywając przez mikrofon pozostałych.

Na dole ogień trwał jeszcze minutę i gdy ucichł, pierwszy zjawił się u boku Ryana Caruso, za nim Clark i na końcu Chavez, który ciągnął za sobą Zarifa z poszewką na głowie.

Sam Driscoll nie żył. John Clark jeszcze raz podjął wysiłek ratowania życia, ale śmierć kolegi była dla wszystkich oczywista. Caruso i Ryan znieśli ciało na parter i bez słowa ułokowali w durango, natomiast Chavez związał Irańczyka jak mumię i umieścił na tyle pojazdu.

Odjechali. Milczeli przez kilka minut, aż Caruso przerwał ciszę, dzwoniąc do Adary Sherman, aby ją zawiadomić, że odrzutowiec ma być gotowy do startu za pół godziny.

Ich emocje wahały się od smutku poprzez wściekłość po napływ resztek adrenaliny, która zawsze zaczyna krążyć po ukończeniu operacji, aby później szybko zastąpiło ją całkowite wyczerpanie.

W końcu pierwszy odezwał się Ryan. Nie nawiązał do tego, co się wydarzyło, tylko zadał pytanie, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć, ale wszyscy chcieliby znać odpowiedź:

– Co się, kurwa, stało z Rileyem?

Edward Riley biegł w ciemności w dół wzgórza. Padał, podnosił się i potykał. Z czoła sączył mu się krew, jego ubranie było w strzępach. Ręce i nogi miał podrapane do krwi przez krzaki, przez które musiał się przedzierać, i ogrodzenie, z którego spadł.

Wydawało mu się, że przebiegł już milę albo i więcej, chociaż w rzeczywistości było to dużo, dużo mniej. Gdzieś przy sobie miał telefon; chciał go użyć, ale ciągle dominowała w nim chęć zapewnienia sobie bezpieczeństwa, jego jedynym pragnieniem było teraz przeżyć – i nic więcej.

Omam nie zginął, ale teraz był już ostatecznie skompromitowany i nie mógł wrócić do domu w Stanach. Nie miał nic do powiedzenia w sprawie swojej misji. Zakończyła się kompletną kląpą.

Biegł dalej w dół wzgórza, nic lepszego nie mógł teraz wymyślić.

Ri Tae-jin nie krzyczał, nie zawodził ani nie groził. W ogóle na nic nie reagował. Po prostu odłożył słuchawkę telefonu i zamrugał oczami, które nie wyrażały żadnych uczuć. Był w swoim gabinecie sam, przynajmniej teraz, więc mógł robić, co zechce, ale jego jedynym pragnieniem w tym momencie była chwila spokoju.

Zabójca zniknął i teraz zapewne znajdował się w rękach Amerykanów.

Przegrał. Prezydent żył, a zaangażowanie Korei Północnej w zamach na jego życie wkrótce będzie zupełnie oczywiste. „Ognisty Topór” stał się kompletną katastrofą.

Znowu zamrugał i w jego głowie pojawiła się nowa myśl. Chwytał słuchawkę i czekał na zgłoszenie się sekretarza.

– Słucham, towarzyszu generale?

– Chcę mówić z kimś z Techniki.

– Mogę połączyć z dyrektorem Pakiem. Chwileczkę...

– Nie, chcę kogoś z Wyposażenia Technicznego. Dział Projektów Specjalnych. Nie z dyrektorem. Tylko z kimś, kto ma dostęp do magazynów. Mam jedno niezbyt ważne pytanie w kwestii wyposażenia technicznego oraz pewnych materiałów.

– Dobrze, towarzyszu. Towarzysz Li pracuje jako asystent zaopatrzenia i dostaw.

– Będzie się nadawał. Daj mi go.

Czekając na połączenie, zerknął na swoje medale na piersi. Od czasu do czasu prostował je, ale teraz były równo przypięte. Wszystkie w jednej linii, szereg nad szeregiem, równe kolumny.

– Towarzyszu generale? Tu towarzysz Li Hyon-chol. Czym mogę wam służyć?

Generał Ri przyjechał do domu swoim opancerzonym autem trochę później niż zwykle, jednak żona tego nie skomentowała. Na stole była już kolacja, dwoje dzieci siedziało na swoich krzesłach. Ri przystanął w progu, pokiwał kierowcy i żonie – czego zwykle nie robił – kobieta też nic na ten temat nie powiedziała.

Wszedł do środka. Żona wyciągnęła ręce, żeby zdjąć mu mundur ze stójką, jednak powiedział, że tego popołudnia jest mu chłodno i woli go nie zdejmować. Gdy próbowała odebrać od niego teczkę, powiedział, że tam są dokumenty, które chce mieć przy sobie w czasie kolacji.

Uśmiechnęła się, skłoniła i usiedli do stołu.

Postawił teczkę pod blatem, pocałował syna i córkę, po czym wysłuchał, co działo się dziś w szkole: dzieci pojechały obejrzeć nowe portrety Dae Wonsu w muzeum sztuki narodowej. Okazały się nawet piękniejsze, niż obiecywał im nauczyciel.

Ri uśmiechnął się i skinął głową, a potem jak zwykle patrzył na żonę.

Co wieczór przed kolacją robili to, co praktycznie każda rodzina: śpiewali pieśni o ich drogim przywódcy. Zwykle żona wybierała utwór i chociaż Tae-jin zachowywał się dziwnie, dziś wieczorem nie miało być inaczej.

– Jest już późno i kolacja wystygnie, więc może zaśpiewamy krótszą pieśń? – Uśmiechnęła się do dzieci i dodała: – Zapewne pamiętacie *Nie chodź na zimny śnieg, drogi przywódco*, prawda?

Dzieci roześmiały się i zaklaskały. Była to ich ulubiona pieśń.

Ri potrząsnął jednak głową.

– Nie dziś. Dziś weźmiemy się za ręce, usiądziemy razem i pomyślimy o naszej rodzinie. O nas samych, nie o Dae Wonsu. Nie dzisiejszego wieczoru.

Dzieci przekrzywiły główki, a żona spojrzała na męża zakłopotana.

Ktoś zapukał do drzwi. Kobieta wstała, żeby pójść i zobaczyć, kto to, ale mąż polecił jej usiąść.

– Ale... ktoś puka – powiedziała. Ri uśmiechnął się do niej, potem do dzieci.

W tym momencie drzwi wyskoczyły z zawiasów, z futryny posypały się drzazgi. Do domu wpadli uzbrojeni żołnierze w zielonych mundurach. Krzyczeli, trzymali broń gotową do strzału.

Dzieci próbowały zeskoczyć z krzesel, ale Ri powstrzymał je, chwytając za ramiona. Żona była przerażona i zaszokowana, jednak nie ruszyła się z miejsca.

Generał porucznik Ri puścił ramię córki i wsunął rękę pod stół. Zamknął oczy, pociągnął za coś zwisającego u rączki teczki i w sekundę później cały dom eksplodował po zdetonowaniu dwóch kilogramów semteksu.

Psy w Chongjin tego wieczoru znowu poszły głodne spać.

Dyrektor Hwang Min-ho siedział w prowizorycznym gabinecie na piętrze zakładu obróbki rudy minerałów ziem rzadkich w Chŏngju, patrząc uważnie na trzymaną w ręce paczkę. Przed chwilą przybył kurier z Pjongjangu i dostarczył przesyłkę, mówiąc Hwangowi, że to list od generała Ri.

Interesujące. Przecież Ri mógł po prostu chwycić słuchawkę i zadzwonić. Hwang otworzył paczkę, potem kopertę i wyjął arkusz papieru. Z zaskoczeniem zobaczył, że generał napisał list odręcznie.

Towarzyszu Dyrektorze Hwang.

W ostatnim roku osiągnęliśmy dużo. Napędzały nas wspólne inspiracje i wysiłki, jednak niestety same motywacje nie wystarczyły, nie doprowadziły nas do sukcesu, do którego obaj dążyliśmy. Nasz plan był solidny, a wykonanie lepsze, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać – z dumą możemy stwierdzić, że pokonując po drodze wiele przeszkód, byliśmy bliscy jego realizacji.

Żałuję, że dłużej nie będę mógł wspierać rozwoju kopalni w Chŏngju. Kiedy zostanie mianowany mój następca, mam nadzieję, że znajdzie pan w nim lepszego partnera do realizacji pańskiego zadania.

Życzę powodzenia

Ri

Hwang nie mógł w to uwierzyć. Ri nie mógł tak po prostu wycofać się z operacji doprowadzenia Chŏngju do pełnej sprawności produkcyjnej. Drżącą ręką chwycił więc słuchawkę i wykręcił numer gabinetu generała w Pjongjangu. Łącząc się, spojrzał na zegarek. Późny ranek, Ri powinien siedzieć już przy biurku.

Odebrał sekretarz. Hwang przedstawił się i poprosił o połączenie z generałem.

– Przykro mi, towarzyszu dyrektorze, ale generał Ri zmarł wczoraj wieczorem w wyniku wybuchu gazu w swoim domu.

Hwang przez chwilę milczał, potem zapytał:

– Razem z rodziną?

– Na nieszczęście wszyscy zginęli.

Hwang podziękował sekretarzowi, odłożył słuchawkę i oparł głowę na blacie biurka.

Ten sukinsyn popełnił samobójstwo, w to Hwang nie wątpił ani przez chwilę. Wiedział o zamachu na prezydenta Stanów Zjednoczonych tylko tyle, ile podała sterowana telewizja państwowa. Nic nie wspomniano o tym, że była w to zamieszana Korea Północna, dlatego nie rozumiał, czemu szef RGB postanowił wysadzić w powietrze siebie i całą swoją rodzinę. Jednak nie spędził dużo czasu, zastanawiając się nad motywacjami Ri. Zamiast tego natychmiast skupił się na własnej, teraz niepewnej sytuacji.

Przemyślał swoje możliwości i szybko doszedł do wniosku, że nie ma żadnych. Ri nie mylił się w liście. Dużo zrobili w ciągu roku i byli blisko osiągnięcia celu. Ale teraz, gdy Ri odszedł, Hwang nie miał szans doprowadzić kopalni do pełnej sprawności w obróbce rudy, transporcie gotowego produktu, sprowadzaniu urządzeń do rafinacji, a także w handlu rzadkimi minerałami. Potrzebował aktywnego udziału RGB w pracy z Óscarem Roblasem za granicą na wszystkich etapach cyklu produkcyjnego.

Dyrektor przemysłu wydobywczego przez miniony rok ciężko pracował i nawet z ostatnimi problemami, jakie stworzyli mu Amerykanie przez zablokowanie dostawy zbiorników flotacyjnych, ciągle widział możliwość dalszego doskonalenia linii produkcyjnej. Ale teraz, na skutek ostatnich wypadków, wiedział, że to było już niemożliwe. Gdy doszedł do takiego wniosku, ogarnęła go rozpacz.

Jeżeli poniesie klęskę, straci życie. Ciągle o tym myślał, jednak najbardziej bał się o swoje dzieci. Nie zrobiły nic złego, sławiły i czciły Dae Wonsu przez cały swój krótki żywot, a Dae Wonsu w każdej chwili mógł rozkazać je zabić.

Mogły umrzeć za błędy ojca. To wydawało mu się skrajnie niesprawiedliwe.

Wolno uniósł głowę. Nie. Hwang nie popełni błędu. Generał Ri pobłądził i wybrał tchórzliwą drogę ucieczki. Dlaczego dzieci Hwanga miałyby za to zapłacić?

W oczach dyrektora zabłysła determinacja. Nie będzie tu siedział bezczynnie i czekał na konsekwencje błędu kogoś innego.

Przysunął telefon i połączył się z sekretarzem.

– Połącz mnie z oddziałem Chińskiego Banku Rolnego w Singapurze, chcę rozmawiać z wiceprezesem Changiem Lanem.

Czekając na połączenie, układał w głowie nowy plan. Gdy Chang Lan ostatnio odwiedził Pjongjang, Hwang uzyskał informację od jednego z członków swojego sztabu, że zadawał uszczypliwe pytania o życie prywatne pewnych urzędników wchodzących w skład rządu Korei Północnej. Pracownik Hwanga zastanawiał się, czy powinien udzielać informacji na temat spraw wewnętrznych, które dotyczyły też bezpieczeństwa państwa. Hwang polecił mu trzymać język za zębami. Bank, którym kierował Chang Lan, miał jednak duże znaczenie dla kopalni w Chöngju, a Hwang nie chciał, żeby paranoicznie czuwające nad bezpieczeństwem goryle tajnych służb zaczęły nękać prezesa ważnej instytucji finansowej z powodu jakiejś głupiej plotki.

Hwang nie sądził, żeby ten człowiek pracował w chińskim wywiadzie, ale z pewnością miał

kontakt z Pekinem i z tamtejszym Ministerstwem Bezpieczeństwa Państwowego. I chociaż Chang Lan nie był jego przyjacielem, to w każdym razie był kolegą i mógł go skontaktować z innym Chińczykiem. Ten z kolei mógł mu pomóc zrobić to, co mogło ocalić Hwanga i i jego rodzinę.

Mógł im pomóc uciec.

Dyrektor National Clandestine Service CIA wiedział, gdzie znaleźć dyrektora Wywiadu Narodowego. Brian Calhoun ostatnio trzy razy dzwonił do biura Mary Pat Foley i dowiadywał się, że zeszła do centrum dowodzenia „Acrid Herald”. Tym razem wykręcił więc numer do biura na drugim piętrze. Odebrała telefon w prywatnym pokoju pełnym komputerów i sprzętu komunikacyjnego.

– Cześć, Brian. Myślałam, że złapiesz mnie, czając się gdzieś za kulisami „Acrid Herald”.

– Twoje stanowisko daje ci prawo do przebywania w takiej części budynku, jaką sobie wybierzesz – odparł Calhoun. – Cieszę się, że cię w końcu znalazłem. Właśnie dostaliśmy ważną wiadomość wywiadowczą.

– Mów.

– W ramach śledztwa dotyczącego zagranicznych kont używanych przez Koreę Północną monitorowaliśmy działalność oddziału chińskiego banku w Singapurze. Placówka CIA dysponowała programem pozwalającym łączyć się z NSA i przechwytywać informacje dotyczące ważnych urzędników banku. To nowy program, jeszcze go testujemy, ale myślę, że właśnie mamy coś ważnego.

– Mów dalej.

– Dyrektor północnokoreańskiej kopalni Hwang Min-ho skontaktował się z prezesem tego banku, z którym najwyraźniej znał się od dłuższego czasu. W rozmowie wyraził chęć ucieczki do Chin.

– Mój Boże! Dlaczego?

– Tego nie wiemy na pewno. Nie słyszeliśmy Hwanga bezpośrednio i bankier nie powiedział też tego wprost, tylko przekazał, że Hwang chce wyjechać z Korei Północnej razem z rodziną tak szybko, jak to możliwe. Bankier powiedział, że nie może ich zabrać ze sobą do Chin, ale za tydzień odbędzie się w Pjongjangu spotkanie z nim i chińskimi specjalistami kopalnianymi.

Mary Pat zaczęła ze złością notować.

– To znaczy, że zaczyna zaglądać mu przez ramię kłeska kopalni Chŏngju – stwierdziła. Calhoun się z nią zgodził.

– Boi się, że stanie przed plutonem egzekucyjnym. Nie sądzę, żeby jakiś inny powód zmusił go do podjęcia takiej decyzji.

– Domyślasz się, dlaczego wybrał akurat Chiny?

– Zna ich. Nic więcej. Jednak nie wiedział, że ten jego znajomy bankier z Singapuru nie chciał być w to zamieszany. Mimo to kontaktował się z Chinami. Odkryliśmy tylko, że zadzwonił do kolegi w Pekinie i poprosił o radę. Tamten polecił mu, żeby zwrócił się bezpośrednio do Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego i nie używał telefonu ani nie powiadomił ambasady chińskiej w Singapurze, a może uda się, aby Hwang w sobotę był u nich.

– Może Hwang myśli, że Chińczycy zabiorą go?

– Nie wiemy – odparł Calhoun – ale jeżeli Chińczycy dowiedzą się o tym, że Hwang chce do nich uciec, stwierdzą, że piłka jest po ich stronie. Zastanawiam się, czy możemy jakoś wykorzystać

przewagę tych trzech dni, zanim oni się o tym dowiedzą.

Mary Pat miała pomysł i chociaż wiedziała, że nie był zbyt dobry, to rozumiała też, że nawet najbardziej zawile i skomplikowane sprawy, które kończą się sukcesem wywiadu, najczęściej zależą od czystego przypadku, od okazji, która na pierwszy rzut oka nigdy nie powinna się wydarzyć.

– Chcę jak najszybciej mieć cię tu, w centrum dowodzenia „Acrid Herald” – stwierdziła. – Musimy razem ułożyć plan, jak zaangażować w to Avalanche’a.

– Już jadę.

Adam Yao szczerze obawiał się, że zostanie odesłany z Korei Północnej do domu, i ten fakt prawie wywoływał u niego śmiech. Przez minione trzy dni polecono, żeby nie włączał swojej kruszarki stożkowej. Ruda przygotowana do zbiorników flotacyjnych leżała w wagonach stojących wzdłuż rafinerii. Była przykryta plastikowymi płachtami, aby osłonić ją przed deszczem. Nie było już więcej miejsca na magazynowanie proszku, więc dyrektor Hwang rozkazał działowi rafinacji Adama zatrzymać produkcję, by oszczędzać w ten sposób prąd. Niektóre z działów co prawda nadal pracowały – geologia, konserwacja, metalurgia – ale nikt już nie potrzebował kruszywa, więc Adam nie miał nic do roboty.

W czasie pobytu tutaj Adam widział Hwanga dwa razy. Pierwszy, gdy spacerował po wydziale rafinacji, i drugi, gdy szedł z rodziną z auta do hotelu. Pomyślał, że to dziwne, iż ten człowiek ściągnął tu swoich bliskich, ale nie zastanawiał się nad tym głębiej, Hwang był dyrektorem i mógł robić, co chciał.

Jednak za każdym razem gdy Adam widział tego niskiego mężczyznę, współczuł mu z powodu niepowodzeń. I to współczucie wywoływało w Adamie uczucie zadowolenia, bo zmartwienie Hwanga wynikało prawdopodobnie z kłopotów w doprowadzeniu zakładu obróbki minerałów do pełnej wydajności. Lecz to oznaczało też problemy dla Adama, ponieważ nie pracując przez minione trzy dni przy komputerze, nie mógł kontaktować się z „Acrid Herald”.

Wykorzystywał więc chwile przerwy, aby zdobyć więcej informacji od doktor Powers podczas porannego biegania. Czasem rozmawiali tylko minutę, niekiedy dłużej. Była tak samo zestresowana jak dyrektor Hwang, jednak z zupełnie innego powodu. Poinformowała Adama, ciągle łamanym mandaryńskim, że może przybyć nowy transport zbiorników flotacyjnych, chociaż nie wiadomo kiedy. Każdy dzień upewniał ją coraz bardziej, że powinna to wszystko rzucić w diabły i uciekać, nie oglądając się za siebie. Fakt, że te zbiorniki flotacyjne jeszcze nie dotarły, sprawiał, że znalazła się na skraju rozpacz. Chciała, aby rozpoczęto już produkcję w zakładzie rafinacji i żeby w związku z tym mogła wrócić do domu.

Tego dnia Adam postanowił skorzystać z okazji. Powiadomił kierownika zmiany, że musi przeprowadzić diagnostykę komputera i nie może czekać do jutra, żeby sprzęt się nie zepsuł. Krótko mówiąc, chce na to wykorzystać przerwę w pracy. Kierownik zmiany skonsultował się z kierownikiem piętra i Adam otrzymał zgodę. Jego dział miał otrzymać zasilanie elektryczne z generatora na dwadzieścia minut, aby Yao mógł włączyć komputer.

Prawda była jednak taka, że Adam chciał sprawdzić, czy wysłano mu jakąś wiadomość z centrum operacyjnego „Acrid Herald”.

Kiedy na jego piętrze zapłonęły światła, siedział już przy swoim terminalu. Włączył komputer i upewniwszy się, że jest sam, nawiązał łączność z siecią informacyjną. Przeglądając system, wkrótce trafił na coś, co tam już na niego czekało. Był przekonany, że jest to prośba o wysłanie aktualnej informacji, bo od dłuższego czasu nic nie nadawał, jednak gdy otworzył ją, znalazł coś zupełnie

innego. Szybko odczytał tekst, potem jeszcze raz, tylko że wolniej – nie mógł wprost uwierzyć w to, co czytał.

Czuł, jak serce zaczyna bić mu szybciej i mruknął do siebie po angielsku:

– Och... mój... Boże.

TAJNE

DO: FLASH DLA AVALANCHE

OD: TIDALWAVE

TEMAT: MOŻLIWE PRZEJŚCIE NA STRONĘ WROGA HWANG MIN-HO/PERSONEL

ODZYSKANIE/WYKLUCZENIE

ŹRÓDŁO: INFORM. WYWIADU. POSTERUNEK SINGAPUR

WEDŁUG PRZEJĘTEJ INFORM. WYWIADOWCZEJ Z POSTERUNKU W SINGAPURZE DYREKTOR KOPALNI HWANG MIN-HO POPRZEZ POŚREDNIKA WYRAZIŁ ŻYCZENIE UCIECZKI DO CHIN. NAZWISKO POŚREDNIKA: CHANG LAN – CHIŃSKI BANKIER I ZNAJOMY HWANGA. MOTYWY NIEZNANE, ALE ANALITYCY PODEJRZEWAJĄ, ŻE BOI SIĘ O OSOBISTE BEZPIECZEŃSTWO NA SKUTEK PROBLEMÓW Z RAFINACJĄ UROBKU. CHIŃSKI RZĄD NIE OTRZYMAŁ JESZCZE OD POŚREDNIKA ŻĄDANIA HWANGA, ALE MOŻE ONO NADEJŚĆ W CIĄGU 48 GODZIN.

AVALANCHE MA SIĘ SKONTAKTOWAĆ Z DYR. HWANGIEM W CIĄGU 24 GODZIN, UDAJĄC OFICERA CHIŃSKIEJ SŁUŻBY WYWIADOWCZEJ. POTWIERDZIĆ CHĘĆ PRZEJŚCIA NA DRUGĄ STRONĘ. NALEŻY GO PRZEKONAĆ, ŻE POZOSTAWANIE NA MIEJSCU GROZI JEMU I JEGO RODZINIE ŚMIERCIĄ. DOSTARCZYĆ GO DO PUNKTU 39 45'58.04" - 124 50'50.21". NOTA - POINFORMOWAĆ POŚREDNIKA, ŻE Z HWANGIEM JEST W CHŌNGJU JEGO RODZINA. JESTEŚ UPOWAŻNIONY DO WYPROWADZENIA JEGO RODZINY, JEŻELI TO BĘDZIE MOŻLIWE.

TWOJE PRZYBYCIE BĘDZIE MONITOROWANE PRZEZ SATELITĘ, POMOC NADEJDZIE DROGĄ POWIETRZNĄ.

TIDALWAVE

Yao spojrział na datę wiadomości. Została wysłana wczoraj. Właśnie upłynęła połowa wyznaczonego czasu. Wysłano też załącznik, więc go otworzył. Była to mapa satelitarna północno-zachodniej części Korei Północnej do granicy z Chinami, z zaznaczonym miejscem przejścia na końcu długiej, gruntowej drogi na zachód od miasta Sonchon i miejsca, w którym się teraz znajdował.

Rozwijając mapę na tyle, na ile to było możliwe, zobaczył na końcu drogi coś, co przypominało fermę drobiu.

No, Adamie, mruknął do siebie. Masz zapukać do drzwi Hwanga i powiedzieć: „Słyszałem, że chce pan uciec, więc chodźmy. Możemy wziąć pański samochód?”. Cóż, powiedzmy, że tak by było. A potem co? Ewakuacja drogą powietrzną? Naprawdę? Witamy na środku Korei Północnej, na lądowisku na kurzej fermie?

Yao zamknął wiadomość, która została automatycznie skasowana. Właśnie zamierzał wysłać swoją, gdy usłyszał kroki po drugiej stronie kruszarki.

Koreańczyk powiedział po mandaryńsku:

– Czas minął, Shan. Za minutę wyłączy się generator.

Cholera! zaklął w myślach. Wyłączył komputer i wyszedł, gdy zgasły światła. „Acrid Herald” wiedziało, że odebrał ich wiadomość. Szkoda tylko, że nie mógł im wysłać informacji, że nie ma żadnej pieprzonej możliwości wydostania Hwanga z Korei Północnej.

Adam niewiele spał tej nocy i gdy nadszedł ranek, wstał z łóżka polowego o piątej trzydzieści, wyszedł na zewnątrz i po krótkiej gimnastyce ruszył na codzienne bieganie.

Zastał już tam doktor Powers. Zatrzymali się, żeby porozmawiać. Wydawała się bardziej przygnębiona niż zwykle, mimo że nie wydarzyło się nic specjalnego. Jej zły nastrój rósł, w miarę jak coraz bardziej zaczynała sobie zdawać sprawę, że nie wie, kiedy pozwolą jej wrócić do domu.

Adam poprzedni wieczór spędził na obmyślaniu następnego posunięcia, wiedząc, że ma tylko jedną szansę, żeby coś zrobić.

– Czy mogę cię prosić o małą przysługę? – zapytał.

Skinęła głową.

– O co chodzi?

Rozejrzał się, chcąc się upewnić, że są sami, i podał jej przez siatkę ogrodzenia złożony arkusz papieru. Wzięła go.

– Nie otwieraj – powiedział. – Możesz to dać dyrektorowi Hwangowi? Nie wiem, czy będę się dziś z nim widział.

Mimo polecenia otworzyła arkusz. Był pokryty chińskim pismem.

– Znam mandaryński, ale tego nie odczytam. Co tu napisałeś?

Adam był wściekły, ale taka była część pracy agenta. Zła ocena czyjejś reakcji. Minionej nocy, leżąc na łóżku, był pewien na siedemdziesiąt pięć procent, że bez zadawania pytań zrobi to, o co ją poprosi. Teraz okazało się, że się mylił.

– Nie mogę ci powiedzieć. To coś na temat zakładu produkcyjnego. Sprawa dotycząca stanu technicznego. Nie będzie na ciebie zły. Przecież nawet nie możesz tego odczytać.

Stała się podejrzliwa.

– Kim ty jesteś?

– Przecież wiesz. Shan Xin.

Jej podejrzenie rosło i Adam zaczął się niepokoić, czy nie przecenił tej znajomości. Wyciągnął rękę przez płot.

– Wiesz co? Nieważne. Dam mu to osobiście.

Ale Powers wetknęła papier do kieszeni.

– Spotkam się z nim w lobby, zanim wyjdzie do pracy. Je tam z rodziną śniadanie. My, zagraniczni pracownicy na kontraktach, nie doświadczamy takich luksusów jak spędzanie czasu z bliskimi. – Przerwała. – Niech zgadnę. Nie chcesz, żeby ktoś widział, że mu to daję, prawda?

Adam tylko skinął głową.

– I to jest na temat stanu technicznego zakładu?

Znowu przytaknął.

– Myślisz, że będzie zły?

– Pewnie nie.

Wzruszyła ramionami.

– Okej. Zrobię to. Jeżeli będziesz miał szczęście, odeślą cię do domu za narzekanie. Do licha, może i ja powinnam spróbować czegoś takiego.

– Sprawdź najpierw, jak to będzie działało w moim przypadku – powiedział.

– Dobry pomysł.

Duke Sharps jadł samotnie lunch, siedząc przy stoliku w tylnej części restauracji Nice Matin przy Dziesiątej Alei na Upper West Side, ale nie był specjalnie głodny. Ledwie tknął leżącą przed nim kanapkę z awokado i indykiem, tylko sączył dzin z martini, czytając „New York Timesa”.

Artykuł na temat zamachu na prezydenta Jacka Ryana przed trzema dniami całkiem odebrał mu apetyt.

Rząd Stanów Zjednoczonych twierdził, że ma dowody na udział Korei Północnej w ataku. Nie ujawniono źródła tej informacji i sprawiała ona wrażenie, że opiera się na słabych dowodach, czyli jest czymś w rodzaju przecieku z Białego Domu, jednak „Times” pisał o tym tak, jakby święcie w to wierzył.

Sharps pomyślał, że to pewnie kłamstwa, ale i tak mogło się to skończyć dla niego utratą gigantycznych pieniędzy. Administracja Ryana uczyni teraz wszystko, aby rozszerzyć sankcje nałożone na Koreę Północną, robiąc nawet ryzykowny krok i oskarżając ją o masakrę w Mexico City. Dla Sharpsa było wprost niewiarygodne, że Ryan winił Pjongjang za zabicie ambasadora Stanów Zjednoczonych, dziewięciu amerykańskich agentów tajnej służby, trzydziestu siedmiu Meksykanów i ranienie ponad stu pięćdziesięciu, w tym wielu poważnie.

Kto wie, pomyślał Sharps. Może Korea Północna jednak miała coś z tym wspólnego i rzeczywiście Ryan ma jakiś dowód.

Bez względu na to, jak naprawdę wyglądała sytuacja, Ameryka i tak zrzuci winę na każdego, na kogo będzie chciała, co doprowadzało Sharpsa do wściekłości. Jego kontrakt z New World Metals Oscara Roblasa zależał od tego, czy Korea Północna będzie mogła działać na międzynarodowych rynkach.

Sharps nagle przestał czytać, powoli opuścił gazetę i spojrzał przed siebie.

Po drugiej stronie stolika siedział John Clark. Spokojna twarz, skrzyżowane nogi, wygodna pozycja. Sharps nie usłyszał nawet, jak siadał. Ten stary sukinsyn czaił się jak jadowity wąż czyhający na ofiarę.

Duke na jego twarzy dostrzegł wyraz pewności siebie i to, jak zaczął walczyć z nagłym i nieznanym mu dotąd uczuciem wątpliwości, jednak wyraźnie postanowił nadal sprawiać wrażenie pewnego siebie.

- Co mam zrobić, żeby sprawić panu przyjemność, panie Clark?
- Żadnych uprzejmości, Duke. Siedzisz tu w towarzystwie kostuchy.

Sharps złożył gazetę i pochylił się nad stolikiem.

- Wybacz, ale nie rozumiem?
- Jeżeli możesz sobie wyobrazić, co będziesz robił jutro, to porzuć wszelką nadzieję, ponieważ twoje życie dobiegło już kresu.

Sharps zaśmiał się.

- Kilka tygodni temu wyrzuciłem cię z miasta. Co prawda w innych okolicznościach, jeżeli dobrze

pamiętam. Teraz myślisz, że masz coś na mnie, coś dużego i ważnego, z czym teraz możesz wrócić...
Cóż, gadaj. Chętnie posłucham.

– Nie muszę gadać. Chcę ci raczej coś pokazać.

Duke Sharps zamrugął.

– Pokazać?

Clark wyciągnął rękę spod stolika. Trzymał w niej plik fotografii.

– Na wszystkich jest czas wykonania, ale nie będę ci zaprzętał głowy szczegółami.

– Co to za zdjęcia?

Clark zaczął je kolejno rzucać na blat stolika. Niektóre padały na kanapkę Duke'a.

– Tu jesteś ty i twój człowiek, Edward Riley.

Na fotografii dwóch mężczyzn wychodziło z budynku Sharps Partners.

Clark rzucił następne zdjęcie.

– A tu jest twoja pracownica, Veronika Martel, wchodząca do twojego budynku.

Kolejne fotografie.

– To z kolei pokazuje, jak wywożą w worku jej ciało.

Sharps przekrzywił głowę. Zaczął coś mówić, ale Clark mu przerwał.

– Tu jest twój człowiek, Riley, w Meksyku. W posiadłości należącej do twojego klienta, Óscara Roblasa de Moty.

Rzucił następne zdjęcie, trafiając nim w pierś Sharpsa, ale ten szybko je chwycił.

– A to twój Riley z agentem wywiadu Korei Północnej.

– Co to, u diabła...?

– A tu Riley z agentem wywiadu Korei Północnej i biedakiem przywiązany do krzesła. To Adel Zarif, niedoszły zabójca prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Sharps nawet nie próbował wyjąkać jakiegoś wyjaśnienia ani zrobić ironicznej uwagi. Zbladł, patrząc na Clarka, otworzył i zamknął usta.

Clark pochylił się nad stolikiem.

– Nic? Okej... Pomogę ci. Powiedz, że te zdjęcia to fałszywki.

Duke znowu przekrzywił głowę, na co Clark tylko prychnął.

– No dalej, wal.

– To... to są fałszywki. Tak. Moi prawnicy mogą to udowodnić...

Clark oparł się na krześle.

– Zarif żyje, znajduje się pod opieką Stanów Zjednoczonych i śpiewa jak ptaszek. Wskazał Riley, mamy nagranie. Meksykańska policja złapała dwóch agentów wywiadu z Kuby. Są ranni, ale mogą gadać. Potwierdzili, że działali w Cuernavaca na zlecenie twojego współpracownika. Najwyraźniej się wściekli, bo nie mówił nic o strzelaninie, mieli brać tylko udział w porwaniu i zabiciu niedoszłego mordercy prezydenta, zanim ten zdążyłby ujawnić autorów spisku.

Teraz Sharps zaczął się jąkać. Wyglądało to nawet żałośniej, niż Clark się spodziewał.

– John... musisz mi uwierzyć. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Nic o tym nie wiem. Riley zrobił to za moimi plecami...

– To już koniec, Sharps. Ze wszystkim. Możesz pójść do więzienia albo przez następne dziesięć lat wydasz wszystkie pieniądze, żeby tego uniknąć. Ale już nikt w tym mieście, w kraju, na świecie nie

zechce z tobą pracować, bo będzie się bał, że pociągniesz go za sobą do piekła.

– Czego... czego chcesz?

Teraz Clark się zaśmiał.

– Ujrzeć twój koniec. Nic więcej.

– No dalej! Gadaj! – krzyknął Sharps i wszyscy w restauracji odwrócili się w ich stronę. Clark milczał, aż w końcu Sharps wyszeptał podniecony:

– Riley. Mogę ci podać na talerzu.

– Niewątpliwie... tylko w jaki sposób?

– Umknął. Tak, wymknął się, ale ja go znajdę.

– Jak?

– Riley spróbuje pójść na układ. Słyszałem to od Roblasa.

– Jaki układ?

Sharps zawahał się, ale jedynie na moment. Był skończony. Miał tylko jedno wyjście. Pełną współpracę.

– W Tajlandii. Chodzi o pewne wyposażenie niezbędne do uruchomienia linii produkcyjnej Korei Północnej. Próbowałem je załatwić za moimi plecami, ale dowiedziałem się o tym. Sprzęt leci rosyjskimi samolotami transportowymi. Jutro wylądują i jeżeli się pośpieszysz, to możesz...

Clark przyłożył palec do ust, żeby uciszyć Duke'a, a potem wskazał na kogoś. W wejściu do restauracji pojawił się mężczyzna. Był młody, miał ciemne włosy i równo przystrzyżoną brodę. Nosił granatowy garnitur i okulary słoneczne.

Po chwili wyciągnął oznakę FBI.

– Wayne Sharps, tak? Nazywam się Caruso i jestem agentem specjalnym FBI. Wstawaj.

Sharps zawahał się. Wszyscy w restauracji zamarli bez ruchu, gapiąc się na nich. John Clark nadal siedział ze skrzyżowanymi nogami i z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

– Nie będę tego powtarzał – powiedział Caruso. – Wstajesz albo przyklepię ci kolaniem głowę do podłogi.

Sharps wstał, Caruso odwrócił go i założył mu kajdanki.

Adam Yao siedział na pomoście przy swojej kruszarce stożkowej z trzema technikami. Była szósta po południu, mijał następny dzień bez energii elektrycznej na jego piętrze, jednak mieli świece i latarki. Czterech mężczyzn spędziło dziesięć godzin, siedząc przy zimnej, martwej maszynie, paląc i zastanawiając się, czy Korea Północna kiedyś wszystko razem poskłada i doprowadzi zakład rafinacji do pełnej sprawności.

W ciemnościach pojawił się nagle samotny mężczyzna, który zatrzymał się przy nich. Wszyscy wstali i zeszli z pomostu, gdy zobaczyli, że to dyrektor Hwang. Nigdy nie okazywał zainteresowania tą częścią zakładu, a teraz zjawił się wyraźnie zafascynowany kruszarką stożkową. Obszedł ją dookoła i wydawało się, że przygląda się jej bacznie w półmroku.

Yao stał w szeregu z pozostałą trójką.

Po chwili Hwang spojrzał na nich i zapytał po mandaryńsku:

– Który z was pracuje przy komputerze?

Adam wystąpił.

– Shan Xin, towarzyszu dyrektorze.

Hwang długo mu się przyglądał. Adam miał cholerną nadzieję, że go nie zdradzi.

– Mam pytania dotyczące oprogramowania, jakie powinniśmy zakupić w celu usprawnienia sprzętu. Czy z panem mogę rozmawiać na ten temat?

– Tak, towarzyszu dyrektorze.

– Zatem proszę ze mną.

Adam ruszył za nim do działu administracji budynku. Nigdy tu nie był, a teraz dodatkowo zaskoczył go widok Helen Powers wychodzącej z pokoju w kitlu laborantki. Skinęła głową Hwangowi i spojrzała na Adama, ale nic nie powiedziała.

Po wejściu do biura dyrektor zamknął drzwi. Wyglądał na zdenerwowanego, co dotąd tłumił, ale teraz pozwolił sobie na jawne ukazanie uczuć.

– Czy myśmy się już przedtem spotkali? – zapytał.

Adam pomyślał, że to dziwne pytanie. Wiedział, że chce się przekonać, czy w rzeczywistości należy do chińskiego wywiadu.

– Nie, towarzyszu dyrektorze, ale sądzę, że mamy wspólnego przyjaciela, Changa Lana.

Hwang spojrzał na niego z ulgą, chociaż najwyraźniej nie wydawał się mniej zaniepokojony. Uścisnął rękę Adama.

– Nie miałem pojęcia, że był pan u nas przez cały czas.

Adam kontynuował rozmowę po mandaryńsku. Wydawało się, że Hwang dobrze się posługuje tym językiem.

– Jak zrozumiałem, przebywa tu z panem rodzina...

– Tak – odparł szybko dyrektor. – Możemy to zrobić dziś w nocy?

– Lepiej wczesnym rankiem, kiedy wyjdzie pan do pracy. Skorzystamy z pańskiego samochodu...

– Pojedziemy do granicy? Ma pan wyznaczone przejście?

Adam nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Transport powietrzny. Zawiozę pana i pańską rodzinę do miejsca w pobliżu Sonchon, skąd nas zabiorą.

– Ale musimy uciec zaraz. Nie mamy wcale tyle czasu – stwierdził Hwang.

– Co ma pan na myśli?

– Dziś w nocy wszyscy chińscy technicy mają zostać zwolnieni z pracy.

– Co?!

– Proces rafinacji zostaje wstrzymany i zatrudnieni przy nim pracownicy zostaną odesłani do domu.

– Dlaczego? Co się zmieniło?

– Nie wie pan? – Hwang zamrugał zaskoczony.

– Czego nie wiem? – zapytał Adam.

– Wczoraj zabił się generał Ri z RGB.

O cholera, pomyślał Adam. Wiedział, że musi sprawiać wrażenie kogoś pewnego siebie, więc tylko skinął głową i zapytał:

– Co Ri miał wspólnego z Chöngju?

– Ri był naszą jedyną szansą, by uruchomić ten przemysł. Teraz już nigdy nie dotrą do nas

urządzenia flotacyjne. Moją jedyną szansą jest ucieczka z rodziną do Chin.

Adam zastanawiał się tylko przez chwilę. Każda sekunda była na wagę złota.

– Dobrze. Jeżeli postanowili, że nie będzie tu rafinacji, to mogą chcieć pana zastrzelić.

Wyjedziemy dziś w nocy.

– Z moją rodziną – uzupełnił Hwang.

– Tak. To już zostało ustalone. Weźmiemy całą trójkę.

– Piątkę.

– Piątkę?

– Przyjechali tu moi rodzice.

Adam pokręcił głową. Nadal mówili po mandaryńsku, choć rozmowa była coraz trudniejsza.

– Co? Pańscy rodzice? Do diabła, nie. Nie mogę zabrać wszystkich.

– To nie będzie problem, są teraz w moim domku letniskowym nad wodą. Tylko dwadzieścia minut jazdy od Chöngju.

– Nie możemy zabrać pańskich rodziców.

– Zatem ja nie jadę.

Adam miał ochotę walić pięścią w ścianę. Zastanawiał się przez minutę i rzekł:

– Okej. Podjedziemy pańskim samochodem do hotelu, zabierzemy rodzinę, pojedziemy do domku letniskowego, skąd zabierzemy pańskich rodziców, i pojedziemy do miejsca ewakuacji.

– A co z pańską agentką?

– Z jaką agentką?

– Doktor Powers, Australijką.

– Nie jest agentką. Przekazała tylko panu moją notę.

– Mój asystent widział, jak to robiła. Mogą pomyśleć, że jest w to zamieszana.

Hwang rozejrzał się.

– Wasza służba bezpieczeństwa może ją zabić? – zapytał Adam.

– Z pewnością.

– Jasna cholera... – wymamrotał Adam po angielsku.

– Co?

– To po angielsku znaczy „im więcej, tym zabawniej”.

Pięć minut później Hwang wrócił do swojego gabinetu. Wyjaśnił pracownikom, że musi pojechać do hotelu, a potem odwiedzić rodziców. Założyli, że jego rodzice są w domu w Pjongjangu, a on nie wyprowadzał ich z tego przekonania.

Podczas gdy dyrektor zajmował się tą i innymi sprawami, Yao udał się do laboratorium geologicznego, gdzie spotkał Helen Powers. Byli sami, co im odpowiadało, dlatego że Adam postanowił rozmawiać po angielsku.

Nie sądził, żeby stwierdziła, że będzie miała więcej szans, gdyby jej powiedział, że jest chińskim szpiegiem. Sama już, we własnym zakresie, poskłada sobie, dla kogo pracuje, więc przez moment postanowił o tym nie mówić.

– Doktor Powers. Pani naprawdę chce stąd uciec?

– Ja... Pan jest Amerykaninem?

– Jeżeli komuś pani powie, zabiją mnie. W najlepszym wypadku będą panią tylko podejrzewać. W najgorszym postawią panią i mnie pod ścianą i... Rozumie pani?

– Dlaczego, u licha, miałabym komuś mówić? Myśli pan, że lubię tych ludzi? To durne sukinsyny.

– Hwang ucieka stąd razem ze mną. Jeżeli pani tu zostanie, może się znaleźć w niebezpieczeństwie.

– Wezmę tylko torebkę.

Adam usiadł za kierownicą srebrnego, siedmioosobowego SUV-a Pyeonghwa Pronto. Hwang siedział obok niego na przodzie, na środku drugiego rzędu znajdowała się żona dyrektora z dwójką małych dzieci. Byli zakłopotani, ale posłuszni i spokojni, bo Hwang powiedział im, że wszystko będzie dobrze.

Doktor Helen Powers siedziała w trzecim rzędzie, starannie kryjąc rude włosy pod czarną czapką, żeby nie zwracać na siebie uwagi, gdy samochód będzie przejeżdżał przez północnokoreańskie pustkowia.

Gdy zatrzymali się przed domkiem letniskowym, Hwang zwrócił się po mandaryńsku do Adama:

– *Go-you*.

Adam odwrócił się do niego. Nie był pewien, co Koreańczyk mówi albo czy dobrze słyszał. *Go-you* po mandaryńsku znaczyło „psy”. Znał to słowo w koreańskim, więc przetłumaczył:

– *Gae?*

– Tak – Hwang kontynuował po mandaryńsku. – Psy.

– I co z nimi?

– Powiedział pan, że Choi może mnie zastrzelić. Pan się myli. On mnie nie zastrzeli. On rzuci mnie wygłodzonym psom na pożarcie.

Adam odwrócił wzrok w stronę drogi. Zacisnął dłonie na kierownicy.

– Słyszeliśmy o tym. Ale większość naszych analityków myśli, że to tylko jakaś mocno

przesadzona plotka.

– To nie jest plotka. Generał Gang z wywiadu zagranicznego został w ten sposób zabity w zeszłym roku.

Matko Boska! pomyślał Adam, ale zapytał cicho:

– Skąd pan wie?

– Od generała Ri. Był przy egzekucji Ganga. – Po przerwie dodał: – Ri zabił siebie i całą swoją rodzinę, ponieważ nie chciał doczekać tego samego losu.

Yao zadrżał. Wierzył, że jakoś uda mu się poinformować „Acrid Herald”, że jest już w drodze. Mówili, że będą na niego czekać w górze – co oznaczało zapewne satelitę KH-12 – poza tym Adam wiedział, że monitorują Koreę Północną. Teraz, gdy jechał samotnie drogą, pozostało mu tylko się modlić, żeby wysłany po nich helikopter był na tyle duży, by pomieścić ich wszystkich.



Północno-zachodni rejon Korei Północnej

Do domku letniskowego zajechali o siódmej wieczorem. Nie stał tak zupełnie samotnie; był to zwyczajny budynek z maleńkim ogródkiem od frontu i wejściem wychodzącym na wybrzeże, podobny do setki innych. Znad Zatoki Koreańskiej dął zimny wiatr, ale księżyc rzucał dość światła, żeby Hwang mógł odszukać właściwy domek. W czasie gdy wielu obywateli Korei Północnej cierpiało głód, kilka tysięcy wybrańców elity miało domki wakacyjne. Wśród tych „bogatyń posiadaczy” znajdowała się rodzina Hwanga i chociaż według Yao nie było to coś wyjątkowego, w tym kraju stanowiło niebывały luksus w oczach dziewięćdziesięciu dziewięciu procent ludności.

– Okej, tak jak planowaliśmy – rzekł Adam. – A teraz szybko. Proszę nie odpowiadać na pytania, tylko zabrać ich stamtąd. Żadnych bagaży. Tylko to, co mają na sobie, i lekarstwa niezbędne na najbliższą dobę.

Hwang jedynie skinął głową.

Wszyscy zostali w aucie, tylko dyrektor kopalni wysiadł, podszedł do drzwi frontowych i zapukał.

Adam opuścił szybę w swoich drzwiach. Stał tylko dwadzieścia pięć stóp od Hwanga i nasłuchiwał, jak Koreańczyk powie swoim – z pewnością starym – rodzicom, że mają za minutę razem z nim uciekać.

W drzwiach stanęło dwoje starszych ludzi. Ojciec Hwanga położył rękę na ramieniu syna. Chwiały się na słabych nogach. Adamowi wydawało się, że mężczyzna opiera się na synu, ale szybko się zorientował, że tylko pochyła się i mówi mu coś do ucha.

– Co to znaczy, ojczu? Musimy się spieszyć.

Adam poczuł niepokój. Skąd ten człowiek mógł wiedzieć, że mają uciekać?

Ojciec Hwanga coś mamrotał. Adam nie mógł nic zrozumieć i zobaczył, że Hwang też jest zdezorientowany.

– Co, ojczu?

– To hańba. Postępujesz haniebnie! Ściągasz na nas hańbę!

Adam błyskawicznie wyskoczył z auta i pobiegł do nich.

– Hwang!

W tym momencie staruszka krzyknęła:

– Dae Wonsu pomści twoją zdradę! – I zamachnęła się kościstą, słabą pięścią w twarz syna. Odbił ją, ale zachował się tak, jakby otrzymał cios boksera wagi ciężkiej.

– Mamo! – zawołał zaszokowany.

Adam wsunął się między nich, gdy staruszka zaczęła zadawać następne ciosy. Większość trafiała w jego plecy, ale nie robiła mu krzywdy.

– Idziemy! – rzucił po mandaryńsku.

– Zdrajca! – wychrypiał stary Hwang. – Pracujesz z młodym *gug-ui*! Z Chińczykiem!

Yao zobaczył łzy na twarzy Hwanga. Nie rozumiał, dlaczego rodzice zwrócili się przeciwko niemu.

– Oni ciebie wydadzą! Musimy się stąd wynosić!

Hwang nie ruszał się ze stopni wejściowych; rodzice ciągle mu wygrażali. Adam jedną ręką odepchnął ich, ale otrzymał przy tym cios w twarz. Ta para staruszków wraz z napływem adrenaliny wydawała się coraz silniejsza. Gdyby od niego zależało, powaliłby ich na ziemię, jednak wiedział, że to doprowadziłoby Hwanga do wściekłości i zagroziłoby całej misji, teraz już i tak niepewnej.

– Zapomnij o nich! – krzyknął do Hwanga.

Zobaczył, że jego żona wychodzi z auta. Krzyknął do niej po koreańsku:

– Wracaj do auta!

– Nie! – wrzasnął teraz Hwang z twarzą wykrzywioną gniewem, ze zmrużonymi oczami i spływającymi po policzkach łzami.

– Hwang! – zawołał do niego Adam. – Twoje dzieci! Min-hee i Du-ho! One nie będą miały szansy, jeżeli natychmiast nie odjedziemy!

Pięćdziesięcioletni Koreańczyk odwrócił się do Adama i otworzył szerzej oczy. Potem zerknął jeszcze raz w stronę domku i w końcu ruszył do auta.

Adam rzucił ostatnie spojrzenie na jego rodziców. Byli jacyś niesamowicie mali i szczupli, ale w ich oczach widać było wściekłość upodabniającą ich do dzikich zwierząt.

Hwang minął podjazd i w tym momencie jego rodzice ruszyli za nim. Adam trzymał się z tyłu, więc nie mógł ich widzieć, ale odwrócił się z uniesioną pięścią. Nie zamierzał bić osiemdziesięcioletniej pary, nawet gdyby doszedł do wniosku, że grożą śmiercią jemu, rodzinie Hwanga i australijskiej geolożce.

Wskoczył za kierownicę, włączył wsteczny bieg, skręcił na wąską drogę gruntową i ruszył. Nacisnął pedał gazu i pojazd o czterocylindrowym silniku skoczył do przodu, wpadając w poślizg i wzbijając chmurę kurzu.

Na wąskiej drodze ukazały się przed nimi światła reflektorów. Kilka par silnych snopów światła. Adam, nie zwalniając, jechał wprost na nie tak szybko, jak tylko mógł, mając cholerną nadzieję, że ustąpią. W odległości dwudziestu jardów stwierdził, że to wojskowe ciężarówki, więc gwałtownie skręcił, zjechał z drogi i zaczął przebijać się przez niskie płoty i malutkie ogródki przed domami. Raz za razem niszczył drewniane i siatkowe ogrodzenia, wpadał do ogrodów po drugiej stronie, a potem rozbijał następny płot.

Mijając ciężarówki, usłyszał huk wystrzałów z broni palnej. W SUV-ie wszyscy zaczęli krzyżeć, ale samochód przejechał do końca następnego ogrodu i skręcił gwałtownie w prawo, aby na pełnym gazie zacząć zjeżdżać ze wzgórza.

– Dzwonił pan do rodziców, uprzedził ich o naszym przyjeździe! Zgadza się? – spytał Adam.

Hwang tylko skinął głową. Po jego twarzy płynęły łzy. Jego żona krzyczała za nim, a dzieci wyglądały tak, jakby dostały ataku hysterii. Doktor Powers robiła, co mogła, żeby je uspokoić, ale ponieważ nie znała ich języka, jej wysiłki były daremne.

Nisko nad nimi przeleciały dwa helikoptery.

– Trzymajcie się! – zawołał Adam po koreańsku i szarpnął kierownicą w prawo. Błoto i kamienie posypały się na podwozie auta, gdy podskakując, zjeżdżali ze wzgórza w ciemność.

Adam krzyknął do Hwanga:

– Dokąd tędy zjedziemy?!

– Do strumienia. Jest przed nami, u podnóża wzgórza.

– Głęboki?

Hwang zastanowił się.

– O tej porze roku bardzo płytki. Miejscami prawie suchy.

Adamowi nie bardzo podobał się ten plan, ale nie miał wyboru. Wyłączył światła.

– Co pan robi?

– Spodziewam się, że nie mają noktowizorów.

Walczył z pragnieniem włączenia reflektorów i z jeszcze większym zwolnienia tempa jazdy. W końcu poczuł, że znalazł się u stóp wzgórza, więc skręcił w prawo, oddalając się od oceanu leżącego po jego lewej stronie. Trochę zwolnił, ale ciągle jechał szybko. SUV dziko podskakiwał w suchym łożysku strumienia.

W oddali dostrzegł światła helikopterów. Dokąd znajdowali się w miejscu po wyschniętej wodzie, mogły ich śledzić, ale gdy zakryła ich ściana zieleni, byli już w miarę bezpieczni.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał Hwanga.

Koreańczyk ciągle płakał, ale w odpowiedzi z roztargnieniem skinął głową. Chociaż miał ze sobą żonę i dzieci, to od chwili gdy rodzice zwrócili się przeciwko niemu, czuł się zupełnie opuszczony.

– Musiał pan to zrobić – stwierdził Adam stanowczo. – Choi zabiłby was wszystkich.

Hwang odwrócił się i rzucił z wściekłością:

– Jesteś najgorszym młodym *gug-ui*! Nie waż się wymawiać imienia Dae Wonsu!

Chryste, pomyślał Yao. Temu też zrobiono pranie mózgu.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Jack Ryan nie był w kondycji do podróży, szczególnie takiej, w której miał przebyć połowę globu, jednak musiał ją odbyć. Podjął decyzję wbrew diagnozie lekarzy, wbrew woli żony i tych wszystkich, którzy choć trochę znali stan jego zdrowia, urazy oraz niebezpieczne osłabienie. Ryan był jednak prezydentem i nikogo nie słuchał.

Dwa dni wcześniej rozmawiał ze światowymi liderami i wtedy też przewodniczący Chin, Ling, zaproponował mu spotkanie w dowolnym wybranym przez niego terminie, aby przedyskutować nadszarpnięte stosunki z Koreą Północną. Ryan wyczuł, że to zaproszenie nie było czystą formalnością podyktowaną chęcią rozmowy z kimś, kto uniknął śmierci, więc odpowiedział, że z przyjemnością się z nim spotka w Chinach na prywatnej rozmowie.

Ling powiedział „w dowolnym wybranym przez niego terminie”, więc Ryan ogłosił, że przybędzie do Pekinu za trzy dni. Tłumacze sprawdzali kilka razy to, co powiedział amerykański prezydent, i doszli do wniosku, że miał na myśli sobotę. Tę sobotę.

Po wielu godzinach rozmów Mary Pat Foley wpadła do pokoju szpitalnego Ryana, żeby mu powiedzieć, że irański wytwórca bomb został złapany żywy w pobliżu Mexico City i może im opowiedzieć o interesującej podróży do Pjongjangu, którą odbył krótko przed atakiem na kolumnę prezydencką Ryana. Mając zatem niezaprzeczalny dowód na to, że Korea Północna była zamieszana w zamach, administracja Ryana puściła w obieg pogłoskę, która miała uspokoić członków meksykańskiego rządu. Ryan rozkazał jednak swojemu wymiarowi sprawiedliwości oraz dyrektor Wywiadu Narodowego trzymać w tajemnicy jak najwięcej szczegółów. Chciał je wykorzystać w odpowiednim czasie, który sam wybierze. To był sztuka rządzenia państwem i Ryan doszedł do wniosku, że gdy będzie musiał zadać cios, uzyska w ten sposób coś dla Stanów.

Uderzyć należy z całą mocą, aby uzyskać zamierzony skutek.

Ryan razem z Foley postanowił wykorzystać podróż do Pekinu, aby bezpośrednio przekazać przewodniczącemu Chin informacje o zaangażowaniu Korei Północnej w zamach. Ling będzie przerażony – wiedział, że każda akcja Stanów Zjednoczonych przeciwko Pjongjangu może zdestabilizować Półwysep Koreański, i bał się wojny, napływu uchodźców i uznania jego kraju za „winny przez współdziałanie”, chociaż Chiny i Korea Północna znajdowały się teraz w najgorszych stosunkach od siedemdziesięciu lat. Jednak Korea Północna nie miała w tym rejonie żadnego bliskiego przyjaciela, poza największym komunistycznym sąsiadem z północy.

Ryan chciał, żeby Ling bał się, że Stany Zjednoczone mogą wziąć odwet za zamach. Chiny najbardziej się obawiały o własne interesy, dlatego skłonne były do współpracy ze Stanami przeciwko zbrodniczemu reżimowi w Pjongjangu.

Następnie Mary Pat przedstawiła prezydentowi to, co zdobyła operacja „Acrid Herald” – co miało też dać okazję do poznania północnokoreańskiego procesu rafinacji – i potem przeszła do głównej akcji wywiadu. Obecnie Hwang Min-ho uciekał z Korei Północnej, usiłując się dostać – jak sądził – do Chin. Jeżeli ta akcja by się udała, to zgodnie z przekonaniem Ryana pojawiłby się ktoś, kto

mógłby ujawnić światu, że bogactwa mineralne Korei Północnej nie są tam wykorzystywane dla dobra obywateli, tylko w celu stworzenia arsenału rakiet nuklearnych. Gdyby cały plan się powiódł, Hwang uciekłby i ujawnił wszystko. Wtedy Ryan mógłby wykorzystać potajemne spotkanie z przewodniczącym Lingiem do nawiązania ścisłej współpracy dwóch supermocarstw w celu rozwiązania problemu, jakim była Korea Północna.

Teraz Ryan jednak życzyłby sobie tylko lepszego stanu zdrowia. Chociaż mógł już chodzić i rozmawiać, jego lewa ręka wciąż była niesprawna, a prawa spoczywała na temblaku. Żaden z pomocników, których miał teraz do dyspozycji, nie miał być obecny na pokładzie Air Firce One i gdyby na przykład Ryan chciał się podrapać w nos, taki wysiłek wprawiłby go w cholernie zły nastrój.

O północy Adam Yao prowadził wolno koreańskiego SUV-a długą, prostą drogą gruntową. Przebywszy półtorej mili od drogi głównej, w końcu dotarł do kurzej fermy. Tu zgasił silnik i uważnie nasłuchiwał.

Cisza. Tylko gdakanie kilku kur w klatkach, szum wiatru wśród sosen na pobliskim zboczu wzgórza, ale żadnych nadlatujących helikopterów.

Teraz Adam zaczął się bać, chociaż dzieci za nim zasnęły. Hwang i jego żona na zmianę coś do siebie mówili. Kobieta ciągle była przestraszona, ale Hwangowi wyraźnie udało się ją nieco uspokoić. Bardziej niż siebie, bo w tym momencie wyglądał tak, jakby piekielnie się bał.

Nagle Min-hee, jego dziewięcioletnia córka, podniosła się i rozejrzała dookoła, a po niej zrobił to samo Du-ho. Kilka sekund później Adam też słyszał to wyraźnie – wysokie tony, początkowo bardzo słabe, coraz bardziej słyszalne.

Według Adama nie był to dźwięk samolotu, nawet małej awionetki. Najwyraźniej nie był to też helikopter. Niemniej Adam kazał wszystkim wysiąść z auta.

Gdy stanęli na błotnistej drodze, słyszeli już lepiej. Wyraźne brzęczenie wirujących śmigieł, wydających dźwięk podobny do kosiarki do trawy.

Pierwszy ujrzał to Adam, jednak początkowo nie mógł się zorientować, co widzi. Przedmiot obniżył lot nad drzewami, odcinającymi się czarną plamą od nieba. Potem zobaczył to Hwang.

– Co to jest?

Przeleciało dokładnie nad ich głowami, ostro zakreśliło i skierowało się na drogę, na której stali.

– To bezzałogowy statek powietrzny. Dron.

Najwyraźniej był to amerykański predator, tylko skąd Hwang i jego żona mieli o tym wiedzieć? Kiedy się zbliżył, Adam z zadowoleniem zobaczył na boku flagę Stanów.

– Co to tutaj robi? – spytał Hwang.

– Nie mam bladego pojęcia.

Du-ho wskazał na niebo.

– Tam jest drugi.

Oba predatory wylądowały na drodze, a potem zbliżyły się do Adama Yao na odległość pięćdziesięciu stóp.

– Żarty sobie ze mnie stroicie – mruknął do siebie Adam. Równocześnie uświadomił sobie, że mogą zawierać jakąś informację albo niezbędne wyposażenie samolotu, więc podszedł do jednego

z nich. Zobaczył wiszący pod spodem duży kosz. Miał wielkość małej kanapy dla dwóch osób i zamykany pneumatycznie właz z napisem POCIĄGNAĆ.

Adam zrobił to i urządzenie rozdzieliło się jak mały, opadając dnem w dół o około półtorej stopy. Wnętrze oświetlała lampka ledowa, ujrzał też dwa śpiwory i telefon satelitarny.

Wziął do ręki telefon, gdy zobaczył, że sprzęt miga z powodu nadchodzącego połączenia. Oddalił się od Hwanga i jego rodziny, po czym wyszeptał:

– Avalanche.

– Cześć, Avalanche. Jesteś połączony z taktycznym centrum operacyjnym na pokładzie „USS Freedom”. Linia działa w programie TIDALWAVE, obserwujemy cię też z KH-12.

– Zrozumiałem.

– Jaki jest status twojego ładunku? Poza tobą widzimy troje dorosłych i dwoje dzieci.

– Razem mam sześć pakunków. Trzy dorosłe, łącznie z cennym ładunkiem, i dwójkę małych.

– Kim jest ta dodatkowa osoba dorosła?

– Zabrałem kobietę z Australii, doktor Powers. Naraziła się i znalazła w niebezpieczeństwie.

Chwila przerwy.

– Zrozumiałem.

– Czy ten kosz jest taki, jak myśle?

– To urządzenie służące do ewakuacji. Ulokuj w nim osobę dorosłą płci męskiej z chłopcem. Potem razem dwie dorosłe kobiety z dziewczynką. Nic nie wiemy o Australijce. Wyślemy do ciebie bezzałogowy statek powietrzny. Czekaj uważnie przy mikrofonie.

Adam ściszył głos jeszcze bardziej, więc teraz Hwang i jego żona nie mogli go zupełnie słyszeć. I tak nie miało to znaczenia, nie znali angielskiego.

– Czy to cholerne urządzenie zadziała?

– Tak, Avalanche. To ściśle tajne bezzałogowe statki powietrzne. Kodowana nazwa Freebird. Testowane na udźwig maksimum trzystu funtów każdy. Kosze nie są amortyzowane, lądują twardo, ale niezbyt gwałtownie.

– Och... okej. Jest szansa, żebym się wcisnął?

– Jeśli twoja nowa przyjaciółka waży mniej niż czterdzieści pięć funtów, w innym wypadku nie polecam. Pojazd staje się niestabilny powyżej obciążenia trzystu dwudziestu pięciu funtów.

Adam chciał już coś powiedzieć, ale męski głos kazał mu czekać. Po kilku sekundach wrócił na linię, ale teraz był bardziej zdenerwowany.

– Uważaj, Avalanche. Namierzyliśmy dwa wojskowe helikoptery lecące w kierunku twojego sektora. Przy obecnej prędkości będą tam za dwanaście minut. Umieść ładunek na pokładzie, zamknij właz i poszukaj dla siebie kryjówki. My zrobimy resztę.

– Okej – tym razem odparł stanowczo. Nie dlatego, że poczuł się dużo lepiej, jeśli chodzi o latanie freebirdem, ale dlatego, że wiedząc teraz o nadlatujących helikopterach, czuł, iż stanie w miejscu i zastanawianie się nie jest dobrym pomysłem.

Podbiegł do Hwanga i krzyknął po mandaryńsku:

– Szybko! Pan i pańska rodzina musicie lecieć tymi samolotami.

– To nie są samoloty!

Ten człowiek miał zastrzeżenia podobnie jak Adam, ale Yao nie mógł okazywać niepewności,

wahania czy jakiegokolwiek nieufności.

- To bezpieczne maszyny. Często nimi latamy.
- Gdzie są piloci?

Adam mógł powiedzieć, że piloci siedzą wygodnie i bezpiecznie może tysiące mil stąd, ale musiał się dostosować do poziomu wiedzy Hwanga, zatem odparł tylko:

- Spotka ich pan po wylądowaniu. To jest zdalnie sterowany bezzałogowy statek powietrzny.
- Ja... no nie wiem.

– Helikoptery Dae Wonsu będą tu za dziesięć minut. Wie pan, co się z panem stanie, jeżeli wojsko pana złapie?

Adam wiedział, że ten argument jest przekonujący, a jednak z zaskoczeniem usłyszał, jak Hwang natychmiast zmienia zdanie.

- Musimy zaraz uciekać.
- Właśnie.

Z dziećmi nie było problemu, pozwoliły Adamowi umieścić się na miejscu bez narzekania. Du-ho znalazł się w jednym predatorze, za nim wsunął się Hwang. Min-hee została ulokowana w drugim wraz z doktor Powers i żoną dyrektora kopalni.

W predatorze Hwanga znalazłoby się miejsce dla jeszcze jednego dziecka, ale nie było go wystarczająco dużo dla agenta CIA.

Adam zamknął oba kosze. Już chciał życzyć szczęśliwej podróży, ale zrezygnował i powiedział tylko po mandaryńsku:

- Wkrótce się spotkamy.

Pierwszy dron zatoczył krąg i zaczął się oddalać od nadlatujących helikopterów. Potem przyspieszył, wznosząc się coraz wyżej nad drogą. Drugi podążył za nim w odległości niecałych stu jardów. Wzbiły się w niebo i Adam poczuł ucisk w żołądku, gdy skierowały się w stronę zielonego wzgórza.

W ciągu minuty zniknęły w ciemnościach nocy.

Usłyszał głos w telefonie satelitarnym, który ściszył, obserwując odlot dronów.

- Powtórz ostatnie zdanie, „Freedom”?
- Trzeci bezzałogowy statek powietrzny podleci od południa. Zejdź z drogi, aby wylądował.
- Zrozumiałem.

Adam podbiegł do auta i zaczął nasłuchiwać przybycia predatora. Gdy w końcu go usłyszał, ocenił, że porusza się szybciej od pozostałych, jego dźwięk był dużo wyższy. Nadleciał znad wzgórza, ustawił się do podejścia i zaczął opadać.

A potem eksplodował ognistą kulą.

Adam osłonił oczy od blasku i krzyknął do telefonu satelitarnego:

- „Freedom”, właśnie straciliście drona!

Po krótkiej przerwie nadeszła odpowiedź.

– Przyjąłem, Avalanche. Nadlatujący helikopter zniszczył go rakieta w powietrzu. Uciekaj stamtąd!

Adam wskoczył do auta i uruchomił silnik. Wcisnął pedał gazu i samochód skoczył naprzód. Po prawej nad wzgórzem pojawiły się dwa atakujące helikoptery zniżające lot. Przeleciały nad Adamem

i gwałtownie zawróciły.

Przyspieszył. Oba helikoptery zaczęły strzelać. Kule zasypały drogę przed nim, jednak w bezpiecznej odległości.

Wiedział, że nie przeżyje następnego przelotu. Znajdował się pół mili od drogi głównej, tam mogli z łatwością go zabić. Musiał więc wjechać między drzewa.

Samochód jechał prostą drogą najszybciej, jak się dało, potem Adam wrzucił jałowy bieg, otworzył drzwi i skoczył na niską trawę przy drodze. SUV pojechał dalej.

Adam biegł, raz po raz padając i raniąc kolana o kamienie, po czym zrywał się i kuśtykał w kierunku lasu na zboczu wzgórza.

Znowu usłyszał serię strzałów, a potem głośną eksplozję. SUV został trafiony w zbiornik paliwa i teraz płonął na drodze za nim.

Adam miał cholerną nadzieję, że przez jakiś czas nikt nie będzie go szukał. Że upłynie wiele godzin, zanim się zorientują, że w aucie nie ma spalonych ciał.

Chociaż był ranny, zaczynał odczuwać pewnego rodzaju ulgę, że uniknął, jak mu się zdawało, nieuchronnej śmierci.

Ale potem zorientował się, że w SUV-ie został telefon satelitarny.

Upadł na trawę i zaczął bić pięściami o ziemię. Znajdował się ponad dwadzieścia mil od rzeki Yalu. Na drugim brzegu były Chiny. Rozwiązanie nie wyglądało na najlepsze, jednak nie miał wyboru. Wstał i z krwawiącą nogą powłókł się w górę wzgórza.

Nad Zatoką Koreańską leciały dwa drony Freebird. Gdy skrzyły na południe do Inchon, znalazły się pod opieką dwóch amerykańskich helikopterów Seahawk z marynarki wojennej, w razie gdyby pojawiły się jakieś techniczne problemy nad wodą. Jednak nie stało się nic i dziewięćdziesiąt pięć minut później predatory bezpiecznie wylądowały w bazie powietrznej Osan, kończąc pierwszą i drugą operację.

Gdy ludzie z CIA otworzyli kosze na lotnisku, okazało się, że wszyscy żyją, nie śpią i są w pełni świadomi, chociaż Hwang i jego córka co chwilę wymiotowali podczas lotu.

Hwang wyskoczył na asfalt, a potem pomógł synowi wyjść z kosza. Gdy tylko Du-ho znalazł się na twardym gruncie, dyrektor podbiegł do żony i córki, aby je uściskać.

A potem zorientował się, że są otoczeni przez Amerykanów.

Dwadzieścia minut później siedział w pokoju konferencyjnym w budynku lotniska. Dano mu nowe ubranie i butelkę wody, ale nikt nie powiedział do niego ani słowa, do chwili gdy do pomieszczenia weszła Amerykanka wyglądająca na mniej więcej sześćdziesiąt lat z Koreanką w mundurze Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, która poinformowała Hwanga, że będzie jego tłumaczką. Skinął głową, lecz nie spuszczał oczu z pierwszej kobiety.

– Chcę rozmawiać z kimś o wysokiej randze.

Tłumaczka przełożyła to na angielski, po czym Mary Pat Foley odpowiedziała:

– Jestem dyrektorką wszystkich połączonych agencji wywiadu w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Odpowiada to panu?

Hwang spojrzał na tłumaczkę, a potem na Mary Pat.

– Tak. Odpowiada.

Dwadzieścia minut zajęło jej ustalenie, kim jest Hwang, co wie i do czego miał dostęp. Potem wyszła z pokoju na godzinę.

Po powrocie powiedziała:

– Oto nasze warunki. Chcemy dowiedzieć się absolutnie wszystkiego, co pan wie, co pan tam robił. Jeżeli będziemy zadowoleni, w zamian otrzyma pan azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli będzie chciał się pan osiedlić w Korei Południowej, jestem przekonana, że będziemy mogli to załatwić, jednak zależy to przede wszystkim od tamtejszych władz.

Hwang wolno skinął głową.

Zastanawiał się nad pytaniem, czy mógłby zamieszkać w Chinach, ale zrezygnował.

– Jestem bardzo zmęczony. Możemy się spotkać później, gdy odpocznę?

Foley pokręciła głową.

– To niemożliwe. W grę wchodzi ludzkie życie, panie Hwang. Żona i dzieci mogą odpocząć. My mamy przed sobą dużo pracy.

Hwang westchnął.

Specjalistka National Geospatial-Intelligence Agency, Annette Brawley spędziła pierwszą połowę dnia, obserwując sznur samochodów przejeżdżających przez Pjongjang, szukając dowodów, że Korea Północna przewozi jakieś elementy wyposażenia, zapewne niewykorzystywane już w kopalniach miedzi czy węgla, na użytek kopalni położonej na północy od Chöngju.

Nie znalazła nic ciekawego na tamtejszych liniach kolejowych, ale cały czas miała nadzieję, że w ciągu najbliższych minut zobaczy jakieś nowe zdjęcia satelitarne, które dałyby jej wyraźniejszy obraz samej kopalni.

Spojrzała na zegar, potem uniosła wzrok znad komputera i zobaczyła pułkownika Mike'a Petersa, który szedł szybko w jej stronę.

– Cześć, Mike.

– Chodź ze mną.

– Przykro mi, szefie, ale teraz nie mogę, czekam na najnowsze zdjęcia Chöngju z Narodowego Biura Rozpoznania.

– To nie jest prośba. Otrzymaliśmy rozkaz, aby udać się do „bąbla” na piątym piętrze.

– O, kurczę! – powiedziała Brawley, wstając od biurka. – Mamy kłopoty?

– Na razie nie. Ale możemy mieć, jeżeli nie zjawimy się tam w ciągu dwóch minut.

Brawley i Peters weszli do tajnego pokoju komunikacyjnego zwanego „bąblem”. Usiedli przed monitorem, na którym widać było teraz puste biurko. Za nim widniał napis OSAN AB.

Po minucie zobaczyli na ekranie jakieś poruszające się z boku cienie i spojrzeli na siebie zakłopotani. Po chwili Peters wydusił z siebie niepewne „halo?”.

Prawie natychmiast przy biurku usiadła Mary Pat Foley. Nie patrzyła na ekran i szybko okazało się, że ktoś za nią rozmawia. Skinęła głową i spojrzała na stojący przed nią monitor. Wydawała się poruszona, co sprawiło, że Annette Brawley poczuła niepokój.

– Okej, przepraszam – powiedziała Foley – ale nie znam waszych nazwisk.

Peters przedstawił siebie i swoją pracownicę.

– Pani dyrektor. Jestem pułkownik Michael Peters z NGA, a to Annette Brawley, analityczka z mojego biura. Czym możemy służyć?

– To pańskie biuro dostarczyło nam informacje dotyczące kopalni minerałów ziem rzadkich i procesu ich rafinacji w Chöngju w Korei Północnej?

– Tak, pani dyrektor – odparł Peters. Brawley wyczuła nerwowość w jego głosie.

Ktoś zza kamery powiedział coś do Foley, a ona skinęła głową.

– Zwracam się teraz do pani, pani Brawley, jako że wie pani więcej o tym obszarze niż ktokolwiek inny w wywiadzie Stanów Zjednoczonych.

Brawley nie miała pojęcia, czy to prawda. Nie wiedziała, czym zajmują się na tym terenie inni analitycy wywiadu. Znała się tylko na kopalniach.

– Przez dwa lata skupiałam się na północno-zachodnich górach i wyżynach Korei Północnej – odpowiedziała.

– To, co teraz powiem wam obojgu, jest informacją ściśle tajną.

Brawley wolno skinęła głową, czując, jak pot spływa jej po karku.

– W rejonie Chöngju mamy agenta CIA – powiedziała Foley. – Ostatniej nocy został wykryty

podczas akcji ewakuacyjnej. Teraz został tam bez wsparcia i sądzimy, że jest ranny.

Brawley już miała zawołać „och, mój Boże!”, ale powstrzymała się.

– Czy wiemy, jakim jechał autem? – zapytał Peters.

– To był SUV lokalnej produkcji. Pojazd został zniszczony pociskiem z helikoptera.

– Agent był wtedy w środku?

– SIGINT¹³, rozpoznanie elektromagnetyczne, podaje, że Koreańczycy przeczesują teren w poszukiwaniu kogoś. Mamy nadzieję, że właśnie jego. Śledziliśmy go przez satelitę, ale zgubiliśmy jego ślad, gdy helikoptery zniszczyły auto. Po ataku natrafiliśmy na ślady ciepła pojedynczego człowieka, jednak potem je straciliśmy.

– Dobrze, zajmijmy się tym – odparł Peters.

– Właśnie. Na nieszczęście nie mamy z nim obecnie żadnej łączności. Nie znamy jego lokalizacji, nie wiemy, jakie ma możliwości ewakuacji. Mamy tylko to, co widzimy na zdjęciach satelitarnych Narodowego Biura Rozpoznania i CIA. Nie wiemy, co nasz człowiek może zrobić, i nie wiemy, co zrobi.

Brawley skinęła głową.

– Za niecałe pięć minut powinniśmy otrzymać najnowsze zdjęcia. Jeżeli zauważymy w tym rejonie zwiększoną aktywność policji albo sił rządowych, to może znajdzie ślad jego obecności. To będzie punkt wyjścia, aby ustalić... – szukała właściwego określenia – miejsce pobytu tego agenta.

– Jego tajne imię to Avalanche – powiedziała Foley. – To Amerykanin chińskiego pochodzenia.

Brawley podniosła dłoń.

– Jeżeli znajdziemy jego albo wskazówkę, gdzie jest... co możemy wtedy dla niego zrobić?

Foley zagryzła wargi z wyrazem bólu.

– Szczerze, pani Brawley, nie mam pojęcia. Mamy niezmiernie ograniczone możliwości. Ale jeżeli nie uda się nam odnaleźć Avalanche'a, to gwarantuję, że nie będzie miał żadnych szans.

Brawley skinęła głową ze zrozumieniem.

– Znajdę go.

Nawet nie uświadamiała sobie, dlaczego to powiedziała, ale gdy te słowa wyszły już z jej ust, wiedziała, że to zrobi.

Adam Yao jechał na rowerze, używając tylko prawej nogi, lewą trzymał wyprostowaną przed sobą. Kolano spuchło, uniemożliwiając zginanie, co boleśnie spowalniało jazdę, ale jedynie w ten sposób mógł się poruszać na rowerze.

Ukradł go na peryferiach miasta Sonchon, wyłamując zamek na stojaku, a potem pedałując jedną nogą. Uciekał jak najszybciej, przeważnie błotnistymi drogami albo nawet polami i zboczami wzgórz. Mógł jechać maksimum trzy mile na godzinę, jednak nie miał wyboru.

Wiedział, że jego jedyną szansą było przepłynięcie rzeki Yalu i dotarcie do Chin, jednak przerażało go to zadanie. Po drogach i w małych miasteczkach krążyły patrole. Spędzał więc wczesne godziny rano, kryjąc się przed helikopterami. Wraz z nastaniem dnia zaczynały się kłopoty, tym bardziej że trudno było znaleźć jakąś kryjówkę.

Perspektywa przekroczenia rzeki Yalu wyglądała jeszcze gorzej. Znajdowały się tam mosty, ale dobrze strzeżone. Silny prąd uniemożliwiał przepłynięcie jej wpływ. Nie było promów, nawet takich,

jakich używali przemytnicy – a jeśli nawet gdzieś udałoby się taki znaleźć, to z pewnością władze Korei Północnej dobrze o nim wiedziały. Z pewnością monitorowały teraz całą rzekę, wiedząc, że na ich terenie znajduje się agent wroga.

Noga krwawiła z rany pod kolanem. Rozcięcie wymagało szycia, poza tym powinien nogę trzymać wysoko i zastosować opaskę uciskową. Niczego takiego jednak nie miał, tylko skrawek podartej koszuli, którym owinął ranę, co bynajmniej nie powstrzymało upływu krwi i Adam zastanawiał się, kiedy zasłabnie.

Był bystrym facetem, więc wiedział, że sytuacja jest krytyczna. Ale jaki miał wybór? Mógł tylko pedałowac jedną nogą i próbować zajechać tak daleko na północ, na ile starczy mu sił przed nastaniem dnia.

Annette Brawley siedziała w „bąblu” przed monitorem, na którym wyświetlała się transmisja z Bazy Powietrznej Osan w Korei Południowej, i patrzyła na swojego laptopa. Mary Pat Foley siedziała po drugiej stronie linii komunikacyjnej, tak samo trzymając przed sobą otwarty komputer. Obie oglądały serię zdjęć satelitarnych. Annette mogła robić notatki rysikiem i Mary Pat natychmiast je odczytywała.

– Spójrz tutaj – rzekła Brawley. – Samochód policyjny i ludzie stojący dookoła.

– Co to może być?

– To stojak na rowery przed jakimś domem. Na przedmieściu Sonchon, niedaleko miejsca zniknięcia Avalanche’a. Myślę, że ktoś ukradł rower. Takie kradzieże zdarzają się w Korei Północnej niezmiernie rzadko, bo są karane śmiercią. Zakładam, że zrobił to Avalanche, aby mieć jakiś środek transportu, i stamtąd wyruszył na północ.

– Skąd to przypuszczenie?

– Na zachód ma ocean. Na wschód ścigające go siły wojskowe. Na północ jest rzeka Yalu, a na drugim brzegu znajdują się już Chiny. Trzy kierunki prezentują się źle, ale północ wygląda obiecująco.

Mary Pat przytaknęła.

– Okej, mów dalej.

– Szacuję, że jego tempo na bocznych drogach może wynieść siedem mil na godzinę. Opieram to na danych o prędkości, z jaką w takich warunkach jeżdżą ludzie w jego wieku. W rzeczywistości średnia oscyluje blisko dziesięciu mil, co jednak zależy od rodzaju roweru. Poza tym wiem, że Avalanche będzie unikał punktów kontrolnych i ruchliwych miejsc, zatem musimy zmniejszyć dane o trzydzieści procent.

Annette Brawley przesunęła obraz daleko na północ i poprawiła jakość. Na ekranie pojawiło się szerokie pole i przecinająca je prosta droga wiodąca na południe. Foley nie dostrzegła tam jednak nic interesującego.

– Po co mi to pokazujesz? – zapytała.

– Pozornie jest tam pusto. Godzina siódma rano. Później możemy się spodziewać pojawienia Avalanche’a, oczywiście jeżeli będzie tamtędy szedł.

– Dlaczego twierdzisz, że wybierze tę drogę?

Brawley przełączyła zdjęcia.

– Twierdzą tak z tego powodu... – Ta sama lokalizacja co na ostatnim zdjęciu. Był tylko jeden wyjątek. Foley wpatrywała się w niego uważnie.

– To jego rower?

– Tak, leży na skraju pola ryżowego. I to nie byle jaki rower. To kalmaegi produkowany w kolonii karnej nr 25 w prowincji Hamgyōng Północny, gdzie przebywają skazani na dożywocie. Najwyższej jakości produkt Korei Północnej. Aby nabyć taki rower, trzeba się zapisać na listę i czekać trzy do czterech lat, o ile ma się szczęście i pieniądze. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł tak po prostu porzucić tego rodzaju rower, a już na pewno nikt w tej biednej, górzystej części kraju. Jest jeszcze coś więcej, pokazało się między ósmą a dziewiątą rano. Dużo później, niż przewidywaliśmy, biorąc nawet pod uwagę wrogie mu środowisko.

– Co to może według ciebie znaczyć?

– Że jest poważnie ranny – odparła ponuro Brawley.

– A więc... gdzie on teraz jest?

– Jeżeli go złapali, możemy się spodziewać śladów ciężarówek wjeżdżających na pole ryżowe. Muszę sprawdzić, czy nie były zalane wodą, ale grunt i tak jest bardzo przesiąknięty wiosennymi deszczami. Ślady kół samochodów ciężarowych mogą o tej porze roku pozostawać nienaruszone całymi tygodniami. Jeżeli miałyby go złapać grupa pieszo idących żołnierzy, musielibyśmy zanotować jakieś zamieszanie. Jednak niczego takiego nie zauważyliśmy.

– Jeżeli szedł pieszo, to czy byłoby widać ślady stóp?

– Nie. Stanowczo nie moglibyśmy ich widzieć – Brawley odpowiedziała z uśmiechem. – Osobiście chciałabym. Nie zauważyłam jednak żadnego ruchu świadczącego, że ktoś przebił się przez wysokie do pasa krzaki czy rośliny uprawne. Ale nawet gdyby taki ślad ciągnął się przez setki jardów, byłby zbyt wąski i nikły, aby go zauważyć.

– Zatem zapytam jeszcze raz: gdzie on jest?

Brawley użyła wskaźnika laserowego, żeby pokazać obszar o kształcie półksiężyca obejmujący las na skraju rzeki Yalu. Można było dostrzec obok dach niewielkiej szopy rybackiej na brzegu, ale nigdzie w pobliżu nie było śladu życia.

– Myślę, że chowa się gdzieś wśród drzew. Sprawdzałam chiński brzeg rzeki, tam znajduje się straż graniczna, ale nie widziałam, żeby działo się tam coś nadzwyczajnego, więc zakładam, że nie przekroczył jeszcze granicy. Pozostają zatem drzewa. Jeżeli jest w dobrej kondycji, może zaczekać do zmięzchu, aby spróbować przepłynąć rzekę. Ale Yalu jest pełna wirów i o tej porze roku ma dość silny prąd.

– Skąd wiesz?

– Z „Mapy Świata”. Amerykanie podróżowali rzeką Yalu, a potem wszystko opisali. Byli to podróżnicy płynący na tratwach i w kajakach, jednak nie należeli do szpiegów czy tajnych agentów. To straszne, jak się o tym pomyśli, ale pojawiają się czasem tacy wariaci i dzięki nim dużo wiemy. Gdyby nasz człowiek spróbował płynąć, pokonując prąd rzeki... – Brawley zawahała się. – Gdyby Avalanche próbował, zapewne nie dałby rady.

– Wykonała pani niezwykłą robotę, pani Brawley – stwierdziła Mary Pat.

– Dziękuję – odparła Annette. – Sądzę jednak, że mogłabym zrobić dużo więcej dla Avalanche’a.

– Jest ktoś jeszcze, kto powinien zrobić coś dla Avalanche’a. Jeśli go wydostaniemy, będzie to też

twoja zasługa.

Godzinę później Annette Brawley wyłączyła komputer. Zamierzała wrócić do domu i zrobić Stephanie kolację. Córka zapewne będzie marudzić, ale Annette wiedziała, że musi jej pomóc przejść niełatwy wiek nastolatki – lata, które były dla niej trudniejsze z powodu śmierci ojca – nawet jeśli Stephanie nie doceniała jej wysiłków.

Gdy wstała i sięgnęła po torebkę, zadzwonił telefon na biurku. Może to Stephanie z wiadomością, że nie wróci do domu na kolację, pomyślała. Córka lubiła czekać do ostatniej chwili, zanim matka wyszła do domu.

Annette odebrała.

- Brawley.
- Łączę z prezydentem Stanów Zjednoczonych.
- Słucham?

Brak odpowiedzi. Czują, że serce zaczyna jej bić szybciej, ale opanowała się.

- Pułkownika Peters, to nie jest śmieszne. Właśnie skończyłam pracę.

Wtedy usłyszała wyraźnie głos prezydenta Jacka Ryana. Rozejrzała się po pokoju, kiwając gorączkowo do dwóch współpracowników, którzy ciągle jeszcze przebywali w biurze, ale nikt tego nie zauważył.

- Pani Brawley. Tu Jack Ryan.

Odchrząknęła.

– Mam krótkie pytanie. Za jakieś dziesięć minut mam spotkanie z przewodniczącym Chin. Muszę mu podać precyzyjną informację dotyczącą naszego człowieka z CIA, obecnie znajdującego się na terenie Korei Północnej. Dyrektor Foley przekazała mi pani wnioski i brzmią one dla mnie wiarygodnie, jednak muszę teraz zadać pani zasadnicze pytanie: jak bardzo jest pani pewna tego, że Avalanche jest tam, gdzie pani wskazała?

Annette stwierdziła, że ręka ze słuchawką zaczyna jej się trząść. Przycisnęła ją mocniej do ucha. Spojrzała na zdjęcie Jacka Ryana, które stało na biurku.

– Panie prezydencie, głęboko wierzę, że znalazł się w tym lesie. Na sto procent. I nie sądzę, żeby go ktoś złapał. Jestem tego też pewna. Nie wiem tylko, czy wskoczył do rzeki Yalu. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że nadal jest w lesie, ale jedynym sposobem, żeby się o tym upewnić, jest wyprawa do tego miejsca.

Odpowiedź prezydenta nadeszła szybko, jakby się bardzo spieszył.

– Zrobiła pani kawał dobrej roboty. Chciałbym w tych dniach, gdy potrzeba mi tak bezbłędnych analiz, posiadać choćby część pani wiedzy technologicznej. Jednak poznanie szerszej gamy tonów. Świetnie wykonała pani swoje zadanie, jestem pod wrażeniem.

- Dziękuję, panie prezydencie. To cudownie być docenioną.

– Wiem, co ma pani na myśli. W tych czasach to bardzo niewdzięczna praca... – Przerwał. – Zatem... dziękuję.

- Przykro mi z powodu Meksyku. Czuje się pan lepiej?

- Z każdym dniem. Muszę kończyć. Do widzenia.

Sygnal urwał się. Przez kilka sekund Annette zadawała sobie pytanie, czy ta rozmowa w ogóle się

odbyła.

Prezydent Ryan spędził niecałe półtorej godziny na rozmowie z przewodniczącym Chińskiej Republiki Ludowej, Lingiem, ale czuł, że wykonał dużo więcej pożytecznej pracy niż przez całe dwa lata dwustronnych kontaktów z często upartym i wojowniczym supermocarstwem.

Osobiście nie spotkał się z nowym przewodniczącym aż do teraz i większość tego, co uzyskał w ciągu półtorej godziny, przypisywał dobrze działającym wzajemnym stosunkom. Podejrzewał jednak, że Ling absolutnie się nie różnił od większości innych wysoko postawionych oficjeli Komunistycznej Partii Chin, poza niektórymi dodatkowymi cechami wyróżniającymi liderów partyjnych. Nie, sukces tego spotkania polegał na fakcie, że Ryan przyjmował z całym spokojem zarówno groźby, jak i prezenty.

Pierwszym i zasadniczym punktem rozmowy było uświadomienie chińskiemu przewodniczącemu, że Korea Północna uczestniczyła w ataku w Mexico City. Ryan nie przedstawił na to dowodów – to nie był ten typ spotkania, gdzie ogląda się zdjęcia i wysłuchuje zeznań świadków. Zamiast tego pokazał Lingowi wszystkie materiały wywiadowcze, które w ciągu minionych trzech dni zgromadzono na podstawie zeznań Adela Zarifa.

Ling był zaskoczony i Ryan z zadowoleniem widział, jak siedemdziesięcioletni przywódca Komunistycznej Partii Chin drży ze strachu o interesy swojego kraju. Zupełnie tak, jak oczekiwał Ryan.

Następnie prezydent Stanów zagłębił się w szczegóły na temat obsesyjnych dążeń Choia do zbudowania sprawnych balistycznych rakiet nuklearnych, które mogłyby dosięgnąć Ameryki. I znowu na twarzy prezydenta Linga pojawił się wyraz niepokoju, jaki to będzie miało skutek dla jego narodu.

Ling wiedział doskonale, co jest dobre dla niego i Chin. I że w nadchodzącym kryzysie musi grać w jednej drużynie z Ameryką. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było wywołanie u jego granic wojny między nuklearnymi mocarstwami i tolerowanie agresywnych zapędów Choia Ji-hoona na skalę rakiet średniego zasięgu, a także jego dążenia do światowego przywództwa, co w efekcie mogło się przerodzić w nieuchronną wojnę w tym rejonie.

Na tle tych zagrożeń przedstawionych w sposób twardy i bezpośredni Ryan zaoferował przywódcy prezent. Poinformował Linga o ucieczce Hwanga Min-ho, dyrektora Koreańskiej Korporacji Handlowej do spraw Zasobów Naturalnych, i o jego obecnym pobycie w areszcie Stanów Zjednoczonych. Zaproponował jednak, że udostępni go Chinom, występując w państwowej telewizji i radiu. Hwang był przygotowany do rozmowy o tym, jak wielki przywódca Korei Północnej rozpoczął się bogacić, dochodząc w dolarach do trylionowego majątku, aby potem wykorzystać te pieniądze do zbudowania rakiet balistycznych, które dosięgnęłyby Stanów Zjednoczonych. Między innymi dlatego wydalili z kraju chińskich górników. Jego dążenie do wytworzenia rakiet międzykontynentalnych mogło doprowadzić do wojny, która zniszczyłaby cały Półwysep Koreański, więc obywatele Korei Północnej powinni o tym wiedzieć.

Ryan zdawał sobie sprawę, że Chiny dysponują potężnymi mediami – w większości radiowymi – które mogły dotrzeć do setek tysięcy domów w Korei Północnej. Jednak nie do zwykłych obywateli, bowiem ci ludzie mogli odbierać tylko stacje państwowe, a jedynie do elity narodu, czyli praktycznie do tych, którzy słuchali odbiorników zmodyfikowanych, pozwalających odbierać Chiny, i którym były dostępne audycje często na ich użytek tłumaczone na koreański.

Hwang mógł w kilka godzin dolecieć do Pekinu razem z amerykańską delegacją. Najważniejsze, aby do ludzi w Korei Północnej jak najszybciej dotarła prawda o Chǒngju, ponieważ Choi może pokazać, jak bardzo jest nieprzewidywalny, i rozkazać zdemontować całe wyposażenie kopalni, które mogłoby świadczyć o jego morderczym planie. W tej chwili mogła go też pogрузić informacja o samobójczej śmierci jego szefa wywiadu. Choi był teraz rannym zwierzęciem i wszyscy się spodziewali, że będzie szalał jak ranne zwierzę.

Dotychczasowe zachowanie Choia to potwierdzało. W przeszłości wystrzelił dwie rakiety bliskiego zasięgu, które spadły do Morza Japońskiego, i ostrzelał dwie wyspy należące do Korei Południowej.

Ryan był pewien, że Choi może zostać zdezonizowany „od środka”. Powstanie mogłoby wybuchnąć tylko wtedy, gdyby elity państwa doszły do przekonania, że Choi, poprzez swoje niekontrolowane obsesje związane z produkcją sprawnych rakiet zdolnych do przenoszenia ładunków nuklearnych, może skonfiskować cały ich majątek.

W tej sprawie Ryan i Ling mieli takie samo zdanie. Obaj czuli, że pozbawienie Choia władzy wyszłoby ich państwu na korzyść. Ryan wyjaśnił jeszcze przewodniczącemu Chin, jaką wartość mają minerały ziem rzadkich i jakie potencjalnie może mieć to znaczenie dla jego kraju.

– Jeżeli mógłby pan znowu zainstalować swój przemysł górniczy w Korei Północnej, byłby to ogromny zastrzyk ekonomiczny dla pańskiego kraju.

Ling skinął głową i zapytał:

– Jak mam przekonać Choia? Co pan proponuje? Przecież nie ofiaruję mu w zamian rakiet mogących osiągnąć Kalifornii, prawda?

– Chiny mogą wywrzeć duży wpływ na Koreę Północną. Przemówienie Hwanga może dać tamtejszym ludziom siłę pozwalającą usunąć Choia.

– Być może. Nawiązaliśmy już wiele przyjaznych kontaktów z wpływowymi ludźmi.

Ryan wiedział o tym i znał też odpowiedź na pytanie, które chciał teraz zadać, jednak pochodziła ona z informacji, które przechwycił z Chin jego wywiad. Oczywiście nie mógł tego ujawnić, więc udawał nieświadomego.

– Wuj Ji-hoona, zapomniałem, jak się nazywa... był ambasadorem w Chinach, prawda? Co się z nim stało?

Ling skinął głową.

– Choi Sang-u. Byliśmy z nim w prawie doskonałych stosunkach. Jego bratanek niefortunnie uważał, że te relacje były zbyt dobre, i Ji-hoon wtrącił Sang-u do więzienia.

– Gdyby ten człowiek zajął miejsce Ji-hoona, może Chiny też by na tym skorzystały – odpowiedział Ryan. Ling przytaknął.

– Tak, to byłoby najlepsze z możliwych rozwiązań. – Po przerwie dodał: – Co oczywiście zależy od jego obecnego stanu zdrowia i kondycji. Musi pan wiedzieć, że stosują tam metody reedukacji więźniów, które nie są takie jak w obozach dla internowanych, ale ciągle oceniamy, że jest jeszcze

zdolny przejąć władzę.

– Jeżeli to się uda – rzekł Ryan – to może pan mieć szansę. Bóg tylko to wie, ale on może być lepszy przy władzy od Ji-hoona.

Ling skinął głową w zamyśleniu.

– Trafne spostrzeżenie.

Ryan czuł, że na tym sprawa została zamknięta. Hwang przedstawi elicie Korei Północnej, że Chiny powinny działać w przemyśle górniczym na ich terenie. Ale to nie nastąpi, póki w Ryongsong będzie rezydował Choi Ji-hoon.

Ryan nagle zmienił temat.

– Jest coś jeszcze, co muszę z panem omówić.

– Niezwiązane z Koreą?

– Przeciwnie. Chcę pana poprosić o pomoc w pewnej sprawie. Obywatel mojego kraju obecnie znajduje się na terenie Korei Północnej. Jest ranny i musimy go stamtąd wydostać.

– Chce pan powiedzieć, że w Korei jest amerykański tajny agent? – zapytał Ling po wysłuchaniu tłumaczenia.

Ryan poruszył się niespokojnie.

– Nie jestem przygotowany, żeby rozmawiać na temat zajęcia wykonywanego przez tego człowieka. Jednak mam nadzieję, że doceni pan to, że nie chcę pana okłamywać.

Przewodniczący Chin nieznacznie skinął głową.

– Czego w takim razie pan oczekuje?

– Ten człowiek znajduje się niecały kilometr od pańskiej granicy, na południowym brzegu rzeki Yalu.

– Prosi pan o otwarcie przejścia?

– Nie, proszę o coś więcej. Proszę, żeby wysłał pan ludzi, którzy zabiorą go stamtąd.

– Obawiam się, że to, o co pan prosi, jest wykluczone. Mimo kwestii, które właśnie uzgodniliśmy, dla naszego kraju ważne jest utrzymanie dobrych i opartych na wzajemnym zaufaniu stosunków z Koreą Północnej. W tym wypadku istnieje zbyt duże zagrożenie skandalem.

– Powodzenie pierwszej sprawy zależy od pozytywnego rozwiązania drugiej.

Prezydent Chin odwrócił się do tłumacza i ten powtórzył te słowa. Ryan zobaczył, że mężczyzna był zakłopotany tym sformułowaniem, jednak pozwolił mu użyć własnego. Wreszcie Ling powtórzył jeszcze raz i tłumacz ostatecznie przełożył na angielski:

– Chce pan powiedzieć, że cały nasz układ zależy od tego jednego człowieka?

– Tak, właśnie tak – odparł Ryan bez wahania. – W interesie naszych narodów leży to, aby ten człowiek przeżył.

Ling nadal był zdumiony, ale Ryan widział, że zaczyna się nad czymś zastanawiać.

– Jeżeli spełnię pańską prośbę, to chcę, aby moi ludzie zatrudnieni w wywiadzie mogli z tą osobą przeprowadzić krótką rozmowę.

Ryan był na to przygotowany.

– Informacje, które ma ten człowiek, są po prostu niezwiązane z tą sprawą. Nic więcej.

– Ale ja wymagam tylko...

– Prawdopodobnie ten człowiek jest poważnie ranny. Chcę, żeby go dostarczono do nas do

Pekinu. Mogę opóźnić mój wyjazd, jeśli to konieczne. Jeżeli spełni pan moją prośbę, zapewniam, że ten wywiad się odbędzie, ale pod warunkiem że mój człowiek będzie w dobrym stanie i będą przy tym obecni moi ludzie. – Ryan uśmiechnął się. – Spodziewam się, że może być tym wszystkim zakłopotany.

– Kiedy mamy zacząć akcję ratunkową? – zapytał Ling.

– W ciągu godziny. Tak będzie najlepiej.

Ling spojrzał zszokowany na tłumacza.

Adam Yao leżał wśród drzew rosnących wzdłuż brzegu rzeki Yalu, około pięćdziesięciu jardów od biegnącej za nim zwirowej drogi. Prawie cały dzień słyszał ciężarówki przejeżdżające w jedną i drugą stronę. Był dobrze ukryty, więc go nie zauważyli, ale wiedział, że gdy tylko wojsko wyśle oddziały do przeszukania lasu, będzie musiał albo wskoczyć do wody, albo leżeć tu i czekać, aż zostanie złapany.

A rzeka była zbyt zimna, żeby ją przepłynąć, szczególnie przy jego osłabieniu.

Kolano Adama spuchło potwornie i po dwudziestu czterech godzinach od wyskoczenia z pędzącego SUV-a duże rozcięcie wykazywało oznaki infekcji. Po upadku z roweru przeczołgał się przez grząskie od wody pole ryżowe, a potem, gdy próbował się podnieść, nie mógł już stanąć na tej nodze. Ponadto był zimny wieczór i przemarzył do szpiku kości. Wiedział, że dalej nigdzie nie będzie już w stanie dojść. Był gotów umrzeć. Śmierć na skutek przemarznięcia zawsze wydawała mu się przerażająca i nigdy nie przypuszczał, że może go spotkać coś podobnego, ale teraz był przekonany, że musi się pogodzić z takim losem.

Wydawało mu się, że od czasu do czasu słyszy głosy, nigdy nie blisko niego, ale z pewnością gdzieś na drodze i być może z łodzi płynących po rzece. Nie rozumiał słów, a po jakimś czasie zaczął się zastanawiać, czy czasem chora wyobraźnia nie płata mu figli.

Chociaż słyszał ludzi idących drogą daleko za nim, nie usłyszał ludzi w bieli, dopóki nie znaleźli się bezpośrednio przy nim. Nagle otworzył oczy, gdy uświadomił sobie ich obecność. Otaczało go kilku mężczyzn w białych strojach śnieżnego kamuflażu.

Było zbyt ciemno, żeby określić, kim byli, ale Adam przyjął, że należą do sił specjalnych Korei Północnej.

Jeden z nich ukląkł obok jego głowy, dwóch zajęło się ranną nogą. Pozostali, jak zauważył Adam, zajęli pozycje między drzewami, z bronią gotową do strzału w jego obronie.

– Co to, u diabła, ma znaczyć?

Mężczyzna przy jego głowie odezwał się po mandaryńsku:

– Yao?

– *Wu*. Nie.

– Przysłał nas pański kraj.

– Nie wierzę.

– Wierz sobie, w co chcesz. Położymy cię na nosze i przetransportujemy przez rzekę do Chin.

Adam Yao pozwolił im to zrobić. Nie miał już sił dyskutować.

Edward Riley stał na dachu pięciokondygnacyjnego apartamentowca znajdującego się naprzeciwko lotniska Mae Fah Luang-Chiang Rai w Tajlandii. Z lornetką w ręce patrzył wzdłuż pasa startowego, usiłując dostrzec światła. Jego lornetka była jednak bezużyteczna w zapadającym wieczornym mroku.

Gdzie oni są? Mieli tu być godzinę temu, pomyślał.

Gdy tylko przestało mu grozić niebezpieczeństwo w Meksyku, Riley skontaktował się z Óscarem Roblasem, żeby mu donieść, że ciągle jest jeszcze w grze. Przesadnie przedstawił swoje możliwości, umiejętności i wpływy, a potem zapytał, co ma zrobić, aby udowodnić, że nadal może być przydatny w akcji.

Riley był trochę zaskoczony, gdy Roblas podał mu informacje na temat zbiorników flotacyjnych – ich wielkość oraz wagę – i wtajemniczając w problemy logistyczne związane z dostarczeniem tych ogromnych urządzeń do Korei Północnej.

Zatem Riley był teraz w Tajlandii i miał poruszyć góry, żeby zrobić dla Korei Północnej – i Roblasa – to, czego nie był w stanie zrobić dla siebie. W ciągu pięciu minionych dni postawił wszystko na jedną kartę – wykorzystał swoje znajomości, zawierał transakcje, wszedł w kontakty handlowe ze starymi kumplami i wydzwaniał do wszystkich, którzy byli mu winni jakieś przysługi. Gdy miał już pieniądze, wyleciał do Azji i zaczął negocjować z rosyjską firmą transportową i tajskimi biznesmenami.

Gdyby podjęta przez niego akcja wypaliła, udowodniłby Roblasowi i Korei, że wart był tego ryzyka i stanowi cenny nabytek w ich przedsięwzięciu. Chociaż w Ameryce został skompromitowany jako współsprawca akcji w Mexico City, ciągle jeszcze mógł to naprawić. Wtedy wezmą go pod swoje skrzydła.

Udało mu się zorganizować dwa rosyjskie samoloty transportowe typu Antonow. Miały wylądować na tutejszym lotnisku. Zaraz potem musiał skontaktować się z Roblasem, który zdążył już załatwić bezpieczny transport nowego zestawu zbiorników drogą morską z Brazylii. Jeżeli samoloty przyleciałyby wedle planu, Riley miał udać się z tymi cholernymi urządzeniami do Korei Północnej, omijając amerykańską blokadę.

Ale ci pieprzeni Rosjanie do tej pory się nie zjawili.

Już wielokrotnie łączył się telefonicznie, aby upewnić się, czy zbiorniki załadowano i czy są w drodze, a także czy Korea Północna zapłaciła sprzedającym.

Ale jeżeli Rosjanie nie przylecą swoimi antonowami do Tajlandii, to cała transakcja legnie w gruzach.

Znowu przyłożył do oczu lornetkę. Nic.

– Gdzie są te cholerne samoloty?

Opuścił lornetkę i odwrócił się do schodów.

Zamarł bez ruchu na widok człowieka stojącego w słabym świetle tylko czterdzieści stóp od niego.

– Kim pan jest?

– Kimś, kto przebył do tego miejsca długą drogę.

Riley nie poznał go, ale mógłby powiedzieć, że jest Amerykaninem. Nie miał przy sobie jednak żadnej broni, ale ten mężczyzna również nie wyglądał na uzbrojonego.

– FBI?

Nieznajomy zaprzeczył ruchem głowy.

– Więc kto?

– Mam na imię Jack.

Rileyowi nic to nie mówiło.

– Przyjaciel Chaveza.

Och...

– Przyjaciel Veroniki.

Co?, pomyślał Riley.

Zaczął kombinować, jak uciec klatką schodową, jednak ten człowiek wyglądał tak, jakby był gotów go zatrzymać. Anglik zastanawiał się przez chwilę. Mógłby pochylić głowę i przebić się jednym stanowczym uderzeniem, i mieć nadzieję, że mu się uda, jednak Riley nie był takim wojownikiem.

– Czego pan chce?

– Chcę zabrać cię do Stanów.

– I przybył pan tu w tym celu sam? Czy może razem z przyjaciółmi z Cuernavaki?

Mężczyzna o imieniu Jack odpowiedział:

– Mam wielu przyjaciół, ale powiem szczerze. Myślę, że mogę to zrobić sam.

Riley skinął głową, jakby przytakiwał sam sobie i w skupieniu zastanawiał się nad czymś. A potem ruszył.

Ale nie na mężczyznę przy schodach, tylko w zupełnie inną stronę.

Na skraj dachu.

Obok stał drugi budynek mieszkalny, ale przed nim była jeszcze uliczka o szerokości piętnastu stóp. Dach tego apartamentowca znajdował się jedną kondygnację niżej i Riley pomyślał, że mógłby na niego przeskoczyć. Wiedząc, że jedyną drogą ucieczki jest przeskoczenie dzielącej budynki odległości około siedemdziesięciu pięciu stóp w powietrzu, musiałby pobiec maksymalnie szybko i potężnie się odbić.

Jack Ryan junior pomyślał, że dałby radę zatrzymać Rileya, zanim ten dobiegłby do skraju dachu pięciokondygnacyjnego budynku. Mógł krzyknąć, ruszyć za nim i albo go dogonić, albo liczyć na to, że mężczyzna się zawaha.

Ale Ryan nie poruszył się. Stał i patrzył, jak Anglik skacze, macha w powietrzu nogami i leci z rozłożonymi rękoma, a potem znika mu z oczu. Ryan nie usłyszał lądowania na dachu sąsiedniego budynku. Po chwili dobiegł do niego długi piskliwy wrzask. Nie widział uderzenia o ziemię, ale natychmiast odezwał się głos w jego słuchawkach.

– Ryan! Ktoś spadł z dachu! Z tobą okej?

To był Chavez.

– Tak. Widziałeś, jak upadł?

– Twarzą do ziemi na samym środku uliczki.

– Tak jak sobie zasłużył.

– Zgadza się.

Teraz w sieci odezwał się głos Clarka:

– Zbieraj się stamtąd. Jeżeli zaraz wylecimy, zdążymy na Arlington na pogrzeb Sama.

Ryan skinął głową i ruszył w stronę schodów.

Epilog

Adam mógłby lecieć zwykłym samolotem rejsowym, ale CIA chciała go jak najdłużej zatrzymać w Chinach. Następnym samolotem rządu Stanów Zjednoczonych odlatującym z Pekinu był duży biały 747, znany jako Air Force One.

Prezydent Ryan opóźnił wylot o dwa dni, aby zrobić to, co zapowiedział. Był to naprawdę interesujący czas. Zamach stanu w Korei Północnej trwał nie dłużej niż dwadzieścia godzin. Rozpoczął się od przemówienia Hwanga do narodu i skończył na doniesieniu państwowej telewizji, że Dae Wonsu zachorował i musi jakiś czas spędzić na leczeniu w górach, gdzie się urodził.

W istocie urodził się w szpitalu w Pjongjangu, zatem nikt nie mógł stwierdzić, gdzie przywódca teraz przebywa, ale Jack Ryan nie sądził, żeby to było ważne.

Przewrót nie dokonał się bezkrwawo – ochroniarze Choia nie złożyli broni, ale nie poradzili sobie z Chosun Inmingun i było tylko kwestią godzin, a nie dni, zanim nadeszła fala przyływu i zmiotła z powierzchni ziemi dotychczasową władzę Korei Północnej. Do przewrotu przyczyniły się Chiny – i to musieli wszyscy przyznać – podczas gdy ogromny wpływ na armię Korei Północnej i na dotąd kontrolowane przez reżim media miało przemówienie Hwanga, ujawniające obywatelom tego kraju ogromny zakres korupcji Choia. Pewne symptomy świadczyły również o roli Ameryki w ujawnieniu skandalu z kopalnią w Chöngju oraz roli, jaką w tym odegrał jeden zwykły człowiek, amerykański agent. Plotka głosiła, że Chińczycy mieli kogoś w kopalni, poza tym do uwolnienia Korei od władzy szaleńca w niewielkim stopniu przyczyniła się też dzięki nikłej znajomości mandaryńskiego australijska geolożka, obecnie przebywająca z rodziną w Melbourne.

Doktor Powers cieszyła się z powrotu do domu. Milczała na temat amerykańskiego agenta, swojego lotu w zdalnie sterowanym samolocie i bazy Osan.

CIA ulokowała Adama Yao w Air Force One, unikając prasy, a nawet ludzi z obsługi lotu. Prawie nikt na pokładzie nie wiedział, że wniesiono do samolotu mężczyznę na noszach. Wtajemniczeni byli tylko agenci i personel medyczny, osoby, które zabrały go z ambasady, oraz dwóch członków Secret Service, którzy sprawdzili wszystkich bardzo dokładnie – nawet samego Adama, mimo że leżał na plecach bezwładnie z zabandażowaną nogą.

Yao był w ponurym nastroju, odkąd odzyskał przytomność w klinice ambasady. Odpowiadał na bezpośrednie pytania lekarzy, ale poza tym nic więcej nie mówił. Nikt nawet nie próbował go przesłuchiwać, chociaż CIA sporządziła formalny protokół. Teraz odzyskanie zdrowia było najważniejsze. Wysłano przeprosiny do władz chińskich, że nie mogą rozmawiać z Adamem, ale Chińczycy byli zajęci tym, co się działo w Korei, więc nie zgłaszali z tego powodu pretensji.

Air Force One był już daleko nad Morzem Japońskim, gdy do przedziału medycznego wszedł prezydent Ryan i usiadł obok agenta CIA. Adam próbował unieść się trochę na poduszce. Ze względu na okazanie prezydentowi szacunku nie mógł wstać, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

Uniósł jednak rękę z podłączoną kroplówką.

– To dla mnie zaszczyt pana spotkać, panie Yao – powiedział prezydent.

– Ja również jestem zaszczycony.

Jego głos brzmiał słabo z powodu środków przeciwbólowych i osłabienia, ale Yao był w pełni przytomny. Przyjrzał się dokładniej Ryanowi. Gips na lewej ręce, temblak na prawej...

– Och, mój Boże! Czy z panem wszystko już dobrze, panie prezydencie?

Ryan uśmiechnął się. Ten dzieciak nie wiedział o wielu wydarzeniach ostatniego tygodnia.

– Tak, jest dobrze. I z panem też wkrótce będzie. Doznał pan małego odmrożenia, pęknięcia rzepki w kolanie i zranienia, w które wdała się infekcja, ale przejdzie za kilka dni.

Adam skinął głową i nic więcej nie powiedział, jednak Ryan odniósł wrażenie, że dręczy go jakiś problem.

– Co pana martwi?

– Przepraszam, że o to zapytam, panie prezydencie. Nie chcę, żeby to wyglądało z mojej strony na niewdzięczność, ale chciałbym wiedzieć. Czy zawarł pan z Chinami jakiś układ w zamian za wydostanie mnie stamtąd?

Ryan nie wahał się z odpowiedzią:

– Absolutnie żadnego. To był tylko dodatek do poprzednich porozumień, służących interesom obu naszym narodom. – Wzruszył ramionami. – Do licha, służących wszystkim. A szczególnie Korei Północnej, chociaż z ich strony nie spodziewam się wdzięczności, hymnów pochwalnych, kartek z podziękowaniami i tacy z ciastkami.

Adam westchnął z ulgą i odpowiedział z uśmiechem:

– Mają obrzydliwe ciastka, gwarantuję.

– Masz dobre informacje wywiadowcze – zażartował Ryan i poklepał ramię Yao ręką w gipsie. – Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Mam wszystko, czego teraz potrzebuję. Dziękuję.

– Praca, jaką pan wykonał, przyniosła wiele istotnych zmian. Hwang wygłosił przemówienie, w którym przedstawił całemu światu informacje dotyczące kopalni minerałów ziem rzadkich. Trudno przewidzieć, co się może wydarzyć w Korei Północnej po odejściu Choia. Spodziewamy się na razie chaosu, ale w dalszej perspektywie uważamy, że będzie to miało pozytywny skutek.

– A co z zagranicznymi pracownikami kopalni Chöngju?

– Hwang poinformował nas o nich – odparł Ryan – a my przekazaliśmy informację Australii, Francji, Kanadzie i innym zainteresowanym państwom jeszcze przed wygłoszeniem przemówienia. Muszą się teraz odezwać wprost do Korei Północnej. Tyle tylko mogliśmy zrobić. – Po chwili dodał:

– Nie jesteśmy w stanie wyrazić wdzięczności za to, co zrobiłeś. To było ogromne poświęcenie. To ja ostatecznie wydałem zgodę na twoje działania operacyjne w Korei Północnej. Nasz HUMINT-u, rozpoznanie osobowe, był na niskim poziomie, więc zacząłem narzekać że powinniśmy zwiększyć nasze wysiłki w Korei Północnej. Wiedziałem, że taka akcja oznacza, że jakiś młody człowiek będzie musiał podjąć tę ciężką próbę. I wcale nie przyszło mi to łatwo. Absolutnie. Mało tego, wiedziałem, że to niewdzięczne zadanie i że trudno będzie docenić je starym urzędasom rządzącym tym krajem, trudno będzie pochlebstwami nakłonić kogoś młodego, aby podjął się tak niewdzięcznej misji. Ale i ja kiedyś byłem na twoim miejscu... bardzo, bardzo dawno temu.

– Wiem o tym, panie prezydencie. Mam nadzieję, że pan też wie, że jestem zadowolony z powodu wysłania mnie tam. Cieszę się, że mogłem przez to coś zmienić.

Adam odchrząknął i Ryan odniósł wrażenie, że mężczyzna chce coś jeszcze powiedzieć.

– Tak?

– Spotkałem pańskiego syna – rzekł Adam. – Wspaniały facet.

Jack zaśmiał się cicho.

– Mogę spytać, gdzie go spotkałeś?

Adam wzdrygnął się.

– Nie bardzo.

Jack nie drażył. Wstał, aby zakończyć wizytę.

– Trzymaj się, Yao. Kraj cię potrzebuje.

– Tak, panie prezydencie.

Jack Ryan wrócił do swojej kabiny w Air Force One, aby zatelefonować w parę miejsc. Andrea obudziła się ze śpiączki i mogła już mówić; miała wrócić do Stanów następnego dnia rano razem z mężem i synem. Ryan chciał z nią natychmiast rozmawiać, aby podziękować za wszystko, co zrobiła. Wiedział, że tak jak on chciał usłyszeć jej głos, tak i ona chciała usłyszeć jego, bo choć leżała w szpitalu oddalonym o pięć tysięcy mil od prezydenta, ciągle był jej podopiecznym, którego miała za zadanie chronić, i była niespokojna o to, czy był bezpieczny w Meksyku.

Ryan usiadł przy biurku, krzywiąc się, i poprosił sekretarza, aby połączył go z Andrea. Czekał, patrząc na zdjęcia swojej rodziny. Musiał jeszcze kilka lat poświęcić dla państwa, a potem będzie mógł całkowicie oddać się rodzinie. Gdy tak patrzył na fotografie, pomyślał o dniu, w którym nie będą się martwili, że pewnego dnia odbiorą telefon z wiadomością podobną do tej, jaką Cathy otrzymała w zeszłym tygodniu.

Ryan uśmiechnął się. Ten dzień nadchodził.

Potem spojrzął na zdjęcie Jacka juniora. Uśmiech znikł z jego twarzy.

Jednak dla Cathy ten dzień nie nadejdzie tak szybko. Ryan wiedział, że jego syn nieustannie pchał się z jednego niebezpieczeństwa w drugie i skutków tych niebezpieczeństw jak dotąd udawało mu się unikać. Ryan wiedział też, że kiedyś jednak może odebrać telefon od mężów, żon i rodziców tych wszystkich agentów Secret Service, którzy otrzymali wiadomości o śmierci jego syna na służbie, i to go zmroziło, więc teraz zrobił tylko to jedno, co przyszło mu na myśl.

Zamknął oczy i modlił się o pokój.

-
- ¹ Direction Générale de la Sécurité Extérieure – Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Zewnętrznych, francuska agencja wywiadu wojskowego i strategicznego od 1981 roku (przyp. tłum.).
 - ² Przypuszczalnie źle odczytał nazwę miasta w województwie małopolskim, powiat krakowski, o nazwie „Skała”, niegdyś notowane jako „Scala” (przyp. tłum.).
 - ³ sigint (signals intelligence) – rozpoznanie elektromagnetyczne; elint (electronic intelligence) – podtyp rozpoznania elektromagnetycznego sigint, służący do wykrywania, analizy i namierzania sygnałów, które nie są używane w telekomunikacji (będą to na przykład sygnały radarowe); masint (measurement and signature intelligence) – rozpoznanie pomiarowo-badawcze (przyp. tłum.).
 - ⁴ mi6 – Secret Intelligence Service (bryt.), znana też jako mi6, dawniej Military Intelligence Service section 6 (wywiad wojskowy sekcja 6) (przyp. tłum.).
 - ⁵ W gmachach Liberty Crossing w McLean w Wirginii znajduje się National Contrterrorism Center (nctc) (przyp. tłum.).
 - ⁶ Czyli Nowego Jorku (przyp. tłum.).
 - ⁷ jsoc – Joint Special Operations Command – elitarne oddziały specjalne usa (przyp. tłum.).
 - ⁸ Synonim niekompetentnych, błazeńskich policjantów, wzorowanych na klasycznej komedii amerykańskiej z lat 1912–1917 (przyp. tłum.).
 - ⁹ Autocad – program wspomagający dwuwymiarowe (2D) i trójwymiarowe (3d) projektowanie komputerowe. Umożliwia też tworzenie grafiki inżynierskiej 2,5d i może wspomagać działania fałszerzy (przyp. tłum.).
 - ¹⁰ BIOS – Basic Input/Output System – podstawowy system wejścia/wyjścia (przyp. tłum.).
 - ¹¹ Crisis Action Team – Zespół Akcji Kryzysowej (przyp. tłum.).
 - ¹² Interlink-ts (Inteling-sci) to program firmy Intel ułatwiający dostęp do informacji wywiadowczych na poziomie informacji poufnych (przyp. tłum.).
 - ¹³ sigint – signals intelligence – rodzaj wywiadu (rozpoznania) prowadzonego w środowisku promieniowania elektromagnetycznego (telekomunikacja, teleinformatyka), głównie używany przez nato (przyp. tłum.).

Tłumaczenie: Jan s. Zaus

Redakcja: Sabina Raczyńska

Korekta: Małgorzata Denys

Adiustacja: Ida Świerkocka

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 826 08 82, 22 828 98 08
faks 22 380 18 01
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4945-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

virtualo